TOM IV.



Encyklopedyja Humoru

zawierająca

NAJCELNIEJSZE

utwory

HUMORU LUDZKIEGO.

Redakcyja i Nakład

M. Wołowskiego

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава, 4-го дня Іюня 1891 года.

Druk ZAWISZEWSKIEGO — Warszawa, ulica Chmielna Nr 31.

ENCYKLOPEDYJA HUMORU.

Tom IV-ty.

S—Z

1270.



(*Ciąg dalszy*).

Słoik.

* *Słoik pomady.*

ROMANS KRYMINALNY.

przez

Walentego Ponson du Terrail (z przeciwka).

CZĘŚĆ PIERWSZA *).

(Opowiada Imci pan Piotr Niedorżnięty).

Rodzina nasza pod srodze ciemną wyrastała gwiazdą, ile że nikt z jej członków naturalną śmiercią nie umarł... Dziad mój ś. p. Hipacy, zamiast wódki napił się kwasu solnego i natychmiast jelita w nim zgorzały, jak złośliwi powiadali: z gorzały. Babka moja, Scholastyka z Pypciów, utopiła się sromotnie, ojciec mój zasie od zbójców w Karpatach zabit jest...

Po tak nieodżałowanej stracie, matka moja, świeć Panie nad jej duszą, chciała się *eo instante* obwiesić, ale zmieniła projekt i wyszła za kapitana od huzarów węgierskich.

Tak tedy zyskałem ojczyma.

O ile później dowiedziałem się z papierów, ojczym mój miał od matki zapis, mocą którego, w razie gdybym ja się nie uchował, a w dzieciństwie umarł, on i jego dzieci dziedziczyć miały dobra nasze Dudy Wielkie, Małe Dudki i folwark Sikorkę...

Rozpatrzywszy ten dokument, zbadałem i poznałem samą *criminis ratio* i począłem drżeć z obawy, ażali ten zbójca, ojczym mój, niewiadomo gdzie się ukrywający, nie zechce mnie z tego świata zgładzić, tak jak zgładził już moją nieodżałowaną matkę.

Przeczucia moje się sprawdziły... Kiedym się miał do snu już kłaść i właśnie zdejmowałem krawat, w ogrodzie usłyszałem jakiś szelest...

*) Wielka szkoda, że nie mamy drugiej!

Pochwyciłem machinalnie za broń, bez której na krok się nie ruszam i chciałem krzyknąć na ludzi, ale nim zdążyłem otworzyć usta, rozległ się strzał i padłem zemdlony. Kula przeszyła mi gardło — to samo gardło, w które, przed pójściem spać, wlałem butelkę węgrzyna...

(Opowiada pan Rafał Postrzelony)

Biedny Piotrek, od pół roku liże się i liże, a wylizać nie może, chociaż rogata dusza w nim siedzi.

Kula przebodła mu gardło, a gdyby w tamtem miejscu było oko, to byłby biedaczysko zaniewidział, jak amen w pacierzu.

Okrutny zbrodniarz nie zadowolnił się strzałem; przysłał doktora, który niby to dowiedziawszy się o fatalnym wypadku, sam z własnej woli z całą skrzynią lancetów i nożów przyjechał, rekomendując się jako sławny chirurg z Ameryki.

Rzeczywiście zręczny to musiał być chirurg: sam mi opowiadał, jak w Ameryce jednej babie, plotkarce wielkiej, sparaliżowało język. Baba mało nie oszalała ze złości, gdyż nie mogła nawymyślać swemu mężowi, który w takiem oto nieszczęściu z radości się upił.

Poleciała więc prosto do doktora Perkinsa i nic nie mówi, tylko kładzie na stole sto dolarów i pokazuje język.

Dr. Perkins pokazuje jej psa.

Baba kiwa głową. Wówczas Perkins urzyna sparaliżowany język babie, potem znów urzyna psu, przyprawia na gorąco psi język obywatelce stanu Missisipi i — o dziwo! język przyrasta tak dokładnie, że baba nie tylko mówi, ale szczeka i oblizuje się nim jak najpiękniej.

Otóż ten doktór, który takie cuda robił, przyjechał do Piotrusia; później dopiero przekonałem się, jaki to był zbrodniarz i szarlatan. Przyjechawszy zabrał się natychmiast do operacyi i przedewszystkiem przeciął Piotrusiowi arteryję w szyi.

Obecny przytem nasz powiatowy Krajsfizyk, poczciwości dusza chociaż niemiec i chociaż miał przysłowie „jak nie tędy, to tamtędy", arteryję zaraz czerwonym sznurkiem zawiązał, a amerykańskiego doktora za drzwi wypchnął...

Szkoda, wielka szkoda, że go nie kazał związać i odstawić do wójta, ale mądry polak po szkodzie.

Nie na tem jednak kończą się tajemnicze zbrodnie, mające na celu pozbawienie życia ukochanego naszego Piotrusia.

Zaledwie biedaczek zaczął cokolwiek przychodzić do siebie, przysyła mu ktoś paczkę przez pocztę.

W paczce tej był słoik przepysznych ananasowych konfitur i karteczka z napisem: „Od tej, która kocha, temu, który cierpi". Obok tego był portret kobiety tak cudownej urody, że Piotruś spojrzawszy na niego, zemdlał, a ja stary, o mały włos ze stołka nie spadłem...

Z wielkim smakiem zajadał Piotruś owe konfitury, aliści naraz porwały go mdłości i bóle tak srogie, że wił się w boleściach jak wąż i szarpał na sobie koszulę.

Posłałem rozstawne konie po Krajsfizyka Schnaps'a do miasteczka... w godzinę później poczciwy stary niemiec siedział przy łóżku Piotrusia i zbadawszy stan jego, kiwał głową i mówił:

— Ach, Herr Gott, otruty, otruty, jak nie tędy to tamtędy — struty.

Według przepisu poczciwego Schnapsa, laliśmy w Piotrusia mleko, miksturę i znów mleko, aż nareszcie doktorzysko zatarł ręce i powiedział z niekłamaną radością:

— On będzie zdrowa, jak ein Ochs...

Od tego czasu staliśmy się bardzo ostrożni, nie przyjmowaliśmy nikogo obcego, a nawet węgrów i żydów z towarami wyrzucaliśmy za drzwi z obawy, czy który z nich nie należy do tajnego na życie Piotrka sprzysiężenia.

Kroć sto tysięcy dyjabłów! co ten chłopak komu zawinił! cichy, spokojny, wody nie za-

mąci, pracuje jak może i jak umie, za co go kto ma truć, strzelać i zarzynać jak kurę lub koguta, który odpiał już swoje młode lata.

(Znowu opowiada sam pan Piotr Niedorżnięty).

Z relacyi mego wujaszka Rafała, widzę tylko tyle, iż byłem postrzelony, zarzynany i truty, trzeba się przygotować na gorsze następstwa. Wszak-że mogę być powieszony, utopiony, zabity drągiem, lub pożarty przez wilki, ile że ich tu wcale nie brakuje...

Ale gdzie zbrodniarz?

Nigdzie śladu, nigdzie znaku, wszystko jak kamień w wodę wpadło, utonęło i po wszystkiem.

Okropny los! jak trumna Mahometa między niebem a ziemią, wiszę między życiem a śmiercią.

Gdym tak rozmyślał w ogrodzie pod cieniem rozłożystego kasztana, spostrzegam jakiś słoik...

Był on niewielki, szklany, mający formę ściętego ostrokręgu, przewróconego podstawą do góry. Zaciekawiony w najwyższym stopniu zbliżam się i podnoszę — w przekonaniu, że słoik ten naprowadzi mnie na ślad mordercy...

Serce moje uderzyło gwałtownie, gdy na tym słoiczku wyczytałem napis: „Magyar Nemzeli" a u spodu przez warszawskiego fabrykanta zapewne dodany wyraz *noir*.

Ach! więc istotnie przeczucie nie omyliło mnie... więc ten słoik rzeczywiście jest niejako palcem, który wskazuje zbrodniarza, ustami, które mówią: patrzaj, oto zbójca.

Zabójcą tym i zbrodniarzem był więc mój ojczym.

Dla czego ojczym?! — spytasz czytelniku z powątpiewaniem. — Dla czego!? Oto posłuchaj, opowiem ci, w jaki sposób zamordowaną została ś. p. matka moja— czytaj, jeżeli możesz i... drżyj...

Zbrodzień dziwne miejsce bo obrał sobie do wykonania swego niecnego zamiaru: nie szukał ani ustronnej polanki w lesie, ani odosobnionego budynku — ale zamordował nieszczęsną swą ofiarę na balu, w tańcu, w obec kilkunastu osób, przy dźwięku muzyki i świetle lamp i kinkietów.

Och, jakaż wyrafinowana podłość!

Później dopiero zrozumiałem, dla czego od rana codziennie siadał przed lustrem i za pomocą węgierskiej pomady wykręcał swe olbrzymie wąsiska w druty, twarde jak krzemień, a wielkie jak bretnale...

Później dopiero przekonałem się, jak wielki ogrom zbrodni spoczywał na dnie niewinnego słoika! — słoika pomady!...

Lecz przystępuję do opisu samej zbrodni.

Było to na balu. Ojczym mój był doskonałym tancerzem, matka zaś, jak każda wreszcie kobieta, przepadała za zabawą... no — i przepadła nieboga.

Kiedy zaczęli tańczyć z sobą walca, wówczas całe towarzystwo patrzyło niemal z zachwytem na tę parę, co z dziwną lekkością przesuwała się po gładkiej posadzce salonu, kołysząc się w rytmiczny takt walca.

Zewsząd słychać było szmer pochwał i podziwu, ale w oczach mego ojczyma błyszczał jakiś ogień złowieszczy.

Dawno rzucone w mózg jego nasienie zbrodni zaczęło kiełkować, aby wydać ze siebie owoc ohydny...

I oto wydało.

Na jednym z szybkich zwrotów w tańcu, ojczym mój uderza ją silnie o pantalion czy też szpinecik, na którym grała gospodyni domu. Matka moja, skutkiem tego nagłego karambolu, pochyla głowę naprzód i jednocześnie, zaledwie zdążywszy krzyknąć, pada bez życia na posadzkę.

Wszelki ratunek był niemożliwy... wszelkie usiłowania przywrócenia życia daremne. Wyszwarcowany wąs huzara przebił jej oko i wyszedł z tyłu głowy, aż ułamał się w szyldkretowym grzebieniu...

Sprawiedliwość nie mogła pomścić tego ohydnego czynu. Cesarsko-królewsko-austryjacki sąd krajowy orzekł, że w całej proce-

durze kryminalnej nie znajduje powodu do aresztowania zbroduiarza, który zamordował swoją żonę wąsem, z przyczyny, iż wąs nie należy do zabójczych narzędzi tępych, ani do ostrych, ani palnych.

Procedura zapomniała o węgierskiej pomadzie, a skutkiem tego zbrodzień cieszy się wolnością i rozwija dalej swe szatańskie plany, dążące do wydarcia mi mienia i życia...

I któż zaręczy, że ten nikczemny człowiek, który godził na me życie kulą, nożem i trucizną, nie zamorduje mnie na jarmarku, wśród tysiąca ludzi, udając przyjaźń i miłość?...

Och tak!... smutne przeczucie powiada mi, że kiedykolwiek otworzy on ramiona szeroko, kordyjalnie, pochwyci mnie w objęcia, a krzyknąwszy: „Piotrusiu! serce, kopę lat niewidziane!" przebodzie mi czaszkę na wylot i korzystając z zapisu, obejmie w posiadanie moje wielkie Dudy...

Och! pomado węgierska! czemuż cię wynaleziono, czemuż stałaś się morderczem narzędziem, zapewniającem zbrodniarzowi bezkarność?!

Słowikowski.

Słowikowski zjechawszy się na bardzo złej i ciasnej drodze z szlachcicem, zawoła: „wara wara, bo ci tak uczynię, jako wczoraj drugiemu". Bojąc się konfuzyi od figlarza, ustąpił szlachcic i zapytał: „cóż byś mi uczynił, gdybym ci się był nieustąpił?"—„To bym ja się tobie był ustąpił, jako wczoraj temu" —odpowiedział Słowikowski.

Słownik.

* *Słownik wyrazów cudzoziemskich w potocznej mowie używanych.*

Analiza. Rozbieranie (się).

Buddaizm. Mieszkanie letnie.

Cyferblat. Twarz o trzech podbródkach.

Darwinizm. Przedmiot najmniej znany tym, co o nim dużo mówią.

Eureka. Wykrzyknik młodzieńca po otrzymaniu pożyczki na hipotekę dóbr księżycowych.

Ganimed. Chłopiec od szewca.

Harmata. Osoba sprzedająca flaki pod słońcem.

Imbryk. Fotografja rozwiniętego młodzieńca.

Konduktor. Przyrząd do ściągania piorunów z chmur na czoła naczelników stacyi.

Lando. Przedmiot zajmowany często przez komornika.

Marynarka kupiecka. Codzienny strój subjekta handlowego.

Nabab. Ulubieniec kobiet.

Obskurantyzm. Oświata ludowa.

Rywale. Dwaj ludzie, którzy się walą.

Sukcesyja. Marzenie gołych.

Tarlatan. Tkanina do zawijania panien skaczących.

Utopja. Sadzawka, w której wielu głupców się topi.

Wandalizm. Konserwacyja pamiątek przeszłości.

Xeres. Jeden z licznych środków zatracenia pamięci.

Yacht-Klub. Małe państewko niemieckie nad brzegiem Wisły.

Zero. Względnie najlepszy zysk z gospodarstwa rolnego.

* *Nowy słownik.*

Litera A.

A. Tej litery używa się najczęściej wtenczas, gdy czego wysłowić, lub na co odpowiedzieć nie umiemy. W takim razie otworzy się gębę, powie się A i na tem koniec.

Abecadło. Straszydło na dzieci.

Ach! Wyraz, używany najwięcej do szpikowania romansów.

Antyk. Rzecz zakazana pośród płci pięknej.

Antrakt. Przerwa sztuki dla wypróżnienia teatru a zapełnienia bufetu.

Argument. Do argumentowania uczeni używają słów, a chłopi pałek i zdaje się, że ci ostatni prędzej potrafią przekonać.

Asan, *wasan*, *acan*, *wacan*, *aści*, *asindzi*. Wyrazy, używane przez niektóre osoby do cedzenia drugich przez zęby.

Autor. Wyraz wyszły z użycia, gdyż na jego miejsce używają się: wierszokleta, gryzmoła, bazgrała i t. p.

Litera B.

Baba. Patrz: Starożytności.

Bankructwo. Nowy sposób robienia majątku.

Bat. Elektryka dla wzbudzenia uczucia w łotrach.

Błoto. Kąpiele żydowskie.

Brzuch. Zbiornik dziurawy, którego nigdy napełnić nie można.

Litera C.

Całowanie. Oznaka szacunku, miłości, wdzięczności; a najczęściej obłudy lub zdrady.

Cebula. Lekarstwo, którego najwięcej używają żydzi, dla zapobieżenia chorobom, pochodzącym z niechlujstwa.

Czosnek. Piżmo żydowskie.

„*Śmieszek*"

Słowo.

Wijola. Niech cię Bóg błogosławi i twoją muzykę, przyjacielu. Czy żyjesz z twojego tamburyna?

Pajac. Nie, panie, ja mam chleb przy kościele.

Wijola. Jesteś więc duchowną osobą?

Pajac. Bynajmniej. Mam chleb przy kościele, bo go jem w moim domu, a dom mój stoi przy kościele.

Wijola. Mógłbyś równie dobrze powiedzieć, że król żyje przy żebraczce, jeśli żebraczka mieszka przy królewskim pałacu; i że kościół żyje przy twoim tamburynie, jeśli twój tamburyn stoi przy kościele.

Pajac. Powiedziałeś, panie. Patrzcie, co za czasy! Słowo jest tylko zamszową rękawiczką dla przenikliwego dowcipu; jak ją łatwo na złą stronę przewrócić!

Wijola. To prawda; kto zbyt igra ze słowami, łatwo je może puścić na rozpustę.

Pajac. Dla tego też pragnąłbym, żeby siostra moja nie miała nazwiska.

Wijola. A to dla czego?

Pajac. Bo nazwisko, to słowo, a igranie z tem słowem mogłoby zrobić z mojej siostry rozpustnicę. Uczciwie mówiąc, słowa, to wierutne łotry od czasu, jak je zbezcześciły zaręczenia.

Wijola. A to znów dla czego?

Pajac. Bez słów nie mogę tego dowieść a że słowa są dziś kłamliwe, nie mam ochoty słowami prawdy dowodzić.

Wijola. Widzę, że krotofilna z ciebie sztuka i o nic się nie troszczysz.

Pajac. Z przeproszeniem, mości panie, są rzeczy, o które się troszczę; ale sumiennie wyznaję, że nie troszczę się o ciebie, jeśli to znaczy o nic się nie troszczyć; chciałbym, żeby to mogło zrobić cię niewidzialnym.

Wijola. Czy nie jesteś czasem błaznem hrabianki Oliwii?

Pajac. Nie, panie, hrabianka Oliwija nie ma błazeństw i nie będzie miała na swoim dworze błazna, dopóki za mąż nie pójdzie, bo błazny tak są do błaznów podobne, jak serdele do śledzi: większy z nich to mąż. Nie, mości panie, nie jestem jej błaznem, jestem tylko słów jej fałszerzem.

Wijola. Widziałem cię niedawno na dworze hrabiego Orsyna?

Pajac. Błazeństwo, mój panie, krąży nad światem jak słońce i zarówno wszystkim przyświeca; byłoby mi smutno, gdyby błazeństwo równie często gościło u twojego pana, jak na dworze mojej pani. Zdaje mi się, że widziałem tam twoją mądrość.

Szekspir (patrz str. 80 T. I.)

* *Lekkie słowa*.

— Żona dla mnie ideałem,
Gdy odchodzi tęskność czuję;
(*na stronie*) Dawno *Bibci* nie widziałem,
Pewno z Kaziem romansuje.

— Jan obraził mnie śmiertelnie,
Pojedynek! Blizka meta.
— Ależ Jasio *strzela dzielnie.*
— Czy tak?..
Proś go do *Bocqueta.*

— Mej przyjaźni moc tak wielka,
Że ci życie dam w ofiarę;
— A więc, pożycz mi rubelka...
— Dziś nie mogę... za dni parę.

— Postać pani, jak z marmuru,
Głos Twój budzi serca drżenie...
— Daj więc debiut mi na scenie...
— Dobrze, przyjmę Cię... *do chóru!...*

— Ja... posagu, nie chcę wcale,
Bo człek godność swoją traci;
— Więc bierz Zosię...
— Doskonale,
A któż *długi* me zapłaci?

— Słuchaj, puść się w spekulacyję,
Setnym zyskiem Cię nagrodzi,
A tymczasem... kup kolację.
Przy kieliszku myśl się rodzi...

— *Wygram sprawę,* szyk mój znacie,
W efektownej bronię pozie;
— Lecz na *koszta* nie mam bracie,
— O, to będziesz siedział w kozie.

Słowem, skarbem dziś wymowa,
Kłamać można byle składnie,
A za puste lekkie słowa
Nieraz *suty* grosz upadnie.

Adam Kieł.

* *Słowo uczciwego człowieka.*

— Pożycz mi tysiąc rubli.

— Także bym się wybrał, przecież gazety ogłosiły, że zbankrutowałeś i nic już nie posiadasz.

— Nie obawiaj się tego, bankructwo moje jest tylko pozorne, daję ci na to słowo uczciwego człowieka.

* *Trafne słowo.*

Dumas ojciec został razu pewnego zaproszony na obiad do margrabiego de F. jednocześnie z niejakim panem Valendrier, z którym był na bardzo nieprzyjaznej stopie.

Pan Valendrier, obawiając się sarkastycznego dowcipu znakomitego pisarza, oświadczył, że zaproszenie przyjmuje tylko pod warunkiem, że Dumas zobowiąże się słowem raz tylko przemówić podczas obiadu.

Zobowiązanie to Dumas przyjął z wielkiem zdumieniem margrabiego.

Obiad był bardzo ożywiony. Pan Valendrier był wymowniejszy niż zwykle i nieustannie popisywał się swym dowcipem, gdy tymczasem Dumas ku wielkiemu zdumieniu biesiadników siedział jakby niemy i zdawał się wyłącznie zajęty jedzeniem.

Pod koniec obiadu podano pasztety, które pan Valendrier nad wszystko lubił i zaczął łakomie zajadać. Gdy skończył, gospodyni domu podsunęła mu jeszcze półmisek z pasztetem.

„Bardzo pani dziękuję," rzekł, „więcej już jeść nie mogę, zresztą tyle pasztetów sprzątnąłem, co Samson Filistynów."

„I to temże samem narzędziem" (oślą szczęką) dokończył Dumas, który po raz pierwszy usta otworzył, a pan Valendrier wyniósł się co prędzej za drzwi wśród ogólnego śmiechu obecnych gości.

Słuszność.

Kady i Mufty.

Rzekł Mufty do Kadego:—Powiedz miły Kady
W jaki sposób roztrząsasz procesy i zwady?
Na to Kady rzekł, brodę zwracając ku słońcu:
— Temu przyznaję słuszność, kto mówi na końcu.

Służąca.

Pani. Cóż znowu Anno! po cóż nosisz wodę z ulicy, kiedy mamy w kuchni wodociąg?

Służąca. Tak, proszę pani, ale z wodociągiem nie można rozmawiać, a bez tego przecież człowiek się obejść nie może!

Służba

* Pewna pani prosiła swą byłą kucharkę, która kilka lat u niej przesłużyła, o dostarczenie młodszej.

Skoro ta została przyprowadzona, spytała pani:

— Jak myślisz kochanko, czy będzie jej tu dobrze u mnie.

— Ja myślę proszę pani, zresztą ona wie, co o pani trzymać, bo ja już ją o wszystkich pani wadach uprzedziłam.

* Pewna pani, mieszkająca w Paryżu, odprawiała kucharkę zż jakieś wykroczenie i wypłacała jej należną pensyję. Służąca, odebrawszy pieniądze, wzięła z nich dwa franki i rzuciła pokojowemu pieskowi.

-- Co to ma znaczyć? spytała pani zdziwiona.

— Co to ma znaczyć? biedne psisko, sumiennie na tę zapłatę zasłużyło. Przez pół roku, co tu służyłam, dzień w dzień mi talerze wylizywał tak, że ich nigdy myć nie potrzebowałam.

* *Przy przyjęciu do służby.*

Pani. Mówisz, żeś wszędzie długo służyła, a tu w książeczce jest, żeś w ostatniej służbie była miesiąc...

Służąca. A bo pani wyjechała. Bo jeszcze miesiąca nie dosłużyłam, to zaraz starsza pani umarła...

Pan. (do żony). A... to przyjmij ją!..

* Alfonsowi, królowi Kastylii, podano wykaz jego dworskiej służby, z wyszczególnieniem potrzebnej i nieużytecznej.

Zatrzymał wszystkich swoich służących, mówiąc·

— „Tych ja potrzebuję — a tamci mnie potrzebują."

(*Bibliothèque de société*)

Służebność.

Dobrowolny układ.

— Przyśliśma do wielmożnego pana ułożyć się po dobroci, wedle tych służebności.

— No—i jakżeście uradzili?

— A to niech wielmożny pan dokupi od somsiada tę Wólkę Łykawską, to jak nam wielmożny pan dołoży ją do swego folwarku, to my tam już kwitujem ze wszyćkich służebności.

Śmiech.

* Powiem głośno i nie skrycie,
Że gdy bracie jesteś w smutku,
Gdy ci ciężko płynie życie
Śmiej się z tego, aż do skutku!
Śmiech lekarstwem jest dla duszy,
On cierpienia nasze skraca,
Często bóle serca głuszy,
Równowagę myślom wraca.
Jeśli los cię wykolei
Lub kto mienie ci zabierze,
Nie trać wiary, ni nadziei,
Śmiej się z tego! śmiej się szczerze!
Wprawdzie wszyscy pieniądz gonią,
Ale złoto — rzecz nabyta,
Więc gdyś stracił—machnij dłonią
Śmiej się z tego, ot i kwita.
Płacz energję w nas zagłusza,
Powiem, zdrowiu nawet szkodzi,
Śmiech zaś umysł mile wzrusza,
Przytem jędrne myśli płodzi.

* O Zoroastrze opowiada Pliniusz, że śmiał się przy urodzeniu, mówią też o Tomaszu Moorze, iż śmiał się w godzinę śmierci... — któryż z nich śmiał się właściwiej, lepiej?......

* Pięknem jest słodkie spojrzenie, ale piękniejszym jest słodki uśmiech. Oczy nie

mogą tego wyrazić, co mówią usta w niemym uśmiechu. Oczy mówią „kocham cię" a uśmiech dodaje „kochaj mnie!" Kiedy ona patrzy się na mnie—jestem szczęśliwy, kiedy się uśmiecha, wiem, że ona jest szczęśliwą... a cenię więcej jej szczęście, niż moje!.. Oczy zaczynają niemą rozmowę, którą usta dopełniają porozumiewającym uśmieszkiem... Można patrzeć się w oczy, niewiedząc, czego pragną, co mówią, ale na uśmiechu nikt się nie omyli. Oko błaga nieraz a... uśmiech przyrzeka!

* Demokryt powiedział: „Znajdują się czaszki, które zdają się tajemniczo uśmiechać!" Montesqieu stał kiedyś w zamyśleniu nad taką czaszką, a jakiś dowcipniś go zapytał: „Z czego się śmieje ten umarły?" „Z żywych"—odparł krótko filozof. W Egipcie, kiedy Arabowie napadli znienacka dywizyję francuzką, a wódz francuzki zakomenderował: „Czworobok! osły i uczeni do środka" wszczął się śmiech ogólny między obojgiem wojsk. Ksiądz Damasceni z odgłosu śmiechu poznaje charakter śmiejących się i tak: utrzymuje on że choleryczni śmieją się ha! ha! ha!, flegmatyczni he! he! he! melancholicy hi! hi! hi! sangwinicy ho! ho! ho! a hipochondryczno-histeryczny temperament woła w śmiechu hu! hu! hu! Prawdziwe jest więc prawidło, że ogólnie w szczerym, głośnym śmiechu brzmi litera A., w szyderczym i złośliwym E., w niepowstrzymanym śmiechu młodości i śmiechu kobiecym brzmi zwykle głoska I, w przyjemnym śmiechu zadowolenia O, w śmiechu prawie bolesnym, dochodzącym do granic płaczu, słychać zwykle U. I tak: mężczyzni zwykle się śmieją na A lub na O, kobiety na E i na I. We Francyi koniecznością dobrego tonu jest umieć się przyjemnie uśmiechać—w tym celu znajdują się nawet nauczyciele, którzy podają wskazówki rozmowy towarzyskiej i odkrywają tajemnice powabów i wdzięków uśmiechu. W dobrem towarzystwie usunięty jest raz na zawsze nieokiełznany, piejący, beczący, przeraźliwy, nosowy, nieharmonijny śmiech, ów rozdzierający uszy śmiech, z szeroko rozwartemi ustami i ściągniętemi muskułami twarzy. Źle również w salonie jest widziany rażący śmiech z pochylonem naprzód ciałem i miotaną gwałtownym ruchem postawą, jednem słowem, każdy śmiech rażący, czy fałszywą nutą, czy nieestetycznem poruszeniem, uważanem jest za wielce nieprzyzwoity, niemal obrażający! Prawdziwy śmiech, pochodzący z serca, powinien się zdradzać lekkiem falowaniem piersi, wybiegać z niej jak uwięzione ptaszę i ze stopniowem gaśnięciem chętki śmiechu, uciszać się miarowo. Usta powinny być przytem trochę otwarte, tak, żeby odkrywały koronę zębów, a cała twarz rozjaśniona szczerą wesołością. Głowę trzeba wtedy lekko pochylić ku piersi, a ręką przytłumiać jakby uderzenia serca, przyśpieszone atakiem śmiechu. Francuzi a przedewszystkiem paryżanie wnioskują o stopniu wykształcenia kobiety nie z jej rozmowy, ale sposobu jej uśmiechu, to też każde dziewczę wyucza się tego kunsztu według wszelkich przepisów. Niekiedy jednak wskutek tych usiłowań następuje przesada, która oddala panie od zamierzonego celu!

* *Kto jest śmiesznym?*

Śmiesznym jest małżonek, niosący na ręku mopsa swej żony.

Śmiesznym jest ten, co zabrawszy z nami wczoraj znajomość, dziś przymawia się: „ach kochany przyjacielu, musisz mi wpisać się do albumu."

Śmiesznym jest łysy, który kłaniając się damie, wypadkiem zdejmuje z kapeluszem perukę.

Śmieszną jest pięćdziesięcioletnia kobieta, nosząca włosy à la chinoise lub też zupełnie à l'enfant.

Śmiesznym jest stary kawaler, który się blanszuje.

Śmiesznym jest prowincyjonalista, wśród pięknego letniego dnia idący z parasolem.

Śmiesznym jest głupiec, przedstawiający się za genjalnego człowieka.

Śmierć.

* Raz w piątek wieczór w godzinę wieczerzy
Mam wyjść; biorę płaszcz; tuż na stole leży
Laska, kapelusz mój i rękawiczki;
Słyszę strzał... ósma wybiła na wieży,
Zbiegam ze schodów, wpadam w głąb uliczki,
Na ziemi leży komendant, w krwi broczy,
Czoło ma zimne już i błędne oczy.
Biedak! Z przyczyny marnej rozbójnicy
Pięciu kulami zmacali mu skórę
I zostawili trupa na ulicy.
Kazałem wnieść go do siebie na górę,
Trząsłem, wołałem, ale po próżnicy,
Nie człowiekowi rwać się na naturę.
Zginął—dla lichej sprzeczki, z rąk partacza,
Dostawszy pięć kul z starego garłacza.
Patrzyłem w niego, bo go dobrze znałem,
A choć widziałem wiele ciał zabitych,
Tak cichej śmierci nigdy nie widziałem.
Zda się—spał, a że z pięciu ran zakrytych
Krew nie płynęła i nie zdradzał ciałem
Spokojnie sztywnem boleści przebytych,
W śmierć — byś nie wierzył; tak tedy nad spiekłem
Ciałem dumając, myślałem, czy rzekłem:
„To więc ma być śmierć? Cóż się życiem zowie?
Powiedz?” On milczy.—Wstań!—Odeszła dusza.
A wczoraj jeszcze tryskało zeń zdrowie,
Wczoraj go jeszcze tysiąc ludzi słusza
I drży... i kiedy jak centuryjon powie:
—Idź! stój!—to stoi. —Ruszaj! zaraz rusza,
Wczoraj miał konia, surmy i fanfary,
Dzisiaj na bębnie kir i proste mary.
Wszystko, co bało się go i kochało:
Żołnierze, trzódka rubasznej drużyny,
Przyszli oglądać komendanta ciało
Ranne ostatni raz, choć nie jedyny.
I taki koniec! Ten, co niegdyś z chwałą
Spędzał i straszył twarzą Francyi syny,
Pierwszy w natarciu i pierwszy w gonitwie,
Zabity w bójce ulicznej —nie w bitwie!
Przy starych ranach widne były nowe;
Tamte zaszczytne, bo laur niemi zdobył;
Więc straszne było takie kontrastowe
Zejście... Lecz zmienię temat, bom nie dobył
Z kwestyi tej tylu prawd, jak na mą głowę
Przystało; często myślę, co by to był
Za skarb, gdyby tak z śmierci wykryć parę
Prawd wzmacniających wiarę, czy niewiarę.
Ale w tem sekret. Dziś tu, jutro w grobie,
I ruszaj!—dokąd?—ha! nie powiedziano.
Pięć gałek, trzy, dwie, jedna i po tobie!
Na toż krew, aby ściekła lada raną?
Lada element wyższy na tym globie,
Niż człowiek—on ma życie, a nam dano
Śmierć... nam, w których się wszystka wiedza mieści?...

Byron.

* *Odwiedziny śmierci.*

Śmierć do szynkarki przyszła zaraz z rana
Wtenczas, gdy jeszcze nie była ubrana;
„Za to, żeś wódki nie dawała pełno —
Chodź tu psiawełno!”

Skrzypek ze strachu z karczmy się wynosi,
O miłosierdzie nad basistą prosi;
Basista widząc, że śmierć nie żartuje —
Wytrzęsa basy — pieniądze rachuje!...

Śmierć się posuwa — aż tu słyszy zdala
Kucie znanego pijaka, kowala;
„Kradniesz żelazo — poisz się gorzałką;
Palnę cię pałką!...”

Śmierć po kolei przyszła do bednarza
Robotę jego ciekawie uważa;
Aleć robota była ladajaka,
Bierze łajdaka.

Śmierć u stolarza słyszy heblowanie;
Pyta, co robi? — on nie pomny na nię,

Robi kolebki, a śmierć każe trumny,
„Pójdź człecze dumny!"

Krawiec we święto śmiało suknie szyje
Skrada kawałki i pod siebie kryje; —
Śmierć to zoczywszy, wlecze prawie wściekła
„Ruszaj do piekła!"

Szewc, widząc, że śmierć do niego się bierze,
Zbiera manatki i do skrzyni pierze;
„Za to, że kiepsko naprawiałeś buty,
Wezmę cię w knuty!"

Śmierć garncarzowi mówi: „witaj bracie!
Dawno ja też tu oczekuję na cię!...
Za to, żeś samc sprzedawał skorupy,
Pójdź tu do ciupy!"

Śmierć u piekarza ledwo się nie wściecze,
Widząc, jak oszust małe bułki piecze;
„Czy ty to nie wiesz, że zboże tak tanie?
Chodź tu gałganie!"

Śmierć rozgniewana pędzi do rzeźnika,
Za to, że wołu zabił na rzeź byka,
Bierze huncwota, wlokąc prawie zmykiem,
Źle z kolibykiem!

Śmierć organiście wrzasnęła do ucha,
„Ty, przy gorzałce udawałeś zucha,
Zagładzę ciebie, oraz twoje plemię;
Gryź teraz ziemię!"

Po organiście szła do bakałarza,
Postępki jego ciekawie uważa;
„Że organiście pomagałeś w piciu,
Ucierpisz w życiu!"

I kościelnemu śmierć nie darowała,
Tylko go prosto za gardło porwała,
„Za to, żeś z puszki wyciągał krajcary,
Pójdź tu na mary!"

Śmierć się przybliża ku bramie kościoła,
Wchodzi na cmentarz, na warciarzy woła;
Lecz oni chrapią, ta wiąże w powrozy,
Pędzi do kozy!

Śmierć u chorego spotkała lekarza,
Recepty jego ciekawie uważa;
„Że zamiast leczyć — ludzi zabijałeś,
Wprzód ja cię zgładzę, niż się spodziewałeś!"

Śmierć też nareszcie wgląda do klasztoru,
Słyszy tam kłótnie, zamiast hymnów chóru!
„Tak nauczają was ojcowie święci?
Pójdźcie przeklęci!"

Ale i żyda śmierć nie opuściła,
Lecz się krzywd ludzkich stokrotnie pomści-
[ła;
„Ty całe życie ludzi okpiwałeś,
Pójdź wprzód do piekła, niż się spodziewałeś!"

Śmierć też odwiedza gospodynię księdza,
Wgląda w kąt każdy, a tu wszędzie nędza;
„Piłaś, hulałaś, rządzisz ladajako,
Chodź tu sobako!"
Wreszcie zdyszana pędzi do plebana,
Śpiewać *requiem* rozkazuje z rana;
Nakoniec każe położyć się w grobie —
Samemu sobie.

Garbarz już myśli, że jest ocalony,
Aż tu od śmierci nagle zaczepiony:
„Za to, że kiepsko garbowałeś skóry,
Pójdź tu do dziury!"

* *Sposób na śmierć.*

Do komedyjopisarza w znanej Wam mieści-
[nie,
Niedyskretna Kostusia wkroczywszy w pod-
[woje,
Rzekła: „chodź waszeć ze mną, bo nim pół
[dnia minie,
Musisz na tamtym świecie zająć miejsce swo-
[je."
„Ha! odpowiedział pisarz w gwałtownej potrze-
[bie,
Gotów jestem iść z tobą, niech cię piorun trza-
[śnie!
Tylko pozwól Kostusiu, że chcąc uczcić ciebie,
Przeczytam ci komedyję, którą kończę właśnie.
Kostusia myśląc, że się ubawi do syta,

Zgodziła się z ochotą na projekcik dany,
Lecz po pierwszym już wierszu zadarłszy ko-
[pyta,
Urządziła drapaka, aż się trzęsły ściany.

* *Śmierć z miłości.*

Radzę ci umrzeć przez pełnomocnika. Świat ten biedny liczy już blizko sześć lat tysięcy, a przez cały ten przeciąg czasu ani jeden człowiek nie umarł we własnej osobie z miłości. Troilus zdruzgotaną miał czaszkę od greckiej maczugi, poprzednio jednak robił, co mógł, aby umrzeć z miłości, bo to jeden ze wzorowych kochanków. Leander przeżyłby nie jedną wiosnę, choć Hero została mniszką, gdyby nie gorąca noc letnia. Zacny ten młodzieniec poszedł kąpać się w Helesponcie, tam kurcz go złapał i utonął, a gąsięta—współcześni kronikarze osądzili, że przyczyną jego śmierci była Hero. Ale to wierutne kłamstwo. Od czasu do czasu umierali ludzie i zjadały ich robaki, ale to nie z miłości.

Szekspir. (p. t. I, str. 92.)

* *Z filozofii życia.*

(Wyjątek z bardzo starych szpargałów).

— Dla czego śmierć jest najlepszym doktorem?

— Dla tego, że tylko jedną wizytę składa choremu.

* *Śmierć.*

O Polaku
Współrodaku,
Czy w kubraku,
Czy w pakłaku,
W kapeluszu, czy w kapuzie,
Mój Francuzie!
Nadstaw buzię.
I ty tłusty
Niemcze pusty!
Rzuć pekefleisz i kapusty,
I ty rady, czy nie rady,
Rzuć menestry, czekolady
Panie Włochu!
Oto z lochu
Książeczkę wydobytą z prochu,
Z myśli pobożną,
W koncept zamożną
Powitaj,
Przeczytaj,
I sens, jeżli można schwytaj.
Dziś ona wyszła z pod prasy,
Autor zaś jej w tamte czasy,
Był w Polsce jezuita,
A Polska rzeczpospolita,
Z której teraz kwita.
Proszę, wołam,
Ile zdołam,
Zaklinam cię siaki taki,
Ktokolwiek jesteś człowieku,
Chciej poznać w dzisiejszym wieku,
Dzieło wielkiego Baki.
Tam zobaczysz jak nasz Baka,
Hippokreńskiego dosiadłszy szłapaka,
Przed sobą pędzi
Na kilka piędzi,
Śmierć z wielką kosą
Nagą i bosą;
Pędzi, mówię, na ziemię,
Straszyć ludzkie plemię.
Patrzcie! jak ten potwór nagi
Straszne wszystkim daje plagi.
Tego porwawszy za szyję,
Kościaną nogą w tył bije,
Tego gdy chwyci za żebra,
Wnet niepospolita febra,

Zębami,
Szczękami,
Póty dzwoni,
Aż uroni
Duszeczkę,
Lubeczkę,
Jedynaczkę,
Nieboraczkę;
Ach! tak, tak
Nieborak.
Na kogo spojrzy ponura,
Już w gardle tego pleura,

Swe sceny zaczyna,
Swe gorgi wycina
Ostatnie,
Aż w matnie
Człowieka
Zdaleka
Porywa
Złośliwa.
Innych znowu tuz, muz, tuz,
Już na łbie guz, guz, guz.
Potem przez nabrzmiałe szyje,
Wpadają apopleksyje,
I w głowie wątory,
Jak siano lub wiory,
Zamęcą,
Zakręcą.
Komuś dalej potwór srogi
Gdy podagrę wpędzi w nogi,
Próżno nieborak
Jak rak
Słabą nogą wil, wil,
Nie ma więcej życia chwil;
Ból w piszczelach strzyk,
Chory nogą bryk,
Tak bez siły
Do mogiły
Nie włada;
Upada.
Gdy wreszcie z swojej szczodroty,
Opatrzy kogo w suchoty,
Wnet gorączki,
Jak zajączki,
Po żyłach biegają póty,
Aż śmiertelne sprawią poty.
Już kumpie poszły na schaby,
Już wzrok dziki, oddech słaby,
Ha pokuso!
Na cię kuso,
Amazonka
Już wędzonka,
Tłusty panicz
Cienki jak bicz,
Bez sposobu
Marsz do grobu.

Lecz czy tylko przez choroby
Śmierć ma na nas swe sposoby?
Nie masz z tą jejmością ładu,
Wszystkich bije bez układu.
I w szkarłaty
Dźga zakaty;
I po suknie
Dobrze stuknie;
I po płótnie
Tęgo utnie.
Gdzie już zmierży ach! ach!
Tam nie próżny strach! strach!
Wielkie chłopy
Gdyby snopy,
O ziemię
Jak brzemię
Z najdalej
Powali!
Gdzie swojej zażyje kosy,
Lecą uszy, palce, nosy;
Gdy zaś przykłada kostura,
Trzeszczą kości, pęka skóra,
I karki,
I barki,
I zęby,
I kłęby
Pomiele w otręby,
Człowiecze,
Zawlecze,
Upiecze,
Posiecze,
I sama uciecze.
Śmierć głośna przez swoje czyny,
Obiegłszy wszystkie krainy,
Jeszcze się chciało jejmości
Dla jakiejś okoliczności,
Niespodzianie i pilno
Odwiedzić stolicę Wilno.
W powietrze nietoperza wzniesiona skrzydła-
[mi,
Jak bocian robiąc nogami,
Do miasta leci a leci.
Skrzypnęły jędzy wywiędłe sustawy,
Obficie proch z niej sypie się plugawy;
Bo śmierć mimo wielkiego kłopotu,

Nigdy nie zna uczuć potu,
Lecz im więcej dozna trudu,
Tem więcej z siebie wyrzuci brudu.
Gdy długą pielgrzymką znużona,
Do murów była zbliżona,
Kościół jej w oczy zaświeci;
Bies jej podał koncept z pierza,
Blizko świętego usiąść Kazimierza.
Zatem skromnie jak należy
Siada na kościelnej wieży.
Przez jakiś przypadek dziwny,
Nasz ksiądz, poeta przedziwny,
Odwiedzić wyszedł księgarza,
Drudzy mówią, że winiarza,
Co mu dochował przyjaźni wiary
I miodek miał bardzo stary.
Pewnie go autor kosztował,
Bo mu dzieło dedykował.
O niczem nie wiedząc, wychodzi z komnaty,
A w tem śmierć, która zasiadła na czaty,
Z wieży jak jastrząb spada na gołębia
I swe pazurki w karku pobożnym zagłębia.
Baka na tak sztraszny pozew,
Krzyknął: — Jezus, Maryja, Józef!
Jak jezuita skromnie się ułożył,
Wzniósł oczy w niebo, łapki na krzyż złożył,
Chcąc jednak uciec, raptem się zwierci,
A wtem mu książka wypadła o śmierci.
Widząc to Larwa, roztworzywszy ziewy,
Krzyknie: „co znaczy ten kawał cholewy?"
Przeląkł się autor i zamilkł na chwilę,
Rzeknie: „nic pani, to są rubrycele."
„Obaczym!" wrzaśnie i wtem zapalczywa,
Z ziemi pobożną książeczkę porywa,
Zajrzy i czyta na siebie paszkwili.
„A klechu, bodaj cię dyjabli wzięli!
Kto ci dał prawo, za pobudką marną
Tak mnie malować czarną?
Ty odrzutku Lojoli, tak wielkiego męża,
Za to, żeś mnie opisał jak węża,
Za koncept nielada jaki,
Zażyj śmiertelnej tabaki."
Próżno nasz autor egzorcyzmy gadał,
Próżno swe dzieło na innego składał,
Próżne wybiegi, trzeba było słuchać,
Śmierć się nie umie nigdy rozdobruchać.
Ukląkłszy zatem naprzeciw świątnicy,
Wzniósł oczy w niebo, zażył ciemierzycy;
Wtem gdy mu w nosie srodze zakręciło,
Kichnął, drgnął trzykroć i już go nie było.
Tak tedy mąż pobożny i poeta wielki,
Który miał w głowie i klepki i belki,
Idąc w niebieski przybytek,
Zostawił dzieło małe,
Sobie na chwałę,
A nam na pożytek.
Prawowierni chrześcijanie,
Co na powszechne żądanie
Księgę tę przebić śmieli,
Jeźli czytelników swych przez to ujęli,
Nie pragną innej nagrody,
Tylko przez bliźniego miłości powody,
Za duszę autora,
Poezyi profesora,
Jeźli wola będzie czyja,
Zmówić trzy Zdrowaś Maryja.
Ja zaś com skłopotał głowę,
Pisząc tak długą przemowę
I Bakę musiałem świecić,
By wam się lepiej zalecić.
Czy Hanc, czy Franc, czy la, czy de la, czy [Lach,
Jak długi do nóg waszych upadam, bach, bach [bach.

Rajmund Korsak.

Smok.

* *Bajka kanalizacyjna o smoku.*

Jedna rzecz dziś od drugiej -- mówią — jest zawisłą,
Posadzono więc smoka strasznego nad Wisłą,
Ssie ją ciągle, ssie wielce, ssie w każdej go [dzinie,
A Wisła jak płynęła jednakże—tak płynie.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 30.)

Śnieg.

* *W zasypanym śniegiem wagonie.*

— Pani dokąd?

— Ja... do cioci...

Bo dziś jest dzień jej imienia;
Patrz pan... słońce niebo złoci,
A pozycyja się nie zmienia...
Wciąż jesteśmy zasypani...
Co to będzie... tak mi chłodno...
— Niech się do mnie zbliży pani,
Ja pozycyję mam wygodną,
Koło pieca...
— Kiedy zimny,
Zgasła iskra po iskierce...
— Lecz rozhowor nasz intymny
Wszak rozgrzeje... przecież serce
Także ogień w sobie chowa!...
— Panie!...
— Pani?..
— Proszę skromnie...
Mnie już z głodu boli głowa...
— Radzę zbliż się pani do mnie,
Jestem lekarz...
— Czy być może?
— Słowo daję...
— Więc pan lekarz,
W jakiej dobrej jesteś porze...
— Czemuż pani więc uciekasz?..
Proszę bliżej... podać rączkę...
— Ależ panie... no... doktorze..
— Pani, widzę, masz... gorączkę...
Jedno tylko ci pomoże...
— Cóż takiego?
— Na mem łonie
Oprzej pani główkę swoją...
Cudnie liczko twoje płonie,
Rozpuść włosów płowych zwoje
I tak uśnij...
— Nie... nie mogę...
Tyle osób tutaj chodzi...
— Sprobuj pani, zwalcz swą trwogę,
Wszak sprobować nie zaszkodzi?...
— Jestem senna... nic nie słyszę...
— Proszę bliżej... zimno...
— Ale...
— Ja cię do snu ukołyszę
I nie dotknę pani wcale...
— A więc...
— O tak!.. teraz lulu...
Dobrze pani?..
— Dobrze... milo...

. . . .

Morfeuszu! sennych królu!
Milcz... i nie mów, co w śnie było!..

Sobiesciana.

— Tu jest pokój sypialny króla Sobieskiego.

— Zdaje mi się, że w przeszłym roku pokój ten był w drugim pawilonie?

— A tak, ale tam teraz podłogi myją.

Soblończycy.

(przed i za parawanem).

Przed parawanem jest wielkim pisarzem
Za parawanem zwykłym reklamiarzem.

Przed parawanem jest artystką szparką,
Za parawanem staje się lichwiarką.

Przed parawanem jest zacnym bankierem,
Za parawanem zręcznym geszefterem.

Przed parawanem jest to prawy kupiec,
Za parawanem chce szacherkę upiec.

Przed parawanem jest z sercem, z powagą,
A za parawanem społeczeństwa plagą.

Przed parawanem jest dobrym aktorem,
Za parawanem śledzienników wzorem.

Przed parawanem nędzę czule wspiera,
Za parawanem tę nędzę obdziera.

Przed parawanem ma swe przekonania,
Za parawanem zawsze zmienia zdania.

Sofizmatyka.

* *Sofizmatyka dworaka.*

Śpiech. Szczęść ci, Proteju, gdzie mój pan, czy nie wiesz?

Protej. Wraz szedł na barkę wsiąść do Medjolanu.

Śpiech. Więc wsiadł już, ręczę sto prze
[ciw jednemu.
Jam istny baran, żem wtył podał barki.

Protej. Często tak baran zabłąka się
[w tyle,
Skoro się pasterz oddali na chwilę.

Śpiech. Ztąd więc wywodzisz, że mój
[pan pasterzem,
A ja baranem.

Protej. Tak, tak, rzecz to znana.

Śpiech. Więc moje rogi są jego rogami,
Czyli śpią w nocy, czy się budzą z rana.

Protej. Głupia odpowiedź i godna barana.

Śpiech. To jeszcze silniej dowodzi, żem
[baran.

Protej. Prawda, jak również, że twój pan
[pasterzem.

Śpiech. O, nie, zaprzeczyć temu mogę pewną okolicznością.

Protej. To sęk, gdyż ja ci tego inną dowiodę.

Śpiech. Pasterz szuka barana, a nie baran pasterza; lecz ja mego pana szukam a mój pan mię nie szuka, ztąd widać, żem nie baran.

Protej. Baran dla paszy chodzi za pasterzem, pasterz dla strawy nie chodzi za baranem. Ty gwoli twych zasług chodzisz za twym panem, twój pan wedle zasług nie chodzi za tobą, ztąd więc jesteś baranem.

Śpiech. Jeszcze jeden taki dowód a zabeczę: baa!

Protej. Lecz słuchaj, czyś mój list Julii doręczył,

Śpiech. A jużci, panie; ja, zgubiony baran, list twój oddałem onej, wytrefionemu barankowi, a ona, wytrefiony baranek, mnie, zgubionemu baranowi, nic za trud nie dała.

Protej. Brak mi tu pastwiska dla tak licznej trzody baranków.

Śpiech. Jeśli brak, a grunt przeciążony, to ją lepiej wybrakuj.

Protej. Znów się zgubiłeś, raczej tobie marsz do kata.

Śpiech. Co, masz dukata? O, mniej dukata starczy mi za to, żem list nosił.

Protej. Nie rozumiesz; do kata, znaczy do oprawcy.

Śpiech. Ej, z dukata w oprawcę—to ma-
[ła poprawa—
Nie bierz listów od gacha, co tak mało dawa.

Protej. Lecz czyż po odebraniu mego pisma nie rzekła, nie skinęła nic?

Śpiech. (potakując głową). Po niem.

Protej. Nic i po niem, to razem będzie nicponiem.

Śpiech. Nie zrozumiałeś mię, panie, jam ci mówił, że skinęła. Ty się pytasz, czy po odebraniu twego pisma nie rzekła, nic skinęła nic? Po niem, odpowiadam, jużci nie przed niem.

Protej. Co społem wzięte staje się nicponiem.

Śpiech. Teraz więc, gdyś w składaniu tyle zażył trudów, weź to za twe trudy.

Protej. Nie, tobie się to należy za wręczenie listu.

Śpiech. No, widzę, że cierpliwie muszę cię znosić.

Protej. Jakto znosić mię musisz?

Śpiech. Nosząc twój list uczciwie, a za trud niczego nie otrzymując prócz nazwania nicponiem.

Protej. Dalibóg, rączy masz dowcip.

Śpiech. A jednak twej opieszałej kieski dognać nie może.

Szekspir (p. t. l. str. 94).

Sołtys.

* *O sołtysie co syn jego studyjował.*

Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie nie małym dostatkiem, ale on nakład próżno wiódł, bo pan student więcej gdzie szklankami dzwonią przeleżał, niżli w Kollegium. Gdy mu pieniążków nie stało, powędrował do ojca, aby mu zaś dał pieniędzy. Nie bardzo się ojcu chciało, że już nań był niemało nałożył. Prędko potym kładł ojciec gnóy na wóz a synaczek dziwował się we drzwiach stojąc; zawoła go ojciec: synu, ba chodź jeno. Przyszedł, pyta go jako po łaci-

nie widły, syn rzecze: widłatus, a gnóy? gnojatus, a wóz? wozatus. Rozgniewał się ojciec; dał mu widłami po łbu, mówiąc: „Trafieć ja, łotrze taką łacinę, znać iżeś się za szkołą uczył. Nu łotrze weźmiź widłatus w rękatus, nakładaj że gnojatus na wozatus, niechajże już widłatus będzie twój piórkatus, a mego nakładu nie trać.” Pospolicie mówią: Nie z każdego żaka ksiądz, bo to prawda:

Nie karmią łyżką nauk w Krakowie,
Kto tam ma dziatki, snadno się dowie.

Spacer.

* *Spacer nocny po Warszawie.*

Noc cicha, księżyc piękne roztacza promienie
Choć późno, lecz czas ciepły i śliczny na dwo- [rze.
Wyjdźmy trochę, mospanie Józefie, w te cie- [nie!
Wszak najmilej jest przejść się w tej rozko- [sznej porze.
Ten głuchy szmer, który się po mieście roz- [lega...
Te światła kolorowe, co się w oknach świecą...
Ten wietrzyk, co swobodnie po ulicy biega...
Te cienie migające... rozkosz oku niecą.
Pójdziem w prawą ulicę, może co ujrzymy:
Patrz! wszak to wojewodzic w wielkim kape- [luszu!
Incognito gdzieś dybie, wnet coś zobaczymy.
Oto wszedł do szynkowni tej, co przy ratuszu!
Co za szkoda chłopczyny! i piękny i grzeczny,
I rodzice mu dali dobre wychowanie;
Cóż po tem, gdy wlazł w związek młodzi nie- [statecznej,
Przejął ich miny, dzikie reguły i zdanie!
Owóż za nim i drugi mistrz wszelkiej rozpu- [sty!
Jest to ów, jak mówią, honet-homme dziś mo- [dny:
W nocy podły, w dzień dumny, chociaż worek [pusty;
Mina zawsze fertyczna, chociaż trzy dni gło- [dny.
Chód dziwaczny, strój śmieszny, halsztuk bro- [dę kryje,
Fraczek w tyle, pręt w ręku, a w ostrogach [nogi;
Wszakże nigdy na koniu nie jeździł jak żyje?
Kapelusz duży, by deszcz nie lał na ostrogi.
Z panów żaden go nie zna, przecież tonem [dumnym
O nikim, jak o samych tylko panach gada;
Honor zaś temu czyni, gdy gdzie krokiem szu- [mnym
Nieproszony na obiad w sam czas stołu wpa- [da!
Brutalstwo ma za modę, grzeczność za pro- [stotę,
Skacze, śpiewa, trzpiota się, bredzi, gada [wiele,
Starożytnym nazywa fanatyzmem cnotę,
Często, niby niechcący, zaśwista w kościele...
Patrzaj, teraz co jedzie za lalka w karecie,
Z lorynetką pieszczoną główkę swą wysadzi.
Znam go, to drugi rodzaj jest na wielkim [świecie,
Dawniej pan... w modę ich wprowadził.
Ten pachnący buziaczek, nastrzępiony cały
Dukata gdzieś dostawszy jedzie z wizytami;
Tydzień w domu przesiedzi, biedny, wy- [dniały.
Dziś frakiem ozdobiony, widział się z panami.
Pełen modnych grymasów, sam siebie rozpie- [ścił,
Delikatnym układem stąpa, mówi, siedzi;
Rozumie, że się w wszystkich serduszkach [umieścił,
Sam sobie w posiedzeniu śmieje się i bredzi,
Umie słów modnych kilka, pięć wierszy [z Woltera,
Zna, jak zganić polonez, kornet lub fryzurę,
Róż, pomady i puder przedziwnie wybiera,
Ma w głowie najmodniejszych modelów stru- [kturę.
A to kto do karety siada z tego domu?
Cześnikowa z starostą kędyś wyjeżdżają;
Mówiono mi, że... ale co do tego komu:
Że ścisłą z sobą przyjaźń mimo męża mają.

Nie lubię parafianów tych naszych gadania,
Co niech ujrzą kilkakroć samotną gdzie parę,
Już ci u nich niemylny znak to jest kochania.
Mąż ma swój rozum, kiedy daje żonie wiarę...

Franciszek Zabłocki.

Spadkobierca.

* Większa część spadkobierców wielkich imion przypomina swych przodków tyle, ile włoski cicerone przypomina Cycerona.

Chamfort (p. t. I, str. 35).

Specyjalista.

Było to w Szwabji, w tej miłej stronie świata, gdzie mówią „plattdeutschem" i gdzie każdy kawałek ziemi idzie na wagę złota.

Niemcy rozrodzili się w potomstwie tak, że ziemia nie mogła ich wyżywić, a liczba gęb łaknących pożywienia przewyższała znacznie liczbę kartofli i „wurstów" przyrządzanych z tłuszczu wieprzowego i grochu...

Z tej racyi wielu obywateli, wziąwszy fajeczkę w zęby, kij w rękę, a „felleisen" na plecy, wędrowało *nach Osten*, szukać takiego kraju, gdzie jest więcej ziemi, a tem samem i więcej kartofli aniżeli ludzi.

Fritz Windbeutel należał do ludzi nieposiadających ani ziemi ani kapitału, przytem pasyjami lubił kartofle i namiętnie kochał Kätchen, córkę innego niemca z tejże samej wioski.

Ale cóż z apetytu, jak niema kredytu... czyli, jak niema co jeść? Co z miłości, jak niema nawet chatki pustelnika, aby w niej pomieścić przedmiot swych myśli i marzeń!

A nawet zwyczajna chatka pustelnika nie byłaby wystarczyła dla Kätchen, gdyż młoda ta osoba obficie rozrosła się w kształty i była jako pień owego cudownego drzewa, co nie rośnie w górę... ale w szerokość białe swe słoje rozkłada...

I zapaliło się Fritzowe serce
Do owej niemki, tęgiej jako bania...
A żar uczucia, który tlał w iskierce,
Wybuchnął strasznym płomieniem kochania.
Więc raz wieczorem, gdy ją zszedł u płota,
Uczuciom swoim chętnie otwarł drzwiczki,
Objął ją w pasie, uścisnął niecnota,
I pocałował w obadwa policzki.
A tak mu słodki był ten pocałunek,
Jako pienisty Gambrynusa trunek,
Jako kartofel, kiedy go okrasi
Dobra gosposia szmalcem albo *szpekiem*,
Jako ogórek, kiedy się ukwasi,
Lub jako dynia z kluskami i mlekiem.

Piękna Kätchen nieobojętną była na Fritzowe umizgi; uszczypnęła go pod brodę i rączką swą nie drobną, ale i nie lekką uderzyła w kark szeroki, aż zajęczało jak w pustej beczce.

Te wszakże objawy sympatyi były więcej platonicznej natury, nie miały bowiem dla siebie pozytywnego i realnego gruntu.

Kochankowie przeto zmuszeni byli odśpiewać sobie w duszy smutny duet, który tem jest dla idealnej miłości, czem *miserere* dla nieboszczyków wyznania chrześcijańskiego.

Duet ten brzmiał mniej więcej w te słowa:

Kätchen urok ma anioła...
Kocha ją Windbeutel Fritz,
Ale Kätchen strasznie goła,
A Windbeutel nie ma nic...

Odśpiewawszy to z okropnem *trembolando* w głosie, Kätchen przyszła do wniosku, że czas jest najlepszym lekarzem na miłość, i poszła... prać bieliznę do poblizkiej rzeczki.

Fritz zaś z rozpaczą w duszy poszedł... szukać służby...

Ale niełatwo to było w kraju, gdzie dużo ludzi... o, niełatwo, tem bardziej, że Fritz w młodości kształcił się wyłącznie do pasania trzody.

Pastucha nie potrzebowano nigdzie; darmo jeść dawać nie chciano. Fritz był w rozpaczy i rozmyślał nad tem, w jaki sposób najłatwiej pozbawić się życia.

Jakoż pewnego wieczora, blady, z oczami błędnemi, włosem zjeżonym, szedł po drodze, patrząc w górę i rozmyślając, której mianowicie gałęzi powierzyć smutną misy ję...

Wiatr szumiał, czarne chmury płynęły po niebie. Księżyc skrył za nie swoje łagodne oblicze.

Na skraju wioski pies wył głosem przeraźliwym... puhacze huczały i sowy.

W powietrzu wisiała okropność, jak mówi „Kurjer Warszawski," gdy się do brukowego dramatu nastroi.

Fritz przerzucił jeden koniec sznura przez gałąź, drugi zaś obwiązał sobie koło szyi i... jak trumna Mahometa zawisł pomiędzy niebem i ziemią...

Traf zrządził, że w chwili, w której dusza Fritzowa mówiła ciału „do widzenia," nadjechał elegancki powozik, a w nim, na miękkich poduszkach rozparty, pan Stiefelputz, dziedzic poblizkiej fermy...

— Johann, krzyknął przestraszony obywatel na stangreta, jeżeli ta wierzba ma rodzić takie okazałe gruszki... to niech ją rejment dyjabłów weźmie! Wejdź co prędzej na drzewo i oderznij tego szubrawca.

Posłuszny Johann zdjął Fritza z fatalnej petli i delikatnie złożył na ziemi.

Potem obadwaj z panem zaczęli dmuchać Fritzowi w nos, oblewać go zimną wodą i ciągnąć za uszy, co sprawiło, że sina barwa policzków zaczęła ustępować, krew w żyłach uderzyła tętnem normalnem, a pierś, chociaż z trudnością, zaczęła oddychać.

— Chwała Bogu, żyje, zawołał Stiefelputz, a że miał przy sobie flaszkę z rozgrzewającemi kroplami życia, więc wlał mu w usta dozę potężną.

— Och! — westchnął Fritz — gdzież ja jestem?

— Pod tem samem drzewem, na którem się powiesiłeś...

Fritz patrzył oczami szeroko otwartemi.

— Cóż u dyjabła, spytał Stiefelputz, skłoniło cię do tak głupio-rozpaczliwego kroku?

— Ach panie, jestem goły, a raczej byłem goły, jak turecki święty, — roboty nie mogłem nigdzie znaleźć, jeść się chciało, a tu jeszcze, oprócz tego, piękna Kätchen jak fura siana zajechała mi w głowę.

— No, więc?

— No więc... alboż ja wiem... powiesiłem się z głodu, i z miłości na wierzbie... jak pan widziałeś...

— Kochany Fritzu, rzekł protekcyjonalnie Stiefelputz, klepiąc go po ramieniu, to się na dyjabła nie zdało. Posłuchaj mnie. I ja kiedyś, równie jak ty obecnie, byłem goły, zakochany i głodny. Z tych trzech rzeczy tworzy się wścieklizna, jak utrzymuje pewien uczony weterynarz. Ale ja nie byłem taki głupi, i ty z łaski mojej takim nie będziesz. Tylko słuchaj i rób, co ja ci każę.

— O panie mój, zbawco!

— Potrzeba do Warszawy dienstmanów w pewnym hotelu...

— Oho!

— Których zadaniem jest cywilizować tych barbarzyńców z nad Wisły, czyszcząc im buty... ja to robiłem i dziś jestem panem.

— Ależ panie, ja się z nimi nie potrafię rozmówić...

— Głupstwo... oni są tak grzeczni, że się dla ciebie wnet po niemiecku nauczą.

Fritz został specyjalistą od czyszczenia butów, wkrótce awansował na szwajcara, a przy wrodzonym sprycie synów Szwabji wybudował sobie chatkę dla pomieszczenia okazałych kształtów swej Kätchen.

Śpiew.

* *Jak śpiewają panienki.*

Od dwunastego do 14-go roku „Oj dana dana, wiosno kochana." Od 14-go do 16-go „Kwitnij fijołku kochany, w porannej rosie skąpany." Od 16-go do 18 roku „Luby! rękę daj mi swoją, wstąp śmiało pod strzechę moją." Od 18 go do 20-go „Niechby trwał do wieczności słodki czar miłości." Od 20-go do 25-go roku „Nikt niech tu czoła nie chmurzy, skoro mi serce nadzieję wróży". Od 25-go do 30-go „Pomocy ludzie, pomocy, ratunek nie

w mojej mocy!" Od 30-go do 40-go roku „Już w Bożą rękę, składam mą mękę." Od 40-go do 50-go „Ach Jezus, Maryja, jak to życie marnie mija!" Od 50-go do 60-go „Jak mi się życie znudziło, ach! gdyby po mnie już było!" Od 60-go do70-go „Zbliża się już śmierć z ukrycia, a czy skosztowałam życia?..." Od 70-go do 80-go roku „O bracie snu! śmierci upragniona, choć ty weź mnie w twe ramiona!"

Śpiewak.

Wielu sławnych śpiewaków pochodziło z nizkiego stanu i niespodziany zwykle wypadek dawał im zużytkowywać skarb ukryty w ich gardle. Tak samo stało się i tutaj: znakomity Rebel, dyrektor królewskiego muzycznego instytutu, tak sobie urządził czas, żeby chwili nietracić napróżno. A więc skoro przyszedł czesać go rano fryzyjer o ściśle oznaczonej godzinie, Rebel siedział już w pudermanie obrócony plecami do drzwi, aby oszczędzić sobie czasu na powitanie; po skończonem czesaniu fryzyjer odchodził, często nie przemówiwszy słowa, jeżeli Rebel go do tego nie upoważnił. Jednego razu fryzyjer lekko zakaszlał, chcąc zwrócić na się uwagę dyrektora; kaszel ów dziwnie harmonijnie brzmiący uderzył muzykalne ucho Rebla, który obejrzawszy się za siebie, ujrzał młodzieńczą całkiem nieznaną twarz. „Zakaszlaj pan jeszcze raz, rzekł uprzejmie, jeszcze raz! nie wstydź się pan, ja lubię niewymownie taki kaszel!" „Proszę pana, mój pryncypał jest słaby, i przysłał mnie w zastępstwie" ośmielił się wyjąkać fryzyjer. „Cieszy mnie to bardzo, to jest cieszy mnie ta choroba..." „Pan jest tak łaskaw!.." „Mój panie, co też pan porabiasz ze swoim dźwięcznym głosem." „Ja! prawie że nic, czasami przy kieliszku zaśpiewa się jaką piosenkę". „Zaśpiewa się, no proszę! zdaje mi się, że można by tym głosem zakasować wszystkich naszych basistów!" „Niech się nie lękają! moim rzemiosłem sztuka fryzyjerska!" „No tak, no tak! ale tymczasem zaśpiewaj mi pan jaką piosnkę, ale śmiało! całą piersią, tak jak przy kieliszku!" Fryzyjer niedał się długo prosić, zaśpiewał, aż szyby drżały, a dyrektor przyglądał mu się od stóp do głów. Egzamin wypadł pod każdym względem na korzyść ucznia i Rebel zrobił z nim na prędce układ, mocą którego po odpowiedniem przygotowaniu naukowem miał wystąpić oznaczoną liczbę razy. Fryzyjerem był Larivée, jeden z najsławniejszych śpiewaków, dla którego Glück pisał zawsze pierwsze role w swoich operach.

* *Śpiewak i chrypka.*

Pewnego razu Garat, który się wybrał na spacer kabryjoletem sam bez służącego, spotkawszy na ulicy Saint-Honoré jednego ze swych przyjaciół, prosi, go usilnie aby się z nim przejechał. Pan de L. tłómaczy się niemożliwością towarzyszenia mu z powodu jakichś ważnych terminowych spraw... ale Garat nalega z naciskiem, oświadczając przy tem, że ma mu do powiedzenia coś nader pilnego. Zaciekawiony pan de L. wsiada i ujechawszy kawał drogi, pyta o ten sekret. „A to widzisz, strasznie jestem schrypnięty, a ponieważ miałem przejeżdżać bardzo ruchliwą część miasta, wziąłem cię dla tego żebyś za mnie krzyczał — na bok."

(*Alissan de Chazet, Mem:*)

Spiritus.

* „*Spiritus flat ubi vult.*"

O! jako *vir peritus*
Co kocham sztuki kult,
Wiem o tem, że *spiritus*
Flat ibi, ubi vult.
O wierzaj mi, mój synku,
(Nie chcę cię fałszem truć)
Że niekoniecznie w szynku
Spirytus można czuć.
Patrz, Bartek na wygonie
Rozdziera pieśnią krtań
I w nim spiritus płonie,

On sztuce niesie dań.
I ten co komin wytarł,
Artysta czarnych barw,
Ma dziwną chęć do gitar,
Mandolin i do arf.
A malarz, który ściany
Powleka wapnem wciąż,
Jest w sztuce rozkochany
Jako od pędzla mąż.
I ten, co na kirkucie
Ozdabia kupca grób,
Ma ducha w wieszczem dłucie,
Gdy tnie kamienny słup.
O! jako *vir peritus*,
Co kocham sztuki kult,
Powiadam, że *spiritus*
Flat ibi, ubi vult!

Spis.

* *Spis ludności.*

Przy spisywaniu ludności po wsiach polskich przez oficyjalistów niemców, nie umiejących po polsku, było takie zdarzenie: Oficyjalista taki zapytał się włościanina: — Maczek syn jest? — Jest. — Jaszek jest? — Maryna córka jest? — Niema, poszła za mąż. Tu oficyjalista kazał zapisać swojemu podręcznemu: „Schreib auf, ausgewandert nach Zamoszcz.” Gdy tym sposobem kilka dziewek polskich wyszłych za mąż podyktowano, a oficyjaliście zdawało się, że wywędrowały do Zamościa, zawołał zdziwiony: Was Teufel machen sie dort in Zamoszcz!”

* *Dopełnienie spisu jednodniowego.*

Nareszcie Warszawa zrobiła poraz pierwszy porządny obrachunek swojej rodziny, nieruchomości, oraz mienia, zarówno umysłowego jak i materyjalnego.

Zapomniano jednak o ważnej rzeczy, bo o czasopismach. W czasie spisu jednodniowego trudno było zaregiestrować tygodniki; należało jednak objąć szematami, pisma choćby w tym dniu wychodzące. Ze względu na to, że spis dokonywa się po raz pierwszy szematy mogą być jak najogólniejsze i zawierać winny następujące rubryki:

1) Charakterystyka głównego lokatora?
2) Zajęcie?
3) Stan?
4) Wyznanie?
5) Na co służy suteryna?

Odpowiedzi powinny być bardzo dokładne, choć możliwie krótkie.

Pragnąc wypełnić tę widoczną lukę, wyprawiliśmy na własny koszt kilku delegowanych, którzy zaprojektowane przez nas szematy wypełnili w sposób następujący:

„KURYJER PORANNY.”

1) Charakterystyka niemożliwa, bo podczas pierwszej bytności delegowanego, główny lokator był przy jakimś pożarze, drugą razą indagował jakiegoś kryminalistę, w sam zaś dzień spisu gdzieś się zapodział.

2) Zajęcie — budzi niemałe szczególniej, gdy odbywa się w sądzie jaka skandaliczna sprawa.

3) Od paru lat wdowiec.

4) Wyznaje zasadę: nowinki to grunt!

5) W suterynach, co kto chce.

„KURYJER WARSZAWSKI.”

1) Główny lokator — mało siedzi w mieszkaniu, gdyż mniema, że do większych rzeczy stworzony.

2) Stan pełny.

3) Zajęcie — besztanie Gambetty, nadzór ulicznych samowarów i załatwianie korespondencyi prywatnej.

4) Wyznanie: Warszawa to ja.

5) W suterynie urządzony salon, w którym przyjmowani swojscy goście, ale najczęściej *prusowie.*

„KURYJER CODZIENNY.”

1) Dwaj lokatorowie główni: breczkosieje.

2) Zajęciem ich, prostowanie drogi wielkich polityków i pozowanie na powagę.

3) Stan — wojenno-republikański.

4) Wyznanie niema nic wspólnego z talmudem.

5) W suterynie ciasno, bo okazały *byk* zajął ją całkowicie.

„NOWINY."

1) Z powodu niedawnej rumacyi główny lokator nie przyniósł jeszcze meldunku.

2) Zajęciem jego obecnie poskramianie łobuzów warszawskich.

3) Stan — niedawno w separacyi.

4) Wyznanie: postępowe.

5) Suteryna świeżo odnowiona po usunięciu angielskich rupieci.

„WIEK."

1) Główny lokator lubi damy szczególniej treflowe, a stale kocha się w „Podkomorzynie."

2) Zajęciem jego strzeżenie kraju od wszelkiej okropności i popieranie sceny krajowej.

3) Stan — cywilny.

4) Wyznanie — katolicko-jeleńskie.

5) W suterynie obfitość belletrystyki.

„ECHO."

1) Lokator główny — wieszcz.

2) Zajęciem głównem: modlitwa, dobre trawienie i miłość wszystkich ludzi.

3) Stan — wyłącznie kawalerski.

4) Ponieważ niema nic przeciw żadnemu wyznaniu, jest wszech-wyznaniowy.

5) W suterynie—lamus.

„SŁOWO."

1) Lokator główny trochę wygląda na yankesa, ale w gruncie rzeczy poczciwy nasz pan brat.

2) Zajęcie jeszcze nie określone.

3) Stan małżeński.

4) Wyznanie nijakie.

5) W suterynie skład wody amerykańskiej.

„GAZETA POLSKA."

1) Główny lokator ma lwią postać.

2) Zajęcie finansowe.

3) Stan bardzo dobry, dzięki otwartemu kredytowi.

4) Wyznanie — cześć kapitałowi.

5) W suterynie restauracyja, w której głodnemu każą czekać zbyt długo na koniec obiadu.

„GAZETA WARSZAWSKA."

1) Lokator główny stary ale jary, wspomina *królewskie* swoje czasy.

2) Zajęcie — fabryka polityki *en gros*.

3) Stan oddawna jednakowy.

4) Wyznanie dwojakie: w domu konserwatywne, zagranicą liberalne.

5) W suterynie — stęchlizna.

„GAZETA HANDLOWA."

1) Główny lokator jest marynarzem, płynącym na okręcie, który nie zdołałby odbyć wyprawy do Afryki. Załogę składają majtkowie różnych narodowości.

2) Zajęcie — robienie interesów.

3) Stan kupiecki.

4) Wyznaje zasadę: aby handel szedł!

5) Suteryna podobna do kajuty, w której mieszkają niewykwalifikowani jeszcze marynarze.

„MUCHA."

1) Główny lokator ten sam, co w szemacie pierwszym. Znowu go nie zastano i delegat napisał w tej rubryce: „A bodaj z tymi pożarami."

2) Zajęcie — konkurencyja z kolegami od święta.

3) Stan, jak twierdzą znajomi, wcale nie wiotki.

4) Wyznaje zasadę: humor to grunt!

5) Suteryny niema. Ściany upstrzone malowidłami.

Spłoszony.

Pod płotem wązkie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na [ogórki

Pięknie wyrosły; liściem wielkim rozłoży-
[stym,
Okryły grzędy, jakby kobiercem fałdzistym.
Pośrodku szła dziewczyna, w bieliznę ubrana.
W majowej zieloności tonąc po kolana,
Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie
[stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się ką-
[pać.
Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
I kilka puklów światłych, rozwitych warko-
[czy;
Na ręku miała koszyk, w dół spuściła oczy,
Prawą rękę podniosła, niby do chwytania,
Jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania,
Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia zachwycony tak cudnym wi-
[dokiem,
Stał cicho. Słysząc tętent towarzyszów
[w dali,
Ręką dał znak, ażeby wstrzymać konie;
[stali.
On patrzył z wyciągniętą szyją, jak dzio-
[baty
Żuraw, zdala od stada gdy odprawia cza-
[ty,
Stojąc na jednej nodze, z czujnemi oczy-
[ma,
I by nie zasnąć, kamień w drugiej nodze
[trzyma...

Zbudził Hrabiego szelest na plecach, i skroni
Był to Bernardyn kwestarz, Robak, a miał
[w dłoni
Podniesione do góry węzłowate sznurki:
„Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz
[ogórki!
Wara Panie od szkody; na tutejszej grzędzie
Nie dla Waszeci owoc; nic z tego nie będzie"...
Potem palcem pogroził, kaptura poprawił,
I odszedł. Hrabia jeszcze chwilę w miejscu
[bawił,
Śmiejąc się i klnąc razem tej nagłej przeszko-
[dzie,
Okiem powrócił w ogród: ale już w ogrodzie
Nie było jej.

A. Mickiewicz. „Pan Tadeusz" (p. t. I, str. 19).

Spokój.

* *Dla świętego spokoju.*

Pan Alfred i pani Joanna wzięli ślub przed trzema miesiącami.

Kochali się jak dwie synogarliczki. Nie było dla nich ani brzydkich dni, ani złych obiadów, nie istniały dla nich katary, nie uczuwali braku kanalizacyi, nie obchodziły ich nic pękające rury, nie irytowało ich błoto warszawskie, jednem słowem—byli to ludzie zupełnie szczęśliwi nad wszelki wyraz.

Było jednakże coś, co psuło nieraz złoty humor pana Alfreda i sprowadzało chmurę na jego czoło.

Tem *coś* było spadanie rubla na kursie a szczególniej zmniejszanie się ilości rubli w jego portmonetce.

— Jednakże to dziwne — myślał sobie pan Alfred — myśmy już strasznie dużo wydali, aczkolwiek wcale nie zbytkujemy... trzeba wspomnieć delikatnie o tem Joasi, żeby mniej szafowała pieniędzmi i oszczędzała, ile się da... Dla świętego spokoju to koniecznie potrzebne... Gorzej będzie, jak potem osiądziemy na mieliźnie... Tak, trzeba koniecznie zwrócić jej uwagę... Dla świętego spokoju!

Pan Alfred wybrał stosowną chwilę, kiedy piękna jego małżonka spoczywała wieczorem na wspaniałej otomanie.

Postawił mały stołeczek u nóg żony i, delikatnie całując koniec jej złoconego pantofelka, zaczął:

— Wiesz, aniołeczku, co ci powiem?

— Wiem.

— No co?

— Powiesz: ach, jaką ty masz drobniutką nóżkę, Joasiu! nieprawdaż, że nie co innego?

— N...ie... Bezwątpienia, że masz prześliczną nóżkę i cała ty jesteś... jesteś cukiereczek, aniołek, mój aniołek... Ale nie o tem chciałem mówić... Ja... widzisz, tak jedynie dla świętego spokoju... chciałbym... tak... zrobić ci maleńkie zwierzenie się...

— No, proszę, mów, mój jedyny... cóż za tajemnica?...

— Ależ nie tajemnica wcale... Tylko, widzisz dla świętego spokoju w naszem pożyciu, chciałbym, abyś o wszystkiem wiedziała, żeby nic ci nie było obcem...

— Ależ mów, zaciekawiasz mnie...

— Widzisz, my, duszo moja, za dużo tracimy...

— Czego? czasu?

— Nie, nie czasu, ale tracimy... pieniądze...

Pan Alfred ledwo wymówił ten wyraz i odetchnął...

— Pieniądze? jakie pieniądze? zapytała zdziwiona pani Joanna.

— Oh, nie przestraszaj znów się tak bardzo... W ogóle... pieniądze. Rozumie się, są rozchody konieczne, ale widzisz, my dużo tracimy... zbytecznie, niepotrzebnie...

— Ależ to ty, Fredziu, tracisz — ja nie...

— Ależ nie, kochanie, to ty, aniołeczku... Ale przebacz mi, skarbie, ja to tylko mówię tak... dla świętego spokoju... Rozumiesz mnie: jedynie dla naszego wspólnego spokoju robię tę uwagę...

— Ależ ja nie rozumiem, dla czego mnie robisz tę wymówkę — ja przecie liczę się z każdym groszem...

— A! złapałem moją boginię!... Joasiu! Ty mówisz: liczę się z każdym groszem... Nakupiłaś do swojej sypialni tyle zbytecznych cacek... Twój pokój, to przecie istne muzeum zabawek i skład porcelany... A kosmetyki, mój aniele? Na co ci kosmetyki?

— Jakie kosmetyki — nieprawda. Tylko puder, róż, blansz i kredki czarne... A zresztą cóż? Woda kolońska, jockey-klub opoponax, paczula, przecież to potrzebne nieodzownie...

— Ależ, ty aniołku, samego pudru masz zdaje mi się... sześć gatunków...

— A nieprawda, bo tylko pięć... A tymczasem ty kupiłeś sobie konia... aha! a po co ci koń?

— Ależ najdroższy mój skarbie, kupiłem konia za bezcen, wypadkowo, mogę go w każdej chwili sprzedać z zarobkiem... Przecież koń, to pieniądz — zresztą zarabia, wozi węgle... A twój rachunek z magazynu wczoraj zapłaciłem około czterystu rubli, przez jeden tylko miesiąc za tyle wzięłaś — to inna rzecz...

— A.. tak! Zaczynasz pan być innym w moich oczach...

— Ależ mój aniele, mój skarbie najdroższy, ja tylko dla świętego spokoju to mówię... Zaraz się gniewać, fe! Przecież spokój między małżeństwem to najważniejsza rękojmia dobrego pożycia... Ja tylko proszę cię nie rzucać pieniędzy — ale rzeczy potrzebnych kup, ile chcesz...

— To pan rzucasz pieniądze nie ja! Ubierasz się pan jak donżuan uliczny... Po co pan nosisz pierścionek z brylantem? Czy pierścionek to rzecz konieczna? A wiele pan ma tych pierścionków?

— Duszo moja! Pierścionek i brylant to przecie są pieniądze nie stracone...

— A wiele pana kosztują pańskie „Vichy"?

— „Vichy" lekarstwo przecie. Doktorzy kazali mi pić na żołądek...

— Tak? A maderę po 5 rubli butelkę?

— No, masz tobie... i maderę piję nie dla fantazyi tylko dla uleczenia kataru... Czyż ja ci żałuję czego? Wszakże i mama twoja codzień bywa na obiedzie i przecie zabiera jeszcze przez służącą kosz z jadłem dla ojca do domu...

— Aha!... więc pan tak mnie wylicza! To nizkie z pańskiej strony! To oburzające! Zabronić wstępu mamie! Nie dać mamie kawałka chleba — to mi mąż! Pan niedługo

i mnie zabronisz jeść obiadu dla... oszczędności...

— Ależ nie ma mowy o oszczędności — tylko dla świętego spokoju — zrozum Joasiu, dla...

— Nie jestem pańską Joasią!

— Ależ, mówię tylko przecież o utracie pieniędzy...

— Sam pan jesteś utracyjuszem! Chodzisz pan po restauracyjach i pijesz...

— Ja?? Ja chodzę po restauracyjach, Joasiu?

— Tak, pan! Pan jesteś egoista i... pijak Wczoraj od pana wódkę czułam...

— Ja pijak?? Ja?!! I ty możesz, aniele, mówić takie...

— Nie krzycz mi pan nad uchem!..

— Joanno! To niesumiennie, to...

— Ach!.. Pan chcesz, zdaje się, uderzyć mnie?! Precz odemnie! Jutro się rozejdziemy! Precz! Jesteś pan nikczemny.

— Joanno! zastanów się!

— Ajaj! ajaj!.. On mnie chce zabić!

— Ależ, Joasiu!

— Masz! krzyknęła piękna małżonka, rzucając w męża wazon porcelanowy, który padł na podłogę i rozbił się w drobny mak, sama zaś... uciekła.

Pan Alfred padł na fotel.

— A!!! tom sobie narobił dla... świętego spokoju!

Długo tak odpoczywał, zasłoniwszy oczy dłońmi i myślał i tonął w marzeniu o kawalerskiej przeszłości.

Upłynęła godzina czasu. Alfred jeszcze się nie ruszył z miejsca.

Wtem ktoś go klepnął silnie po ramieniu. Gdyby grom trafił w jego głowę, nie zrobiło by to na nim takiego wrażenia, jak widok stojącej nad nim... teściowej!

— Dobry wieczór panu! syknęła, zaciskając wargi.

— Dobry wieczór mateczce!

— Psyt!.. nie plam pan niegodnemi usty tej świętej nazwy! Cóżeś to pan chciał mi córkę zamordować?

— Ja?

— Tak, pan! przybiegła nieszczęśliwa z obłąkanym wzrokiem do mnie, ze skargą... O nędzny!

— Mateczko... pani! Ależ to ona rzuciła we mnie wazonem...

— Boś pan ją chciał zadusić—broniła się...

— Ależ tylko dla świętego spokoju...

— Podły!..

— Pani! nie zapominaj się...

— Co, i mnie siwowłosej grozisz? Masz! ryknęła teściowa, rzucając drugi chiński wazon o podłogę, masz! krzyknęła, rzucając zegarem srebrnym w szybę serwantki z sewrską porcelaną, masz! dodała, posyłając figurę Apolla z bronzu w wielkie lustro! masz! masz! masz! masz! krzyczała, tłukąc na wszystkie strony, co było do stłuczenia...

— Aaa!! to nie do wytrzymania! — zawołał Alfred i ze złości cisnął całą siłą o ziemię Wenerę z Milo, która mu stała pod ręką...

— A co!? To on żonie żałuje na głupią buteleczkę perfum, a sam tłucze statuetki po 50 rubli!.. To mi mąż! Patrzcie państwo, co on tu natłukł! — wołała, choć nikogo nie było w pokoju...

— Ja? ja natłukłem...

— Co? zabraniasz mi pan już mówić, co mi się podoba!?

— Ależ pani myślisz, że jesteś...

— On mi myśleć zabrania?! Jestem, panie, w domu mojej córki i robię, co mi się podoba...

— A to... buzia!

— Buzia! Panie! tą buzią marszałek Pępkowski zachwycał się, panie, tę buzię Makart chciał gwałtem odmalować! panie, ta buzia słynną była w swoim czasie.

— Ba! i dziś jeszcze może być słynną, żeby tak kto słyszał...

— Moja córka szlachcianka, a pan dorobkiewicz... Nie wiadomo jeszcze, z jakiego źródła pochodzi pański majątek...

— Pani! dosyć tego, bo... Rozwodzę się z pani córką... Rozwód!

— U! u! u!.. uuu! morduje! zabija! dusi...

Teściowa zemdlała i, fikając nogami, padła na fotel.

— A to wiedźma! — zauważył półgłosem Alfred.

— Wiedźma?!—krzyknęła raptownie, zrywając się z miejsca,—teściowa wiedźma! nie ja tu nie mogę zemdleć — pójdę do tamtego pokoju...

Wybiegła. A więc powtarzał sobie: rozwód, rozwód bezwarunkowo!

Alfred pozostał znów sam, otoczony potłuczonemi skorupami. Znękany oparł się o poręcz kanapy i zasnął.

W parę godzin przebudził się przez dotknięcie pocałunku!

— Czyś słaby, Alfredzie? — szeptał cichy głos kobiecy.

Alfred zerwał się zdumiony, myśląc, że to jeszcze sen. Ale nie, to ona, to jego żona... Postanowił jednak zakończyć sprawę...

— Rozwód! Jutro koniecznie! rozwód natychmiast! Rozwód!

— Pytam, czyś słaby, mój Alfredzie?—zapytała jeszcze łagodniej.

— Rozwód!.. — rzekł już nieco miękcej Alfred, jakby bezmyślnie.

Ona objęła jego szyję i na ustach wycisnęła długi, gorący pocałunek...

— Kochasz?..

— Ja... roz... bo...—mięszał się małżonek.

— Kochasz mnie?

— No, no... koch... kocham, naturalnie..

— Jutro mieliśmy iść na bal do Pędrakowskich, pamiętasz...

— Aha, prawda! Pamiętam, aniołku...

— Obstalowałam sobie niebieską, jedwabną suknię u modniarki; droga, bo droga, ale zachwycisz się mną! Cudownie będę wyglądać, zobaczysz, że będę królową balu... Zapłacisz?

— Ach, ty... ty szczebiotko moja mała... Zapłacę, zapłacę, bagatelka... Ale... ale myśmy zdaje się... kłócili?

— My? kiedy?.. A tak... małe nieporozumienie, ale cóż tam, ja ustępuję, bom ja wszystko gotowa zrobić... dla świętego spokoju...

— A tak, tak... dla świętego spokoju... Ale mama stłukła za paręset rubli porcelany...

— Mama?.. przecież to ty!

— Ja? Żonusiu, to mama...

— Ależ, mój drogi, mama mówiła że ty, a moja matka nigdy nie kłamie!..

— Tak? rzekł Alfred... Niech będzie... *ja*, tak, to *ja* stłukłem!.. przyznawał się... dla świętego spokoju.

Społeczeństwo.

Gdym spędzał karnawał w Londynie, zdarzało mi się często, żem o pierwszej w nocy wsiadał do kaba. Furman ukryty siedzi w tyle, a koń ogromny pędzi naprzód mechanicznie i równo, jakby parą poruszany. Dawałem wtedy rozkaz furmanowi, by nie zatrzymywał konia, ani mówił cokolwiek. Wracałem w ten sposób przez most Wielki Strand. Niema z pewnością na świecie wznioślejszego i okropniejszego widoku. Życie zagasło, zdaje się, że przejeżdżasz przez olbrzymi cmentarz. Gdzieniegdzie na zakręcie stoi policyjant prosty i niemy, jak stróż śmierci; gdzieniegdzie jakaś postać nędzna kobieca się przesunie lub mężka w czarny wytarty frak odziana. Księżyc zamglony oświeca ten pejzaż a powietrze dusi niezdrowemi wyziewami. Nie jest to sen południowego miasta, spoczywającego na łonie spokojnej natury, ale raczej chwilowe natchnienie chorego, wijącego się w boleściach na łożu śmierci pomiędzy jednym paroksyzmem a drugim. Ulice ciągną się monotonnie bez końca, wśród rzędów olbrzymich gmachów; za niemi znów idą i drugie i dziesiąte i setne, potem place, skwery, zaułki kręte, nieznane, milczące pod światłem bladawem, odbijające ganki, kolumny, rzeźby, trotoary i dachy od tego światła. Im więcej się posuwasz w tę otchłań bez końca, tem większą ci się wydaje. A wszystko to puste.

W dzień, gdy milijony ludzi roją się potem mieście, nie przypuściłbyś nawet, że ono takie ogromne. Przebywasz mosty olbrzymie i strach cię ogarnia; rzeka błyszcząca i błotna klapie z hałasem o statki i łodzie nagromadzone na jej grzbiecie. Gazowe latarnie błyszczą w około rzędami, jak ponawlekane perły w naszyjniku i giną w przestrzeni. Po obu stronach w górze, na dole, rozróżniasz w tych ciemnościach czarne fabryki i niezmierne składy. Tyle kamieni i cegieł nagromadzonych na sobie, jutro nowe pokłady zgromadzą się na nich a następnego dnia jutrzejsze pokryte będą. Nad ranem ze wszystkich nor powychodzą tysiącami tysięcy robotnicy, jak stada mrowiska i walka rozpocznie się na nowo, walka ostra i zacięta, nie kończąca się nigdy. Walka ta staczać się będzie pomiędzy jednostkami, każda z jednostek podług reguł i prawideł porozdzielana przedziałkami z drzewa i cegły pracuje, pracuje bez odpoczynku — wiecznie. Za wiele ludzi na świecie, za wiele ścisku i usiłowań utrzymania się przy życiu. To samo wrażenie ogarnia mnie czasami w Paryżu, podczas nocy jednak mniejsze. Taki jest widok nowożytnego świata. Z powiększaniem się ciągle budowli ludzkich, grunta wolne niegdyś, uledz musiały zajęciu. Przez olbrzymią konkurencyję wszystkie miejsca zostały zapełnione; nagle prawie każdy został zamknięty ciasno i ani ruszyć się nie może. Niedawno temu jeszcze człowiek dobrej woli mógł zajść daleko i wybierać tylko drogę.

Mój ojciec w roku 1800 nauczywszy się trochę matematyki, stał się znakomitym inżynierem i byłby doszedł do wielkiego stanowiska, gdyby nie wolał spacerować i tańczyć. Trzydzieści lat potem wszystkie miejsca były zajęte, musiałem uchodzić do Ameryki, dziś, gdyby mój siostrzeniec, Anatol Dover czy d'Over, nie miał mnie za plecami, zostałby całe życie prostym pomocnikiem. Świat podobnym jest dzisiaj do tego tłumu, który się skupia na rynku w dzień puszczania fajerwerków. Pojedyńczy człowiek zgnieciony i zgubiony w tym tłumie, siła jego zbyt mała. Łokcie mu nawet nie na wiele służą, musi iść za drugimi w kolei, gęsiego pod okiem policyi. Ta ogromna masa poruszająca się, posuwa go i porywa z sobą; z jednej strony trzyma go w porządku, z drugiej go przydusza. Broni się z początku, potem ustępuje z rezygnacyją; odtąd będzie znosił życie, nie przyczyniając się doń jednak.

I.

Dziś już nie kradną na publicznych drogach, rozbijając podróżnych. Znaleźli, że ten sposób rozstrzygania, do kogo mają należeć pieniądze, zanadto był prosty. W zamian wynaleźli dwa następujące. Pierwszy sposób legalny: konkurencyja. Mój przyjaciel Emil S., niepospolity człowiek, ale niebogaty, ma syna, który osłem nie jest. Syn ten, po dziesięciu latach nauki skończywszy szkoły, przedstawia się do egzaminów na pomocnika w ministeryjum finansów. Dwustu kandydatów zapisanych, a miejsc wszystkiego trzynaście. Tych trzynastu szczęśliwych będzie pobierało przez dwa lata po 150 franków gratyfikacyi, za co będą przepisywać ośm godzin dziennie. Po dwóch latach, jeżeli są rozsądni, dochodzą do tego, że im wolno kłaść na biletach wizytowych tytuł urzędnika, a do kieszeni sto franków miesięczuie. W tym roku spotkałem dawnego kolegę, doktora N., akademika, autora kilku podręczników, chirurga przy kilku szpitalach, asystenta dawnego, etc. etc. Biedny człowiek, od trzydziestu lat stara się o posadę profesora przy klinice. Od dziesięciu lat rachował swe wizyty do wszystkich członków jury i ich pomocników; złożył ich razem trzy tysiące siedmset dwadzieścia pięć. Prócz tego komponuje, uczy się, powtarza na pamięć mnóstwo małych kajecików pełnych notek, znaczków, odsyłaczy; ponieważ próba zasadza się na wykładowej lekcyi, na którą się ma zaledwie kilka godzin do przygotowania, trzeba mieć zawsze w głowie

jak najwięcej nagromadzonych faktów i formułek z każdej gałązeczki ogromnego drzewa nauk medycznych i przyrodniczych. Po większej części kandydaci dzielą przedmiot wykładu na drobne cząsteczki, zwijają je jak najciaśniej w pewnego rodzaju pigułki i połykają. Tworzy to w ich umyśle rodzaj ciężkiego i niestrawnego pokarmu, który im cięży, niepokoi i pragnie się wszystkiemi możliwemi otworami pamięciowemi ulotnić. W ten sposób przyjaciel mój otrzymał wszystkie stopnie; obecnie pragnie posiąść ten ostatni i otrzyma go niezawodnie, jeżeli go apopleksyja nie powali, jak konia w młynie pracującego. Pomijam tysiące podobnych faktów. Konkurencyja działa wszędzie przy wejściu do każdej karyjery, w wojsku, w marynarce w nauce, w leśnictwie, w profesorce, w ministeryjum, w licznych urzędach przemysłu prywatnego i rządowego. Jest to rodzaj kołowrotu niepojedyńczego, ale podwójnego, potrójnego nawet, powtarzanego do nieskończoności przez noty i listę promocyi we wszystkich zakładach rządowych, w administracyi, w wojsku także. Rachujmy na to, że przy każdym stopniu nowe przeszkody się napotyka. Oficer, chcąc zostać majorem, artysta, chcący dostać się do szkoły sztuk pięknych, do Rzymu, do Salonu na wystawę, pragnąc otrzymać medal lub krzyż honorowy, musi przechodzić te wszystkie trybulacyje. Przy innych wystawach konkurencyja do tego samego dochodzi stopnia. Margrabia M. chce więc nagrodę za krowy. Kuzynka jego, księżna S., ubiega się o medal za indyki. Taki to już zwyczaj teraz. Życie ludzkie wchodzi weń całe jak pęk bawełny, który przechodząc przez warsztat, staje się machinalnie najprzód nićmi, następnie motkiem, potem płótnem, serwetą, lub chustką gotową do otarcia pyłu lub nosa pierwszego lepszego. Wszystkie te obroty są nawet przewidziane. Każdy oficer wie napewno, czy zostanie w pięćdziesiątym roku generałem lub pułkownikiem. Nie ganię tej procedury, owszem, potrzebną jest nawet; w każdem zgromadzeniu chodzi o wybór w masie właścicieli największych losów, a wybór się zmienia podług kraju i obyczajów. O ile są różne, o tyle wyrabiają różne zdolności. U Liliputów podobno trzeba było skakać na linie, by dojść do władzy, największą zaletą — musiały być grube łydki. W Chinach, gdzie trzeba koniecznie znac łacińskie wiersze, jest więc klasyczna pedanteryja. We Francyi znów najwyższą doskonałością jest przygnębienie umysłowe i łatwość machania językiem. Patrz na tę pracę machinalną i olbrzymią kandydatów, wzdychających do wyższych szkół, a po wyjściu z tychże szkół na nieudolność ich umysłową, zmęczenie ogromne, błąkanie się z domu do kawiarni i z kawiarni do domu, a w końcu niedołęztwo w biurokracyi prowincyjonalnej. — Porównaj studenta szkoły politechnicznej, przykutego czternaście godzin dnia do formułek i inżyniera, chodzącego codziennie z żoną pod rękę na drogi, by się przyglądać, ziewając, tłuczeniu kamieni szosowych, jest to bowiem całe jego zajęcie. Przy tym natłoku do objęcia posad i uregulowania etatów, dochodzimy do tego, że męczymy nadmiernie wierzchowce nasze i zamieniamy je wkrótce w szkapy dorożkarskie. Wejdź tu przyjacielu, jeżeliś cierpliwy i chcesz ciągnąć dorożkę. Jeżeliś zaś nerwowy i pragniesz zachować twą rączość, ruszaj gdzieindziej.

II.

Pozostaje nam drugi sposób do zdobycia pieniędzy a i ten nielegalnym nie jest, można go jednak nazwać ekstra-legalnym. Jest nim reklama czyli sztuka ściągania na siebie uwagi. Czyż jest co trudniejszego? Za Ludwika XV jakiś poeta Gingnené, jak mi się zdaje, stał się sławnym przez napisanie wiersza „Spowiedź Zulmy”. Wprawdzie wtenczas było sto salonów, najwyżej dzisiaj znamy ich trzy tysiące. Nie przemawia się więc do małej garstki wybranych, ale do całego narodu. Jakże zrobić, by sto tysięcy osób zapamiętało

moje nazwisko? Tembardziej, że ich pamięć jest już i tak przeładowana; tyle nazwisk spamiętać muszą; rok rocznie trzy do czterech tysięcy malarzy, w *Salonie*, przez sześć miesięcy; setki muzyków, brzęczących co wieczór jak ćmy przy świetle gazu; codziennie na ostatniej stronie dwudziestu przeglądów i pięćdziesięciu dzienników tysiące nazwisk podpisanych autorów; każdy z nich pracuje siłą artykułów, koncertów i obrazów na zdobycie sobie kącika w przepełnionej twej pamięci, w końcu musi nastąpić wylew i więcej już nic nie może zatrzymać w sobie. Adwokat, doktór, architekt, kupiec, byli znani dawniej w swoim pułku, lub w swym narodzie nawet; mieli opinję przynajmniej złą czy dobrą. Dzisiaj nie mają jej wcale w Paryżu, nikt cię nie zna; jesteś w hotelu, numer ten i ten, to znaczy kapelusz i palto, które wychodzi rano i powraca wieczór. Tych paltotów i kapeluszy jest 20,000. Jakąż markę lub kokardę przypiąć dla rozpoznania? Jakiż kolor dosyć żywy i znak widoczny wymyślić, by się odróżnić od dwudziestu tysięcy innych? A trzeba koniecznie ściągnąć na siebie uwagę. Gdybyś się nazywał Florydor Sinobrody lub Eufemijusz Czterysu, mógłbyś być pewnym, że twego nazwiska nie zapomną; gdybyś był murzynem lub mulatem, powinszowałbym ci szczerze. Cóżtoby za wziętość miał doktór czarny! W braku tego wydaj pamiętnik o chorobach winnic w Burgundyi, miej odczyt o nich, wydaj go kosztem towarzystwa, dołącz rozprawę o hygienie dziecinnej, stosując umiejętnie słowa do matek, poślij to wszystko pod opaską każdemu żonatemu człowiekowi. Jest to abecadło każdego rzemiosła. Tysiące tysięcy rąk, zatopionych w obojętności publicznej, wyciąga się rozpaczliwie i chwyta najlżejszą nić ratunkową, która ich może wydobyć z tej toni. Nie jest to próżność, ale potrzeba. Reklama, jak czas, jest pieniądzem dzisiaj. Przypuszczam, sprzedajesz obraz zwykły za 1,500 franków; postaraj się o wzmianki w trzech znanych dziennikach znanemi nazwiskami podpisane, urządź się na wystawie w taki sposób, by twój obraz miał lepsze miejsce, a sprzedasz następny niezawodnie za 4,000 franków chociaż będzie gorszym od pierwszego. Każdy przedmiot w przemyśle, dach cynkowy, czy klyzopompa, zyskuje nabywców na każdy wiersz ogłoszenia. Proporcyja ta jest już znana dobrze. Pomimo woli, widząc codziennie, wszędzie, co chwila, wielkiemi literami ogłoszone lekarstwo lub towar, lub nazwisko, na ścianach, w gazetach, w wagonach, kawiarniach, w domu i na ulicy zmuszonym się jest zatrzymać go w pamięci bezwiednie. Nie chciałeś go czytać, a jednakżeś go czytał. Nie chciałeś zapamiętać, a umiesz go na pamięć. Wyśmiewałeś się z niego przed wszystkimi i powiększyłeś jego popularność. Niechaj się zdarzy przypadkiem, że zapotrzebujesz tego przedmiotu lub osoby; nie masz kogo pytać o radę, myślisz sobie, ponieważ ten jest znany ogólnie, musi być nie zły, idziesz pod adres wskazany i połykasz pigułkę. Zeszłego roku spotkałem na prowincyi ludzi, którzy dawali dzieciom lekarstwa doktora Leroy z 1820 roku. Nazwiska wbijają się w pamięć i niepodobna ich wydobyć tak samo, jak je wbić od razu trudno. Zdaje mi się, że mój przykład posłuży najlepiej moim współziomkom. Niektórzy właściciele wielkich magazynów mają wprawdzie wielki talent w umieszczaniu swych ogłoszeń na ostatniej stronicy dziennika, może być jednak, iż uznają sami, że amerykanie lepiej się brać umieją do tego, a chociaż to mojej skromności ubliży, wyjawię jednak sposoby, w jakie towarzystwo handlowe oliwą i soloną wieprzowiną pana Fryderyka Tomasza Graindorge et Compagnie, w Nowym Yorku, Brond Street. 121 i w Cincinati National Square 397, doszło do rozgłosu i wziętości prawie wszechświatowej. Dałem miejsce w moim zakładzie niejakiemu Barnumowi, amerykaninowi, który podjął się przeprowadzenia interesu i przeprowadził go rzeczywiście, posiłkując się bujną swoją wyobraźnią. Nie mówię już o zwykłych sposobach: ogłosze-

niach dwa razy tydzień w wielkich dziennikach, obrazkach ilustrowanych, zamieszczanych w pomniejszych pismach, rozdawaniu drukowanych anonsów na rogach ulic, medali wystawowych, ludziach oślepionych afiszami, etc. Pierwszą ideą mego Barnuma była myśl genijalna. Był on impresaryjem śpiewaczki znanej, Jenny Lind i kazał skomponować piosnkę humorystyczną o oliwie i solonej wieprzowinie, którą po każdym koncercie komiczny śpiewak recytował wśród śmiechu i oklasków publiczności. Na programach umieścić kazał Barnum, że sztuczka ta pierwszy raz śpiewaną była w zakładach jej autora, pana Fryderyka Tomasza Graindorge et Comp. Następnie za jego staraniem utworzono dwa dramaty i dwie farsy, gdzie tę śpiewkę powtarzano w ostatnim akcie. Jedna z tych sztuk cały miesiąc robiła kasę. Pan Barnum wymógł od fotografa Jenny Lind przyrzeczenie owijania każdej z jej fotografij w kartkę z wydrukowaną piosnką i zarazem zawarł traktat z przedsiębiorstwem katarynek w New-Yorku, by każda z nich przynajmniej dwa razy dziennie wygrywała jego piosnkę. W tymże czasie kilka przeglądów i dzienników zajęło się jej muzyką, dowodząc, że jest wiele warta, jako produkt narodowy i porównywano ją nawet ze śpiewkami Burnsa i Beranger'a. W tymże czasie otworzono restauracyję jedną z tych, w której się połyka stojący mnóstwo sandwiszów i grogów; na szyldzie nowym i jaskrawo wymalowanym czytałeś: „Solona wieprzowina umiejętnie przyrządzona w różnorodny sposób u pp. Fryderyka Tomasza Graindorge et Comp.” Przeczytałem też w kilku dziennikach zaraz opisanie zmyślonych straszliwych wypadków, które niby miały miejsce w moich zakładach, a wszędzie występowałem ja jako bohater, ratujący życie setki robotników z narażeniem własnem. W pół roku potem pan Barnum wynalazł pomiędzy babami, zamiatającemi moje fabryki, starą jakąś murzynkę, która była podobno mamką Washington'a, a dzisiaj mocno lubiła whiski się napijać. Objechał z nią całe Stany Zjednoczone, pokazując wszystkim jako okaz zdrowia ze świadectwami mnóstwa lekarzy, że doszła tak późnego wieku dzięki jedynie używaniu codziennie solonej wieprzowiny. Nakoniec, jeszcze jedną tylko z tysiąca idei genijalnych mego kochanego Barnuma cytuję. Ukazało się w druku nowe abecadło komiczne, po pięć centimów sztuka, a w niem wszystkie litery utworzone były z prosiąt, wieprzków i świnek tak umiejętnie poustawianych i pokładzionych, żywych, ćwiertowanych, razem, w stadach, pojedyńczo etc., w najzabawniejszych grupach i ze śmiesznemi wierszami podpisanemi na każdej stronniczce. Aluzyje polityczne mieszały się dowcipnie w tych wierszykach. Imię i nazwisko moje błyszczało wielkiemi literami na okładce, na ozdobach, miejscach białych, widoki fabryki, robotników, narzędzi, oddane były znakomicie. W pięć lat sprzedano dwakroć sto tysięcy egzemplarzy i ponieważ tego rodzaju książki przechodzą z dzieci na dzieci, bardzo być może, że za jakie lat 50 wielu małych amerykanów uczyć się będzie czytać na abecadle pana Graindorge'a. Pan Barnum zauważył, że piękne biblije bywają zwykle oprawne w świńską skórę, chciał więc ułożyć się z pewnym wydawcą pobożnych książek, by wszystkie dzieła miały na okładce wyryte nazwisko pana Fryderyka Tomasza Graindorge et Compagnie. Ale stanowczo oparłem się temu, gdyż za nic w świecie nie chciałem się poróżnić z osobami duchownemi. Zresztą w podobnych operacyjach potrzeba mieć koniecznie pod ręką takiego Barnuma, któryby nadrabiał głosem, gdyż samemu krzyczeć nie wypada. Co więcej, we Francyi nie wypada to jeszcze, co jest przyjętem za oceanem. Tam nawet sprzykrzyły mi się oliwa i solona wieprzowina, tutaj dostałbym obrzydzenia na samą myśl czegoś podobnego. A jednak i ta reklama jest konieczna. Parę tysięcy doktorów nie zarobią tysiąca franków rocznie, muszą się przecież ubierać codziennie we frak i biały krawat.

Ze dwa tysiące malarzy bazgrze parawany, szyldy i obrazy po pięć franków od sztuki i wzdycha do otrzymania jakiej kopji z Luwru. Dwa sposoby dojścia do czegoś, konkurencyja i reklama, schodzą do tych samych rezultatów. Gdybym miał młodego chłopca na wychowaniu, nie kazałbym go uczyć języków starożytnych, nauk ścisłych, etc. które wysuszają umysł i ciało, tworząc niedołęgów; uczyłbym go gimnastyki, boksowania, robienia laską, pływania, strzelania, kilku języków nowożytnych, by niemi mógł mówić i pisać, geografyi obszernej; głównych rysów statystyki przemysłowej i handlowej. Jeżeliby był pracowity i uczciwy, skończyłby jak tylu młodych ludzi z Roterdamu, Hamburga, Genewy, których znałem i którychbym powinien był naśladować. Po dziesięciu latach powróciłby z małym mająteczkiem i pojąłby za żonę towarzyszkę lat dziecinnych. Poznałby już trochę świata, wyrzucił z siebie szumowiny i pozostał silnym na umyśle i na ciele. Nie zaznałby splenu tak jak ja i nie byłby zblazowanym idyjotą tak jak mój siostrzeniec, Anatol Dower, którego warto umieścić w oknie wystawy fryzyjerskiej, lub w czarny frak ubrać i obok strojnej lalki do ślubu postawić.

H. Taine: „Życie i spostrzeżenia o niem."

Sposób.

* *Sposób na pieczeniarzy*.

Pewien proboszcz w Burgundyi miał suto zaopatrzoną piwnicę i kuchnię wykwintną.

Z tych dwóch powodów bywał często w porze obiadowej przez sąsiadów nawiedzany.

Raz gdy ich przybyło kilku razem, proboszcz przyjął gości uprzejmie i zatrzymał na obiad. Po chwili wszakże chwycił z pośpiechem komżę, brewijarz i skierował się ku drzwiom.

— Gdzie idziesz, księże proboszczu?—spytał jeden z pieczeniarzy.

— Możecie się domyślić. Rodzina cała we wsi zapadła na cholerę, biegnę im zanieść ostatnią pociechę, rano spowiadałem ich.

W owym czasie uważano cholerę za chorobę zaraźliwą, goście uciekli, nie czekając powrotu gospodarza, który ograniczył się na odbyciu małej przechadzki.

* *Sposób na wielbicieli*.

Młoda, ładna ale nieobdarzona sprytem kobieta skarżyła się przed panią de Genlis na natręctwo wielbicieli.

— Ach pani — odrzekła uśmiechając się pani de Genlis — masz nieomylny sposób pozbycia się ich: przemów tylko.

Spostrzeżenia.

SPOSTRZEŻENIA

WŁÓCZĘGI GULLIWERA

ogłoszone przez

BOGUMIŁA UWAŻNICKIEGO

szlachcica oszmiańskiego. [1])

§ 1.

Odezwa do redaktora Brukowych Wiadomości.

Mości Panie Redaktorze!

Nie mam ja szczęścia należeć do zacnego zgromadzenia Szubrawców, których jeden z uczonych WPana kolegów tak pracowicie opisuje z tyłu i z przodu, że aż czytającemu ślina idzie do gęby i gwałtem się szubrawstwo kręci po głowie. Jedna mi tylko nad uczoną jego rozprawą przyszła uwaga, to jest: że autor nie musi być z powołania tak nazwanym historykiem naturalnym, ponieważ się nie trzyma sposobu i nie używa wyrazów, jakich zazwyczaj ci historycy w opisaniu nowych gatunków używają. Ale to mniejsza, bo ja wcale nie o tem do WP. chcę pisać, tylko zwyczajnie, jak się autorom przytrafia, piszę bez myśli, albo co innego myśląc. Szkoda porzucić zdanie lub uwagę, która się ni ztąd, ni z owąd nawinie, kiedy się już raz ma

[1]) Jędrzeja Śniadeckiego. Z „Wiadomości brukowych" wileńskich.

pióro w ręku; więc przepraszam i przystępuję do rzeczy — bo podług zwyczajnego sposobu mówienia, tak nazywamy i to, co często jest nie do rzeczy.

Uczone zgromadzenie WPanów zapewne zna wszystkie przypadki i postrzeżenia sławnego szubrawca, włóczęgi *Gulliwera*, przyjaciela naszego Doświadczyńskiego, z którym szkoda, że się gdzie nie zjechał. Otóż Mości Panie, ten Szubrawiec, w podróży do Laputa, zastał na wyspie *Balnibarbi* w mieście Lagado bardzo uczony uniwersytet, czyli też akademiją (bo prawdziwie nie pamiętam, WPanowie to lepiej musicie wiedzieć) projektystów, których nawet ciekawe i ważne badania [1]) opisał. Trzeba, żebyś WPan wiedział, że ten poczciwy Gulliwer miał szczególne zachowanie z niejakim Piotrem Bojarskim, podstolim wendeńskim, a moim wielkim przyjacielem. Więc tedy mój pan Piotr dostał od niego niektórych pisemek, częścią z opisaniem nowej jakiej włóczęgi, częścią z dodatkami do tego, co już wytłoczył [2]). A tych pisemek ja się dorwałem, sposobem bardzo uczciwym: bo mówiąc między nami, pan Piotr zrobił mię był eksekutorem swego testamentu. Nie wiedząc tedy, co z temi pismami robić, postanowiłem sobie, ot tak, kiedy niekiedy, rozsiewać je po bruku, a WPanowie, Panowie Szubrawcy kiedy chcecie, zbierajcie. Chciałem więc i teraz upuścić jeden dodatek; ale żeby się mógł łatwo w śniegu zawalać, więc go wolę WPanu prosto posłać.

[1]) *Badania*, nie jest wyraz dosyć uczony; właściwie wypadałoby powiedzieć Zacieki. WPanowie wiecie, z jakiejto kuźni ten wyraz wyszedł, ale że nasi Litwini rozumieliby czasem, że to o zaciekach mowa, albo, że im zacieka za kołnierz, więc tego wyrazu nie używam.

[2]) WPan się nie śmiej, bo to jest wyraz prawdziwie dobitny i doskonały. Bo cóżto znaczy *drukować?* tak mówić każdy potrafi, ale *wytłoczyć*—to piękne.

Dodatek do rozdziału V. i VI. Podróży do Laputy.

Na wyspie Balnibarbi są trzy klasy ludzi, z których jedna chodzi w koturnach [3]), mieszka pod słomianą nizką strzechą, dymem oddycha, a plewami na pół się karmi; każdy człowiek w tej klasie, z urodzenia i obowiązku, orze, sieje i młóci; ale koniecznie na tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Druga klasa chodzi w butach i długich sukniach nakształt szlafroków, głowy, po większej części dla łatwiejszej transpiracyi [4]) goli i ręcznikiem długim, rozmaitemi farbami upstrzonym, się przepasuje; a to jak widać dla podwiązania i podparcia brzucha, który zazwyczaj jest wielki. Chociaż nie uważałem, żeby ta klasa miała większe głowy od innych, *bo zdawało mi się, że najwięcej brzuchem celowała*, przekonałem się jednakże[5]), że celowała rozumem, bo się oczywiście rodziła z zupełną nauką i zdolnością do wszystkiego. Dowodem tego oczywistem było, że klasa ta pisała prawa i że posiadała wszystkie urzędy prawa, nawet sędziowskie, a to bez żadnej nauki, jedynie za nadaniem przez drugich członków tej klasy. Sposób tego nadania był ten, iż w pewnym przeciągu czasu wszystkie członki tej klasy zjeżdżały się razem i na natchnionych, czyli czujących w sobie powołanie do urzędu, ciskały drewnianemi kulkami; a na kogo większa liczba kulek padła, ten tem samem był zdolny do wszystkiego. Nie mogłem tego długo pojąć i rozumiałem z początku po prostu, że te gałki są to jakieś czarodziejskie

[3]) Gulliwer był człowiek uczony, a łapciów widać nie znał.

[4]) Domyślam się: że to dla łatwiejszej transpiracyi; bom czasem widział, jak się z tych czupryn kurzyło wyraźnie, czego wszakże na głowach niegolonych nie znać. Wreszcie wartoby, ażeby jaka uczona akademija wydała w tej mierze pytania do konkursu.

[5]) Nie potrzeba WPana ostrzegać, że to Gulliwer mówi.

nasiona talentów, które na ludzi tak, jak na pustą rolę rzucano; ale gdym się raz z tem odezwał, wyśmiała mię cała wygolona klasa [1]) i musiałem milczeć. Ta klasa utalentowana, sama jedna posiada ziemię, którą za pomocą klasy koturnowej uprawia. Trzecia klasa, bardzo liczna, chodzi z brodą i wiszącemi po skroniach włosami; nosi długie szlafroki nakształt klasy przepasanej, ale zawsze czarne; możniejsi i zacniejsi w tej klasie, zwłaszcza gdy chcą nastawić powagę, odkrywają jedną połeć tego szlafroka, zazwyczaj brudnego, i pod nim trzymają rękę za pasem; wychodząc z domu, chodzą w lecie i w zimie w opończy, która pospolicie jest obszarpana i brudna. Ta klasa umie z mąki żytniej pędzić trunek upajający i smrodliwy, za pomocą którego od koturnowej wszystko wyłudza, i nic nie robiąc, z niej żyje, za co klasie golonej rocznie umówioną sumę opłaca; za oszukiwanie zaś samej klasy golonej nic nie płaci.

Gdym był na wyspie, jeden członek akademii podał projekt oswobodzenia klasy koturnowej, namawiając przepasanych, ażeby tej klasie pozwoliła mieszkać i orać, gdzie się jej podoba; do czego przepasani (jak się zdawało) wcale nie byli dalecy. Ten projekt zależał na tem: ażeby w każdym okręgu, na które była wyspa podzielona, ustanowić dobrze płatnego opiekuna, któryby wolności klasy koturnowej przestrzegał. A że wolność koniecznie zależy od lekkości, więc ten opiekun powinien był mieć pilną baczność na kieszenie tej klasy, ustawicznie je przeglądać i coby było w nich ciężkiego wyjmować; prócz tego, cokolwiekby na człowieku konturnowym widział szkodliwego jego lekkości, a od czegoby go klasa brodata nie oswobodziła, winien był zabierać do siebie. Za co miała mu klasa przepasana składać corocznie znaczną do jego rozporządzenia sumę. Ten zbawienny środek tem był potrzebniejszy, że chociaż na wyspie było dosyć filantropów gorliwych o lekkość kieszeni, tak klasy koturnowej jako i przepasanej, i każdy okrąg miał swoich, kulkami drewnianemi do tego upoważnionych, wszelako prawdziwa filantropija wymaga, ażeby takich było jak najwięcej.

Drugi członek akademii podał projekt dla klasy przepasanej: żeby ta mogła bezpiecznie lokować swoje pieniądze. Ten projekt zależał na tem: żeby część tych pieniędzy natychmiast oddać uprzywilejowanym malarzom, którzy majątki w miniaturze malować umieją. Żeby każdy zaraz takiego malarza, nasłanego od kollegium sztuk wyzwolonych, u siebie przyjął, karmił i za miniaturę gotowemi pieniędzmi zapłacił. Tę miniaturę powinien był posłać do wyższego kollegium matematyków, w których kancelaryi także część kapitału ulokuje, a oni mu za to powiedzą, co jego miniatura warta. Wyjechałem z wyspy, nim ten projekt przyszedł do skutku i nie wiem, co się z nim stało; bo rozmaite członki klasy przepasanej zaczęły się natychmiast o wzmiankowane miniatury kłócić, dowodząc po dwóch a często po trzech lub więcej: że miniatury do nich należą i wydzierają je sobie nawzajem. Z czego się malarze niezmiernie śmiali, biorąc tymczasem kapitały i od jednych i od drugich, a to wszystko dla bezpiecznej lokacyi.

§ 2.

O wyspie i mowie Kukuryków.

W ciągu bawienia mojego na wyspie *Balnibarbi* przekonałem się, że mieszkańcy z przyrodzenia dobrzy i poczciwi, dotknięci są niemal powszechnie osobliwą wcale chorobą oczów, jakiej na innych poblizkich wyspach nigdy nie widziałem.—Ta choroba zależy na tem, iż ich druki wszelkiego rodzaju niezmiernie rażą i dla tego nic nie czytają i czytać nie lubią. — Ztąd pochodzi, że księgarze bardzo się źle mają, a autorowie jeszcze gorzej, pisząc po większej części jedni dla drugich. Owszem i ci ostatni, czę-

[1]) Jakże się nie śmiać? widać oczywiście, że Gulliwer był prostak.

sto się kłócąc i nienawidząc nawzajem, przez prawdziwą lub udawaną pogardę rzadko jedni drugich czytać raczą. Kogo więc chuć autorska mocno i bez ratunku dręczy, ten w dziełach swoich, długo butwiejąc i służąc to myszom na gniazda, to molom na pastwę, idzie nakoniec na placki lub na funciki. Takie jest na tej wyspie wysokie pisarzów przeznaczenie i taka nagroda. Wszakże ta ślepota panuje tylko w klasie przepasanej; koturnowa albowiem nie może czytać, bo nic nmie, ale to zostawia uczonym z profesyi. Cała zaś trzecia klasa (rzecz niesłychana!) mówi i pisze osobnym i wcale obcym na wyspie językiem; więc pisarzów krajowych nie czyta i nie zna. Jej zaś właśni uczeni nic nie umieją, ale całe życie nad wielką siedząc księgą, dzień i noc się kiwają, to z tyłu naprzód, to z jednego boku na drugi, podług ważności materyi. Zachowują jednakże całą mędrców powagę, a na okazanie niezgruntowanej głębokości nauki, nigdy nic nie mówią, ani tego, co do nich mówi, nie słyszą i nie rozumieją. Pospólstwo brodate karmi ich i odziewa, a przez uszanowanie, zaledwo niekiedy i to z największą nieśmiałością, do nich się zbliża.

Przyczyny zaś choroby oczów w klasie przepasanej rozmaite się być zdają. Można albowiem tę klasę podzielić na kilka gatunków, podług wychowania, majątku i sposobu życia; a naówczas łatwo jest poznać, jak przyczyny ślepoty w każdym gatunku coraz są inne. Samo albowiem czoło czyli szczyt tej klasy, także języka *Balnibarbi* nie umie, a przynajmniej umieć nie chce, a przeto udaje, że nie umie. Nie jest dla tego gatunek ten niemy; owszem najwięcej szczebiocze, ale językiem *Kukuryku*, wyspy osobnej, od *Balnibarbi* znacznie odległej. Wielka albowiem część ich wychowania i wyższości na tem się zasadza, żeby się języka *Kukuryku* nauczyć. Częścią więc dla tego, częścią dla niepospolitowania się, dzieci swoich z innemi do szkół nie oddają, ale albo na wyspę *Kukuryku* wywożą, albo ztamtąd nauczycielów wypisują; albo zbiegłych i wałęsających się obojej płci włóczęgów skwapliwie chwytają, przepłacająwydzierają jedni drugimi im hodowanie potomstwa swego powierzają. Czupurne zaś te i świegotliwe *Kukuryki*, przez ustawiczne szczebiotanie, wyziewają z siebie gatunek bardzo jadowitego gazu, albo raczej lekkiej piany nakształt mydlin, któremi oczy młodych i niewinnych *Balnibarbków* zaciągają: zkąd się rodzi ten szczególny i niepojęty gatunek wzroku, iż co tylko jest wyspie ich właściwego, tego albo nie widzą, albo widzą pod najgorszą postacią; a zatem i druków w własnym języku albo nie czytają, albo nie rozumieją, albo ziewają na sam ich widok, mając je za niedoskonałe i niezmiernie nudne. Owszem, taka jest moc jadowitej piany tych cudzoziemców, iż gdzie tylko jeden z nich wpadnie, cały dom zaraża; a potem wszystko do siebie garnie, wszystkiem samowładnie rządzi i tego nadewszystko pilnuje, ażeby się nikt grubym i nieokrzesanym językiem *Balnibarbi* mówić nie ważył.

Oprócz tego, ruchawy ten lud i bardzo zwrotny, posiada w wysokim stopniu talent przebierania nogami, przez co doskonale najskrytsze swoje myśli i rozmaite uczucia tłumaczy. Wieleby było mówić o tej obszernej *Kukuryków* nauce, w której są dla wszystkich innych ludów mistrzami, a za której pomocą niejeden geniusz w mgnieniu oka trzy razy się w koło na jednym palcu okręcić potrafi. Na tej tedy nauce chodzenia, wywijania się i podskakiwania, całą młodość dystyngowane *Balnibarbki* trawią; a nauczyciele ich, mniej dbając o głowę, w nodze i pięcie całą szlachetność i doskonałość człowieka gruntują, twierdząc, iż to jest prawdziwy fundament, ponieważ bez nóg niktby stać, ani chodzić, a zatem ani dojść do niczego nie mógł. Kobiety tego gatunku, gdy się zbiorą razem, sadzają się, cenią i poważają podług stopnia *Kukurykowatości*. Mówią wie-

le bezprzestannie i najczęściej wszystkie razem, a w tym zmieszanym i napozór niepojętym gwarze, przesyłają sobie ze wszech stron pytania i odpowiedzi, a zawsze w języku *Kukuryków*. Ponieważ zaś nieumiejętność tego języka jest znakiem złego wychowania i wątpliwej rodowitości, zatem te, które go nie umiały zamłodu, uczą się dzień i noc nawet na starość, co jest gatunkiem odmłodnienia. Jeżeli zaś mówią własnym językiem, tedy tu i owdzie, jak muszki na brodawki lub piegi, choć po parze słów *Kukurykowych* przylepiają, co jest znakiem dobrego wychowania i robi srokaciznę modną i wcale przyjemną, coś naksztalt babilońskiego munduru. Zdarza się i to, że niebardzo w *kukurykowym* języku biegłe, ale dla dobrego jak mówią tonu tu i owdzie nim się odzywające, nielitościwie go kaleczą, co bywa na innych schadzkach kobiecych, lub męzko-kobiecych obfitą materją długiej rozmowy i uszczypliwych żartów. To, co gdzieś jakiś uczony dziwak powiedział, że ludzie żyją jedni kosztem drugich, na wyspie *Balnibarbi* jeszcze się dalej rozciąga, bo nawet jedni kosztem drugich się bawią. — Za miłością języka i wychowaniem poszła i miłość samych *Kukuryków* i ich obyczajów.—Dla tego gdziekolwiek się na wyspie nowy jaki człowiek pokaże, wszystkie, tak się same przez skromność nazywające, dobre towarzystwa, ubiegają się za nim jak za rarogiem, starają się jak o osobliwszy specjał; a gdzie się na schadzce pokaże, otaczają go z podziwieniem, sadzają na pierwszem miejscu, wielbią, dziwią się wszystkiemu, co powie; słowem, nacieszyć się nim nie mogą. Zkąd pochodzi, że nic nie ma na wyspie tak nadętego i knąbrnego, jak *Kukuryku*. A że oczy przepasanych nieuleczonym sposobem są zamydlone, to jest zarażone i zepsute, że zapomocą tej choroby wszystko, co jest swoje, wydaje się szkaradne i niedorzeczy, dlatego mieszkańcy *Balnibarbi*, sposobem wszystkim na świecie ludom przeciwnym, nic tak nie poważają, jak cudzych, niczego mniej nie cenią, jak swoich; i jeżeli się który z tych biednych cokolwiek wydźwignie i celować w czem zacznie, samo jego wspomnienie wzbudza w polerowanej klasie spazm, i okropnie jej usta wykrzywia; kiedy wspomnienie jakiegokolwiek obcego bałwanka łagodzi uśmiech, za którym idzie jednogłośne odezwanie się: *Ach! co to, to co innego?*

Nie tak jest mocna choroba oczów w gatunku cokolwiek od szczytu niższym; w nim albowiem ci tylko cierpią, którzy się o pierwszy gatunek ocierają, z nim kojarzą i żyją, lub którzy się gwałtem pną w górę i biorą na pazury, ażeby temu gatunkowi wyrównali. Co się jednakże częściej daje postrzegać w kobietach, aniżeli w mężczyznach. Ci żyją po większej części na wsi i uprawą ziemi są zajęci, a do miast przyjeżdżają tylko wtenczas, kiedy się między sobą kłócą.—Wtedy udają się po rozstrzygnienie sporu do wybranych drewnianemi kulkami, ale to pospolicie następuje nie bardzo prędko i nie wprzód, aż się obydwie strony pozbawią szkodliwego ognia, wszelkiej jego podniety. Tu znowu zdaje się, że mieszkańcy *Balnibarbi* ani mówić, ani pisać nie umieją: bo zazwyczaj najmują innych, którzyby w tych kłótniach za nich gadali, pisali i łajali stronę przeciwną. Nie można powiedzieć, żeby gatunek ten nie czytał; owszem, są w nim tacy, którzy wychodzące co kilka dni na wielkim papierze pismo sprowadzają i czytają głośno wszystkim swoim sąsiadom i znajomym, albo naokoło pożyczają. Pismo to jest uprzywilejowanym zbiorem nowin i plotek z innych wysp nadesłanych, owszem zbieranych z całego świata, a kończy się doniesieniami o kłótniach i wzajemnych oszukaniach na wyspie zdarzonych, lub nastąpić mających; co przepasani z największą czytają ciekawością i co ich najmocniej bawi. O tym gatunku jest nadzieja, że zupełnie przejrzy, zwłaszcza, że doktorowie mocno się zaczęli krzątać około

jego uleczenia, a niedawno wpadli na nowy i wcale szczególny wynalazek, to jest, żeby temu cokolwiek czytającemu gatunkowi co ośm dni zbieranym na bruku piaskiem oczy przecierać.[1])—Co, lubo niektórych zaślepionych niezmiernie razi, ale wielu innym jak mówią, pomaga, i im samym z czasem pomódz może, ile że niepodobna, żeby niekiedy jakie ostre ziarno i im w oko nie wpadło; co powoli, ale skutecznie i pewnie fatalne bielmo wygryzie i strawi.

Ale wielka jest i niełatwa do uleczenia choroba oczów w trzecim i mniej uważanym gatunku przepasanych. Gatunek ten rodzi się po wsiach, ale się wcześnie i bardzo młodo do miast i miasteczek ciśnie, gdzie bierze wychowanie w magazynach zbutwiałych szpargałów i przysłuchuje się wcześnie kłótniom i łajaniom z tych szpargałów wynikłym, przez co i wzrok znacznie przytępia; tak, że potem całe życie dość krótko widzi i zabiera wcześnie gust do kłótni, obierając je niekiedy za ulubione zatrudnienie całego życia. Ci oprócz swoich starożytnych szpargałów nic nie czytają, owszem wszystkie inne pisma zupełnie mają za nic i bez subjekcyi głupstwem nazywają. Są to prawdziwi i jedyni starożytnicy na całej wyspie, a kunszt swój wydoskonalili do tego stopnia, że nietylko na każdym odwiecznym szpargale potrafią czytać, co potrzeba, nietylko zepsuty naprawią, do przypadku naciągną, podskrobią, podłatają, ale nawet nowe budować i im doskonałe piętno starożytności nadać umieją. Doktorowie utrzymują, że mała jest wyleczenia ich nadzieja, a to dla tego, że jest w nich symptoma wszystkim nieuleczonym chorobom właściwe, to jest, że się mają za zupełnie zdrowych; owszem, uważając resztę ludzi za chorych, z uśmiechem i litością spoglądają na nich, niektórzy atoli nie tracą nadziei i sądzą, iżby nie szkodziło spróbować i im wyżej wspomnianem lekarstwem oczy nacierać; ale na to trzebaby mocnej dozy i bardzo pewnej ręki.

[1]) Brukowe Wiadomości P. W

§ 3.

Co się dzieje na wyspie Peroradzie?

Jeszcze postrzeżenia włóczęgi Gulliwera.

Niedaleko od wyspy *Balnibarbi*, naprzeciw portu *Maldonado*, leży druga wyspa niewielka, której dla pewnych przyczyn w podróży mojej nie opisałem. Należy, równie jak poprzednia, do króla *Laputy*, i nazywa się *Perorada*, co znaczy w języku *Balnibarbi*: Kraj wymowy. I sprawiedliwie: wszyscy albowiem mieszkańcy są mówcami i oratorami z urodzenia, powołania i gustu. Owszem, ten talent jest u nich namiętnością. Nie uczą się oni wprawdzie wymowy więcej od innych, ale ją mają z przyrodzenia, i dlatego nią całe życie są zajęci. Nie masz żadnego publicznego obchodu, żadnego zgromadzenia, żadnej schadzki, któraby się nie zaczęła od mowy i gdzieby kilku przynajmniej członków nie wystąpiło z mowami. Ci, którzy są na czele zgromadzenia, nie ustąpiliby przywileju przemawiania do drugich za żaden skarb w świecie. Nie mówią oni wprawdzie z potrzeby, a zatem ani z pamięci, ale napisane kilkoćwiartkowe głosy wyciągają zwolna z kieszeni, a odchrząknąwszy poważnie, lub wdziawszy okulary na nos, głośno czytają.

Mowy takowe zawsze się drukują, chociaż drudzy mówcy rzadko je czytają. Jeżeli który mieszkaniec, należący do jakiego zgromadzenia, nie jest sam w stanie napisać, kupuje mowę u drugich i czyta, boby to był wstyd nie zabrać głosu i nie przeczytać przynajmniej arkusza. Od tego bowiem całe szczęście wyspy, pomyślność obywateli i dobre skutki obrad zależą. Cóż albowiem są obrady, jeżeli nie zbiór kilkunastu lub kilkudziesięciu głosów, stosownie i niestosownie do materyi odbytych. Że zaś kraj jest bardzo porządny, przeto dla publicznej wygody są pisarze mów i głosów z powołania, i są obszer-

ne kramy, w których za umówioną cenę głosów w każdej materyi dostać można. Żeby je zaś łatwo do okoliczności przystosować, są pospolicie bez tytułu i mają tu i owdzie miejsca próżne. Kupujący nadaje im imię jako swojej własności, a w miejscach próżnych, czyli *odstępach*, kładzie podług potrzeby, albo *Prześwietna publiczności* albo *Prześwietny sądzie*, albo JWW. WW., Mości Panowie, albo *Szanowni koledzy*, i t. d., i t. d. jak z losu wypadnie.

Niechże się na wyspie pokaże król, albo który z urzędników znaczniejszych, każdy sobie ma za powinność, ażeby go, gdziekolwiek spotka, mową powitał. Cisną się więc do niego o każdej porze; wychodzącemu lub wyjeżdżającemu zastępują drogę; przyjmują na wszystkich załamaniach i zawrotach; zatrzymują niemal gwałtem i niepuszczają dopóty, dopóki przygotowanych dla siebie głosów nie wysłucha. Dlatego też wielcy urzędnicy rzadko się na wyspę spuszczają; ale jeżeli się do niej *Laputa* [1]) zbliży, lub nad nią unosi, mówcy zwracają głos i oczy do góry, z całym zapałem przygotowane mowy wykrzykują, a potem drukowane na spuszczoną umyślnie z *Laputy* długą linę nadziewają. Mieszkańcy wyspy napowietrznej mają ztąd nie małą korzyść, nie mając albowiem lasów, aby tylko tydzień nad *Peroradą* zabawiali, mają czem w piecach palić przez całą zimę. Nie jest więc ten rodzaj pracy bez użytku, owszem, ponieważ, jakiem gdzieindziej opisał, astrologja bardzo jest u mieszkańców Laputy wydoskonalona, zatem ile razy ciężką przewidują zimę, cały miesiąc nad *Peroradą* krążą, co tak dobry i pewny ma skutek, iż się potem najcięższych nie lękają mrozów. Kucharze zaś nie chcą używać tego materyjału na opał, dostrzegli albowiem, iż daje wiele trzasku i dymu, a mało ciepła. Dlatego i gotowane przy nim potrawy niezmiernie czczym wydymają wiatrem.

Ale i w niedostatku wielkiego urzędnika lub obrad publicznych nie próżnują Cycerony wyspy i jej stolicy *Gawędopolu*, ale w potrzebie witają się mowami jedni drugich. Wykrzykują je na każdem weselu, na każdych imieninach, lub urodzinach. Na tych ostatnich odbywają głosy lub składają śpiewy do nowo narodzonego niemowlęcia, do rodziców i krewnych, tłumacząc im: czego się po nowonarodzonym familja i kraj spodziewać mają, jak wielkie w nim postrzegają zdolności i talenta, tudzież jak jest szlachetna krew, z której się rodzi. Na pogrzebach wyliczają niesłychane zmarłego zasługi i cnoty; grożą po tak wielkiej stracie niechybnym upadkiem krajowi, potem szczęściem postrzegają przytomnego tam pozostałego potomka, który tak okropne nieszczęście pewno odwróci.

Jeden z członków akademii *Ladago* podał projekt, ażeby: *najprzód*, dla wygody mieszkańców wyspy *Perorady*, w mieście po wszystkich rynkach i rogach, a na drogach publicznych co tysiąc kroków wystawiać wygodne i wyniosłe *mównice*, gdzieby każdy nawiedzony nieodbitą potrzebą czytania z karty, przechodzących miał prawo zatrzymać, dopókiby jego głosu nie wysłuchali. *Powtóre*, ażeby na tej zasadzie system opodatkowania oprzeć, naznaczając od każdej ćwiartki mowy publicznie czytanej po jednej sztuce złotej, a po srebrnej czytanej prywatnie. *Potrzecie*, ażeby ci, którzyby przechodząc lub przejeżdżając około mównicy, zatrzymać się i posłuchać głosu nie chcieli, zapłacili po pół sztuki srebrnej. *Poczwarte*, ażeby tych, którzy innych publicznych podatków nie zapłacili, do publicznych mównic codziennie prowadzić, a nie pozwalając im mówić, dopóty słuchaczami tylko być kazać, dopóki zaległości nie zapłacą.

Drugi atoli bardzo uczony członek tej akademii wydał przeciwko niemu pismo o ośmiu

[1]) Czytelnicy nasi, co nie czytali sławnych podróży Gulliwera, wiedzieć mają, iż *Laputa* jest wyspa napowietrzna unosząca się w przestrzeni samym duchem magnetycznym; tudzież że na niej mieszka z całym dworem i magnatami król do którego *Balnibarbi* i *Perorada* należy.

tomach, dowodząc, że to systema jest szkodliwe, i że tym sposobem wkrótceby cała wyspa przyszła do ostatniego ubóstwa. Owszem ponieważ się z tablic śmiertelności i świadectw doktorów pokazało, iż z przyczyny zagęszczonych chorób piersiowych coraz więcej ludzi umiera (co zapewne zrywaniu piersi przez częste wykrzykiwanie mów przypisać należy), zatem radzi, ażeby nietylko mównic po drogach, rynkach i ulicach nie stawiać, ale żeby na podobieństwo *budzicieli* na wyspie Lapucie, którzy wyprowadzają metafizyków z głębokiego pogrążenia w myślach, paląc po uszach i nosach suchemi pęcherzami z grochem, postanowić publicznych *uśmierzycieli*, którzyby z urzędu osadzoną na długim kiju poduszką, stawiającym w pozyturze do perorowania, skoro tylko otworzą gębę, zatykali. Znalazło się atoli wielu uczonych, którzy i przeciwko tej pięknej myśli powstali, mądrze i gruntownie dowodząc, iż ten sposób całkiem jest szkodliwym; możnaby albowiem takim postępkiem niejednego ważnego i gorliwego mówcę odrazu udusić. Inni dowodzili, iż tak nagłe i gwałtowne wstrzymanie oratorskiego zapędu mogłoby sprawić konwulsyje, lub na zawsze drogie mówców zdrowie osłabić. Ci więc miłośnicy pięknych umiejętności radzą, ażeby raczej wszystkie miejsca publiczne osadzić *Rzegotnikami*, którzyby ile razy mówca głos zabierze, dopóty rzegotali wszyscy razem, dopókiby nie skończył. Jakoż uważałem, że to rozsądne zdanie wielu się podobało, dlatego iż rozumieli, że turkot rzegotek, nie tłumiąc głosu mówców, sprawi w uszach słuchaczów taki sam skutek, jak czytanie kilku głosów razem, a zatem się przeto obydwóm stronom dogodzi. Na zgromadzeniach tylko i schadzkach, gdzie chodzi o wykonanie rozrządzeń wyższych lub ważną jaką robotę, zatem gdzie czynić nie gadać potrzeba, każdy członek będzie miał przy sobie uśmierzyciela, trzymającego na bardzo ładnym pozłacanym trzonku skórzaną klapę, nakształt używanej u nas na muchy. Ten, skoro kto z członków sięgnie do kieszeni po pismo, uderzy trzonkiem mocno po ręku; jeżeli zaś zabierze głos i nadto długo mówić będzie, klapą po języku, powtarzając to, ile razy będzie potrzeba. Żeby zaś dać talentom wszelką wolność i opiekę, a razem szerzeniu się chorób piersiowych tamę położyć, będzie wybrana pewna tylko perorantów liczba, którym przywilej ten służyć będzie wyłącznie, a którzy na znak swojej godności i swego talentu nosić będą żółte szlafmyce z czerwonemi kutasikami, jako godło oratorskiego zapału.

§ 4.

Znowu o państwie Laputy i koniec postrzeżeń włóczęgi Gulliwera.

Kto nie zna doskonale wszystkich mieszkańców królestwa Laputy, mógłby z pewnego względu sądzić, że mają zupełnie pomieszane zmysły. Uważając albowiem, jak wiele cenią starożytność swoich domów i jak się troskliwie i kosztownie o wywody tej starożytności ubiegają, jak ją niekiedy drogo kupują, zdawałoby się, iż nic wyżej nie cenią nad własne domowe imiona. W rzeczy samej zaś niczego się bardziej nie wstydzą, tak dalece, iż nazwać kogo z nich prosto po imieniu, jest to go mocno urazić i zarobić sobie na trwałą nieprzyjaźń; jest to pokazać się nieobyczajnym w towarzystwie i nieokrzesanym prostakiem. Dla uniknienia więc tego nieszczęścia, to jest, ażeby ich czasem kto po imieniu nie nazywał, starają się wszyscy o urzędy lub tytuły, z których największą część sami sobie nadają nawzajem, lub sami bez dołożenia się niczyjego. Czego gdy raz dokażą, nikt ich więcej nie nazywa inaczej, jak po urzędzie. Ztąd wypada rzecz dla nas cudzoziemców wcale zabawna i nowa, to jest: że cały kraj z samych tylko urzędników się składa. Jeżeli bowiem, kto miał urząd, nawet przed trzydziestu lub czterdziestu laty, wiecznie go takim samym urzędnikiem nazywają. Owszem urząd ten raz pochwycony staje się tytułem, który wiecznem prawem spada na następców i od pokolenia do poko-

lenia przechodzi, z pewnem tylko wykrzywieniem i przeciągnieniem głosu na końcu; przez co daje się uczuć różnica ojca od syna, wnuka i prawnuka. Niektóre wzięte są od dawnej służby na dworze królewskim, a to w piwnicy, w kredensie, przedpokoju, lub kuchni, służby, jakiej od wieków nie ma. Inne od dawnych miejsc w byłem wojsku, w byłym rządzie, byłym powiecie i t. p. Wszystko to jest szacowne; wszystko jakkolwiek dawne i zwietrzałe, dobre, aby tylko dawało tytuł, aby okazało jakąś dostojność, a ochroniło od nazywania się, broń Boże, własnem imieniem. Są nakoniec tytuły pożyczone z zagranicy; te są najwygodniejsze, ponieważ bez dołożenia się niczyjego można sobie samemu tak znakomity nadać zaszczyt, który nic nie kosztuje, a tem jest lepszy, tem poważniejszy i tem przyjemniej w ucho wpada, że obcy. Taka albowiem jest ślepota tego ludu, że u nich zaszczytem jest być cudzoziemcem, z zagranicznych pochodzić, lub się przynajmniej po zagranicznemu nazywać, a imienia własnego kraju używają niekiedy za nazwisko krzywdzące. Tak np. ponieważ nawet swój strój odmienili i wstydzą się jego, zatem tych, którzy się jeszcze po dawnemu noszą, z urąganiem imieniem kraju swojego oznaczają, mówiąc: *„przyszedł tam jakiś Laputa"* — *„jakiś Laputa chce z tobą mówić"* i t. d.—Okropna i nieodpuszczona wada! ciężka pierworodna choroba, z której nawet największe nieszczęścia nie leczą!

Ci, którzy sobie raz tytuł, zwłaszcza cudzoziemski, nadali, gniewają się, jeżeli kto ich nim nie częstuje, i mają to sobie za uchybienie istotne. Ani się godzi nazywać prosto po imieniu ich żony, siostry lub dzieci, ale koniecznie od urzędu, tak dalece, że urząd nie tylko okrywa i zdobi całą familię, ale się nawet każdy urzędnikiem rodzi i można częstokroć widzieć znakomitych dygnitarzy, prowadzonych na paskach, lub igrających w piasku. Kobiety zaś są nierównie żarliwsze o zachowanie spadających na nie przez męża tytułów, dostojności i zaszczytów. Na co największą uwagę mają w towarzystwach i schadzkach bądź prywatnych, bądź publicznych; a w czem się przytomnym bardzo pilnować należy, ażeby im nie uchybili, pod karą szyderstwa i wiecznej niełaski. Tu znowu, nietylko same mają stopnie i urzędy, ale je nawet nadają ławom i stołkom, których wartość nie tak idzie podług godności tych, co siadają na nich, jako raczej same tę godność nadają. Jaka taka więc spogląda chciwem i zazdrosnem okiem na dostojniejszy stołek; podsuwa się nieznacznie, lecz gwałtem ku niemu, potrąca niekiedy drugie, starając się przez to poniżyć, lub częstując wszytkie pogardą, zdobyć wstępnym bojem mniemaną wyższość i dojść do zamierzonej mety. A broń Boże ją która podsiędzie i do pożądanego stołka nie dopuści: zły humor trwa przez całą schadzkę, przekąsy i ostre przemówki dotykają wszystkich, co się nawiną; mąż łajany będzie przez cały tydzień, a częstokroć następuje gwałtowna choroba, dla której doktór długo nie odchodzi od łóżka. Ale ta co podsiadła, może się za to wcześnie porachować z sumieniem, będzie albowiem nielitościwie przetrząsana cała jej rodzina; będzie palcem wytknięta niezmierna familijna niższość, jeżeli nie podłość. To samo ubieganie się o pierwszeństwo następuje, gdy wychodzą z sali do sali, bądź dla tańców, bądź dla jedzenia. Naówczas, każda się stara być pierwszą we drzwiach, bieży do nich jak w najważniejszej sprawie, a biada wszystkim, jeżeli ją która uprzedzi.

Dla zachowania zaś pamięci i dowodów swojego rodu, dla wyprowadzenia go z jak najodleglejszych czasów, mieszkańcy całego miasta Laputy, a mianowicie wyspy *Balnibarbi*, robią z całego rodzeństwa mapę, i tę dla wiadomości wszystkich ciekawych, rozwieszają po ścianach. Mapy takowe, które gościom i sąsiadom z największą skwapliwością tłumaczą, mają postać drzewa, na którem całe rodzeństwo w kratkach siedzi lub kółkach, ale tak że pierwszy założyciel familii

osadzony jest na pniu, inni z niego pochodzący na gałęziach, jak wróble; a ostatni nakształt motylków, na drobnych gałązkach, które giną w powietrzu. Laputowie mają za rzecz z siebie oczywistą, że, im takie drzewo rozłożystsze jest i bujniejsze, tem większy zaszczyt domu. A zatem, że bardzo jest wątpliwa rodowitość tych, którzy jeszcze z krzewu nie wyszli, i na jednym arkuszu się mieszczą; jasna zaś, owszem świetna i niezrównana owych, którzy na rozłożenie i wygodne rozpostarcie całego swojego rodu libry lub ryzy potrzebują.

Myślałem nieraz, przypatrując się takim drzewom, że Laputowie muszą pierwiastkowo wyrastać z ziemi, a zatem, że ich familie muszą mieć odrębne swoje i od innych ludzi różne początki. Bo zkądżeby się wziął ów pierwszy założyciel na pniu siedzący? Samo jego położenie i niedostatek kratek pod nim pokazują, że z ziemi wyrósł, bo nie ma ani ojca, ani matki; chybaby ci ukrywali się pod ziemią i siedzieli na korzeniach, tak jak ich potomkowie na gałęziach. Aleby to było oczywiste oszukanie, to tylko pokazywać z swojego rodzeństwa, co się nad ziemię wzniosło. Wszakże Laputowie, jakem się przekonał później, robią to w dobrej wierze i sposobem bardzo niewinnym. Tego tylko nigdy pojąć nie mogłem, jak ciż Laputowie, wywodzący początki swoje z pniów i gałęzi, wierzą i równie są mocno przekonani, jak my Europejczykowie, że cały rodzaj ludzki z jednego pochodzi człowieka. Zkąd zdaje się wypadać, że innych klas ludzie jednego są z nimi rodzaju i równie mają szlachetny początek, a co się z teoryją drzew rodzajowych nie zupełnie zgadza. Rozmawiałem o tem z niektórymi uczonymi, którzy się tłumaczyli, iż założycielami familii są ludzie, którzy się wznieśli przez zasługę, talent, niekiedy przez zbrodnie, a najczęściej przez odebrane łaski. Dodali i to, że ostatnich najznakomitsza jest liczba; że skoro się rodzeństwo jakie na wiele rozdzieli gałęzi, starają się tylko okazać, że mają swój pień, nie uważając, jaki był jego początek.

Nie mogłem wszelako przestać na tem objaśnieniu uczonych, bo mi się zdawało, iż takim sposobem wielkie drzewa nie są zaszczytem tych, co je rozwieszają po ścianach, wyjąwszy przypadek powstania familii przez zbrodnie. Inaczej przypominają tylko i wymawiają niejako następcom, że się niezmiernie oddalili od szczepu, który cały ich ród zaszczycił. Pytałem się niektórych właścicieli drzew wielkich, czyby nie woleli siedzieć na samym pniu na miejscu pierwszego ich założyciela? Wszyscy odpowiadali zgodnie, że nie, bo zaszczyt właśnie zależy na oddaleniu się od niego. Myślałem więc w duszy, że on tem bardziejby na ich miejscu być nie chciał. Przyznać wszakże potrzeba, że i ten rodzaj jeografii ma swoje użytki. W wątpliwych albowiem przypadkach, można każdego krewnego poszukać na mapie i z położenia ocenić jego wartość, tak jak się wyciąga z mapy jeograficznej szerokość i długość miejsca. Rzecz dla pływających arcy-potrzebna.

Tak zaś jest przytem drażliwy i zawzięty ród mieszkańców całego królestwa, iż broń Boże, jeden drugiego lub jego parę choć najmniej obrazi, zaraz sobie zaciętą wypowiadają wojnę, którą toczą rozmaitą bronią dopóty, dopóki jeden drugiego nie zabije, lub mu przynajmniej oka nie wyłupi, albo nosa nie utnie. Takowe nikczemne burdy i czuby okraszają imieniem honorowej walki, z którą się lubią popisywać i którą mają za zaszczyt, jak gdyby mogła być, u dobrze myślącego, śmierć honorowa inna, oprócz tej, którą za kraj własny ponosi, i jakby zrobienie burdy i pozbawienie kraju pożytecznego obywatela, nawet tak nazwanem dobrem wychowaniem i najlepszym tonem pokryte, mogło za co innego uchodzić w obliczu rozumu, jak za haniebną zbrodnię. Przyczyną zaś urazy jest albo niewłaściwe i mogące się komu nie podobać stąpanie, albo nieuczczenie kogo god-

nością, jaką sobie sam w głowie nadał, albo użycie przez nieostrożność jakiego wyrazu, który może mieć dwojakie znaczenie, a który obrażająca się strona na krzywdę swoją tłumaczy i naciąga. Czasem samo bywanie w jednem miejscu, lub ubieganie się o coś pożądanego oburza strony i do wypowiedzenia sobie wojny podnieca. Dziwna rzecz, że podobne wybuchy niesfornego zuchwalstwa i nieznośnej dumy, dotąd w kraju zkąd inąd oświeconym uchodzą. Ale też rząd królestwa zakazuje tych partykularnych wojen wszelkim sposobem. Co tyle tylko sprawuje, iż się odbywają potajemnie; chociaż o tajemnicy tej zawsze i wszyscy wiedzą.

Akademija projektystów w Logado, troskliwa nietylko o dobrą sławę wysp, ale razem o powodzenie i dobry humor wszystkich ich mieszkańców, podała względem tych ulubionych zatrudnień swoich ziomków rozmaite myśli i widoki. Tak np. ponieważ spotykające się w towarzystwach nieznajome osoby nic o wzajemnych tytułach i dostojeństwach nie wiedzą, a znajome o nowo nabytych nic wiedzieć nie mogą, przez co łatwo wzajemne rodzą się urazy; zatem, żeby tej nieprzyzwoitości i wynikającym ztąd niechęciom zapobiedz, radzi akademija, ażeby wszyscy mieli przyszyte do sukien, płaszczów, opończy, szub, szlafroków lub czapek miedziane tabliczki z wyrytemi na nich tytułami, lub ze znakami wyrażającemi urząd. Tak np. oddający sprawiedliwość urzędnik mógłby się oznaczyć przez szalkę, na której prawda zawsze idzie do góry; wielki dygnitarz przez wydęty pęcherz, oficyjalista przez napchany wór, dworak przez lisa, komisarz przez wilka, a człowiek prawdziwie zasłużony przez zero. Dodaje projekt, ażeby na domach były podobne tablice ze znakiem dostojności i z dołożeniem JO. lub JW., gdyż tym sposobem każdy wchodzący do domu wie, z kim ma mieć do czynienia i jak go szacować. Nakoniec, ażeby pojazdy, służący i konie nosiły na sobie podobne zaszczyty osób, do których należą.

Co się zaś tyczy wielkich owych drzew familijnych, tedy akademija życzy, ażeby odtąd tak znakomite skarby nie ukrywały się pod dachami i poniewierały po gołych ścianach, ale żeby były okazale wystawione na widok publiczny i stały się uwielbieniem i podziwieniem całego ludu. Radzi więc, ażeby używszy na to mocnych pni dębowych, drzewa takowe stawiać przed każdym domem na środku dziedzińca, nakształt gołębników, a imiona lub wizerunki familijne w klatkach na gałęziach rozwieszać. Tym sposobem każdy przejeżdżający na samym wstępie pozna, z jakim ma domem do czynienia i jak go ma szacować; a z wielości klatek jednym rzutem oka osądzi, wiele ten dom wydał ptaszków. Niektórzy radzili zamykać takowe drzewa w obszernych i mocnych szrankach, a to przez uszanowanie, ażeby rozmaici dworscy jakoto: woźnice, pachołki, kucharze i t. d. nie włazili na nie. Co inni mają za niepotrzebną ostrożność, sądząc, że się tych zdarzeń i ustrzedz niepodobna i że to bynajmniej drzewom nie szkodzi.

Nakoniec, co do chęci i pobudek zabijania się i kaleczenia nawzajem, radzi akademija, ażeby powyznaczać osobne na to komisye, któreby kodeks chodzenia i mówienia dla wszystkich mieszkańców przepisały, z postanowieniem, że kto podług wzmiankowanego kodeksu postępuje, nikogo nie obraża i na wojnę wzywanym być nie może. A gdyby kto był, pomimo tego wyzwany, komisyja ma wziąć wszystkie jego członki pod bezpośrednią swoją opiekę i żadnego nie pozwoli obcinać ani szpecić. Ktoby zaś przepisany kodex przestąpił, komisyja roztrząsa i stanowi w pełnem zebraniu, *najprzód*: Czy przestępstwo jest rzetelne? *powtóre*: Jaki ma być członek za nie odcięty? Występującemu więc na plac przepisuje tylko uciąć nos, palec, lub ucho. Czego gdyby przeciwnik nie dotrzymał i zamiast ucha odciął np. głowę, ma być wyciągniona prawdziwa cena odciętej części np. czy głowa warta jest ucha lub

nogi? a jeżeliby odciął nad przepisaną wartość, resztę familii skrzywdzonego winien dopłacić. Na ten koniec ma być postanowiony komitet, który ułoży tablicę rzetelnej wartości członków w rozmaitego stanu osobach i tę drukiem ogłosi.

* *Spostrzeżenia z tygodnia.*

Jeżeli w roku trzydziestym piątym lub czterdziestym swego wieku po dziesięcioletniem bezpłodnem pożyciu małżeńskiem, kobieta zostaje matką, to w średniej i wyższej klasie, zawsze można się spodziewać jakiejś tragedyi w alkowie wydarzonej. Czasami jest i wiarołomstwo w to wplątane; mąż chciał może przeszkodzić z początku, lecz zamilkł dla uniknienia skandalu. Na gładkiej powierzchni spokojnego życia mieszczańskiego dramat ten wewnętrzny pękł nagle, jak wrzód podskórny. Szaleństwo jest zwykle bardzo blizkiem nas wszystkich. Nie stanowi ono państwa wyłącznego i oddzielnego; życie nasze graniczy z niem i bardzo często przekracza pomimo woli te granice. Nie chodzi też o to, by unikać tych granic i od nich uciekać, ale trzeba się starać, aby nie zadaleko w nie wkraczać.

Żadna istota ludzka nie może być zrozumianą przez żadną z istot ludzkich. Jedynie przez przyzwyczajenie, cierpliwość, interes, przyjaźń mogą się tolerować i znosić.

Dać kobiecie rozum, myśli i poznanie, jest to samo, co wkładać nóż obosieczny dziecku do ręki. Dziecko jest dla matki rzeczą nieokreśloną, nad którą wyobraźnia jej pracuje bez końca, jednem słowem, jest redukcyją ideału. Dla tego to w oczach matki mąż schodzi na drugi plan, staje się tylko dostarczycielem żywności, rodzajem służącego dziecka.

Przewrót kompletny nastąpił obecnie w małżeńskiej władzy. Charaktery ludzkie złagodniały i mężczyzna niema siły znieść widoku łzy w oczach kobiety; ustępuje z litości. Praca zaś powiększyła się i mężczyzna obarczony nią, zanadto jest zmęczony, by módz się oprzeć niepohamowanej woli swej towarzyszki. Ustępuje ze zmęczenia.

Wiek grzeczności i uprzejmości, konwencyjonalny uśmiech światowy na ustach, dyskretne półsłówka żądają zwierzeń, wylania, wynurzań. Mnóstwo grzecznych słówek, wzajemnych usług nawet, ale wewnątrz zupełna niepodległość, oto obraz małżeństwa z XVIII wieku. Wystawcie sobie dwóch partnerów przy wiście; grzeczni są dla siebie nawzajem, gdyż wspólny łączy ich interes, pomagają sobie, poza tem nic. Mojem zdaniem, jest to prawdziwy typ francuzkiego małżeństwa. Nie powinno być ono wolniejsze ani bardziej ściśnione, inaczej, sprzeciwiać się będzie charakterowi rasy. Prawda, że w takim razie trzeba, by każda strona miała jak w XVIII wieku osobne apartamenty, osobną służbę, słowem, sto tysięcy franków dochodu.

Ile was, tyle rodzai skromności. Dla angielki skromność jest obowiązkiem, dla francuzki po prostu należy do dobrego tonu. Posłuchaj półsłówek uczciwych naszych dam; nic nie mówią, a dają się domyślać wszystkiego: dla czego pani B. ma tak mało dzieci? dla czego pani A. ma ich wiele? Świekra, którą wnuczęta uszczęśliwiają, daje nauki swemu zięciowi. Kobieta z dobrego świata zapytuje się o postępowanie w tej mierze kokotki. Młody mój przyjaciel, pan Maurycy S., dla przyśpieszenia swych zwycięztw w obozie płci pięknej, zapewniał zawsze głośno, że umie doskonale panować nad sobą. Skromność jest w tym świecie penioarem muślinowym prześlicznym, powiewnym, haftowanym z kokardami; ale wiatr powieje, lub ktoś przejdzie za prędko i penioar roztwiera się niechcący lub dobrowolnie.

Ile was, tyle rodzai miłości. Długi, wysoki niemiec, uczony, cnotliwy, flegmatyczny, etc., zwykł mawiać: „Dusze, są to siostry spadające po dwie z niebios, na ziemi spotykają się nagle i biegną jedna drugiej w objęcia.” Mały, ruchliwy francuz, krwisty,

nerwowy, żywy i dowcipny, odpowiadał mu na to: „Masz pan racyję, zawsze możesz dobrać trzewik na swoją nogę." — Ile ras, tyle rodzai wyobraźni. Przysłowia o szczęśliwym człowieku są też różne; francuz mówi: „Urodził się uczesany." (*Il est né coiffé.*) Pierwszą rzeczą u niego jest fryzura elegancka. świat i jego przyjemności. Anglik powiada: „Urodził się ze srebrną łyżką w ustach." (*He is born with á silver spoon in his month*). Pozytywista, żarłok, przedewszystkiem dla niego dobre jedzenie, łatwe trawienie, wygoda, zbytek i pieniądze. — Niemiec zaś mówi: „Urodził się w szczęśliwej skórze:" (*Er ist in einer glücklichen Haut geboren*). Sentymentalny, mdły a nie umie się wznieść nad poziom kuchni i chlewa. Jest masarzem, kiełbaśnikiem — idealistą.

Kokotka, prawdziwa elegancka damulka z teatrzyku Bouffes, nie egzystuje w Berlinie. Kilka mężatek z niepewną reputacyją i dosyć dużo gryzetek. Nic więcej. Co więcej, gryzetka musi pozostać przy swojem zajęciu dawnem; każda bowiem kobieta, czy dziewczyna, najmująca mieszkanie, musi dowieść, że ma jakiś zarobek prawy lub majątek. Młody człowiek, gdy chce mieszkać z utrzymanką swoją, musi ją zapisać jako służącę. W Wiedniu znajdujesz mnóstwo małych urzędniczków zaledwie płatnych cośkolwiek. U księcia Esterhazy jest ich pięćdziesięciu na czwartem piętrze utrzymujących rachunki jego majątków. Córki ich jednak chcą mieć nowy kapelusz, tańczyć, zobaczyć kolorowe latarnie i posłuchać muzyki w ogródkach. Panuje więc tutaj tolerancyja, dobroduszność, dobry humor, zmysłowość słodka i trochę sentymentalna. Rozmów się z jaką starą babą a nazajutrz ujrzysz w swoim pokoju młodziuchną mieszczankę, skromną, ze spuszczonemi oczkami i z książką do nabożeństwa w ręku. Jeżeli ją zatrzymasz przez miesiąc, pokochać cię gotowa. W Anglii jest bardzo mało kokotek, ale jednak rodzaj ten zaczyna się przyjmować. Londyn francuzieje nieznacznie. Tymczasem oprócz ohydnej wystawy wieczorem w Haymarket i kilku zbytkownych skandali w Hyde-Parku, świat pośredni kokotek nie istnieje. Niektórzy z młodych ludzi mają jakiś stosunek w oddalonej dzielnicy; jeżeli cię uważają za przyjaciela, powiedzą ci po wielu wahaniach: „Chodź, zobacz moją *little gid* (dziewczynkę): zupełnie wygląda na *lady*." Idziesz i znajdujesz młodą kobietę bardzo przyzwoitą, córkę fermiera lub guwernantkę, która cię przyjmuje bardzo poważnie, rozlewa herbatę i rumieni się za najmniejszem dwuznacznem słówkiem. We Włoszech i Hiszpanii obyczaje zeszłego stulecia przechowują się jeszcze. Dorożkarz odwożąc do hotelu, zapytuje: „Jesteś pan młodym, nie chciałbyś odwiedzić ze mną pewnej rodziny. Bardzo zacni ludzie." Przyjmujesz, prowadzi cię do porządnego domku, znajdujesz ojca, matkę, kilkoro dzieci i młodą dziewczynę przy stole. Kłaniasz się, oddają ci ukłon. Panna wstaje od stołu i wychodzi z tobą do drugiego pokoju, reszta towarzystwa kończy dalej rozpoczętą kolacyję, nieprzerywając rozmowy. Jest to potrzebnem dla powiększenia posagu, lub pomocy w wydatkach domowych. Jednem słowem, kokotka jest rodzajem czysto francuzkim i chodowla jej tylko w Paryżu się udaje. Umiemy doskonale przyrządzać miłość tak, jak sosy i sałaty; dla tego też cudzoziemcy tak chętnie nas odwiedzają i lubią tu pieniądze swe zostawiać. Niektóre z nich wyjeżdżają na prowincyję, gdzie napowrót w świat wchodzą uczciwy. Wprawdzie większa część zamiata na starość ulice i znajduje się na stołach dysekcyjnych, ale i takich jest dosyć, które kupują sobie sklepik z rękawiczkami, hotel podrzędny, zostają kasyjerkami i bufetowemi. W Anglii kobieta upadła jest rodzajem błota; depczą ją i wymiatają na śmietnik. Tutaj podnosi się ona, prostuje, czepia, zasiada na widoku a czasami jeszcze wyżej się wznosi.

Pogardzanie kobietą i zamiłowanie w rupieciach, oto dwa główne symptomata nasze-

go ruchu. Po obiedzie w salonie opuszcza się kobiety i wychodzi się palić do bocznego salonu. Dwóch młodych ludzi w wagonie zapala fajki lub grube cuchnące cygara, by odstraszyć kobiety u wejścia. Nie mówi się dama, tylko kobieta. Nie mówi się miłość, tylko szaleństwo. Młody człowiek popełniający takie szaleństwo, przyjmuje odrazu kilku współpracowników dla pomniejszenia wydatków. Żąda jedynie od swej kochanki gadatliwości bezmiernej, żartów surowych, wyrażeń przekupek. Ona też przejmuje się niezadługo tą rolą, ordynaryjnieje, płaci kelnerów, by jej sprowadzili klijentów, nie czyni różnicy między starcem a niedorostkiem, daje za rywala lampucerowi z teatru młodego księcia, lubi dobre kolacyjki i zbiera pieniądze. Miłość przybiera ton bezwstydny, pozytywny, ostry i zimny, smak pieprzny i korzenny, jakiby jej nadał kapral na urlopie, pragnący zjeść odrazu całą swoją pracę, lub kupiec skór z Rio Janeiro, przybywający z pełną sakwą dolarów na zakupienie tych wszystkich rozkoszy, o których słyszał z opowiadań innych podróżnych. Fajanse, emalie, sztychy, obrazy, rzeźby, chińską porcelanę, stroje —wszystko teraz zbierają. Nie jest to już manią starców; młodzi ludzie, kobiety nawet zbiorów tych dokonywują. Nie widać nawet w tem gustu żadnego wyraźnego, chyba do powykręcanych szpetnie karykatur lub do tłustych konceptów naszych praojców. Smak osobisty nie istnieje nawet u nas; idziemy za wyborem naszych pradziadów, nie wymyślamy nic nowego, naśladujemy ich tylko. Jest to tylko sposób odznaczenia się, zabicia czasu i pieniędzy, potrzeba i chęć zapełnienia swych etażerek i katalogu.

* *
*

Kobieta i dzieło sztuki są spokrewnionemi stworzeniami, ten sam upadek u jednej i u drugiej, ta sama niemoc w czczeniu ich i stwarzaniu; znikły marzenia, którymby iluzyja i wyobraźnia dać mogły ciało. Jeżeli się czego żąda jeszcze, to posiadania i wystawy.

* *
*

Czterdziestoletni człowiek powiedział: „Sprowadziłem miłość do funkcyi, a tę funkcyję do minimalnego stopnia.” Dwudziestopięcioletni młodzieniec opowiedział: „I ja to samo, tylko zamiast minimalnego, użyję wyrazu maksymalnego.” Trzydziestopięcio-letni rzekł im obu: „Minimalny czy maksymalny, wszystko jedno, zawsze ci zostaje kamień na sercu, który dusi.”

* *
*

Od dwudziestu do trzydziestu lat życia człowiek z wielką biedą dusi swój ideał; następnie żyje lub zdaje mu się, że żyje spokojnie, jest to jednak spokój dziewczyny — matki, która udusiła pierworodne dziecię.

* *
*

Żeby zrozumieć ludzi i świat, trzeba zajść samemu do progu samobójstwa, lub granic szaleństwa choć raz w życiu.

*
* *

Jestem już za stary i wszystko się dla mnie skończyło, pozostaje mi tylko obserwacyja a w pięćdziesiątym piątym roku życia jest i to niemałe zajęcie. Zresztą, żyłem zdala od świata trochę dziwacznie, pomimo wszystkiego, oprócz własnego interesu i pozytywnych przyjemności, jest kilka rzeczy, które lubię na czasie. A pan Anatol Dover, mój siostrzeniec szanowny, co on też lubi? A panna X, o którą się podobno stara, co też i ona lubi?

Piękna para i piękny świat, niema co mówić! Za jakie dziesięć lat zobaczymy.

* *
*

Muzyka jest teraz dla kobiet tem, czem matematyka, łacina i inne podobne przyjemności dla mężczyzn — nieokreślonym i odrębnym światem. Trzeba ją znać, by ją pojąć. Wiele z nich dochodzi do najwyższego

stopnia dramatyczności i mechanizmu. Nowy objaw aktorskiego ich usposobienia. Potrzeba im co wieczór nowej porcyi uwielbień i oklasków głośnych.

* * *

Spędziwszy rok cały na badaniu jakiej nauki, astronomii lub botaniki np., znajdujesz się nagle zupełnie nieswój w salonie, jak danser, który długo nie tańcząc, zapomina o swych *entrechats* i *chassés* i nogi mu się plączą, może nawet zwichnąć którą. Co prawda, życie w świecie nie jest niczem innem, jak tylko zwichnięciem wszelkiej prawdy. Kłamię, wypytując się z zajęciem o zdrowie i stan interesów. Kłamiesz mówiąc, iż masz wielką przyjemność widzenia mnie i odwiedzania. Układam i przerabiam opowiadania moje, chcąc zająć myśli słuchaczów. Opinię lub zdanie przeciwne twojemu, przedstawiono w łagodniejszem świetle, by cię bardzo nie zrazić. Używam wielkich przymiotników do określenia twoich zalet i talentów, a jaknajmniejszych dla siebie. Kręcę, przerabiam, powiększam, zmniejszam, jednem słowem, prawda wychodzi zwichnięta i połamana, niepodobna do swego pierwotnego kształtu, niby kobieta po skończeniu tualety, umalowana, strojna, wypchana z jednej strony, ściśnięta z drugiej. Po krótkim czasie nie spostrzegam nawet kłamstw moich, ani ty twoich, a jeżeli jeden zgadnie przypadkiem myśl drugiego, to jedynie biorąc słowa jego za monetę, którą on sam płaci.

* * *

Ojciec stoi oparty we drzwiach i czeka, jak na straży. Córka tańczy, przyjmuje hołdy, roztacza swe wdzięki.

Ojciec pisze jak najęty noc całą, zamknięty w swoim gabinecie, nad ranem wychodzi i biegnie za interesami; córka fryzuje się, stroi, siada do fortepianu, służy za sprzęt do ozdoby mieszkania.

Mąż się zamęcza pracą, żona się nudzi śmiertelnie, siedząc z założonemi rękami. Mąż zmęczony pracą, chce iść spać, żona znużona nudami, chce iść na bal.

* * *

Wypadek ten powtarza się codziennie, ustawicznie, ogólnie. Trzeba też podług niego sądzić wszystko. Siostrzeniec mój, Anatol Dover, ma pomiędzy przyjaciółmi swymi młodego Henryka S. Oby ich więcej miał podobnych! Młody ten człowiek jest już profesorem wyższej szkoły, trochę artysta, dobrze się wziął do życia, pracowity, wesoły, ożenił się przed rokiem; widziałem jego żonę. Szalenie był zakochany w dzień ślubu. Radość jego i wesołość poruszyły moje stare nerwy.

Szczęśliwym był przez pierwsze trzy miesiące, uradowany jak dziecko nowością. Dotąd zamieszkiwał ze staremi schorowanemi rodzicami i znał tylko kokotki i gryzetki. Nowa młoda jego żona uszczęśliwiała go. Gracyjana, żywa, naiwna, młodsza od niego o lat dwanaście, cały świat miał jej odkryć.

Teraz bawi go ona jeszcze czasami swą naiwnością. „Wiesz pan, powiedział mi kiedyś, przypomina mi ptaszka lub dziecię wesołe, jakże jej nie kochać, rano np., przychodzi do mnie z oznajmieniem, że włoży niebieską suknię, lub że będzie omlet z konfiturami na obiad."

W tych dzieciństwach wiele jest i niedogodności; przeszkadza mu w robocie, przerywa, gdy pisać lub myśleć zacznie, nie rozumie, że mu potrzebny spokój do stworzenia i zebrania myśli. Zaledwie przez dwie godziny dziennie jest wolny i to od 5-tej do 7-mej rano, podczas gdy śpi jeszcze. Jest trochę ograniczona, jak wszystkie młode panienki a uparta, jak wszystkie młode mężatki; idzie tylko za głosem zabawy, nie pojmuje żadnych interesów ani spraw poważnych, oddaje wizyty; ciągnie męża za sobą. „Dotąd — mówił — to wszystko jako tako, gdyby dalej tak samo było, wolałbym się utopić, lub jechać do Meksyku." Gdy była panną, życie jej składało się z następujących zajęć:

odwiedzała przyjaciółki, odbierała wizyty, dobrze się trzymała w salonie, grała na fortepianie, etc. Nie zmieniła się nic w tej mierze i dziwnieby jej się każda zmiana zdawała. Nie znał jej i znać nie mógł: „gdym się starał o moją żonę, musiałem codziennie składać egzamina; kuzynkowie, kuzynki, wujowie, ciotki badały mnie skrupulatnie. Oprócz ceremonialnego „dzień dobry" nie podobna mi było pomówić z moją narzeczoną. Co więcej, przez galanteryję musiałem jej ustępować we wszystkiem. Dlatego też w naszem umeblowaniu takiem nieudatnem przebija gust dziecięcy."

Teraz stosunek ich się oziębił, nie rozmawiają prawie z sobą. Czeka na przyjaciółkę, by jej zapytać, jak tło ma zapełnić w robocie kanwowej — zielone, czy żółte. On też korzystając z jej zajęcia, bierze za kapelusz i wynosi się na miasto. Niepodobna jej nakłonić do zwrócenia uwagi na jego interesy i idee, oraz trudności, które ma często do pokonania. Czasami usiłuje je czynić zrozumiałemi dla niej, ale napróżno; wychowaniem i inteligencyją nie może im sprostać, słuchać się zdaje z uwagą, gdy do niej mówi, ale gdy mówić przestanie, nie wie, co jej powiedział. Są różnego zdania co do wyobrażeń, myśli, religii — we wszystkiem. Powiedział kiedyś, że wielu księży przywdziewa sutanuę, by uniknąć poboru do wojska, że kobieta do pięćdziesięciu lat niema zdrowego pojęcia o niczem i t. d. Przeczy mu we wszystkiem, aby się tylko sprzeczać, nie wiedząc nawet, dla czego i co sama sądzi. Stara się ją oświecić, niepodobieństwo, znajduje grunt jałowy a co gorsza, niezdolny do uprawy.

Pozostali więc zdala od siebie pojęciami a on to odczuwa bardziej od niej. Czuje, że pozostaną tak na zawsze, że nie zdoła nigdy uczynić z niej towarzyszki swej prawdziwej i żegnają się po trochu.

Wieczory wydają jej się długie okropnie, jakby ją tu zabawić i zająć? Siada wreszcie do fortepianu i trzepie po klawiszach; źle czy dobrze, mniejsza o to, ma zajęcie, a on względny spokój.

Na szczęście, spostrzega w niej talent, który się po trochu rozwija, talent ekonomiczny. Dotąd nie znała wartości dwudziestu franków, teraz nauczyła się tego i zajmuje ją to dosyć. Któżby to pomyślał, patrząc na tę twarzyczkę ładną, wyrazistą, trochę kapryśną, ale oryginalną? Dosyć, że w ten sposób będzie mogła się stać użyteczną i stanie się nią niezawodnie.

Utworzą tym sposobem jedno z tych dobrych małżeństw średniej burżuazyi, w której to klasie jedynie jeszcze dobre stadła się udają.

* * *

W stadłach wyższej burżuazyi—spekulacyje i ruina. W arystokratycznych—cudzołóztwo. W burżuazyi, która ma pretensyje do arystokracyi, często jedno i drugie.

* * *

Jako matka i dziecko, jako figurka salonowa, stojąca lub siedząca na fotelu, kobieta jest ideałem. Jako żona i kochanka często partnerem, częściej przeciwnikiem a najczęściej — nieprzyjacielem.

* * *

Chłopskie przysłowie: Ojciec jeden może wyżywić dwanaścioro dzieci, ale dwanaścioro dzieci nie może wyżywić jednego ojca.

* * *

Dziecko rządzi kobietą, ona rządzi mężczyzną, a on dopiero światem.

* * *

Punkt mój widzenia jest fałszywy, wogóle te rzeczy się łagodniej obywają. W każdej machinie jest wałek z sukna, który zmniejsza hałas uderzeń. Wałkiem tym jest wesołość, obojętność, zwyczaj wychodzenia i bawienia się po za domem. Dusza nasza jest sprężysta, nie może długo być skurczoną

pod naciskiem przykrych myśli. To też szczęśliwy małżonek nie rozdrażnia się, nurtując wewnętrznie przykrościami swemi. Ubiera się i idzie z wizytami, rozmawia prędko i dobrze, dowcipnie, nawet błyszczy, zabawia się własnem opowiadaniem. Zmartwienia jego stają się przedmiotem nawet jego żartów, śmieje się z nich pierwszy i w taki sposób patrzeć na nie będzie odtąd. Już się wyprostował, odżył własną wolą i czynem.

Lord B. co rok przyjeżdżał na dwa miesiące do Paryża patrzeć na nasze ruchy i fizyonomie. Powiadał, że te dwa miesiące w roku utrzymywały go przy życiu i różowo na świat spoglądał.

Uciekając z domu, francuz się rzuci w rozmowę, niemiec w muzykę, anglik w interesy. Czasami, to co zowią filozofią, służy niejednemu, ale co do mnie, wolałbym wodziankę. N... powiedział mi kiedyś: „pewnego dnia byłem smutny, zamknąłem się w bibliotece wśród dwunastu tomów uczonych rozpraw. Po tygodniu byłem jeszcze smutniejszym; powróciłem więc do zwykłego trybu, dodałem doń tylko wielki befsztyk rano, jazdę konno popołudniu i jedną z gryzetek wieczór". Ludzie naszej strefy mają pracę, literaturę i świat, w biednych klasach wódkę, która zastępuje literaturę.

Na wschodzie mają opium i marzenie. Najszczęśliwszym pod słońcem człowiekiem, którego poznałem, był niejaki bramin z Kalkuty. Miał długą głowę, wązką przy skroniach i czaszkę ogromnie wysoką; członki chude, płeć ciemną terrakoty. Cała siła tego ciała zdawała się mieścić w mózgu, reszta zaś drzemała tak, jak niektóre zwierzęta przez zimę. Potrzeby jego były prawie żadne, nie lubił nawet i nie używał perfum. Pięć do sześciu uncyj ryżu dziennie, woda, dach nad głową, z białego płótna ubranie; dwóch służących. Ani przyjemności, ani ciekawości, ani zepsucia w nim nie było. Spędzał dnie milczący, siedząc na skrzyżowanych pod sobą nogach u progu mieszkania. W tej nieruchomej masce oczy tylko grały, wbite w jedno miejsce a błyszczące jak zarzewie. Tak jak wielu jego współczesnych, zrzucił z siebie wiele przesądów i przyznawał się do tego głośno. Przez lat dziesięć, mędrcy angielscy radzili się go w wydawnictwach sanskryckich; pojmował i filozofię europejską. Pewnego razu jeden z doktorów, uwierzywszy w jego nawrócenie, kazał mu skosztować trochę bulionu. Zemdlał z obrzydzenia, uciekł potem i nie pokazał się więcej w ich towarzystwie. Następnie uspokoił się cokolwiek. Tytułem pół francuza, pół niemca dostałem się do niego i kilka tygodni patrzyłem na jego dziwny uśmiech. Podobały mu się nasze nauki, ale badania nasze wydawały mu się pracą mrówczą, kłopotem tych biednych stworzeń bezskrzydlatych, zmuszonych zmudnie drapać łapkami i niemogących wznieść się nawet w powietrze, by spojrzeć na dzieła własne. Przymykał potem oczy i widział wyraźnie dzika Wisznu, porywającego niechcący jednym kłem ogromny Ganges, syna nocnego jakiegoś bożka i bogini. Widział twarze wszystkich tych niezliczonych bożków i miljony światów, wychodzących jak para z tego nieśmiertelnego i nieruchomego pierwiastka i ginącego w nim napowrót.

Zdaje mi się, że zakończył życie tknięty apopleksyją lub zidiociał. W Europie mamy naukę. Jest to także rodzaj samobójstwa powolnego i inteligentnego.

H. Taine: „Życie i spostrzeżenia o niem".

Spotkanie.

* *Spotkanie po latach wielu.*

Lancelot. Zaprawdę, sumienie pozwala mi uciec od tego żyda, u którego jestem w służbie, zły duch wciąż za mną stoi i kusi mię i szepcze: Gobbo, Lancelocie Gobbo, mój kochany Lancelocie; albo: mój kochany Gobbo, albo mój kochany Lancelocie Gobbo, użyj swoich pedałów, weź je za pas i drapnij. Sumienie moje mówi na to: strzeż się, mój poczciwy Lancelocie, strzeż się mój poczciwy

Gobbo, lub wreszcie: strzeż się mój poczciwy Lancelocie Gobbo, nie uciekaj: odepchnij ucieczkę nogą precz od siebie. Ale zły duch niczem nieustraszony, każe mi się wynosić. Marsz! mówi zły duch, zabieraj manatki! mówi zły duch; na miłość zbawienia! mówi zły duch, nabierz męzkiej odwagi i ruszaj. Sumienie moje zakłopotane rzuca się mojemu sercu na szyję i mówi do mnie arcymądrze: Mój poczciwy przyjacielu, mój poczciwy Lancelocie, ponieważ jesteś synem poczciwego ojca—czyli raczej poczciwej matki; bo mój ojciec lubił czasem pozwolić sobie,—ot że, sumienie moje mówi: Lencelocie nie ustępuj.—Ustąp! mówi zły duch; nie ustępuj! mówi moje sumienie. Sumienie! mówię: dobrze radzisz;—zły duchu, mówię, dobrze radzisz. Gdybym się dał powodować sumieniu, musiałbym pozostać w służbie u tego żyda, który Boże mi przebacz, jest rodzajem szatana; a gdybym uciekł od tego żyda, tobym się dał powodować złemu duchowi, który (wybaczcie mi państwo) jest samym że szatanem. To pewna, że ten żyd jest szatanem wcielonym, i (na sumienie) sumienie moje niema chyba serca, kiedy mi może radzić, żebym u tego żyda pozostał. Zły duch daje mi życzliwszą radę. Dam drapaka, zły duchu; nogi moje na twoje rozkazy.

(Stary Gobbo wchodzi z koszem w ręku).

Gobbo. Kawalerze: powiedzcie mi, proszę, którędy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

Lancelot (na stronie.) O nieba! wszakci to mój rodzony ojciec. Czy go do reszty katarakta oślepiła, że mię nie poznaje. Muszę go trochę zażyć z mańki.

Gobbo. Mości kawalerze, powiedzcie, proszę, którędy tu się idzie do mieszkania pana żyda?

Lancelot. Udajcie się od rogu na prawo, ale od najpierwszego rogu na lewo, uważacie? — od najbliższego rogu nie udacie się ani na prawo ani na lewo, tylko się wykręcicie w bok prosto do mieszkania pana żyda.

Gobbo. Ach mój Bożeczku! po takiej drodze trudno będzie trafić! Nie moglibyścież mi powiedzieć, czy niejaki Lancelot, co jest u niego, jest u niego, czy nie jest?

Lancelot. Chcecie mówić o młodym panu Lancelocie? (na stronie) uważajcież teraz, jaką puszczę fontannę. — (Głośno). Chcecie mówić o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. Nie o żadnym panu, mój Panie, ale o synu pewnego biedaka. Jego ojciec, jest sobie poczciwym, bardzo biednym chudziną, ale Bogu dzięki przy dobrem zdrowiu.

Lancelot. Mniejsza z tem, niech jego ojciec będzie, czem chce: mowa tu jest o młodym panu Lancelocie.

Gobbo. O słudze Waszej Wielmożności i o Lancelocie.

Lancelot. Powiedzcie mi przeto, mój staruszku; proszę was przeto, powiedzcie mi, czy mówicie o młodym panu Lancelocie?

Gobbo. O Lancelocie, do usług Waszej Wielmożności.

Lancelot. Przeto o panu Lancelocie. Nie mówcie ojcze o panu Lancelocie, bo młody ten pan, (z woli losów i przeznaczeń i tym podobnych technicznych wyrażeń za sprawą trzech siόstr i tym podobnych gałęzi naukowych), prawdę mówiąc rozstał się z życiem, czyli po prostu mówiąc, przeszedł na łono wieczności.

Gobbo. Niechże Bóg uchowa! ten chłopak był prawdziwym kijem mojej starości, prawdziwą moją podporą.

Lancelot. Czy to ja wyglądam jak pałka, albo kłoda, żebym był kijem albo podporą? Nie poznajesz mię, ojcze?

Gobbo. Biedneż moje lata? Nie poznaję was, Panie: ale powiedzcie mi proszę, czy mój chłopak, (Panie świeć nad jego duszą) zostaje przy życiu, czy umarł?

Lancelot. Nie poznajesz mnie ojcze?

Gobbo. Niestety! mam krótki wzrok: nie poznaję was, Panie.

Lancelot. Dalipan, choćbyście mieli oczy, moglibyście mię nie poznać: mądry to ojciec,

co zna własne dziecko. No staruszku daję wam wiadomość o waszym synu: błogosławcie mię! (Przyklęka). Prawda wyjdzie na wierzch. Zabójstwo nie może być długo ukryte, ale prawdziwy syn swojego ojca może być; bądź co bądź, prawda wyjdzie w końcu na wierzch.

Gobbo. Proszę was, panie, powstańcie: jestem pewny, że wy nie jesteście moim synem, Lancelotem.

Lancelot. Zaniechajcie już, ojcze, tych facecyi i dajcie mi błogosławieństwo. Jestem Lancelotem, waszym chłopcem, który był waszym synem, który jest waszem dzieckiem, które będzie...

Gobbo. Nie mogę myśleć, że jesteście moim synem.

Lancelot. Nie wiem sam, co mam o tem myśleć; ale jestem Lancelotem, sługą tego żyda; i jestem pewny, że wasza żona Małgorzata jest moją matką.

Gobbo. Małgorzatać jej na imię. Jeżeli jesteś Lancelotem, to mogę na to przysiądz, żeś ty moja własna krew i ciało. Niech Bóg będzie pochwalony! Jakiegożeś dostał zarostu! Więcej masz włosów w brodzie, niż Jacuś, mój stary koń hołoblowy, w ogonie.

Lancelot. To widać Jacusiowi ogon w tył rośnie. Pamiętam przecie, że więcej miał włosów w ogonie, niż ja na twarzy, kiedym go widział po raz ostatni.

Gobbo. Chryste Panie! jakżeś się odmienił!

Szekspir. (p. t. I, str. 92).

* *Wspomnienie z podróży.*

Rankiem wczesnym ruszyliśmy z przed białego dworku.

Dwa gniade weterany ciągnęły popielaty wózek mego przyjaciela, — wózek świetnie okuty przez wiejskich cyklopów, a wybity suknem przez człowieka, który jest jednocześnie rymarzem, tapicerem i w razie potrzeby nadwornym cyrulikiem. Tak to po wiejsku bywa: kowal kuje konie i rwie zęby ludziom, rymarz szyje chomonta i goli — organista chwali Pana Boga i hoduje gęsi — a wszystko *dla prędkości.*

Spieszyliśmy na stacyję kolei, a obydwóm było nam bardzo i bardzo pilno do Warszawy.

Mój przyjaciel bogaty rolnik, Krezus powiatowy, plantator buraków i amator piesków pokojowych— pędził aby dogonić swego dłużnika; ja zaś—ubogi wyrobnik pióra, Hiob gubernialny i bazgracz, pędziłem, aby ujść pogoni wierzyciela, który mnie gonił...

Łatwo zrozumieć, że i ja i mój przyjaciel spieszyliśmy się nie na żarty.

Wypadło nam kilkakrotnie zboczyć z drogi nakładając tu milkę, tu pół, tu kilka wiorst wreszcie.

Trzeba było wstąpić do sądu, aby poprzeć sprawę o uszkodzenie na zdrowiu prosięcia, schwytanego w cudzym grochu — zajrzeć do sąsiada, to wreszcie za jedną drogą złożyć znów komuś wizytę.

Koniska sterane wiekiem i pracą znużyły się—trzeba im było dać chwilę wytchnienia, my zaś byliśmy głodni jak psy... trzeba nam było co zjeść.

Wjechaliśmy w ulice miasta, mającego w swych murach kupca, którego nazwisko nie da się wymówić, a który sprzedaje za to potrawy, które nie dadzą się nazwać.

Wstąpiliśmy tedy do owego sklepu, w którym można dostać wszystkiego, począwszy od zgrzebła lub łopaty, aż do nitki jedwabiu i butelki octu....

Zaledwie zaczęliśmy znęcać się nad smażonemi zwłokami jakiegoś (przedpotopowego zapewne) wołu... podziwiając jednocześnie *kopersztych* angielski zawieszony na ścianie, gdy w sklepie tuż obok zajmowanego przez nas pokoiku dał się słyszeć koncert....

Koncert! koncert świeżych, dźwięcznych, melodyjnych głosów kobiecych.

Sądziłem, ze udławił się szczękami owego wołu... że struł się raptownie imitacyją piwa, którą gasiliśmy pragnienie...

Mój znajomy zerwał się z krzesła i poczerwieniał jak burak.

Lecz nie. Mój przyjaciel poznał, do kogo należą melodyjne głosy i wybiegł do sklepu, a ja zdziwiony słyszałem tylko srebrzyste śmiechy, niby odgłosy loretańskich dzwonków i wesołe powitania:

— Ach—cóż takiego, jaka okazyja?!

— Toż Jerzy kochanieńki powie, że my tu zmówili się i spodziewali się tego prosiłszy go o konie.

— A ja śniłam spałszy, że to będzie dzisiaj jakaś niespodziana kategoryja.

— Ach jakże jestem szczęśliwy, grzmiał grubym basem mój przyjaciel (który tem się odznacza, że jest dziwnie twardym wobec kupców zbożowych, a dziwnie miękkim wobec ładnych kobiet) jakże jestem szczęśliwy z tego spotkania!

— Z czego on u dyjabła taki szczęśliwy?— zapytałem w duchu sam siebie— ale zanim jeszcze sformułować mogłem jaki domysł, kolega mój otworzył drzwi i z galanteryją, na jaką tusza jego pozwoliła, wprowadził do pokoiku damy, którym przedstawiony zostałem...

Pierwsza z nich panna Felicyja, młoda i rezolutna osoba, prowadziła rozmowę, grając rolę matki wobec dwóch swych siostrzyczek.

Siostrzyczki te... nie! precz nędzna prozo! w wiązanej mowie bogów zaledwie kusić się można o słabe opisanie tych istot... które, jakkolwiek równie niemal piękne, stanowiły jednak szczególny pomiędzy sobą kontrast....

Bo obie wyglądały cudnie
I miały równą wdzięków moc,
Józia, blondynka jak południe...
Krysia, brunetka tak jak noc...

. . . .

Józia w blond włosów jasnej koronie,
Miała na twarzy polnych róż kolory...
Oczy jak niebo gdy w falach utonie,
Warkocz jej niby słońce, gdy za bory
Zachodząc, złoci łany pól i błonie,
Gdy są cudowne sierpniowe wieczory...
Była to niby rusałka, co z wody
Ukaże czasem rumiane jagody...

. . . .

A Krysia była do niej niepodobna...
Warkocz jej walczył czarnością z hebanem...
Wiotka jak trzcina, zgrabniutka i drobna,
Groziła wzrokiem jak gdyby wulkanem,
Źrenicą, która łezką czasem zdobna—
Potrafi porwać uczuć huraganem,
Która się umie w tęsknocie rozżalić,
Lub też na węgiel śmiałe serce spalić.

No i cóż dziwnego, że wobec takich istot, które jak dwie zwrotki idealnego poematu przerwały nudną prozę naszej podróży — my, to jest mój przyjaciel i ja — obydwaj już nie młodzi, obydwaj żonaci, zakochaliśmy się po uszy nie mając na to ani zezwolenia z właściwej parafji, ani kwitków od ukochanych naszych małżonek.

— Daleko jeszcze do pociągu?— pyta mój przyjaciel.

— Ach - cóż takiego pociąg! – mówi panna Felicja,—cóż znaczy godzina przeciw wieczności, a wieczność przeciw towarzystwu; nasz kochanieńki braciszek Jerzy będzie może się gniewał, że my tu zasiedziawszy trzymamy konie... ale on taki duszka, że jak go Józia pogłaska pod brodę, to by nietylko koni, ale nawet wołów pozwolił trzymać choć trzy dni.

Och pociąg! pocóż było go szukać—kiedy obaj mieliśmy już pociąg, nie w zimnych „Mrozach" ale w sercach, w którym się odzywała „Miłosna," (w włosach stających „Dębem Wielkiem," w obawie gniewu żon)...

Po co pociąg?...

Rozmowa szła wesoła... mówiliśmy o zabawach, o pomarańczach i miłości, o ogórkach i sympatji.

Lecz niestety, wszystko ma swój koniec, nawet i milutkie spotkanie!

Panny pojechały do domu, a my obaj smutni, niby głazy milczące, popędziliśmy do kolei...

Kiedyśmy przyjechali na stacyję, pociąg akurat ruszył z miejsca...

Mój przyjaciel dostrzegł w oknie wagonu szczęśliwą twarz swego dłużnika, który zmykał na skrzydłach pary — a ja! ja poczułem na ramieniu dłoń nieubłaganego wierzyciela, który rzucił mi w oczy straszliwe pytanie:

— Co będzie?!

Odpowiedziałem mu na to:

Ach! obie wyglądały cudnie
I miały równą wdzięków moc,
Józia, blondynka jak południe...
Krysia, brunetka, tak jak noc!

* *Dwa spotkania.*

Spotkałem go w młodości dniach,—
W objęcia moje upadł on,
I rzekł mi: „Bracie w wspólnych snach,
Znajdziem zwycięztwo albo zgon"
Spotkałem po latach wielu
Spotkałem na środku rynku,
W objęcia padł: „Ach przyjacielu",
Zawołał: „chodźmy do szynku!"

El.....y.

Spowiednik.

* Spowiednik Karola V (Charles-Quint), który nie wspomniał przed nim o żadnym z grzechów swojego stanu, rzekł do niego:

— Wyznałeś przedemną grzechy Karola, wyznaj że mi teraz grzechy cesarza.

(Bibliothèque de société.)

* Jedna z dam dworu, spowiadając się u ojca Bourdalone, zapytała go, czy grzechem jest uczęszczanie na komedyję i czytanie romansów?

— To ty pani możesz mi dać objaśnienie w tym względzie.

* Młoda dama odbywała spowiedź przed zakonnikiem. Po kilku zapytaniach, tyczących się grzechów, spowiednik objawił chęć poznania jej nazwiska.

— Mój ojcze, nazwisko moje nie jest bynajmniej grzechem—odrzekła dama.

* Młoda panienka wyznała na spowiedzi, że czuła wielki szacunek dla pewnego młodzieńca.

— Jak często popełniałaś ten grzech?— spytał spowiednik.

* Ksiądz Gobelin był kierownikiem sumienia pani de Coulanges.

Pewnego razu wysłuchawszy ją z grzechów całego życia, rzekł:

— Wszystkie grzechy pani de Coulanges są epigrammatami.

* Pewien prokurator poszedł wraz z żoną do spowiedzi. Pani prokuratorowa wyspowiadała się pierwsza, ale ponieważ litanja grzechów była bardzo długa, proboszcz znużony zasnął. Penitentka w przekonaniu, że dźwięk organów nie dał jej usłyszeć słów rozgrzeszenia, odeszła. Mąż zajął jej miejsce, a słysząc chrapanie księdza, spytał:

— Czy śpisz mój ojcze?

— Nie pani,—rzekł spowiednik, budząc się, —nie śpię wcale: ostatni grzech, o jaki się oskarżyłaś, był ten, żeś się starała sprowadzić z drogi cnoty sekretarza twego męża.

* Jeden ksiądz, znajdując się w licznem towarzystwie, opowiadał wrażenia doznane przy słuchaniu pierwszej spowiedzi.

— Moją pierwszą penitentką — mówił — była młoda kobieta, która oskarżyła się o sprzeniewierzenie mężowi.

W chwilę potem, weszła do salonu młoda i piękna kobieta, przyjaciółka pani domu. Ujrzawszy księdza, podeszła do niego, witając go uprzejmie. Ksiądz zarumienił się i zaambarasował.

— Proszę księdza—zawołała piękna pani — myślałby kto, że mnie nie poznajesz a przecież znamy się oddawna, bo byłam najpierwszą twoją penitentką.

Można sobie wyobrazić zmieszanie księdza i złośliwe uśmiechy zgromadzonych gości.

Spowiedź.

* *Spowiedź naiwna.*

Pewien wieśniak przyznawał się na spowiedzi do kradzieży siana. Spowiednik pyta go, jak wiele zabrał, czy było wiązek trzydzieści?

— Eh nie!

— Więc ileż, sześćdziesiąt?

— I to nie, ale niech tam dobrodziej zarachują cały wózek, bo my się z kobietą wybieramy i po resztę.

(*Bibliothèque de société.*)

* *Spowiedź treściwa.*

Hrabina de Grolée, siostra kardynała de Tencin, traktowała życie bardzo z lekka.

Gdy mając lat osiemdziesiąt siedem zaniemogła ciężko, przyprowadzono jej spowiednika. Na widok sędziwego księdza wszyscy obecni chcieli się oddalić, ale staruszka dała im znak, aby pozostali.

— Pozostańcie, nie potrzebujecie wcale wychodzić, ja mogę odbyć spowiedź głośno i pewną jestem, że nikogo ona nie zgorszy.... Mój ojcze!—byłam młodą,—byłam ładną—mówiono mi o tem, a ja temu wierzyłam... osądź resztę sam.

Prawdopodobnie spowiednik nie musiał się zadowolnić tak ogólnikowem wyznaniem i pewnie zażądał bliższych szczegółów.

(*Paris, Versailles et les provinces aux XVIII siècle.*)

Sprawa.

* *Sprawa w sądzie.*

Sądzono sprawę w sądzie kryminalnym a ponieważ miały nastąpić wyjaśnienia drażliwej treści, prezes przemówił, zwracając się do publiczności:

— Niech kobiety uczciwe wyjdą z sali.

Nikt się nie ruszył na to wezwanie, ciekawość przemogła wstyd.

— Teraz, kiedy uczciwe kobiety wyszły, powiedział prezes, odźwierny, wyprowadź pozostałe!

Sprawiedliwość.

* *Skrzywdzony Wojtek.*

Prześwietny sądzie—gdzie tu sprawiedliwość? jakem bez dzień cały młócił owies, to mi dali czterdzieści groszy i wódki, a tu jeno trochę omłóciłem babę i mam iść za to do kozy na tydzień.

Sprostowanie.

* Mam honor donieść Szanownej Publiczności, że pisząc moją bajkę:

Bo ci Stasiu mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze.

nie wiedziałem o pojawieniu się plam na słońcu, bo i te uważałbym za niemożliwe do wyprania.

Śp. Stanisław Jachowicz
autor bajki „Staś na sukni."

Spryt.

* *Prześlizgnął się.*

— Jakim sposobem Jonasz mógł być połknięty przez wieloryba, kiedy wieloryb ma takie wązkie gardło.

— Bo żydzi wszędzie umieją się wślizgnąć.

Sprzeczka.

* Najprędzej sprzeczka z niczego się [wznieci.
Tak to między małżeństwem raz poszło o dzie- [ci:
Mąż utrzymywał, że lubo nadobne,
Jednak do niego całkiem niepodobne;
Żona zaś powtarzała: podobne z urody
Do swego ojca, jak dwie krople wody.
O cóż im chodzi? Wszystkich sprzeczką zadzi- [wili.
Bo żona prawdę mówi, a mąż się nie myli,—

Aleksander Fredro p. str. 67.

* *Dla przecięcia sprzeczki.*

Paweł, dzielny piwosz, założył się z kolegami, że wypije 12 butelek zagranicznego mocnego piwa bez odpoczynku, jedną po drugiej; dla uniknienia pomyłki, za każdą wypróżnioną butelką znaczono kreskę na ścianie. Gdy Paweł wypróżniwszy już 11 butelek, zabierał się do ostatniej, wszczęła się sprzeczka wśród kolegów o dokładność rachunku. Jeden utrzymywał, że tylko 10 butelek Paweł wypróżnił, drudzy dowodzili, że 11. Paweł sam najmniej był pewny, kto ma racyję—więc odzywa się wreszcie:

— Ej, nie warto się tyle sprzeczać o takie głupstwo; zacznę jeszcze raz od początku, ot ta będzie pierwsza — tylko teraz rachujcie i znaczcie porządnie.

Środek.

* *Dobry środek.*

A! ha... ha — Jowisz ziewa, woła Merkurego,
„Słysz Merkury, tyś sprytny, ty biegasz po [świecie,
Widzisz wiele, znasz wiele, daj mi coś takie- [go,
Czembym mógł moje nudy rozegnać raz prze- [cie.
Umęczon bachanalją, ciągłym karnawałem,
Spocząć muszę, lecz taki spoczynek mię nudzi,
Już wista, już bezika z Herą, z Marsem gra- [łem,
To patrzyłem z Olimpu na ziemię, na ludzi,
To z Wenerą gruchałem na złość mojej żonie,
Myśląc, że dla rozrywki zrobi awanturę,—
Gdzietam, ona usiadła znów przy Apollonie
I wespół jakąś ckliwą gwiżdżą uwerturę."
— „Ja nie widzę lepszego lekarstwa na nudy.
Nad sen miły." — tak mądry Merkury odpo- [wie—
— „Nie mądryś mój Merkury; powiem bez, [obłudy
Na twą radę zbyt mądrą, w jednem krótkiem [słowie.
Mów, skąd snu mi dostaniesz? Tego Morfeusza
Ani moje błagania, ani groźby moje,
Nic hultaja na świecie już teraz nie wzrusza,
Choć go chwycę za uszy, tęgą kurtę skroję,
Przyjdzie do mnie na chwilę, siądzie na po- [wieki,
Ledwo chrapać rozpocznę, ledwo zamknę [oczy,
On poleciał już urwis znowu w świat daleki...
Gońże za nim po stepie, kiedyś tak ochoczy."
—„Dobrej myśli bądź ojcze, mam i na to radę,
Wszak nie darmo mię swoim mianowałeś po- [słem.
Prawda, ile ja razy w podróż jaką jadę,
Zawsze coś ci dobrego z mej drogi przynio- [słem.
Ot i teraz niedawno zleciałem na ziemię
I widziałem tam ludek —choć nas nie uznaje,
Choć to nędzne, mizerne jakieś ludzkie plemię,
Ale przecież niektóre dobre ma zwyczaje.
Tam to po karnawale, bo gdzież jego braknie,
Kiedy naród zmęczony i zabaw już syty
Odpoczynku miłego on powszechnie łaknie,
Urządza wtedy sobie przeróżne odczyty.
Treść ich mnoga, lecz wcale nie chodzi im [o to.
Ludek ten o odczytów treść tam nie dba [wcale,
Lecz głównym charakterem, główną dla nich [cnotą
Tych odczytów, że na nich chrapią doskonale.
Środek dobry, zawołaj przemądrą Atene
I Apolla, gdy utwór ma byle nie krótki,
Niech czytają ci trochę—tylko notabene
Im jest dzieło uczeńsze, tem pewniejsze sku- [tki."

* * *

W dzień następny Imci Mars do Zeusa przy- [bywa,
By dowiedzieć się, ile porada skutkuje,
Lecz odźwierny nań zdala woła, ręką kiwa,
Że Zeus dzisiaj zajęty, bo z kimś konferuje.
—„Z kimże takim? Z Ateną?—to rzecz wy- [śmienita.
Więc powiadasz, że z sobą prowadzą dysputy?"

„To jest niby—Atena, jakieś dzieło czyta,
A Zeus słucha, a raczej chrapie, jakby skuty.”

Hugo Pfisterer.

* *Niezawodny środek na uśmierzenie dotkliwego bólu zębow.*

Rp. Weź kwaśnej śmietany w usta i tak długo głową trząś, póki się masło nie zrobi.

Gdyby jednak (co się bardzo rzadko zdarza) środek ten nie pomógł, wtedy:

Rp. Weź mleka słodkiego w usta i usiądź na blasze angielskiej kuchni (n. b. pod którą się ogień pali) i tak długo siedź, póki się mleko nie zagotuje.

* *Praktyczny środek.*

Pewien młody człowiek szedł pośpiesznie, chcąc zdążyć na odchodzący pociąg. Przechodząc trotuarem koło sklepu rzemieślnika, pośliznął się i łokciem wybił szybę. Szedł dalej, nie zatrzymując się, gdy w tem usłyszał za sobą pośpieszne kroki i głos wołający:

— Hola, mój panie, musisz mi za rozbitą szybę zapłacić.

— Bardzo chętnie,—odrzekł podróżny,—co panu winien jestem? Mów pan prędko, bo mi się bardzo śpieszy.

— Winien mi pan guldena.

— Ach, mój Boże, a ja mam same złoto w pugilaresie.

— Nic nie szkodzi, rozmienimy je.

— Ależ pociąg zaraz odchodzi, a ja muszę z całych sił spieszyć, by zdążyć na czas. Ale, czekaj pan, mam tu na szczęście dwu guldenową srebrną sztukę—prędko, prędko, drogi panie, zwróć mi guldena.

— Do pioruna, dajże mi pan choć chwilę czasu. Tereso, Tereso, idź prędzej do sąsiedniego sklepu zmienić tę sztukę.

— Jakto i ja mam czekać?

— Niechże pan będzie cierpliwym, mój panie, teraz niesłychanie trudno o drobne pieniądze.

— Jeśli tak, puszczaj mnie pan, nie mogę tracić ani minuty.

— Co też pan mówi? Nie mogę za szybę kosztującą guldena, brać dwa guldeny.

— Czy tak, no to czekaj pan, wiem już, co zrobić—stłukę jeszcze jedną szybę i pokwitujemy się.

Mówiąc te słowa, uderzył w drugą szybę i puścił się pędem w kierunku dworca.

* *Środek ryzykowny.*

Powiadają, że kiedy Bonaparte otrzymał pierwszą nominacyję na dowódzcę armii włoskiej, dyrektoryjat nie chciał, czy też nie mógł dostarczyć mu środków odpowiednich a niezbędnych do odbycia tej podróży i zaprezentowania się z pewną ostentacyją wobec tak licznego wojska.

Zakłopotany generał gromadzi, co może z pomocą swoich przyjaciół i swego kredytu—ale wszystko to nie wystarcza. Postanawia spróbować szczęścia; oddaje zebrane pieniądze Junotowi, który grywał w karty, —wysyła go na pole walki przy zielonym stoliku—polecając, aby przegrał co do grosza, lub wracał ze zdwojonemi funduszami.

Wygrana Junota przechodzi wszelkie oczekiwania obydwóch, — nie poprzestaje wszakże na tem ambitny generał i ufny w swoją gwiazdę, wyprawia po raz drugi hazardownego gracza z takiem samem zleceniem, jak porzednio.

Szanse dopisują i tym razem; trudno ręczyć za prawdę, ale utrzymują, że jakoby Junot powrócił obładowany sumą 300,000 franków.

(*Lord Holland*, „*Mémoires.*”)

Stacyja.

* *Na stacyi kolei żelaznej.*

Szmul. Witam! witam jasnego pana - już nam tu tęschno przez jasne pana, ja ciągle miślałem o jasne panu—nawet dziś—to przez całą noc chodził mi pan po głowie.

Pan Jan. A to też nie dziwię się, że mam takie zabłocone buty.

Stańczyk. (*błazen królewski na dworze króla Aleksandra, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Postać, znana w dziejach z umysłu głębokiego; w jego żartach błazeńskich kryło się zawsze wiele trafnej satyry i krwawej, lecz zasłużonej ironii. Stąd też myśliciele, poeci i malarze nasi często osobą Stańczyka posługują się w swych utworach, jako symbolem zdrowego rozsądku, poniewieranego przez ludzi zaślepionych i krótkowidzących.*)

* *Jak Stańczyk trefnisiem został.*

W lat dwa pono, po Olbrachtowej śmierci, trafił mi się on wypadek, z którego i całe życie poszło. Żył w Krakowie na on czas, brat Królewski Fryderyk Kardynał, Arcy-Biskup Gnieźnieński, najmożniejszy i najpotężniejszy (gdyby był jeno chciał nim być) po Królu. Ale jemu to nie było w głowie. Zrobili go mnichem mimowoli, za młodu, kiedy się nie postrzegł, że mu nie być xiędzem; potem zasię nie czas się było wracać; a i duchownego chleba nie chciało się rzucać, bo go było poddostatkiem. Pan to był postawy wielkiej, oblicza miłego, ale cale nie mniszego, raczej do szabli stworzony, a tu go zakapturzyli nie w porę. Lubił się bawić i trefnych gadek słuchać, żeby go kto bez ustanku śmieszył; bo skoro go kto nie zabawiał, wpadał w srogą melancholję.

Jednego czasu, było to, jakem rzekł, po śmierci Olbrachtowej, stałem ja zwyczajem swoim, podle wrót szkolnych, patrząc w ulicę, na ten światek, com z niego szydzić lubił; a mierzchało się i wieczór padał — spójrzę, wali się tłum jakiś ku szkole. Pieszo idą, śpiewają wesołe piosnki, śmieją się na całe gardło, inni podskakują, a w kobiecem ubraniu przodem sunie się jakaś poczwara. Tylkom spojrzał, poznałem, co to jest, bośmy wszyscy wiedzieli: zabawy Królewicza Fryderyka, jako je lubił szumne a wesołe; przypatrzę się lepiej onej kobiecie, co przodem się sunie, a to kardynalski trefniś przebrany i widać mu z pod fartuchów, szachowany strój, a z pod czółka żółte wąsy sterczą. No, pomyślę, trafiliście na swego, ino mnie trefniś zaczepi, dam mu dobrą odprawę. I wysunąłem się umyślnie naprzód, aby mnie zobaczył; anim wątpił, że mnie musi zagabnąć.

Tak się i stało. Tylko się zrównali ze mną, aż on trefniś udający kobietę podchodzi prosto ku mnie. Ja patrzę, czy blisko kardynał. A on kroczy tuż, i za boki się trzyma od wielkiego wesela; ciągną się za nim różni, ze dworu jego: Podchodzi ów ku mnie w kobiecej sukni i poczyna swoje; wszyscy się zatrzymują, bo pewni że śmiech złapią, a ja rad, że się popiszę. Pocznie on:

— Witaj mi pacholę, nie chcesz-li pójść ze mną?

Stali wszyscy, bo myśleli, że pocznę uciekać, sromać się, albo bełgotać bez ładu, a tego im i trzeba było, a trefnisiowi najbardziej; ale niedoczekanie ich, wysunąłem się szparko do onej mniemanej niewiasty i pokłon jej oddając nizki, zawołałem.

— Witaj Lucyperowa miłośnico, a kędyż to chcesz, żebym z tobą szedł, do piekła!

Trefniś wrzekomo osłupiał na tę odpowiedź, kardynał oparł się aż na jednym ze swo ich, śmiejąc się do rozpuku, inni poklaskiwali. Ale i onemu trefnisiowi nie brak było oleju, widząc, że trafił na swego, jął już z innej beczki.

— Zkądżeś to poznał, żem Lucyperowa żona?—spytał.

— Po szafranowych wąsach, odpowiedziałem. Nowy śmiech, choć nie było z czego.

— A no dalej! zawołał kardynał.

— Jeślim ja żona najstarszego dyabła,—rzekł trefniś—toś ty pewnie chyba mój synaczek, co go na mamkach ukradli, tak mi coś wyglądasz. Poznałam cię, bo jeszcze mleko masz pod nosem.

— Kiedy tak matunin, odpowiedziałem, toś my blizcy krewni, chociem się tego nie spodziewał; poznaj że mnie z tymi dyabłami, którzy twój dwór składają.

Na tak śmiałe nazwanie, które i Królewicza dotykało, niektórzy, sam nawet trefniś,

polękali się, ale ja inom spojrzał na kardynała, poznałem, że się nie rozgniewał i dalej swoje:

— Powiedz-no mi matuniu, rzekłem, kto to taki, co mu oczy w głowę powłaziły zupełnie, a język na wierzch wyjechał! i wskazałem na jednego dworaka.

— To, to—zamruczał trefniś i nie dokończył, bo błaznował tylko z tymi, których się nie obawiał, a bał się okrutnie wszystkich dworzan.

— No! cóż, nie powiesz? podchwyciłem, widząc że kardynał śmiał się już z opiłego dworzanina.—Samaś poczęła, a już języka w gębie zapomniałaś? hę?

— E! rzekłem po chwili, to ty tylko djabelską Jejmość udajesz! I porwę się do trefnisia, a zedrę mu czepiec z głowy, aż mu żółte kudły opadną na ramiona. On do mnie, ja w bok, a kardynał stojąc, śmieje się do rozpuku. Tu dopiero poczną go z onych kobiecych strojów odzierać. On się broni jak może, ale ani postrzeże się jak go, to tu, to tu szczypnę, a za każdą razą łachmana kawał obedrę, aż w chwilę został w szachowej tylko błazeńskiej szacie, wołając, abym mu dał przecie pokój.

Toś ty trefniś, zawołałem na niego, gdym go odarł cale, a no, poczekaj, będę się pytał, czy ty umiesz swoje rzemiosło.

— Kardynałowi wielce się podobała moja przytomność i śmiałość, nie tylko się nie pogniewał, ale jeszcze zachęcać się zdawał skinieniem. Mnie też nie trzeba było o to prosić. Poczną tedy pytać trefnisia, który przytomność tracił coraz to gorzej.

— Co robisz, kiedy się upijesz?

Zdobył się na odpowiedź przecie.

— Śpię.

— Toś głupi, odpowiedziałem, człowiek pijany najszczęśliwszy, a ty śpisz i we śnie grzebiesz szczęście. Tyle i życia, co szału, śpij, kiedyś trzeźwy. A o to pierwszy raz łapię cię na złej odpowiedzi, teraz druga próba.

Kardynał klaskał z radości, tak mu się to podobało, dwór jego słuchał ciekawie, ja co raz jeszcze śmielszy się robiłem.

— Wtóre pytanie, zawołałem, jaka kobieta najpoczciwsza?

Trefniś się zamyślił, a potem wybąknął:

— Która mężowi wierna.

— Toś już cały głupiec, odpowiedziałem, nic nie wiesz. Cale przeciwnie — ta najpoczciwsza, która męża zwodzi, bo mu zbrzydzi świat ten i tuteczne marności, a wyprawia go na drugi, gdzie cale lepiej, jak xięża powiadają. A zatem daje mu trwałe za doczesne szczęście.

Śmiały mój argument rozweselił znowu kardynała i dwór jego.

— No, teraz trzecie pytanie, a jak na to nie odpowiesz, rzekłem do trefnisia, to ci zedrę twoje suknie, boś nie wart ich nosić.

Trefniś chciał precz, ja go za kołnierz zatrzymałem.

— Nie, nie ucieczesz, gadaj że i błaznuj, kiedyś się w błazeńską suknię obszył.—Otóż trzecia próba.—Jaki jest największy pan na świecie? spytałem.

— Osobliwsze pytanie, rzekł trefniś, ten, który ma najwięcej złota!

— Tożeś się zabił i dokończył, odpowiedziałem, nie puszczając go z ręku.—Największy pan, kto najmniej potrzebuje, bo mu tego dosyć, co ma.

Kardynał pokiwał uśmiechając się głową, a ja do trefnisia i nuż go z jego szachowanej sukni odzierać. On w krzyk, kardynał w śmiech, wyciągnął ręce do pana prosząc, aby go bronili, ale wszyscy się śmieli. Ja też to widząc rozebrałem go zupełnie, wdziałem jego strój na się, a rzuciwszy mu moją łataną opończę, rzekłem:

— Nie warteś być błaznem, idź się uczyć do szkoły, a ja twoje miejsce zajmę. Królewicz pękał ze śmiechu, porzuciliśmy trefnisia w ulicy, a sami poszli dalej.

I oto jakem się dostał naprzód na dwór Jego Mości Pana Fryderyka. Tu jeszcze trefnemi żartami podobałem się bardziej mojemu panu

i rozweselałem go z całych sił, tak że w końcu kazał podskarbiemu swojemu wyliczyć mi kilkanaście florenów; ale ja nie przyjąłem i rzekłem.

— Jak mi Wasza Królewska Mość dasz co roku opończę, strawę, a czasem dobre słowo, to mi będzie tego dosyć, a będę mu wiernie służył. Kat mi po pieniądzach.

I tak stałem się sługą jego i trefnisiem, a ów dawny ani się więcej dla wstydu pokazał, dowiedziawszy się, żem na prawdę miejsce jego zastąpił.—Smakowało mi to życie swobodne, wesołe, pełne wrzawy, pełne ludu, z którego się dowoli naśmiać było można; pomyślałem sobie, to to właśnie com się urodził, będę bezkarnie ze wszystkich szydził i nie myślał o jutrze o kawałku chleba, na który drudzy w pocie czoła pracują.

J. I. Kraszewski. „Stańczykowa kronika".

* *Jakich ludzi na świecie najwięcej.*

U pana jednego trafiła się przy stole gadka, jakiego rzemiosła na świecie najwięcej. Powiada każdy swą, jeden krawców, drugi szewców etc. że się zgodzić nie mogą. Stańczyk tam niedaleko stojąc powie:

— Panowie, wszyscyście nie zgadli. Lekarzów najwięcej na świecie; a jeśli nie wierzycie, oto w tym tu mieście ukażę ich sto i więcej, trzy dni temu nie wynidzie.

Założy się jeden pan zacny z Stańczykiem o sto złotych, a Stańczyk i o chłostę, że tego pokazać nie miał. Nazajutrz Stańczyk chodzi to do tego, to do owego gębę sobie obwinąwszy. Pytają, go co by mu to było; powieda, że mu gęba spuchła, dla bólu ciężkiego zębów. Każdy z nich powiedał lekarstwo na zęby, co kto umiał albo wiedział, że ich dał spisać regiestr niemały. Trzeci dzień przyjdzie, także powiada pan, mniemając by prawda, dla czego to Stańczyk czynił, niespodziewając się, każe mu aby po Piretrum do apteki posłał a chmiel w occie uwarzywszy tym zęby płókał. Stańczyk z regestrem idzie, na którym naprzód pana onego napisać kazał. Pyta jeśliby mu się godziło wyliczać lekarze albo nie. Powstaną wszyscy słuchać, pan weźmie regestr, pyta, czemuby go naprzód między temi lekarzami położył? Odpowie Stańczyk:

— Boś mnie na zęby dobrego lekarstwa nauczył i ci wszyscy, których tu spisał.

Śmiechu dosyć było. Wszyscy rzecz stańczykową pochwalili. Jednak prawda, co żywo, to leczy. K temu

Gdyby leczyli sami doktorowie
Hardziby byli, niech to każdy powie.

„Perły Humoru".

* Bo i ksiądz proboszcz gdy o czwartej [rano
Zbudzi go kogut swojem kukuryku
To wyciągając swą postać zaspaną
Mruczy pod nosem: przeklęty stańczyku!

—o—

Gdy gospodyni ujrzy wśród kapusty,
Grupę „francuzów" wydających kwiki,
To aż się trzęsie jej podbródek tłusty,
Gdy woła z gniewem: a ciu mi! stańczyki!

—o—

Nawet pan Popiel po wyroku jury,
Gdy się podniosły gazeciarskie krzyki,
Przez trzy dni chodził smutny i ponury,
Szepcząc do siebie: bultaje! stańczyki!

* *O Stańczyku, co przed pannami plugawie rzekł.*

Zfukano było Stańczyka naszego, iż był coś plugawego a nieprzystojnego rzekł u stołu przy fraucymerze. Stańczyk choć rzekomo błazen, ale miał we łbie, tak się z tego sprawował:

— Jeśli to prawe panny są, pewnie tego, com rzekł, nie rozumieją, nieinaczej jakobym po niemiecku powiadał, a jeśli nie panny, to nie było na mnie o co fukać, niech ich to nie obraża, bo już wiedzą, co się na świecie dzieje.

Nie rythmci Stańczyku ale prawdziwy, acz nie wiemy jeśli tego argumentu część nie

prawdziwa, ponieważ tych czasów panny tak wiele jako i niewiasty wiedzą. I nie darmo ona przypowieść urosła:

Skoro się gąsię z jaja wydłubie,
Zieloną trawę zarazem skubie.
z Facecyi Polskich XVII w. p. str.

Stanisław August.

* Stanisław August, spostrzegłszy na pokojach zamkowych nieznanego sobie szlachcica, stojącego na uboczu i bojaźliwie spoglądającego w około, chciał go ośmielić swoją uprzejmością, zbliża się więc do niego i zapytuje jakby z niechcenia:

— Czy nie widziałeś Waszmość starosty Morskiego.

Pomieszany pytaniem króla szlachcic, nie znając ani słysząc o dygnitarzu tego nazwiska, odpowiada drżącym głosem:

— Najjaśniejszy Panie! w moich podróżach widziałem już psa morskiego i świnię morską, ale starosty morskiego jeszcze nigdy widzieć mi się nie zdarzyło.

Starość.

* Na starość kiedy się we łbie wierci,
Nie czas w konkury chodzić do dziewki—
Nie czas już smalić cholewki,
Gdy o dwa cale człek już od śmierci.
Wacł. Szymanowski.

* *Z albumu starej panny.*

prośba o męża.

Do Ciebie, Panie, wznoszę moje modły,
Fałsz i obłuda serce mi przebodły.
Me udręczenie w ofierze Ci niosę,
Pociechy na mnie spuść niebieską rosę.
Z moich rówiennic, ach! ileż w około
Dostały mężów i żyją wesoło,
Wielum matkami dałeś już być Panie,
Ja tylko czekam na Twe zmiłowanie.
I choć młodzieży dosyć jest na świecie,
O mnie się żaden nie oświadczył przecie.
A choć przyjedzie, pomówi, pochwali,
Wszyscy się jednak trzymają w oddali.
Serce mi szarpią udręczeń tortury,
Czekam, wyglądam, by przyjechał który,
A tu nie widać. O! święty Antoni,
Daj go karetą i w sześć siwych koni.
Jeśli to trudno, jeśli tak nie można,
Niechaj mnie próżność nie kusi bezbożna,
I mniej wystarczy. O święty Ksawery,
Za Twem wstawieniem niech przyjedzie [w cztery.
Gdy i to wiele—nie żądam koniecznie,
Byle był wierny i kochał statecznie.
Niechaj przyjedzie, wstaw się święta Klaro,
Choćby miał przybyć nie więcej jak parą.
Wszak to niewiele, myśl moja nie goni
Za czczą wystawą, chcę męża, nie koni,
Gdy więc dwóch nie ma—święty Dominiku!
Przyślij go choćby na jednym koniku,
Byleby przybył, przyjmę go z ochotą.
Gdy nie ma koni, niech przyjdzie piechotą.
Wszakżeś sam Panie przykazał pono,
Aby kobieta tutaj była żoną,
Jam też gotowa, ja czekam o Panie,
By spełnić święte Twoje przykazanie.
Lecz opór ludzi dotąd tu zwycięża,
Pragnę być żoną, ale nie mam męża,
A lata biegną. O! święta Bibjanno
Może mnie wkrótce nazwą starą panną.
O wszyscy święci brońcie mnie od złego,
Od wszystkich nieszczęść — najbardziej od [tego.

* *Na starą.*

Teraz byś ze mną zigrywać się chciała,
Kiedyś, niebogo! sobie podstarzała,
Daj pokój, prze Bóg! sama baczysz snadnie,
Że nic po cierniu, kiedy róża spadnie.
Jan Kochanowski. (p. t. I, str. 14.)

* Cóż to do głowy przyszło ci, Orgonie?
Stary o młodej miałbyś myślić żonie?
Śliczny paragon z Kwietniem w lidze Marzec,
Bo tak się z młodą w parze wyda starzec.
Luby to powab lat piętnaście, ale
Sześćdziesiąt z niemi nie godzi się wcale.
Fr. Zabłocki.

Starożytność.

* *Starożytność domów szlacheckich.*

Który dom w Polsce starszy? Jest Chamiec
[od Chama,
I Abramowicz także jest od Abraama.
Są, do których listy Paweł pisał święty,
Od Jakóba Minora i Tęcze dom wzięty.
Jeśli z nazwisk te domy liczą stare lata,
Rajski z Adamowskim są od początku świata.

Statystyka.

* *Przyczynek do statystyki.*

Urzędnik. Mój panie, ile masz obrotu rocznego w sklepie?

Kupiec. A na co radcego to wiedzieć?

Urzędnik. Do statystyki.

Kupiec (cicho.) Podymne, liwerunek, dorożnego, transportowego, kahałowego, patentów — und noch astatystyke! (głośno) bardzo jest małego obrotu.

Urzędnik. Ależ ile? targujesz pan dziesięć rubli na dzień przecięciowo?

Kupiec. Aj! aj! niech moje wrogi przecięciowo wielkie choroba zabije, coby uni nie targowali i dziesięć groszy na dzień.

Urzędnik. Więc pięć rubli.

Kupiec. Żeby ja tak miał szczęście do handlu, jak te drugie gałgany więcej targują.

Urzędnik. Ależ ile do trzystu dyjabłów masz obrotu?

Kupiec. Czasem się obróci, ale więcej to sze całkiem nie obraca.

Urzędnik. (do kancelisty). Czort go zabierz — pisz jemu tysiąc rubli obrotu.

Stawka.

Zapalona do gry w karty, pani N. będąc w Baden zasiadła do Faraona i przegrała wszystkie pieniądze. Rozgniewana, zwróciła się do bankiera, sypiąc niegrzecznemi słowami, przyczem wyleciał jej z ust na stół ząb wprawiony, „Czy to pani stawka?... zapytał z zimną krwią bankier".

Stefenson.

Stefenson opowiada, jak w r. 1815 zaczął budować pierwszą lokomotywę, i jak wszyscy uważali go wtenczas za waryjata—jeden tylko człowiek lord Rawensworth, nietylko że dał wiarę jego dowodzeniom, ale użyczył mu swych pieniędzy na wszelkie potrzebne koszta. „Nazwaliśmy tę lokomotywę Mylord. Wtedy już ośmieliłem się utrzymywać, że taka maszyna ma szybkość nieograniczoną, ale zaledwie obaczono mój parochód, rozumie się niezupełnie udoskonalony, ogłoszono moje twierdzenia i przekonania za niemające podstaw i sensu. Dopiero w roku 1828 zdecydowano się na zbudowanie kolei żelaznej z Liverpolu do Manchestru a kiedy dawałem gwarancyję, że mój parochód przebiega na godzinę 10 mil angielskich, tj. 2 mile niemieckie dyrektorowie obrzucili mnie wyrzutami, że narażam siebie samego na śmieszność, a ich na zupełne utracenie wiary publiczności, odnośnie do nowego przedsiębiorstwa."

A teraz stosunkowo po tak niewielkiej liczbie lat, jeżeli lokomotywa przebiega na godzinę 4 mile niemieckie, skarżymy się wszyscy, że idzie za wolno!

Sternik.

* *Na statku parowym.*

Żona. Proszę cię, mój mężu, co to znaczy sternik?

Mąż. A to taki mechanik, co całym statkiem kieruje.

Żona. To ty nigdy nie będziesz sternikiem?

Mąż. A to dla czego?

Żona. Bo ty najgłupszym interesem nie możesz porządnie pokierować.

Stępkowski.

JW. Stępkowski, Wojewoda, Kijowski żył wystawnie, jak to mówią, grosz niedopędzał grosza. Co kontraktów miał do opłacenia długi, na które mu funduszów nie starczyło,

i wielce się gryzł kiedy zbliżały się kontrakty Dubieńskie. Jednego razu, kiedy wszyscy wybierali się na kontrakty, nawiedził go pewien wojewoda, przyjaciel jego, a wielki skąpiec. Stępkowski przed nim otworzył się z swojemi dolegliwościami, prosząc go o użyczenie mu jakiejś sumy, żeby siako tako odbyć kontrakty, i o radę w interesach. Kolega wymówił się przed nim niemożnością po życzenia mu pieniędzy, a co do rady, powiedział mu: „szanowny kolego, chcesz się otrząsnąć z interesów, zrób się kpem na trzy lata, a czwartego już nikogo o kredyt nie będziesz miał potrzeby prosić.” Na to Stępkowski obrażony: „Masz słuszność, ale boję się, żebym z trienium w trienium wpadając, nie został jak ty, panie kolego, dożywotnikiem.”

Stolarki.

Najznakomitsze dzisiaj damy *stolarstwem* się trudnią, bo cały dzień robią toalety.

(„Noworocznik wolnych żartów”).

Stolarz.

Przedtem chorych zabijał, teraz trumny robi,
Tak dwojakiem rzemiosłem jeden cmentarz
[zdobi.

Stół.

Opowiadano raz przy pewnym dowcipnisiu, że u ministra spędzono wieczór na zabawianiu się ze „stołami mówiącemi” i że stól powiedział coś na pochwałę ministra.

— A... rozumiem!—zawołał dowcipniś—to pewno był jakiś stół, któremu obiecano posadę!)

Do jakiego stopnia dochodzi odwaga i lekceważenie życia strażaków warszawskich, dowodem niech posłużą ich zabawy i zakłady. Podrzucać pochodnię rozżarzoną w górę i łapać ją jedną ręką jest dla nich igraszką. Czybyście uwierzyli, czytelnicy, temu, czemu i ja wierzyć nie chciałem, że zdarzyło się, iż o zakład skakali z wieży strażniczej na ziemię. A jednak opowiadał to zmarły zacny półkownik Majewski, dowódca straży.

Przychodzę raz, mówił, i słyszę, że się zakładają o dziesiątkę, kto zeskoczy z wieży. Krzyknąłem na nich: dałbym ja temu, ktoby się ośmielił, ktoby spróbował. Aż tu występuje jeden młody chłopak, sprawny wisus, zgrabny jak kot; występuje, salutuje, i mówi:

— Panie półkowniku, to nie trudno.

— A próbowałeś?

— Albo raz.

— Co ty powiadasz, trutniu?

— Próbowałem panie półkowniku, i jeśli pan półkownik pozwoli?...

— Zabijesz się, nie pozwolę.

— Nie zabiję się.

— Pamiętaj, że licho cię porwie.

Młody strażak chwycił za miotłę z drągiem i znikł. Wkrótce ujrzano go na wieży.

— Stój! pójdź tu natychmiast! zawołał półkownik.

— Wedle rozkazu, idę, półkowniku — odkrzyknął strażak, chwycił miotłę silnie rękami, ścisnął ją kolanami i rzucił się z balkonu. Półkownik zamknął oczy i nie śmiał ich otworzyć; aż tu nagle zabrzmiał mu nad uszami znany głos:

— Jestem półkowniku!

Dowódca spojrzał: młody chłopak stał przed nim, wesół, rumiany, uśmiechnięty z miotłą w ręku.

Dzielny półkownik dał mu dwadzieścia pięć rubli za nagrodę i jeszcze kazał mu dać dwadzieścia pięć... ale nie rubli, żeby zbyt często szczęścia nie próbował.

H. Sienkiewicz: „*Kroniki*”.

Stroje.

* *Stroje i bielidła białogłowskie.*

Takli świat wszystek zawisł w tych strojach
[marnie?
Że je nieszczęście ogarnie.
Tenli będzie najlepszy, kto najstrojniejszy?
Jak rozumie wiek dzisiejszy.
Jeśli damo urodę masz od natury,
Na cóż się pstrzyć temi pióry?
Jeśliś szpetna, wierzże mi, iże niewiele

Przydadząc kształtu manele.
Niech się błyszczy na płocie szata od złota,
Nie ozdobi ona płota.
Ani ciebie zalecą tylety drogie,
Kiedy lice niechędogie.
Więc posłać dla nabycia gładkości fantu.
Dla kamfory, dla dragantu,
Lubo po mleko ośle, lubo do Nyla
Po... krokodyla.
Żeby bielić Murzyna, i z okopciałej,
Białą barwę skronie miały,
Pal migdały na węgiel, ażeby brwiczki.
Czarnej nabyły barwiczki.
Krusz korale, i z morską pomięszaj pianą,
Żebyś ztąd była rumianą.
Maluj się, upiżmuj się, potrząśnij putrem,
A przecieś ty świniem futrem.
Darmo te kunszty, które gdy ludzie widzą,
Jak się śmieją, jako szydzą.
Ktoś prędko gwoździk zgryzłszy, chuchnąwszy snadnie,
Aż ta krasa z ciebie spadnie.
Lub ciepła izba, lubo w tańcu się spocisz,
Z tych ozdób się ogołocisz.
Jak spadną te bielidła, nietrwałe farby,
Znać po gębie gęste karby,
Aż ty nowy *Prothaeus*, kuglarską miarą,
Wnetże z młodej, jesteś starą.
Jak bałwan okopciały na pośród rynku,
Co białego pozbył tynku —
To tak długiej pracy twej masz korzyść słabą,
Jakoś była, będziesz babą.
Nie to, nie to, matrony, glans twarzy daje,
Że się błyszczy jako jaje.
Nie to, kiedy stajaniem sabejskiej woni
Puszcza, lubo piżmem trwoni.
Ale która się w cnotę tak przysposobi,
W nią się stroi, nią się zdobi.
Poczciwość ją rumieni, skromność maluje,
A wstyd cnocie ochmistrzuje.
W kościele jest nabożną, w domu dozorną,
Niechełpliwą, nieuporną.
Gospodynią czeladzi, a dziatkom matką,
Tę mam grzeczną, tę mam gładką.

* *Na stroje białogłowskie.*

Dzisiejszych się białychgłów przypatrując modzie,
Gdy przyganiając danej od Boga urodzie,
Czarne się bielą, białe na przepych naturze
Z czarnych płatków w rozlicznej nastrzygłszy figurze,
Muchy, osąki, pająki, podobno i żaby
Jaszczurki, węże, lepią po gębie, chybaby
Czyniły na pamiątkę, że niedługim czasem
Okropnej w grobach będą gadzinie opasem.
Nie mają tej wymówki, bo każda dla ludzi
Siebie widzieć nie mogąc, twarz swoję paskudzi.
Kto mając własne, cudze ma włosy na czole,
Kto twarz farbą maluje, uszy sobie kole,
I ci, którzy tę fozę na świat polski wnieśli,
Grzeszą: szkoda po dobrym pocieszować cieśli,
Jako też na sądnym dniu swoje pozna owce
Pasterz on, obleczone w szatańskie pokrowce?
„Odejdźcie precz,—nie znam was"—tak je będzie dzielił,
„Ciebie ja czarno stworzył, a któż cię wybielił?
„Ciebie biało, któż upstrzył onę skórkę piękną,
Że się ledwo anieli święci nie przelękną?
„Kto na cię tak wszetecznej gadziny naciska,
„Ten cię też słusznym prawem, niechaj z niej wyciska,
„Co na gębie, to w sercu tak plugawe gady
„Cudzych włosów, na gębie istne maszkarady.
„Miejsca u mnie nie mają, niech jak swoje garnie,
„Odejdźcie precz, nie znam was; czart do swej owczarnie".

Wacław Potocki. (p. t. I, str. 13.)

Stróż.

* *Nocny stróż.*

...Zdaniem wszystkich tu przytomnych, jesteś najpłytszy a więc najlepszy na sierżanta straży, weź więc tę latarkę. Słuchaj teraz, jaki

twój urząd: przyaresztujesz wszystkich włóczykijów, a do każdego przechodzącego zawołasz w imię księcia: stój!

II strażnik. A jak nie stanie?

Ciarka. Nie zważaj na to wcale, niech sobie idzie, a zaraz potem zwołaj resztę straży i podziękuj Bogu, że cię od opryszka uratował.

Kwasek. Jeźli nie stanie na rozkaz, to nie jest książęcy poddany.

Ciarka. Oczywista, a wy macie do czynienia tylko z książęcymi poddanymi? Nie będziecie także robili żadnego hałasu na ulicy, bo gdy straż paple i rozmawia, to rzecz nieznośna i nie do wytrzymania.

II strażnik. Wolemy spać niż paplać; znamy dobrze powinność straży.

Ciarka. Mówisz jak stary stróż i doświadczony. Nie widzę, coby złego być mogło w spaniu; miejcie tylko baczność, żeby wam halabard nie skradziono. Następnie zajrzyjcie do wszystkich szynkowni, a gdy znajdziecie pijanych, każcie im natychmiast pójść do łóżka.

II strażnik. A jeźli nie zechcą?

Ciarka. To zostaw ich w spokoju, póki nie wytrzeźwieją, a jeźli i wtedy nawet nie dadzą ci przyzwoitszej odpowiedzi, będziesz mógł śmiało powiedzieć, że to nie są ludzie, za jakich ich wziąłeś.

II strażnik. Bardzo dobrze, panie poruczniku.

Ciarka. Jeźli spotkasz złodzieja, możesz go podejrzewać mocą twojego urzędu, że to człowiek nieuczciwy, a z takiego rodzaju ludźmi im mniej masz do czynienia, tem lepiej dla twojej uczciwości.

II strażnik. Ale jeźli wiemy z pewnością, że to złodziej, czy nie należałoby go przyaresztować?

Ciarka. Bezwątpienia, twój urząd daje ci do tego prawo, ale mojem zdaniem, kto się smoły tyka, smołą trąci. Najspokojniejszy dla ciebie środek, gdy złapiesz złodzieja, jest zażądać, żeby się wylegitymował, kim jest, a potem dać mu sposobność wasze towarzystwo ukradkiem opuścić.

Kwasek. Zawsze uchodziłeś za miłosiernego człowieka, mój kolego.

Ciarka. To prawda, żebym dobrowolnie psa nie powiesił, a dopieroż człowieka, mającego choć odrobinę uczciwości.

Kwasek. Jeźli usłyszycie dziecko kwilące wśród nocy, powinnością waszą obudzić mamkę, żeby je ukołysała.

II strażnik. A jeźli mamka śpi twardo i nie usłyszy?

Ciarka. To idźcie dalej w spokoju, niech ją samo dziecko płaczem rozbudzi; bo owca, co nie usłyszy beku swego jagnięcia, nie odpowie zapewne na ryk cielątka.

Kwasek. Wielka prawda.

Ciarka. Tu koniec waszych powinności. Ty, sierżancie, reprezentujesz własną, dostojną, książęcą osobę: jeźli podczas nocy spotkasz samego księcia, masz prawo go przyaresztować.

Kwasek. Nie, na Matkę Boską; niema do tego prawa.

Ciarka. O zakład pięć złotych przeciwko złotówce, z każdym znającym dobrze prawo, że ma prawo go przyaresztować: rozumie się, że niema prawa, jeźli niema książęcego przyzwolenia, bo straż nie powinna krzywdzić nikogo, a aresztować człowieka bez jego woli jest krzywdą człowieka.

Kwasek. Na Matkę Boską i ja tak myślę.

Ciarka. Ha, ha, ha. Więc dobrze, mości panowie, dobranoc! Jeźli się zdarzy co ważnego, zawołajcie mnie. Słuchaj dobrej rady przyjaciół i twojej własnej i dobranoc! Sąsiedzie, idźmy.

II strażnik. Tak więc, koledzy, znamy naszą powinność. Siądźmy tu na tej kościelnej ławie i czekajmy drugiej, a potem wszyscy do łóżka.

Ciarka. Jeszcze słowo, zacni sąsiedzi. Proszę was, miejcie oko na drzwi Leonata, bo z powodu jutrzejszego wesela wielki tam

harmider tej nocy. Żegnam was teraz a zalecam czujność.

Szekspir. (p. t. I, str. 92)

* Pewien stróż siedział zawsze wieczorem na schodach domu, w którym mieszkający młodzi ludzie wiele w nocy przysparzali mu roboty, a mało dawali napiwków.

— No—zawołał jeden z nich, budząc go zaspanego szturchańcem—dużo już tej nocy wpuściłeś baranich głów do domu?

— Nie—odrzekł stróż—pan jest najpierwszym.

Student

* Berliński student medycyny, Żyd, zakochał się w córce swego gospodarza i pozyskał miłość pięknej dziewczyny, która jak wszystkie romantyczne berlinki, miała na imię Mina. Student poprzysiągł jej dozgonną wierność i -małżeństwo, tymczasem zaś wzdychali do siebie i spacerowali przy świetle księżyca. Po dwóch latach student uzyskał dyplom doktorski, na mocy którego mógł się wreszcie ożenić. Ale mała chmurka zaćmiewała ich szczęście.

Mina była protestantką, a prawa krajowe zabraniają małżeństw mieszanych; doktór, który zarówno był przywiązany do swej wiary, jak do narzeczonej, rozpoczął proces przeciw fatalnemu prawu, — ale w tej smutnej okoliczności widział tylko chrzest, jako drogę do uzyskania upragnionej towarzyszki życia.

Prowadził jednak wytrwale proces, który trwał dwa lata i który ostatecznie wyczerpał cierpliwość zakochanych. Pewnego pięknego poranku Mina powiedziała sobie:

— Rahel, Sara, Judyta, Estera były przecież Żydówkami i ja będę Żydówką, co mi to szkodzi! mimo to pozostanę piękną kobietą, a mój mąż bardziej mnie jeszcze kochać będzie, zresztą—jest on teraz tak bogaty.

We dwa dni później gazety ogłosiły w długich artykułach przegraną procesu dr. F. a nazajutrz Mina tak pisała do swego narzeczonego:

„Mój najdroższy!

Przeczytałeś już zapewne wiadomość sądową o przegranym procesie, bądź jednak spokojny, nie król, ale twój anioł, jak mnie nieraz nazywałeś, przełamie wyroki losu. Teraz nie rozłączy już nas żadna siła na świecie, od wczoraj zostałam Żydówką.

Mina."

Zaledwie te słowa uniosła poczta, umyślny kuryjer z Berlina wręczył Minnie list następujący:

„Moja uwielbiana Mino!

Ani jednego przychylnego słówka na moją prośbę, dowiesz się o tem z gazet. Od wczoraj zostałem protestantem, a za kilka dni zostanę twym mężem.

Fritz."

* Pewien student stołował się u bardzo skąpego profesora anatomii. Ponieważ do stołu więcej zawsze dawano kości niż mięsa, student wziął raz w rękę cielęce żebro z talerza i zaczął mu się przypatrywać.

— Co robisz?—zapytał go profesor.

— Przypominam sobie codziennie przy obiedzie, panie profesorze, pańską teoryję o budowie kości, — odrzekł z potulną miną student.

* Dwaj studenci szli za jeźdzcem tak grubym, że brzuch mu się zwieszał z siodła jak napchany worek; patrząc na to jeden z nich odezwał się, pokpiwając:

— Ojcze! ojcze! czemużeś obroku z tyłu nie przytwierdził, ale dźwigasz go przed sobą?

— Dla tego, żebym go miał na oczach,—odpowiedział jeździec,—a z tyłu mogą mi go wziąść złodzieje!

* Student medycyny, nazwiskiem Jeruzalem, zdawał ostateczny egzamin. Obciąwszy się wszakże na anatomii, dyplomu nie otrzymał. Ponieważ był żydem, wielu z jego

współwyznawców czekało przed salą egzaminów, chcąc się dowiedzieć o rezultacie.

Jeden z profesorów, opuściwszy salę, rzekł do tłumu w łapserdakach i pejsach zalegającego korytarz:

— Płacz Izraelu nad upadkiem Jerozolimy!

* Doktór Kaiser i profesor Meyer opowiadali sobie wzajemnie przygody z życia studenckiego, z tych czasów, kiedy obaj byli biedni, jak myszy kościelne. Doktór opowiadał o swoim pokoiczku tak małym, że kroku zrobić w nim niebyło można...

— Co mówisz—przerwał, śmiejąc się profesor, moje mieszkanie, to było dopiero małe, zegarek w niem chodzić niemógł i zmuszony byłem go sprzedać!

* Student medycyny badany był na egzaminie o własności prochu.

— Zechciej mi pan powiedzieć, co zrobisz jeśli ktoś wysadzony prochem, wyleci w powietrze.

— Poczekam, aż spadnie—brzmiała odpowiedź.

* Pewien student, który więcej miał zasobów w głowie, niż w kieszeni, siedział raz w oberży, opowiadając obecnym o swoich talentach i zdolnościach. Po niejakim czasie pilnego słuchania, odezwał się jeden z biesiadników:

— No mój panie, nasłuchaliśmy się o tem, co możesz, ale bądź tak dobry powiedzieć, co też niemożesz?...

— O! to powiem w krótkich słowach—odrzekł student—niemogę zapłacić mego rachunku!

Studyja.

* Pewien uczony zajmował się badaniem starożytnych języków, ich pochodzeniem i historyą.

— Szukam—powiedział—starej matki...

— A ja wolę—odpowiedział mu Kästner—studyjować młode córki.

Stworzenie.

* *Stworzenie człowieka.*

Bóg stworzył człowieka z ziemi, dlatego nie z nieba, że plany człowieka objęłyby wtedy całą kulę ziemską, dlatego nie z powietrza, bo pioruny i błyskawice pierś by mu zawsze szarpały, dlatego nie z ognia, bo żarzące węgle zbierał by zawsze na głowę bliźniego, dlatego nie z wody, że pod gładką, spokojną powierzchnią oblicza kryłby straszydła i potwory w głębinach serca. Stworzył więc Bóg człowieka z ziemi, chcąc żeby stał się dobroczynnym jak ziemia, która życie i bogactwo żył swoich rozdaje w ciszy i tajemnicy—żeby był wdzięcznym jak ziemia, która jedno podarowane sobie ziarneczko, dziesięćkrotnie zwraca; żeby był wybaczający jak ziemia, która tym, co jej łono rozdzierają, daje źródła błogosławieństw i łaski, żeby był wiernym jak ziemia, która, gdy jej kochanek dzień ją porzuca, zasłania wdowim welonem oblicze, kwiatom usta zamyka, a kiedy dzień powraca wita go łzami rosy, któremi całą noc płakała... A kiedy człowiek już był gotów, anieli włożyli mu w oczy kawałek nieba ze słonecznem światłem, w uszy trochę powietrza z dźwiękami, na usta gorące tchnienie ognia z płomieniem a w serce wleli mu kilkanaście kropli z samego dna morskiego... I dlatego serce ludzkie ma ten cudowny przypływ i odpływ, dlatego gorzkiemi płacze kroplami, które płyną cicho niby łzy z błękitu oczów...

Styl.

* *Styl poczty galicyjskiej.*

Nowy tekst polski „przekazów pocztowych powziątkowych“ przypomina mi „ducha“ dawnej bzikomanji językowej. Tak zwane „zaliczki“ zastąpione zostały od miesiąca „przekazami pocztowemi powziątkowemi,“ w których pewne rubryki „wypełnić ma posyłający

z wyjątkiem rubryki na przeliczenie.“ Pod temi rubrykami znajduje się „podpis urzędnika przekaz wygotowującego,“ a obok „pieczęć poczty wymienniczej.“ To mi znowu przypomina „samobyt rozwalniający więzy ujednostkowionych członków ludozbioru, bez oglądania się na tylne koła parochodu myślniczego.“

* *Wzory stylu.*

.....Zobaczył na ścianie cień wielki. Była to wzniosła osła osłabionego postać.

—o—

.....Zarzucała mi interesowność. Oburzyło mnie to wielce i dla tego rzekłem do żywego wzruszony:

— Pani! kocham cię, ale tylko ty jesteś przyczyną mej miłości, bo moja mama sama ma mały majątek, który na mnie spadnie...

—o—

.....Zapomniałaś o przysięgach, uważam więc za obowiązek przypomnieć, że to było niedawno... tego lata tata tatarak sadził właśnie...

Sufit.

* *Sufit malowany.*

Pewien jegomość wyobrażający sobie, że ma talent do malarstwa i wmawiający to drugim, opowiadał, że każe wybielić sufit w salonie swego domu i wymaluje na nim scenę z mitologii.

— Radzę ci naprzód pomalować a potem wybielić—powiedział ktoś z obecnych.

Sufler.

* *Z pamiętników suflera.*

Całe życie człowiek siedział pod kwiatkiem (Sous fleur).

Nazywali mnie *sztukamięsą,* nie wiem czy dla tego kwiatka, czy dla wysokiej mojej inteligencji...

Całe życie w budzie... a jednak na mnie jak na filarze, opierał się teatr.

Najpierwsi artyści powtarzali za mną, jak za panią matką pacierz...

Oni zbierali oklaski i wieńce... a ja... O sprawiedliwości, gdzież jesteś?

Pamiętam raz miał występować znakomity aktor.

Rola jego zaczynała się od słów „wodzu! już koń osiodłany!“

Wychodzi—widzę że drży, ale to mi wszystko jedno—nie z takim nosem a drżeli..

Daję mu znak i mówię:

— Koniu! już wódz osiodłany.

Ten staje w pozie tragicznej i woła:

— Koniu! wódz już osiodłany.

Publiczność bije brawo!

Ja krzyczę:

— Ośle, czego się mylisz?

Wódz powtarza:

— Ośle, czego się mylisz...

O mało nie dostałem dymisji, lecz czym ja temu winien, że w rękopiśmie była omyłka...

Nazywali mnie sztukamięsą... (dla mojej wysokiej inteligencji) ale niech mi kto powie, co wart obiad bez sztukamięsy, a jeżeli już tak mają się wszyscy tytułować, to dla czegóż starego *czarnego charakteru* nie nazywają niedopieczonym indykiem, a tłustego komika plumpudingiem lub pyzą...

Znam jedną artystkę, którąbym chętnie nazwał zupką cytrynową. Wiecznie blada i kwaśna...

Brr!

Jako sufler widziałem różne rzeczy, przedewszystkiem zaś wiem, która artystka chodzi na nóżkach, a która na patykach. Nie obce są mi i inne sekrety i tajemnice — wiem kto umie role, a kto ich nie umie, zresztą wiadomości te łatwo mi pamiętać, bo takich co umieją role, wcale nie znam...

Smutno się robi na sercu, widząc jak niezasłużeni ludzie zbierają laury, a prawdziwa zasługa niknie zapomniana.

Raz w życiu kochałem.

Bóstwem mojem była artystka, cud piękności! gmach talentu! skrzynia wdzięków...

Raz ukląkłem przed nią i rzekłem:

— Pani, kocham cię, buda mego serca stoi dla ciebie otworem!

A ona?...

Ona odpowiedziała mi.

— Idź pan do budy!

Odszedłem milcząc, wściekłość zdusiłem w piersi, a tak się nasyciłem myślą o zemście, żem niejadł obiadu (co prawda okoliczności się tak złożyły, że nie miałem i za co).

Wieczorem moje bóstwo miało wystąpić w nowej roli — wiedziałem, że jej nie umie. Czekałem rozpoczęcia się widowiska z dziką rozkoszą...

Kochałem ją jeszcze—a jednak szepnąłem:

— Zasypiesz się... aniele... zasypiesz.

Kurtyna się podnosi. Maryja (nie znoszę tego imienia) rozpoczyna sztukę monologiem:

— Dziś w sercu mojem pustka... Mówi i ucina...

Patrzy na mnie—ja milczę. Gestykuluje —ja jej pokazuję język.

Ona milczy... czerwieni się, kaszle, zbliża się do budy... patrzy, błaga wzrokiem...

Ja nic.

Nareszcie zbliża się przed samą budę i trąca mnie delikatnie nóżką w nos.

— Kochasz?—pytam.

— Kocham...

— Pójdziesz za mnie?

— Pójdę...

Uratowałem ją... podpowiedziałem, dostała brawo.

Myślicie, że poszła za mnie?

Poszła... ale do dyrektora na skargę; o małom z budy nie wyleciał.

Stało się—przekląłem kobiety...

Och! byłem i ja Farysem.

Byłem artystą za młodu, grałem w Helenie rolę grzmotów—w jednym dramacie grałem rolę wiatru i szczekanie psów...

Raz powierzono mi w Zbójcach rolę wisielca... całą duszę włożyłem w tę kreacyję—stworzyłem takiego wisielca, jaki nie wisiał jeszcze nigdy na obydwóch półkulach. Wiecież, co mi powiedział dyrektor po widowisku:

— Odbieram panu rolę.

— Dla czego? czy nie było w grze mojej prawdy?

— Przeciwnie panie, dla tego, że jej było za dużo...

Rzuciłem sztukę i z sercem rozdartem wróciłem do... budy napowrót.

Sukcesja.

SUKCESJA PO KOTACH.

Rzecz wesoła i pouczająca, opowiedziana prozą

przez

Fantazego.

—o—

Kazio Roztrzepalski, za dni młodości swojej, cierpiał okrutną biedę.

Jakkolwiek mięso nie było wówczas tak drogie, jak dzisiaj, widywał się z niem tylko raz na tydzień, a niekiedy i rzadziej...

Garderoba jego nie świetniała „kwintesencją szyku,“ co się zaś tyczy obuwia, przypominało ono często kształtem świeżo rozwinięte tulipany...

Mieszkał u jakiejś wdowy na przedmieściu, a za komorne płacił wdzięcznością i miłosnemi przysięgami.

Jednak nie rozpaczał i nadziei nie tracił.

Nadzieję tę podtrzymywali w nim znajomi, z których jedni mawiali, że „pan Każo ma żydowską *kepełe*,” a drudzy twierdzili solennie, że człowiek z takiemi zdolnościami w żaden sposób *utonąć* nie może.

I w samej rzeczy nie utonął.

Przed rokiem, kilku znajomych spostrzegło go na szosie Mokotowskiej, w porządnej bryczuszce, którą sam powoził.

— Co u djaska!—wykrzyknął jeden z nich. Jeżeli mnie oczy nie zwodzą, to Kazio, Kazio Roztrzepalski!

Jadący przystanął, wyciągnął rękę do mówiącego i rzekł z urazą:

— Przedewszystkiem, kolego, nie przekręcaj mego nazwiska. Nazywam się Kazimierz Rozszczepalski, Roz-szcze-pal-ski...

Poczem wysiadłszy z bryczuszki, powitał się ze wszystkimi.

— Jak widzicie—dodał—nie wyglądam już nawet na Roztrzepalskiego.

I musnął jedną ręką gładkie policzki, a drugą poklepał się po pięknie zaokrąglonym brzuszku.

Znajomi poczęli wypytywać o przyczynę tej cudownej metamorfozy.

— Przyczyna jest bardzo prosta—odpowiedział niedbale, trzepiąc szpicrutą po zgrabnych, nowiuteńkich butach z lakierowanemi stylpami. Jadam codzienne mięsne obiady!

— Czy poślubiłeś wdowę z za rogatek?

— Cóż znowu! Baba miała hipotekę zasmarowaną jak wszyscy djabli!

— Ożeniłeś się bogato?

— Bynajmniej. Jestem kawalerem.

— Zkądże więc ta zmiana?

— Ztąd, że mam intratną kolonję pod Warszawą, z gruntem ornym, łąkami, ogrodem warzywnym i owocowym, pasieką, stawem i t. d. A czy wiecie, komu to wszystko zawdzięczam?

— Nie wiemy.

— Kotom.

— Komu?

— Kotom.

— Żartujesz z nas, kolego Roztrze... to jest, Rozszczepalski!

— Boże uchowaj.

— Cóż koty mają wspólnego z kolonją?

— Przyjedźcie do mnie kiedy w niedzielę, to wam wspólność tę wytłómaczę.

Przy tych słowach pan Kazimierz siadł na bryczuszkę, skłonił się znajomym i cmoknąwszy na wypasionego kasztanka, odjechał w stronę rogatek.

* * *

W kilka tygodni potem, na ganku w Maciusiówce (tak nazywa się posiadłość Kazia), stał duży stół, a na nim błyszczały dwie butelki w towarzystwie sześciu kieliszków.

Przy stole siedziało sześciu mężczyzn w pozycjach zaniedbanych, ale niepozbawionych wdzięku.

Po długiej chwili milczenia, przerywanej jedynie cichem brzękiem szkła i klaskaniem języków o podniebienia, najgrubszy z kompanji założył nogę na nogę i jął mówić w ten sens:

— Wiadomo wam, kochani przyjaciele, że przed pięcioma laty ostatnią deską ocalenia była dla mnie miłość otyłej wdowy, posiadającej obdłużony domek przy ulicy Karolkowej. Na nieszczęście wyrwał mi tę deskę wściekły *bałwan*, który pod postacią rogatkowego poborcy wzburzył fale mego życia. Wdowa została poborczynią, a ja straciłem w jednej chwili lokal, wikt i *opierunek*. Ogarnęły mnie rozpaczliwe myśli i w przystępie czarnej melancholji postanowiłem skończyć z tem nędznem istnieniem. W tym celu pobiegłem pewnego dnia nad Wisłę, i...

— I skoczyłeś w wodę? — spytał ktoś z przerażeniem.

— I zapukałem do drzwi dalekiego krewniaka, utrzymującego warsztat szewcki na ulicy Topiel. „Stryju! — zawołałem — naucz mnie szlachetnej sztuki robienia kamaszków, a jak założę kiedyś parową fabrykę obuwia, uczynię cię pierwszym pomocnikiem mego głównego maszynisty!" Stryj rozpłakał się ze wzruszenia i...wyrzucił mnie za drzwi. Wówczas opuściłem niewdzięczną Warszawę, wraz ze wszystkiemi ruchomościami i nieruchomościami, zawiniętemi w chustkę od nosa i postanowiłem szukać losu na prowincyi. Opatrzność przyprowadziła mnie do miejsca, w którem się obecnie znajdujemy i kazała zjeść miskę kwaśnego mleka u chłopa, pełniącego obowiązki rządcy i karbowego. Przy pierwszej łyżce smacznego nabiału dowiedziałem się, że właścicielka kolonji jest stara i bezdzietna; przy drugiej, że nie ma wcale familji; przy trzeciej, że otoczona jest kotami, które

hoduje z macierzyńską troskliwością; przy czwartej wreszcie, że się nazywa... Rozszczepalska. Więcej łyżek jeść już nie potrzebowałem. Radość ze szczęśliwego odkrycia nasyciła mnie w zupełności.

— Nas jednak wcale nie nasyca!—wtrącił jeden ze słuchających. Historja twoja jest wściekle ciekawa, ale jeżeli nie urozmaicisz jej jeszcze dwiema butelczynami, wszyscy przy niej pośniemy.

Dwie butelki zjawiły się piorunem...

— Łyżka wypadła mi z ręki—ciągnął Kazio uroczyście—oczy przymknęły się, głowa na piersi opadła i tak siedziałem przez kwadrans, nieruchomy jak z drzewa. Chłopisko chciało już lecieć do źródła po wodę, myśląc, żem zemdlał, alem go zatrzymał, żądając tajemniczym głosem trzech funtów najpiękniejszej wędzonej słoniny. Ze słoniną w kieszeni i napoleońskim planem kampanji w głowie, udałem się do dworu...

— Częstować słoniną właścicielkę?

— Nie właścicielkę, ale jej koty. W istocie plan był dobry, i udał się wyśmienicie. Gromada „Maciusiów,“ które stara panna karmiła wyłącznie mlekiem, kaszką i biszkoptami, wpadła w zachwyt, poczuwszy woń wędzonego specjału. Rozumie się, że trzymając go w kieszeni, pozwalałem kotom delektować się jedynie zapachem, chodziło mi bowiem o to, żeby jak najdłużej utrzymać ich sympatję. Gdym stanął przed panią domu otoczony orszakiem jej wychowańców, łaszących się do mnie przyjaźnie, staruszka uśmiechnęła się niezmiernie słodko i rzekła:

— Nie znam asana, ale musisz być asan dobrym człowiekiem, kiedy asana moje Maciusie tak odrazu polubiły.

Po tym wstępie prosiła mnie siedzieć i postawiła przedemną talerz kaszki na mleku z biszkoptami. Gdym udając apetyt, zjadł kaszkę i schrupał biszkopty, rzekła:

— A teraz, powiedz mi asan, co asana do mnie sprowadza?

Wstałem, podniosłem oczy do nieba, położyłem dłoń na sercu i głosem melodramatycznym zaśpiewałem:

— Jestem Rozszczepalski!

— Z których?

— Z tych, których pani dobrodziejka jesteś filarem i ozdobą...

— Więc kuzyn?

— Siostrzeniec twój, najdroższa ciociu!

— No patrzcież państwo, moje Maciusie odrazu to zwąchały!

Pierwsza część kampanji była wygrana; staruszka uznała we mnie krewnego.

Ponieważ oświadczyłem, że warszawskie „ciało medyczne” na generalnem posiedzeniu dojrzało we mnie zarodki suchot i poleciło pod zagrożeniem rychłej śmierci przepędzić czas jakiś na wiejskiem powietrzu, staruszka ofiarowała mi gościnność oraz kaszkę, mleko i biszkopty *à discrétion.* Jednocześnie, z miną wielce tajemniczą, dodała:

— Nie myśl tylko asan, że ja bogata! Boże uchowaj! Nie mam ani tynfa kapitału. Parę sukienczyn i ta oto gromadka poczciwych Maciusiów, to mój cały majątek. Kolonja obdłużona aż strach! Po mojej śmierci kredytorzy rozszarpią ją w kawałki.

Skłoniłem głowę z rezygnacją i zapewniłem panią Rozszczepalską, że jej życzliwość stanie mi za wszystko.

Gdym się rozgościł we dworku, jąłem wszelkiemi sposobami starać się o pozyskanie względów i zaufanie pięćdziesiątletniej panny Scholastyki, przyjaciółki i powiernicy pani Rozszczepalskiej.

Nie zawiodła mnie i tym razem stara moja metoda: oświadczyłem babie miłość i przyrzekłem, że gdy się zbogacę, zaraz ją poślubię, a stara wiedźma przyjęła to za dobrą monetę i wyśpiewała przedemną wszystko, co jej było wiadomem o majątku pani kolonistki.

Z relacji tej dowiedziałem się, że hipoteka kolonji czysta jest jak czwarty numer „alembikowej,“ oraz że w dębowej skrzynce pod łóżkiem, oprócz gromnicy poświęconej w Często-

chowie, papierów dotyczących własności kolonji i kosmyka włosów niedoszłego—i nigdy dojść nie mającego—małżonka, kryje się wstydliwie kilka likwidacyjnych i zastawnych liścików...

Relacyję zakończyła panna Scholastyka desperackiem załamaniem rąk i wykrzyknikiem:

— Obrzydłe kociska! im się to wszystko dostanie!

— Jakto?—spytałem niespokojnie—czyżby pani Rozszczepalska chciała majątek swój zapisać kotom?

— Zgadłeś, panie Kaziu! Pani moja postanowiła wszystkie fundusze przeznaczyć na wybudowanie szpitala dla „Maciusiów.“ Mają być w nim ordynujący weterynarze, służba felczerska, kucharz, praczka i t. p. Oprócz tego stale utrzymywany woźnica będzie rekonwalescentów woził codziennie na spacer. Obraza boska i tyle!

— Cóż na to familja?

— Familja odstrychnęła się od mojej pani i od trzydziestu lat wcale się z nią nie ko munikuje. Pan pierwszy odwiedziłeś nas w naszej pustelni i dla tego pani Rozszczepalska bardzo pana polubiła. Kto wie nawet, czyby nie zrobiła pana swym sukcesorem, gdyby nie te przeklęte koty!

Usłyszawszy to wszystko, postanowiłem czemprędzej przystąpić do drugiej części kampanji, która miała ostatecznie zadecydować o zwycięztwie.

Było to w maju i szanowna przyjaciółka kociego rodu codziennie popołudniu jeździła w towarzystwie panny Scholastyki do kościołka parafialnego, oddalonego o dwie wiorsty od kolonji.

Okoliczność ta była mi bardzo na rękę, mogłem bowiem swobodnie czynić wojenne przygotowania.

A przygotowania te, jak zobaczycie, wcale łatwe nie były...

Jak tylko zostałem sam we dworku, zaraz zgromadziłem w stołowym pokoju wszystkie domowe koty, które zazwyczaj chętnie głosu mego słuchały.

Maciusie, spodziewając się poczęstunku, otoczyły mnie przyjaźnie i poczęły błyszczącemi oczami śledzić moje poruszenia...

Wówczas uczyniłem wyraźny znak krzyża i podniesionym głosem, zwolna a dobitnie powiedziałem:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen.

Przy słowie „amen“ wyciągnąłem szybko z pod surduta tęgą rzemienną dyscyplinę i począłem bić koty po łbach i grzbietach, ręki nie żałując...

Powstał wrzask nie do opisania...

Maciusie, które po raz pierwszy w życiu kary cielesnej doświadczały, nie mogły formalnie pojąć, co się z niemi dzieje i biegały po pokoju z zadartemi ogonami, do drzwi nie umiejąc trafić...

Nareszcie kilku drapnęło przez otwarte okno, kilku szustnęło w luft od komina i pokój się oczyścił.

Złożyłem dyscyplinę i odpocząłem.

Nazajutrz powtórzyłem tę samą scenę co do joty, nie zapominając przed bastonadą przeżegnać się głośno i wyraźnie.

W następne dni—*idem*.

Gdym już osądził, że nauka powinna wydać pożądane owoce, rzekłem nieśmiało do Rozszczepalskiej:

— Wybacz, ciociu najdroższa, że wyjawię ci pewną wątpliwość, jaka mnie od pewnego czasu dręczy i spokojności pozbawia...

— Cóż to acanowi? — spytała uprzejma staruszka. Może ci zaszkodziły wczorajsze biszkopciki?.. Sama uważałam, że były niewypieczone...

— Nie o biszkopciki tu chodzi — i nie o mnie...

— O kogo zatem?

— O ciotunię dobrodziejkę.

— Co znowu! Niechże się acan raz już wyjęzyczy.

— A więc powiem otwarcie, iż nie mogę

pojąć, jakim sposobem kochana ciocia, taka nabożna i świętobliwa, otaczać się może stworzeniami, które... to jest w których...

— Czy acan mówisz o moich poczciwych Maciusiach?...

— Nieinaczej, ciociu dobrodziejko.

— I cóż masz im do zarzucenia?

— To, że jak utrzymują osoby stateczne, a między innemi pewien uczony doktór teologji, w kotach przemieszkuje... siła nieczysta.

— Głupstwa acan pleciesz!—wykrzyknęła staruszka, zrywając się ze stołka i trzęsąc głową i rękami.—To są niegodziwe plotki! oszczerstwo! kalumnia! Proszę acana, żebyś mi podobnych rzeczy nigdy nie powtarzał!

Zniosłem ten wybuch z rezygnacją i postanowiłem czekać cierpliwie na następstwa.

Nie czekałem długo.

Pewnego poranku, w trzy czy cztery dni po opisanej rozmowie, wezwano mnie do staruszki, która nagle zasłabła.

Zastałem ją w łóżku, żółtą z irytacyi i silnie rozdrażnioną.

— Ach, Kaźmierzu!—zawołała ujrzawszy mnie—czemuż ja przestróg acana wcześniej nie wysłuchałam. Gdybyś wiedział, co mi się przytrafiło wczorajszego wieczora! Dotąd cała dygoczę ze strachu i zgrozy!

— Cóż takiego, ciotuniu najmilsza? Opowiedz mi, bo umieram z niespokojności...

— Posłuchaj więc acan uważnie. Jak ci wiadomo, wczoraj była burza. Siedziałam w swoim pokoju otoczona Maciusiami, które dostawały właśnie wieczorną porcję kaszki z mlekiem i biszkoptami. Deszcz lał jak z cebra, i łyskało się ciągle za oknem. Maciusie nie zwracały na to uwagi i jadły kolację z apetytem. Nagle łysnęło się silniej i ja, dla obrony przed nieszczęściem, zrobiłam na piersiach znak krzyża, mówiąc głośno: w imię Ojca i Syna.. Zaledwiem to uczyniła, koty rzuciły się jak wściekłe do drzwi i uciekły do sieni, wrzeszcząc przeraźliwie. Przyszły mi wówczas na myśl słowa acana, którym jednak odrazu wiary dać nie chciałam. Ale wkrótce otworzyły mi się oczy zupełnie. Kiedy burza ustała, wśliznął się do pokoju największy mój faworyt—wiesz ten bury, co to kuleje od czasu, jak mu Scholastyka łapkę nadepnęła. Dla przekonania się o prawdzie, wzięłam go na ręce i posadziłam przed sobą na fotelu, a potem, patrząc mu prosto w ślepie, rzekłam: w Imię Ojca i Syna, i zaczęłam się żegnać. Burek miauknął, jakby go kto ukropem oblał, i szustnąwszy mi przez głowę, zginął w czeluści komina.—Ach Kaźmierzu! Kaźmierzu! nie masz acan pojęcia, jaką zgrozą przejęło mnie to odkrycie. Dziś z samego rana kazałam wszystkie kociska z domu wypędzić, i pokoje wodą święconą wykropić. Żałuję tylko, żem nie zrobiła tego jeszcze przed piętnastu laty.

Staruszce wróciło powoli zdrowie, ale miłość dla kotów już jej nie powróciła.

Do samej śmierci zachowała nieprzezwyciężony wstręt do tych stworzeń fałszywych, umierając zaś przed dwoma laty, cały swój majątek, nieruchomy i ruchomy, mnie jednemu zapisała.

Tak więc, dzięki kotom, zostałem posiadaczem intratnej kolonji, którą też, na cześć swych spadkodawców, nazwiskiem „Maciusiowa" ochrzciłem.

Odtąd również nie piszę się przez *z, t, r, z*, lecz przez *z, s, z, c, z*.

Tyle jest słów historji o mojej przybranej ciotce, jej kotach i djable, który w ciele „Maciusiów" pokutował...

Sukienka

* *Sukienka Naci.*

(Obrazek).

O dwa piętra nademną mieszka facetka, której przytrafił się niedawno szczególny wypadek.

Facetkę tę zowią Nacią, choć nikt jeszcze nie zbadał, czy właściwie jej imię jest Anastazja, czy też Natalja?

Cokolwiekbądź, jest ona zgrabnem i przystojnem stworzonkiem, a ci, którzy jej odmawiają urody, są albo zawistni, albo głupcy.

Nacia pracowała w dużym magazynie bielizny przy ulicy Wierzbowej, czy też Czystej.

Szycie penioarów, koszul, oraz damskich i męzkich... negliżyków jest zajęciem wcale przyjemnem dla tego zwłaszcza, że się przy niem nie smolą ręce i nie męczą nogi, trudno jednak poczytywać je za ostatni cel marzeń młodej i zdrowej dziewczyny, która, choć się łatwo obchodzi bez miljonów, to jednak kilkoma rublami na miesiąc w żaden sposób kontentować się nie może.

Szycie nie jest rzemiosłem produkcyjnem, we właściwem znaczeniu tego słowa.

Wytłómaczę państwu zaraz dla czego.

W poczciwej Warszawce znajduje się bardzo dużo rodziców, którzy uważają się za „coś lepszego," nie każą córek swych uczyć żadnych praktycznych *talentów*, takich, jak *szewctwo*, *krawiectwo* i t. p.

— Zostawiemy naszym pociechom fortunkę, która je od niedostatku obroni — tak powtarzają przez całe życie, składając pieniądze do skarbonki, którą co tydzień regularnie... wypróżniają.

I pewnego poranku lub wieczora, odchodzą *ad patres*, pozostawiając ukochanej córeczce żelazko do papilotów, oraz skarbonkę, którą może sama napełnić... jeżeli będzie miała czem.

Znajomi i krewni objawiają pewne zainteresowanie się sierotą i przedewszystkiem zapytują jej:

— Co umiesz? czem się zająć potrafisz?

A dziewczątko z miną pewną siebie powtarza:

— Umiem szyć.

Więc znajomi i krewni prowadzą ją do mniejszego lub większego magazynu bielizny, w którym jedna z ciotek zna osobiście subjekta — subjekta z fryzowaną czupryną i z faworytami, ach! z faworytami! Nikt jeszcze dotąd nie odgadł, jakim sposobem młodzieniec ten przyszedł do tak pięknych faworytów; co dziwniejsza, on sam tego niewie — ale o to mniejsza!

Na widok młodej i nieśmiałej kandydatki na pracownicę igły, subjekt marszczy kształtne, wyniosłe czoło i targając lewy faworyt, przemawia:

— Jeżeli panna szukasz miejsca, to na próżno się do nas *deranżowałaś*. Wszystkie *angażmenty* są zajęte, a ponieważ obecnie w *towarze białym* panuje nadzwyczajna stagnacja, więc i t. d. i t. d.

Wszystko to jest nieprawdą i przystojny subjekt napędza przybyłej strachu dlatego tylko, żeby wszczepić w jej umysł wysokie pojęcie o swej godnośi i władzy.

W rezultacie, daje jej do roboty sześć kołnierzyków i dwanaście par mankietów.

Pierwszy krok jest więc już zrobiony i rumiane, zalęknione dziewczę zaciąga się pod sztandar bojującego hufca szwaczek, o których tyle się pisze w dziennikach poważnych i ....humorystycznych.

Po tygodniu pracy młoda emancypantka (bo u nas każdą kobietę pracującą nazywa się pogardliwie *emancypantką*), otrzymuje gotówką rs. 1 kop. 50, czyli złotych polskich 10, czyli groszy polskich 300.

Z taką kwotą w kieszeni trudno jeszcze myśleć o kupieniu willi z pałacem pod Warszawą!

Otóż Nacia, której z niemałym trudem udało się pozyskać *angażment* w *towarze białym*, z zapałem i wytrwałością migała po całych dniach błyszczącą igiełką, albo wygrywała miarowe *staccato* na maszynie Wheelera i Wilsona, za co każdej soboty wypłacano jej z kasy pryncypała sumę środkującą pomiędzy 10 złotemi a dwoma rublami.

Dodać muszę, że Nacia — szczęśliwsza w tym razie od innych — mieszkała z matką, która posiadała jakiś mikroskopijny fundusik, pozwalający jej... nie umierać z głodu.

Jednym z sąsiadów matki i córki był młody i zuchowaty Piotr, malarz pokojowy, któ-

ry zapracowywał pędzlem prawie całego rubla na dobę, co go czyniło nieledwie magnatem i pozwalało zalecać się do fertycznej Naci.

Miłość prawdy wyznać mi każe, iż ta ostatnia chętnie zalecanki owe przyjmowała.

Ale matka powtarzała nieustannie córce:

— Jeszcze masz czas, moja panno ...

Ach, te matki! Im nigdy się nie śpieszy!..

Pewnego razu Nacia wybrała się do magazynu zawcześnie, szła więc wolnym krokiem, przystając przed wystawami sklepowemi.

Dziwna rzecz doprawdy, że w tych sklepach warszawskich sprzedają wszystko, o czem tylko młoda i niebrzydka dziewczyna zdoła zamarzyć!

Naci wpadł w oko, na wystawie pewnego magazynu bławatnego, prześliczny materjał letni — „czysta wełna" na którym znajdowała się kartka z napisem:

Łokieć zł. **3** *gr. 28.*

— Trzy złote łokieć rzekła do siebie dziewczyna — to wcale niedrogo za materjał czysto wełniany!

Kobiety, czytając cennik, widzą jedynie złote i ruble, na grosze zaś i kopiejki nie zwracają wcale uwagi. Wiedzą o tem kupcy i dlatego pisząc 3 olbrzymie, kreślą 28 niedojrzanym maczkiem.

— Ile potrzeba tego materjału na suknię? — spytała Nacia, wstąpiwszy do magazynu.

— Zwykle się bierze dwadzieścia łokci — odpowiedział subjekt woniejący *Ylang-Ylang'iem* — ale ponieważ pani ma bardzo ładną figurkę, potrzeba będzie najmniej dwadzieścia cztery.

Trzeba wiedzieć i o tem, że kobieta, im ładniejszą ma figurkę (w przekonaniu pana subjekta), tem więcej materjału musi brać na suknię.

Jest to podatek od... urody!

Nacia poczęła marzyć o nowej sukni, jak o zbawieniu.

Pracowała dniem i nocą, oszczędzała na jedzeniu i na wszystkiem, i po sześciomiesięcznych trudach doszła wreszcie do kapitału, wynoszącego zł. 72, to jest tyle, ile potrzeba było (wedle jej mniemania) na upragniony materjał.

Okazało się jednak w sklepie, że z owych ignorowanych groszaków, przybyła jeszcze do rachunku kwota: zł. 22 groszy 12.

Nacia była zażenowana i strapiona tą niemiłą niespodzianką i nie wiedziała formalnie, co począć — ale wymuskany subjekt, od którego tym razem zalatywało *foin coupé* — odmierzył towar, zawinął, i podając uprzejmie zarumienionej dziewczynie, rzekł:

— Resztę dopłaci nam pani później ...

W tem miejscu wypada oddać sprawiedliwość panom kupcom bławatnym. Są oni ideałami uprzejmości i względności. Co prawda, możliwe straty materjalne, jakie mogą ponieść na tych przymiotach duchowych, zaliczają już z góry do ceny sprzedawanego towaru...

Matka Naci, kobieta zabiegliwa i oszczędna, miała trochę grosza odłożonego na stronę, „na nieprzewidziane potrzeby."

Kiedy córka pokazała jej materjał, ceną tylu nocy bezsennych okupiony, poklepała ją po twarzy i rzekła:

— Ponieważ jesteś pracowita i oszczędna, masz więc tutaj na robotę sukni...

I przy tych słowach wsunęła jej w rękę trzyrublowy papierek.

Nacia uszczęśliwiona, poczęła tańczyć solo trzecią figurę kontredansa, poczem udała się wprost do znajomej krawcowej.

— Kiedy matka płaci za robotę — zauważyła ta ostatnia — dlaczegóż nie mamy ubrać sukni strojnie, jak się patrzy! Gładka suknia dla takiej ładnej panienki nie *apropo*.

— Prawda — odrzekła Nacia — nie pomyślałam dotąd o tem!

I pobiegła czemprędzej do magazynu, gdzie kupiła przyborów eleganckich za trzy ruble, zaliczając jednak kupcowej (która ją znała), tylko połowę tej sumy.

Dziewięć złotych w jednem miejscu a dwadzieścia dwa złote i groszy dwadzieścia

w drugiem, czyniło razem sumę złotych 32, groszy 12.

Uczciwa dziewczyna, jeśli zadłuży się na taką sumę, jest dziewczyną zgubioną.

Jest zgubioną nie dla tego, że winna zł. 32, groszy 12, lecz dlatego, że zawsze przed zapłaceniem długu stręczą się jej inne pilne wydatki.

Pewnej soboty, na progu izdebki, zajmowanej przez Nacię i jej matkę, ukazał się — pan Piotr.

— Proszę pani — rzekł nieśmiało — jutro niedziela...

— A toś mi pan nowinę powiedział! — zawołała z sarkastycznym śmiechem Nacia.

— Jeżeli mama się zgodzi — ciągnął młodzieniec—to może-byśmy poszli spacerem do Mokotowa — na bez...

— Nic z tego nie będzie — odrzekła dziewczyna. Nie mam jeszcze wiosennej garderoby!

— A czegóż ci brakuje? — spytała matka.

— Jakto! czyż mama nie wie, że nie można pokazać się ludziom w nowej sukni i starym kapeluszu?!

Matka zamilkła. Uwaga córki była zupełnie słuszną.

Kiedy Nacia zdobyła upragniony kapelusz, pan Piotr zjawił się powtórnie.

— Proszę pani — rzekł lękliwiej jeszcze niż pierwszym razem—skończyłem wczoraj sufit w kawiarni na Nowym-Świecie i wziąwszy zapłatę, ośmieliłem się kupić jasne rękawiczki i pąsową krawatkę, które niech pani będzie łaskawa przyjąć odemnie w prezencie. Jutro, jeżeli mama pozwoli, może zrobiemy spacer do Wierzbna — na róże...

— Ślicznie panu dziękuję za rękawiczki i krawatkę — odrzekła Nacia — ale jutro nie będę mogła pójść na spacer....

— Dlaczego?

— Jeszcze nie skompletowałam wiosennej garderoby...

— Na Boga, dziewczyno! — zawołała matka — czegóż ci jeszcze brakuje?

— Do nowej sukni i nowego kapelusza brakuje mi jeszcze nowych bucików.

I tym razem matka nie umiała znaleźć na to odpowiedzi.

Gdy następnej soboty pan Piotr zjawił się po raz trzeci, Nacia, nie czekając na to co powie, rzekła wręcz:

— Odłóżmy nasz spacer na przyszłą niedzielę. Moja wiosenna garderoba nie jest jeszcze kompletną ...

— I czegóż ci znów potrzeba? — spytała matka.

— Dziwię się, że mama pyta mnie o to. Mam nową suknię, to prawda — ale nie mam nowego okrycia. Czyż mama chce, żebym włożyła starą, pocerowaną chustkę, lub zaprzeszłoroczny paltocik, ciasny i wypłowiały!?

Matka nic nie powiedziała — bo też nic nie było do powiedzenia...

Następnej niedzieli, około południa, staruszka, wzdychając do spaceru, nie tyle dla kwiatów, ile dla nieodzownej *ziołówki* i buttersznitów z zimną szynką, zagadnęła Nacię:

— Co to znaczy, moja kochana, że pan Piotr nie był u nas ani wczoraj, ani dzisiaj?

— Nie przyjdzie już tu wcale.

— Przecie masz już nowy paltocik, więc moglibyśmy wybrać się nareszcie do Mokotowa. Cóż ci dzisiaj staje na przeszkodzie?

— To — szepnęła, rumieniąc się Nacia — że na miejsce Piotra, mam obecnie... już Pawła!

Sumienie.

* *Co kto w Warszawie ma na sumieniu.*

Niektóre pisma peryjodyczne mają na sumieniu zmarnowane talenta literackie.

—o—

Teatr warszawski ma na sumieniu niejednego artystę, który mógłby być bardzo dobrym szewcem lub krawcem.

—o—

Subjekci od Bocqueta i Semadiniego mają na sumieniu spokój pokojówek w gmachu teatralnym.

—o—

Niektórzy lekarze mają na sumieniu, chorobę lub śmierć swoich pacyjentów.

—o—

Niektóre sylfidy mają na sumieniu zrujnowanych paniczyków.

—o—

Niektóre warszawianki mają na sumieniu warszawiaków jeżdżących wózkami.

—o—

Modystki mają na sumieniu kieszenie wielu mężów i ojców.

—o—

* Sumienie i rozum można sobie zepsuć na równi z trawieniem.

Chamfort. (p. t. I, str. 35).

Sumienność.

* Dwie kobiety rozmawiają o swoich mężach: „Mój jest tak sumienny, rzecze pierwsza, że jak mu się przyśni, iż co ukradł, to się sam idzie oskarżyć".

„O mój tak samo" dodaje druga, „tylko jak mu się zdarzy wziąść co cudzego, to myśli, że mu się to tylko przyśniło".

* Eugenia Foa, posiadająca o wiele więcej talentu niż piękności, przeszedłszy na wiarę katolicką, pytała swego ojca duchownego:

„Czy naprawdą jest grzeszną radość, jakiej doznaję, słysząc pochwały swoich wdzięków?"

„Bezwątpienia, moje dziecko, odpowiedział ksiądz, gdyż upoważniasz ludzi do kłamania".

Swatka.

Pewna dama w Paryżu opętana była manją swatania i kojarzenia małżeństw, pomimo że mąż niejednokrotnie robił jej uwagi, że dla manji te dom i gospodarstwo zaniedbuje.

Pewnego razu wszedłszy do pokoju żony, zobaczył list niezapieczętowany, zaadresowany do młodej znanej mu panienki. List ten zawierał informacyje o pozycyi i majątku „pięknego młodego człowieka," którego fotografja była załączona.

Mąż zapamiętałej swachy wyjął z listu ową fotografję a włożył wizerunek małpy, który dnia poprzedniego kupił w menażeryi i wszystko razem wrzucił do skrzynki pocztowej.

W kilka dni przyniosła żona mężowi z miną tryumfującą list jakiś.

„Widzisz", mówiła, „zawsze się ze mnie wyśmiewasz a jednak przekonasz się, że tak bardzo niezręczna nie jestem."

List zawierał następujące wyrazy:

„Dziękuję Ci, droga przyjaciółko, za przysłane informacyje i za portret mego przyszłego. Co prawda nie jest on piękny, ale ma niepospolitą powierzchowność".

Świadkowie.

„Panie adwokacie," — rzecze oskarżony o znaczną kradzież złoczyńca, „mam dwóch świadków, którzy chcą zeznać pod przysięgą, że widzieli mnie śpiącego w łóżku w chwili dokonanej kradzieży, a dwóch drugich, którzy też gotowi świadczyć, że byli wtedy razem ze mną za miastem na przechadzce; to już teraz chyba nie ma wątpliwości, że muszę być niewinnym.

Flieg. Blät.

Świat.

* Świat jest miejscem nierządu, w którem przebywamy, nie robiąc z tego tajemnicy.

* Świat fizyczny zdaje mi się być dziełem istoty dobroczynnej i potężnej, świat moralny płodem dyjabła, poczętym w przystępie obłędu.

Chamfort. (p. t. I, str. 35.)

* — Dla czego świat jest tak mało dobroczynny?

— Dla tego, że wielkiemu światu zawsze brak drobnych, a małemu grubych pieniędzy.

Światek.

* *Nasz Światek.*

Światek nasz jest bardzo miły; — Bartek pracuje nad siły; — Zato Wit robi niewiele; Piotr obdziera i w niedziele; — Jaś pełza przez życia drogę, — Zdziś podstawia bliźnim nogę, — Franio kłamie jak najęty, Prot całuje możnych w pięty, — Stach rozbija, Leoś kradnie... I zabawnie jest i ładnie.

M. Rodoć. (p. t. I, str. 125.)

Światło.

Skradziono komuś ze sklepu kilkanaście funtów świec; opowiadając ten wypadek przyjacielowi, wyrażał jednak właściciel nadzieję, iż kradzież ta wyjdzie na światło. „To prawda! odrzekł przyjaciel, jeżeli świece nie wyjdą na światło, to możesz być w każdym razie pewnym, że światło przyjdzie na świece.

Święcone.

* *Święcone u naczelnika.*

(Szkic z życia.)

Godzina 12 w południe, w pierwsze święto Wielkiejnocy.

Pan naczelnik z hawańskim cygarem w ustach, przechadza się po gabinecie, spoglądając niecierpliwie co chwila na zegarek.

— Już po dwunastej — mruczy, — a ta zgraja z biura nie przychodzi, osły jakieś, myślą, że ja cały dzień zmarnować mogę na ich wizyty... dyjabli nadali. Andziu, żono!

— Co chcesz mężu? — słychać głos z drugiego pokoju.

— Święcone gotowe?

— Gotowe.

— Na wiele osób?

— Na kilkanaście.

— To zamało... ich się więcej zwali...

— Bardzo ci tak dobrze... mówiłam sto razy: nie prosić.

— Już próbowałem nie prosić ich, ale cóż kiedy i tak złażą się wszyscy: Grzymolski, Piórkiewicz, Molewicz i tam dalej. A przynajmniej jak uważasz poproszę, to jakoś lepiej wygląda i nawet, uważasz wypada...

— Objedzą się tylko...wypiją co najlepsze.

— A to też, dobry pomysł, tego węgierskiego z r. 1864 nie stawiać wcale, to nie dla nich, uważasz... albo oni mają na wino...

— Do dzisiejszego dnia nie mogę odżałować tych dziewięciu butelek, co to wypili przy święconem w zeszłym roku... i jeszcze...

Głos pani naczelnikowej przerywa dzwonek w przedpokoju.

Już idą...!

Naczelnik z żoną wchodzą do salonu i z serdecznemi minami oczekują gości.

— Już słyszę po hałasie i głosach — robi pocichu uwagę naczelnik, że ich tam ze trzydziestu a może i więcej dyjabli nadali!

Drzwi się roztwierają i wchodzi kilkudziesięciu dużych i małych, chudych i tłustych, młodych i starych roboczych wołów...

W jednej chwili tworzy się obraz trzydziestu postaci, zgiętych jak obręcz przed stojącą postacią gospodarza.

— Panowie, odzywa się naczelnik, z niewymowną radością widzę was dzisiaj w moim domu! Dla okazania więc szczerości mych słów i uczuć proszę was panowie, przystąpcie, raczcie spożyć święcone, przygotowane przez moją małżonkę, dla której jedyną, że tak powiem, przyjemnością, jest przysłużyć się wam choć kilka razy do roku. A więc bez zwlekania, po staropolsku... czem chata bogata, panowie!

. . . .

W godzinę po opisanej scenie, tak niecierpliwie oczekiwani goście, opuścili dom naczelnikowstwa.

— No, chwałaż Bogu, że już poszli — rzecze naczelnik do żony, która tymczasem robi rewizyję w resztkach święconego.

— Tak poszli, ale też co jedli, to jedli... aż im się uszy trzęsły, gdzież ten stary gruby, jakże go tam?...

— Aktowicz.

— No, ten Aktowicz, uważałam, jak Bozię kocham, zjadł cztery kawały, ale to kawały szynki, z pięć kawałków cielęciny, masę kiełbasy i jak Bozię kocham, chyba z pół talerza indyka!

— Indyka? przerywa ze zgrozą naczelnik, indyka... więc ty pokrajałaś dla nich indyka... a to doprawdy jest już rozrzutność...

— Nie wiedziałam, że chcesz, zresztą...

— Już jak ja tylko czego nie dopilnuję, to tak zawsze! Indyka, dla nich indyka, może jeszcze trzeba było szampańskiego...

— O... o... z pewnościąby wypili, ten Piórkiewicz, to się aż trząsł do wódki i ręczę... gdzie to on siedział?

— Tu w tem miejscu.

— A widzisz, spodziewałam się, że nie zostanie ani kropli, wysączył do dna.

— Albo znów Golewicz, ja go uważasz częstuję papierosami, a on za cygaro, bo było kilka cygar w papierośnicy... no powiedz sama, czy to nie jest bezczelność?

— Naturalnie — odrzecze gospodyni — ale po nich wszystkiego spodziewać się można. A jacy interesowni, wiesz, że jeden prosił mnie, żebym się wstawiła za nim do ciebie o jakiś tam świeży wakans.

— Któryż to?

— Ten wysoki, chudy, mizerny, co to może uważałeś, zjadł z dziesięć kawałków mazurka?

— Aha... Aha... Piórkiewicz, ale nic z tego... tej posady nie dostanie... zresztą prosili mnie o to samo prawie wszyscy, no i naturalnie każdemu obiecałem najsolenniej, bo z nimi inaczej nie można...

— Albo znów, przerywa naczelnikowa, ten, co to się jąka?

— Psiarski... kancelista.

— Pyta mnie się: „pani naczelnikowa sama ba... ba.. by...” Myślę sobie, co on mnie tu babą robi, ale na szczęście dokończył: „czy sama baby piekła” odrzekłam mu, że tak, a on powiada: „wyb... b... borne, nie mogę się od... d... odjeść.” Chciałam powiedzieć, że widzę to, ale naturalnie dałam pokój.

— Z tego wszystkiego ja widzę, rzekł naczelnik, że na przyszły rok trzeba będzie uniknąć tego święconego...

— O... to masz racyję... ale jakim sposobem?

— Już ja wiem, powiem, że wyjeżdżam z Warszawy na dwa święta i basta.

— A jak się dowiedzą, że nie wyjeżdżaliśmy, to się gotowi domyśleć...

— To powiem, że mi żona zachorowała i że nikogo nie przyjmuję.

— Jak chcesz, to ja naprawdę...zachoruję.

* *Na święconem.*

Pani Radczyni. Proszę panów, bardzo proszę, niech panowie będą łaskawi, kawałek szyneczki, ozora...

Pan Adolf. Ozór pani dobrodziejki piramidalny...

Pan Agapit (po cichu.) Ale co szynki, to za chude...

Pan Radca. Niechże panowie... ten tego... pani prezesowo kochana, kiełbasy... tego ten... z sosikiem...

Pani Prezesowa. Oh! serdeczne dzięki!. nie jadam, bo mi szkodziła...

Pani Radczyni. Może kawałek prosiaczka, prosiaczek własnej roboty mojej córki, ona go wychowała... panie Adolfie!

Pan Adolf. Z przyjemnością.

Pani Radczyni. Z nadzieniem?

Pan Radca. A po prosiaczku kieliszeczek nie zawadzi...

Pan Adolf. Z rozkoszą,. Prosiak chce pić...

Pan Agapit. Pyszny prosiak...

Pan Radca. Panie Agapicie, daj pan kieliszek, naleję panu...

Pan Agapit. Oh, pan Radca dobrodziej sam... prawdziwie anielski, rozkoszny prosiaczek...

Pani Radczyni. Panowie! proszę... bardzo... bar...

Pan Agapit. (kręci się na krześle).

Pan Radca. Panowie! proszę, jak we własnym domu...

Pan Agapit. (kręci się bardziej na krześle).

Pani Radczyni. Panowie! może kawałek głowizny, ta głowa jest mojego męża lukrowania... Panie Adolfie!...

Mały Jaś. Ale ona wpadła w saflik...

Pan Agapit. (zatyka usta ręką i okropnie się kręci na krześle).

Pani Radczyni. Cicho smarkaczu!

Mały Jaś. (dostał szturchańca i z bekiem wybiega z pokoju, złapawszy przy tej sposobności kawałek mazurka).

Pan Agapit. Już... muszę iść...

Pan Radca. Ależ Gapciu kochanie, ani rusz, ten tego przecież możesz się wstrzymać jeszcze.

Pan Agapit. Jak Boga... kocham, nie mogę dłużej...

Pan Radca. Panie Agapicie!

Pan Agapit. Nie mogę... jak szanuję! (wybiega).

Pan Radca. Jeszcze po kielisz...

Święto.

* *W warsztacie na prowincyi.*

— Słuchaj no Wojtek, na co to jest święto?

— Dla majstra na to, żeby wypił antałek piwa, dla czeladnika, żeby wypił pół antałka, a dla chłopca na to, żeby warsztat zamiótł i dostał od pani majstrowej miotłą, tak jak w dzień powszedni.

Święty.

Przymiotnik święty często jest używany przez włochów w chwilach gniewu, lub podziwu dla czegoś odznaczającego się — np. nazywają pewne wyśmienite wino: Vino santo (święte wino).

Razu jednego nuncyjusz papiezki w Brukselli zachorował na mocną gorączkę i doktór kazał mu za napój używać tamtejszego piwa. Prałat przy pierwszym hauście wykrzyknął „O santa birra di Bruxelles," (o święte piwo Brukselli), a przytomni sądząc, że ksiądz wzywa jakiegoś świętego, odpowiedzieli jednogłośnie: „Ora pro nobis (Módl się za nami)".

Świnia.

— Dla czego ty na taki mróz czapkę niesiesz? czemu nie nakryjesz głowy? — rzekł ktoś do chłopa, pędzącego świnie z Pragi.

— Nie mogę, odpowiedział, bo te świnie są dworskie!

Sybaryci.

Dwóch ich było, dwóch braci Goljatów...
Jakich mnóstwo na szerokim świecie,
Na poddaszu mieszkali wysokiem
Staromiejskich syci aromatów...

I nie znali łąk wonnych od kwiatów,
Za Warszawę nie wyszli ni krokiem,
Był zamknięty najlepszy ze światów
W kancelaryi przed smutnem ich okiem.

Przychodzili wieczorem wybladli
Na poddasze kopiowania syci...
I natychmiast spali jak zabici.

Dziś złodzieje im pościel ukradli,
Więc też wcale do snu się nie kładli,
Lecz na spacer poszli — Sybaryci!

Symbol.

Dąb po dziś dzień jest symbolem narodowości niemieckiej. Jest to najsilniejsze i największe drzewo lasu, korzenie jego sięgają głębokości ziemi, wierzchołek jego jak zielony sztandar powiewa dumnie w przestworzach, nimfy poezyi żyją w jego pniu, bluszcz najświętszej mądrości pnie się po gałęziach, a owoce jego są marne i nie do użytku dla ludzi.

H. Heine. (p. t. I, str. 26).

Symbolistyka.

* *Symbolistyka kolorów.*

(według natchnienia jednego z pism współczesnych.)

Kolor biały. Symbol czystości, używany lecz nie zawsze zachowany w bieliźnie.

Kolor żółty. Symbol złości i niedyspozycyi, uwydatnia się rozlaniem żółci lub innej materyi, czepiającej się dolnego ubrania.

Kolor niebieski. Symbol miłości, stosuje się najbardziej do krótkich sukienek, bywa i w migdałach.

Kolor fijołkowy. Symbol niewinności wchodzącej w fazę świadomości, najmodniejszy obecnie na trzewiki, zwłaszcza dla osób świadomych, dla czego się takowe noszą.

Kolor czerwony. Symbol niewinności, graniczącej z faktem dokonanym, okrywają się nim mistrze sprawiedliwości, używany też bywa na halki.

Kolor siny. Symbol niepowściągniętych namiętności, używa się na obicie, nosi się pod oczami, na plecach lub innych częściach ciała.

Kolor czarny. Symbol ludzkich charakterów, nosi się na kapeluszach, tużurkach, butach a często i w duszy.

Synopizmy.

**Z medycyny praktycznéj.*

— Co to są synopizmy?

— A to panie dobrodzieju są pisma od synów, wiecznie żądających pieniędzy, dla tego też djabelne bąble sprawiają w kieszeni.

Syn.

* *Syn przezorny.*

Ojciec sześcioletniego Olesia namiętnie grywa w karty, a po największej części nieszczęśliwie. Pewnego dnia Oleś, przypatrując się grze, spostrzega, że współgrający zabierają ciągle ojcu masę pieniędzy, zniecierpliwiony ciągnie ojca za rękę, mówiąc: „Przestań grać ojcze, bo jak ci wszystko zabiorą, to cóż mnie zostanie do przegrywania?"

(*Flieg. Bl.*)

Synowa.

* *Trzy synowe.*

Stary Szlama, trzech synów,
Z byłej *szkoły rabinów*,
Do poufnej przyzywa narady —
Mówiąc: drogie me dzieci,
W twarzach młodość wam świeci
I korzystne już macie posady.

Nathan jest „buchalterem,"
Dawid „starszym felczerem,"
Jakób „kupiec bławatny" *bez blagi* —
Byt wasz już zapewniony,
Gdy los ześle wam żony,
A przy żonach, bogate posagi.

Znacie dobrze Warszawę,
Więc urządźcie wyprawę,
Każdy w inną niech rzuci się stronę,
Kieszeń wasza nie pusta,
Rozsznurujcie więc usta,
A wasz dowcip zdobędzie wam żonę.

Tu o piękność nie chodzi,
Pieniądz życie osłodzi.
Łatwiej potem o sławę... tytuły;
Brzydką żonę posiędziesz,
To zazdrosny nie będziesz,
A raj dadzą wam. . pełne szkatuły.

— „Ojcze! krzyczą synowie,
Istny genjusz masz w głowie,
Spełnić rozkaz twój każdy poleci; —
Miną dzionki, tygodnie
I zobaczysz, że godnie
Z tej wyprawy powrócą twe dzieci,

* * *

Miesiąc dawno upłynął, —
Bohaterów ślad zginął,
Ale ojciec, nie traci odwagi;
I gdy wicher zadzwoni

Myśli stary, że oni
Wiozą żony... i duże posagi.

Aż pewnego dnia zrana,
Głos usłyszał Nathana,
I z radości mu serce zadrżało —
Postać jakąś niemłodą
I z przekwitłą urodą
Syn najstarszy prowadzi nieśmiało.

Naraz starca twarz zbladła,
Prysły senne widziadła,
I złorzeczy ojcowskiej swej doli;
Bo wybrana mu córa,
Znana wszystkim figura,
Niegdyś *słynna tancerka z Tivoli.*

Drzwi zaskrzypły nanowo.
Wchodzi Daniel z synową
Ź drżeniem swoją prowadząc wybrankę,
Szlama poznał odrazu
Z ciemnych rysów wyrazu,
Sławną w mieście, Esterkę cygankę.

Szlama głową tłukł ściany,
Wtem... wszedł Jakób zmieszany
I znów serce rodzica zakrwawił —
Bo mu w *trzeciej* teściowej
Pannę z *wody sodowej*
Jako czułą małżonkę przedstawił.

Szabla.

* *Szabla kassą.*

„Co tam kręcisz u twej szabli?"—pyta jednego huzara przyjaciel.

Huzar. „A to widzisz kazałem tu w rękojeści zrobić skrytkę, w której chowam pieniądze."

Przyjaciel. „Dziwny pomysł."

Huzar. „Doskonały, powiadam ci; wiesz, że mam sporo wierzycieli, a najwięcej żydków; jak tedy który z nich przychodzi upominać się o pieniądze, ja mu mówię: poczekaj, dam ci zaraz i chwytam za szablę, a wtedy mój wierzyciel nie czekając dłużej zmyka, co tchu i nie pokazuje się tak prędko!"

(*Flieg. Bl.*)

Szambelan.

W czasach, gdy było można kupić tytularne szambelaństwo, pewien wzdychający do jakiejbądź godności, przyjechał do Warszawy i kupił wspomniany idealny stopień. Powracając do dóbr swoich, wstąpił do karczmy, aby się nieco posilić. —Żydzie, masz co jeść? zapytał tytularny szambelan.

— Nic, wielmożny panie, chyba pan pozwoli talerz szambelanki.—Szambelanki? wykrzyknął zdziwiony—cóż to jest ta szambelanka?—Jest to — odpowiedział żyd — jajecznica, która może być tak prędko zrobioną, jak prędko można zostać teraz szambelanem. Szambelan nieco się skrzywiwszy, zjadł szambelankę i pojechał w dalszą drogę.

Szampan.

* *Powstanie wina szampańskiego.*

Biesów pięćkroć sto tysięcy,
Spadło raz tu na ten świat,
Lecz panowie potępieńcy
Byli goli: — pal ich kat!
Wszyscy skomleć zaczynają,
Ów o ścianę tłucze łeb;
Z pomysłu w pomysł wpadają,
Ale w gruncie każdy kiep.
Lucyperek, djabeł stary,
Śmiał się, że aż trzymał brzuch;
Boże drogi — te katary,
Osły z osłów — zginą w puch!
Rwą czupryny, drapią uszy
Krzyczą gwałtu, biada, oh!
Ów o ścianę rogi kruszy,
Tam łzy kapią jakby groch.
Wtem rzekł Pipifoks kulawy:
„Wyście czopy — prawda — co?
„Ja sam jeden dla tej sprawy
„Jestem djabeł comme il faut!

„Co pomoże narzekanie,
„Po co w nosie tyle much:
„Dalej za mną — mocium panie!
„Mam odwagę, jestem zuch!
„Patrzcie: oto knajpa stoi,
„Wina znajdziesz pełno tam,
„Gospodarza — mili moi
„Łatwo przyjdzie okpić nam!
„Chociaż bramy są zamknięte,
„Choć na klamkach warta śpi;
„Nasze drogi niepojęte,
„Wszak tam w zamku dziurka tkwi.
Hurra! wrzasła biesów chmara,
I przez dziurki marsz co sił;
Każdy zmienił się w komara,
A potem jak wielbłąd pił.
I tak pili bez ustanku —
Podśpiewując w późną noc;
Trudno było wyjść bez szwanku,
Każdy zerżnął się jak kloc.
Tańcowali też kankana —
Legł potem przy trupie trup,
A gdy kogut zapiał z rana,
Zjawił się sam Belzebub.
Pozbierał próżne butelki,
W nie wpakował djabli ród,
Zalał smołą, a młot wielki,
Poprzytwierdzał mocno drut.
Teraz w kozie biesy siedzą,
Z nich jest wino, piana, szum;
Jak się zowią? wszyscy wiedzą:
Cliquot, Roederer i Mumm.
Kto z takiego wina pije,
Lepszego losu nie wart;
Chwilkę w sferze niebios żyje,
A potem go porwie czart.

Szansonetka.

* *O szansonetkach wogóle i kantorzystach w szczególności.*

Szansonetki były już znane w starożytności. Początek ich atoli gubi się w morzu przypuszczeń, nie można albowiem twierdzić *na pe*, czy i co mianowicie wąż Ewie zaśpiewał przed zerwaniem jabłka; nadto, nikt nie podał ściśle, jaki taniec wykonała Ewa, ażeby tem łatwiej skusić Adama.

Bliżej określone formy szansonetki widzimy nieco później. Śpiewał ją Noe po użyciu soku winnych jagód, a była to piosnka bachiczna, która pobudziła Chama do takiego śmiechu, że aż Sem z Jafetem wybuchy jego wesołości poskramiać musieli, zkąd nawet powstało wyrażenie *hamować*, znaczące tyle, co uspakajać.

Mały Dawid był *Lebourd'em* Saula. Flecistki Salomona, to typ szansonetek, którymby pan *Doria* zapłacił co najmniej po 250 rs. gaży miesięcznie, bo umiały śpiewać i tańczyć, a przytem jak ich nazwa wskazuje, wybornie obchodziły się z fletem, której to sztuki szansonetki czasów dzisiejszych nie pokazują.

W Indyach mieliśmy w starożytności indyjskie bajaderki, tak nazywane dla tego, że podczas chłodnych nocy okrywały się *bajowemi derkami* czyli kołdrami, czemu nikt się dziwić nie powinien z uwagi na ich ubiory przezroczyste, do których daleko jeszcze najoszczędniejszym toaletom szansonetek pana *Philadelfii z Zaclsza.*

W wiekach następnych szansonetki uprzyjemniały trudy obozowego życia zdobywcom świata, co przychodziło im tem łatwiej, że już przedtem doprowadziły sztukę swoją do wysokiej doskonałości.

Hannibala naprzykład tak rozbawiły w Kapui, że gdy mu doniesiono o Fabiuszu Kunktatorze, nie chciał słyszeć o niczem i ocknął się dopiero, gdy mu najpiękniejsza z szansonetek głosem pełnym przerażenia zanuciła: *„Der Wentzel kommt, der Wentzel kommt, der Wentzel ist schon da"*...

Ale już było zapóźno, bo Wentzel, chciałem powiedzieć Fabiusz, nadbiegł jak piorun i pobił upojonego szampanem, oraz wdziękami szansonetek Hannibala.

W czasach obecnych szansonetka jest tem, czem była dawniej, ubiera się bowiem jak indyjska bajadera, i mieszkając w hotelu, tak jak ona sypia, a śpiewa, jak może.

W szansonetkach, przybywających do Warszawy, jedną chyba odróżnić należy właściwość, a mianowicie, że zagranica przysyła nam towar wysortowany i to w coraz gorszym gatunku.

Słabnie, oj, słabnie interes w szansonetkach!

Przywożone przed kilku jeszcze laty okazy, z trzech przymiotów szansonetki: głosu, młodości i kształtów, miały jeden, a nawet czasami i dwa... Dziś nie posiadają żadnego, a szanujący swoją godność kantorzysta spogląda na nie z tego powodu obojętnie, albo nie spogląda wcale.

Tylko kantorowa młodzież, niedorostki szesnastoletnie, obecnie myślą o nich i uwielbiają przybyłe do Warszawy szansonetki, tę starą gwardyę, która nie umiera nigdy, a zawsze pokazuje to, czego już pokazywać nie warto.

* *Na przedstawieniu szansonistek.*

— Zdaje mi się, że ta wydekoltowana niemka musi dawać bardzo mało mleka?

— Cóż ty pleciesz, z jakiego powodu?

— Ponieważ tak okropnie ryczy.

Szarańcza.

Mówią, że samce szarańczy śpiewają, samice zaś nie. „Cóż to za szczęśliwy ludek być musi - zawołał ktoś dowcipny — posiada nieme kobiety."

Szesnasty roczek.

Panienko, moja, panienko!
Szesnasty mija już roczek,
Serduszko pukać zaczyna,
Blask świeci z ślicznych twych oczek.
Wyrzuć do kąta książeczkę.
Co sieje w główce twej chwasty —
Po co ci uczyć się teraz,
Kiedy masz roczek szesnasty?

Panienko moja, panienko!
Wszak mama kocha panienkę —
Poproś mamusię, niech sprawi
Modną z ogonem sukienkę;
Kup sobie pudru i różu,
Studjuj przed lustrem wzór minek,
Bądź wreszcie damą skończoną,
Żeby — drwić nie śmiał kuzynek.

Panienko moja, panienko!
Zaduma z lic twych spoziera —
Ściśnij gorsecik, co żywo
Mama na bal się wybiera,
Porzuć marzenia dziewczęce,
Po co masz fruwać pod chmury?
Na mężczyzn wędkę zastawiaj,
A może złapie się który?

Panienko moja, panienko!
Złapał się młodzian w twe sidła —
Dźwięk twego głosu, czar oczu,
To niebezpieczne mamidła.
Gdy będziesz wiarę przysięgać,
Zdobna w myrt, welon i wstęgi,
Może pomyślisz coś o tem,
Że... ludzie łamią przysięgi...

Panienko moja, panienko!
Cóż to się stanie z dziewczki?
Przyniesie bocian niecnota
Tobie maluśkie laleczki.
Będziesz im śpiewać piosenki,
Pieścić co wieczór i rano,
Dobrze je pewnie wychowasz,
Tak... jak i ciebie chowano.

Antoni Orłowski.

Szczepienie.

* *Szczepienie ospy.*

Nie dawajcie szczepić ospy waszemu małemu, mówiła Józefowa do Bartłomiejowej, to szczepienie—to tylko łapka na głupców. Niby to utrzymuje zdrowie dzieci, kłamstwo! Szczepiłam ja ospę swoim i cóż? Starszy wybił sobie oko, młodszy złamał nogę, padając z drzewa, jednem słowem mam w domu ślepego i kulawego. Dobrze więc wyszłam na szczepieniu.

Szczerość.

* *Sędzia.* Oskarżony, przyznajesz się tedy że jesteś Marcinem Kogucikiem, tymsamym Kogucikiem, którego przed tygodniem puszczono na wolność. Zdaje mi się, że te dwa lata więzienia wcale nie przyczyniły się do twej poprawy.

Złodziej. I mnie się zdaje także, panie sędzio.

* Baletniczka ofiarowuje swemu bogatemu adoratorowi na imieniny sakiewkę swojej roboty i dodaje życzenie:

„Noś ją, zawsze pełną złota, a ile razy weźmiesz ją w rękę, wspomnij o mnie."

(*Flieg. Bl*).

* *Podoficer* do rekruta: „Powiedz mi, co to jest obłuda?"

Rekrut: „Obłuda... jest to... kiedy naprzykład kto mówi — że lubi swoich zwierzchników".

Szczęście.

* Pewien mularz spadł z rusztowania i skręcił sobie kark — podniesiono go nieżywego, w zaciśniętej ręce trzymał otwarty nóż.

„Jakież to szczęście, odezwał się jeden z obecnych, że on na nóż nie upadł".

* Koń zaprzężony u wozu tak mocno uderzył woźnicę, że go na pół żywego odniesiono do chirurga.

— Na Boga — zawołał doktór — jakże jesteś potratowany mój biedaku!

— A przecież — odrzekł zraniony, otwierając oczy — to jeszcze całe szczęście, że tam był tylko jeden koń, gdyby były dwa nie żyłbym napewno!

* Mamy w naszym języku wiele wyrazów tylko w liczbie pojedyńczej i wiele w liczbie mnogiej. Do pierwszych należy wyraz szczęście... a zapewne dlatego niema on liczby mnogiej, że się tak rzadko spotyka... „Sława" nie okazała się też lepszą dla ludzi...

* *Na ulicy.*

— Wiesz? Wojciechowi umarła żona.

— Nie może być? Jużto ten cymbał Wojciech zawsze ma szczęście.

* Mówią: „lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu" — to jest niepodobna! — szczęście jest samo przez się rozumem, rozum zaś nie jest szczęściem i w tem leży nieszczęście. „Nieszczęście w grze, szczęście w miłości" — i to jest prawdziwem: kto nieszczęśliwie gra, nie zrobi partyi, choćby miał wszystkie honory, a więc kto ma szczęście w miłości, pomimo honorów często ma przegraną partyę. — „Szczęśliwy, kto wprowadza do domu oblubienicę". — O! gdyby szczęście nie było ślepem, prawdziwie szczęśliwy nazwałby się ten, kto z oblubienicą od drzwi domu wróciłby napowrót!

* — Musisz być bardzo szczęśliwy — powiedział ktoś z westchnieniem — masz stare złoto i stare wino.

— Tak, ale chcąc to uzyskać, musiałem wziąć starą żonę!

* Mężczyźni myślą, że urodzili się na to, żeby być szczęśliwymi, a kobiety żeby uszczęśliwiać!

* Pewien bogaty kalif w Indyach Wschodnich zapadł na nieuleczalną melancholię — aby uratować jego życie, poradzono mu zamienić się na koszule z prawdziwie szczęśliwym człowiekiem na świecie. Po długich poszukiwaniach, znaleziono zupełnie szczęśliwego człowieka, ale cóż?... nie posiadał koszuli!

* Kto chciałby tylko być szczęśliwym, mógłby wkrótce swój cel osiągnąć — ale że po większej części jeden pragnie być szczęśliwszym od drugiego, jest to trochę za trudno.

Szczuczyn.

* *W Szczuczynie na rynku.*

(Rozmowa autentyczna).

Żyd (stary). Chłopak! a wiele chcesz za tę furkę drziewa?

Chłopak (czternastoletni). Wiela? a 10 złotówek.

Żyd. Słuchaj ty głupi, ja ci dam po cichu rubelka, żeby nikt nie widział, bo by mnie wyszmiali, że tak drogo płacę... bo widzisz, ja tu nie mam długo czasu szedzycz...

Chłopak. Oj! oj! jakiś ty śpekulantny... a ila mas lat?

Żyd. Nu! przecież widzisz, żem stary i nie chcę cię obsiukać.

Chłopak. A to wielga śkoda ześ taki stary, a taki jesce głupi...

Żyd. Nu, niech cię licho porwie, już ja widzę, co ty masz rozum... i żeby długo z tobą nie gadacz, dam ci osiem.

Chłopak. Za osiem to ja ci sprzedam, ale w siabas.

Żyd. Ce!... ce!... takiś młody, a taki już mądry; to ja kupię w niedzielę od ciebie i dam ci 12.

Chłopak. Kiedyś taki mądrala, to daj mi w niedzielę 12, a ja ci w poniedziałek przywiozę za 10 i będzie kwita.

Żyd. Jakto za 10? jakto kwita?

Chłopak. Ano, bo dwie złotówki, co mi das w niedzielę, to będą tylko na piwo, żebym w poniedziałek o tobie nie zapomniał i basta...

Żyd. A zoj!... jaki on ma chamski rozum!...

Szczyty.

* *Szczyt przyzwoitości.*

Nie chodzić na ślizgawkę do Saskiego ogrodu z obawy, żeby rybki, znajdujące się pod lodem, niedyskretnemi spojrzeniami nie obrażały skromności płci pięknej.

* *Szczyt bezczelności.*

Będąc właścicielem dystrybucyi, udać się do sąsiedniego konkurenta z prośbą o podanie ognia do swego cygara.

* *Szczyt żałoby.*

Chodzić w *czarnych* sukniach, pić *czarne* piwo, *czarną* kawę, bywać w teatrze na „*Czarnych* dyabłach", „*Czarnej* perle", „*Czarnej* Venus" i „*Czarnym* Matwiju", *czernić* sobie brodę i wąsy i nazywać się... *Czarnecki.*

* *Szczyt prawodawstwa.*

Zapozwać deszcz do sądu, że wyprawia *lanie.*

* *Szczyt ciekawości.*

Przyszedłszy do restauracyi, wypić cały antałek piwa dla przekonania się, ile też się w nim kufli znajduje?

* *Szczyt oszczędności.*

Powracając do domu, dla zaoszczędzenia własnego dzwonka, dzwonić do drzwi sąsiada.

* *Szczyt staranności o własne zdrowie.*

Zapytać przez telefon przyjaciela, aby powiedział, czy nasz język nie jest biały od niestrawności.

* *Szczyt wymagania.*

Zażądać od przyjaciela, który zapewnia, iż wszystko dla nas *znieść* gotów, aby zniósł... jajko.

* *Szczyt amatorstwa.*

Ukraść kły słoniowi z ogrodu zoologicznego, aby mieć spinki z prawdziwej kości słoniowej.

* *Szczyt miłosierdzia.*

W porze zimowej sprawić sobie watowaną papierośnicę, dla tego, żeby się papierosy nie zaziębiły.

* *Szczyt awanturniczości.*

Bić się z własnemi myślami, żeby aż stójkowy przyszedł.

* *Szczyt ostrożności.*

Myśleć i oglądać się, czy reporter nie podsłuchuje?

* *Szczyt odwagi.*

Siadając do wagonu drogi Nadwiślańskiej, być pewnym, że się karku nie skręci.

* *Szczyt naiwności.*

Mając *dychę* w kieszeni, iść na piwo do Drehera.

Drugi raz uwierzyć w węża, ssącego żydówkę.

* *Szczyt roztargnienia.*

Włożyć buty na lewą stronę.

* *Szczyt grzeczności.*

Złapawszy złodzieja, wyciągającego chustkę z kieszeni, powiedzieć mu: Przepraszam pana, ja sam sobie nos wytrę.

* *Szczyt surowości.*

Wytoczyć sprawę kryminalną herbacie za to, że... *naciągnęła...*

* *Szczyt pomocy.*

Zaalarmować oddział straży ogniowej, dowiedziawszy się, że przyjaciel dostał *zapalenia* kiszek.

Szekspir *w przekładzie.*

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to prze-
[stroga
Już nie Szekspira! na tym fundamen-
[cie
Moralność cała stoi!...
J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Szewc.

DO MELODRAMY
GAŁGANDUCH
ozyli Hultajska Trójka,
dodatek drugi
przez EX BOCIANA.

Śpiew szewca.

Wszak na świecie gdy kto kichnie,
Wnet „na zdrowie“ każden życzy,
I komplement mu wystrychnie
Wśród uprzejmości słodyczy.
Ale w duszy myśli sobie,
Bodajś jutro leżał w... Apsik!
Na zdrowie!... Na zdrowie!... Na zdro-
[wie!...

Owa dama, co przed rokiem,
Chodziła uboga, bosa,
Dziś z ogonem, wielkim kokiem,
Do góry zadziera nosa.
Takie stroje dyabła warte,
Jeżeli czoło wy... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Starają się ojciec, matka,
Całą duszą, sercem wzniosłem
O wykształcenie gagatka,
Aby przecie nie był osłem.
Próżne trudy i fatyga —
We łbie pustki, w kabzie... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Żona pracuje na dzieci,
Czy to święto, czy niedziela,
Mąż jak oparzony leci —
Na obiad do Boquerela.
Na takiego dziatek kata,
Trzeba porządnego... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Mąż pracuje w kancelaryi,
Dając żonce wszelkie zyski,
Żonka słucha gacha aryi,
Dając uścisk za uściski.
Na taki miłosny wybuch,
Dobry bywa kij, lub... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Ta znów nie wiem z jakiej racyi,
Choć ma straszne pustki w głowie,
Gada o emancypacyi,
A głupiutka co się zowie;
Próżne z tej strony zaczepki,
Gdy brakuje w głowie... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Ten ma słówka miłe, wprawne,
Poczciwy, kochany złoty,
Obcina listy zastawne,
Drąc ubogich i sieroty.
Kiedy prośby nie pomogą,
Trzeba łotra kopnąć... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Złota młodzież! z wielkim szykiem,
Kiedy macie pustki we łbie,
Schowajcie się z szumem, krzykiem,
Skoro osioł w waszym herbie;
Żadna panna się nie wzruszy,
Bo masz, bratku! długie... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Wy panienki i dziewczęta!
Przyjmcie także rady moje,
Skromność dla was to rzecz święta,
Nie mody, głupstwa i stroje.
Jak nie pójdziesz z taką miarą,
To zostaniesz panną... Apsik!
Na zdrowie! etc.

Mógłbym tu jeszcze namnożyć,
Wiele światowych zdrożności,
Ale się zaczynam trwożyć,
By kto nie rzekł z publiczności:
— Schowaj morał i kazanie,
I idź za drzwi Ex-Bocianie!
Na zdrowie! Na zdrowie! Na zdrowie!

* — Doprawdy! jak dzisiaj szewcy po partacku robią obuwie, to rzecz niesłychana! — narzeka pewien, oglądając swoje buty, z których już palce wyglądają. — Jeszcze niezapłacone i już w takim stanie!

* *Rada ekonomiczna.*

Gdy na obuwie masz mój szewcze popyt,
To pilnuj dratwy, pocięgla i kopyt,
Bo gdy żądaniu nie odpowie podaż,
To cię z lokalu wyrzuci gospodarz.

* *Zkąd się wzięło przysłowie: „Spił się jak szewc"?*

Gdzie na Wiśle drzewne tratwy
Biorą zapas swój,
Tam czcicieli szydła, dratwy,
Herostrata słynnej dziatwy
Mieszka cały rój...

Dziatwa owa prócz kopyta
Ma i inny fach:
W poniedziałki nic nie pyta,
Tylko spija się i kwita —
Spija się, aż strach.

Wśród jesiennej zwykle pory
Z kandydatów trzech —
Na starszego są wybory,
Wytkniętemi któren tory
Ma prowadzić cech...

Te wybory — wielkie święto —
Każdy ćmi — jak bąk —
I z odzieżą wraca zmiętą,
No, i... z buzią napuchniętą
Z przyjacielskich rąk...

Po wyborów bowiem pracy
Piją ile sił,
Spił się majster pan Ignacy
I Serwacy i Pankracy
I szewc Andrzej spił...

I ściskają się tak czule,
Tonąc wszyscy w łzach —

Aż „bibuła wlał bibule“
I oparli się w cyrkule,
Bijąc się, aż strach!

W jednym roku... (ot niedawno),
Tak popili się,
Robiąc chryję tak zabawną,
Że w cyrkule drogą prawną
Było setek dwie...

Bitwa tam nie byle jaka
Trwała całą noc,
Szewc szewcowi dał kułaka,
Ztąd powstała chryja taka
Groźna w swoją moc.

Ale pito!... wódka, piwo
Lały się jak deszcz,
Był i tytoń na paliwo
I jedzono rybę żywą —
Sandacz był i leszcz!

Aż nad ranem... po kolacyi
Z frajdy ten był zysk,
Że szewcowi wśród owacyi
Szewc wykrzyknął: — Niemasz racyi!
I strzelił go... w nos.

Kufle lecą jakby kule,
Szkła potłukli wóz,
Rżnie „bibuła po bibule“
Aż ujrzeli się w cyrkule.
Każdy mając guz...

Tak się skończył z guzem w głowie
Ów szewiecki wiec,
Odtąd krąży ludziom w mowie
Owe słynne to przysłowie:
„Spił się jako szwiec!“

A. Messyng.

* *Po szewcku.*

Terminator raz broił--dał mu majster bicie,
Odtąd siedział więc cicho, choć nie jadł [obiadu,
— Ty coś złego zamyślasz — rzekł maj- [ster i wiecie,
Znów go bił codzień za to: dojdź że tu z nim [ładu.
Sens z tej bajki wypisać można w piecu [węglem —
Ten ma racyję, kto racyję urabia... pocię- [glem.

J. Waśniewski (p. t. I, str. 30).

Szklanka.

— Jakżebym chciał być tym miedziorytem na ścianie!—zawołał raz pijak w szynku. Zapytany o przyczynę dziwnego życzenia, odrzekł: — Czy nie widzicie? on zawsze szklankę ma przed sobą.

Szkoła.

* *Jednozgłoskowy wyraz.*

Nauczyciel. Uważajcie tedy, kochane dziatki: jednozgłoskowym wyrazem nazywamy taki, do którego trzeba tylko raz otworzyć usta. Cóż Janku, zrozumiałeś? dajże przykład takiego wyrazu.

Uczeń (po długim namyśle). A to pewno serdelek za sześć groszy, proszę pana.

* *Nauczyciel.* Więc pamiętajcież dzieci, że ten wielki bohater Troi nazywał się Hektorem.

Karol po cichu do kolegi:

— Tego to będę pamiętał, bo się tak nazywa, jak jeden z naszych dwóch psów.

W kilka tygodni później nauczyciel zapytuje znów uczni:

— No dzieci! powtórzymy sobie znów wojnę trojańską. Który z was pamięta, jak się nazywał wódz Trojan.—Ogólne milczenie; nareszcie Karol podnosi palec do góry, mówiąc: — Ja wiem, panie profesorze.

Nauczyciel. — No dobrze, powiedz.

— On się nazywał Burek.

* *W szkole handlowej.*

Nauczyciel. Co to są bony skarbowe procentujące?

Uczeń I (po namyśle). Są to... jest to rodzaj guwernantek, które się skarbowi opłacają.

Nauczyciel. Głupiś!... następujący!

Uczeń II. Bony skarbowe procentujące... są te bony, które... od czasu do czasu... miewają dzieci.

Nauczyciel. A to co znowu!!... następujący.

* *Z życia wiejskiego.*

— Kumie, co to w waszej gminie za budynek stawiają? pewnie szkołę?

— Eh nie, nie szkołę, ino kozę nową budują.

— A gadali, że miała być szkoła.

— Juści gadać gadali... ale widzita przez szkoły się obejdzie — a przez kozy gmina być nie może.

* *Najtańsza szkoła.*

Pewien uczony twierdzi, że najlepszą szkołą dla człowieka jest bieda.

Czy to prawda? nie wiemy — ale to pewnik, że w owej szkole nie opłaca się wpisów i że miejsc wakujących nigdy w niej nie braknie.

* Nauczyciel wiejskiej szkółki zapytuje jednego ze starszych uczni:

— Powiedz mi, mój synu, z czego jest twój surdut zrobiony?

— Z wełny — odpowiada uczeń.

— Zkąd się bierze wełna?

— Z owcy.

— Więc tedy jakiemu zwierzęciu zawdzięczacie swoje ubranie.

— Ojcu.

Nauczyciel niezadowolony zaczyna z drugiej beczki.

— Słuchaj – powiada – jeśli za miarkę wina zapłacisz sześć krajcarów, to ile będą kosztować dwie miarki?

— Ja jeszcze nie kupowałem wina, proszę pana.

Nauczyciel zżyma się i jeszcze raz probuje szczęścia.

— Ile będzie dwa razy dwa?

— Cztery.

— A ile będzie pięć dodane do trzech?

Głębokie milczenie.

— No, słuchaj uważnie, co ci powiem i staraj się zrozumieć. Weźmy taki przykład: masz pięć pierników, a matka daje ci jeszcze trzy, to ile będziesz miał wszystkich razem?

— Będę miał dosyć, proszę pana.

* *W szkole.*

Nauczyciel. I znowu lekcyi nie umiesz, ośle, jak się nie nauczysz, będziesz chyba świnie pasał.

Uczeń. Niech sze pan profiesór nie boi przecie ja żid.

* *Nauczyciel.* Jak się nazywa stolica Bawaryi?...

Uczeń (po głębokim namyśle). Antałek...

Szlachcic.

* *Naiwności szlacheckie.*

(Dykteryjka z dawnych czasów).

I.

Ile razy spojrzę na ulubioną książkę Imci pana Jana Chryzostoma Paska, tyle razy świerzbi mnie ręka, aby wziąć pióro do niej i puściwszy wodze fantazyi, opisać ku wiecznej rzeczy pamiątce zdarzenia mojego żywota i inne różne dykteryjki, o których się słyszało w młodości. Święci garnków nie lepią, a choć człek niepiśmienny do tyla, aby go potem w książce drukowali, to jednak i Imci pan Pasek, Bogiem a prawdą, nic też tak mądrego nie wykoncypował. Ot tak, jak mu się gadało, tak mu się i pisało, po staremu, po szlachecku. A jeżeli idzie o retorykę, to i mnie, dzięki Bogu, języka w gębie nie zapomnieć i wszyscy sąsiedzi przyświadczą, że dopóki miałem wszystkie zęby na przodzie,

to niech się schowa ksiądz proboszcz z kazaniem. Jakiem palnął oracyję na pogrzebie sąsiada Górskiego, to wszystko wrumel płakało, a znowu przy kieliszku na imieninach czy weselu, to zrywaj boki. Dziś, jak rzekłem, choć mi konceptu nie braknie, to dla tych zębów, co mi wyleciały na przodzie, jak co powiem, to mi tak śwista, że kobiety ino się śmieją, więc dałem pokój, niechże i młodzi ćwiczą się w retoryce.

Nie dbałem ja ci o to wszystko, gdy się miało swoje gospodarstwo; czas schodził jako tako. Ale gdy fortunę rozebrały dzieci, a mnie została jedna izdebka na starość, czasami to tak się przykrzy człowiekowi, że niewiadomo, co z sobą robić. Mój zięć Dyonizy, zacności choć do rany przyłóż, widzę krzywi się, gdy mu zajdę do stodoły i obory i zaczną gadać na te ich nowości. Ale znowu jak jemu bieda doskwierzy i ma ochotę wyciągnąć jaki tysiączek od starego, który na pogrzeb zachowało się w szkatułce, to tak, mosterdzieju, łasi się wtedy koło mnie, i przychodzi kilka razy dziennie na gawędkę i całuje w ramię i to i owo. Wszelako ja, mosterdzieju, zaraz ci zwącham pismo nosem, i kiedyś ty taki mądry, bratku, w stodole, poczekajże i ja też będę mądry po swojemu, i cicho sza! Biaduje na ciężkie czasy, i ja z nim biaduję, przyświadczając, jako tak jest. „Najlepiej, rzeknę, oddać się na wolę Boską“. O, i kręci się też bo kręci, z której tu beczki zacząć, a ja nic, i myślę sobie: zda wam się jeszcze po mojej śmierci, a tak poszłoby to na raty bankowe, albo w żydowskie ręce, co na jedno wychodzi.

Mój mocny Boże, co oni z temi bankami porobili, na co to było potrzebne? Dawniej szlachcic, mosterdzieju, klepał biedę, obchodził się tem, co Bóg dał, a jak już źle było, to wtedy gdy Maciek tyle zjadł, co zarobił. A dziś co Maciek zarobi, to bank zje i jeszcze narobi tyle harmidru, tak cię opublikuje po gazetach, jakbyś nieprzymierzając zabił kogo lub zrabował. A jeszcze żeby ci przynajmniej te pieniądze dali gotówką, ale gdzie tam, duże arkusze papieru, które jak zmienisz ze stratą, to ci znowu dadzą papierki, a te papierki jeszcze na papierki: co mi to za pieniądz?

Widzę, rozgadałem się jakoś o niczem, a Imci pan Pasek gotów śmiać się ze mnie, że gderam. Dobrze mu się śmiać, mosterdzieju, gdy żył w takich czasach, co to było o czem pisać. Głupie czasy! Dobrze było panu Paskowi pić i tańcować koło wdowy Romiszewskiej, ale gdyby mu przyszło, jak mojemu zięciowi Dyonizemu, tańcować koło Berka z Sącza, aby pieniędzy pożyczył, zjadłby dyjabła, czyby mu fantazyja dopisywała.

Trudna rada, nie mogę być Paskiem, a jak może za lat dwadzieścia będą jeszcze gorsze czasy, to historyję o panu Feliksie, którą chcę opisać, wydrukują ludzie jako dziwowisko i powiedzą, że stary skarbnik miał dużo animuszu. Wszystko to być może.

W roku pańskim 1836 pojechałem do Lwowa, aby podnieść ostatnią sumkę, jaka mi się od Imci pana Barabasza ze sprzedanej kamienicy należała. Dyonizemu byłbym nie dał, ale moja Salusia jak zaczęła molestować, jak zaczęła prosić: „pożycz, ojcze, zapłacimy procenta, wszystko jedno panu ojcu, czy u obcych, czy u swoich“, to choć ja wiedziałem, że to na wieczne nieoddanie i że ten procencik jako gruszki na wierzbie, to zawsze człowiek nie z kamienia, pal was sześć, weźcie, a jak stracicie, to nie moja wina...

We Lwowie stanęliśmy u Kurnika; jeszcze to był zjazd starego zakroju, gdzie cię nie wysadzali pod pachy z fiakra, ale też nie rachowali dwadzieścia grajcarów za świecę, choćbyś ją na cal upalił. W tym zajeździe stał także dawny mój sąsiad pan Feliks, człek już stateczny, którego jakieś sprawy do gubernijum sprowadziły, a który już od lat dziesięciu czy więcej nie był we Lwowie. Jak mi sam później opowiadał, to mu się zdarzyła taka historyja:

Rano przyszedł odwiedzić dawnego znajomego pana Tadeusza, mieszkającego w zi-

mie we Lwowie. Pan Tadeusz, którego także znałem, był to człek już nie młody, bogaty, ale kwękający. Wiecznie siedział w lekarstwach na łacińskiej kuchni, ale też i wypić lubiał i wiedział, co wypić, bo jego piwnica w Żurawku znaną była w całej okolicy.

— Kochanego i łaskawego sąsiada! — zawołał pan Tadeusz, witając wchodzącego Feliksa — ależ to kopę lat, kopę nie widziałem sąsiada. Siadajże, łaskawy sąsiedzie; czemże służyć? może fajeczką?...

Pan Feliks uradowany z przyjęcia, zapalił ową fajkę na długim cybuchu i rozpoczęła się między nimi gawędka o tem i o owem, jak zwykle biadując na ciężkie czasy.

W trakcie tego, lokaj przyniósł na tacy kamienną butelkę i kubek duży misternie wyrzynany. Kubek ten wydał się panu Feliksowi jak do wódki za wielki, ale myśli sobie: „ale przecież nie koniecznie trzeba go napełno dolewać". Już krząknął, rychtując się do picia, już splunął szukając koło pieca spluwaczki, gdy na wielkie zdziwienie jego pan Tadeusz nalał sobie z owej kamionki pełny kubek i nie rzekłszy jak, wypadało: „daj nam Boże zdrowie", jednym haustem wychylił kubek, kamionkę zatkał, mówiąc jakby na kpiny: „wyborna, wyśmienita".

Panu Feliksowi krew podstąpiła pod oczy i gdyby nie interes, jaki go sprowadził do sąsiada, albowiem miał obiecaną protekcyję jakąś do gubernii, byłby mu był wypalił za jego impertynencyę i niegościnność *verba veritatis*, jak się patrzy i poszedł z Panem Bogiem. Ale, mości dobrodzieju, pan Tadeusz był to pan całą gębą, więc pan Feliks pohamowawszy swoje zapędy, dość obojętnie zapytał:

— A cóż to tak wyśmienitego pan dobrodziej zapija?

— Maryjenbadzką wodę—rzecze pan Tadeusz — *nec plus ultra!* Jużto, kochany sąsiedzie, jakbyś miał kiedy pić Maryjenbadzką, to tylko od Mildego.

— Czego zanadto, tego i zawiele — mruknął z niechęcią obrażony Feliks i zapomniawszy o celu swoich odwiedzin, wstał prędko, żegnając bardzo chłodno łaskawego sąsiada.

— Mój drogi sąsiedzie — odzywa się pan Tadeusz, odprowadzając go do drzwi — w gubernii już byłem, interes twój pójdzie dobrze, a co się tyczy prowizyi, to myślałem, że mnie już nie zastaniesz we Lwowie i zostawiłem u mecenasa mojego. Bądź tak łaskaw, zobacz się z nim i odbierz...

— Co się też z tymi panami teraz wyrabia, myślał sobie pan Feliks, wyszedłszy na ulicę. Gdzież ta równość szlachecka, gdzie staropolska gościnność? Na wsi, mospanie, w Żurawku, jakeś przyjechał, to się ani wypowiesz od kielicha, jeszcze jeden, jeszcze jeden... a pijże, a to, a owo... A jak przyjedziesz do niego do miasta, inny człowiek... Tfu! fajką mnie częstuje, spijając sam zagraniczne delicyje, i jeszcze kpi i radzi, żebym sobie od Mildego kupował... O, ja wiem, że mogę kupić, dzięki Bogu człowieka stać na to, choćby i dukata przyszło wydać... wyśmienita, powiada... No, no, poczekajże ty mój wielki panie, ja ci to przy okazyi zapłacę, jakem szlachcic, tak zapłacę...

Otóż w ten sposób sobie rozumując i złoszcząc się, stary pan Feliks wgramolił się na drugie piętro kamienicy Uruskich, gdzie była kancelarya pana Pawła mecenasa. Stary dependent Czerwiński, dobrze znajomy panu Feliksowi, powiedział mu, że mecenas dopiero co wyszedł.

— A gdzież ja go znajdę? — pyta rozdrażniony Feliks — chciałem dziś wyjechać do domu, a tu mam odebrać od niego parę złotych. Gdzie mi tu staremu drapać się do was po tych schodach.

— Najprędzej o tym czasie zastanie pan pana mecenasa u Mildego. Z rana wypije on szklankę Maryjenbadzkiej wody i potem idzie na spacer do ogrodu.

— Co oni powaryjowali z tą Maryjenbadzką wodą! — znów myślał szlachcic, gra-

moląc się ze schodów.— Dawniej pijali Gdańską... dziś widać moda na Maryjenbadzką.

Trzeba nieszczęścia, że u Mildego już nie zastał pan Feliks mecenasa, a że to była *hora canonica*, więc wypadało będąc w handlu coś przetrącić.

— Dajno mi wasan kminkówki — rzekł do usługującego subiekta.

— I co więcej?

— No, tak parę minogów z octem i z oliwą; dobrzeby było porcyję salami, tylko z pieprzem.

— A potem napić się, co pan dobrodziej każe? Mamy piwo angielskie, doskonały koszowy porter...

— Dziękuję.

— A może wino Veslauer! Mówię panu dobrodziejowi, wyborne, sam pan Milde przywiózł je z Wiednia, wszyscy nie mogą się odchwalić.

— Nie chcę żadnych Veslauerów austryackich! — fuknął dość opryskliwie pan Feliks, palnąwszy bernardyński kieliszek kminkówki i polewając minogi octem — dasz mi asan kamionkę Maryjenbadzkiej wody.

— Co? co? — pyta robiąc wielkie oczy subjekt.

— Maryjenbadzkiej! — krzyknął ogniście pan Feliks, spojrzawszy ostro na subiekta.

Nim przynieśli ową wodę, pan Feliks spałaszował minogi z apetytem, kazał sobie dodać jeszcze jednego i wziął się do salami. Subiekt tymczasem przyniósł kamionkę Kreuzbrunna, odkorkował i napełnił z szumem stojącą przed nim szklaneczkę. Pan Feliks zawsze jeszcze z seryjczną miną wychylił duszkiem, a wychyliwszy strasznie się wykrzywił.

— Tfu, u dyjabła! — zawołał po odejściu subiekta—cóż to za paskudztwo! Taż to Pana Jezusa na krzyżu czemś lepszem poili. Dalipan, co ci panowie mają za smak w gębie, żeby pić taką lurę i gadać jeszcze, że to wyśmienite. Albo mnie okpił ten subiekt, albo oni powaryjowali.

Ale że kamionka była odkorkowana, a pieniędzy się napróżno oknem nie wyrzuca, żal się panu Feliksowi zrobiło owego Kreuzbrunna, nalewał zatem szklankę po szklance, krzywił się a pił, dopóki nie wysączył całej kamionki, potem wstał, rachunek zapłacił i wyszedł z fantazyą ze sklepu.

Jakkolwiek po tem śniadaniu czuł się trochę niedysponowanym, to jednak nie ominął Zarwańskiego, i tam przy obiedzie dla poprawienia smaku zjadł między innemi tuzin pierogów z kapustą.

O godzinie 3-ej po południu słyszę w zajeździe u nas straszny rwetes. Pan Pruchliński, właściciel, wpada do mnie przestraszony, że pan Feliks dostał cholery... jest tam już u niego doktór Babel, jest cyrulik, trą, okładają, ale nic nie pomaga. Biegnę i ja co duchu, i widzę, prawda: pan Feliks aż wije się na łóżku z boleści, a krzyczy w niebogłosy. Pytają go się: co, jak, co mu się stało? Ale gdzie, gadać nie może, wcłając: „po księdza, na miłość boską, poszlijcie po księdza!"

Biedował tak i męczył się przez caluteńką noc, dopiero nad ranem pod ciepłemi okładami ulżyło jakoś, a gdym go wieczorem odwiedził, leżał blady jak Łazarz i wzdychał z ciężkością.

— Co jemu przyszło do głowy pić Maryjenbadzką wodę? — pyta mnie doktór. — Wystaw pan sobie, najadłszy się różnych niestrawnych rzeczy, kazał podać w sklepie Mildego butelkę Kreuzbrunnu i wypił całą. Wypadkiem dowiedziałem się o tem w mieście i to jego szczęście, bom wiedział przynajmniej, jak go ratować. Inaczej byłoby *vorbei*.

Po odejściu doktora, pan Feliks wpadł w straszny gniew.

— Sąsiedzie dobrodzieju — rzecze, chwytając mnie za rękę — jeżeli sąsiad choć trochę mi dobrze życzysz, jeżeli masz Boga w sercu, idź zaraz jutro rano do Tadeusza i wyzwij go odemnie. Jemu śmierć, albo mnie śmierć.

Myślałem, że dostał gorączki; dopiero jak mi zacznie opowiadać swoją historyę, to mnie taki śmiech napadł, że sobie rady dać nie mogłem.

— Sąsiedzie kochany—rzeknę, mitygując gniew jego — ależ woda maryjenbadzka to lekarstwo.

— Co mi sąsiad będziesz gadać o lekarstwie jakiemś! – krzyknie zrywając się z łóżka — to były kpiny ze mnie, mnie na dudka wystrychnąć, to było ułożone. O żadnej wodzie Maryjenbadzkiej nie słyszałem. Sąsiad, widzę — dodaje po chwili — także się z nim zmówiłeś, ale ja, mości dobrodzieju, tego nie daruję. Co to jest robić takie żarty z człowieka i o mało go na tamten świat nie wyprawić.

Ledwie przeledwie, razem z doktorem Bablem zdołaliśmy wytłómaczyć Feliksowi, że to nie były żarty, i że na śmiechby się wystawił, rozgłaszając takie rzeczy. Udobruchał się wprawdzie i dał pokój panu Tadeuszowi, ale do samej śmierci miał żal do niego, bo powinien mu był powiedzieć, że Maryjenbadzka woda to jest lekarstwo, a nie chwalić, że jest wyborna i wyśmienita.

II.

Przed niedawnym czasem siedziałem sobie w kawiarni Dyktarskiego w Krakowie, popijając czarną kawę.

Obok mnie zajął miejsce jakiś dawnego autoramentu starowina, chudy, siwy, opalony i z miny widać, bardzo czupurny sobie szlachcic, do którego, jak to mówią, nie przystępuj bez kija.

Przecierając co kilka minut okulary czerwono-kraciastą chustką, sąsiad mój posuwając palcem po wierszach, z wytrwałością godną lepszej sprawy, męczył jakiś zadrukowany zeszyt papieru.

— A niechże go dunder świśnie, zkąd on to wziął!? — gada do siebie starowina, strzygąc wąsami i kręcąc się niespokojnie na krześle. — Ależ to, mosterdzieju, niby ja, niby nie ja!

Monolog ten i uspokojona mina szlachcica zniewoliły mnie, żem spojrzał na pismo, i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy widzę, że on czyta „Naiwności szlacheckie", dykteryjkę niedawno przezemnie napisaną.

Udałem zaczytanego w „Gazecie polskiej", którą właśnie trzymałem w ręku, ale przyznam szczerze, ogromnie mnie zaintrygował ten stary polonus, przyznający się widocznie do kogoś z mojej dykteryjki.

— Antosiu—rzecze, obracając się do młodego, jak się zdaje akademika, siedzącego za nim — nie znasz aść tego, co to pisał, hę?

— Kogo, proszę ojca?

— No, tego—mówi żywiej, pukając okularami w zeszyt trzymany w ręku.

Antoś, dziarski i rumiany jak brzoskwinia wyrostek, nachylił się nad stołem, przeczytał napis „Naiwności szlacheckie" raz, przeczytał drugi raz, przykładając szkiełko do oczu—gdy zniecierpliwiony staruszek ofuknie:

— Cóż asan dziesięć razy będziesz dudnił nad uszami toż samo: Naiwności... no, to i naiwności; ale jak się zowie ten, co nabazgrał?

— Oj, źle – myślę sobie, spojrzawszy ukosem na sąsiada; — czy nie lepiej drapnąć albo co?

— Nie wiem, proszę ojca.

— I cóż asan nie wiesz, czego się asan uczysz, hę?

— Ja powieści nie czytam...

— Ot, widzisz asan, że trzeba, żebyś czytał, tobyś wiedział, jak piszą o twoim ojcu. Tak, mosanie, ani chybi, to ja... ten zięć, a ta Salusia, to twoja matka, no, rozumiesz?

Skonfundowany chłopczyna zaczął się tłumaczyć jak mógł z tej niewiadomości, lecz po chwili zerwał się z krzesła, zabierając numer czasopisma.

— Niech się kochany ojciec nie gniewa

ja tu zaraz się dowiem — rzecze, wybiegając do drugiej sali.

Trzeba zdarzenia, że ktoś ze znajomych zbliżył się do mnie, zaczynając rozmowę, i że nim zdołałem słów parę powiedzieć, jak tego przyzwoitość wymagała, wrócił z drugiego pokoju akademik i odprowadziwszy szlachcica na bok, zaczął mu najwyraźniej pokazywać na mnie.

— Coś tu nie dobrze będzie — myślę sobie, spoglądając z ukosa na rozmawiających. — Szlachcic widzę impetyk i gotów się przyczepić do mnie, Bóg wie za co i po co; bo daję wam słowo, pierwszy raz go w życiu oglądałem.

— Za pozwoleniem, mój łaskawco — odzywa się stary, stając przedemną z bardzo marsowatą miną — czy to asan dobrodziej pisałeś o tym Feliksie i o tej Maryjenbadzkiej wodzie?

— Ja — mówię, udając obojętnego.

— A czegóż-to asan dobrodziej udajesz starego i tego... mości dobrodzieju, gadasz o zięciu niby Dyonizym, i o Salusi, tego... jakobyś był niby jej ojciec?

— To forma taka dykteryjki — mówię, nie patrząc na szlachcica, bo uważałem, stary coś bardzo seryo patrzy mi w oczy, a ręka ściska poręcz krzesła, na którem się opierał.

— Facecyje, mosterdzieju, facecyje! Ot, akuratnie jak komu lepszego konceptu zabraknie, to tylko wywłóczy jakieś, mosterdzieju, bzdurstwa, aby poczciwych ludzi cenzorować.

— Daruj pan dobrodziej...

— A jużciż daruję — przerywa mi z gniewem — bo teraz wszystko wam wolno. O czem wy nie piszecie, o czem? co dla was świętego, mospanie? Furda i głupstwo! Niech jaki szlachcic gdzie kichnie, to na drugi dzień już stoi w gazecie, że panu Maciejowi aż czapka spadła jak echnął w Byczynie. To, to, to... widać nie macie co lepszego do roboty.

— Szanowny panie — sumituję się, jak mogę — toć ja sobie tego z palca nie wyssałem; jeden z moich znajomych dał mi notatki...

— A nie można wiedzieć kto?

— Ten a ten — mówię.

— Kasperek kochany, mosterdzieju! — zawołał jakby do siebie. — Takiś to ty sąsiad dobrodziej, co chcesz poczciwych ludzi na pośmiewisko wyprowadzić, hę? A toż to mój sąsiad, proszę asana. Pfe! czy to się godzi? I żeby to jeszcze kto... ale Kasperek! ten sam Kasperek, którego nieboszczyk skarbnik o mało trzciną nie poturbował za owego pudla...

— Za jakiego pudla? — pytam zaciekawiony.

— Albo to ja plotka stara, żebym gadał? No, no, panie Kasperku, jeżeli ja ci daruję tę infamię, to nie byłbym Dyonizym!

— Wie kochany ojciec — wtrąca rumiany Antoś — wartoby mu pięknem za nadobne odpłacić. Niech ojciec opowie, jak to było z tym pudlem, a pan napisze i wydrukują.

— A co łaskawco, napiszesz?

— Napiszę.

— *Verbum?*

— *Verbum!*

— To pójdźmy sobie gdzie na lampeczkę, a ja ci z detalami rozpowiem wszystko.

Widziałem, że mój starowina nadzwyczaj był uradowany takim projektem syna, zatem nie tracąc czasu, ruszyliśmy we trzech do winiarni; szlachcic kazał dać butelkę, syn poczęstował mnie papierosem i usadowiwszy się w oddzielnym pokoiku, rozpoczął pogawędkę w ten sposób:

— Trzeba asanu dobrodziejowi wiedzieć, że ja i Kasperek żyliśmy z sobą jak dwaj bracia, jeszcze za kawalerskich naszych czasów. On się ożenił i ja się ożeniłem, coś w ośmset dwudziestym piątym, i jakby nam już było przeznaczone, dostaliśmy teściów takich, co im grosz aż piszczał w garści.

— To tak jak i tatko dobrodziej — przerywa Antoś.

— Cicho bądź, błaźnie!—ofuknie stary — żeby mnie pan Feliks dawał tyle na rok, co ty ode mnie wytumanisz na miesiąc, tobym ja był panem całą gębą. Ale prawdę asan napisałeś — z moim starym to trzeba było jak z ulęgałką jaką... Nagadał, nagderał, najęczał się, ale dał. Co innego skarbnik, teść pana Kaspra, to był sobie dawnej daty jeszcze szlachciura, mosanie; miał wtedy blisko lat ośmdziesiąt, pamiętał jeszcze dawne czasy, bo jeszcze w sądzie grodzkim był jakimś urzędnikiem. Nieraz za boki trzeba się było brać, jak ci jął rozpowiadać, kiedy to Niemcy z cielęcemi torbami na plecach wchodzili przez Bosacką bramę do Lwowa. A nie cierpiał też niemców, nie cierpiał... Inaczej nie powiedział jak pluder albo szołdra, mospanie. Niemiec a pies, to wszystko jedno u niego, powiada, oba jednakowo breszą.

Pamiętam jak dziś, w roku dwudziestym dziewiątym wybraliśmy się razem na kontrakty do Lwowa: ja ze swoim, pan Kasper ze swoim skarbnikiem, i zajechaliśmy do Kurnika, gdzie to dziś zajazd Polski. Mękę Pańską miał mój Kasperek ze swoim starym, bo to, proszę asana, wstawał ci o wschodzie słońca i stukał się po zajeździe jak Marek po piekle. O trzeciej godzinie już budził zięcia i kazał mu sobie szukać kawy; o szóstej szedł do miasta za interesami.

— A toż to Sodoma i Gomora zrobiła się z tego Lwowa, odkąd tu Niemcy wleźli! — gderze, spluwając po kątach. — Patrzcie no państwo, wszystko śpi jak zabite, nawet stróż w zajeździe wylega się w betach i nie chce otworzyć. Dałbym ja ci, bratku, pierzynę, dał!

Za to niech ino słońce zajdzie, już pan skarbnik każe się zięciowi kłaść do łóżka, zamyka stancyję i sam chrapie jak nieboskie stworzenie.

Mój Kasperek znowu lubił spać długo, ale trudna rada ze starym; cierpiał więc biedaczysko dzień jeden, drugi, trzeci, ale czwartego już chodził, jakby go kto z nóg podciął.

— Mój Dyonizy—powiada on do mnie — żebym ja się mógł choć kwadransik jaki po południu przedrzemać; ale gdzie? W całym zajeździe nie ma wolnego kąta.

— I u mnie nie ma — rzeknę — bo mój stary całe poobiedzie tylko rachuje i rachuje, maże i rachuje.

— Trzeba koniecznie gdzieś ich wyprawić albo co—mówi Kasper—ale gdzie tu? Do teatru ci nie pójdą, bo powiadają, że to obraza Boska iść do tego miejsca, które niemcy z domu Bożego na komedyjalnię przerobili; na spacer nie pójdą...

— A słuchajno — odezwę się do mojego Kaspra — wczoraj przyjechał tu jakiś niemiec z Wiednia z pudlem, który czyta. No, jużci nie tak jak człowiek nieprzymierzając, ale mówił mi Czerwiński od mecenasa, że wyszczekuje ci tyle razy, ile słowo ma liter, które mu się kredą napisze.

— To, to, to! muszę namówić starego! Kupię mu bilet, bo pewnieby sam sobie nie kupił; a że on okrutnie ciekawy, to pójdzie. Tylko powiedz no mi, gdzie ten niemiec jest?

— W sali redutowej przy starym teatrze; trzeba iść na prawo przez schody.

Po obiedzie, pamiętam, mój Kasperek prowadzi skarbnika ku owej stronie i kiedy już dochodzili do gmachu teatralnego, zaczepi starego:

— A wie też teść dobrodziej, że przywieźli do Lwowa pudla, który czyta?

— Nie gadałbyś asan głupstwa!

— Jak szanuję teścia dobrodzieja, tak prawda. Ja i pan Dyonizy i Czerwiński od mecenasa byliśmy wczoraj, i mówię teściowi dobrodziejowi, że aż strach, jak ci niemcy mogą wyuczyć psa tego wszystkiego. Napisać mu jakie słowo, to on zaraz wyszczeka wszystkie litery, albo wybierze tabliczki z literami i takie samo słowo ustawi.

— Bajki, prześwietny sądzie — mówi

skarbnik — nie wierzę, nie wierzę, póki na własne oczy nie zobaczę.

— No, żeby teścia dobrodzieja przekonać, to stracę dwa cwancygiery dla teścia dobrodzieja za bilet, bo co prawda, to prawda.

— To chodźmy, jeśli łaska.

— Przepraszam teścia dobrodzieja, ale już byłem wczoraj, a teraz mam konferencyję z mecenasem. Niech teść dobrodziej sam idzie. Ot, tutaj, wchodzi się do sieni, potem na prawo po schodach i tam w okienku sprzedają bilety. Proszę, oto są dwa cwancygiery.

Powiedziałem, że stary był strasznie ciekawy na takie rzeczy, a że go to nic nie miało kosztować, więc pożegnawszy zięcia, który się zaraz kopnął do zajazdu na drzemkę, wszedł żwawo do starego teatru.

Jak mu zięć rozpowiedział, skierował się na prawo, ale zamiast iść na schody do góry, poszedł dalej korytarzem i trafił na jakieś okienko, w którem tłusty niemiec sprzedawał bilety. Nic nie mówiąc, położył owe dwa cwancygiery na oknie, a kasyjer dał mu bilet i zamknął okienko. Niedaleko od tej kasy prowadziły schody na górę. Skarbnik podpierając się laską, wgramolił się powoli, a zobaczywszy pierwsze drzwi przed sobą, otworzył śmiało i próg przestąpił.

— Co u dyaska! — myśli sobie— a toż tu ciomno jak w lochu! — albowiem drzwi, którerni wszedł, same się za nim zatrzasnęły. Próbował cofnąć się — ani rusz; ciemno, choć oczy wybij. Zaczął macać koło siebie, coś drzwi jakby zniknęły, tylko kiedy mu się trochę rozjaśniło, widzi jakieś ławki rzędami. Przestraszył się z początku skarbnik, czy to nie jaka pułapka na niego, a może to zięć umyślnie naprowadził go na jakieś farmazońskie zebranie; albowiem nieraz posądzał pana Kaspra, że do masonów się zapisał. Powoli, powoli, kiedy się jeszcze lepiej rozpatrzył, bojaźń minęła, poznał bowiem, że się znajduje w teatrum alias komedyjalni, którą z dawnego kościoła franciszkańskiego przerobiono. Na pewno byłby wyszedł, ale raz że zapłacił za bilet, a drugi, że chciał koniecznie zobaczyć owego czytającego pudla; więc dobywszy rożka z tabaką, pociąga sobie parę razy do jednej i drugiej dziurki, siada na awce i z całą cierpliwością oczekuje pokazania się owego pudla.

Jakoś niedługo potem zaczęli zapalać lampy i powoli, może w godzinę, przychodziło coraz więcej ludzi na to widowisko. Nareszcie przed kurtyną pokazała się orkiestra. Skarbnikowi już było weselej. Odegrano jakąś uwerturę i podniesiono zasłonę.

Do tego czasu ani przyszło do głowy skarbnikowi, że on jest w teatrze, że zamiast pójść do sali redutowej, gdzie owego psa pokazywano, on zalazł do niemieckiego teatru, w którym wystawiali dnia tego jakąś krotochwilną farsę.

Kilkanaście par kusych niemek i niemców wysunęło się na scenę odrazu i zaczęli szwargotać między sobą, przyśpiewując czasami.

Stary wytrzeszcza oczy, patrzy i slucha, ale siedzi cierpliwie, oczekując owego pudla. Nareszcie kiedy widzi, że temu wszystkiemu szwargotaniu nie ma końca, przychodzi mu do głowy, że może właśnie między temi niemkiniami jak ów pudel, przebrany za dziewczynę. Przypatruje się, przypatruje i coś mu się zdaje — notabene wzrok miał już nie tęgi—że jedna mała i pękata niemka, z białą, kędzierzawą peruczką na głowie, musi być owym ciekawym pudlem, który umie czytać. Dyjabeł nie śpi—myśli sobie—czego niemiec nie potrafi z sobaką! Jeżeli go nauczył czytać, to czemużby go nie nauczył tańczyć?

— Mój łaskawco—odzywa się do siedzącego obok jegomości—a który to między tymi szołdrami pies?

— *Sie wünschen* — odpowiada sąsiad.

— Et, to to jakiś także szołdra—miarkuje sobie skarbnik i zwraca się na lewo.

— Suplikuję asana dobrodzieja.

— *Was wollen sie?* — rzecze niechętnie ten drugi, zapatrzony na scenę.

— A gdzieżem ja się tu dostał między tych pludrów? — mruczy skarbnik — ani tu kogo spytać... tfu!...

— Co pan sobie życzy?—odzywa się na to półgłosem, siedzący tuż przed nim mężczyzna, który zobaczywszy poważnego starca, uważał za właściwe przyjść mu z pomocą.

— A niech ci Bóg da zdrowie, mój łaskawco — mówi, podnosząc się z siedzenia nasz skarbnik, nie zważając na sykania sąsiadów. — Jakeś poczciwy, powiedz mi, któryż między tą hołotą jest prawdziwy pies? A czy to przypadkiem nie ta kusa imościanka w tym czerwonym kabaciku, hę? Ot ta, ta — prawi dalej, pokazując laską nad głowami widzów.

Zaczepiony jegomość nie mogąc zrozumieć o co idzie skarbnikowi, kiwał głową uśmiechnięty z tego ferworu szlachcica.

— No jakżeż, hę? gdzież ten pies?

— Ależ tu nie ma psa!

— Co asan mi gadasz! Mój zięć powiedział, że będzie pies, co czyta, to musi być. Chyba, że to była suka, mości dobrodzieju? Ale niechże już raz czyta, kiedy ma czytać. Na co tyle komedyj? Breszą i breszą; a przecież człowiek nie na te ich błazeństwa przyszedł!

Zrobił się harmider w teatrze; niemcy zaczęli coraz bardziej sykać i wszystko zwróciło się ku rezolutnemu szlachcicowi.

— Brawo! — krzyknął jakiś facet, uderzywszy w dłonie; za nim poszli inni i wkrótce cały teatr trząsł się od śmiechu i oklasków.

Na scenie również nastała przerwa, a za chwilę zjawił się policyjny komisarz z intencyą, jak się zdawało, wyprowadzenia nietrzeźwego skarbnika. Szczęściem, że znalazł się ktoś, znający bliżej starowinę, pośpieszył zaraz do niego i jakoś załagodził sprawę, uprowadzając czerwonego jak burak szlachcica.

— No, możeż sobie wystawić asan dobrodziej, co się tam działo w zajeździe, gdy rozgniewany powrócił do numeru i zastał śpiącego pana Kaspra. Zbeształ go na funty mości dobrodzieju, ale to tak, że nie dał mu przyjść do słowa.

— Cóż ty sobie myślisz, ty chłystku jakiś, mospanie, kpić ze starego ojca, hę?.. Pies co czyta!... Dam ja ci psa!

— Ależ szanowny teściu dobrodzieju, teść musiał się pomylić i poszedł do teatru niemieckiego zamiast do redutowej sali.

— Tere fere, mosanie, jakiś smarkaczu jeszcześ asan na świecie nie był i wróble u ciebie nie świstały, kiedy ja już wiedziałem, że co niemiec to pies, a co pies, to niemiecka psia wiara. Ale do redutowej sali, ale ja się pomyliłem.. Mój słodki Panie Jezu!... Ty mnie tu będziesz uczył rozumu!?

— Zaręczam teściowi dobrodziejowi...

— Stul gębę asan, do milion dyjabłów, pókim dobry! — ofuknie skarbnik, potrząsając laską. — Ot, powiem ci prawdę: żałuję, żem moją Leonkę wydał za takiego świszczypałkę i urwipołcia. On myśli, że mnie starego zdurzy, że mi coś nowego pokaże... Matko wielkiego miłosierdzia! co to tym smarkaczom teraz w głowie! Mówię asanu, że pies i niemiec to jednakowo breszą... no i breszą! — dokończył, machnąwszy laską.

— Chyba to facecyja jaka — odzywam się, gdy mój znajomy zakończył wśród śmiechu synalka, od którego aż łzy obcierał z oczu.

— O, o, mości dobrodzieju, a za kogóż to mnie asan dobrodziej bierzesz? Mówię ci, jako jest szczera prawda, tak mi Panie Boże dopomóż! Pan Kasper przecie do dziś dnia żyje i żebyś asan był łaskaw kiedy zajrzeć w nasze strony, tobyś nazbierał tyle różnych anegdotek i dykteryjek, cobyś i na wołowej skórze nie spisał. Tylko wydrukujesz o tym skarbniku, co?

— A wydrukujemy, jeżeli tylko redaktor przyjmie.

— Tak, tak; napisz mu asan dobrodzieju

że my zaraz w całej okolicy zaprenumerujemy jego te... te... jak ona to się nazywa?

— Biblioteka Powieści.

— Zapisz sobie, Antosiu, „Biblioteka Powieści” i pamiętaj posłać do Lwowa dziesięć reńskich. Warto, mości dobrodzieju, warto!

Ucałowaliśmy się tedy, jak najlepsi przyjaciele przy pożegnaniu, a ja dostałem obietnicę, że pan Antoni pospisuje w okolicy swojej różne tego rodzaju awantury dawniejsze i nadeśle mi pocztą do Krakowa. Czy dopełni swego przyrzeczenia, nie mogę zaręczyć; tymczasem dzielę się z czytelnikami tem, co mam i nie biorę odpowiedzialności za autentyczność dykteryjki.

A. Wilczyński (p. t. I, str. 197).

* *Szlachcic, syn jego i prasa.*

Coś nakształt bajki

przez Ex-Booiana.

Po naradzie z małżonką, szlachcic pan Ja-
[centy,
Ważnością edukacyi głęboko przejęty,
Aby spełnić do joty co chce magnifika,
Postanowił synala kształcić na medyka.
By się zatem uwinąć a nie zaspać sprawy,
Wsadza chłopca na brykę – jedzie do War-
[szawy.
Rozmyślając o biedzie i o ciężkim czasie,
Spotyka *Tygodnika* na pierwszym popasie,
A ten mu perswadować gruntownie zaczyna,
Że nigdy nie da chleba młodym medycyna,
I przedstawia tysiące prawnych argumentów,
Że dziś mamy doktorów więcej jak pacy-
[jentów.
Rzekł tedy przekonany pan Jacek w tym
[względzie:
— Nie może być doktorem, niech prawnikiem
[będzie.
Jadą dalej—przebywszy bagna, piaski, strugi,
Wjeżdżają do miasteczka znów na popas
[drugi.
Tam w austeryi na rynku, w cukierni u Berka,
Poczciwy pan Jacenty spotyka *Kuryjerka*.
Ten wrzeszczy w niebogłosy, ze zgrozą na licu:
„Co robisz najlepszego mizerny szlachcicu!
Czy chcesz chłopca umorzyć głodem do stu
[katów?
Tylu dziś jest regentów, tylu adwokatów,
Że biorąc ich gromady w obliczenia ścisłe,
Można nimi dalibóg zatamować Wisłę!”
Słusznemi dowodami do gruntu przejęty,
Drapie się po łysinie biedny pan Jacenty.
Postanowił — gdy nowa myśl w głowie wy-
[rosła,
Aby syna wyrostka oddać do rzemiosła.
Ruszają tedy dalej, jak jadą — tak jadą.
Wicek batem popędza kasztana i gniadą,
Aby ciemność przeczekać, nim księżyc za-
[świeci,
Wjeżdżają do austeryi, znów na popas trzeci.
Tu na niego krzyknęły na raz dwie *Gazety*:
„Co robisz, mości Jacku! Jezus! Gwałtu rety!
Wierzaj nam —bośmy dzielni sytuacyi znawcy,
Z głodu dziś umierają stolarze i krawcy,
A w takiej z żądaniami zbierają się masie,
Że już zabrakło pieniędzy w pożyczkowej
[kasie”.
— Masz dyjabła na wyżerkę! — rzecze pan
[Jacenty,
Łazi zdesperowany, tak jak z krzyża zdjęty.
I wreszcie decyduje — gdy źle na urzędzie,
W medycynie, rzemiośle, niech syn księdzem
[będzie!
Każe tedy zaprzęgać— kontent z wynalazku,
Wyjeżdża w dalszą drogę przy księżyca bla-
[sku,
Rad w duszy, że się skończył ciężki los uparty,
Zajeżdża do oberży, znów na popas czwarty.
Tam, jedząc jajecznicę z dobrym apetytem.
Nieszczęśliwy nasz szlachcic spotkał się ze
[*Świtem*.
A jeszcze po przekąsce miętówki nie łyknął.
Kiedy *Świt* rozgniewany, tak na niego krzy-
[knął:
„To ty—mości Jacenty! niegodziwcze stary!
Chcesz, by z syna był kleryk, proboszcz lub
[wikary?
Dla swego widzi mi się, chcesz zgubić czło-
[wieka,

Kiedy tyle wdów, panien na małżonków [czeka?
Dla czegoś sam nie zrobił, co chcesz zrobić [z synem,
Zostając kamedułą albo bernardynem?
Dla czego rozkazujesz włożyć mu sutannę,
Kiedyś nie raz nie jedną bałamucił pannę!?
Wstydź się stary tyranie!" — Rozpaczą prze- [jęty,
Krzyknął biedny pan Jacek: Zaprzęgaj Win- [centy!
I zawracaj do domu! — Widzi Bóg jedyny!
Żem chciał chleba dla syna, z prawa, z me- [dycyny,
Gdy go nawet rzemiosło dzisiaj dać nie może,
Niech chłopak w pocie czoła ziemię ojców [orze,
Niech spełnia swą powinność jak na warcie [dragon,
A wbiwszy zardzewiałą karabelę w zagon,
Niech klepie ciężką biedę — siejąc groch [i rzepę,
Jak ją klepał dziad jego i jak ja ją klepę.

* Pewien szlachcic, który otrzymał wstęp na dwór królewski, chełpił się, że dla otrzymania tego zaszczytu nie zrobił najmniejszego kroku. „Ah, tak — ozwała się obecna temu dama—prawda, że to podleźć, to nie znaczy iść".

* *O szlachcicu polskim.*

Jeden pan wielmożny niedawno powiedział:
W Polsce szlachcic jakoby też na karczmie [siedział,
Bo kto jeno przyjedzie, to z każdym pić musi,
A żona pościel zwłócząc nieboga się krztusi.

J. Kochanowski. (p. t. I, str. 14).

* *Szlachcic i dąb.*

Że są zmiany czasami w ludzkich obyczajach,
Szedł szlachcic szukać chleba w mieście przy [tramwajach,
Zmęczywszy się zaś drogą długą w owej [dobie,
W lesie pod dębem siadł sobie.
Wsparłszy czoło, jął dumać, jak zwykle brat [łata,
To o życiu człowieka,
To o tem, co go czeka,
To wreszcie o marnościach innych tego świata.
I gdy tak myśli i roi
Rzekł głośno: — Mości dębie, długo waść tu [stoi?
Szelestem liści dąb odrzekł, że wieki.
— Wieki—powtórzył szlachcic — mimo burz [i spieki?
— Co mi słoty, upały, co mi wichry burzy,
Wieki stałem i stoję i stać będę dłużej.
Ni mnie się topór ima,
Ni mrozem trwoży zima,
Ni mi robak nie roztoczy łona,
Choć wszystko w okół mnie kona,
I wszystko ginie i gnije,
Ja żyję!
— Żyjesz, prawda — rzekł szlachcic — ni cię [skwar ususzy,
Ni czas w próchno twardej nie zamieni duszy,
Lecz czemu, powiedz kochany,
Masz jaki sposób nieznany?
—Czemu? rzekł dąb, ruszając konarami swemi,
Trzymam się ziemi.

. . . .

Te słowa niosło echo po polach, po gajach,
A szlachcic... poszedł szukać chleba przy tram- [wajach.

J. Waśniewski. (p. t. I, str. 35).

* Pewien szlachcic dawnego autoramentu, uczęszczał codziennie do kościoła Franciszkanów w Przemyślu i gdy już wszyscy po nabożeństwie kościół opuścili, on zostawał, klękał przed wielkim ołtarzem i zwykle do południa głośno się modlił. To się sprzykrzyło braciszkowi, gdyż przez niego nie mógł kościoła wcześniej zamykać. Oto razu jednego schował się za obraz w wielkim ołtarzu i kiedy szlachcic gorąco prosił Boga o jakąś łaskę, krzyknął głośno: „Idź precz durniu, nie dostaniesz". Na to szlachcic obstupuit, i za dobrą chwilę odrzekł: „Panie Boże, wol-

no ci dać albo nie dać, ale kpić nie wolno, bom szlachcic".

* *Nasza szlachta.*

— Padam do nóg Jaśnie Wielmożnemu panu dziedzicowi.

— Jak sze pan ma, panie ekonomowy? Co mi pan potrzebujesz oznajmicz?

— Przyszedłem wedle dyspozycyi.

— Czy moje cugowe konie mają obrok?

— A jakże, proszę jaśnie pana.

— A gęszy pozamikane?

— Według rozkazu, jaśnie panie.

— Słuchaj acon, żeby mi buło wszistkie w porządku co ja każę.

— Słucham jaśnie pana.

— Te sząszady to robią mnie ekspens z wizytami. Słuchaj acon, jak do mnie kto przyjeżdża, a ja zawołam: panie rządce widać owies dla furmankie pana sząszada i pokażę pięcz palców, to ty potrzebujesz nic niedacz.

— Rozumiem, jaśnie panie.

— A jak ja będę pokazał dwa palce, to widasz po kwarcie poszladu na jeden kuń, a jak będę pokazał pięszcz, to po pół garnca.

— Dobrze, jaśnie panie, rozumiem.

— A teraz żegnam... proszę to pamiętacz, panie rządce.

— Padam do nóg jaśnie panu.

* Szlachta utrzymuje, że jest pośrednikiem między królem i ludem. Jest nim w istocie, ale w takim stosunku, w jakim jest pies gończy do myśliwego i zajęcy.

Chamfort. (p. t. I, str. 35).

* Pewien szlachcic dawnego autoramentu, tak zawsze rozpoczynał głośno modlitwę: „In nomine Patris" etc., a dla lepszego wyrozumienia Twego Panie: „w Imię Ojca" i t d.

Szmigus.

* Zawsze szmigus! szmigus wszędzie!...
Ot postawmy wszystkich w rzędzie,
Zaczynając od waryjata,
Co mu ciągle szmigus prawią,
Niechaj wszystkich nas postawią,
Czy znajdziemy potentata,
Co powiedzieć się ośmieli,
Że go wodą nie obleli?

Ten, co pragnął by nauki,
Rzucić światło między ludzi,
Jak i ten, co zbija bruki,
I młodzieńczy ogień studzi,
Jakby jednej matki syny,
Jednakowo są karani,
I za swoje różne czyny,
Zimną wodą oblewani!

Ów dziennikarz, mądry wielce,
Wciąż potępia prasę młodą.
Czytelnicy — to topielce,
Bo ich całych zalał wodą!
Ale zwróć mu kto uwagę,
Wnet cię wydrwi i wyśmieje,
A jak weźmie na odwagę,
Jeszcze wodą cię obleje!

Ten skandale, choć rodzinne
Wydobywa i wyjawia,
Czytelnikom tak niewinne,
Pokrapianie *błotem* sprawia!
Lub poeta... wielce smutne,
Lecz kogucie trele pieje,
Głupstwa pisze on wierutne,
Ale za to innych leje!

Ten, co głosi, że dziś praca
Jest jedyną już ideą,
Miano dadzą mu pajaca,
Sprawią szmigus, wodą zleją!
Lada chłystek, lada nygus,
Krzywdzi tych, co postęp sieją
I w Kuryjerkach sprawia szmigus,
Krzycząc: głupcy, ot szaleją!

I w zabawnym tym ferworze,
Każdy laniem się zabawia,
Lecz nie pomni o tem może,
Że nam lanie... los już sprawia!

Więc i głupi i uczony,
Prawią sobie szmigus po to,
Aby robić na wsze strony...
Większe brudy — większe błoto!
P. Kośmiński. (p. t. I, str. 349).

Szpilka

* Szpilki na mężczyzn ukaranie tylko
Stworzone — z damy bowiem robią jeża,
Przed którym śmiałek cofnie ręce skłute.
Nic to! Straszniejszy pamięć mi odświeża
Fakt. Miałem ja raz szpilkami poprute
Ręce, gdym w braku służebnej z rycerza
Grzecznością stroił damę na redutę...
Musiałem się z nią natrudzić, nabiedzić,
Bo com wbił szpilkę, to nie chciała sie-
[dzieć!
Wyśmieje mędrzec czynność tak naganną; —
Ja bardziej kocham mądrość niż mnie ona;
Być filozofem jest mą nieustanną
Chęcią; — równy mi łachman i korona...
Wiedzy nie złapiesz, bo chce zostać panną.
Czem byłeś, jesteś, czem będziesz, gdy skona
Świat ten?... a dzisiaj czy żyjemy, czy nie?...
Wszystko to leży w marnych słów dziedzinie.
Byron.

Sztafeta.

* (*Kartka z dziejów szalonej miłości*).

We środę miał być ślub panny Hortensyi, a w czwartek pan Karol miał się powiesić.

Taka była dramatyczno-liryczna struna tego romansu.

Dla czego dwa te wypadki miały nastąpić po sobie w takim porządku, nie zaś w odwrotnym? — to poniżej, ściśle, z suchą zwięzłością kronikarza z XIII stulecia, opowiedzianem będzie...

Parodyjujmy kronikarza.

„A. D. *MDCCCLXXX* w niewarownym zamku Wygnance, mieszkał stary i bogaty mąż, urodzony Dyzma Bigos, którego sławne nazwisko istniało w heraldyce od czasu wynalezienia kapusty.

Mąż ten zacny i w obyczajach surowy, posiadał urodziwą córę imieniem Hortensyja, a ta była równą Wenerze przez wdzięki — Krezusowi zaś przez rodzicielskie bogactwa. Nie jest tedy dziwnem, że niewarowny zamek Wygnanka oblegany był przez dwunastu młodzieńców, pragnących zdobyć rękę pięknej kasztelanki. Dwaj z dwunastu, piękny Karol i sędziwy Ireneusz byli najbliższymi celu, pierwszy bowiem miał za sobą miłość Hortensyi, drugi względy urodzonego Dyzmy na Wygnance, de Bigos.

I stało się, że gdy przyszło do przysłania dziewosłębów, sędziwy Ireneusz, pomimo oporu Hortensyi, został jej narzeczonym, zaś piękny Karol bezecnie odprawion jest, zkąd przyszedł dla przyczyn nieznacznego rodu i dużego ubóstwa.

Skutkiem tedy wyżej przyrzeczonych konjunktur, sędziwy Ireneusz postanowił się ożenić, zaś piękny Karol przyrzekł sobie, iż się dnia następnego po ślubie Hortensyi — powiesi".

Z tej suchej kronikarskiej wzmianki już Szanowny czytelnik dobrodziej — i Szanowna czytelniczka dobrodziejka (której rączki przy tej okazyi całuję), są dostatecznie poinformowani, dla czego ślub panny Hortensyi i powieszenie się pana Michała miało się odbyć w środę i we czwartek.

Teraz możemy przystąpić do opisania tych wypadków, które nie mogły się obejść bez smutnych przygotowań...

Panna Hortensya, która szła „jak na ścięcie", przymierzała przed wielkim zwierciadłem białą suknię i rączką gładszą od atłasu liczyła obszyte koronkami peniuary i powłoczyste negliże, w których miała cierpieć przez całe życie. Tu przyszyła kokardkę z żółtej wstęgi, tam kazała zwój zmienić, aby w czasie męczeństwa być przecież piękną i podobną do ludzi...

Pan Karol miał dużo mniej do roboty. Podkreślił tylko w kalendarzu dzień środowy kreską czerwoną, a czwartkowy czarną —

naszykował kawał mocnego konopnego sznura i — czekał...

Tak stały i kręciły się rzeczy do południa we wtorek...

We wtorek w południe, do siedziby pana Karola wpadł zadyszany mężczyzna, niejaki pan Szmul Boruch Pomarańcz, i wykrzyknąwszy wielkim głosem: —Główny los!!! osunął się na fotel...

— Wielki los! wielki los! szeptał przyszedłszy do siebie, winszuję jaśniemu panu... a niech pan nie zapomni, że to ja namówiłem pana na dwie ćwiartki...

Pan Karol uśmiechnął się smutnie...

Wtem nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy... Zdjął z gwoździa fatalny postronek i wrzucił go w ogień.

— Co pan robi? — zapytał Boruch.

— Widzisz przecie.

— Nu, na co? taka rzecz, to się przyda...

Pan Karol zieleniał, ale nic nie odrzekł... kazał dać herbaty Boruchowi, a sam usiadł i napisał następujący bilet:

„Najdroższa! Życie lub śmierć! Rozkosz lub mogiła!... Wygrałem wielki los!! połowę 75,000 rubli! Zachoruj! wstrzymaj ślub przez tydzień, powrócę z Warszawy i wszystko się przerobi... Życie moje w twojem ręku!... Pamiętaj! *Karol*".

Pismo to włożył w kopertę, zapieczętował i natychmiast pojechał z Boruchem do miasteczka...

Przed pocztą zsiadł z bryczki i wszedł do kancelaryi...

Za stołem siedział młody człowiek, blady jak ściana, cienki jak kij i zalewał lakiem trzy ruble i zapewnienia miłości, które biedna żona posyłała mężowi, będącemu z pułkiem gdzieś daleko...

— Proszę łaskawego pana o sztafetę do Wygnanki — rzekł pan Karol...

Blady człowiek nie odrzekł nic, tylko mnożył wiorsty przez kopiejki, a później szepnął z ukłonem:

— Tyle rubli i tyle kopiejek.

— Dałbym z ochotą dwa razy więcej, byle tylko list prędko doszedł.

— Hm... sztafeta—mruknął pocztmistrz— dziesięć wiorst na godzinę, za dwie godziny 36 minut adresantka odbierze...

Uszczęśliwiony pan Karol wyszedł i wraz ze swoim przyjacielem Boruchem popędził do stacyi kolei.

Po wyjściu interesanta, ekspedytor poczty zamyślił się smutnie.

Poczta w X. posiadała trzy etatowe konie, z tych jeden właśnie onegdaj zdechł, przeżywszy etatowe trzydzieści lat, z których dwadzieścia dziewięć w służbie pocztowej; drugi nie mógł się ruszać, gdyż zakulał na wszystkie cztery nogi, a trzeci najpilniejszy i jeszcze mogący chodzić, pod dozorem jedynego pocztyliona przywlókł biedę pocztową do stacyi odległej o czterdzieści wiorst blizko.

Było więc się nad czem zamyślić, w jaki sposób wysłać pilną sztafetę...

Sławetni obywatele miasta X. powlekli się wszyscy na jakąś wielką sprawę do gubernialnego miasta, a faktorka pocztowa wysłana w celu wynajęcia konia, powróciła z miną bardzo smutną i życząc swoim wrogom wszelkich nieszczęść, przysięgła na własne sumienie i szczęście do handlu, że w całem X, żeby kto nawet dał sto dukatów w złocie, dziś konia nie dostanie.

Pani ekspedytorka, o tyle czerwona i tęga, o ile jej małżonek był blady i wątły, radziła bardzo praktycznie, ażeby Agatę wsadzić wierzchem na krowę i wysłać ją ze sztafetą do Wygnanki, ale małżonek— formalista, oparł się temu i powiedział, że byłoby to krzyczącem nieposzanowaniem przepisów pocztowych i wielce ryzykownym spacerem dla krowy.

A jednak sztafeta musiała być wysłaną...

Mogła wprawdzie pójść pieszo pewna stara, lecz krzepka jeszcze w nogach żydówka Ita, która już nieraz nosiła sztafety do okolicznych panów, lecz na nieszczęście poszła. Itę spotkało wielkie szczęście, bo kupiła bar-

dzo tanio dwie gęsi i nie miała nic lepszego do roboty, jak zanieść je do sąsiedniej osady na jarmark, zkąd przy największym pośpiechu dopiero jutro mogła powrócić.

Trafiał się wprawdzie dziad, który szedł w stronę Wygnanki na odpust, i podejmował się zanieść sztafetę, ale dopiero nazajutrz po nieszporach — gdyż odpustu wyrzec się nie chciał...

Niepodobieństwem było go namówić...

Tymczasem już i wieczór zapadł.

Posępne, zabłocone miasteczko X. utonęło w ciemności, tylko dwa okienka stacyi pocztowej oświetlone bladą lampką wyglądały jak para czarnych oczu, patrzących, czy po rzadkiem błocie ulicy nie nadpłynie zbawienie.

Blady człowiek drzemał nad szarą bibułą, na której zapisywał dochody stacyi pocztowej w X; z uliczek dolatywało szczekanie zakatarzonych psów, a pocztowa faktorka, zakasawszy brudną watówkę za kolana, z trudnością wydobywała z błota dziurawe trzewiki i szukała konia na sztafetę...

Los bywa jednak nielitościwy...

Dało się słyszeć stąpanie konia i głos ludzki; pocztmistrz wyskoczył na ganek...

— Hola! hej! kto tam jedzie?

— To ja panie, Jankiel...

— Bóg cię prowadzi.

— Nu, daj Boże na zdrowie dla wielmożnego naczelnika.

— Gdzie ty jedziesz?

— Jadę do Popichadłów na jarmark.

— A to doskonale! Weź sztafetę do pana do Wygnanki, nałożysz milkę drogi i zarobisz rubla, zaraz ci zapłacę i jeszcze wódki dam kieliszek, a w Wygnance też co za drogę do staniesz.

— Ny, ny! za co nie? Niech pan naczelnik doda jeszcze dziesiątkę za kopitkowe, a ja będę w Wygnanke przed północkiem jeszcze. Pan naczelnik wie przecie, co moja kobuła, to tak lata, jak gołąb.

— To też poganiaj, mój Janklu, poganiaj, bo i tak sztafeta spóźniona.

— Co ja mam jej poganiać? Una jak się rozbryka, to jej się wszystkie cztery nogi ruchajom!!

Rzeczywiście koło północy dzielny Jankiel był już tylko o dwie mile od Wygnanki. Wjechał do wsi, chciał trochę dać szkapie wypocząć, wtem patrzy, przed jedną chałupą stoi fura siana, z którą chłop zapóźnił się wieczorem i już jej nie zdążył wepchnąć do stodoły.

Pokusa była silna...

Jankiel bez ceremonii uskubał wiązkę sporą, ile w biedę wlazło, i chciał odjeżdżać — ale chłop się pilnował.

W jednej chwili, biedny Jankiel, zbity, związany, zaniesiony na rękach do kancelaryi gminnej, znalazł się w kozie.

Napróżno tłumaczył chłopom, że się narażają na wielką karę, bo on wiezie sztafetę w skarbowej torbie, że ta sztafeta jest od samego naczelnika—nic nie pomogło.

Wójcisko, dobry chłop, możeby go był i puścił — ale cóż, kiedy pan pisarz pojechał do drugiego pisarza na chrzciny i za dwa dni powróci...

— Któż napisze protokół?!

Kiedy promień południowego słońca zajrzał do więzienia Jankla— panna Hortensyja była już żoną sędziwego Ireneusza...

. . . .

Pan Karol wrócił z 30,000 rubli...

Z rozpaczy chciał się powiesić — ale nie mając sukcesorów był w kłopocie, co zrobić z kapitałem?!

Postanowił więc czekać i doskonale na tem wyszedł.

Anielska Hortensyja była najgorszą żoną: grymaśnica, złośliwa, rozrzutna, zatruwała resztki życia staremu mężowi..

Pan Karol kupił majątek niedaleko X, ocenił się i co rok przysyła pocztmistrzowi cztery fury ślicznego siana za „spóźnioną sztafetę".

I doprawdy! są jednak ludzie, którzy narzekają na nasze stacyje pocztowe!?

Sztuka.

* W pewnem towarzystwie opowiadano, że jeden sławny flamandzki malarz paru pociągnięciami pędzla śmiejącą się twarz dziecka zamienia na płaczącą.

— To mi dopiero sztuka — odpowiedział ktoś z obecnych — jednym klapsem ten sam skutek sprawię.

* *Z podsłuchanych rozmów.*

— Powiadam ci, mam dwóch synów tęgich chłopaków, jeden odemnie jest mędrszy, lecz za to drugi głupszy odemnie...

— No! to ten ostatni prawdziwej sztuki dokazał.

* *Po przedstawieniu.*

— A to sztuka dyjabelnie nudna. Niech ją licho porwie!

— A to czemuż bijesz brawo?

— To z uciechy, że się przecież raz skończyła.

Szubienica.

* Dwóch godnych siebie łotrów przejeżdża konno koło dawnej szubienicy. „Coby tak było z tobą—odzywa się jeden do drugiego—gdyby tu szubienica była jeszcze w użyciu?“ „A cóż—odpowiada drugi—musiałbym dalej sam jechać“.

* *Pod szubienicą.*

— Dzięki Bogu! przynajmniej znów o jednego mniej— rzecze łotr, ujrzawszy wisielca na szubienicy — naprawdę, już zanadto tej konkurencyi, trudno sobie z tem dać rady!

Szuler.

* Niejaki Dzbański, oszust karciany, płacił królowi cztery tysiące czerwonych złotych za pozwolenie otwarcia banku Faraona na redutach podczas jednego karnawału.

Temu Dzbańskiemu zabawny wydarzył się wypadek. Na jednej karnawałowej reducie owych lat, ciągnął bank za stołem, na którym wzniosła się kupa złota; ktoś w masce zbliża się do stołu i stawia kartę, nakrywszy ją talerzem. Dzbański na to: „Uciekaj masko do sieni, jeżeli grasz na talary, między liberyą znajdziesz może amatorów, ale u mnie tylko złoto pieniądzem“. Maska odeszła jakby skonfundowana, a gra poszła dalej.

Godzina nie upłynęła, aż czterech maskowanych murzynów trzymających kosz, w którym było mnóstwo złota, zbliżają się do stołu, a za nimi ta sama maska, którą dopiero tak niegrzecznie odprawiono od banku. Ta stawia kilkanaście worków złota na jedną kartę i mówi wobank, po kilku abcugach ta karta wygrywa. Na znak jego, murzyni kosz odkładają z pańskiemi dukatami, a ich pan przewraca stół bankierski i wszelkie będące na nim złoto potoczyło się po całej sali, a sam z swoimi murzynami opuścił redutę, ani jednego dukata nie zachowując z swojej wygranej, a było tego, jak mi mówiono, więcej niż trzy tysiące.

Można sobie wyobrazić, jaki się zrobił rejwach na sali, kiedy się rzucono na pieniądze, od których właściciel się odrzekł, omal że się nie pozabijano. Co tylko było rozsądniejszego, uciekło z sali, został się sam fus towarzyski, podobno kilku w tłumie uduszono. A co dziwniejsza, nigdy nie dowiedziano się, kto był ten maskowany, który zaryzykowawszy tak znaczną sumę, żadnej korzyści mieć nie chciał z dopisanego szczęścia.

Szwaczka.

* Pewna dama, kupiwszy na wyprzedaży resztkę z kilku łokci materyjału, kazała swej krawcowej uszyć z niej długie okrycie.

— Za mało materyjału, łaskawa pani — odrzekła krawcowa— na okrycie tej długości, jak pani żąda, nie wystarczy.

Dama niezadowolona z odpowiedzi, udała się do innej szwaczki, która okrycie tej długości podjęła się zrobić.

W kilka dni okrycie zostało wykończone, a pani przymierzywszy, zadowolona z roboty, rachunek zapłaciła.

W chwili gdy miała wychodzić, wbiegła do pokoju ośmioletnia córeczka szwaczki, wracająca ze spaceru. Ubrana była w płaszczyk z tego samego materyjału.

— Ach, mój Boże! — wykrzyknęła zdziwiona pani—cóż to znaczy? Tamta krawcowa nie chciała podjąć się roboty płaszczyka, utrzymując, że za mało materyjału, a pani nietylko zrobiłaś z niego okrycie, ale i płaszczyk dla córeczki.

— Tak, łaskawa pani — odrzekła szwaczka naiwnie—to rzecz bardzo prosta — jej córka jest o wiele starsza i słuszniejsza od mojej.

Szwajcar.

* Jesteśmy przed zamkniętą bramą, szeroką, jakby razem cztery działa Krupa wjeżdżać w nią miały,— wysoką, że końca prawie nie dojrzysz, z dwiema basztami i herbem, błyszczącym w pomroce srebrną ostrogą na złocistej tarczy.

Po chwilce próżnego czekania, Grześko zsiadł z bryki, próbując otworzyć.

— A bodajże cię wciornascy—stękał, mocując się nadaremnie.— Toć wielmożny panie chwestunek a nie wrota, żeby je miało grzeszne człeczysko otworzyć. Ale tu wej jakieś kółeczko na żelaznym drągu dynda.

— Ciągnij za kółeczko, pewnie to dzwonek.

W rzeczy samej, silny dźwięk śpiżu zadrgał wśród wieczornej ciszy, a z ostatniem jego drgnieniem stanął przed bramą człowiek barczysty, w trójgraniastym kapeluszu, z czerwoną wstęgą przez piersi i kijem w ręku, złotą gałką zakończonym.

— Kto tam? — z wysoka zapytał.

Nasz Grzesio, jakby go kto ukropem zlał— czapka w rękę i wyprostował się jak trzcina.

— A to, proszę jaśnie jenerała, nie mogiemy wrót otworzyć. (W rzeczy samej militarną miał postawę ów pompatyczny szwajcar).

Ucieszony zakłopotaniem Grzesia nie przerywałem rozmowy.

— Posesor, czy dziedzic?—zapytał szwajcar.

— Co, jaśnie jenerale?

— Posesor, czy dziedzic?

— Nie wiem, jaśnie...

— A dokąd to jedziecie?

— A dyć do tego wej dworu, jaśnie jen...

— To nie dwór, tylko pałac, kpie jakiś. A wiesz, kto tu mieszka?

— Nie wiem, jaśnie jenerale, ale mi tu paniczek mój kazali zajechać.

— A zkąd to jesteście?

— Ze *Starej chałupy*, jaśnie...

— Ze Starej chałupy?... Cóż to chłop, czy okupnik?

— Nie chłop i nie okupnik, ino mój pan.

— A kto twój pan?

— A no pan ze *Starej chałupy.*

— A cóż to u dyjabła za Stara chałupa? Wieś jaka, czy co?

— A dyć folwark.

— Jeden folwark?

— Nie, jaśnie jenerale —pół folwarku.

— Jakto pół folwarku? A któż mieszka w drugiej polowie?

— A to siedzą stary jegomość, ojcowie mego pana.

— A jak się twój pan zwie?

— Mego pana to zwią paniczkiem, a starego jegomością.

— A to bydlę z pod ziemi! — W której że stronie mieszkacie?

— A to się ztąd jedzie prosto, potem bierze się na ksóbkę... jak wej jest karczma przekłada się na odsibkę... potem ciągle prosto, aż znowu jest trzy trakty...

— No, dosyć, dosyć, gapo! Za czemże tu jedziecie, za trzodą, czy za gęśmi?... Do ekonoma bo z tem!

Ten ostatni argument już mnie z cierpliwości wywiódł.

— Hej, szwajcar, otwieraj żywo!—krzyknąłem.

Na te moje słowa, Grzesio, omyłkę zmiarkowawszy, czapkę na głowę nacisnął, podpierając się w boki (co u chłopa oznacza zawsze, że *rezonu* nabiera), a tymczasem niezmieszany dobitnym wykrzykiem trójgraniasty szwajcar ów zbliżył się wprzód do mnie, obejrzał brykę, i przekonawszy się, że to... tylko bryka... otworzył boczną bramkę, znacznie węższą.

— A czemuż mi tej wprost nie otwierasz? —zapytałem—mamże nawracać drugi raz?

— To jest tylko dla karet i powozów — dla bryczek zaś tędy jest miejsce.

O blago! nieszczęśliwa blago! pomyślałem. *Jordan*. (p. t. I, str. 209).

* — Słuchajno, szwajcar! co to za jedna ta panienka, co wychodzi teraz z tą starą panią?

— Eh, to nic.

— Jakto nic?

— A nic, bo to proszę jaśnie pana jedna wioszczyna i to na wyrębowiskach piasczystych.

Szwajcarska Dolina.

* *Wypadek wypadkiem, a reguła regułą.*

Szanowny Panie Redaktorze!

Tyle już napisano o skandalach, jakie się niby mają dziać w Szwajcarskiej Dolinie, że zaintrygowany tem, udałem się w zeszłą sobotę na bal maskowy -- i cóż pan powiesz, od dwunastej w nocy do ósmej rano nie było ani jednej, wyraźnie ani jednej awantury, co w imieniu prawdy swym podpisem stwierdzam. Sługa

Kalasanty Wścibski.

PS. Przepraszam, że pismo moje niewyraźne, ale w łóżku leżę i zaledwie ręką ruszać mogę, takie mi sprawiono lanie, gdym wychodził z Doliny.

Szybkość pociągu.

* Niedawno pan Maurycy chciał pocałować narzeczoną wsiadającą do wagonu w Grodzisku, ale pociąg ruszył tak szybko, że całus dostał się bufetowej z następnej stacyi.

* Rzecz dzieje się w pociągu kolei Nadwiślańskiej. Konduktor odbierając bilety, robi uwagę pewnej damie, że pół-biletu na jej syna jest zamało, gdyż syn jest prawie wyrostkiem.

— Tak— odpowiada dama — kiedym kupowała ten bilet, syn mój był jeszcze małym, lecz wasz pociąg szedł tak wolno, że przez ten czas zdążył wyrość.

Szyld i prospekt.

* Dawniej rzemieślników, kupców mniej było, i dla tego nie potrzebowali szyldów wywieszać. Każdy wiedział, gdzie jest jedyny w mieście skład pieprzu i imbieru, jedyna postrzygalnia i t. p. Dziś konkurencyja stworzyła wystawne szyldy i afisze, nietylko przed sklepami, ale i w literaturze.

Prospekt jest to szyld, mniej więcej złocisty, obiecujący wiele, pokrywający się znanem imieniem, pokupnym towarem.

Jeden ogłasza w swoim szyldzie-prospekcie, że zfabrykował nowy romans, którego o każdej porze, na różnego gatunku papierze, w różnych okładkach dostać można; drugi, że sprzedaje jaknajtaniej poezyję niezwietrzałą, dobrą miarą i z naddatkiem portretu autora *gratis*.

Trzeci występuje łokciowemi litery, oznajmując zdrową historyję, wielce pożyteczną dla słabych i mocnych głów, nikomu niemogącą zaszkodzić, świeżo zaprawną, woniejącą, błyszczącą i t. p.

Dalej, dalej, kto wie, czy nie będziemy czytali prospektów tego rodzaju:

„N. N. ma do sprzedania powieści i romanse hurtownie i na rozdrób, na pudy i funty. Historycznego romansu funt po groszy dziesięć, obyczajowego po srebrnym groszu, poetycznego (jako najłatwiejszego) po trzy grosze".

* W napisie na pewnym szyldzie jest wyraz jednozgłoskowy, w którym się znajduje cztery błędy, to jest:

Fhut do... (wchód).

* Tu mieszka lekarz koński, oraz fabrykant czekolady i waty.

* Tu mieszka cyrulik oraz pijawki w dobrym gatunku.

* Tu dostanie miód węgierski polskiego, oraz obwarzanki z huśtawką (ten napis był kilkadziesiąt lat temu na Pradze).

* Na drzwiach jednego sklepu w Warszawie widzieć się daje następujący napis:

„Tu dostanie każdego czasu świeżej cykoryi i innych materyjałów piśmiennych”.

Szynk.

* *W szynku.*

— Tatełe, tatełe!...
— Co chcesz, Icyniu?
— O, tatełe, ja znalazłem rękawiczkę.
— Głupi, co czi z jednej?
— Nu, kiedy na drugiej ten pan jeszcze sziedzy.



Tabaka.

* *Straszna tabaka.*

(Obrazek z przyszłości).

Postęp idzie olbrzymim krokiem. Zdaje się, że włożył na nogi siedmiomilowe buty i leci, jak waryjat.

Pożegnaliśmy się już dawno ze starożytnemi cmentarzami. Sprzedano je przez publiczną licytacyję ogrodnikom, którzy produkują na nich wyborne kalafijory i szparagi...

Nawet truskawki cmentarne są nadzwyczaj poszukiwane.

Proszę nie zapominać, że dzieje się to w roku 2002—i że Warszawa, jak to jej przepowiadali ekonomiści, stała się czemś pośredniem między Liverpoolem i Hamburgiem, właściwie zaś nie jest ani pierwszem ani drugiem z tych miast...

A postęp pędzi, jak lokomotywa...

Już mamy oświetlenie elektryczne, gutaperczany bruk, balonowe omnibusy, co trzy kroki telegraf, a w każdym domu filiję poczty pneumatycznej...

Jeszcze za lat sto, a będziemy wszyscy mówili po żydowsku, a wykazanie w swym rodzie dwunastu przodków pachciarzy będzie nadawało tytuł margrabiego lub grafa...

Rogatkę marymoncką dawno już zniesiono, miasto rozszerzyło się aż po za Kaskadę, a przy wjeździe wzniesiono coś w rodzaju łuku tryumfalnego. Zowie się to bramą Jerychońską...

Po za nią znajduje się pyszny ogród, a w nim, na wspaniałym trawniku ozdobionym marmurowemi posągami wielkich znakomitości, wznosi się budynek w stylu jerozolimsko-damasceńskim (najmodniejszy styl epoki) z dużym kominem żelaznym.

To jest piec — albowiem palimy się po śmierci. Znałem takich, którzy robili to za życia... ale ci stlili się bez pieca — biedacy!...

I popiołu z nich nawet nie pozostało...

Wspaniały piec imponował ogromem... Do środka wchodziło się przez bramę czarną nabijaną srebrnemi gwoździami, a urządzenie wewnętrzne odznaczało się niezwykłym komfortem i wygodą.

Sam piec stał na środku dużej sali obitej czarnem suknem, po którem spływały duże łzy (z cyny pobielanej). Dokoła sali stały wspaniałe fotele, ciężkie, głębokie, miękkie, obite czarnym manszestrem ze srebrnemi galonami i frendzlami...

Na ścianach zawieszone były kandelabry srebrne, w których niepewnem światłem migotały świece woskowe.

Przy każdym fotelu stało piękne marmurowe naczynie na łzy.

Wiek XXI-y nauczył ludzi oddawać się boleści w sposób najbardziej wygodny...

Oprócz tego na każdym fotelu leżała piękna, ogromna batystowa chustka, dla użytku publiczności.

Tę chustkę towarzystwo palenia ciał dawało gościom swym jako premijum bezpłatne.

Nie potrzebuję dodawać, że na jednym jej rogu był wydrukowany adres instytucyi, oraz ilustrowany cennik.

Zamiast smutnych emblematów śmierci, to jest trupiej głowy i piszczeli, wszędzie pozawieszano wyobrażenie feniksa, odradzającego się z własnych swoich popiołów...

Emblemat ten wywoływał myśli mniej smutne...

. . . .

Przez bramę Jerychońską przejeżdżał orszak żałobny. Na karawanie parowym, pędzącym z szybkością trzech wiorst na minutę przymocowana była trumna niklowa, zrobiona z wycofanej z obiegu, francuskiej zdawkowej monety, a z jednego jej końca zwieszał się olbrzymiej długości tren jedwabny od sukni...

Maszynista od karawanu wiedział, kogo wiezie. Pewnym był, że dostanie sowite „na piwo", więc pędził całą siłą pary, a co trzy sekundy gwizdał tak przeraźliwie, jak tego wymagała sytuacyja pełna powagi i uroczystego smutku...

Długi szereg parowych powozów usiłował dążyć za wozem żałobnym, a maszyniści powozowi usiłowali zagłuszyć świst karawaniarza, co tworzyło prawdziwie smutną, rozdzierającą serce muzykę...

Sekretarz towarzystwa palenia zwłok w długiej todze czarnej wyszedł naprzeciw orszaku, a zwróciwszy się do męża zmarłej, powitał go piękną, rozrzewniającą mową, przyczem nawiasowo wspomniał o wysokiej dywidendzie dla akcyjonaryjuszów towarzystwa na rok 2002.

W środku mowy odezwał się zapłakany mąż, przepraszając sekretarza, że nie może dosłuchać do końca rozrzewniającej przemowy, gdyż: po pierwsze, jest zanadto wzruszony, a po drugie, musi się spieszyć na licytacyję ruchomości zajętych w mieszkaniu swego przyjaciela. Ma jednak nadzieję, że licytacyja ukończy się dość szybko i że zdąży on jeszcze wrócić w sam czas, aby zabrać z sobą popioły nieoszacowanej małżonki, która pomimo wielkiej złośliwości charakteru, kłótliwości i fizycznej brzydoty, pozostawiła mu wcale piękny kapitał, nie licząc dwóch skrofulicznych aniołków.

Wszyscy zachwycali się temi objawami przywiązania mężowskiego, a kiedy trumna nieoszacowanej małżonki wsunięta została do pieca — czarno ubrani lokaje towarzystwa rozdawali uczestnikom pogrzebu wyborne cygara, lody i świeżutkie dzienniki, które miały skracać czas oczekiwania, dopóki piec nie dokona swego dzieła zniszczenia.

Trzy kwadranse trwało to oczekiwanie, a małżonek powrócił z licytacyi w sam czas, to jest akurat w tej chwili, kiedy wsypywano kilka garstek popiołu do niebieskiego jedwabnego woreczka.

Zasmucony małżonek zapłacił rachunek towarzystwu palenia zwłok, włożył woreczek z drogiemi szczątkami do bocznej kieszeni tużurka, a wsiadłszy do parowego powozu, całą siłą pary popędził przed gmach bankowy, gdzie zdyskontował siedem weksli i tyleż czeków.

Nie uważał jednak zasmucony człowiek, że gdy częstował cygarem kogoś ze znajo-

nych na ulicy, woreczek z drogiemi szczątkami wypadł z jego kieszeni...

Serce męża boleśnie zostało dotknięte tą stratą. Wyznaczył tysiąc rubli nagrody temu, kto odnajdzie ów skarb stracony...

W roku 2002 Warszawa miała już dzielnych agentów, którzy za pewne wynagrodzenie służyli także interesom osób prywatnych.

Jeden z takich jegomościów podjął się poszukiwania, które też niebawem uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem...

Jakoż, po niedługim czasie, przed sądem przysięgłych stawiony został Onufry Niuchacz, stróż domu Nr. 70,283 — oskarżony o nieprawne przywłaszczenie i ukrycie zwłok bankierowej Ypelman z domu Piperberg, małżonki szanownego Bernarda Ypelmana, członka rady miejskiej, prezesa banku zastawniczego, radcy akademii handlowej, etc. etc.

Podajemy tu wyjątek z interesującej rozprawy sądowej:

Prezydujący. Obwiniony Niuchaczu! czy przyznajesz się do czynu występnego?

Obw. Nie.

Prezyd. Więc nie znalazłeś zwłok pani bankierowej...

Obw. Jak żyję, nie widziałem jej nawet.

Prezyd. (*do komisarza sądowego*). Proszę przynieść dowód materyjalny (*komisarz sądowy wnosi woreczek*). Obwiniony! czy w obec tego dowodu jeszcze się możesz zapierać... Czy miałeś to kiedy w ręku?

Obw. Nosiłem to ze dwa tygodnie w kieszeni...

Prezyd. Chciej mi powiedzieć, zkąd przyszedłeś do posiadania tego przedmiotu?

Obw. Znalazłem go na ulicy przed bankiem...

Prezyd. A cóż zrobiłeś ze zwłokami, znajdującemi się w tym woreczku?

Obw. Kiej tam, proszę jaśnie pana, żadnych zwłoków nie było...

Prezyd. A cóż tam znalazłeś?

Obw. Tabakę, jaśnie panie...

(*Żywe poruszenie wśród publiczności*).

Prezyd. I cóż z nią uczyniłeś?

Obw. A cóż się, prześwietny sądzie, robi z tabaką? ot, niuchał człowiek, niuchał, taj wyniuchał do szczętu.

(*Kilka dam mdleje*).

Prez. Cóż cię skłoniło do takiego postąpienia? jak śmiałeś popełnić taki karygodny postępek? czy wiesz, że nie tabakę zażywałeś, lecz spopielone zwłoki jednej z najszanowniejszych obywatelek tego miasta.

Obw. O Jezusie Nazareński! a dyć ja myślałem, że ta tabaka krzynkę inaczej pachniała, ale zdawało mi się, że to właśnie pańska tabaka, namięszałem do niej zwyczajnej zielonki i zażywałem bez calusieńki tydzień. O, żebym ja był wiedział! Nie darmo też kręciła mnie w nosie, jak świdrem.

(*Przerażenie w sali*).

Przysięgli widząc, że obwiniony działał bezwiednie, wydali werdykt uniewinniający, lecz bankier Ypelmann utraca najdroższą pamiątkę na zawsze, a biedny stróż, prześladowany przez straszną zmorę, dostaje pomięszania zmysłów i zdaje mu się, że jakaś dama mieszka stale w jego czerwonym nosie!

Tacy.

* *Trudno — i tacy być muszą.*

Straciłem wczoraj krewniaka;
Dziwna to była natura;
Taka uparta i taka
Jakaś cudacka, ponura,
Że rodziła same ciernie,
Jak żył, tak umarł mizernie.

Zdolności i wykształcenia
Miał sporo — ale niestety
Rosło to sobie wśród cienia;
Bo wszystkie owe zalety
Mącił filozofiją własną,
Nic nigdy nie widział jasno.

Z początku był urzędnikiem;
I cóż? przyszło mu do głowy
Nie wstawać przed naczelnikiem!

Sądził, że wieniec laurowy
Zdobędzie pracą szaloną,—
W dwa lata go wypędzono.

Potem miał handel. Był ścisły
I prawy. Mógł żyć dostatnio,
Gdyby nie dzikie pomysły;
Przykładem chciał miłość bratnią
Zaszczepić w kupieckie ciało.
Padł. Było śmiechu nie mało.

W końcu widząc, jak na dłoni,
Że przeszedł konieczną drogą,
I że ostatkami goni,
Wyjechał. Wioskę ubogą
Dostał w dzierżawę wieczystą.
I tu zwaryjował na czysto.

Pracował przez lat trzydzieści.
Szło mu. Mógł mieć kapitały.
Gdzie tam! Jak dziady po kweście,
Tak chłopy go oblegały.
Rozdał im wszystko, do centa,
Niech mu Bóg nie pamięta!

Głupie było dziwaczysko!
Mówiłem: utwórz fundacyję,
Unieśmiertelnisz nazwisko...
Nie. Wolał chłopskie owacyje!
Panie, świeć nad jego duszą!
Trudno — i tacy być muszą.

M. Rodoć (p. t. I, str. 125).

Taillerand.

* — Powiadają, że pan jesteś bardzo bogaty— rzekł pewnego razu Napoleon do Taillerand'a.

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— A nawet podobno masz ogromny majątek?

— O tak, istotnie, najjaśniejszy panie — odpowiedział znów Taillerand.

— Jakieś pan doszedł do tego tak prędko, wszak wróciwszy z Ameryki, nie miałeś nic wcale?

— Prawda, najjaśniejszy panie, ale w wigilję 18-go brumaira (listopada) [1]) zakupiłem wszystkie papiery publiczne, jakie tylko mogłem dostać, a po 18-ym sprzedałem je napowrót.

* W pewnem kółku arystokratycznem rozmawiano o ogromnej fortunie pana de Taillerand.

— Nie widzę w tem nic nadzwyczajnego — rzekła jedna z pań — Taillerand bowiem posprzedawał wszystkich tych, co go kupowali.

Chamfort. (p. t. I str. 35).

Tajemnica.

* *Tajemnica zawodowa.*

W jednej z restauracyj panował zwyczaj, że kelnerzy nie wydawali 5 kop. pod pozorem, że nie mogą znaleźć ich tak prędko, aż wreszcie znudzony gość machnął ręką i wychodził z zakładu, pozostawiając owe pieniądze, jako napiwek kelnerowi. Szczególniej jeden z nich odznaczał się niesłychaną zręcznością w tym względzie. Profesor B. przecież podpatrzył go raz, że chowa on wszystkie pięciokopiejkówki do kieszeni w kamizelce, a inne pieniądze do kieszeni w spodniach. Skoro więc miał płacić za piwo, dał kelnerowi rubla. Ten wydając mu resztę, znowu nie mógł znaleźć pięciu kopiejek. „Sięgnij do kamizelki" — rzekł profesor z uśmiechem. Kelner w pierwszej chwili zgłupiał, a ochłonąwszy nachylił się do gościa i spytał, tajemniczo mrugając: „To pan tutaj także był kelnerem?"

* *Tajemnica pana Dydaka.*

(Humoreska)

I.

W domu państwa Fiutkiewiczów zapanował trudny do opisania rozgardyjasz.

---

[1]) Dzień zamachu stanu Napoleona I-go.

Było to około piątej z wieczora, a więc na dwie godziny przed rozpoczęciem wigilijnej wieczerzy, na którą dbali o przyszłość swoich trzech córek państwo domu zaprosili p. Dydaka.

Zanim będziemy mieli przyjemność przedstawić czytelnikowi właściciela pięknie brzmiącego imienia, rzućmy okiem w głębie siedliska poczciwych państwa Agapitów, przygotowujących wieczerzę.

Gapcio, czyli pan domu, zajęty ustawieniem stołu, sapie pod wpływem piastowanej godności dekoratora, pani Gapciowa komenderuje w kuchni.

Układny syn gospodarstwa, Pafnuś, oprawia świece ze zręcznością, godną konduktora pierwszej lepszej kolei, średni, Fabruś, zabija czas wybębnianiem na szybie bardzo ładnych ustępów z capstrzyku, zaś najstarszy, pan Laurenty, w przyległym pokoju przyrządza wódeczkę cytrynową, gwoździkową i wiśniową.

Wszystko to jest bardzo pięknie — powiecie zniecierpliwieni, lecz gdzież są panny?

Cierpliwości, moi drodzy, a po nitce dojdziemy do kłębka.

Oto w saloniku, który zarazem służy za gotowalnię, znajdujemy wszystkie trzy potomkinie zacnej rodziny Fiutkiewiczów, a mianowicie:

Panna Eulalija, lat 29 miesięcy 7, wysoka, szczupła brunetka, pochylona nad przyprowadzanym do ładu gorsetem, co kilka minut szepcze do siebie: „Dyduś będzie, hm...”

Panna Zefiryna lat 26, wysoka, szczuplo-okrągła, wypieka grzywkę, marząc na temat: „Dydak będzie dzisiaj, kto wie?...”

Panna Laura lat 25, wysoka, okrągła, prostując oddzielne stalki szczegółu toalety, zwanego turniurą, marzy w ten mniej więcej sens: „Pan Dydak przyjdzie, ha, zobaczy się”.

II.

Na zegarze ratuszowym wybiła siódma, a więc można było liczyć na pewno, iż wpół do ósmej już minęło.

W jadalni państwa Agapitowstwa wspaniałość i niczem nie zakłócony ład rozpostarły swoje panowanie.

O trzy kwadranse na ósmą pani Fiutkiewiczowa z twarzą wiele mającą wspólnego z balonem będącym na odlocie, powróciła z kuchni.

— Co myślicie, a może chyba, dzisiejsza młodzież, to... kto ją tam wie?

— Kto ją wie? — powtórzył pan Agapit, przygotowując się do bardzo zajmującej perory, czemu stanęło na przeszkodzie energiczne szarpnięcie dzwonkiem.

Odgłos ten zelektryzował aż cztery na raz znajdujące się w pokoju przedstawicielki płci nadobnej, co nas zmusza do skreślenia nowego rozdziału opowieści.

III.

Nie chcąc, aby nas posądzano o wyzyskiwanie cierpliwości drogiego naszemu sercu czytelnika, od razu powiemy, iż nowoprzybyłym był nikt inny, jak pan Dydak, właściciel jasno-kawowej w błękitne prążki kamizelki, krawata bordeaux, podobnej barwy policzków, dwóch kamienic na Starem Mieście, przyzwoitego urzędu w odnośnem biurze oraz czterech pierścieni: z turkusem, brylantem, krwawnikiem i opalem.

Czterdziestopięcioletni posiadacz tak wielkiej liczby wdzięków, po obcałowaniu twarzy gospodarza, uściskaniu rączek pani, przesłaniu kordyjalnego „moje uszanowanie” na rachunek panienek (które z jednobrzmiącym wdziękiem rumieniły się jak wiśnie) i powitaniu kawalerów, rozpoczął nader zajmującą pogawędkę o kłopotach gospodarskich i biurowych, polityce, zbrodni na Piekarskiej i...

— Pan Dydak usiądzie pomiędzy Fircią i Lalą — objaśniła pani Agapitowa ku niezadowoleniu Lauruni, a jednocześnie, ujmując w prawicę opłatek, głosem uroczystym przemówiła:

— Drogi panie... pozwolisz, że idąc za tradycyją naszych ojców... jak z rodzonym

synem... nawet powiem więcej... wszystkiego dobrego...

I ni ztąd ni z owąd rozwarły się upusty, a pani Fiutkiewiczowa zapłakała...

— Pani dobrodziejko... i owszem... naturalnie... sto lat...

— Dydusiu... desiego!

— Sto lat zdrowia, kochany panie Agapicie.

Po złamaniu opłatka z kawaleryją, co razem wziąwszy wyniosło lat pięćset, pan Dydak z miną jaknajnaturalniejszą począł wskrzeszać dyskusyję o hodowli gołębi.

— Jakto? — zawołały panienki — a z nami... opłatkiem?

— Przepraszam, lecz za nic w świecie, o za nic. Ja się już nie łamię z kobietami — odparł z niechęcią reprezentant urzędu i obywatelstwa.

— A to dla czego? — zapytuje mocno zdziwiona pani i jeszcze bardziej poruszone Lala, Fircia i Laurcia.

— Jest to moja tajemnica, szanowna pani, przykra, bardzo przykra tajemnica...

— Jakaż, drogi Dydusiu, powiedz, zwierz się przed przyjaciołmi, dla czego nie łamiesz się opłatkiem z mojemi córkami?

Gość uśmiechnął się boleśnie.

— Widzicie, moi państwo... jak raz osiem lat temu, jeszcze przed zawiązaniem naszej znajomości, panie Agapicie... łamałem się opłatkiem z Dorunią, która mi życzyła... wszystkiego dobrego... a nazajutrz... uciekła z Gucien...

— Dorunia, co to za osoba? — pytali razem Agapitowstwo i sześcioro latorośli.

— To... to była moja żona... o której, pomimo tego... nie mogę zapomnieć, tak... nie mogę...

— Pan żonaty?—krzyknęła Agapitowa.

— Tyś żonaty? — ryknął Agapit.

— On żonaty? — zawołały Lala, Fircia i Laurunia.

— On ma żonę? — szepnęli Pafnuś, Fabruś i pan Laurenty.

IV.

— Panie Dydak, może pan zostanie na wigilji, naturalnie nie przymuszamy, każdy ma swoje interesa...

— Naturalnie, mężu, wszelki przymus nie jest na miejscu. Lalu, Firciu i Lauruniu siadajcie tu przy mnie, chłopcy tam po drugiej stronie. Nieszczęście, brakuje pary, jedna osoba za wiele!

— O, pani dobrodziejko, proszę tego nie brać do serca, ja, nie chwaląc się, jadam za dwóch — wtrąca żartobliwie Dyduś, świeżo zdegradowany na pana Dydaka.

Taksa.

* *Powieść o taksie.*

Ze wszystkich względów jest to rzecz dorze-
[czna,
A przyznać trzeba i logiczna troszki,
Żeby znów w górę szła taksa apteczna
Na różne maście, mikstury i proszki.
Jeżeli nadal taksa wyżej pójdzie...
Wówczas w narodzie kwitnąć będzie zdro-
Nie kupią leków pospolici ludzie, [wie,
A senes sami jeść będą hrabiowie.

Talent.

* *Talent i waga.*

W Soblonie wschodnie panują dziś gusta,
Tam nie popłaca talent lub wdzięk twarzy,
Tam czczą kobietę wtedy, gdy jest tłusta,
A hołd jej niosą, gdy sto pudów waży.
Ja wam jednakże powiem pod sekretem,
Wam, którym serca w żar miłosny płoną,
Że można lubą obdarzyć bukietem,
Lecz się nie igra... z zasługi koroną.

Taniec.

* Taniec!... hola, hej muzyka,
Poloneza zagrać proszę!
Niech z nim wszelki smutek znika
Błysną dawnych lat rozkosze!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!... (bis)

W tańcu czujesz kobiet drżenie,
Gdy w pół bierzesz ich kibicie,
Czujesz oddech i westchnienie,
W tańcu rozkosz! w tańcu życie!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Spojrzmy choć na naczelnika,
Co za fizys, jak z kamienia
Jego oko, — to muzyka, —
Kancelistów w balet zmienia!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Wszyscy skaczą koło niego,
I za bóstwo uważają,
— Biały murzyn tyś od tego,
— Byś tak tańczył, jak ci grają!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Albo majster, szewc cechowy,
Chwycił chłopca, jak szalony,
I pocięglem mu do głowy
Pędzi rozum z... innej strony!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Chłopiec głosi dzikie krzyki,
Dębem na łbie włosy stają,
Ale majster—mistrz muzyki...
— Tańcz więc chłopcze, jak ci grają!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Albo oto ci mężowie,
Instytucyi cnej filary,
Kto na ukłon nie odpowie,
Wnet zapiszą go do kary!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Każdy się przed nimi korzy,
Bo belgijskie grosze mają,
— Hejże konni konduktorzy,
— Tak tańcujcie jak wam grają!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Głupstwo to co ja rymuję,
O tem, o siem i o owem,
Bo dziś, panie, jednem słowem,
Cały świat nasz wciąż tańcuje!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!

Taniec!... hola, hej muzyka,
Poloneza zagrać proszę!
Niech z nim wszelki smutek znika,
Błysną dawnych lat rozkosze!
Hej ha! hejże ha!
Nie tak dawniej to bywało!!

P. Kośmiński (p. t. l. str. 349).

* *Co mówią o tańcu.*

Ona. Powiadają, że taniec jest nie hygieniczny, mniejsza, ale w nim nie jednemu dudkowi głowę można zawrócić.

On. Taniec męczy, to prawda, ale za pomocą niego nie jeden już wygodną pozycyję w świecie sobie wytańcował.

* *Najnowsze karnawałowe tańce.*

„*Fora ze dwora*". Oberek ułożony przez dyrektora pewnej instytucyi.

„*A do budy ha!*" Mazur ofiarowany krytykowi X.

„*Co ukradł, to znalazł*". Polonez odtańczony przez dwóch kantorowiczów, uczęszczających na wszystkie bale maskowe w Dolinie Szwajcarskiej.

„*Huzia go!*" Walc wydany wspólnym nakładem dwóch redaktorów.

„*Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr*". Kadryl, dedykowany najpiękniejszym i najhardziejszym warszawskim balerinom.

* *O tańcach i zabawach.*

Albo owo wesele, kiedy się po kąciech
Tłuczecie, wyskakując by szkapy w chomą-
[ciech,

Nazajutrz chłop narzeka, co go bolą boki,
Namierzły mu podobno onegdajsze skoki.
Bo jako pan ma być zdrów, a w nim piwo
[kisa
I od tegoć więc drży łeb i czupryna łysa.
Nogi, oczy i ręce i brzuch chłopu puchnie,
A z gęby gdzie zaleci, by z wychodu cuchnie.
Goleni sobie potłukł, więc łopianu szuka,
Druga też jako wierzba, na wiosnę się puka.
Bo jako się nie pukać, ano pełno zawżdy,
Jako inna bestia, gdy się ożre każdy.
Już zapomni i Boga, już nie zna i ludzi,
Bo na poły by zdechły, by go nie obudzi.
Niźli tam w owym huku, gdzie wrzeszczą
[wszyscy,
A drudzy marnie wyją, jako w lesie wilcy.
A kozi róg za uchem jako świnia wrzeszczy,
W bęben tłuką by w pudło, aż więc we łbie
[trzeszczy.
Stół uleją i ławy siedzą jako w łaźni,
A sami poszaleją jako inni błaźni.
Więc kręglów nastawiają w koło podle ściany,
Dybie, jako kot na mysz, z gałką chłop pijany.
Puknie w ścianę, a drudzy, wygrał, wygrał,
[krzyczą,
A drudzy, płacąc piwo, jako krowy ryczą.
A więc to krotochwila, a więc to biesiada,
Oszaleje więc z takiej głowa bardzo rada.

M. Rej (p. t. I, str. 12).

Targ.

* *Na targu.*

— Ależ te ryby są zbyt drobne!

— Jak to, a więc za dwa złote chciałbyś pan może wieloryba? Patrzajcie go, jeżeli pan taki wybredny, to jedź pan sobie za Ocean Północny!

Tchórz.

* *Tchórz na wyborach.*

Po owej porażce zwierząt,
Wszczął się w ich armji nierząd;
Zwołana wojenna rada;
Z rady zwada:
Każdy każdemu się żali,
Każdy przed każdym się chwali,
I każdy winę na każdego wali,
Tchórzowi tylko wszyscy pokój dali.

Obywatel tchórz w rządzie nie zasiadał,
Ani wojskowo nie służył,
Więc w politycznem życiu się nie zużył.
Ufny w niepokalaną swą przeszłość tak gadał:

„Obywatele! Czas jest przystąpić do kwe-
[styi:
Czemu przypiszem klęski tej kampanji?
Czy, że na wodza brak nam zdolnej bestji?
Nie! Ale my ulegli przesądów tyranji!
Grzesznym przodków obyczajem,
Nie tym buławę oddajem,
Których zasługa i talent wyniosą;
Ale tylko mamy w cenie:
Ci drapieżne urodzenie,
Tamci rogate znaczenie,
A owi socyjalne tłuste położenie.
Otóż dowódcy nasi, przypatrzcie się, kto są?
Lew prezes, istny pańskich ideał nałogów;
Radca żubr, już dziad, ledwie goni resztą ro-
[gów;
Niedźwiedź mruk, niech no stanie przed woj-
[skiem, co powie?
Z lamparta byłoby coś, ale mu pstro w gło-
[wie;
Że pułkownik wilk sławny, toć tylko z ra-
[bunków
I z procesu, co zrobił owemu jagniątku;
A o kwatermistrzu lisie
Lepiej przemilczeć zda mi się,
Niźli zazierać do jego rachunków:
Sam się nie tai, ze skory do wziątku.
Pominiemy odyńca; pan ten tylko pragnie
Skarbić żołędzie i spoczywać w bagnie,
Przywyklejszy doń niż do marszowego kurzu.
Co się zaś tyczy osła, ten był i jest błazen".
Gdy tchórz tak gadał, rada, wrąc entuzyjaz
[mem,
Gotowa za krasomówstwo
Dać mu naczelne dowództwo,
Odezwała się nagle w jeden głos: „Żyj tchó-
[rzu!"
On, stropion krzykiem tym wśród perory,
Zmięszał się, owszem dał czuć najwyraźniej,

Że był w gwałtownej bojaźni.
Dopiero rozruch. „Precz z nim! pfe, tchórz, [a do nory!"
Szczęściem tuż była. Wśród sarkań i śmiechu
Wpadł w nią i rył bez oddechu.
Aż gdy na sążeń czuł się pod podwórzem,
Rzekł do siebie z ironią czystego sumienia:
„Ot proszę, co też to jest przesąd urodzenia!
Obranoby mnie wodzem, gdybym nie był [tchórzem".

A. Mickiewicz (p. t. I, str. 19).

* Pewien bojaźliwy młodzieniec tańcząc na balu z piękną damą, udepnął ją przypadkiem w nogę. Chcąc wytłómaczyć swoją niezgrabność, powiedział:

— Pani masz tak małą, prawie sarnią nóżkę, że widzieć ją trudno.

— Nie mówmy o tem – odrzekła dowcipnie pani udepnięcie tchórza wcale nie boli.

* Akt 3. Scena 4.

Rejent. Papkin.

Papkin (usuwając się trwożliwie).

Wolnoż wstąpić.

Rejent.

Bardzo proszę.

Papkin (z najniższym ukłonem i nieśmiało).

Pana domu i rejenta
Widzieć w godnej tej osobie,
Chluba wielka, niepojęta,
Spada na mnie w tejże dobie

Rejent (pokornie).

Tak jest— sługa uniżony,
Wolnoż mi się w odwet spytać,
Kogom zyskał honor witać?

Papkin (n. str.)

Hm! pokorna coś szlachciurka
Z każdem słowem daje nurka,
Niepotrzebne miałem względy
(śmielej) Jestem Papkin.

(Rejent wskazuje z ukłonem krzesło na środku stojące—Papkin przypatruje się z uwagą Rejentowi, który jak zawsze z założonemi na piersiach rękami nieporuszenie na miejscu stoi — Papkin mówi dalej na stronie).

Jak uważam
Skończę wszystko bez pomocy
(głośno, wyciągając się na krześle)
Jestem Papkin lew północy,
Rotmistrz sławny i kawaler.
(okazując gestem wstęgi orderowe)
Tak, siak, tędy i owędy
Mądry w radzie, dzielny w boju
Dusza wojny, wróg pokoju, —
Znają szwedy, muzułmany
Sasy, włochy i hiszpany,
Artemizy ostrze sławne,
I niem władać ramię wprawne. —
Jednem słowem, krótko mówiąc,
Kula ziemska zna Papkina
Teraz, bratku, daj mi wina.

Rejent (po krótkiem wahaniu n. str.)

Nemo sapiens, nisi patiens.

(dostaje butelkę z pod stołu kilimkiem przykrytego, patrzy w nią do światła – nalewa lampeczkę i podaje Papkinowi, który tymczasem mówi)

Papkin (n. str.)

O! brat szlachcic tchórzem podszyt —
Po zleceniu od cześnika,
Może sobie udrę łyka (nakrywa głowę)
(pije) Cienkusz (pije) deresz! (pije).

Rejent (n. str.)

Nadto śmiało.

Papkin.

Istna lura, panie bracie,
Coś lepszego tu nie macie?

Rejent.

Wybacz waszmość, lecz nie stało.

Papkin.

Otóż to jest szlachta nasza!
(ze wzgardą) Siedzi na wsi, sieje, wieje
Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,
A dać wina to nie staje.

(idzie do stolika, nalewa, Rejent nieporuszony prowadzi go oczyma).

Albo jeśli przyjdzie flasza,
Samą maścią już przestrasza,

Potem prosi: jeśli łaska!
Nie proś, nie nudź breczkosieju
A lepszego daj do djaska!

Rejent.

Ależ mości dobrodzieju...

Papkin (pijąc).

Mętne, kwaśne, nad pojęcie —
Istna lura, mój Rejencie!

Rejent (n. str.)

Cierpliwości wiele trzeba,
Niech się dzieje wola nieba.

Papkin.

Zwiedź piwnice wszystkie moje
Gdzie z pół świata mam napoje,
Gdzie sto beczek stoi rzędem;
Jeśli znajdziesz co takiego,
Dam ci bratku, konia z rzędem.

Rejent (z ukłonem).

Pozwól spytać, panie drogi,
Gdyż nieznana mi przyczyna,
Co w nikczemne moje progi
Marsowego wiedzie syna?

Papkin (rozpierając się na krześle przy stoliku).

Co? chcesz wiedzieć?

Rejent.

Proszę o to.

Papkin.

Więc staję tu, wiedz niecnoto,
Z strony jaśnie wielmożnego
Cześnika Raptusiewicza,
Co go ranka dzisiejszego
Twych służalców sprośna dzicza,
Godna jednak pryncypała,
W jego zamku napaść śmiała.

Rejent.

Mówcie waszmość trochę ciszej,
Jego sługa dobrze słyszy.

Papkin.

Mówię zawsze podług woli.

Rejent.

Ależ bo mnie głowa boli.

Papkin (jeszcze głośniej).

Że tam komu w uszach strzyka,
Albo że tam czyj łeb chory,
Przez to nigdy w pieśń słowika
Nie odmienią głos stentory.

Rejent (słodko).

Ależ bo ja mam i ludzi,
Każę oknem cię wyrzucić.

(Papkin w miarę słów Rejenta wstaje zwolna, zdejmując kapelusz)

A tam dobry kawał z góry.

Papkin.

O, nie trzeba.

Rejent.

Jest tam który?
Hola!

Papkin.

Niech się pan nie trudzi.

Rejent.

Pan jak piórko ztąd wyjedzie.
(do służących) Czekać w czterech tam za [drzwiami!

Papkin.

Ale na cóż, mój sąsiedzie,
Tej parady między nami?

Rejent.

Teraz słucham waszmość pana (sadzając go prawie gwałtem)
Bardzo proszę, — bardzo proszę —
(siada blisko i naprzeciwko).
Jakaż czynność jest mu dana?

Papkin.

Jesteś nadto trochę żywy;
Nie wiedziałem, Bóg mi świadkiem,
Że tak bardzo masz słuch tkliwy —
Przestrzeż, proszę, gdy przypadkiem
Jakie słówko głośniej powiem.

Rejent.

Czy się prędko rzeczy dowiem?

Papkin (bardzo cicho).

Zaraz — cześnik bardzo prosi...

Rejent.

Hę!...

Papkin.

Czy głośniej?

(na znak potakujący Rejenta mówi dalej).

Cześnik prosi...

To jest... raczej, cześnik wnosi,
Żeby skończyć w jednej chwili
Kontrowersyją co zrobili...

(nie mogąc uniknąć wzroku rejenta mięsza się coraz bardziej).

Dobrze mówię... co zrobili
Kontrowersją... jak rzecz znana...
Że tak... to jest... że... sprzy... sprzyja...

(odwracając się na stronę)

A to jakiś wzrok szatana,
Cały język w trąbkę zwija.

Rejent.

Ja nie jestem pojąć w stanie,
Waszmość prawisz zbyt zawiło.

Papkin (wstając).

Bo to... bo te wybacz panie,
Wino trochę mocne było.
I nie jestem zbyt wymowny,
(ciszej) Czy tych czterech jeszcze stoi?

Rejent.

Jednem słowem mój szanowny,
Dobry sąsiad czego żąda?

Papkin.

Lecz się poseł trochę...

Rejent (kończąc).

Boi.

Bądź serdeńko bez obawy.

Papkin.

Więc cześnika prośba niesie
Abyś waszmość *circa quartum*
U trzech kopców w czarnym lesie
Stanął z szablą do rozprawy.

Rejent (ironicznie).

Stary cześnik jeszcze żwawy!

Papkin (uśmiechając się).

Ba, to wszyscy wiedzą przecie
Że niemylne jego ciosy —
Wszakże w całym już powiecie
Pokarbował szlachcie nosy,
Tylko jeszcze...

Rejent.

Ciszej, proszę.

Papkin (oglądając się na drzwi).

Prawda, ciszej. Cicho zatem
Jego grzeczną prośbę wnoszę,
I dołączam moją własną
O odpowiedź krótką, jasną.

Rejent.

Tę listownie mu udzielę,
Ale jakże to się zgadza,
Wszakże jutro ma wesele?

Papkin (śmielej).

Tamto temu nie przeszkadza
Rano pierścień — w pół dnia szabla
Wieczór kielich — w nocy...

Rejent (słodko).

Ciszej.

Papkin.

Prawda, cicho (n. str.) sprawa dyjabla,
Ani mrumru. — Czy mnie licho
Tu przyniosło w takie szpony!

Rejent (ironicznie).

Wielki afekt przyszłej żony.

Papkin.

Fiu! fiu! fiu! Tak że z miłości
Trzykroć na dzień wpada w mdłości,
Cześnik także rozogniony,
Jak gromnica ku niej pała —
Będzie para doskonała.
A że wierna w każdej sprawie
Ręce, nogi w zakład stawię.

„Zemsta" *Aleks. hr. Fredro* (p. T. I. str. 67).

Teatr.

* Małego wzrostu młodzieniec, stojący w teatrze za wysokim mężczyzną, napróżno wspinał się na palce, aby mógł coś zobaczyć; nakoniec rozgniewany rzekł do swojego przyjaciela, obok stojącego: „Szkoda, że ten pan idąc do teatru nie zgubił głowy na ulicy!" „W istocie—odrzekł wysoki jegomość szko-

da, możebyś ją pan znalazł i przez to podwójnie zyskał, bo nie byłbyś przymuszony tak często wspinać się na palce i znalazłbyś to, czego ci brakuje".

* Artystka, będąca zarazem dyrektorką prowincyjonalnego teatru, grała pewnego razu, nie pamiętam w jakiej tragedyi, prześladowaną kochankę, na którą namówiony rozbójnik czekał przed własnym jej pałacem, aby ją zamordować. Owego strasznego rozbójnika przedstawiał poczynający artysta, starający się o łaskę i względy swojej dyrektorki; nieszczęściem prześladowana kochanka namiętnie zażywała tabakę i gdy wyszła z pałacu, ujrzawszy mordercę, patetycznie rzekła: „Na co tu czekasz?"—w tej chwili głośno kichnęła; pokorny rozbójnik zamiast odpowiedzieć „na ciebie", rzekł z uszanowaniem: „na zdrowie!" „Nie na zdrowie, ale na życie moje czyhasz, nikczemny morderco!" odpowiedziała przytomna artystka, a publiczność obsypała ją za to rzęsistemi oklaskami.

* Kiedy razu pewnego w Małym teatrzyku wszczął się alarm na paradyzie i na parterze, wyszedł na scenę dyrektor, wołając: „Proszę o spokój jako na niebie, tak i na ziemi".

* Wymawiając imię panny Gaussin, pięknej, dobrej, ludzkiej i bezinteresownej artystki z komedyi francuskiej, mimowoli przychodzi na myśl następujące dowcipne słówko jej przypisywane:

„Mnie to tak mało kosztuje, a im sprawia tak wielką przyjemność!..."

I z tego punktu widzenia wychodząc, cóż dziwnego, że była bezinteresowną!

Słynny Bouret, zanim przyszedł do majątku, wydał kwit *in blanco* tej miłej artystce.—Zdobywszy wkrótce kolosalną fortunę, przypomina sobie swą nieopatrzną ofiarę, z której mogła straszliwie skorzystać jego ukochana i pełen zakłopotania żąda zwrotu swojego kwitu.

Gaussin dostaje papier z szuflady i doręcza kochankowi— wypełniony w taki sposób:

„Zobowiązuje się... kochać wiecznie Gaussin..."

Bouret wszakże nie dotrzymał zobowiązania i wykwitował wspaniałomyślną kochankę, posyłając jej w darze ezarę złotą pełną luidorów.

* Ludwik I-szy, król bawarski, cenił bardzo wysoko sztukę dramatyczną, a niemniej i jej wykonawców. Gdy sławna pani Cramer obchodziła swój pięćdziesięcioletni jubileusz, koledzy urządzili na jej cześć festyn, o czem uwiadomiony król zaszedł ich znienacka, chcąc wziąć udział w zabawie artystów.

Pani Cramer, plecami odwrócona, nie mogła widzieć wchodzącego króla, więc kiedy ten podszedłszy na palcach zakrył jej oczy rękami i zapytał swym głosem charakterystycznie zająkliwym:

— Któż to jest?

— Któżby, jak nie ty, panie L, który tak zachwycająco, do złudzenia naśladujesz króla Ludwika — odrzekła rozśmieszona, posądzając o ten figiel kolegę.

— Ach! — zawołał król — on umie mnie przedrzeźniać! no, no, panie L., proszę cię, pozwól, niech i ja to usłyszę.

L. wymawiał się, król nalegał, trzeba było w końcu uledz królewskiej woli — i L. zasiadłszy z powagą, rozpoczął:

— Proszę mi tu przywołać radcę tajnego Riedla!

— Brawo! brawo! wyśmienicie mnie udajesz!

— Co sobie życzy Wasza Królewska Mość? — odpowiada aktor nosowym głosem radcy.

— Oho! więc i Riedla umiesz naśladować równie dobrze, jak mnie — zauważył, śmiejąc się, król.

Komik, nie zmieniając postawy, ciągnął dalej:

— Słuchaj, Riedl, poszlij jutro z mojej osobistej szkatuły 200 florenów temu niezró-

wnanemu L., który tak świetnie umie naśladować różne dostojne osobistości.

— Dosyć! dosyć! filucie jeden,— niemniej wynagrodzę twą zręczność i dostaniesz tę sumę na dzisiejsze nadzwyczajne przedstawienie.

* Trochę głupkowaty dyrektor teatrzyku zapytał przejeżdżającego muzyka, jak mu się podoba teatralna orkiestra. „Wcale nieźle grają—odrzekł muzyk - ale za wysoko, o! za wysoko!“ Nazajutrz dyrektor kazał poobcinać nogi u wszystkich krzeseł w orkiestrze.

Telefon.

* *Projekt do komedyi przyszłości w scenach luźnych.*

OSOBY:

Dziennikarz	**Oberchap**, wielki negocyjant
Pan naczelnik	**Hendelputz**, faktor
Pan referent	**Urzędnik municypalny**
Woźny	**Kancelista dyżurny**
Pani sędzina	**Kasia**, kucharka
Filomena, jej córka	**Gargatella**, śpiewaczka.
Maciej, smarowóz drogi żelaznej amerykańskiej	**Kausygub**, jurysta
Hoptantz, małpiarz	**Artykulski**, dependent.

Kanceliści, kantorzyści, lud, panny, wdowy.

Dzieje się w roku 1888.

Scena I.

Obszerna izba kancelaryjna, półki, na nich papiery, regestra etc., kilkanaście stołków do pisania, ustawionych w ten sposób, że każdy przy nich siedzący, dotyka uchem wprawionej w ścianę lejki, jakie zwykle bywają przy trąbkach akustycznych. Izba jest próżna, przy jednym tylko stole drzemie kancelista, przytknąwszy ucho do lejki.

Głos (w lejce). Dyżorny! A ja tu.

Kancelista (zrywa się, przeciera oczy). Gdzie JW. prezesie, w Hamburgu.

Głos. Gdzie zaś w Hamburgu, to było wczoraj, dziś już przeleciałem balonem do New-Yorku, chciało mi się zobaczyć Modrzejewską w *Ofelii*... Ale co tam tobie do tego, gdzie jestem, abym był i was napędzał do roboty... A czy poschodzili się już wszyscy?

Kancelista. Nie ma nikogo...

Głos. A nygusy, przedstawić mi wszystkich do kary za spóźnienie... już pół do dziesiątej, a ich nie ma.

Kancelista. JW. Naczelniku, u nas nie ma jeszcze dziewiątej, dopiero trzy kwadranse na ósmą, to chyba według tamtego południka.

Głos. Milcz waspan, nie jesteś astronomem tylko kancelistą, proszę nie rezonować i do kary zapisać, a dasz mi znać, skoro przyjdzie pan referent, a teraz rób swoje, każdy, który nadejdzie, niech się zamelduje.

Kancelista (pisząc). A to bieda z temi telefonami, dawniej, mosanie, kiedy p. naczelnik pójdzie, bywało, na spacer do ogrodu, to można było sobie zrobić rekreacyjkę, a teraz, proszę kogo, siedzi sobie w New-Yorku, zachwyca się Modrzejewską i wie wszystko... (zaczynają się schodzić urzędnicy). Kazał p. naczelnik meldować się każdemu, robi nam zaszczyt przebywaniem w New Yorku.

1-szy kancelista (zbliżając się do lejki z ukłonem). Mam honor meldować się JW. naczelnikowi, Łokcioszerski.

Głos (surowo). Do kary za spóźnienie!

Kancelista kłania się, inni za nim meldują się do lejki: „Gumkiewicz, Ołówkowski, Bibulski etc“, odbierają tęż samą odpowiedź, a po oddaniu niskich ukłonów, zasiadają przy stolikach. Wchodzi p. Referent.

Kancelista (krzyczy w lejkę). Mam honor oznajmić JW. naczelnikowi o przybyciu wielmożnego Referenta.

Głos (z lejki). Panie referencie, nie chwali się waćpana, taka negligencyja, kanceliści późno przychodzą, referatów wczoraj było nie wiele; proszę się pilnować, bo można dostać dymisyję... A co tam dziś do referatu?... słucham.

Referent (czyta z papierów w lejkę — cisza ogólna).

Wszyscy (wstając nagle z pokłonami). Sto lat zdrowia JW. naczelnikowi.

Referent. Co to za hałas, panowie? Co to jest?

Wszyscy. JW. naczelnik raczył kichnąć.

Referent. A! a! a! (do lejki). Spełnienia życzeń JW. Naczelnikowi.

Głos z lejki. Nózie całuję wielmożnych panów dobrodziejów.

Wszyscy (zdziwieni). No, proszę, to nie JW. naczelnik, ale tylko woźny Jan... Oto nie poznaliśmy kichnięcia zwierzchnika.

Referent (zgorszony). A ty trutniu, jak śmiesz oddawać się kichaniu w obecności JW. naczelnika?

Głos. JW. naczelnik raczywszy wyjść, polecił mi, abym słuchał referatu wielmożnego pana, a następnie zameldował, jak też długo trwać będzie... a ja tu sobie tymczasem, żeby mi się nie dłużyło, przeczyszczam tę lufę do gadania i tyle się tam nagromadziło pyłu, że mnie w nosie zakręciło, za co najuniżeniej przepraszam... wszakże raczy wielmożny pan gadać dalej, bo ja zatrzymałem zegarek dopóki pan nie zacznie.

Referent (rusza ramionami n. s.) Tego jeszcze brakowało, ażeby woźny przyjmował referaty... piękny mi wynalazek ten telefon! ha, cóż począć dla chleba powszedniego!... (głośno). No, idę dalej, słuchaj tam (czyta w lejkę).

Scena II.

Obszerny salon, nadedrzwiami napis: „Zakład telefonowy, kantor komisowo-spedycyjny, stręczenia przemysłowo-handlowe, finansowe, prawne, artystyczne i t. p. Bióro małżeństw, rozwodów, seperacyi etc. etc.“ Po środku stoły duże z regestrami i księgami, przy których siedzą urzędnicy, inni urzędnicy z interesantami stoją przy lejkach do telefonów. W grupie przy jednej lejce odkorkowują butelkę szampańskiego, wznosząc kieliszki do góry.

Vivat! niech żyją państwo młodzi! Daj Boże wszelkich pomyślności, zdrowia i pięknych dzieci!

Pierwszy gość. Dalibóg nie głupia rzecz ten telefon, dziewka nie młoda, zezem patrzy, i złapała sobie, jak powiadają, pierwszego bankiera w San-Francisco.

Drugi gość. Ba! ale zawsze ona ma tam jakiś grosz, ci zaś bankierzy amerykańscy, szeroko o nich Darwin pisał.

Grupa przy drugiej lejce. Wiwat, niech żyją państwo młodzi, winszujemy! winszujemy!

Wchodzą dziewczęta i wdowy, dygając, zbliżają się do urzędnika, siedzącego przy stole.

Wdowa pierwsza (płaczliwie). Łaskawy panie agencie, miejże przynajmniej wzgląd na moje wdowie sieroctwo.

Urzędnik. Trudno, kiedy pani jesteś nazbyt wymagającą...

Wdowa. Przecie mam do tego prawo, nie żyłam z pierwszym nieboszczykiem nawet lat 20, bo tylko dziewiętnaście i miesięcy 8, a drugiemu nieborakowi zmarło się na siódmym roku najszczęśliwszego pożycia. Mamże tak marnieć we wdowieństwie? Proszę łaski pana, a ten kantorzysta z New-Yorku, o którym pan dobrodziej mówiłeś?...

Urzędnik. Wymaga wszystkich zębów.

Wdowa (urażona). No, proszę, kantorzysta i jeszcze kaprysi, że tam siedemnastu zębów brak, wielka sztuka!

Urzędnik. Mam ci wprawdzie dentystę z Filadelfji, czlek bardzo sędziwy, on pani wstawi zęby, a po nowem, da Bóg, owdowieniu, będziesz mogła pani zaślubić kantorzystę.

Wdowa (wzdycha). Cóż począć? biedna ja niezaradna wdowa... niech już będzie dentysta...

Urzędnik (do podwładnych). Zawiadomić dentystę z Filadelfji, niech się gotuje do ślubu.

Dziewczyna pierwsza (dygając przed urzędnikiem). A cóż, proszę pana, ten mój fabrykant szuwaksu z Berlina? już zgadzam się, bo ten stan panieński dokuczliwy...

Urzędnik. Ale który z nich, bo znamy wszystkich trzydziestu trzech.

Dziewczyna. Spuszczam się na gust szanownego pana, byle raz z tem panieństwem zakończyć.

Urzędnik. Zatem, proszę przyjść jutro, nastawię telefon na Berlin.

Sędzina, jedenaście piór przy kapeluszu, wielki szal turecki, wlekący się po ziemi, wsuwa się pompatycznie, dygając z godnością urzędnikowi — za nią Filomena, otyła duża panna ze spuszczonemi oczyma.

Sędzina (szepcze urzędnikowi na ucho). A co, proszę pana, względem tego francuza dla mojej Filki? (Filomena spuszcza oczy — do Filomeny cicho). *Rougissez un peu mon enfant.*

Urzędnik. Właśnie ja miałem honor pani dobrodziejce zameldować: francuz wymaga o dwa centymetry mniejszej objętości.

Sędzina (szepcząc). Właśnie, dobrodzieju, zajęłam się tem i oto nowy gorset, chciej pan tylko rzucić okiem... *Fila, approche mon enfant* (Filomena spuszczając oczy, zbliża się do urzędnika).

Urzędnik. W rzeczy samej majestatyczna figura.

Sędzina (uradowana). A co, nieprawdaż? Możeby pan agent dobrodziej życzył sobie, nie miałabym nic przeciw temu.

Urzędnik (z ukłonem). Raczy mi wierzyć pani dobrodziejka, iż byłbym najszczęśliwszym, gdybym nie był żonaty... (bierze miarę ze stołu i zbliża się do Filomeny). Pozwoli pani dobrodziejka, że... (Filomena zarumieniona usuwa się).

Sędzina. Nic nie szkodzi, moje dziecko pewna jestem twojego gorsetu... Niech pan bierze miarę... przyznaj pan, trudno być smuklejszą.

Urzędnik (mierząc Filomenę). Tak, w istocie, pani dobrodziejko... ale według życzenia mego klijenta jest jeszcze nadto półtora centymetra.

Sędzina (załamując ręce cicho do Filomeny). A co, nie mówiłam żeby się jeszcze ścisnąć.

Filomena (cicho do sędziny). Ależ, mamo, ja i tak oddychać nie mogę.

Sędzina (ze złością). Pasiesz się temi kluseczyskami i dla nich poświęcasz najświętszą karyjerę (do urzędnika, chcąc mu wsunąć coś w rękę). Niech pan dobrodziej z łaski swojej tę bagatelkę usunie... czyż to warto wspominać... a sam pan przyznaj, że na mężatkę moja Filka wcale dobrze wygląda.

Urzędnik (nie przyjmując datku). Nie przeczę, pani dobrodziejko... nie godzi się nam nadużywać zaufania naszych klijentów i nadwerężać sławę instytucji .. Ale mam zaszczyt przełożyć pani sędzinie dobrodziejce, że amerykanie gustują w podobnej kibici, jaką panna sędzianka posiada i...

Sędzina. Ależ panie, ja chciałam francuza, bo Filka ukończywszy dwie klasy na pensji warszawskiej, mogłaby się z nim rozmówić, a po amerykańsku nie umie.

Urzędnik. Mniejsza z tem, pani dobrodziejko, może się nauczyć, to łatwy język, zresztą amerykanie, jako ludzie czynu, zwykle małomówni... nakoniec język uczuć jest wszędzie jednaki.

Sędzina (pokiwawszy głową — po pewnym namyśle). Zapewne... a cóż tam pan dobrodziej masz stosownego dla mojej Filki? — kupić nie kupić, potargować można, jak mówi przysłowie.

Urzędnik (wertując księgi). Otóż mam właśnie (czyta). „Armand Hoptantz”...

Sędzina. Hoptantz, quel nom aristocratique!

Filomena (cicho z westchnieniem). „Armand”, co za poetyczne imię.

Urzędnik (czyta). „Hoptantz, lat 51, wzrost wysoki, tusza majestatyczna, policzki czerwone, oznaka pożądanego zdrowia i dobrego trawienia...” (mówi): Prawdziwie dobrana para z panną sędzianką, (czyta): „stan...”

Sędzina (prędko). Otóż ciekawa jestem jaki stan?

Urzędnik. Właściciel menażeryi w Filadelfji.

Sędzina (machając rękami, urażona). *Fi*

donc!... cóż to wacpan sobie myślisz, czy ja Filkę dla menażeryi chowałam?

Urzędnik. To jest, właściwie mówiąc, pani dobrodziejko, posiada pepinierę małp, które wychowuje dla mniejszych menażeryi, przemysł bardzo zyskowny...

Sędzina (j. w.) Tem gorzej, żeby jeszcze miał lwy, to moja córka mogłaby zostać lwicą, *c'est à la mode*, ale małpicą żadna z Golatyckich nie była!

Filomena (zamyślona, z westchnieniem). „Armand, Armand"... A ja tak małpki lubię (całując matkę w rękę). Mamo droga, i małpy także Bóg stworzył, a mama, która czytuje „Przegląd Tygodniowy", wie bezwątpienia, co Darwin powiedział, że my wszyscy od małp pochodzimy... (pieszczotliwie): A skoro już będę w pepinierze, taką śliczną małpkę mamie przyślę.

Sędzina (zamyślona). A czy tylko przyślesz, gotowaś zapomnieć.

Filomena. Jak mateczkę kocham, przyślę.

Sędzina (do urzędnika). Proszę pana, świat taki złośliwy, byle tylko dziewczyna trochę dojrzała, zaraz nazywają „starą panną", a moja Filcia ma już dwudziesty pierwszy rok...

Jeden z gości (n. s.) Chyba na jeden bok.

Sędzina. Więc skoro pan uważasz za stosowne, to niech już tam będzie ten małpiarz amerykański, bo z temi dziewczętami nie ma co odkładać... (do Filomeny): Ale pamiętaj, ładną małpkę i to nie wielką. (do urzędnika) Prosiłabym tedy o niezwłoczne załatwienie.

Urzędnik. Natychmiast, pani dobrodziejko. (do podwładnych): Sygnałować do małpiarza z Filadelfii... Poprosić urzędnika stanu cywilnego z księgą.

Sędzina. A, no i księdza...

Urzędnik. Tam u nich tylko ślub cywilny.

Sędzina. Jakto i ksiądz nawet nie pokropi?

Urzędnik. Można to odłożyć, jak się młodzi zejdą, a teraz dla pośpiechu...

Kasia (wbiega dygając). A, proszę łaski wielmożnego agenta, wedle tego smarowoza z Amiryki, co to wielimozny pan obiecali.

Urzędnik. No, a na koszta macie?

Kasia (kładąc pieniądze na stół). Przecie jakościk się zdobyłam, a no, proszę tylko pana o pośpiech, bo jeszcze państwo bez obiadu.

Urzędnik (wydając rozkaz). A zatelefonuj tam razem do Filadelfji o smarowoza dla Kasi. (do Filomeny) Raczy pani stanąć przy telefonie. (do Kasi): A waćpanna zaraz po pani. A macie państwo świadków, niech staną obok.

Sędzina. Jest tu pan podsędek i asesor (przyprowadza dwóch mężczyzn z głębi i stawia przy Filomenie i Kasi).

Kasia. Ja, z przeprosieniem wielmoznego pana, mam tylko stróża i prackę z przeciwka od pani radczyni, ale zostali w bramie na dole.

Urzędnik. To dostatecznie.

Kasia. Zara ich przywiodę (wybiegając).

Filomena (stając przy telefonie, cicho do matki). Czy i przy amerykańskim ślubie trzeba płakać?

Sędzina (cicho). Nie zaszkodzi trochę dla tonu.

Filomena płacze.

Urzędnik (nasłuchując przy telefonie). Już napisane... Mam zaszczyt złożyć państwu młodym moje życzenia.

Świadkowie. Wiwat, niech żyje młoda para!

Filomena (wzdychając). Armand, Armand! Ciekawa też jestem, czy tak pięknie wygląda jak brzmi to poetyczne imię?

Kasia (wbiega ze świadkami). Oto som, wielmozny panie, tylko prosę łaski co rychlej, bo Jagusi farbka zciemnieje, a Wojciech nie zamietli jeszcze podwórka.

Urzędnik. Stawajcie (nasłuchuje do telefonu). Winszuję waćpannie, już po ślubie.

Kasia (zanosząc się od płaczu). Hi! hi! hi!

Świadkowie. Daj Boże w dobry czas, nie płacz Kachna, to już tak każdemu.

Filomena. Mamo, czy można z nim porozmawiać, tymczasem choć przez ten lejek?

Sędzina. A, spodziewam się, z mężem, czemu nie, nawet wypada...

Filomena (zbliża się do telefonu, — wzdycha głośno). Ach! ach! ach!

Głos z telefonu. A czego ty tam sapiesz, jak miech kowalski.

Filomena (przerażona). Ach, to jakiś gbur! (do telefonu). Armandzie!

Głos z telefonu. Co tam pleciesz, Kachna.

Filomena (usuwając się od telefonu). Mamo, on mnie Kachną nazwał (do telefonu). Mam imię Filomena.

Głos z telefonu. Ano niech tam będzie i Kilomena, mnie tam wszyćko jedno... ja prosty smarowóz, nie przebieram.

Filomena (załamując ręce). Smarowóz! *ma man, je suis perdue!*

Sędzina (do urzędnika). Mości panie! co to ma znaczyć, obiecałeś pan małpiarza, a dajesz smarowoza?

Urzędnik. Za pozwoleniem, pani dobrodziejko, to jakieś qui pro quo, które zaraz wyjaśnimy (zbliża się do telefonu, przez który rozmawia — po chwili do sędziny). Tak, niestety pani dobrodziejko, mała pomyłka, w istocie miał pierwszy do ślubu stanąć małpiarz, ale że zapomniał białych rękawiczek, ustąpił miejsca smarowozowi, o czem nas nie uprzedzono a więc...

Sędzina (groźnie). Cóż to sobie waćpan myślisz! żadna Golatycka nie była jeszcze za smarowozem!.. Ja nie chcę tego związku.

Urzędnik. Stało się, już zapóźno... a za pomyłkę najuniżeniej przepraszamy.

Sędzina (j. w.). Co to, mosanie, stało się, kiedy mówię, że nie zezwalam!

Urzędnik. Zresztą do mnie to już nie należy, raczy pani zwrócić się do sekcyi rozwodów, drugie drzwi z sieni na lewo... (kłania się i zwraca do innych interesantów).

Sędzina. No, proszę! co za łotry! smarowóz! smarowóz!

Filomena. Ma chère maman, cóż robić, zawsze to smarowóz nie prosty, ale amerykański, a przebierając, można zostać starą panną.

Sędzina. Nic z tego... Mezaliansu nie zniosę... drugie drzwi z sieni... chodź waćpanna...

Filomena (szlochając, idzie za sędziną). Hi! hi! hi! tyle lat czekałam na ślub i już do rozwodu.

Kasia (przy telefonie do swoich). A to co? on mówi, co się zowie Jarman, a mnie obiecali Maćka.

Jagna. Wszyćko tam jedno, byle chłop, a śpiesz się, bo państwo czekają.

Scena III.

Kauzygub (wchodząc, za nim dependent: do urzędnika). Proszę o telefon obrończy, przybywam do bronienia sprawy w Kalkucie...

Urzędnik. Natychmiast (woła): Telefon obrończy dla pana adwokata nastawić na Kalkutę.

Kauzygub (przy telefonie — wznosząc głos). Prześwietny sądzie!... (deklamuje dalej zapalając się, z gestykulacyją).

Kupka widzów szemrze z zadowoleniem i wydaje znaki admiracyi. „Brawo! brawo! Prześlicznie mówi, jak trafia do przekonania... to niezawodnie najpierwszy z tutejszych rzeczników".

Kauzygub (kończy, ocierając pot z czoła). Uf! Spodziewam się, żeśmy wygrali. Prokurator zapomniał języka w gębie... Uf! zawikłana sprawa! dług przedawniony, dowody ciemne! (Odbiera uściski i powinszowania słuchaczy, zziajany pada na sofę). Sędziowie poszli na ustęp. (do dependenta): Panie Artykulski, posłuchaj waćpan wyroku tak tylko *pro forma,* bowiem o pomyślnym skutku nie wątpię (do Artykulskiego, który nasłuchuje przy telefonie cierpliwie). No, a co tam, wygrana?

Artykulski. Skazany na śmierć przez powieszenie.

Kauzygub (zrywa się na równe nogi). Czyś waść oszalał? z prostego długu w sprawie cywilnej. Że też na tych dependentów spuścić się nie można, nie umieją nawet wyroku wysłuchać (odtrąca dependenta, sam zbliża się do telefonu i słucha). Tam do dyjabla! nie w tej sprawie stawałem.

Goście. Mniejsza o to, ale zawsze można powinszować znakomitej obrony.

Scena IV.

Oberchap i *Hendelputz* wchodzą, rozmawiając.

Hendelputz. Radzę wielmożnemu bankierowi kupić tego wełna, bo na Świętojańskim jarmarku można spodziewać się podwyższenia ceny... a wełna czysta dobrze wymyta.

Oberchap. No, no, sprobuję (do urzędnika) proszę o telefon handlowy.

Urzędnik (podprowadzając go z ukłonami do telefonu). Służę panu bankierowi.

Hendelputz (po pewnym czasie rozmowy przez telefon). Powinszować panu bankierowi dobrego interesu.

Oberchap. No, a co do transportu (zbliża się do telefonu). A ile trzeba będzie worów?

Głos z telefonu. Jeden dostatecznie.

Oberchap. Jakim sposobem na taką ilość wełny?

Głos z telefonu. Przecie to ołów.

Oberchap (ze złością). Jakto ołów? Przecie kupowałem wełnę... Hendelputz, co to znaczy?

Hendelputz. Wełny już nie było, ale ołów tanio sprzedawali, więc...

Oberchap. Cóż mi po ołowiu, kiedy już nie ma wojny.

Hendelputz. No, to prędko będzie.

Oberchap (do telefonu). Zrzucam się z kupna.

Głos z telefonu. Umowa rejentalna zawarta, chyba, że pan koszta zapłacisz.

Oberchap (zagniewany). A niech djabli porwą te telefony (wychodzi, trzaska drzwiami).

Hendelputz (idąc za nim). Genialny wynalazek ten telefon!

Scena V.

Wchodzą goście płci obojej.

Goście (do urzędnika). Prosimy o telefon dziennikarski (mówiąc między sobą): To prawdziwie wynalazek na wysokości postępu, bo to wzroku nie psując nad drukiem, nie wędząc się w dymie cukierni, nie trując się figową kawą, w jednej chwili wiesz, co się dzieje na obu półkulach.

Urzędnik. Służę panom (wziąwszy od nich pieniądze, ustawia przy telefonie).

Jeden z gości. Jaś ma najlepszy słuch, niech on stanie i nam opowiada.

Jaś (stając przy telefonie). Baczność! zaczynam: „we Frankfurcie padał deszcz ulewny przez godzin dwie, piorun uderzył w starą szopę za miastem...“

Jeden z gości. Uważaj, proszę, to aluzja do jedności Niemiec... piorun! obserwujże.

Jaś (j. w.). „Buenos-Ayres — pies burmistrza, pudel biały z czarną łatką na brzuchu, ślepy na jedno oko, zginął — znalazcy za odprowadzenie 10 dolarów nagrody”.

Jeden ze słuchaczy (do towarzysza). Czy nie siąśćby na balon i nie pojechać, ja mam szczęście do psów... (wysuwa się z tłumu).

Jaś (j. w.). „Karlsbad — wczoraj wóz rozwożący piwo, przejechał jakąś kobietę, cudzoziemkę, dotąd nieznaną z nazwiska, która wieziona do szpitala życie w drodze zakończyła; jej rysopis następujący: trąd na twarzy, brak czterech zębów górnych na przodzie, garb z tyłu, ubrana była w suknię zieloną w żółte kwiatki, kapelusz pąsowy z czterema strusiemi piórami i szal werdedrago, ktoby mógł udzielić wiado...“

Jeden ze słuchaczów (radośnie). No, przecie to moja żo... (poprawiając się, załamuje ręce z rozpaczą). O! ja nieszczęśliwy, to moja najdroższa żona.

Drugi słuchacz. Ależ nie desperuj przed czasem panie Grzegorzu, zkądże pewność, że to twoja żona?

Grzegorz. Nie ma wątpliwości, garb, brak czterech zębów, strusie pióra, szal werdedra go... ach! ach! biedny ja sierota!

Trzeci słuchacz (n. s.) Oto ten Grzegórz szczęśliwy, że na moją babę wóz się jaki nie znajdzie!

Scena VI.

Poprzedzający i dziennikarz dźwiga pęki gazet pod każdą pachą, z kieszeni wyglądają mu także gazety.

Dziennikarz (podniesionym głosem). Panowie, najświeższe nowiny telegraficzne!

Głosy. A nie pójdziesz!... A to się wyrwał z telegrafem! kto o takich starych dziejach gada.

Dziennikarz. Ależ przeczytajcie panowie nie sądźcie tak na oślep.

Głosy. Ależ ktoż to dziś czyta, chyba jacyś starzy zaślepieni ludzie, my już czytać zapomnieliśmy, do czego psuć wzrok, kiedy jest telefon.

Dziennikarz. Chciejcie jednak posłuchać, co tu napisałem (czyta): „Frankfurt"-..

Głos. Piorun w szopę uderzył.

Dziennikarz. A pal się dyjabli z telefonami—ale tego pewnie nie wiecie (czyta) „Karlsbad"...

Głos (przerywa). Panią Grzegorzową wóz przejechał.

Dziennikarz. Tam do kata — a teraz o zakład, że tego wam nikt nie powie (czyta): „Buenos-Ayres".

Głos (j. w.). Pudel burmistrza zginął, a nawet Maciej poleciał balonem, ażeby zdobyć nagrodę za odszukanie.

Dziennikarz (rwie włosy). O przeklęty telefonie, zabiłeś szlachetne dziennikarstwo!... (rwie gazety i depcze nogami). Trzeba się wziąć do czego innego... (do urzędnika): proszę o telefon wykładowy do Pekinu, powiem im prelekcyję „o upadku dziennikarstwa"... (staje przy telefonie, zaczyna odczyt).

Scena VII.

Poprzedzający i Gargatella, wbiega zadyszana w stroju Normy, w jednej ręce zegarek, w drugiej zwitek nut.

Gargatella. Panie, na miłość Boga, telefon artystyczny na Chicago, zaczynam zaraz duet z Normy, panie prędzej, bo spóźnię wyjście.

Urzędnik (stawia ją przy telefonie). Służę pani i życzę powodzenia.

Gargatella śpiewa w telefon, potem kłania się nizko po kilkakroć i od ust pocałowania ręką posyła.

Jan (przy drugim telefonie). W Chicago powiódł się pani Gargatelli duet z drugiego aktu „Łucyi z Lamermooru", rzucano kwiaty.

Gargatella. Ale, co pan mówisz, przecie śpiewałam Normę...

Jan. A tam śpiewano Łucyję... to nic nie szkodzi, zawsze było powodzenie.

Wszyscy. Niech żyje telefon... wielki wynalazek!

Dziennikarz (który skończył odczyt). Zguba dziennikarstwa!... cudza bieda, ludziom śmiech.

* *Antitelefonista.*

— Wiesz co? telefony podobno staniały, urządź sobie tę wygodę w mieszkaniu.

— Ani myślę!

— Z powodu?

— Z powodu, że wierzyciele dzwoniliby mi nad uchem przez dwadzieścia cztery godzin dziennie.

Temistokles.

* Temistokles miał synka, wielkiego pieszczocha matki.

— Ten dzieciak, którego tu widzicie — rzekł raz, śmiejąc się, do swoich przyjaciół— jest samowładnym panem Grecyi... On rządzi swoją matką, jego matka rządzi mną, ja rządzę ateńczykami, a ateńczycy rządzą grekami!

Tenor.

* Od lat już kilku, prawie po każdem wystąpieniu zjawiającego się u nas zwykle na wiosnę tenora, gazety donoszą, „że artysta tym razem nie był przy głosie".

Zabawni są ci podróżujący artyści, którzy nie będąc nigdy przy głosie, żądają, abyśmy zawsze byli przy pieniądzach.

Teoryja.

* *Kwintesencyja teoryi pocałunkowej.*

Z głębokiej swojej jaźni wysnuwa filozof w kwestyi pocałunku wcale ciekawe wywody.

Weźmy jego rolę na siebie...

Żadna filozofia nie może obejść się bez podziału.

Filozofja pocałunku obejmuje dwa działy.

Jeden zajmuje się *abstraktem*, drugi *konkretem* tego pojęcia.

Pierwszą nazwiemy *teoryją* pocałunku, drugi jego *empiryką*...

Empiryka określa przy pomocy fizyki pocałunek, jako atrakcyję dwu ciał.

Sądzimy jednak, że niesłusznie...

Atrakcyja, czyli *przyciąganie* jest przecież tylko prologiem pocałunku.

Doświadczenie wykazuje zresztą, że pocałunek nie przychodzi czasem mimo *przyciągania* do skutku.

Że zdarza się on natomiast niejednokrotnie przy objawach *odpychania*...

Dziwić się należy, dlaczego żaden dotąd fizyk nie ujął prawideł grawitacyi w formułkę — *stycznych* (tangentów).

Teoretycznie zastanawiając się, spostrzegamy w pocałunku progresyję pewnej idei w kierunku drugiej...

Tu już przychodzi matematyka na pomoc...

Obie te idee bowiem pozostają do siebie w pewnym *stosunku*...

Do rozwiązania tego stosunku nie potrzeba... *logarytmów*.

Niekiedy nawet nie przydałyby się one...

Często bowiem stosunek nie zostaje *rozwiązanym*, ale przeciwnie związanym...

Mianowicie — stułą...

Zauważyć jeszcze należy, że aby progresyja podobna mogła przyjść do skutku pomiędzy dwoma ideami, nie mogą one stać do siebie w stosunku — *odwrotnym*...

Mimo to odwrót tych idei jest możebny...

Czasem konieczny...

Np. przy zjawieniu się niespodziewanego świadka...

—o—

Poruszywszy matematykę, musimy bliżej wyjaśnić jej znaczenie w teoryi pocałunku.

Podstawę matematyki pocałunkowej stanowi *dodawanie*...

Przy wyższych atoli działaniach nie można się obejść bez *tabliczki mnożenia*...

Potęgowanie wchodzi tu także w zakres...

Szkoda tylko, że każda z operacyi kończy się *odejmowaniem*...

—o—

Ze względów muzykalnych przedstawia się pocałunek dość interesująco.

— Nie można go wykonać *solo*.

Ani też w chórze...

Pocałunek kochanków jest zawsze tylko *duetem*.

Nieboszczyk R. Wagner wprowadził *muzykę przyszłości*.

Cechują tę szkołę hałaśliwe bębny i rozdzierające uszy trąbienie...

Pocałunek ignoruje *bębnów*...

Nie lubi, aby go *roztrąbiono*...

A jednak jest prawdziwą *muzyką przyszłości*...

—o—

Literaci widzą w pocałunku książeczkę.

Mianowicie — *odbitkę*.

Książeczka składa się tylko z dwóch stronic...

Odciśnięta jest na różowym papierze.

Jej autor zachowuje w zwykłych okolicznościach *incognito*...

Chociaż sam jest *nakładcą*, nie może się uskarżać na brak pokupu...

Po pierwszem bowiem wydaniu, następują z błyskawiczną szybkością *poprawne edycyje*...

—o—

Pierwszy pocałunek jest furtką do pięknego ogrodu.

Kto się przez nią przeciśnie, czeka go wiele przyjemności...

Z drugiej strony kwiecistych grządek znajduje się parkan...

Pewnego pięknego poranku zbliża się do gościa ogrodnik...

Nazwijmy go — losem.

— Dość miałeś tu rozrywki — mruczy — teraz wynoś się.

Gdy gość się opiera — tem gorzej.

Ogrodnik jest gburem i z pewnością za parkan go wyrzuci.

Wyrzucony musi *upaść*...

Cóż dziwnego, że taki *ostatni pocałunek* wytwarza tyle *upadłych*?

—o—

Całujący — to wędrowiec...

W piękny poranek majowy wybrał on się na przechadzkę...

Niechże uważa, aby nie *zaszedł zadaleko*!

Jeśli tym wędrowcem jest mężczyzna, niechże pamięta, że zbyt śmiała *przeprawa* mogłaby go przyprawić o *rozprawę* zaprawioną w *odprawę*...

Dama zaś powinna w tym wypadku mieć przedewszystkiem na baczności, że do takiej *przeprawy* musi sobie sprawić *wyprawę*...

W przeciwnym razie może za sobą pociągnąć *przeprawa* skutki, których *naprawa* byłaby zbyt trudną.

Zwłaszcza, jeżeli *przeprawa* została podjętą z młodzieńcem, który dopiero chodzi *na — prawa*...

Pamiętajcież piękne panie:

Dla utrzymania *równowagi* na wyżynach miłości strzeżcie swej *powagi*...

Od utonięcia zaś w morzu pocałunków niech was uchroni — *statek*...

St. Rossowski (p. t. I, str. 57).

* *Teoryja wierszowania.*

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdy, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

J. Słowacki (p. t. I, str. 87).

Temat.

* *Temat do powieści w francuzkim guście.*

Sceną jest lasek Marly; 8-ma godzina rano, czas prześliczny, ptaki śpiewają, drzewa szumią smutno, a ziemia przystroiła się powabem zieloności i kwiecia, niby na dzień świąteczny. Na tle tego krajobrazu widzimy naszego bohatera, dystyngowanego młodzieńca, spacerującego z cygarem w ręku. Pali on z prawdziwą lubością i widocznie rozkoszuje się urokiem poranku i czystością wiejskiego powietrza. Nagle, na zakręcie drogi, spotyka małego siwego człowieczka, z twarzą zaczerwienioną i pałającym wzrokiem. „Mój panie—woła nieznajomy — czekasz na moją żonę... nie przyszła! ale ja jestem na jej miejscu, wiem wszystko, oto list, który przejąłem i otworzyłem“. „Mój panie — odrzecze nasz bohater — nie mam przyjemności znać pańskiej żony, przyszedłem się przejść na świeżem powietrzu, mogęż panu służyć cygarem?...“ „Żadnych wykrętów, młodziku, czekasz na moją żonę, o tem nie wątpię! musisz mi dać satysfakcyję! tu są pistolety, świadków nie potrzebujemy, czyś gotów?“. — I im

grzeczniejszy i chłodniejszy jest nasz bohater, tem bardziej staje się zapalczywym zazdrosny małżonek. Nakoniec sprzykrzyła się młodzianowi pojednawcza rola. „Cóż u licha! — zawoła — pojedynek, dobrze! to mi się podoba, wprawdzie nie wiem o co chodzi, ale rzecz tak się przedstawia oryginalnie, że gotów jestem strzelać do pana, kiedy sobie koniecznie tego życzysz, proszę o pistolet!” Ale zaledwie wziął broń do ręki, przeciwnik jego opamiętywa się, że zaszedł za daleko — jak za dotknięciem czarodziejskiej różczki spoztrzega całą niewinność młodzieńca, rozpływa się w przeproszeniach, nazywa go przyjacielem, otwiera przed nim swe serce... Opowiada o przymiotach swej żony, jej piękności, jej czarnych oczach, falujących blond włosach, małej nóżce i gibkiej postaci... „Przyznasz pan, mówi, że mając tak cudną żonę, muszę być zazdrosnym! Ja już nie żyję, nie jem, nie śpię, lękam się każdego — z wyjątkiem pana... Młody człowiek, który chodzi do lasku Marly jedynie po to, aby napoić się wdziękami poranku, jest pożądanym gościem w każdym domu. Winienem ci zadosyćuczynienie za moją niegrzeczność, pozwól przyjacielu, że przedstawię cię mojej żonie”. „Z całego serca” — odrzecze, śmiejąc się nasz bohater, i dwaj nowi przyjaciele spieszą, gawędząc, w jednym kierunku. — Pani rzeczywiście okazuje się prześliczną, śmieje się serdecznie z nieporozumienia i zaprasza gości na śniadanie. Naturalnie gość zostaje, na drugi dzień znowu przychodzi, i na trzeci, i na czwarty, i na dziesiąty i staje się przyjacielem domu. A biedny mąż, który pragnął go zabić za nieistniejące przestępstwo, dziś z prawdziwem zadowoleniem ściska codziennie dłoń kochanka swej żony!

Temperament.

* *Panna z temperamentem.*

I.

Nareszcie tedy pan Karol postanowił się ożenić.

Przyczyną, która w głowie tego spokojnego młodzieńca wywołała aż tak awanturnicze postanowienie, był pewien feralny poranek, który na całe życie miał pozostać mu pamiętnym.

Owego poranku pan Karol wstał o pół godziny później, niż to było jego zwyczajem. Ażeby wynagrodzić to opóźnienie, postanowił wykonać jednocześnie dwie czynności, które zwykle odrabiał po kolei, a mianowicie: ogolić się i ugotować na maszynce kakao. W chwili, gdy przeciągał brzytwą po dolnej powierzchni lewego policzka, mleko w maszynce poczęło kipieć i wylewać się na stół białą kaskadą. Przerażony młodzieniec szarpnął brzytwą i skaleczył się potężnie w brodę. Obawiając się krwotoku (wszystkiego obawiać się należy) zalepił ranę kawałkiem kitajki, a przez ten czas mleko do reszty wykipiało, napełniając pokój nieznośnym swędem. Ze śniadania trzeba było skwitować — co nie jest rzeczą ani pożyteczną, ani wesołą.

Ale nie koniec na tem.

Zaledwie pan Karol zdążył umaczać koniec swego kawalerskiego nosa w misce z wodą, gdy zapukano do drzwi i wszedł listonosz z listem. List był od ciotki i zawierał, prócz morałów, nowiutką dwudziestopięciorublówkę. Młodzieniec gorączkowym ruchem wyciągnął list z koperty, którą zamierzył rzucić do palącego się w piecu ognia. Ale w pośpiechu omylił się. Koperta pozostała mu w ręku, a list wraz z banknotem przepadł w ognistej czeluści...

Ale i na tem nie koniec.

Zobaczywszy na zegarku, że już późno, a nie chcąc się spóźnić do biura, w którem bywał zawsze najpierwszym, wypadł z domu jak kamień z procy i wyciągniętym galopem puścił się w stronę *Pałaty*. Niestety! Na rogu ulicy zaszła mu drogę żydówka z pomarańczami, którą potrącił niechcący tak silnie, że cała zawartość jej kosza wysypała się do ścieku. Krzyk, zbiegowisko, awantura, gapie, policyjanci — wszystko to

spadło na niego, jak deszcz siarczysty na Sodomę. Z trudnością zdołał uniewinnić się i zrejterować, kiedy jednak przybył do biura, nowy zwierzchnik powitał go na wstępie moralną nauką: o potrzebie szanowania obowiązków służbowych.

Wszystko to przygnębiło srodze pana Karola, skłaniając go jednocześnie do poważnych nad sobą refleksyi.

Kiedy po spożyciu skromnego objadku u „mamy Pilcowej", zasiadł do czarnej kawy i rozłożył przed sobą Kuryjera, napróżno przebiegał oczyma drukowane szpalty—myśl jego bowiem ulatywała daleko, daleko...

Wieczorem odwiedził przyjaciela, który miał zwyczaj do żeniaczki go napędzać...

— Słuchaj Władku—rzekł do niego bez żadnych wstępów — przychodzę do ciebie z propozycyją...

— Z jaką, kochany Karolu?

— Swataj mnie.

— Czy żartujesz?

— Mówię seryjo.

Przyjaciel pomyślał trochę, później rzekł:

— Czy lubisz wiejskie panny?

— O ile nie są gąskami.

— A więc dobrze. Jak nastaną ciepła, zawiozę cię do moich kuzynów, właścicieli Cichej Woli pod Łowiczem, którzy mają córkę, osiemnastoletnią panienkę, jak raz dla ciebie...

II.

Jakkolwiek we dworze Cichowolskim kakao nie pojawiało się nigdy na stole (na śniadanie pijano mleko lub kawę), pobyt w nim wszakże nie mógł być dla pana Karola nieprzyjemnym.

Najprzód, otrzymywał *gratis* tak wielki zapas świeżego powietrza, iż mógł napełnić niem nietylko płuca, ale kieszenie, torbę podróżną i dwie takież walizy. Następnie również *gratis* zjadał codziennie wyborny objad, który od objadów mamy Pilcowej tem się różnił gruntownie, iż wszystkie potrawy przyrządzane w nim były na „prawdziwem" maśle. Następnie, żaden z wierzycieli (a któryż bezżennik ich niema!) nie przychodził zakłócać jego sielankowych poranków i idylicznych wieczorów swą nieprzyjemną twarzą i „dzikiemi pretensyjami". Wreszcie, co najważniejsza, zarówno czerwony szlachcic, jak jego powabna córeczka, byli mu szczerze radzi i wszystko zdawało się wskazywać, że gdyby postawił swą *kandydaturę*, utrzymałby się przy familijnych *wyborach*.

A jednak, mimo to wszystko, pan Karol był chmurny i posępny, a twarz jego wyrażała namysł i zakłopotanie.

Przyjaciel ze zdziwieniem spoglądał na niego i bezskutecznie łamał głowę nad rozwiązaniem tej psychologicznej zagadki...

Czy nudzi mu się na wsi?—pytał sam siebie. Czy mu się panna nie podobała? Czy mu szkodzą wiejskie potrawy? Czy ma niewygodne posłanie? Czy budzą go koguty piejące o świcie? Czy tęskni za bilardem? Czy wytrzymać nie może bez swej *czekolady zdrowia?*

Stawiał tysiące hypotez—wszystkie jednak okazywały się w rezultacie fałszywemi.

Troskliwość swą i poświęcenie posunął do tego, iż przez żyda jadącego za interesami do Warszawy sprowadził funt najdelikatniejszego *Cacao Caracas*, przyrządzanego „na sposób holenderski"; środek ten jednak wywołał przelotny tylko uśmiech na zamyśloną twarz pana Karola...

Przyjaciel był w rozpaczy.

Aby, bądź co bądź, wyjść z tego kłopotliwego położenia i sprawę wyświetlić, postanowił wziąć warszawiaka na indagacyję.

Pewnego popołudnia, kiedy pan Karol, z miną Newtona, rozmyślającego o środku ciężkości, błąkał się po ogrodzie, ścinając laseczką głowy niewinnym *żonkilom*, przyłapał go, wziął pod rękę i zapytał wprost:

— Ty nudzisz się, Karolu, w Cichej-Woli, nieprawda?

— Bynajmniej—odparł warszawiak najszczerszym w świecie głosem.

Przyjaciela zmięszała ta niespodziewana odpowiedź. Zamilkł, a po chwili innym już tonem rzekł:

— Powiedz mi otwarcie, jak ci się popobała Helenka?

— Jest bardzo przystojna.

— Hm, tak... szkoda tylko, że blondynka, a ty podobno blondynek nie lubisz?

— Przeciwnie — tylko blondynki.

— Hm, hm... Czy nie uważasz, że Helenka jest trochę zanadto naiwna?

— Cóż znowu! Jest to panienka rozsądna, jak rzadko!

— A czy nie wydaje ci się kapryśną?

— Ani trochę.

— Marnotrawną?

- Bynajmniej.

— Zbyt... rumianą?

— Nie kpij.

— Więc, jednem słowem, znajdujesz ją „zupełnie dobrze"?

— Zupełnie dobrze.

Tu już przyjaciel nie mógł wytrzymać, i zapominając o dyplomatycznym charakterze swej misji, wybuchnął:

— A więc czemuż u dyjabła trzymasz się od niej tak zdaleka i irytujesz wszystkich swą miną karawaniarską?!

Pan Karol przystanął, spuścił głowę na piersi, potem ją podniósł, spojrzał w oczy przyjacielowi, wziął go za klapę od żakieta i szepnął w samo ucho:

— Bo czuję, że byłbym z nią nieszczęśliwym.

— Dlaczego???

— Dlatego, że Helenka, o ile poznać ją mogłem, nie posiada ani odrobiny — *temperamentu.*

III.

W trzy dni później pan Karol siedział w przeznaczonej dla siebie komnatce, i zaciągając się papierosem, rozmyślał na seryjo o powrocie do Warszawy.

Dzień był gorący, wszystkie okna we dworze stały otworem. Każdy z domowników siedział u sieóie, czekając na godzinę objadową i zabijając czas wedle gustu lub potrzeby.

Do uszu pana Karola dobiegało usypiające brzęczenie pszczół, miarowy łoskot noży siekających w kuchni kotlety, niespokojne gdakanie kury, zamierzającej znieść jajko, oraz głuche i niewyraźne echa rozmów prowadzonych we dworze.

Dźwięki te rozmarzały warszawiaka, który poczynał już mrużyć oczy, zamyślając o niewinnej drzemce.

Nagle jednak zerwał się on na równe nogi i wychyliwszy głowę za okno, począł słuchać z natężeniem.

Ze dworu dobiegał głos panny Heleny.

Głos ten brzmiał zgoła inaczej, niż w zwykłym trybie życia. Czuć w nim było gniewną energiję i siłę niepospolitą. Dźwięczał tak donośnie, iż pomimo dość znacznej odległości, można było rozróżnić dokładnie każde pojedyńcze słowo.

Helenka gniewała się widocznie na kogoś i gniew ten wydobywał z jej ust potoki słów dosadnych...

Rozkoszny uśmiech opromienił twarz pana Karola.

— Czyżby cichowolska panna umiała być chwilami prawdziwą kobietą? kobietą z krwi i nerwów?—szepnął do siebie z rozkosznem zdziwieniem.

A tymczasem wietrzyk przyniósł mu na skrzydłach następujące słowa wiejskiej piękności:

— *Gdzie te łotry? Gdzie jest Filip i Grzegórz? Cóż to za łby zakute! nieociosane gbury!*

Pan Karol zatarł ręce z zadowoleniem i mocniej słuch wytężył.

— *Ach ty wieprzu! ty młynarska wywłoko! czemuś nie przyprowadził ze sobą tych podłych gałganów!*

Warszawiak z uciechy aż mlasnął językiem.

— *Gawronie! ośle! łajdaku!!! psiajucho!!!!* zabrzmiał głos Helenki *fortissimo* i jak uwertura po ostatnim najsilniejszym akordzie — ucichł.

Pan Karol wykręcił pirueta na lewej pięcie i zaświstał z precyzyją „Piekielną galopadę".

Przy obiedzie był wesół, ożywiony i olśniewał wszystkich fajerwerkami dowcipu.

Wieczorem oświadczył się szlachcicowi o rękę córki.

W pół roku później ożenił się z Helenką.

IV.

Młodzi małżonkowie, nasycając się słodyczą swobodnego *tête-à-tête*, spowiadali się przed sobą nawzajem ze swych myśli i uczuć przedślubnych.

Pan Karol, opowiadając żonie historyję swych konkurów, opisał właśnie ze szczegółami ową scenę przedobiednią, która decydujący wpływ na jego postanowienie wywarła.

— Usłyszawszy cię — rzekł — tak energicznie besztającą parobków, powiedziałem sobie z uciechą: „Dalibóg! ta dziewczyna ma *temperament!*" i postanowiłem tegoż samego dnia jeszcze oświadczyć się o twoją rękę...

— Ależ, Karolku—zauważyła swym zwykłym, łagodnym głosem pani Helena — ja nigdy w życiu nikogo nie beształam...

— Jakto? a owe wykrzykniki, które wówczas z okna twego pokoju wybiegały?

— Owe wykrzykniki?... Ha, ha, ha!... Owe wykrzykniki znajdowały się w komedyi Szekspira p. t. „Poskromienie złośnicy", którą ciotce Petroneli na głos czytałam.

Pan Karol, usłyszawszy to wyznanie, porwał się na równe nogi z kozetki i tragicznym ruchem zatopiwszy palce w bujnej czuprynie, zawołał z rozpaczą:

— O ja nieszczęśliwy! Popełniłem — *mezaljans!*

Tępy.

* *Tępy lecz usłużny.*

(Opowiadanie).

I. Opisuje się pierwszą połowę życia Zakuty.

Bylibyśmy w wielkim kłopocie, gdyby nas zapytano: czem właściwie odznaczył się bohater niniejszego opowiadania—pan Flawjan Zakuta?... W tej chwili przebiegamy myślą różne szlaki, po których stąpać zwykł genijusz ludzki i ze smutkiem przekonywamy się, że przyjaciel nasz, na żadnym z nich najmniejszego śladu działalności swej nie zostawił.

Zarówno dalekim od umysłu jego był naprzykład projekt wydania choćby tomiku poezyi, jak i zrobienia wynalazku w sferze, dajmy na to, weterynaryi. Nie skomponował on nigdy żadnej aryi, ani wymyślił żadnego nowego sosu do potraw. Mielibyśmy też uzasadnione powody do mniemania, że w zakresie astronomji, taktyki lądowej i morskiej, prawoznawstwa i historyi, a nawet archeologji, tej ostatniej ucieczki mniej silnych, a jednak żądnych sławy umysłów, pan Flawjan nie zdziałał nic poważnego. W podobny sposób moglibyśmy przebiedz całą litanję nauk, sztuk i w obec Flawjana Zakuty znaleźć się w położeniu bjografa, który w nekrologu swego klijenta, mógł zapisać jeden tylko fakt wybitny, iż zmarły stracił życie w skutek przejedzenia się jesiotrem.

Niemniej jednak w skromnych dziejach naszego bohatera figuruje kilka wypadków, jeżeli nie domorosłych, to przynajmniej niezwykłych. Samo jego przyjście na świat wywołało wśród rodziny dość kłopotliwą kwestyję imienia: urodził on się bowiem 22 lutego w dzień katedry Ś-go Piotra w Antyjochji. *Katedrą* niepodobna było nazwać indywidualności, która po bliższem zbadaniu okazała się być chłopcem; do nazwania go zaś Piotrem albo Antyjochem, nie było dostatecznych teoretycznych powodów. Dopiero po zaciągnięciu światłej opinji przyjaciela domu — za-

krystjana, posunięto się w kalendarzu o kilka dni naprzód i dano chłopcu imię Flawjan.

Przyszły dziedzic sławnego imienia Zakutów spędził dzieciństwo w sposób mniej więcej normalny. Około piątego roku życia, w dniu urodzin, otrzymał pierwsze barchanowe majtki, które wraz z kaftanikiem tworzyły nierozdzielną całość i zapinały się z tyłu. W tej epoce najulubieńszem jego zajęciem było wyglądanie oknem, przyczem przyciskał tak mocno nos do szyby i w tak szczególny sposób, że przechodzący ulicą nietylko podziwiać mogli wielkość obu otworów jego organu powonienia, ale nawet zbadać przez nie zawartość głowy chłopca. Ponieważ trudu tego nikt sobie nie zadawał, wnosićby więc należało, że niespodziewano się tam znaleźć nic godnego uwagi.

W jedenastym roku życia bohater nasz oddany został do szkół powiatowych, zkąd po sześcioletniej wytrwałej pracy od władzy szkolnej otrzymał uwolnienie z klasy trzeciej, a od kolegów—pieszczotliwy przydomek „głupiego Flasia", który aż do śmierci stanowił jedyną jego ozdobę.

Stanowczy wpływ na dalsze losy jego wywarła ostatnia cenzura, gdzie oprócz wzorowego sprawowania i dostatecznego stopnia z religji, miał wszystkie małe i jeden celujący z kaligrafji. Podobna statystyka zdolności ukochanego syna, zaniepokoiła nawet pobłażliwość macierzyńską. Stroskana wdowa, widząc, że chłopcu sieją się już wąsy, i że „intrygi" profesorów stanowczo zamknęły przed nim wrota naukowej karyjery, postanowiła otworzyć mu w zamian szranki działalności obywatelskiej. Zwołano więc radę familijną, na której pewien archiwista, rozpatrzywszy cenzurę, zaopinjował, iż młody Zakuta znaleźć może świetną przyszłość w biurze miejscowego magistratu. Do dziś dnia nie wiemy, czy doświadczony ów człowiek zdanie swoje oparł na jednym celującym z kaligrafji, czy też na małych stopniach z dziesięciu innych przedmiotów, reprezentujących umysłowy poziom klasy trzeciej.

Z tego, co powiedzieliśmy dotychczas, okazuje się, że Flawjan siły duchowe dane mu przez Opatrzność zużywał najmniej w kierunku myślenia, lecz natomiast — dużo pracował nad kaligrafją. Te cechy charakteru rozwinęły się w nim bardziej jeszcze, gdy wstąpił do biura. Ani bowiem w magistracie, ani w powiecie, ani nawet w rządzie gubernialnym nie żądano od niego zbyt wielkich wysiłków samodzielności, lecz mocny kładziono nacisk na punktualne pieczętowanie kopert— i ładne, dokładne przepisywanie referatów.

Zakuta był całe życie skromnym człowiekiem i czuł się zupełnie zadowolonym, gdy po wieloletniej aplikacyi otrzymał posadę kancelisty z płacą 7 rs. 50 kop. na miesiąc, z uwzględnieniem procentu przypadającego na składkę emerytalną. Na nieszczęście, obracając się w rozmaitych towarzystwach, usłyszał raz wielkie pochwały oddawane Kraszewskiemu.

— Co to za jeden Kraszewski? — spytał Flasio swego dobrego kolegi.

— Pisarz.

Ponieważ Zakuta znał rozmaitych pisarzy, dla usunięcia więc wątpliwości rzucił inną kwestyję.

— A czy on bogaty?...

— Fiu!... gwizdnął kolega.

Te skromne fiu! którego nie można odmieniać ani przez przypadki, ani przez liczby, ani przez stopnie, które nie oznacza ani rzeczy, ani własności, ani zjawiska, ani stosunku, stało się jednak (w umyśle Zakuty) nasieniem bardzo stanowczych definicyi. Z trudną do pojęcia szybkością Flawjan wywnioskował, że ponieważ Kraszewski jest bogaty, nie może więc być pisarzem gminnym, prowentowym, albo pułkowym, ale co najmniej pisarzem „solnego magazynu", który to urząd od czasu Ś-tej Kunegundy nie przestawał być intratnym.

Z tem wszystkiem sprawa miała jeszcze

parę stron ciemnych. Jeżeli uwielbiają Kraszewskiego za to, że pięknie pisze, to dla czego nie składają przynajmniej połowy tych hołdów Zakucie, który według jednomyślnej opinji znawców pisał najpiękniej — w swojem gubernialnem mieście?... Wprawdzie Kraszewski był jeszcze bogatym, a bogaci cieszą się zazwyczaj większemi względami ogółu. Ależ w tej chwili nie było mowy o jego bogactwach, tylko o pięknem pisaniu!... Zagadka pozostała nie rozwikłana; nasz Flawjan więc rzucił jeszcze jedno — ostatnie pytanie:

— Dla czego się tak nad nim trzęsą?

Skrupulatność nakazuje nam przypomnieć, że słówko: trzęsą, w niektórych miastach gubernialnych znaczy: podziwiają.

— Dla czegóż się tak nad nim trzęsą? — powtórzył Flawjan. — Przecież nietylko on pięknie pisze...

Kolega, który w swej kancelaryi był erudytem i umiał głębiej patrzyć na rzeczy, zadumał się, stanął na ulicy — i — włożywszy Flawjanowi palec w dziurkę od guzika, odparł:

— Widzisz, bo on nietylko ładnie pisze, ale jeszcze sam wymyśla...

Zakuta był olśniony. Prawdę powiedziawszy, spostrzegł on już niejednokrotnie w ciągu życiowej praktyki, że ludzie, którzy wymyślają innym, doznają powszechnego szacunku. Lecz dziś dopiero poznał różnicę pomiędzy sobą a Kraszewskim. Obaj pięknie pisali, mieli więc równe prawa do czci publicznej; na nieszczęście jednak, podczas gdy Kraszewski „wymyślał" prawdopodobnie wszystkim, bez względu na biura, klasy i pensyje, on — to jest Zakuta, był wymyślany przez wszystkich.

Ponieważ bohater nasz wstępował w tę epokę życia, kiedy szacunek ludzki staje się rzeczą tak niezbędną, jak szklanka piwa po obiedzie, i kiedy poczucie własnej wartości dręczy nas jak niespłacona pożyczka, na którą nie mamy funduszów — postanowił więc zmienić swój stosunek do świata. Do tego celu posłużyć mu miały dwa niezawodne środki: wyższa posada, która daje możność regularnego podzelowywania butów, stanowiących integralną część godności osobistej człowieka i - wymyślanie, które podnosi nas w oczach bliźnich.

Plan już był, ale jak go wykonać?... Jak tu prosić o awans naczelnika, w obec którego pan Flawjan choć kancelista, robił się małym Flasiem z klasy pierwszej, w chwili gdy na doczesnej powłoce jego duszy nieśmiertelnej, miano wykonywać operacyją skutecznie zmazującą powszednie grzechy młodości? Na samą myśl o podobnej rozmowie Zakuta dostawał dreszczów, które zaczynały się w łydkach i dosięgały karku, nie pomijając żadnego miejsca pośredniego.

Drugi za to punkt reformy życiowej, wymyślanie, zdawał się być łatwiejszym do przeprowadzenia. Zakuta postanowił najprzód wyuczyć się tej sztuki na przedmiotach martwych, później rozszerzyć ją do woźnego, a następnie i dalej, jeżeli okoliczności pozwolą. W tym celu przyszedłszy raz do biura, począł gwałtownie przestawiać kałamarze na stole, rzucać linję, ścierać sukno i wyobrażając sobie, że mówi do woźnego — mruczeć:

— Sto tysięcy dyjabłów!... Taki nieład!... To próżniak!... Zakuty łeb... Największy osioł w całem biurze!...

— Co panu jest?... spytał nagle rzeczywisty woźny, drzemiący pod piecem. Poczciwiec ten, słysząc, że kancelista powtarza frazesy o „ośle" i „zakutym łbie", które zwykle naczelnik do niego samego stosował, myślał że Zakuta, skutkiem nadmiaru pracy, stracił porządek w głowie.

— Co panu jest? - powtórzył woźny—pan sam sobie wymyśla!...

Flawijan umilkł, ale w duchu kończył wykrzykniki oburzenia niewiadomo przeciw komu skierowane, przysięgając sobie, że jutro wypowie je na cały głos i że przytem będzie woźnemu patrzył wprost w oczy. Istotnie na

drugi dzień chciał wykonać swój śmiały zamiar, ale dostał bicia serca, czemprędzej odwrócił się od woźnego i ledwie zdołał wyszeptać sam do siebie:

— Próżniak!... Zakuty łeb!... Największy osioł w całem biurze!...

Powoli wieść o tem, że Zakuta sam sobie wymyśla, rozeszła się po całym rządzie gubernijalnym. Poczęto żartować z kancelisty bardziej niż kiedykolwiek, a co gorsza — jeden z jego kolegów, wielki dowcipniś, wypłatał mu obrzydliwego figla.

Zakuta bowiem ani na chwilę nie porzucał myśli postarania się o wyższą posadę; i już to dzięki radom przyjaciół, już medytacyjom własnym, doszedł do przekonania, że najlepiej będzie nie rozmawiać z naczelnikiem na gębę, ale — podać prośbę, rozumie się napisaną jak najładniej.

Przechodząc od pragnień do czynów, przygotował arkusz papieru i zaczął:

„Do naczelnika rekruckiego oddzielenia w rządzie gubernjalnym...”

„Kancelisty Flawijana Zakuty proszenie”. Ale do sakramentalnych słów tych ani wyrazu dodać nie potrafił, dotychczas bowiem tylko przepisywał referaty, nie bawiąc się w samodzielne utwory.

Co tu robić?

Szczęściem przyszedł mu na myśl pewien bardzo zdolny kolega pracujący w wydziale ciupasowym. Zakuta do niego udał się z prośbą o pomoc, postawił mu obfite śniadanie, naturalnie w granicach swej siedmiorublowej pensyi miesięcznej i — błagał o zreferowanie memoryjału do naczelnika.

— Widzisz, mój kochany — mówił Zakuta — ty nawet nie będziesz miał wiele pracy. Napisz na brudno, ot tak sobie!... byle tylko stało tam, jako taki to a taki, niżepodpisawszy się prosi o wyższą posadę. Resztę już ja sam dokończę, bo wiadomo, że w czystopisaniu to ja chwat!

Istotnie kolega napisał mu prośbę do naczelnika, którą Zakuta z religijną czcią przekopjował. Źle mówimy, przekopjował; nadał on raczej każdej literze niezrównany wdzięk i okrągłość, a dokumentowi pisanemu — pozór największego arcydzieła współczesnej sztuki litograficznej, jakiego, z pewnością, nie stworzyłby ów zachwalony Kraszewski.

Krótko mówiąc, prośba była tak wykaligrafowana, że sam Zakuta kilka dni nosił ją przy sobie i każdy sztych, każdą głoskę rozpatrywał, jak zazdrosny kochanek najbardziej tajemnicze piękności istoty przez siebie ubóstwianej. Naturalnie z obawy spojrzeń profanów nie pokazywał jej nikomu, lecz nasyciwszy się nią sam, doręczył pewnego dnia naczelnikowi.

W pół godziny wezwano go. Gdybyśmy byli pewni, że jaki złośliwy krytyk nie posądzi nas o chęć robienia obcych nam i wstrętnych aluzyi, powiedzielibyśmy wówczas, że pan Flawijan, usłyszawszy wezwanie, uległ tak silnemu wzruszeniu, iż na kilka minut opuścić musiał biuro, przedpokój a nawet korytarz wydziału rekruckiego. W końcu jednak wrócił — blady, jak śmierć, ale pewny, że mu pensyę miesięczną podniosą przynajmniej do dziewięciu rubli.

W kancelarji naczelnika stanął przy drzwiach, ukłonił się, jak człowiek chcący w studnię skoczyć, potem zwiesił wyprostowane ręce wzdłuż ciała, tak aby wskazujące palce leżały w kierunku bocznych szwów spodni i — czekał.

Naczelnik spojrzał na Zakutę raz, potem wydobył papierosa i spojrzał drugi raz, zapalił — i spojrzał trzeci raz, puścił dym nosem i spojrzał czwarty raz. Przez ten czas pan Flawijan spotniał, wysechł, dostał drygawek, a nareszcie uczuł znowu gwałtowną potrzebę wyjścia. Szczęściem naczelnik przemówił:

— No, już ja pana w biurze trzymać nie myślę!...

— Panie naczelniku!... ojcze!... dobrodzieju!... — jęknął Zakuta, a cóż ja biedny zrobiłem?...

Naczelnik strząsnął popiół z papierosa, zaciągnął się, uformował trzy kółka z dymu i rzekł:

— Ja, panie, zwiedziłem kawał świata. W każdej gubernii spotykałem bardzo głupich kancelistów, tak panie głupich, jak niewyszwarcowane buty. Niech to pana nie obraża, bo ja mówię po przyjacielsku... Ale takiego nierozsądnego, jak pan, kancelisty, w życiu nie widziałem!... W całem życiu!... Niech się pan sam poda do dymisyi i to zaraz, bo pan jesteś taki człowiek, że mógłbyś napisać fałszywy akt, denuncyjację, podrobić podpis gubernatora i jeszcze nie wiedziałbyś, o co chodzi.

— Cóż ja nieszczęśliwy zawiniłem?— pytał już z płaczem kandydat do wyższej posady.

Naczelnik, zamiast odpowiedzi, zwrócił mu jego prośbę i, wymownym gestem, upoważnił do wyjścia za drzwi.

Z wielkim smutkiem, lecz przez miłość prawdy, wyznać musimy, że pełnoletni Flawjan Zakuta, usłyszawszy wyrok, płakał rzewnemi łzami. Sentymentalne usposobienie to nie opuściło go nawet wówczas, gdy wrócił do swej kancelaryi między kolegów.

— Cóż to, naczelnik cię zbił? -- zawołali naprawdę przerażeni.

— Dymisyję mi dał... za moją prośbę... tak śli... ślicznie napisaną!... O! gdzież teraz sprawiedliwość!... — jęczał Flasio.

— Daj!... Pokaż!... Co za prozba?...

— Zreferował mi ją na brudno Kiwalski, ten z ciupasowego oddzielenia... a ja przepisałem, tak... tak śli... ślicznie!...

Koledzy wydarli mu papier z rąk, a jeden z nich, który parę razy występował jako deklamator w koncertach amatorskich, odczytał:

„Niżepodpisawszy się Flawijan Spirydyjonowicz Zakuta, który jeszcze w klasach dosłużył się dwu naszywek, za to, że po dwa lata w każdej siedział, a przez kolegów głupim Flasiem mianowany, ma honor prosić W-go Naczelnika o jaką posadę wyższą, choćby wice-gubernatorską. Na dowód zaś, jak jest mądry i do pełnienia urzędów wykwalifikowany, niniejszą prośbę sam dosłownie przepisuje"...

Teraz dopiero, gdy mu głośno odczytali treść memoryjału, Zakuta zrozumiał go, choć nie wiedział jeszcze, za co mu dali dymisyję.

— Och ten waryjat Kiwalski! — mruczał Flawijan—zawsze go się psie figle trzymają... Ale o co rozgniewał się naczelnik? przecie to na mnie były popisane wszystkie te głupstwa, nie na niego!...

W taki sposób bohater nasz skończył karyjerę w rządzie gubernijalnym. Ponieważ ludzie zbyt mało są pobłażliwymi dla ofiar losu, więc nietylko nikt nie żałował Zakuty, ale jeszcze wszyscy z niego drwili w niemiłosierny sposób. Pukał on do różnych biur i starał się o rozmaite zajęcia, ale wszędzie uprzedzała go sława—młodzieńca roztargnionego, który przepisuje wprawdzie bardzo ładnie, ale nie rozumie tego co pisze.

W rezultacie — odepchnięty, zniechęcony, porzucił gubernijalne miasto i utonął w wirze warszawskim.

II. Tu opisuje się druga połowa życia pana Zakuty.

Bajka to jest, co mówią, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu!...

Na pana Flawijana kilka lat wielkomiejskiego życia, spotęgowana walka o byt, korzystny wpływ wywarły. Umysł jego wprawdzie nigdy już nie rozwinął się w kierunku wynalazczym, trochę jednak przegimnastykował się. W ciągu tego czasu bohater nasz dowiedział się, kim był Kraszewski? odczytał parę jego dzieł, — w towarzystwach męzkich nauczył się kilkunastu dykteryjek, które (w jakiemś powiatowem mieście) mogłyby nawet podnieść urok jego osoby, — obeznał się ze sztuką zaczepiania kobiet na ulicach, zaciągania małych pożyczek, niepłacenia za komorne... Słowem oprzytomniał i zrobił się

nie najgłupszem, a potulnem popychadłem biurowem.

Posadę znalazł w jakiejś instytucyi finansowej, gdzie za trzysta rubli na rok miał honor pracować obok pokoju dyrektora. Koledzy lubili go, ponieważ robił za siebie i za nich, w karyjerze nikomu nie zawadzał i z przyjemnością słuchał konceptów fabrykowanych na siebie.

Co ważniejsza—ożenił się. Żona jego nie przyniosła mu wprawdzie ani potomstwa, ani zbyt wielkiej powagi w obec świata, ale za to liczne stosunki. Pani ta — miała przedewszystkiem dość majętną ciotkę, która płaciła komorne za nowożeńców, dokładała im po paręset rubli rocznie do ich gospodarskich wydatków, obiecywała nawet przekazać coś w testamencie, za te wszystkie dobrodziejstwa kładąc Flawijanowi jeden tylko warunek, aby: „dobrze pilnował żony".

Zakuta obiecywał, uśmiechał się domyślnie i trąc rękę, mówił: „Oho! ho!..." ale w sobie myślał, że nie ma znowu racyi pilnować żony, którą nieustannie jacyś dobrze wychowani i hojni otaczali kuzynkowie. Najmłodszy z nich, brat cioteczno-stryjeczny, chodził z nią na spacery i ofiarowywał cukierki tudzież rękawiczki; najstarszy, daleki wuj, sprawiał suknie i okrycia, średni myśleli o kapeluszach, parasolkach i bucikach. Skutkiem tej rodzinnej opieki w domu państwa Zakutów nie było niedostatku, choć sam pan na swoje potrzeby niejednokrotnie zadłużać się musiał, z góry wiedząc, że gdy przy od dawaniu pensyi miesięcznej żonie trafi na jej dobry humor, to i parę rubelków otrzyma, a nawet będzie miał prawo obstalować sobie jakąś cząstkę ubrania na kredyt.

Wogóle był to człowiek słodki, czule wyściskiwał wszystkich kuzynów żony, choć niejednego zupełnie nie znał i— spędzał czas na odgadywaniu życzeń swego zwierzchnika. Nie zapewniało mu to wprawdzie podwyższenia pensyi, w każdym jednak razie utrzymywało w biurze.

W różnych dziedzinach pracy społecznej znajdują się ludzie dobrzy i źli, zdolni i niezdolni, użyteczni i mniej użyteczni, ale nie ma nigdzie tylu mężczyzn tolerowanych, co w rozmaitego rodzaju biurach publicznych i prywatnych. Wogóle urzędy w historyi naszej cywilizacyi dość ciekawą odegrały rolę, stały się bowiem pewnego rodzaju żłobkiem dla tej młodzieży ambitnej i gołej, która nie mając wsi, nie chciała ciężko pracować, pragnęła należeć do stanów uprzywilejowanych. Szczególniej zastępy wszelkiego rodzaju kancelistów rekrutowały się z pośród moralnych i umysłowych szumowin, które za pomocą tużurka i czapki z gwiazdką, pragnęły odseparować się od „klas prostych". Ubiór ten dawał im prawo patrzenia z góry na szewców, chłopów i żydów, stanowisko zaś— możność wyzyskiwania ich ciemnoty.

Wyrostek idący na kancelistę zaspakajał naprzód swoją dumę, powtóre zyskiwał czas na łobuzerkę, potrzecie ubezpieczał istnienie zapomocą łapówek, poczwarte zdobywał mnóstwo wiadomości i zawiązywał stosunki, dzięki którym, jeżeli był sprytny, mógł (po wypędzeniu go z biura) zostać pokątnym doradcą w sprawach administracyjnych. Za tyle dogodności trzeba było w zamian coś dawać, a ponieważ większa część nie miała do dania ani talentu, ani pracy, musiała więc czynniki te zastępować „usłużnością".

„Usłużność" kancelistowska jest to otwieranie drzwi, kłanianie się do ziemi i obwoływanie po sali, że pan naczelnik idzie! Jest to zdejmowanie i wkładanie płaszcza i kaloszy panu naczelnikowi, stawanie „we front", pokorne słuchanie wymysłów i niezmierne śmianie się z lichych konceptów. „Usłużność", jest to znoszenie plotek i potwarzy, apoteozowanie osób miłych i czernienie indywiduów wstrętnych zwierzchności.

„Usłużny" potrafi pójść na targ za panią naczelnikową, cwałować piechotą obok bryczki naczelnikówny, uwielbiać ich sprzęty, całować ich psy i koty wszędzie gdzie mu ka-

żą. „Usłużny" ułatwia zaciąganie pożyczek 15-letniemu synkowi naczelnika, a jemu samemu ułatwia— zawiązywanie miłosnych stosunków, na który to cel chętnie nawet własną żonę poświęca. „Usłużny" tańczy, gdy go o to proszą, bez zmęczenia, gra, śpiewa i deklamuje, jeżeli potrafi, nawet skacze w salonie jak żaba, lub chrząka jak wieprzak, byle tylko się podobać. Dla niego nie ma usługi zbyt niskiej, czynu, któregoby nie popełnił, kłamstwa, któregoby nie wypowiedział.

Ponieważ osoby takie zdają się być pozbawione poczucia smaku i niesmaku, więc po za obrębem biura, obgadują znowu tych, w obec których płaszczyli się przed chwilą. Gdy im kto zrobi uwagę, że ktoś postępowanie podobne uważać może za... nieehlujstwo, wówczas uśmieehają się i mówią:

— Frazesy, panie! frazesy!... To nie podłość, ale walka o byt, przystosowywanie się do okoliczności.

Tymczasem nie jest to walka, ale pełzanie pod stołem, z którego spadają tłuste okruchy. Nie jest to walka, ale gwałtowne zamiłowanie próżniactwa, nieudolność i mało wzniosły charakter. Gdy widzisz takich ludzi, przekonywasz się, że Pan Bóg nie upośledził stonóg ani karaluchów i nabierasz szacunku dla rzeczy zwanej gnojem, w którym tarza się rzecz zwana trzodą chlewną.

Im społeczeństwo, czy pewna jego klasa, ma mniej energji, szlachetności, uzdolnień do użytecznej pracy, tem liczniej wśród niego wyrastają indywidua podobne. Są to, nie uchybiając nikomu—robaki znamionujące ranę źle opatrywaną, dziwne zjawiska, których dobry humor i powodzenie podkopuje w prostakach wiarę w odpowiedzialność i uczciwość.

Flawijan Zakuta nie był jeszcze doskonałym typem usłużnego kancelisty: posiadał on tylko jeden przymiot tej klasy— nieudolność. To też skończył prędzej niż inni, których spryt przez dłuższy czas utrzymuje na powierzchni błotnistych stosunków, dopóki w otoczeniu ich nie zajdzie jakaś zmiana. Wówczas nie zdumiewają oni upadkiem, nie przechodzą wielkich katastrof, ale — marnieją w sposób, jak mówią w Galicyi, nader pojedyńczy, przypominający rozsypywanie się odwiecznego trupa, którego wiatr owieje.

Jakkolwiek Zakuta usiłował być usłużnym, nie podawał jednak dyrektorowi kaloszy, ponieważ woźny biura był zanadto punktualny, aby się dał komu uprzedzić. Nie odnosił też pakunków pani dyrektorowej, ponieważ byli od tego porządniejsi, ani gorszył dyrektorskich synów, ponieważ obowiązek ten ciążył na towarzystwie, wśród którego wychowywali się.

Pole więc usług dla bohatera naszego zdawało się być zagrodzone i okopane rowem; na szczęście istniała jedna furtka, którą mu otworzył sam dyrektor.

Człowiek ten szczupły, niski, nosił się elegancko, umiał w chwili stosownej wydymać policzki, kłaniać się oczami i — przyjmować podarunki od podwładnych. W tym celu opowiadał im bardzo pouczające historyje, których oni, jako nowicjusze, nie rozumieli, czy rozumieć nie chcieli. Szczęściem otrzymał między nimi pasadę Zakuta, pomimo nierozwinięcia mistrz w tych rzeczach i zreformował ich.

Reforma zaś odbyła się w sposób następujący:

Pewnego dnia, zwierzchnik, zwykle nie wdający się z podwładnymi, małomówny i w stosunkach zimny, wszedł do ich sali i z najpiękniejszym uśmiechem doniósł im, że za tydzień są jego imieniny i że byłby bardzo rad, gdyby „kto z panów" przyszedł do niego na wieczór.

Panowie ukłonili się, lecz nie wyrazili gotowości przyjścia na wieczór, wiedząc aż nadto dobrze, iż zaprosiny te są oklepaną ceremonją. Zresztą przed paru laty, jeden z ich grona był na podobnym balu, gdzie miał rozkosz wywołać zdziwienie w gospodarzach, nie znalazł ani towarzysza do pogadanki, ani

miejsca przy kolacyi — i — w kilka miesięcy później, uznał za stosowne podać się do dymisyi w biurze. Panowie zatem nie przyjęli zaprosin, co jeszcze więcej podnieciło dobry humor zwierzchnika, który za ten objaw domyślności opowiedział im historyję.

— Bo to widzicie, panowie, ja jestem człowiekiem dawnej daty i pilnie przestrzegam zwyczajów. Kiedym był w wieku panów, dyrektor mój, co roku zapraszał mnie i moich kolegów na imieniny do siebie i mówił przytem: „tylko mi czasem jakiego prezentu nie dajcie, bobym się czuł głęboko dotkniętym!“ Ale my, panowie, ludzie dawnej daty, nie wahaliśmy się narazić nawet na gniew kochanego dyrektora i—w dniu jego imienin — około drugiej popołudniu, przez deputacyą wręczaliśmy mu dowód pamięci, przywiązania i uznania zasług. Czcigodny starzec burczał z początku, ale wnet opanowało go wzruszenie... Łzy, panowie, łzy cisnęły się mu do oczu — i przyjmował skromny dar nasz. Tym sposobem jednego roku daliśmy mu puhar, drugiego pierścień, później serwis, obraz kosztowny i wiele innych tym podobnych prezentów. O, tak, panowie! My dawniej żyliśmy familiarnie, a ja, szanując te wspomnienia, byłbym bardzo rad, gdyby kto z panów, komu czas i okoliczności pozwolą, przybył do mnie w dniu moich imienin na wieczór.

Wypowiedziawszy to i obdarzywszy każdego z podwładnych jakiemś miłem słówkiem, zwierzchnik odszedł do swojej kancelaryi, trochę kontent z tego, że nikt nie przyjdzie, a trochę nie kontent z tego, że większa część jego mowy jest owem ewangielicznem ziarnem, które pada na opokę.

Dla Zakuty historyja zwierzchnika zdawała się być jasną jak słońce i czekał tylko, rychło kolega, biorący tysiąc rubli pensyi, wezwie go do złożenia pewnej kwoty na puhar, serwis, albo pierścień. Ale najstarszy kolega wziął się do pisania, a inni zrobili to samo.

Wówczas Flawijan (biorący 300 rs.) szepnął do kolegi, biorącego 400 rs.

— Panie! a gdybyśmy się złożyli na prezent dla starego?

— Obrazi się!

— Co się ma obrazić?... On tylko na to czeka... nawet przymawia się...

Kolega, biorący 400 rubli pensyi, pomyślał, a widząc, że w idei Flawijana tkwi zdrowe ziarno, postanowił przywłaszczyć je sobie i rzekł do kolegi biorącego 500 rs.:

— Wiesz co, złóżmy się na prezent staremu?...

— Dajże pokój! on już nas i tak obdziera.

— A gratyfikacyja — hę?

Kolega biorący 600 rs. bardzo cenił gratyfikacyję i z tego powodu umyślił stać się inicyjatorem projektu składki. W tym celu zbliżył się do kolegi biorącego 1000 rs. i szepnął:

— Kupmy jaki prezent staremu na imieniny.

Biorący tysiąc rubli, który chciał brać tysiąc dwieście— na razie nie odpowiedział nic, lecz w godzinę później, wystąpił na środek sali i — przedstawiwszy w żywych barwach zasługi zwierzchnika, wezwał wszystkich kolegów do składki na imieninowy prezent.

Trudno opisać wściekłość kolegów biorących po 600 i 400 rubli pensyi, z których każdy chciał przywłaszczyć sobie ideę składki i tak szkaradnie podkopany został przez najstarszego. Każdy z nich pragnął figurować jako inicyjator, lecz na nieszczęście— musiał poprzestać na roli zwykłego członka składki! Dali jednak to, co na nich przypadało, a nawet wycisnęli coś z woźnego, który bynajmniej nie uchylił się od obowiązków i — niby to drzemiąc pod wieszadłem, cały przebieg sprawy o składkę doskonale wyrozumiał.

W dniu imienin—deputacyja biura, złożona z kolegi biorącego 1000 rubli i kolegi biorącego 600 rs., doręczyła solenizantowi kosztowne album. Zwierzchnik widząc, że po tylu latach pracy doczekał się od nich w koń-

cu uznania zasług, uległ wielkiemu wzruszeniu, obu panów poczęstował białem winem i tortem i obiecał podwyższyć im gratyfikacyę w roku bieżącym.

Tego samego dnia, woźny biura, który podczas balu miał występować w charakterze jednego z lokai, ucałowawszy ręce jasnemu zwierzchnikowi, nadmienił zlekka, że i on dał coś na album. Zwierzchnik uścisnął mu głowę, obiecał swoje względy na przyszłość, a w końcu od niechcenia zapytał:

— Ciekawy jestem, który to z nich podał projekt albumu?...

— Gdybym śmiał powiedzieć, jaśnie panie... — odparł woźny.

— Owszem — mów!

— To, jasnie panie, poradził ten nowotny, Zakuta, nie żaden z nich. Ale oni nawet o nim nie wspomnieli dzisiaj...

Zwierzchnik zamyślił się.

— Zakuta! — rzekł. — Wyborny to urzędnik, karny, przeszedł dobrę szkołę!... Szkoda, żem dziś zrana o tem nie wiedział; w każdym jednak razie dziękuję ci, żeś wyznał prawdę. Ja w człowieku tym widzę duzo zalet, a nadewszystko — szacunku dla zwierzchności! Pomyślę o nim na przyszły rok, a tymczasem zaniesiesz mu kilka butelek wina. Tylko — dodał, patrząc poważnie na woźnego — ani słowa o tem nikomu!...

— Jaśnie dyrektor wie — odpowiedział woźny z ukłonem — że się nie takie rzeczy słyszało i gadało!...

Na drugi dzień (a była to niedziela), w mieszkaniu Zakuty ukazał się woźny z dwunastoma butelkami francuskiego wina. Pan Flawijan oniemiał usłyszawszy, że rozweselający duszę trunek ten przysyła mu dyrektor, jako dowód uznania zasług.

— A może się Kacper omylił?— pyta Flawijan, dotykając drżącemi rękoma brudnych butelek.

— Com się miał omylić! — odparł woźny. Przecie to na moje wstawiennictwo!... Ledwiem powiedział, że pan *sekretarz* namówił tamtych, ażeby album na imieniny staremu kupili (co się w naszem biurze nie trafiało do tych pór!), a on zaraz do mnie: Mój bracie! skocz ino do piwnicy i wybierz tuzin butelek najstarszego francuskiego wina, tego, co stoi na półkach po prawej ręce... Bo na wczorajszy bal braliśmy z lewych półek. Niech pan Zakuta wie, że kiedy on się zna na grzeczności, to i ja nie jestem kiep!... Tak, panie *sekretarzu!* sam to wino wybierałem i wiem, co warte!...

Tak reklamując dobroć wina i własne zasługi, tudzież i tytułując Zakutę sekreterzem, którym nasz przyjaciel nigdy nie był, woźny kalkulował, że przynajmniej rubelka dostanie, choć nie pogardziłby i trzema. Na nieszczęście pan Flawijan nie był dziś przy drobnych, a żona z domu wyszła. Ledwie zatem udało mu się wycisnąć ze służącej dwa złote i groszy siedem, które uprzejmemu woźnemu z pewnem zakłopotaniem ofiarował.

Oficjalista biurowy, zamiast ścisnąć dłoń, rozszerzył ją bardziej, niż zwykle i przeliczywszy na prędce pieniądze, rzekł obrażony:

— Aaa... co tego tom się po panu nie spodziewał... Żeby mnie, za moje dobre serce, tak skompromitować!...

— Kochany!... kochany!... —bełkotał Flawijan.

— Za taką usługę, panie, należałoby się choć ze trzy rubelki. No, ale ja wiem, że pan nie ma tam pensyi tak znowu... W każdym jednak razie, rubelek...

— Kochany!... — przerwał mu Zakuta—ja tylko na tymczasem... na tymczasem... dopóki moja żona nie wróci... Ale gdy wróci, to... wstąpcie do nas popołudniu, a rubla...

— Upadam do nóg panu sekretarzowi! — odparł woźny, widząc, że już bez skompromitowania się może schować do kieszeni drobne, jako procent.

I wyszedł z obietnicą stawienia się po południu.

Ze smutkiem wyznać musimy, że Zakuta pewny był, iż od żony nic nie wytarguje, pa-

ni bowiem gniewała się na niego za ową nieszczęsną składkę na album. Jeszcze więc nie ucichły kroki Kacpra na schodach, a bohater nasz wypatrywał już oknem handlarza, któremuby mógł odstąpić drogi podarunek i dotrzymać obietnicy woźnemu. Czuł, że niedotrzymanie jej byłoby złą polityką.

Istotnie handlarz ukazał się na podwórzu i wezwany stanął w mieszkaniu Flawijana.

— Ma pan starzyznę? — pytał. — Surdut, spodnie, kalosze...

— Co tam starzyznę! Wino mam wyborne — odparł Zakuta.

Handlarz skrzywił się, lecz pomyślawszy, rzekł:

— Co mam dać za to?

— Odstąpię ci sześć butelek, po... No, jak dla ciebie, po rublu!

Żydek ruszył ramionami, zwinął swój wór i chciał odejść.

— Po czemu więc dasz? — spytał zrozpaczony kandydat na sekretarza.

— Jak dla pana — po czterdzieści groszy!

— Kpisz sobie! — krzyknął Flawijan. — Wiesz ty, od kogo to wino?...

— Może sobie być od samego Krzymińskiego, ale ja więcej nie dam!

Targ w targ, zgodzono się po pięćdziesiąt groszy za butelkę i Zakuta wziął za sześć butelek dziesięć złotych. Z sumy tej zwrócił dług służącej, rubla odłożył dla woźnego, sam zaś na drobne wydatki zyskał złoty i groszy trzy.

Ponieważ do obiadu było jeszcze parę godzin, Zakuta więc ubrał się, wziął cztery butelki wina do kieszeni i do rąk i wyszedł na miasto. Plan jego był głęboki. Wypić wino w domu, to nie sztuka; lepiej będzie obdzielić niem osoby bliższe i zaskarbić sobie ich względy.

O parę ulic od jego domu mieszkała ciotka jego żony, zasilająca, jak wiemy, szczupły budżet Zakutów małym, kwartalnym datkiem. Flawijan do niej poszedł przedewszystkiem i — opisawszy za pomocą kilku gorących zwrotów swoją wdzięczność za dotychczasowe dobrodziejstwa — ofiarował staruszce dwie butelki. Dama serdecznie podziękowała za płynny dowód pamięci, wyraziła głęboką nadzieję, że wino powinno jej zrobić dobrze, a gdy Zakuta odchodził, przypomniała mu, jak zwykle, aby pilnował żony. Ze sposobu, w jaki pożegnała go, Flawijan odgadywał, że papiery jego na giełdzie ciotki żoninej stoją w tej chwili świetnie. Co prawda, był to pierwszy podarunek, jaki w życiu zrobił staruszce.

W innej stronie tego samego cyrkułu mieszkał drugi dobrodziej Zakuty, pan Tomasz, który bohaterowi naszemu, w razie gwałtownej potrzeby, pożyczał po kilkanaście rubli na skromne procenta. Ponieważ Flawijan pragnął rozszerzyć to źródło kredytu, zaniósł więc i panu Tomaszowi dwie butelki wina.

Gdy wszedł do mieszkania, znalazł starego jegomości przy spirytusowej maszynce, w której „dobrodziej" gotował sobie ziółka.

— Witam pana radcę! — zawołał Flawijan. (W mieście naszem każdy łysy ma prawo do tytułu radcy). — Jak się pan radca miewa?

— Źle! źle! — odparł Tomasz, nie wstając z krzesła. — Znowu miałem żółciowy atak... Wyobraź sobie, że moja, ta glupia, bo już inaczej powiedzieć nie mogę—Janowa, wyrzuciła mi jeden pantofel na śmiecie!...

— Łotr baba!... Ale ja tu na pocieszenie przyniosłem panu radcy dwie butelki wina. Panie... nasz dyrektor mi je podarował, a za kilka... kilka tygodni chce mnie zrobić swoim sekretarzem... Mówił mi to woźny!...

Pan Tomasz myśląc, że po za temi butelkami kryje się żądanie przynajmniej dwudziestopięciorublowej pożyczki, skrzywił się jeszcze bardziej.

— Eh! to nie potrzebne... —mówił, biorąc butelki i stawiając je na podłodze. Oj! ta żółć... Chciałem właśnie poprosić doktora do siebie, ale — czy uwierzysz, mój Flasiu?—nie mam ani grosza zbywających pieniędzy!...

Flasia, który był jeszcze winien radcy kilka *rubelionów*, ciarki przeszły.

— Na co panu radcy doktór?—zawołał.— Niech się pan tego wina napije i wszystko przejdzie. Na żółć nie ma jak wino, osobliwie tego gatunku...

— A nie zaszkodzi mi? — pytał skrzywiony radca.

— Ale zkąd zaś!...

— Bo ja zawsze myślę, że możeby lepiej wezwać doktora?...

— Nie potrzeba, jak panu radcy zdrowia życzę! – upewniał Flasio, miętosząc w rękach kapelusz.

W chwilę potem wymknął się z pokoiku Tomasza, jak lis, któremu żelaza ogon przycięły. Pot go oblewał na myśl, że cierpiący radca może zażądać natychmiastowego zwrotu reszty pożyczonej sumki.

Radca znowu nie zatrzymywał go, dziękując niebu, że się tak dowcipnie zabezpieczył od udzielenia Zakucie nowej pożyczki, przed odebraniem pozostałych kilku rubli. Gdy przyszły sekretarz wrócił do domu, nie zastał tam ani żony, ani butelek. Zadziwiło go to.

— Proszę pana — mówiła tymczasem sługa—pani tu była z panem Zenonem i jak się dowiedziała, że pan obiecał woźnemu rubla, sześć butelek żydowi sprzedał, a cztery wyniósł na miasto...

— Któż jej o tem powiedział? — krzyknął przerażony Flasio.

— Sama się widać dorozumiała... Tak pani, mówię panu, wzięła — złapała te obie butelki i — cisnęła w szaflik. Aż po kuchni bryznęło!...

Zakuta wysłuchawszy tego, *wziął*, kapelusz na głowę mocno naciągnął i — wybiegł z domu, ślubując sobie, że nie wróci wcześniej, jak po północy.

. . . .

Na drugi dzień, od wschodu słońca, żona do niego nie przemówiła ani wyrazu.

Ponieważ samowar o dziesiątej nie był jeszcze gotów, Zakuta więc poszedł „na czcze serce” do biura.

. . . .

Gdy wrócił o piątej po południu, zastał w domu nieopisany rejwach. Żona — jakiemuś posłańcowi nie chciała zapłacić piętnastu groszy za list i jakiegoś żydka wyrzuciła za drzwi.

Flasio, zaspokoiwszy słuszne pretensyje posłańca, wziął od niego list i nim zdążył go rozpieczętować, został w gwałtowny sposób zaatakowany przez żydka.

— Co to pan sobie myśli — wołał starozakonny, uzbrojony dużym workiem—co to pan sobie myśli, żeby takie „świńskie” wino sprzedawać?... Kiedym go dziś odstąpił jednemu panu, to ledwie co powąchał, już mnie ze schodów zepchnął. On powiedział, że to trucizna nie wino i wszyscy co pokosztowali, gadali też, że to trucizna, nie wino... I ja się jeszcze wykupić im musiałem, bo mnie chcieli do cyrkułu prowadzić...

— Gdzie to pan fabrykuje takie wino?...

— Ależ ja to wino dostałem od naszego dyrektora!

— Nu, to pańskie szczęście, bo on za panem świadczyć będzie w sądach.

— Jak to—kupiec chcesz mnie skarżyć?...

— *Za co* nie?... Pan mnie wczoraj przecie chciał okpić!... Mnie ze schodów zrzucili, mnie każda butelka więcej niż za dwa ruble zdrowia kosztuje! Ja mogę zbankrutować przez te parszywe dyrektorskie wino!...

— Co ty mówisz? —pytał Flasio śmiertelnie przerażony.

— Ja to mówię, że niech mi pan zwróci za moje straty dziesięć rubli... Ja pana gubić nie chcę... A jak pan nie zwróci, to ja do sądu pójdę. W tych nowych sądach jest takie prawo, że jak kto wino sfałszuje, czy mleko, czy masło, czy mięso, to tak idzie do kryminału, jakby weksel sfałszował. Ja wiem, bo mój szwagier miał tam proces.

— Ależ to wino od dyrektora...

— Niech ono sobie będzie od samego rabina, to mnie ktoś musi wrócić zdrowie i koszta i kompromitacyję i ze schodów spychanie i wiarę, co ja u ludzi straciłem... Jak ta sprawa pójdzie pod sąd, to pan ze sto rubli zapłaci!

Teraz odezwała się do Flasia jego żona.

— Dobrze ci tak!... Przez ciebie wyparła się nas ciotka, którą chciałeś struć...

— Struć ciocię?... — wtrącił żydek. — Za taką rzecz, to już jest kryminał.

— Co ty mówisz, kobieto?... — krzyknął Zakuta.

— Tak, chciałeś ją struć winem — mówiła zaperzona dama. —Stara waryjatka uwierzyła ci, napiła się mikstury i dostała boleści na całą noc. Dziś byłam u niej, a ona mówi, że się nas wyrzeka i że za mieszkanie płacić dłużej nie myśli. Masz, coś chciał!...

— Da pan zgodnie dwanaście rubelków?— pytał żydek.

— Idźcie... idź do licha!...—wrzasnął zrozpaczony Zakuta.

— Idę!— zawołał handlarz. —Jutro przyjdą tu po pana żandarmi...

Flasio już nie słuchając go, rozdarł kopertę, na której poznał adres pisany ręką Tomasza. List rzeczywiście był do niego:

„Panie Zakuto!—pisał radca. —Nie wiem, jakie pan miał wyrachowanie w podsunięciu mi dwu butelek wina (Nr. 2), które po użyciu okazało się być dla mego żołądka niebezpiecznem. Po takim czynie nic mi już nie pozostaje, jak prosić go o zerwanie bliższych ze mną stosunków i zwrócenie pozostałych rubli srebrem czterech (Nr. 4). Co się zaś tyczy zamachu na moje zdrowie, niech sąd o tem rozstrzygnie“.

Flasio osłupiał. A więc wszyscy posądzają go o mordercze plany!...

Podejrzenie to wydało mu się tak ciężkiem i niebezpiecznem, że nie zastanawiając się, pocwałował do mieszkania dyrektora.

— Panie dyrektorze! — zawołał zadyszany—niech pan mnie ratuje!...

— Cóż się stało?...

— Trzy osoby chcą mnie skarżyć do sądu, żem je otruł tem winem, które mi pan przysłał!... Ach! panie dyrektorze...

Zwierzchnikowi zrobiło się markotno.

— Żartują z pana — rzekł.

— Ale gdzież tam, grożą!... Żyd chce dziesięć rubli... Ciotka...

— A pocóżeś pan żyda winem częstował?

— Ja nie częstowałem, panie dyrektorze, ja mu sprzedałem sześć butelek...

Zwierzchnikowi zrobiło się jeszcze markotniej.

— Istotnie—rzekł —Kacper przez omyłkę wziął wino z prawej półki, no... a ono trochę jest zepsute... francuskie wina prędko się psują... Ale cóż ja panu mam zrobić?...

— Dobrodzieju, nic!... tylko—zeznać w sądzie pod przysięgą, jak było!... O! panie, gdyby pan wiedział, ilu mam nieprzyjaciół, którzy mnie chcą zgubić!...

Zwierzchnikowi zrobiło się już całkiem, ale to całkiem markotno. Pomyślał, popatrzył na Zakutę i odparł:

— Nie myślę wypierać się, że przez pomyłkę dano panu zepsute wino z mojej piwnicy, ale...

— O, dziękuję panu dyrektorowi!... stokrotnie upadam do nóg!...—mówił płaczliwym głosem Flasio.

— Dobrze to wszystko, ale nim pana zaskarżą, podaj się pan do dymisyi z mego biura i to jaknajśpieszniej—rzekł dyrektor, a potem dodał półgłosem:

— Tak nierozgarniętego urzędnika trzymać dłużej nie mogę!...

. . . .

Tym sposobem nierozgarnięty choć usłużny Flawijan stracił po raz drugi posadę, a co dziwniejsza — żonę, której losem zajął się jeden z kuzynów.

Wypędzony z urzędu, opuszczony przez wszystkich, wyszedł Flasio, jak to mówią, na dziady. Często potem opowiadał ludziom swo-

ją tragiczną historyję i kończył ją zwykle w taki sposób:

— Mój panie! Jeżeli masz możność potemu, bierz od wszystkich: od publiki, od woźnych, od kolegów nawet, ale nigdy od starszych. Starszy powinien tylko brać, bo jeżeli on da, to z pewnością bokiem ci to wylezie, tak jak mnie!...

B. Prus. (p. t. I, str. 108).

Termometr.

— Idź kochanko do jadalnego pokoju — mówiła pani do służącej — i zobacz, co tam termometr pokazuje.

— Proszę pani — powiedziała służąca, wróciwszy — termometr nic nie pokazuje, ale stoi spokojnie na kominku.

Teść.

* *Z pamiętników teścia.*

(In partibus).

Od młodości miałem dziwne nabożeństwo do Ś-ej Zofji.

Matka moja była Zofija, siostra też i żona moja nie inne nosiły imię.

Z tego to zapewne powodu niebo obdarzyło mnie trzema córkami.

Kocia, Klocia i Locia! Piękne imiona, nieprawdaż?

Kocia była jak malina, Klocia jak truskawka, Locia, moja pieszczoszka, jak porzeczka.

Cóż ja temu winienem?

Raz, było to w lipcu, temu lat dziesięć, przychodzi Kukasiński, mój ekonom i powiada:

— Ktoś przyjechał.

Wychodzę na ganek: czwórka siwa — z powozu gramoli się sąsiad, stary wdowiec. Miał może ze siedemdziesiąt lat.

Ja do niego kordyjalnie, a on jakiś uroczysty, jak proboszcz, kiedy na ambonę wstępuje.

Zdejmuje zwierzchnią odzież, patrzę — we fraku.

Proszę do salonu, siadamy.

Stary zaczyna prawić.

— Wiesz sąsiedzie, żem bogaty.

— Wiem, wiem. A w duchu dodaję: żebyś ty mi pieniędzy pożyczył!...

— I żem jeszcze rzeźki i zdrów.

— No, myślę sobie, powiadają, że moje fornalki gałgany, ale zawsze trochę rzeźwiejsze. A głośno odpowiadam:

— A widzę, panie, widzę...

— Otóż, uważa sąsiad dobrodziej, ciesząc się jeszcze wcale dobrem zdrowiem i pałając gwałtowną... tu kaszel przerwał mu mowę. Kaszlał, kaszlał... nareszcie prawi dalej:

— Cóżem to chciał powiedzieć, aha! pałając, uważasz...

— Uważam, sąsiad dobrodziej pała.

— Powiedz raczej, że płonie. Otóż płonąc gwałtowną miłością ku jednej z twych córek, oświadczam się o rękę jednej z tych panienek i proszę cię, kochany sąsiedzie i przyjacielu, bądź mi teściem. Zrobię jej zapis, a i tobie także dopomogę, bo wiem, że cię żydzi męczą i że już zeschłeś, jak wielkanocna maca. Cóż ty na to, drogi przyjacielu?

— A nic.

— Jakto nic?

— Żebym był swoją własną córką, co jest niemożebnem z przyczyn, których objaśnienie zabrałoby nam dużo czasu, tobym sąsiadowi zaraz odpowiedział; ale ponieważ tak nie jest, muszę się o to zapytać osoby bliżej interesowanej.

— Więc idź i zapytaj, bo usycham z obawy i niecierpliwości.

— Panie, mówię, ja mam trzy córki...

— Aha! nie wiesz o którą idzie — ma się rozumieć o najstarszą.

— Kociu! — wołam.

Przychodzi Kocia.

— Słuchaj, moje dziecko, idzie tu o twój los. Obecny tu sąsiad nasz i dobrodziej oświadczył się o twoją rękę i prosi o odpowiedź.

Kocia zarumieniła się.

— Kochany tatku—rzekła—pan robi nam wielki zaszczyt, ale jabym wolała, żeby może Klocia...

I wybiegła z pokoju.

— Ot, widzi pan— rzekłem — tak to z temi dziewczynami, powie ni w pięć ni w dziewięć i w nogi.

— A, no — rzekł wzdychając wiekowy adonis—uderzmy do panny Kloci.

Uderzyliśmy, ale Klocia ani weź. Płacze, ucieka po kątach, chowa się, powiada, że do klasztoru wstąpi, że się utopi (szczęściem, sadzawka moja, dzięki trafnemu prowadzeniu gospodarstwa rybnego, od lat czterech wyschła). Ani w prawo, ani w lewo.

Pozostała nam Locia.

Ja tedy do niej:

— Lociu, dziecko moje, sąsiad robi nam zaszczyt, oświadcza się o twoją rękę... prościej mówiąc, chce się z tobą ożenić.

A ona do niego wprost:

— Ze mną, koniecznie? A no, jeżeli to panu dobrodziejowi nie zrobi subjekcyi — to i owszem.

Stary do góry podskoczył, aż coś w nim zgrzytnęło.

— Ależ, najmniejszej! jak pannę Locię kocham! Najmniejszej, owszem, satysfakcyję mi zrobi. I zaczął ją całować po rękach, mnie po ramieniu, ja jego po łysinie, przyszła Kocia i Klocia: zaczęliśmy wszyscy płakać, tak że do dziś dnia w tym pokoju jest wilgoć.

Szczęśliwy starowina pojechał.

Przez trzy miesiące potem chorowałem na wyprawę; mój przyjaciel Icek, słowianin prawdziwy i kapitalista, wypatroszył swój szanowny pugilares, a ja zapisałem ryzę papieru na same rewersa.

Już to kto pisanie wynalazł, zda panu Bogu ciężki rachunek... taki, jak ja Ickowi.

Nareszcie przychodzi dzień ślubu. Icek przywiózł wino i jeszcze niektóre sprawunki, gości huk, Locia w bieli, czekamy tylko na pana młodego... hm!...

Jakoś go nie widać, zaczynamy się niepokoić.

Mija godzina, dwie, trzy, starego ani widać. Nareszcie pędzi konny posłaniec.

Poznaję zdaleka. Koń my go niedoszłego zięcia.

Wpada na dziedziniec chłopak i oddaje list.

Rozrywam i czytam:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Ponieważ pryncypał mój przed dwoma godzinami dostał apopleksyi, skutkiem której życie zakończył, przeto przeprasza, że na ślub przybyć nie może i zarazem zaprasza na wyprowadzenie zwłok swoich na miejsce wiecznego spoczynku. O co w imieniu zmarłego uprasza z mocy plenipotencyi

Józef Swendziszewski
plenipotent główny.

— Otóż masz!

Sąsiedzi rozjechali się; Kocia, Klocia i Locia płakały, a Icek na dziedzińcu rwał włosy z głowy i wołał:

— Er yst fyn dy apochlepsje cymtojd! fyn dy apochlepsje— a ganef! a paskidnik, a myszygene kopf... gdzie ja będę moich pieniądzów odbierał?!

Doprawdy, tego i ja nie wiedziałem i do dzisiejszego dnia nie wiem. Icek wpakował się na hypotekę i siedzi szczęśliwie po dzień dzisiejszy.

A ja czekam zmiłowania Bożego.

Upływa lat kilka. Dziewczęta moje kwitną, jak różyczki, Kocia szczególniej nabiera cudownej tuszy.

Czekamy — nie sposób, żeby się jaki hrabia nie trafił.

Niestety, nie trafił się, ale się trafił geometra— porządny chłopak. Już byli z Kocią po słowie, przyjeżdżał do nas co sobota na polowanie, dawałem mu dobre wino... a wcale porządnie trąbił. Taki to już gatunek ludzi. Znowu chorowałem na wyprawę, znowu przebyłem ciężką kampanię z Ickiem, który ostatecznie nie jest tak złym, jak go pan Jeleński wystawia.

Ale mój przyszły zięć miał jedną wielką wadę: był ciekawy.

Z ciekawości tej—bo tylko z ciekawości—zajrzał do hypoteki: jak zobaczył dział czwarty, tak się przeląkł okropnie, że uciekł—i do dnia dzisiejszego znaku życia o sobie nie daje.

Co dziwnego! jabym zrobił to samo, choć jestem śmielszej natury.

Powiadają o nim, że jest w Warszawie i że łącząc piękne z pożytecznem, ożenił się z córką rzeźnika i dziś mierzy kiełbasy, nie na morgi wprawdzie, ale na funty i łuty.

I to praca... a zysk cudowny.

Panny moje były w pełni rozkwitu.

Szczęście zaczęło się uśmiechać Kloci.

Bywał u nas blondynek, cudownej powierzchowności chłopaczek, idealny, jak panienka, a przytem kancelista.

Tymczasem niby to nic, ale w przyszłośc zawsze coś...

Miał nadzieję awansu, był cichy, posłuszny, nikomu wody nie zamącił.

Dość powiedzieć, że prenumerował Bluszcz Pisywał nawet do Kloci sonety na blankietach bankowych...

Klocia kochała go szczerze i ja nie miałem nic przeciwko temu, z warunkiem jednak, żeby zaawansował.

On przyrzekł mi święcie, że to uczyni pracował za dwóch, nocami częstokroć jeszcze fałdów przysiadywał.

I rzeczywiście naczelnik zwrócił na niego uwagę.

Pewnego razu zawołał go do siebie i rzekł:

— Panie, widzę, żeś chłopak pracowity i porządny...

Blondynek się skłonił.

— Nie wątpię również, że masz charakter zacny i prawy... dla tego pragnę ofiarować ci posadę buchaltera.

— Panie naczelniku, wdzięczność moja nie ma granic— tem więcej, że chciałbym już zerwać z kawalerskiem życiem.

— Śliczna myśl, tembardziej, że do posady buchaltera przywiązany jest śliczny serwitut... przyjmę cię do grona mojej rodziny i będziesz mężem córki mej Izabelki.

— Panie naczelniku, kiedy ja już oddawna...

— Wiem, wiem, oko moje bystro wszystko wyśledzi i wytropi. Oddawna ją kochasz, żenowało cię to trochę, że ma jedno ramię niższe, to głupstwo — dziś sztuka wypychania stoi tak wysoko, że gdyby nawet nic nie miała... ale co o tem mówić... błogosławię ci.

— Panie, ja się staram oddawna o kogo innego.

— Tak?... więc pod ułudną maską pokory i uprzejmości kryjesz pan brutalne instynkty oporu władzy zwierzchniczej, pogardę dla swych opiekunów?... Robisz pan zawód młodej osobie, która go kochała całą siłą młodzieńczego uczucia?... Dobrze, że ta maska wcześnie spadła... Lecz wiedz pan o tem, że ja do surowości zwierzchnika łączę wyrozumiałość ojca, który przygarnął marnotrawnego syna... daję więc panu trzy dni czasu do namysłu... po trzech dniach wybierzesz pan awans lub dymisyję.

Blondynek płakał... Klocia płakała, ale blondynek wybrał awans, ożenił się z Izabelką, wypchał jej ramię — i żyje szczęśliwy.

Upłynęło lat kilka.

Dziewczyny moje kwitną, jak malwy... wyprawy butwieją w szafach, a mój przyjaciel Icek, który studyjuje gruntownie moje gospodarstwo, pyta mnie co tydzień:

— Ny, a kiedy panienki sobie ożenią?

— A czyż ja wiem, mój Icku!...

Teściowa.

* Mówiła do mnie raz teściowa,
Że damskie mody cenić umię,
Więc pyta przeto: jej do twarzy
Najlepiej w jakim jest kostiumie?

Żem pozbyć baby chciał się prędzej,
Więc rzekłem: —Mamie strój ten służy...
— No jaki, mówże drogi zięciu?
— Co... damy do... podróży... biorą...

Testament.

* *Testament pijanicy.*

Gdyby mnie pijaństwa siła z tego świata wy-
[pędziła,
Niech mnie w próżną beczkę włożą i taki na-
[pis położą:
„Tu leży, co całe życie na śmierć się
[sposobił,
Gdyż sobie sam trumnę zrobił".

* Ktoś zapisał testamentem przyjacielowi stare wino z warunkiem, aby je wypił za zdrowie ofiarodawcy.

Tłum.

* Szatan jest tchórz, boi się zostać w samo-
[tności,
I dla tego najczęściej między tłumem gości.
A. Mickiewicz (p. t. I str. 19).

Toaleta.

* *Toaleta starej wdowy.*

Gdy przyszło się rozbierać, pani włosy zdjęła,
Potem oko po oku i zęby odjęła;
Dalej piersi i biodro, po biodrze łopatkę,
I to wszystko gdy sobie układa w szufladkę,
Nowo przyjęta panna za głowę ją chwyta;
„Co czynisz, waryjatko?" — z gniewem ją za-
[pyta.
„Nie wiem, ona odpowie, ja tylko próbuję,
„Czy się pani i głowa na noc nie zdejmuje".

Ton.

* *Nowy ton dawnej pieśni.*

Mistrz, zdradzony przez Marylę,
Widząc miłość w poniewierce,
Rzekł w natchnienia boską chwilę:
Oh! miej serce i patrz w serce!
Lecz ze zmianą dążeń w człeku
Zmienić trzeba słów porządek,
Mówiąc w myśl naszego wieku:
W kieszeń zerkaj — miej rozsądek!

Topielec.

* *Omal nie topielec.*

Ciemno było na ziemi, na niebie i... wszędzie,
Po dniu, który jak ogień piekąco był skwar-
[ny,
Na moście tajemniczo stał cień jakiś czarny
I trzymał w ręku dziwne, zabójcze narzędzie!!
A był to niby kindżał, niby wielka igła,
Błyszczało to „coś" w nocy, jako kocie oczy,
Mróz mu kości przebiegał i krew w żyłach
[stygła,
Na myśl samą, że cień ten do Wisły nurt sko-
[czy!!
Lecz stała nieruchomo postać tajemnicza,
A gwiazdy przestraszone pierzchały za chmu-
[rę,
A księżyc skrył za obłok połowę oblicza,
I w ciemnościach pogrążył wszechświata na-
[turę!!
Gdy, wtem woda zadrżała z jakimś dziwnym
[szmerem
I rozpruły się do dna bałwany ponure,
A cień zadrżał... i poszedł!
Cień był reporterem,
Co skwapliwie notował w moście nową...
[dziurę!!

* Pewien rzekł, iż w jego oczach człowiek utonął. — A już też to farsa nad farsami—odpowiedział drugi. — „Jakto farsa? gotów jestem na to przysiądz!" — „Próżnobyś przysięgał, bo każdy przyzna, że ów człowiek utonął chyba w wodzie, ale nie w twoich oczach..."

Towarzystwo.

* *Sentymentalne towarzystwo* [1]).

Wiesz, mój szanowny czytelniku, żem się starał o plac sekretarza i redaktora dziennika „Sentymentalnego Towarzystwa", bo się tak zgromadzenie płci pięknej pod prezydencyją

[1]) Jest to ustęp z „Próżniacko-filozoficznej podróży po bruku", zamieszczonej w „Wiadomościach brukowych" wileńskich w roku 1819.

Klimeny nazywa. A żem tak długo nic o niem nie wspomniał, mogło ci się zdawać, że moje zabiegi były daremne, i że kto inny pochwycił ten honorowy placyk. Otóż ci teraz z ukontentowaniem donoszę, żem przecie dokazał swego. Kto zna świat, tak jak ty, czytelniku kochany, łatwo się domyśli, że zapowiedziane zgromadzenie prędko się zebrać nie mogło. Naturalnie, w wielkich przedsięwzięciach trafia się na wielkie trudności. Więc zdarzyły się i tu przeszkody; to wieczory, to teatr, to *fety* [1]). Często już się Towarzystwo zbierało, gdy nagle przyniesiony bilet doniósł o jakim nieprzewidzianym wypadku. Często wydarzała się nagła słabość nerwów, lub niespodziana *wizyta* (odwiedziny). Czasem potrzeba było dla zdrowia wyjechać na kilka dni z miasta. Bywała przytem to żałoba z przyczyny śmierci suczki lub kanarka; to niedokończona lub zepsuta suknia; to nagły przyjazd *kuzyna* lub *kuzynki* [2]), to tysiączne inne tym podobne zdarzenia: co tamowało i ociągało już mające się rozpocząć obrady.

Lecz gdy nakoniec niecierpliwa Klimena zgromadziła u siebie znakomitsze członki, roz kazała przynieść herbatę. Tymczasem zapowiedziano w przedpokoju, ażeby nie przyjmować mężczyzn; mężowi kazano iść do teatru; po mnie zaś posłano sanki, z zaleceniem ażeby siedzieć cicho w garderobie, dopóki mię nie zawołają. Klimena tego dnia z nowym i dotąd niewidzianym wdziękiem wonny nalewając i rozdając napój, tak się nakoniec odezwała poważnie:

— Prawdziwie rozumiałam, że z mojego projektu nic nie będzie [3]). Jakżeście też niedbałe! Czy chcecie, żeby nas mężczyźni mieli sprawiedliwie za nic, i sami uczone towarzystwa składali? Widzę oczywiście, że tego chcecie. Od kilku tygodni nie możemy się nietylko zorganizować, ale nawet zebrać. *Ma chère Hortense*, dopókiż ciebie będą zęby bolały? Zapomniałaś, że my tu bez ciebie nic nie zrobimy; bo ty przecie czytasz i trochę piszesz po polsku. I ty, kochana Pamelo, zawsze masz niewczesne wymówki. Co to za racya, że mąż przyjechał! Zostaw go w domu z komisarzem, albo jakim ekonomem; to jego ulubiona kompanja. Czy tobie z mężem jeszcze się nudzić! — *A propos*; jakże będzie z naszym sekretarzem? Przy pierwszem zgromadzeniu się naszem, podawałam wam człowieka, z biedy dość na to zdatnego; bo i po francuzku nie źle umie, i po polsku może za nas pisać. *D'ailleur un bon diable.* Nie podobał się wam, że trochę stary; że nie elegant, macie go nawet podobno za szubrawca. Co za to, to ręczę, że nie, bo ten człowiek ma bardzo piękne *principia. Il est un peu mal élévé*; ale cóż robić? Ja was upewniam, że sama pisać nie będę. *Hortensyja* umie pisać po polsku, ale także nie zechce. Nasza młodzież, wiecie, że mniej umie od nas. Zatem jeszcze wam go raz polecam, lub przedstawcie mi kogo lepszego.

— Radabym znalazła kogo innego, odezwała się *Hortensyja*, ale cóż kiedy u nas nie ma ludzi. Mam ja wiele, i bardzo wiele przeciw niemu zarzutów; ale skoro przyrzeka stosować się we wszystkiem do naszej woli, więc niechaj z biedy i będzie.

— Jabym raczej była za tem, odezwała się Łucyja, żeby tu nikogo obcego nie wpuszczać; bo to mogą być nieskończone *pasztety* [4]).

---

[1]) Za pozwoleniem, muszę cię, kochany czytelniku ostrzedz. że to jest wyraz techniczny i znaczy po naszemu ucztę, biesiadę albo gody

[2]) Także techniczne wyrazy.

[3]) Piękna ta mowa powiedziana była niemal całkiem po francusku i tak mi ją do protokółu oddano. Ale ja, kochany czytelniku, cobym rad zawsze z tobą po polsku mówił, choć nie wiem, czy mi się to zawsze udaje, przetłomaczyłem ją wiernie, zachowując tylko niektóre wyrazy francuskie tam, gdzie są potrzebne dla piękności lub gdzie ich przetłomaczyć nie można. Bo trzeba żebyś wiedział, iż niektórzy mądrzy i nieskończenie uczeni ludzie uradzili, że się nasz język ani umywa do francuskiego. Oj!... ucz się kochanku po francusku, bo bez tego ani weź.

[4]) To jest także wyraz techniczny, a damskie te pasztety, czytelniku, są cokolwiek trudniejsze do strawienia aniżeli kucharskie.

A potem, czy ten człowiek pozna się na wartości naszych robót? Czy będzie je umiał przyzwoicie ocenić? On, *par ignorance*, gotów się z nas naśmiewać. Czy nie możnaby tak zrobić, żebyśmy koleją pióro trzymały? a napisać do Paryża po atrament pachnący, któryby nic rąk nie walał, a którybyśmy tylko same czytać mogły.

— Ach! mój Boże!... a czy jest taki atrament? — odezwało się całe zgromadzenie razem. Coby to był za skarb!...

— Rozumiem, że jest — odpowiedziała Łucyja — a gdyby nie było, to go wynajdą. Czego w Paryżu nie wymyślą?

— Bardzo dobrze — odezwała się Klimena — ale nim to będzie? — Nim to będzie!... dało się słyszeć kilka głosów razem... — Do czasu zgoda na kandydata! *Helas*!... zgoda.— odezwała się Hortensyja.

A tak za danym przez Klimenę znakiem, zostałem wprowadzony do sali.

Nie masz, kochany czytelniku, języka, którymby uczucia moje w tym ważnym momencie wiernie wytłumaczyć można. A ja, choćbym miał ochotę, przyznam ci się, że nowego języka komponować nie myślę. Strach teraz wynaleźć choć jedno słówko, kiedy krytykuje nawet Miesięcznik. Może powiesz, że to za panią matką pacierz? Mniejsza o to, ale zawsze krytyka; a krytyka to nie żart!

Kto czytał historyję, zapewne wie, jak Cyneasz stanął z otwartą gębą, jak wryty, uderzony wspaniałością rzymskiego senatu. Cóżbyto dopiero z nim było, gdyby był zobaczył ustanowioną później od Heliogabala wielką radę w czepkach, daleko świetniejszą, strojną, ładną i grzeczną. Bo czy może co wyrównać dostojności magistratury, która na cały wypolerowany świat układa, stanowi i ogłasza mody; która przepisuje etykiety i o nich sądzi; która naznacza krój karetom, a strojom i stroikom przyzwoitą formę; ustawia w pokojach i salach kanapy i stołki i stanowi: kto, kiedy, na jakim i jak ma siedzieć; zwłaszcza jeżeli ta magistratura jest ładna, ubrana podług najlepszego gustu i wyperfumowana, a zatem zachwycająca, porywająca i uderzająca wszystkie zmysły razem. Nie masz teraz narodu, któryby się na drugi podobny senat mógł zdobyć, bo upadł gust, upadły kunszta i nauki. Z biedy chybaby w Paryżu coś podobnego utworzyć można.

Nie tak wprawdzie uderzające, nie tak poważne, nie tak jest znakomite nasze Sentymentalne Towarzystwo; ale niemniej ozdobne, niemniej piękne, a daleko czulsze, owszem tkliwe i prawdziwie rozrzewniające. Na samo zbliżenie się do niego jakaś nieopisana tkliwość porywa za serce, nerwy wszystkie przenika i napawa całą istotę człowieka. Jest to jakieś rozrzewnienie, jakieś upojenie przyjemne, którego nikt nie opisze. Nie byłem ja wprawdzie na obiedzie w Olimpie, alem się o nektarze do sytości naczytał. Wiem, że był bardzo smaczny, wiem, że na jego wspomnienie oblizywali się grecy i rzymianie, wszelako powiem, z przeproszeniem ichmościów, że słodycz nektaru jest niczem w porównaniu z owem upojeniem rozkosznem, jakie sprawuje wysoka i czysta sentymentalność. A wreszcie nie wiem; nie będę się sprzeczał, bo może piwowar Jowiszów z sentymentów nektarek warzył, zwłaszcza dla bóstw płci żeńskiej. Zostawiam to do rozstrzygnięcia ichmość panom starożytnikom i helenistom. Ja zaś szczerze ci powiem, czytelniku kochany, że gdyby nie wiedzieć jak sobie głowę łamać, to tego nie opiszę i dalibóg niewiem, co to było. Zdawało mi się, jakobym wszystkie grube i prostackie części mojej istoty za drzwiami zostawił. Wprowadzony, wpadłem w zachwycenie prawdziwe, rozumiałem szczerze, że jestem na polach Elizejskich; dziwno mi tylko było, jakem się tam dostał bez spotkania się wprzód ze starym Charonem i z owym przeklętym Cerberem, który wprzód umarłych na wszystkie strony oszczeka, nim do wieczności wpuści. Prawdziwie, rozumiałby kto, że to recenzent jaki.

Skorom ochłonął i cokolwiek przyszedł do

siebie, Klimena wskazała mi palcem moje miejsce, którem natychmiast zasiadł za prześlicznym stolikiem. Po czem ładna prezydująca wyłożyła mi w krótkości moje obowiązki, z których, prawdę mówiąc, były niektóre dość twarde. Np. żebym przed każdem posiedzeniem wziął kąpiel i odmienił bieliznę. Żebym się zlał całą flaszką wody kolońskiej. (Choćby i dwiema — odezwała się Pamela). Żebym nigdy nie wchodził do zgromadzenia w butach, ale w trzewikach i jedwabnych pończochach. Żebym natychmiast porzucił mojego krawca, który jest oczywiście stary pedant bez najmniejszego smaku. (A może i brudny żyd! — dał się słyszeć głos jakiś). Żebym się na posiedzeniu nie pokazywał inaczej, jak we fraku najnowszego kroju, a to podług paryskiego *Journal des modes*, którego to wybornego pisma Towarzystwo trzyma 15 egzemplarzy, dla rozszerzenia w kraju poloru i światła. — Z tej okazyi wniosła Palmira, żebym *pour être utile*, przyjął na siebie wydawanie tego dziennika po polsku, żeby też przecie i po wsiach parafiańszczyznę wykorzeniać. Ale Pamela powstała przeciw wniesieniu i przekonała wszystkich członków, żeby to było rzeczą zupełnie śmieszną.—„*A quoi bon*? rzekła, któżby to czytał? czy nie kupczyki na imabrach albo pijaki w szynkach i winiarniach? A potem, wiecie co się u nas dzieje: *Brukowe Wiadomości* gotowe to wyśmiać".

„Któżby na to uważał? — odpowiedziała Eugenia — dobrze żeby coś czytano po naszych kawiarniach, tak jak za granicą". — „A pfe — odpowiedziała Pamela — co tobie w głowie, *ma chère*; wszak to powiadają, że nic brudniejszego, jak kawiarnia! A potem jaki tam zły ton! Prawdziwie to wstyd, że też u nas nie ma nic dobrego".

„Nadewszystko, mospanie sekretarzu — odezwała się Łucyja — porzuć waćpan swój bezecny kapelusz, któżto słyszał wchodzić do dobrej kompanji z przetakiem na głowie; bo prawdziwie ma minę przetaka. *Fi donc!* na co takie ogromne koło; dosyć zostawić brzeżek. Wierz mi waćpan, porzuć to szubrawstwo, a zostań człowiekiem, jak należy. A naprzód zapisz sobie waćpan kapelusz z Petersburga".— Ukłoniłem się bardzo nisko i postanowiłem, rad nie rad, rozstać się z ukochanym moim kapeluszem, choćby też przyszło i oczy stracić na słońcu.

„Dobrzeby było ostrzedz Jegomości —odezwała się Aspazyja — że my tu nie możemy znieść żadnego stuku, ani żadnego wrzasku, co wskroś przeraża i wstrząsa wszystkie nerwy. Bo tu u ichmościów czasem pięknie głośno gadać, albo nogami tupać. Mnie każde stuknienie, mnie kichnienie do konwulsyi wstrząsa. Dlatego gdybyś waćpan dostał kiedy kataru, to lepiej na sesyję nie przychodź". Jakoż uważałem w sali jakąś niepospolitą, jakąś szczególną cichość. Bo choć niektóre członki mówiły ustawicznie i po kilka razem, ale głosem tak przyduszonym i słabym, że miał niejakie podobieństwo do tkliwego mruczenia strumyka, jęku synogarlicy lub świegotania ptasząt. Mnie kazano cicho siedzieć i wtenczas się tylko odzywać, gdy będę o co zapytany.

„Oto jest, odezwała się do mnie Klimena, rzucony na papier rys naszych ustaw. Trzeba, żebyś waćpan podług myśli, które mu podam, napisał na przyszłą sesyę wstęp do tego dzieła. Tylko proszę, żeby to było bez żartów, bo ja tego nie lubię. Jest to pisane po francusku, ale waćpan czytaj po polsku; bo byś nam mógł swoją pronuncyjacyją i uszy pokaleczyć i spazmów napędzić". Wziąwszy więc papier, przejrzałem go naprędce i zacząłem czytać, gdy Aspazyja przerwała mi natychmiast, mówiąc: „A pfe, *ma chère ami*; jak on krzyczy!... to niedowytrzymania! Poczekaj waćpan. — Czy nie możnaby go, *ma chère*, ekranem zasłonić, żeby ten wrzask jakkolwiek stłumić.

Usłuchano rady i natychmiast postawiono przedemną ekran, a ja czytałem zwolna i podawałem przez artykuły do *deliberacyi* co następuje. Za drugim wszakże artykułem żąda-

ły członki, ażeby rzecz całą odłożyć do następnego posiedzenia, ile że zostanie do napisania wstęp cały. Na co nastąpiła zgoda powszechna.

Ustawy Sentymentalnego Towarzystwa.

Naprożno mężczyźni sobie przywłaszczają wszystko; sobie tylko przyznają talenta, sobie zasługi: kiedy polor, oświecenie i zdolności płci naszej co dzień więcej jaśnieją; kiedy znakomite kobiety w każdym rodzaju chwały pierwsze trzymają miejsce. Społeczność składa się, tak jak sam człowiek, z duszy i ciała. My więc jesteśmy duszą, oni tylko ciałem społeczeństw. Do nich przeto należą grube, ciężkie, mechaniczne i podlące roboty; do nas to wszystko, co znamionuje wyższe władze duszy, szczęśliwą lekkość myśli, doskonałą czułość i smak zupełny. Umiejętności nawet ciężkie, suche i nudne, dla nich niech będą; ale owe wiadomości i nauki wyższego rzędu, w których panuje prawdziwa wytworność czucia i smaku, w których tylko dusze rzetelnie tkliwe rozkosz znajdują; w których się rozrzewniać lub rozkwilać wypada; gdzie grube męzkie wyobrażenia cienkości pojęcia naszego dopiąć nie zdołają: te są i muszą być naszą własnością. Należy więc kształcić i jaknajmocniej pielęgnować to wszystko, co jest niewieściem, a co dzikie i nieokrzesane umysły zniewieściałością przez barbarzyństwo nazwały. Należy wyrazowi temu wrócić właściwą szlachetność: bo od niego wyższość, szczęście i chwała ludzkich pokoleń zawisła. Tymczasem z żalem wyznać przychodzi, iż takie jest zaślepienie powszechne, że nietylko narody i mocarze nie dbają o to, ale nawet znaczna i znakomita część płci naszej nie zna swojej zacności; nie ceni jak należy, swoich przymiotów; nie stara się o ich wydoskonalenie i ozdobę. Z tego względu, niżej podpisane jednoczą się w towarzystwo, którego zamiarem będzie, nietylko wydarcie mężczyznom przywłaszczonej wyższości, ale i coraz mocniejsze doskonalenie płci własnej, a nadewszystko pięknych jej przymiotów. Potrzeba więc naprzód wytępić parafiaństwo i prostactwo; potrzeba rozkrzewić i jeżeli można, upowszechnić wykwintność; zaprowadzić piękną literaturę i nie tak smak, jak wybór w czytaniu; czytaniem takiem, które podnosi, gładzi i stroi umysł, które pojęcia nie trudzi, a rozczula serce i najwyższą napawa słodyczą. Słowem, potrzeba przytłumić bakalarstwo, wytępić barbarzyństwo i gotyzm w myślach i uczuciach, a podnieść sentymentalność, rozrzewniać serce, a umysł podnosić aż do sfery dla grubych dusz niedostępnej. To tedy ozdobienie, ulotnienie i wystruganie umysłu, aż do przyzwoitej lekkości, będzie pierwszym zamiarem zgromadzenia naszego.—Drugim będzie i mniej istotnym, ozdobienie się i przymilenie zewnętrzne, a przeto połączenie najwyższej przyjemności z najpiękniejszą nauką. Ozdoby albowiem zewnętrzne są znakomitym ludzi zaszczytem. I dlatego przykro jest pomyśleć, a tem przykrzej jest widzieć, jak niektóre źle myślące i źle wychowane osoby nie dbają o stroje i mody, lekceważą rady modniarek, nie trzymają żadnych strojowych dzienników i ważą się nawet naśmiewać z osób dobrze myślących, które żyć umieją. Z tego to zaniedbania smaku i pięknej literatury pochodzi, że widzimy tak wiele prostaczek mówiących bez czucia, wyboru i smaku i nie umiejących się nastroić do tonu właściwego dobrym towarzystwom. Ztąd znowu tak wiele domów źle meblowanych, pojazdów bez najmniejszego gustu, sukien bez kroju. Ztąd ubieranie się dziwaczne, równie jak złe strojenie sal i pokojów, śmieszne zawieszanie firanek i luster, niegodziwe zastawianie stołów, potrawy bez wyboru i stylu. Jedno tylko rozkrzewienie sentymentalności i tkliwej literatury, może temu złemu zapobiedz. Ażeby zaś niniejsze towarzystwo tem pewniej zamiaru swego dostąpić mogło, następujące sobie przepisuje organiczne prawa:

Art. I. Towarzystwo nasze nazywać się będzie „Sentymentalnem".—Zgoda.

Art. II. Urzędniczki i przyjmowane na nowo członki wybierać się będą większością głosów. — Zgoda.

Art. III. Nie przyjmuje się do towarzystwa żadna osoba, która się zatrudnia brudnem gospodarstwem; jeździ na kontrakty dla interesów, po folwarkach się szasta lub odbywa drogi dla spraw jakich. Z tej przyczyny, gdyby którejkolwiek z członków dowiedziono, że była choć raz w spiżarni lub kuchni, że wie, wiele ma indycząt lub kurcząt, albo że słuchała ekonoma rachunków, ma być oddalona natychmiast. Zatrudnienia takie albowiem przytępiają prawdziwą tkliwość i są przeciwne czystej sentymentalności. — Zgoda.

Art. IV. Żadna z członków nie powinna karmić dzieci, bo to psuje płeć delikatną i piękną kibić. Niewolniczą tę posługę należy zostawić chłopkom. — Zgoda.

Art. V. Gdyby której z członków dowiedziono, że się daje rządzić mężowi, lub cierpliwie znosi jego impertynencyje, ma być oddalona natychmiast. — Brawo!—odezwały się wszystkie.

Art. VI. Nie będzie przyjęta żadna osoba nieumiejąca po francusku i nie mówiąca najlepszym akcentem; a zatem nie przez francuzkę wychowana. Na dowód zaś, że jest w tym języku uczona, powinna każda przynieść wypisy przynajmniej z trzech sławnych romansów i swoje nad niemi uwagi, albo powinna sama napisać w tym języku romans lub powieść sentymentalną; powinna opisać życie jakiej nieszczęśliwej ofiary czułości lub ułożyć kilka tkliwych listów miłosnych. Takowe pisma służyć będą za materyjał do roczników towarzystwa, a sekretarz powinien je ułożyć po polsku.

Artykuł ten był przyczyną wielu uwag i sporów. Aspazyja albowiem zabrała głos i prosiła towarzystwo o zastanowienie się nad tem: iż, jakkolwiek nieszczęśliwa moda pisania po polsku upowszechniać się zdaje, wszelako nie wypada towarzystwu iść za tym bezecnym zwyczajem. „Na co ta polakeryja? Któż nas—rzekła—czytać będzie? Polacy dosyć piszą, ale ich nikt nie czyta i wiemy, że książki ich butwieją po księgarniach albo idą u nas na papiloty. Czyż nie lepiej zjednać sobie sławę za granicą? Inaczej nikt o nas nie będzie wiedział, a w Paryżu nie przestaną nas mieć za barbarzyńców“.

Na to odezwała się Hortensyja, że jakkolwiek jest rzecz przykra tłómaczyć myśli swoje w języku, którego ładna część Europy nie zna, wszelako gdy ta nieszczęśliwa moda już między nami przemogła, gdy inne europejskie narody w swoich piszą językach, wypada i nam iść za tym zwyczajem, tem bardziej, że dotąd język polski był bardzo obrabiany przez kaznodziejów lub twardych i źle wychowanych mędrców; a zatem nie ma dotąd tej delikatności, tej pulchności, owej rozrzewniającej miękkości, owej udatności i owych powabów, jakie my tylko nadać mu możemy. Jeżeli zaś idzie o zrobienie sobie sławy za granicą, dosyć będzie powybierać honorowe członki ze wszystkich narodów i rozesłać im patenta, jak robią inne towarzystwa uczone.

Na ten ostatni punkt powszechna nastąpiła zgoda, ale większa część członków nie przestała prosić, aby je uwolnić od pisania po polsku.

— Uspokójcie się — rzekła Klimena—dosyć dla nas rzucać od niechcenia myśli na papier, a do sekretarza należy oddać je jaknajlepiej w pospolitym języku. Tak zaś jest grzeczny, że tego zapewne nie odmówi.

— Dobrze—rzekła Eugenia — ale czy potrafi przeniknąć i trafnie oddać całą delikatność naszych uczuć? Bo cóż nam z tego, że po swojemu napisze, jeżeli to będzie tak twarde i nieokrzesane, jak pospolicie bywają roboty tych ichmościów.

— Ale cóż począć — rzekła Klimena — tymczasem trzeba zacząć od tego.

— Więc pozwólcie nam — odezwała się Pamela — przynajmniej to po francusku zo-

stawić, czego żadnym sposobem po polsku wyrazić nie można. Tak skojarzą się przecie dwa języki, a nasi polacy powoli do francuzczyzny przywykać i oświecać się będą. Bo już, *avouez*, u nas ten jest oświecony i dobrze wychowany, co choć piąte przez dziesiąte po francuzku mówi.

Zdanie to dosyć przypadło do smaku i artykuł szósty większością głosów został przyjęty.

Art. VII. Przez wzgląd na rozmaite zasługi i postęp w sentymentalności, rozdawane będą w towarzystwie miejsca i stopnie. Do tych nadaje prawo każdy dowiedziony akt nadzwyczajnej czułości lub rozrzewniającej miłosnej ofiary. Ażeby zaś doskonalić coraz mocniej tę piękną cnotę, obowiązują się członkowie dobrowolnie zachować następujące przepisy: 1) Czytać będą jaknajwięcej tkliwych i czule napisanych romansów, powieści, podróży, tragedyj, oper i listów rozrzewniających. Na samo ich czytanie przepisuje się godzin cztery na dzień. Resztę można poświęcić na tkliwe rozpamiętywanie tego, co się czytało, na ronienie łez gorących za nieszczęśliwe ofiary cnotliwych sentymentów i na zbieranie uwag rozmaitych. 2) Będą unikać wszelkiej pracy i fatygi; odpoczywać miękko i czule na łóżkach, sofach i miękkich kanapach; a to w negliżu [1]) do godziny czwartej po południu, poświęcając ten czas lekturze lub tkliwej rozmowie. 3) Gotowalnia ma być staranna i uczona, od godziny czwartej do szóstej. 4) Obiad być powinien w najlepiej dobranej kompanji, równie jak wieczór i herbata. 5) Napoju zaś tego używać będą członkowie bardzo obficie i przepędzą resztę wieczoru przy muzyce i paleniu wonnych spirytusów po wszystkich pokojach, w towarzystwie czułej i przedziwnie wychowanej młodzieży, lub tkliwych i serdecznych przyjaciółek. 6) Pójdą spać o drugiej lub trzeciej po północy, a wstawać będą o dwunastej w południe. 7) Zachowają najściślej ochędóstwo nie pospolite, ale uczone, to jest: ubierać się będą lekko i przezroczysto, napawać najwonniejszemi perfumami, dobierać strojów mających sentymentalne znaczenie lub nazwisko i tkliwe kolory. 8) Nakoniec mają wychowywać dzieci, a mianowicie dziewczęta, sposobem całkiem sentymentalnym; chować je delikatnie, z wielkiem staraniem o białość i miękkość skóry, o piękność włosów i kształtną kibić. Nie będą ich narażać na ostrość otwartego powietrza, na zimno, wiatr, a nadewszystko na słońce. Mają trzymać dla nich madamy francuskie oczytane i sentymentalne, ile być może, te będą właśnie wpajały w dziewczęta gust do francuzczyzny i wszystkiego zagranicznego, a malować żywo grubijaństwo i nieoświecenie nasze. — Zgoda.

Art. VIII. Żadna z członków nie będzie brała na wieczory, kasyna, bale lub pikniki, sukni takiej, jaką ma którakolwiek z jej towarzyszek: bo to bywa przyczyną nieprzyjaźni i ostrych przekąsów. Dlatego będzie przed każdym balem zwołana sesyja, na której się członkowie o ubiory ułożą. — Zgoda.

Art. IX. Każda odmiana w strojach i stroikach, w meblach, pojazdach, etykiecie, będzie roztrząsana na obradach i przyjęta lub odrzucona. W tym ostatnim przypadku, choćby członkinie towarzystwa innego były zdania, powinny się poddać jego wyrokom.

„Ale to niesłychana tyrania“, odezwała się Aspazyja. — „Dobrze mówisz, rzekła Pamela, jam tego gotowa nie słuchać“. — „To cóż będzie? zawołała Hortensyja, zginiemy niezgodą“. — „Ty musisz zawsze postawić na swojem. Niechże więc i tak będzie“, westchnęła Aspazyja.

Art. X. Nie będzie wolno mówić naraz więcej, jak trzem członkom, wyjąwszy prezydującą, która ma prawo mówienia zawsze i ciągle. Zgoda — z lekkim uśmiechem.

Art. XI. Ponieważ się znajdują i pomiędzy mężczyznami tacy, którzy z delikatności uczuć i myśli podobni są do kobiet i warci

[1]) Jest to ładny i staranny ubiór osób nieubranych.

być niemi, przeto zgromadzenie nagradzając krzywdę, którą im przyrodzenie wyrządziło, podejmuje się przyjmować takich do swego grona, gdzie, jeżeli wytrzymają potrzebne próby, wezmą patent na prawdziwe kobiety i od tego momentu będą mogli używać ich przywilejów i zaszczytów.

„Prawdziwie, to piękna myśl, odezwała się Pamela. *Ma chère*, z którego to wzięte autora? Bo szczerze mówię, żeby się warto nad tem zastanowić? Jam zawsze myślała, że są bardzo dobre chłopcy, *et des gents comme il faut*, którychby warto przyjąć do naszego grona. *N'est ce pas?* — Zgoda!—zawołano.

Art. XII. Mogą być przyjmowani do towarzystwa. *Naprzód*, wszyscy młodzi chłopcy wychowani zagranicą i nieumiejący po polsku. *Powtóre*, ci wszyscy, co bawiąc się zawsze w towarzystwie kobiet, lub dysząc nad czułą i rozrzewniającą lekturą, doskonalą sentymentalność, umieją ją cenić w kobietach i mają ową tkliwą duszę, jakiej opisać niepodobna, a która jest najpiękniejszym darem nieba. (Tu dały się słyszeć liczne westchnienia). *Po trzecie*, ci, których sposób życia postępowanie wyższy nad pospolity, pokazuje doskonały gust i polor, np. ci, co bilety do przyjaciół i przyjaciołek po francusku piszą, choć nie umieją. Co w tym samym języku piszą lub sztychują własne urzędy i imiona na wizytowych karteczkach. Ci, którzy w dzień śpią, a bawią się przez noc całą; którzy trzymają francuzkich lub angielskich kucharzy i kamerdynerów; którzy się nie odzywają inaczej, jak zagranicznym językiem; stąpają z góry i z góry patrzą na swoich ziomków i to wszystko, co jest krajowe. Ci, którzy stanąwszy w pozyturze, gryzą z szyderskim uśmiechem usta, lub nucą piosneczki i wybijają nogą drobniuteńki takcik, gdy im mówią o czem krajowem. *Po czwarte*, ci wszyscy, którzy z miernym majątkiem mają sentyment pański, a zostawiwszy podłe gospodarstwo komisarzom lub ekonomom, żyją na wielkim świecie i żyją wspaniale. *Po piąte*, młodzież prawdziwie dobrze wychowana, to jest, ubierająca się zawsze podług mody, wyperfumowana, ładuie tańcująca, czytająca romanse, a uciekająca od nudnych nauk i nieznośnego bakałarstwa. — Zgoda! Zgoda!

Art. XIII. Dla pokazania zaś, że przypuszczeni do tego zaszczytu mężczyzni prawdziwie nań zasługują, będą zasiadali na posiedzeniach towarzystwa w czepkach. Oprócz tego wolno im będzie nosić zawsze i wszędzie kolczyki w uszach, pugilaresy lub sztuczczyki ze zwierciadełkami i z perfumami flaszeczki. Wolno im także będzie nosić wstawiane zęby; chędożyć je pachnącym proszkiem; brwi i włosy farbować, a nawet za otrzymanem na to szczególnem od prezydentki pozwoleniem i różu używać. Wszakże pozwolenie na to za szczególne tylko i znakomite zasługi dawane będzie; np. gdyby kto wymyślił nową wodę, znalazł lub przynajmniej sprowadził wodę na plamy lub piegi, maść na brwi lub usta i t. d. Zgoda!

Art. XIV. Gdyby ktokolwiek z członków miał pospolite imię, co dla prostactwa rodziców często się zdarzyć może, tedy za wejściem do towarzystwa przybierze inne, z najsentymentalniejszych romansów wyjęte.

Gdy na ten punkt powszechna nastąpiła zgoda, prezydująca wniosła, aby dać inne imię Łucyi, ponieważ to jest i pospolite i wszędzie przez prostaków używane. Każda zatem z członków radziła inne, z których Łucyja Korynnę wybrała.

„Jakież więc będą imiona dla mężczyzn?" odezwała się Palmira. — „Naturalnie kobiece—odpowiedziała Pamela. —Czyż ich można Maciejami albo Bartłomiejami nazywać?"

Art. XV. Posiedzenia towarzystwa mają zawsze być zachwycające i dlatego przed zaczęciem każdej sesyi sala ma byś magnetyzowana, ażeby wszystkie członkinie jasno widziały, jak przez sen. Cokolwiek zaś się powie albo wyśpiewa magnetycznie, będzie po-

dawane do pism krajowych, które się w tym rodzaju już sławą okryły [1]).

„C'est tres bien, rzekła Aspazyja, bo to przecie da poznać w Berlinie, jak postępujemy w oświeceniu". — „Dobrze, odezwała się Palmira, ale któż będzie magnetyzował?" — „Po to trzeba się udać do Klecka, odezwało się kilka głosów, bo jużci ztamtąd mamy najdowcipniejsze i najprawdziwsze spostrzeżenia w tej mierze". *J. Śniadecki.*

* *Uwagi o towarzystwie.*

Czasami przypomina mi towarzyskie zebranie podróż moją po Renie. Na wielkich falach wypadków kręci się wątek parowego statku rozmowy, mężczyzni dostarczają doń pary i wiatru, węgli nigdy brakować nie może, bo gorące zarzewie wciąż jest potrzebne, aby je rzucić na głowę spokojnego bliźniego. Piękne kobiety, siedzące z obu stron, są to niby owe czarodziejskie brzegi, raz kwitnące i malownicze, drugi raz dumne i niedostępne, ale zawsze interesujące. Kółko starych matron przypomina mi owe szacowne ruiny, które zachowały swój pozór romantyczny, a przywodzą nam na myśl kryjące się w nich dawne legendy i przerażające, a cudowne ludu opowieści...

Wiele ludzi wchodząc w towarzystwo, kryją w ustach wszystkie krawieckie przyrządy: nić rozmowy i razem ostrą igłę, aby nitkę przez nią ciągle przewlekać, łokieć—do mierzenia czci bliźniego, nożyczki, aby część obciąć w potrzebie, a wreszcie żelazko do prasowania, aby jak gorącym a gładkim językiem wszystko należycie wygładzić i zatrzeć!

Tramwaj.

* *W tramwaju.*

(Opowiadanie... myśliwego).

. . . .

. . . Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem, a blady Kazio, poprawiszy binokli, odezwał się:

— *A propos* psów, opowiem wam, co mi się zdarzyło onegdaj — w tramwaju.

— Czy i to będzie przygoda myśliwska?— zapytał ktoś z kąta.

— Nieinaczej.

— Polowałeś zapewne na upatrzonego?

— Na *upatrzoną*! — poprawił ktoś drugi.

— Nie. Były to niewinne i bezkrwawe łowy na... ptactwo przelotne. Siadłem w tramwaj i jeździłem to w tę, to w ową stronę, studyjując pilnie współtowarzyszki podróży.

Fatalność zrządziła, że owego dnia wszystkie były brzydkie.

Zniechęcony i zziębnięty, postanowiłem odbyć ostatni kurs z dworca wiedeńskiego do Krakowskiego-Przedmieścia, a wysiadłszy, pośpieszyć czemprędzej do cukierni na gorącą herbatę.

Tramwaj, jak wiecie, zatrzymuje się na minutkę na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej.

Tym razem minutka owa była dla mnie błogosławioną...

Prócz kilku innych, bezbarwnych postaci, wsiadła do tramwaju zachwycająca, „przepikantna" blondynka.

Za blondynką wbiegł pies...

Szkaradne, zabłocone psisko, do którego nie przyznałaby się ani wyżla, ani charcia, ani nawet mopsia rasa!

Blondynka zajęła miejsce wprost mnie, a obok niej, z lewej strony, usiadła żydówka, chora na fluksyję, z prawej zaś zatabaczony dziadyga, z nosem schowanym w olbrzymi szal włóczkowy.

Pies usadowił się przy moich nogach.

Rzucić na blondynkę wyzywające spojrzenie, a jednocześnie położyć żółto urękawicznioną rękę na grzbiecie psa — było dla mnie dziełem jednej chwili.

Blondynka odpowiedziała uśmiechem, pies przyjacielskim warknięciem...

[1]) Aluzyja do wychodzącego wówczas „Pamiętnika magnetycznego", będącego ofiarą żartów „Wiadomości brukowych".

— *Va bene!* — szepnąłem sam do siebie i z otuchą rozpocząłem kampanię.

Miałem w kieszeni od paltota bombonierkę, napełnioną wybornemi czekoladkami Balleta, którą kupiłem dla bezdzietnej ciotki. Bombomierkę tę bez namysłu otworzyłem i wydobywszy kilka deserowych łakotek, poczęstowałem niemi... nie blondynkę (na to było zawcześnie), lecz psa...

Obrzydły kundel schrupał je z apetytem i na znak wdzięczności położył zabłoconą łapę na moich kolanach.

Poczęstowałem go znowu.

Zjadł—i drugą łapę umieścił obok pierwszej.

Byłem wściekły, ale twarz moja wyrażała anielską słodycz i rajskie zadowolenie.

Blondynka, której na chwilę z oczów nie spuszczałem, uśmiechała się coraz wyraźniej i coraz weselej...

Zauważyłem też, że uśmiechali się i inni pasażerowie...

Pies tymczasem wycierał łapy i mordę na moim nowiuteńkim i w połowie dopiero zapłaconym paltocie.

Nie zmieniając anielskiego wyrazu twarzy, zrobiłem delikatną próbę pozbycia się tego ciężaru, ale ośmielone kundlisko, straciwszy punkt oparcia na kolanach, przeniosło go wyżej, opierając bez ceremonji obie łapy na mojej szlachetnej piersi...

Dał się słyszeć stłumiony uśmieszek, w którym kto inny usłyszałby może szyderstwo, ja jednak domyśliłem się: uprzejmej zachęty...

Zamiast kopnąć nogą bezczelnego kundla, dałem mu resztę kosztownych czekoladek, za co odwdzięczył się on natychmiast, oblizując mi twarz całą wielkim czerwonym ozorem.

Tym razem dał się słyszeć śmiech ogólny...

Śmiał się gimnazista, ssący w kącie lukrecyję, śmiał się gruby rzeźnik z Pragi, z ogromnem podgardlem, śmiały się dwie szwaczki, przytulone do siebie jak dwie czereśnie, śmiał się rudy faktor, trzymający w ustach zakrzywioną rękojeść laski, śmiała się poważna i wykwintna jejmość w aksamitnej szubie, śmiała się nawet chora na fluksyję żydowica..

Jeden tylko zwolennik tabaki, włóczkowym szalem owinięty, nie zmienił na jotę głupowatego wyrazu twarzy.

Przywołałem na pomoc cały zapas stoicyzmu, wspomniałem na Maciusia Scevolę i rzekłem słodziutkim głosem:

— Dobre, poczciwe psisko!

W tej chwili tramwaj stanął.

Odetchnąłem.

— Spodziewam się—pomyślałem— że śliczna nieznajoma wynagrodzi mi sowicie męki, jakie dla jej faworyta ponoszę.

Blondynka wyskoczyła z tramwaju szybko, jak sarna.

Pies został.

Pośpieszyłem za piękną, ale gruby rzeźnik zatarasował mi przejście.

Gdym się wydostał i rozejrzał dokoła, już śladu jej nie było...

Zgrzytnąłem i zakląłem—a w tej chwili wygramolił się z tramwaju zatabaczony safanduła, i mijając mnie, zawołał głosem pozytywki:

— Pójdź tu Kruczek... do nogi...

I zabłocone psisko powlokło się za nim spokojnie.

Tak więc, moi panowie, zniszczyłem paltot, zmarnowałem pudełko czekoladek i naraziłem się na śmieszność, a może i nosacizną, dla tego tylko, aby się przypodobać... psu jakiegoś idyjotycznego niedołęgi!

Kto chce, niech wyciśnie ztąd dla siebie—naukę moralną.

* *Co może przyzwyczajenie.*

Pewien dygnitarz od tramwajów, tak przyzwyczaił się do wymierzania kar pieniężnych, że skazał na rubla kary swój własny zegarek za to, że się o dwie minuty spóźnił.

* *Wielka prawda.*

Kto wiernie przez lat dziesięć,
Służy przy tramwaju;
Ten jest godzien, by żywcem
Wzięty był do raju.

Trawestacyja.

* Liro moja natchniona,
Widać jesteś stworzona
Ku mym smutkom i biedzie!
Wciąż po strunach uderzam,
Muzom los swój powierzam,
A muzyka nie idzie.
I redaktor się zżyma,
I w kieszeni nic nie ma,
I nikt słuchać mnie nie chce,
A tu laury tak nęcą
Razem z płacą książęcą
Nieśmiertelność mnie łechce.
Czując w sobie skry wieszcze,
Z świata drwiłbym dziś jeszcze,
Miałbym ludzi w pogardzie,
Gdybym czasem w potrzebie
Moja liro, mógł ciebie
Gdzie zastawić w lombardzie!

***

Liro moja natchniona!
Z czego jesteś zrobiona?
Ach, narzędzie ty marne!
Niby Rozbicki jaki,
Warte niucha tabaki
Sypiesz wiersze niezdrowe.
I papieru mi szkoda,
I atrament nie woda,
Zresztą wszystko to na co?
Czy ty z tego masz sławę,
Czy kto może zabawę,
Czy ci dobrze zapłacą?
Liro! tyś mi już zbrzydła,
Przestań palić kadzidła
Przed poezyi ołtarzem!
Z tego żaden zysk, przeto
Miast być marnym poetą,
Wolę zostać rymarzem!

***

Przestań liro nareszcie,
Niby gardło niewieście
Wciąż wydawać swe dźwięki.
O mur roztrzaskam ciebie,
Albo w ziemi zagrzebię,
Bo mam dosyć tej męki.
Cóż się łudzić nadzieją?
Ludzie ze mnie się śmieją
Śmiech ich w mózgu mi wierci.
Gdy już teraz tak źle mi,
Gardzą płodami memi,
Cóż to będzie po śmierci?!
Rzekną pewnie: ten... tego...
Pragnął nie wie sam czego,
Gonił, licho wie, za czem!
Niech nagrodzą go bogi,
Że mu kazał los srogi
Tu być zawsze partaczem!

A. Orłowski.

Trębacz.

* *Historyja o dzielnym trębaczu i głuchej matronie.*

(Opowiedziana ku zbudowaniu bliźnich).

I.

Pani Pulcheryja Grzybek posiadała lat sześćdziesiąt, artretyzm, córkę, kapitały, trzypiętrową kamienicę, a w dodatku do tego wszystkiego była głucha jak pień.

Bethowen był także głuchym, a podobieństwo pomiędzy nim a panią Grzybkową było tem większe, że oboje w jednakowym stopniu lubili muzykę.

Pani Pulcheryja w latach dziewiczych słyszała wybornie na oba uszy. W pierwszem małżeństwie, wskutek zbyt głośnych rozmów z mężem, ogłuchła na jedno ucho. Wstąpiwszy w powtórne śluby, ogłuchła na drugie dla tychże samych powodów.

Po śmierci drugiego małżonka wpadła w czarną melancholję i postanowiła kochać jedynie—listy zastawne. Przeniewierzała się im niekiedy dla innych procentowych papierów, zdarzało się to jednak rzadko, gdyż zacna matrona uważała ziemię za najpewniejszą gwarancyję kapitału.

Córka, choć przez matkę wcale nie pieszczona, starała się uśmierzyć jej smutek za pomocą metody przekazanej światu przez Dawida. Grywała jej na fortepianie najhuczniejsze melodyje z samych fortissimów złożone, matka jednak ponuro potrząsająca głową powtarzała wciąż:

— Nie słyszę...

Ponieważ fortepian był niewystarczający, chwycono się skrzypców, a potem klarnetu tak piskliwego, że głos jego wkręcał się w najtępsze uszy, jak świder w drzewo i to jednak nie pomagało.

— Nie słyszę.... nie słyszę...—stękała matrona, załamując ręce.

Pewnego razu córka wpadła na myśl genialną. Kupiła partycyję wagnerowskich „Nibelungów" i wyuczywszy się kilku najgłośniejszych *kawałków*, wygrzmiała je matce, nakształt afrykańskiego huraganu.

Tym razem pewna była skutku. Po skończeniu gry podniosła oczy na matkę. Pani Pulcheryja siedziała zagłębiona w fotelu z głową na piersi pochyloną i z błogim wyrazem twarzy. „To wpływ muzyki" — szepnęło do siebie poczciwe dziewczę, podchodząc na palcach do matki. Ale okazało się, że matrona nie marzyła, lecz spała. Spałat wardym, kamiennym snem, jaki zwykłego człowieka tylko wśród najgłębszej ciszy ogarnąć może. Gdy ją zbudzono, przetarła oczy, mówiąc do córki:

— Kiedyż zagrasz tę obiecaną sztukę?

Córka załamała ręce z rozpaczą.

Tak stały rzeczy, kiedy jednego letniego poranku na dziedziniec domu pani Grzybkowej przyszła wędrowna kompanja czeskich muzykantów.

A był pomiędzy nimi jeden, który się zwał Fryderycek Paluszek, ale nazwiska swego niczem nie usprawiedliwiał. Był wielki, pleczysty z dużą kędzierzawą głową, z rozrosłemi piersiami i karkiem grubym a czerwonym. Jeżeli przypominał on jaki „paluszek", to chyba jeden z palców posągu wolności, darowanego Ameryce przez Francyję, którego rozmiary są takie, że w jednej dziurze od nosa pomieszcza się wygodnie dżentelman z podróżnym kuferkiem, parasolem i dwoma „Bedeckerami".

Paluszek dął w olbrzymią trąbę, która nakształt laokonowego węża potrójnemi splotami okręcała go całego. Łatwo zrozumieć, że z potężnej piersi, potężne musiało też wychodzić zadęcie. I w samej rzeczy dźwięki paluszkowej trąby zdolne były zbudzić umarłych—żywych zaś do trumny położyć.

Głucha matrona siedziała w otwartem oknie przyglądając się przez lornetkę plastycznym kształtom muzykanta. Podobał jej się widocznie, bo bezzębne usta układała wciąż do uśmiechu, cmokając czasem, jakby smakowała cukierek. Nagle oczy jej zaiskrzyły się, na żółtą twarz wystąpił ceglasty rumieniec i zrywając się z krzesła, krzyknęła na cały głos:

— Słyszę! słyszę! słyszę!

Potem chwyciła dzwonek i poczęła dzwonić jakby na alarm...

Zbiegli się wszyscy domownicy przerażeni, wylękli, panna służąca nawet myśląc, że pani zasłabła, przyniosła ze sobą różne trzeźwiące octy i oliwy...

Ale pani Pulcheryja oddawna już nie wyglądała tak zdrowo, jak w tej chwili. Odmłodniała przynajmniej o lat dziesięć i biegała po pokoju tak prędko, jakby nigdy artretyzm nóg jej nie paraliżował.

— Co tobie, mateczko? — spytała córka, ze zdziwieniem patrząc na tę zmianę.

Matka za całą odpowiedź wskazała jej palcem orkiestrę, grającą na dziedzińcu, powtarzając nieustannie:

— Słyszę, słyszę, słyszę...

A trąba brzmiała, jak pod murami Jerychonu, grożąc domowi zawaleniem, a lokatorom jego głuchotą.

Nareszcie ustał wielki koncert i przymusowi słuchacze odetchnęli.

— Fruziu! — rzekła matrona prędko do

panny służącej — zejdź na dół i poproś tego pana, co gra na kręconej trąbie—wiesz, tego przystojnego...

Fruzia wyjrzała oknem i odrazu zmiarkowała, o co chodzi.

Po chwili kolosalny czech stanął przed panią Grzybkową, kłaniając się niezgrabnie i usiłując szerokie usta do uprzejmego ułożyć uśmiechu.

— Czego sem żąda stara pani? — spytał basem.

A matrona usłyszawszy zapytanie (bo usłyszała je przez jakiś dziwny fenomen akustyczny), odrzekła najsłodziej, jak umiała:

— Naprzód, nie nazywaj mnie pan, proszę, starą panią. Mam dopiero: *przeszło* czterdzieści lat...

— To mnie sem wszystko równo – odparł gruby muzykant — ale gadajcie, czego wam się żąda?

Wówczas matrona opowiedziała mu szeroko: jako cierpi na organ słuchu, jak po śmierci dwóch mężów w smutku wielkim utulić się nie może, jako muzyka błogo oddziaływa na jej nerwy i jako wreszcie jego trąbienie dziwnie przypadło jej do serca i gustu...

Paluszek słuchał tego wszystkiego obojętnie, przestępując z nogi na nogę i wysuwając nieznacznie szeroki kapelusz po należne mu honoraryjum.

Ale gdy matrona w dalszym ciągu wystąpiła z propozycyją, żeby u niej przyjął miejsce nadwornego trębacza, za co otrzyma piękne mieszkanie, obfity wikt i wcale nieszpetną sumkę na „drobne wydatki", czeszek miły oblizał się, jak po kiełbasie z kapustą, i skłoniwszy się starej damie do kolan, rzekł:

— Sem i tak możno!

Potem poszedł do towarzyszów, długo z nimi rozmawiał i sprzeczał się, wreszcie zaklął po czesku, kręconą trąbę zdjął z siebie i oddawszy ją pierwszemu z brzega koledze, powrócił na górę do starej pani.

Przyjęto go nie jako podwórzowego grajka, lecz jako artystę, którego wielkie miasta i wielkie domy nawzajem sobie wydzierają.

Od tego dnia w usposobieniu pani Grzybkowej zaszła radykalna przemiana. Paroksyzmy czarnej melancholji ustąpiły zupełnie, a miejsce jej zajęła jakaś dziwna wesołość, podobna do tej, jaka nawiedzała panią Pulcheryję w pierwszych miesiącach każdego z dwóch minionych małżeńskich żywotów.

Paluszek był równie wesoły, a zastąpiwszy swój dawny instrument bardzo piękną i donośną trąbką chromatyczną, wygrywał na niej codziennie nad uszami swej nowej dobrodziejki.

Panna Grzybkówna tylko straciła humor i z każdym dniem bardziej się zasępiała...

II.

Nie wszystko co jest prawdopodobnem, bywa zarazem prawdziwem; zdarzają się też rzeczy nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Ta filozoficzna sentencyja, którą w Warszawie niezbyt dawno rozpowszechniał pewien starozakonny kupiec, handlujący bielizną męzką i damską, sprawdziła się co do joty na osobie Frycka Paluszka.

Niektórzy wygrywają szczęście w karty lub na loteryi, on wygrał je sobie na... trąbie. Wszystkie drogi są dobre, jeżeli wiodą do dobrego celu, a że cel osiągnięty przez Frycka był dobrym, o tem czytelnik niebawem się przekona.

Szczęśliwy muzykant, widocznie w czepku urodzony, znalazł w osobie pani Grzybkowej swój ideał. Różne bywają ideały, a niewiasta, o jakiej marzy osiemnastoletni wieszczyk, rozkochany w poetycznych mglistościach Słonowskiego, nie może być w żaden sposób podobną do tej, jakiej pożąda grajek bez dachu i chleba, obdarzony wilczym apetytem, a pozbawiony środków godziwego zaspokojenia go.

Służba u pani Grzybkowej, kobieciny zasobnej nietylko w kochające serce, ale także

i w różnorodne procentowe papiery, należała do najlżejszych pod słońcem.

Paluszek dął co wieczora w trąbę, dobywając z niej prześliczne dźwięki, mile łechcące nerwy zacnej matrony, dęcie zaś to przynosiło mu w zysku wszystko, co do spokojnego i wygodnego życia potrzebne.

Wypasł się też i zaokrąglił, jak należy, a zarazem ni ztąd ni zowąd nabrał tak dystyngowanej miny, że o dziesięć kroków wyglądał, jak kamerdyner jasnego pana, o piętnaście zaś, jak jasny pan w swej własnej osobie.

Wiadomo wszystkim, że dobra mina dużo do zrobienia karyjery pomaga. Iluż ludzi jej tylko zawdzięcza swą egzystencyję!

Jak wprzód talent muzykalny i herkulesowe formy ciała, tak obecnie dystynkcyja owa, podejrzanego zresztą gatunku, zachwyciła i olśniła poczciwą damę.

Paluszek z nadwornego trębacza zaawansował niebawem na przyjaciela i powiernika. Pani Pulcheryja lubiła prowadzić z nim (na migi) długie i nęcące rozmowy o wszystkiem, co czuła, myślała i doświadczała dawniej i obecnie...

Rozmowy te bardziej jeszcze zbliżyły ku sobie dwie stworzone dla siebie dusze i sprowadziwszy ścisłą między nimi zażyłość, skończyły się nareszcie...

Czuję, na honor, że mi nie uwierzycie, a jednak to najszczersza i urzędowemi aktami stwierdzona prawda.

Rozmowy te skończyły się — małżeństwem.

Małżeństwem pani Pulcheryi z Poziomkiewiczów 1-o *voto* Purchawka, 2-o Grzybek, a panem Fryderykiem Baluszgiem (tak!) obywatelem *węgierskim* (tak!).

W umowie przedślubnej zastrzeżone zostało, ażeby młody małżonek zaniechał używania czeskich wyrazów, a mianowicie przygadywki *sem*, pod karą rozwodu i żeby starał się natomiast za pomocą pomady węgierskiej i innych węgierszczyzn stwierdzić swe pochodzenie z kraju „gdzie papryka dojrzewa”.

Frycek przystał na to ochoczem sercem i nawet wykrzyknął: „niechaj *sem* starej pani Bóg stokrotnie zapłaci!“ ale został za to na miejscu zaraz zgromiony.

Młode małżeństwo nie wyjechało do Włoch, ani nawet do Mokotowa, lecz miodowe miesiące spędziło w zadusznej Warszawie. Paluszek został wprowadzony do kilku domów, gdzie nieco oryginalne jego zachowanie się tłómaczono tem, że ród swój wywodzi z Budy. Znaleźli się wprawdzie dowcipnisie dopytujący niedyskretnie, czy Buda owa pisze się przez duże *B*, czy też przez małe, ale na złośliwości te nie zważano.

Frycek tedy zrobił karyjerę w całem znaczeniu tego słowa.

Gdyby który z dawnych jego braci „w trąbie” ujrzał go wówczas wystrojonego w modne szaty, z kwiatkiem w klapie u surduta, z twarzą rumianą od szczęścia i... dobrego wiktu, i z nosem na wysokość trzeciego piętra zadartym, ani domyślałby się, że to ów brudny trąbonośca, który niedawno jadał chleb czarny i popijał go... wódką.

Tak to szczęście *wyaniela* człowieka.

III.

Było dobrze Fryckowi w nowej jego „kondycyi” i byłoby mu dobrze aż do śmierci, a może i dłużej jeszcze, gdyby go dnia jednego nie skusił był szatan.

Po półrocznem opływaniu we wszystkie doczesne szczęśliwości, poczęła eksgrajkowi dokuczać nuda. Rozproszyłby ją może, gdyby mu pozwolono od czasu do czasu szukać pociechy w muzyce i grywać na trzykroć kręconej trąbie, ale pani Pulcheryja surowo zabroniła mu teraz dąć w trąbę nietylko kręconą, ale nawet prostą, jak tyczka. Właścicielka kamienicy i papierów procentowych nie chciała, żeby się jej małżonek pospolitował.

Pozbawić artystę (!) instrumentu, to tak samo, jak poecie odebrać pióro, papier i kała-

marz. Frycek martwił się tem i przemyśliwał, czemby się w zmartwieniu pocieszyć...

Wówczas wspomniany wyżej szatan stanął przed nim i rzekł, uśmiechając się dowcipnie:

— Chcesz trąbić, panie Frycku?

— Sem tak, panie dyjable.

— A trąby dać ci nie chcą?

— Stara pani na klucz ją sem zamknęła.

— Więc masz, trąb na tem.

I przy tych słowach wcisnął mu w rękę— butelkę.

Odtąd Frycek począł trąbić na butelce z większym jeszcze zapałem, niż dawniej na trzykroć kręconej trąbie. Ale o ile dawna muzyka przypadała do gustu starej damie, o tyle nowa zdawała się gniewać ją i martwić niepomiernie.

Kilka razy—ba, nawet kilkanaście, a może i więcej jeszcze — przekładała młodemu małżonkowi niestosowność tego upodobania. Ale Frycek zrozumiał, że jest panem sytuacyi i mimo uszu puszczał jej upomnienia. Okoliczność ta ochłodziła stosunki małżeńskie tak dalece, że można było obawiać się zupełnego ich zamarznięcia...

Miły czeszek posiadając u pani Pulcheryi kredyt nieograniczony, potrafił go wkrótce ograniczyć do minimum, a wreszcie i wyczerpać całkowicie. Po pewnym czasie poczęła odmawiać mu udzielania mniejszych nawet zaliczek, wiedząc na pewno, że utopiłby je natychmiast w odmęcie swej *artystycznej* namiętności.

Ale eks-grajek potrafił zyskać sobie gronko zaufanych i poświęconych przyjaciół, a kto przyjaciół posiada, ten z wszelkiego kłopotu wybrnie z łatwością.

Przyjaciele tedy wskazali mu nader prosty środek zdobywania pieniędzy, mianowicie pożyczanie ich od usłużnych i ryzyko wnych lichwiarzy.

I stało się, że wkrótce majątek obojga małżonków, a ściśle rzeczy biorąc: majątek pani Pulcheryi, został obciążony szpetnemi długami bardziej, niż dżokej na wyścigach ołowiem.

Gdy się stara dama o tem dowiedziała, wpadła w gniew wielki— a potem w żal większy jeszcze.

I zabroniła Fryckowi zbliżać się do siebie i nazwała go „niewdzięcznym hołyszem" i wylała wielkie mnóstwo łez gorzkich i wyjechała wreszcie na wieś do dzierżawionej kolonii, żeby tam „na łonie natury" znaleźć smutków swych ukojenie.

Frycek upokorzony i strapiony pozostał w Warszawie.

Pewnego wieczora deszcz nie padał (a należało to wówczas — bo i zawsze należy— do osobliwości). Słońce zaszło pogodnie i wśród wielkiej ciszy panującej w kolonji, słychać było jedynie wrzaski żab, dobywające się z kałuży zwanej sadzawką.

Stara dama, po dwóch talerzach kwaśnego mleka ze świeżym razowcem, wpadła w poetyczne rozmarzenie. Wyszła do ogrodu (warzywnego) w towarzystwie szpetnego kundla faworyta i usiadłszy nad wodą gęstem zielskiem porosłą, poczęła marzyć o... Frycku...

Niedaleko był płot, a za płotem rosły gęsto krzaki tarniny.

Myśli pani Pulcheryi bujały daleko, daleko, po nad asfaltowemi chodnikami Warszawy, serce jej pracowało z szybkością trzech westchnień na minutę, a oczy biegały tęskno za żabami otwierającemi pyszczki do *śpiewu*, którym, niestety, uszy jej napawać się nie mogły...

Nagle kundel począł warczyć i pobiegł w stronę płotu, jakby wietrząc obcego człowieka...

Stara dama widząc te manewra czujnego faworyta, drgnęła i poczęła niespokojnie rozglądać dokoła. .

Nagle, zagrzmiała za płotem trąba.

Zdawało się, że anioł sądu ostatecznego przybywa budzić śpiących i umarłych. Okropne dźwięki poczęły wstrząsać ziemią i przedarły się nawet do głuchych uszów matrony...

A układały się one w niewinną melodyję: „Poszły panny na śliwce" i t. d. — w melodyję, którą młody artysta szturmował niegdyś zwycięzko do serca tkliwej damy.

Pani Pulcheryja usłyszawszy (bo dozwolonem jej było słyszeć to jedno tylko) znajomą trąbę i znajomą pieśń i domyśliwszy się znajomych piersi, które pieśń tę wygrywały, porwała się na równe nogi i pobiegła w stronę płotu.

Nie zdążyła jednak dostać się do niego, gdy na spotkanie jej wypadł Frycek, z ogniem w oczach, z twarzą od wysiłków muzykalnych czerwoną i w ubraniu rozpaczliwie podartem o ciernie, w których się ukrywał...

Porwał w objęcia panią Pulcheryję, potem padł jej do nóg i krzyknął potężnym basem:

— Stara pani! sem stara pani! jak ja ciebie miłuję! o!...

Ale ona wykrzyknika tego nie usłyszała (na szczęście) i odepchnęła jego ręce z udanym gniewem...

Wówczas powtórzył jej słowa miłości na migi, a migi te gwałtowne, szalone, namiętne, trafiły jej do przekonania i rozbroiły ją całkowicie.

I była scena idyliczna.

Noc zapadała, żaby darły się w kałuży, jak opętane, zdala dochodził kwik prosięcia uwięzłego w płocie, stara gospodyni stojąc we drzwiach otwartego chlewka kłóciła się z dziewką, a pies, którego obito za uduszenie kurczaka, wył w niebogłosy...

Oni, kochankowie, Romeo barczysty i Julia ostrokańczasta, tulili się do siebie nad kałużą, zapatrzeni jedno w drugie i zajęci powierzaniem sobie (na migi) najskrytszych myśli i uczuć...

Jakie to było piękne!

Żałujcie, żeście nie widzieli!

Pani Pulcheryja przebaczyła małżonkowi wszystko, przyrzekła długi jego zapłacić i sporą ilość gotóweczki wsunęła mu w rękę...

On ucałował ją, przysiągł (na Kupidyna) wziąć rozbrat z przyjaciołmi i butelką i w niczem nie przynosić ujmy szlachetnemu nazwisku Baluszgów, węgierskich obywateli.

Nazajutrz powrócił do miasta i tego dnia wieczorem tak bez pamięci zatopił się w studyjach *muzykalnych*, że go musiano gwałtem od nich oderwać i na ramionach trzech wynajętych tragarzy odnieść, nakształt fortepianu, do mieszkania...

IV.

Choć Frycek jest bohaterem niniejszego opowiadania, nie mogę utaić, iż wielkiem oburzeniem przejmuje mnie jego charakter.

Choć młodzieniec ten z Czech przybywał, nie była mu obcą z pewnością wyjątkowo smutna pozycyja wszystkich jego rówienników, zdobywających kawałek chleba w Warszawie.

Lokale coraz droższe, obiady w garkuchniach coraz niemożliwsze, garderoba na wagę złota, a jednocześnie największe w świecie trudności w uzyskaniu jako tako opłacającego się zajęcia — wszystko to cierniami zaściela drogę życia każdego warszawskiego celibataryjusza.

Małżeństwo wybawia z otchłani, ale wówczas tylko, gdy nie jest małżeństwem „ze skłonności", lecz pozytywnym związkiem *pracy* i *kapitału*. Na nieszczęście podobne związki stają się z każdym rokiem rzadszemi i na seryjo obawiać się można, żeby niezadługo całkowicie ze świata nie zniknęły.

W takim stanie rzeczy karyjera, jaką zrobił Frycek, jest najzupełniej podobną do wygrania wielkiego losu na loteryi — i trzeba być bezrozumnem bydlęciem, żeby karyjerę tę lekceważyć i poniewierać...

Ale, Frycku najmilszy! Gdybyś ty potrzebował, jak inni, pracować po dziesięć godzin na dobę przy zielonym suknie bilardu, albo odbywać ciężką służbę przy starej ciotce i jej pieskach, albo wreszcie zamknięty do biurowej ciupy zaczerniać codziennie ogromne masy stemplowego i niestemplowego papieru —

wówczas zrozumiałbyś może, co to jest praca i jak należy cenić niezależność...

Ubóstwo ducha jest jedyną, łagodzącą twe postępki okolicznością—i zapewniam cię, że gdybyś tego „ubóstwa" na usprawiedliwienie swe nie posiadał, znienawidziłbym cię do tego stopnia, żebym nawet... pisać nie chciał o tobie!

Tymczasem jednak pisać muszę - ku większemu twemu upokorzeniu.

Pani eks-Grzybkowa, gdy o grzesznej recydywie swego małżonka i trębacza wiadomość powzięła, ciężko zachorowała. Ale nawet widok dobrodziejki flaszkami obstawionej, wyżółkłej i pomarszczonej nie był zdolny ukrócić namiętności Frycka. Podczas gdy uczeni lekarze zapisywali jej długie litanje najdroższych medykamentów i wszelkiemi siłami starali się zatrzymać na ziemi, z której ulecieć pragnęła — on tymczasem wygrywał na butelce szalone „fantazyje" bynajmniej nie „salonowe", które rozpocząwszy się zaraz po południu, trwały do ranka dnia następnego.

Pieniędzy dostarczał mu żyd - jeden z tych którym p. Jan Jeleński spokojności nie daje' pomimo, że są tak usłużni dla bliźnich chrześcijańskiego wyznania. Żyd ów, najryzykowniejszy ze wszystkich, z którymi Frycek wchodził w finansowe operacyje, ryzyko swe opierał na prawdopodobnej śmierci pani Pulcheryi...

Ale pani Pulcheryja na złość lichwiarzom, podniosła się z łoża boleści, a na złość Fryckowi oświadczyła publicznie (podobno w inseratach jednego z Kuryjerów), że długów pana Fryderyka Baluszga płacić nie ma zamiaru.

Wówczas Frycek osiadł na mieliźnie.

Przez dwa tygodnie, to jest przez dni czternaście, nie widział się z przyjaciołmi ani z butelką.

Rozpacz poczynała przystępować do jego kędzierzawej głowy.

Pewnego razu poszedł do swej prawej małżonki i powiedział jej na migi mniej więcej co następuje.

— Od czternastu dni nie miałem kropli wina w gardle. Jeżeli tak dłużej potrwa, wpadnę w suchoty. Przy silnym organizmie, jakim natura mnie obdarzyła, mogę chorować bardzo długo. W chorobie będziesz mnie doglądała, bo to jest twoim obowiązkiem. Doktorzy i lekarstwa pochłoną wielką masę pieniędzy, ty zaś do reszty stracisz zdrowie przebywając przy umierającym. Posłuchaj zatem, piękna (nazwał ją „piękną" po raz drugi dopiero od zamężcia) Pulcheryjo! Daj mi kilkaset rubli na rękę, a unikniesz i wydatków nadzwyczajnych i choroby.

Ale eks-Grzybkowa ani myśleć o tem nie chciała.

Wówczas Paluszek wpadł w pasyję wielką i grzmiącym głosem — głosem, który ona mimo swej głuchoty usłyszała, rzekł:

— A więc dobrze, wiem, co uczynię. Dziś rozgłoszę przed całym światem, żem nie żaden węgier, ale sem czech wędrujący, jutro zaś pójdę z trąbą grywać na bawaryjach!...

Tej wściekłej groźby ulękła się matrona.

Poprosiła go słabym głosem, żeby dał jej czas do namysłu, a potem kazała przywołać pana Tabaczkiewicza, swego doradcę prawnego, i zamknęła się z nim na kilka godzin we własnym pokoju.

O skutku tej konferencyi dowiedział się Paluszek w kilka dni później.

Pani Pulcheryja kupiła dla niego folwarczek pod miastem P., z warunkiem, że tam zamieszka i odda się szlachetnym trudom około roli (Paluszek był ongi w ojczyźnie swojej włodarzem) i że urzędownie zrzeknie się wszelkich pretensyi do żony i do jej majątku.

Jak widzicie, matrona umiała mścić się w sposób z rycerskich romansów zapożyczony. Niema w tem nic dziwnego, w antraktach bowiem pomiędzy małżeństwami czytywała stare powieści ze zbiorów nieboszczyka jej ojca.

Frycek skwapliwie przyjął warunki zrzeczenia się, choć z trudem, podpisał — i ucałowawszy ręce swej osobliwszej dobrodziejki, pojechał ekstrapocztą do folwarku.

Przyjaciele odprowadzili go do rogatek i solennie przyrzekli nie zapominać o jego... piwnicy.

I dotrzymali słowa.

Frycek, któremu nie wolno było pokazywać się w Warszawie, butelkowe koncerta odgrywał teraz albo u siebie w domu, albo w handelkach poblizkiego miasteczka. Były to koncerta wspaniałe, dotąd jeszcze przez zawistnych z bezsilną ironią wspominane. Koncerta te uczyniły Frycka sławnym i zapewniały mu przyjaźń wszystkich znakomitości okolicznych.

Dom Frycka był rodzajem gospody dniem i nocą otwartej, gdzie o każdej godzinie można było znaleźć stolik do kart i odkorkowaną butelkę.

— Niech żyje sem nasza słowiańska hostinność! — tak wykrzykiwał amfitryjon, gdy sobie trochę dolał (już bowiem tylko *dolewał*).

Przyjaciele słysząc często powtarzany ten wykrzyknik i wiedząc jednocześnie, że Baluszeg jest węgrem, drogą prostego rozumowania przyszli do wniosku, że węgrzy są narodem słowiańskim.

Niektórzy starali się temu słabo oponować, ale Frycek zamknął im usta i przekonał ich nawet, że picie węgierskiego wina z *pobratymczych* winnic pochodzącego, jest aktem wysoko patryjotycznym.

Trzeba też dodać, że patryjotyzm tego rodzaju dziwnie im przypadł do gustu i że pobratymstwo z węgrami stwierdzali nieustannie za pomocą sposobów wskazanych im przez amfitryjona.

Frycek wszedłszy w kordyjalne stosunki z mieszkańcami miasteczka, uorganizował rodzaj towarzystwa muzycznego w miniaturze, którego egzystencyja krótka była, ale za to głośna.

Członkowie towarzystwa odbywali nieustanne *posiedzenia*. Miejscem posiedzeń bywał naprzemiany dom Frycka i pewien renomowany „skład win i towarów kolonjalnych" w miasteczku. Nie policzyć, ile genjalnych myśli i projektów wygłoszono na tych „posiedzeniach", a także ile wysuszono cienkich i grubych butelek *słowiańskiego* trunku.

Muzyka ma swoje prawa, a natchnienie, jak wiadomo, chętnie bywa na dnie kieliszka.

Jeżeli jednak „boska" sztuka kwitła na folwarku fryckowym, to za to z „ziemskiem" gospodarstwem działo się tam niedobrze.

Nie można powiedzieć, żeby na terytoryjum folwarcznym brakło „ruchu", a w interesach „obrotu" — ruch ten jednak i obrót były, mówiąc ekonomicznie, wyłącznie *eksportowemi*.

W gospodarstwach dobrze prowadzonych, eksport musi znajdować się w stosunku proporcyjonalnym do importu, gdy zaś go przewyższa, tam gospodarstwu zagraża ruina.

Ale Frycek nie uczył się ekonomii politycznej i dlatego nic się tym stanem rzeczy nie kłopotał.

Kłopotało się nim za to kilku bardzo porządnych kupców z miasteczka, w których muzykalny genjusz Paluszka wzbudzał tak wielkie zaufanie, że powierzyli mu wszystko, co mieli najdroższego, mianowicie: swoje kapitały.

Kupcy ci nawet odgadli swym delikatnym rozumem, że kłopoty gospodarskie, dobre dla jakiegoś pospolitego hreczkosieja, są zabójczemi dla duszy prawdziwie artystycznej.

Jeden z nich mógł o tych rzeczach wyrokować z całą dokładnością, gdyż córka jego grała na palisandrowym fortepianie, kupionym za „psie pieniądze" na licytacyi.

Otóż kupcy owi zrobili naradę, z której wypadło, że talent Paluszka dłużej na wsi marnować się nie może i że potrzeba jaknajprędzej wyzwolić go od zabijających wpływów wiejskiego zaścianka.

Postanowili tedy wyprawić go ze wsi do miasta, a gdyby okazywał jaki opór (bo po

artystach wszystkiego spodziewać się można), zmusić go do tego przemocą.

Przystępując do wykonania tego pięknego zamysłu, poszli zwolna zrywać pojedyncze nici sympatyi lub interesu, jakie wiązały duszę Frycka do tego nienawistnego kąta.

Sprzymierzeńcem ich w tym razie był komornik, który z delikatnością, cechującą wyższe umysły, uwalniał naszego artystę od inwentarza żywego i martwego, a następnie od wszelkich mniej potrzebnych ruchomości. Miły ten człowiek przy wykonaniu swych czynności ani razu szpady z pochwy nie wydobył, pomimo iż niebezpieczny ten oręż wojowniczo przy jego boku połyskiwał.

Frycek obojętnie przyjmował wizyty komornika, a nawet, dowiedziawszy się, że grywa na angielskim rożku, zaprosił go uprzejmie na członka towarzystwa muzycznego oraz „orkiestry amatorskiej“.

Komornik odchrząknął, poprawił kołnierz mundurowy i uśmiechnąwszy się dziwnie, rzekł:

— Z przyjemnością zaproszenie pańskie przyjmuję, ale pod warunkiem...

— Pod jakim warunkiem, gadajcie sem, proszę — spytał czech gościnny.

— Pod tym, że koncerta amatorskiej orkiestry nie będą się odbywały na folwarku.

— A to sem dlaczego?

— Dlatego, że ja lubię grać siedzący, a tu cała orkiestra stačby musiała...

— Stać? dlaczego stać?

— Bo ja niedługo wszystkie krzesła panu zabiorę na satysfakcyję długów Szmula, Hersza i Pińczowskiego!

Na takie *dictum* inny śmiertelnik zwiesiłby nos na kwintę, alboby w pasyję wpadł okrutną, ale Frycek był człowiekiem „wyższym“, a jako człowiek wyższy, parsknął grubym śmiechem, jakby komornik rzekł coś nader dowcipnego.

Potem ściskał i całował sługę sprawiedliwości, a przyznawszy, ze jego uwaga była najzupełniej słuszną, spoił go z wielkiej uciechy tak, że komornikowi wszystko dwoić się w oczach poczęło i do protokulu podyktował dubeltowe cyfry zajętych objektów.

Urągał tedy przeciwnościom nasz bohater wyrastając teraz dopiero na prawdziwego bohatera...

Nawzajem przeciwności poczęły i jemu urągać.

Folwarczek wystawiono na subhastacyję, resztę ruchomości i inwentarza do szczętu zlicytowano i pewnego jesiennego wieczora pan Fryderyk Baluszeg, obywatel ziemski, a zarazem artysta, prezes „towarzystwa muzycznego“, i dyrektor „amatorskiej orkiestry“, zmuszony został wyjechać z dóbr swoich na czas nieograniczony.

Dla ścisłości kronikarskiej dodać potrzeba, że wyjeżdżał wynajętemi końmi na bryczce przez sąsiada pożyczonej, wszystko zaś, co z powszechnej ruiny wynosił, mieściło się bardzo wygodnie w podróżnym, mocno już nadwerężonym sakwojażu.

Tak więc zamysł izraelitów, w jego talencie muzykalnym rozkochanych, powiódł się znakomicie. Nic, ale to literalnie nic, nie miało już dotąd obciążać skrzydeł jego twórczego ducha...

Frycek bez łzy jednej opuszczał folwark, „na którym brzmiało wesele”, jeżeli zaś serce jego uczuwało żal jaki, to tylko za „towarzystwem muzycznem”, które po jego wyjeździe miało się obrócić w proch i w nicość...

Niestety, ani jeden z członków tego Towarzystwa nie przybył pożegnać się ze swym „prezesem” i „dyrektorem“!...

V.

Bohater nasz poświstywał przez całą drogę pieśń: „Poszły panny na śliwce“.

Duch jego był wesoły, nie stracił bowiem wiary w siebie i w swą gwiazdę szczęśliwą.

Zaraz po przybyciu do miasta, wstąpił do znajomego kupca na jedną, jedyną buteleczkę, poczem kazał się zawieźć do mieszkania żony.

Ale tam oczekiwała go szczególna niespodzianka.

Pani Pulcheryja z Poziomkiewiczów 1-o voto Puszkowska, 2-o Grzybek, 3-o Baluszeg, przed tygodniem jeszcze oddała niebu skołatanego ducha, spiesząc połączyć się z *obydwoma* swymi małżonkami.

Jak dualizm podobny tolerowanym mógł być na tamtym świecie — tego nie odgadujemy, ani nawet nie silimy się odgadnąć.

Gdy Frycek dowiedział się o śmierci żony, westchnął ciężko. Było to jednak westchnienie dwuznaczne. Tak wzdycha ten, komu ciężar padł na serce i ten także, komu spadł on z serca...

Pasierbica, która mu tę wiadomość zwiastowała, a która od pewnego już czasu była zamężną, rzekła, iż matce dziwnem się zdawało, że on, Baluszeg, wcale się o jej zdrowie nie dowiadywał...

Trębacz odpowiedział, że kłopoty gospodarskie całkowicie mu czas zajmowały i dodał, że spodziewa się, jako jego ukochana małżonka „pamiątkę” jakąś dla niego zostawiła...

Na to mąż pasierbicy wyrzekł rzecz straszną...

Zmarła wszystkie papiery procentowe oddała testamentem córce, a kamienica, jako stanowiąca własność pierwszego jej męża, a ojca panny, również tej ostatniej dostała się niepodzielnie...

— A dla mnie sem nic stara pani nie zapisowala? — spytał czech, drżąc niespokojnie.

— Nic—odrzekli *unisono* mąż i żona.

Wówczas bohater nasz zbladł — po raz pierwszy dopiero w swem życiu.

. . . .

Gwiazda tak promieniście przyświecająca dotąd Fryckowi, zaćmiła się w sposób okropny.

Nie miał nic i nie spodziewał się mieć o wiele więcej...

Wieść o przygodzie jego rozniosła się po całem mieście. Żaden kupiec nie chciał mu skredytować kieliszka wina. Żaden przyjaciel nie spieszył się z fundowaniem kieliszka... wódki.

Mówiono też głośno o tem, że Buda, z której pochodzi, pisze się przez małe *b*.

Pasierbica użaliła się nad nim i ofiarowała, jako ojczymowi swemu, mieszkanie i życie we własnym domu.

Frycek przyjął tę ofiarę—w ostateczności.

Odtąd dni jego upływały nudno i samotnie, pozbawione ożywczej rosy artystycznej i... winnej. Barczysty czech wybladł i schudł. Poczynała go już trawić nostalgja...

I zdarzyło się jednego razu, że gdy leżał w swym pokoju, patrząc bezmyślnie w sufit, na dziedzińcu ozwały się rzeźkie tony orkiestry...

Kompanja wędrownych czechów wygrywała pieśń: „Poszły panny na śliwce”...

Frycek dorwał się, jakby go żmija ukąsiła, wdział czemprędzej surdut i wybiegł na dziedziniec.

A na dziedzińcu grała ta sama kompania, którą przed kilkoma laty tak niewdzięcznie porzucił...

Porwał pierwszego z brzegu muzykanta za szyję i ucałował go z całej siły. Potem toż samo zrobił z drugim, trzecim i dziesiątym. Powitał wszystkich, jak braci i spytał ze łzami w głosie: kto grywa teraz na trzykroć kręconej trąbie, osieroconej po jego odejściu?

— Nikt! — odrzekli chórem muzykanci.

I rzeczywiście, trzykroć kręcona trąba nie mogąc znaleźć dotąd piersi odpowiednio silnych, obnoszona była tylko przez kompanję, ale wcale nie używana.

Pokazali ją Fryckowi, ubolewając nad tem, że nikt nie jest w stanie ubytku jego zastąpić. Jeden muzykant odezwał się przytem, że wątpi, azali Frycek, na pańskim chlebie wydelikatniony, potrafiłby teraz na trąbie owej grać po dawnemu...

Wówczas Frycek ujął trzykroć kręconą trąbę, opasał się nią, jak laokonowym wę-

żem, i nabrawszy powietrza w płuca, zadął z całej siły...

Zadęcie było potężne i z trąby głos wyszedł czysty, jak szkło, a mocny tak, że umarłych obudziłby w grobie, żywych zaś do grobu położył...

— Slawa! — wrzasnęli muzykanci.

A Frycek, nie zdejmując trzykroć kręconej trąby, rzekł im:

— Przyjmijcie mnie bracia do siebie?

— Miłem sercem, panie bracie — odpowiedzieli.

— A to sem ja wasz na zawsze!

I złączywszy się z kompanją, wyszedł z dziedzińca, wesoło potrząsając trzykroć kręconą trąbą.

Powrócił tam, zkąd go los, dla uciechy starej damy, wypędził.

Małżeństwo jego z panią Pulcherją Grzybkową było jak sen — zbyt długi dla niej, zbyt krótki dla niego!

Trefniś.

* Franciszek I-szy, przed projektowaną kampanją, w ciągu której został wzięty do niewoli w Padwie, naradzał się nad możnością przedostania się do Włoch. Z kilku przedstawionych mu projektów, chodziło o wybór jednego.

Triboulet, nieodstępny błazen monarchy, obecny przy tych debatach, zakończył posiedzenie temi słowy:

— Zdaje się wam, panowie, żeście cuda wymyślili, tymczasem żaden z was nie dotknął głównego punktu...

— Jakiego?

— Zgadzacie się wszyscy co do sposobów wejścia do Włoch, ale nikt z obecnych nie pomyślał o sposobach wyjścia.

(*B. Hauréaur, François 1 et sa cour*).

* Kiedy się dowiedziano, że Karol X-ty (Charles quint) chcąc się przedostać do Niderlandów, domagał się przejścia przez terytoryjum Francyi, Triboulet wziął tę propozycyę za zabawny żart.

— Jeśliby — rzekł — Karol śmiał wejść do Francyi, ubrałbym go w moją czapkę.

— A gdybym mu jednak pozwolił spokojnie przejść? — pyta Franciszek I-szy.

— Wtedy, Najjaśniejszy Panie, odebrałbym moją czapkę od niego i ofiarowałbym ją tobie.

(*Improvisateur français*).

Trepka.

* *Pan Trepka.*

Na początku panowania Augusta II-go żył w Rawskiem Warszycki, wojewoda rawski, pan obszernych włości, światły, ale głośny z swoich dziwactw. Miał puhar srebrny, ozdobiony kosztownemi medalami, a objętości jednego garnca. Ogłasza tedy, że kto go spełni nie odkładając od ust, ten go otrzyma w darze, ale kto się na niego porwie, a nie dopełni warunków, pięćdziesiąt batogów zamiast daru otrzyma. *Volenti non fit injuria.* Wiele szlachty do jego zamku przyjeżdzało, prosili o pokazanie puhara, ale każdy, który nań spojrzał, zaniechał tyle uciążliwego doświadczenia, nie dowierzając sobie. I tak od daty ogłoszenia minął rok, że pod jego koniec już szlachta zaprzestała się zjeżdżać, a puhar jak był, tak i został własnością wojewody.

Aż razu jednego, podczas gdy siedział na ganku zamkowym, otoczony swoimi dworzanami, widzi jak zajeżdża na dziedziniec bryka, a z niej wysiada szlachcic nieznajomy, z litym pasem, w porządnym kontuszu, z pod którego wyglądały karmazynowe bajdawery. Zbliżywszy się do wojewody, nisko mu się ukłonił. Wojewoda mu się odkłonił. Spojrzeli sobie w oczy. Gospodarz groźnie, gość pokornie. Wojewoda widzi szlachcica niskiego wzrostu, trędowatego, z plecami nadzwyczajnej szerokości, z brzuchem odętym, jednem słowem z tem wszystkiem, co znamionuje potężnego szermierza kielichowego. Gospodarz pierwszy przerwał milczenie, odzywając się: „Kłaniam się waszeci i proszę go,

by mię raczył oświecić, kogo mam zaszczyt witać w moim domu". — „Jestem szlachcicem z ziemi Orszańskiej, nazywam się Trepka".— „I cóż waszeci zaprowadziło w nasze strony?" — „Słyszałem o pewnym puharze JW. pana, radbym go widział i sprobował na nim moją siłę". — „Ale czy wiesz waść, jakie go czekają warunki, gdybyś się porwał, a nie dotrzymał placu?". — „A wiem, wiem o wszystkiem, JW. Panie, proszę o pokazanie puhara". Przyniesiono puhar; ten widok pana Trepki nie odstraszył. „Staję, rzekł, do popisu Jaśnie Wielmożny Wojewodo, na rozkaz pański". Wojewodzie żal się zrobiło, bo wiedział, że ulubiony puhar przejdzie w obce ręce. Powstał i odszedł na stronę z swoim piwnicznym. „Mości panie, powiedział, nie ma wątpliwości, dość okiem rzucić na tego utrapionego litwina, żeby być pewnym, że nie garniec, ale dwa może bez odetchnienia wlać w gardło. Zrób więc jaką sztukę, żeby mu się nie udało. Mniejsza o batogi, o te obstawać nie myślę, ale przynajmniej puhar ocalę, bo szkoda go utracić". Piwniczny takiego używa fortelu: przyczepia na szpagacie mysz do sztyfcika, będącego na dnie puhara. I napełnia go wytrawnym węgrzynem. Pan Trepka oburącz podniósł puhar, otworzywszy ogromne *victum* i leje wino w gardło jeszcze przestronniejsze, jakby w beczkę. Mysz wpada mu w gębę, on bynajmniej tem się nie zraża. Mysz połyka, odkąsiwszy szpagat, aż do ostatniej kropli wino przelewa w gardło, tak, że próżnym puharem uderzył po łysinie. „Jaśnie Wielmożny Panie, odezwał się tryumfujący bohater, ten puhar jest moim". — „A waść, dodał, obracając się do kredencerza, kiedy masz sobie powierzone tak dobre wino, pilnuj odtąd, żeby muchy do niego przystępu nie miały".

H. Rzewuski (p. t. I, str. 10).

Tryjady.

* *Tryjady, czyli dziwaczne kombinacyje kabalistyczne liczby trzech, w rzeczach tyczących się filozofii, moralności i historyi.*

Trzy są rzeczy, znamionujące porządnego człowieka: chustka od nosa w kieszeni, rubel w portmonetce, niewyraźne wspomnienia młodości.

—

Trzy wrażenia nie zacierają się w ludzkiej pamięci: wrażenie pierwszej miłości pierwszego rewersu i pierwszego złudzenia.

—

Trzy są epoki przewodzenia kobiety nad światem: od stworzenia świata do potopu, od potopu do rewolucyi francuskiej i od rewolucyi francuskiej aż do naszych czasów.

—

W trzech walkach człowiek zawsze zostaje pokonany: w walce ze snem, w walce z przeznaczeniem i w walce z kobietą.

—

Trzy są rzeczy, nie mające wielkiej wartości: wypalony papieros, przeczytana gazeta i okolicznościowa znajomość.

—

Trzy są drogi, wiodące dzisiaj do slawy: blaga, reklama, kobieta.

—

Trzy razy w życiu kobieta musi być w kościele: podczas swojego chrztu, swojego wesela i swojego pogrzebu.

—

Trzech głosów niechętnie słucha wszelki człowiek: koguta piejącego na słotę, skandali literackich i śpiewaczek szansonetkowych.

—

Trzy są rzeczy, nierozwiązane dotąd na świecie: węzeł gordyjski, solidarność żydowska i kwestyja turecka.

—

Trzy rzeczy srodze trapią ludzkość: kantorowicze, katary, stare panny.

—

Trzy są sposoby poznania prawdy: patrzeć w zwierciadło, spacerować wieczorem po odludnych ulicach Warszawy, czytać pisma humorystyczne.

—

Trzema nabytkami wiek obecny zbogacił archeologję: czerstwością młodzieży, skromnością strojów damskich, uprzejmością biur pocztowych.

—

Do trzech rzeczy można przyrównać starego kawalera: do kołka w płocie, do motyla pląsającego po zwiędłych różach, do dyjabełka zamkniętego na pokucie, wedle podań ludowych, w suchej wierzbie.

—

Trzy są wnioski, wypływające z broszur p. Jeleńskiego: drożyzna opałowego drzewa, drożyzna mięsa i wielki szacunek kapitałów.

—

Trzy rzeczy wieńczą dzieło każdego artysty: podziw znawców, bicz krytyki i śmieszne sądy gawiedzi.

Troska.

* *Troski różnorodne.*

— Ach, szanowny kuzynie! zlituj się nad mojem nieszczęśliwem położeniem! Nie masz pojęcia o tem, co mię trapi. Ty nie masz pojęcia, co to jest troska!

Tak się skarży biedny człowiek, dostawszy się z trudnością do mieszkania swego bogatego krewnego.

— Jakto — odpowiada oburzony bogacz — a to może mała troska nie mieć żadnej chwili spokojnej, myśląc, że ni ztąd ni z owąd zjawić się może jakiś ubogi krewny.

Troskliwość.

* *Troskliwy mąż.*

(W pocztowej karetce).

Mąż. Czy ci tam dobrze siedzieć, moja kochana?

Żona. O, doskonale, lepiej być nie może.

Mąż. Czy tylko nie wieje przez okno?

Żona. Zupełnie nie.

Mąż. Ale słońce może ci zanadto w oczy świeci?

Żona. Bynajmniej, ani trochę.

Mąż. Cóż, a widok, widok jaki tam, ładny?

Żona. Przepyszny krajobraz.

Mąż. Tak? To puść mnie z łaski swojej na to miejsce.

Trupa.

* *Trupa wędrowna.*

„Nasz impresaryjo, człowiek z ladajaką
Duszą, najął nas, ale szelma zdradził,
Bo w drodze obcy bryg — corpo di Bacco!
Przywołał i tu zaraz nas przesadził.
I nie dał w łapę nawet na „tabacco“,
Lecz jeśli sułtan ma do śpiewu skłonność,
To nam nagrodzi losu „niefortunność“.

„To — primadonna — lat czterdzieści — [siwa,
Przekwitła bujnem życiem — wiecznie [chora,
Na puste ławki nadzwyczaj drażliwa;
Głos jaki taki. — To — żona tenora.
Skala niewielka — fertyczna i żywa —
Zrobiła wielką jednego wieczora
Furorę, kiedy hrabię Barbagiani
Wzięła z przed nosa jednej rzymskiej [pani.

„Dalej tancerki: To jest mała Nini,
Różne profesyje zna — czego nie chwalę.
Ta lafirynda znów — to Pelegrini,
Co zarobiła w zeszłym karnawale,
Nie chcę dochodzić jak — pięćset „zecchini“
A już wydała na cacka i bale.
A to: groteska — tłusta bajadera;
Młodzieńców z ciałem i duszą pożera.

„Statystki znowu — chór i baletniczki
Nie więcej warte, jak te, którem przódy
Wymienił — prócz tej i owej samiczki,
Resztę-bym posłał do jarmarcznej budy,
Ot ta naprzykład: długa nakształt ty- [czki,
Ma sentymentu wdzięk — mogłaby skudy
Zbierać, cóż? tańczy brzydko, ociężale,
Nie ma figury, a twarz szpetną wcale.

„Myślisz — mężczyźni lepsi? Też hołota!
Musico skrzeczy, jak garnek rozbity,

Choć ma warunki inne ta istota,
Że do seraju może być użyty
I służalczego skosztować żywota,
Umie sopranem śpiewać — jak kobiety,
A podobnego śpiewaka nie złapiesz
Nawet w tym chórze, który stroi papież.

Organ tenora hultajstwem zniszczony;
Basso nie śpiewa także, ale ryczy,
Bo też zupełnie nie jest wyszkolony;
Fałszuje, nie zna nut, głosu nie ćwiczy,
Lecz, że jest krewnym bliskim prima-
[donny,
Która przysięgła, że ma głos słowiczy,
Angażowano go — nie gorzej śpiewa
Wół, gdy się puści na recitativa.

„Siebie wynosić—byłoby to swojej
Godności szkodzić; młodyś pan, lecz wierzę,
Żeś się w podwórzach często u podwoi
Sztuki zatrzymał — znasz się na operze,
Raucocantego znasz?... Przed tobą stoi.
Może się kiedy w przyzwoitszej sferze
Spotkamy. Bywasz na jarmarku w Lugo?
— Nie? Bądźże — spotkasz się z najniższym
[sługą —

„A!—jest baryton jeszcze. Ładny malec,
Ale się gwałtem do wielkości garnie;
Zgrabne ma ruchy — szkoły ni na palec,
Skalę niewielką, głos zrywa niezdarnie;
Mówi, że los mu nie sprzyja... Zuchwa-
[lec!
Zadowoliłby zaledwie kawiarnie.
W rolach kochanków zawsze się za-
[perzy,
Gdzie trzeba klęknąć, on tam zęby
[szczerzy..."

Byron.

Trybunał.

* *Portret trybunału 1780 zaczętego w Piotrkowie 1-go września, a 1781 kończącego się.*

Prezydent.

W sądzeniu sprawiedliwy i nic nie uważa,
Czy kto kontent z dekretu, czyli się uraża,
Byle prawo zachował, ocalił sumienie
Nic na ukłony nie dba, na listy, proszenie.
Łagodny dla kolegów i ludzki w swym domu,
Boleje na bezprawia, nie przykrzy nikomu,
Kocha szczerze marszałka, otwarcie szacuje.
By go wszyscy koledzy kochali pracuje.
Lecz niesfornych półgłówków kto zjednać
[wydoła,
Prędzej kto kwadratowe znaleźć może koła.
Łoży zdrowie, fortunę, by szły dobrze sprawy,
Lecz w tym komplecie trudno, by dostał tej
[sławy.

Marszałek.

(Kaj. Wołoczkiewicz Olizar, stolnik koronny z województwa krakowskiego).

Dumny jest na ratuszu, a w domu wspaniały,
Tkliwy, ale wylany dla przyjaciół cały.
I dlatego pobłądzi czasem w rozsądzeniu,
Bo dla przyjaźni idzie przeciw przeświadcze-
[niu.
Ma rozum, obrót, dowcip i inne przymioty,
Z cnotliwymi doznałbyś zawsze jego cnoty,
Szuka wszelkich sposobów, by miał przyja-
[ciela,
Każdego z swych kolegów, lecz to żądać
[wiela;
W zgromadzeniu szumitów i pijaków gminie,
Prezydenta, że zyskał przyjaźń wszędzie sły-
[nie,
O jakby ci dwaj ludzie w odmiennym kom-
[plecie,
Dali cnoty obrotu pamiątkę na świecie.

Deputaci duchowni.

Kujawski, Kamieniecki, Chełmski choć sie-
[dzieli,
Co o sprawie mówiono, prawie nie wiedzieli;
Poznański nadto żywy i nagany godny,
Choć nie ubogi, przecie udaje, że głodny.
Płocki dosyć rozumny i poczciwa dusza
Nie leni się, choć stary, chodzi do ratusza,
Łucki ma rozum, lecz frant, miej się na bacz
[ności,
Bo cię sztucznie oszuka przy wielkiej grzecz-
[ności.

Krakowski.

(Karol Głębocki, vice ssgr. nowomiejski).

Wielki humor, a przytem wielce jest obłudny,

Nieroztropny i przykry i w racyjach nudny,
A podług uprzedzenia częściej sądzi sprawy,
Wino czasem i karty miłe mu zabawy.

Poznański.

(Fel. Wierzchlejski, pisarz ziemi Wschowskiej).

Dla Wielzeńskiego sprawy i dla ożenienia
Obrał się deputatem lecz nie dla sądzenia,
Mógłby być pożyteczny, bo ma rozum prawny,
Ale swem ożenieniem cały jest zabawny.

Sandomierski.

(Jan Weryho Darowski, pisarz grodzki nowomiejski).

Dla przyjaźni gotów jest zawieść swe sumie-
[nie,
Nie słucha przyczyn żadnych, gdy ma uprze-
[dzenie,
Stawa przy swojem zdaniu, uporczywie głosi,
Że chce tak prawo, przecież to krzywdę przy-
[nosi.

Kaliski.

(L. Moszczeński, starosta ośnicki).

Przymuszony od braci i ojca swej żony,
By został deputatem dla spraw ich obrony,
Grzeczny, ale też nadto na wszystko jest
[tkliwy,
Wspaniały i odważny i dość sprawiedliwy.

Gnieźnieński.

(Wojciech Lipski, starosta szymborowski).

Na złą oraz na dobrą stronę go nakłoni,
Nie uważa, że prawo i sumienie broni.
Gotów jest zawsze swoje śmiało zdanie głosić
Dla przyjaźni, byle najpierwej go prosić.

Sieradzki.

(And. Zaręba Cielecki, wojski szadkowski).

Odłącz od Łęczyckiego a doznasz, sumienia
Że jest sprawiedliwego; czasem z uprzedzenia
Sądzi, ale nie zdradzi, zaufać mu można,
Impetliwy i miękki, więc odmiana różna.

Łęczycki.

(Franc. Mączyński, cześnik łęczycki).

Parobek jest po trzeźwemu, burda gdy pi-
[jany,
Umie tylko wytrząsać butelki i dzbany,
Idzie ślepo jak hetman i Pałaski każe,
I takowym postępkiem swój charakter maże.

Kujawski.

(Karol Górski, miecznik brzesko-kujawski).

Dzieziuch młody i nie wie, jak ma żyć na
[świecie,
Słaby rozum w pojęciu, rezonuje przecie,
Przymówi nieroztropnie i lubi płeć białą,
Upiera się, choć krzywo, psując sprawę całą.

Dobrzyński.

(Tomasz Chełmiński, wojski więk. Rypiński).

Tkliwy, nieszczery, mściwy, ale zawsze grze-
[czny,
Czasami jest przyjaciel, lecz nikomu wieczny,
Około lup (?) jak przyjdzie lub swe zdanie
[głosi,
Przecież, by mu wierzono, mocno o to prosi.

Chełmski.

(Ign. Wawrz. Szorc, pisarz grodzki).

Sprawiedliwy, byleby hetmana żądania
Nie było, żeby sądził mimo przekonania,
Poczciwy, szczery i ma umiejętność prawa,
Ale czasem omylnie przeciw niemu stawa.

Wołyński..

(Onufry Breza kasztelanic santocki)

Idzie prawda za zdaniem marszałka, lecz byle
Jaka kobietka jemu umizgnie się mile,
Albo jakie dalekie kto czyni nadzieje,
Zdradza, bo sądzi: jak mu i zkąd wiatr za-
[wieje.

Podolski.

(Ign. Stadnicki, wojski męk. latyczewski).

Poczciwy, sprawiedliwy, lecz nie ma w swej
[duszy,
Roztropności, gdy winem zalany mózg suszy,
Gada, co mu do głowy przyjdzie nie do rze-
[czy,
Wytrzeźwiawszy, nic nie wie i wszystkiemu
[przeczy.

Lubelski.

(Kajetan Skarszewski, miecznik urzędowski, pisarz grodzki lubelski).

Impetliwy, choleryk, prędko się zapali,
A przez to niejednego z kolegów zażali,

Sądzi dość sprawiedliwie, przyjaźń czuje [przecie,
Obojętność, bo w sędziach rzadka jest na [świecie.

Płocki.

(Józef Kraszewski, pisarz ziemski zawskrzyński).

Starzec dawno zapomniał, co prawo pisane,
Pamięta tylko, kiedy grzywny są skazane,
Idzie za cudzem zdaniem. Szczęście gdy za [prawnym,
Nie sędzią go nazywać, lecz starcem zaba- [wnym.

Mazowiecki starszy.

(Jakób Górski z ziemi Zakroczymskiej, reg. ziemski i grodzki).

Jest to człowiek poczciwy, zna prawa naukę,
Dla przyjaźni on zrobi przecie czasem sztukę,
Nie zdradzi bowiem, szczery, dobrze częściej [sądzi,
Choć też w niektórych rzeczach swem zda- [niem pobłądzi.

Mazowiecki młodszy.

(Mikołaj Wołłowicz z ziemi Ciechanowskiej, starosta przyłuski).

Jest deputatem, ale nie patrzy ratusza,
Szuka tylko, wesoła żeby była dusza,
Gdy napije, wymowny, aż do naprzykrzenia,
Wytrzeźwiawszy, nie pomni swego przewinie- [nia,

Podlaski.

(Józef Ignacy Morzkowski, sędzia grodzki drobicki).

Ma naukę i rozum i przytomność wszędzie,
Obrotny lecz nie zdradzi, gdy przyjaciel bę- [dzie,
Co obcego oszuka, gdy pociągnie piórem
I sztuczkę mu wypłata pod innym pozorem.

Rawski.

(Stan. Morzkowski, regent wam. sochaczewski).

Jurysta, on udaje, lecz to bajka czysta,
Ktoby go za to kupił, strata oczywista,
Nieszczery i bałamut, a przytem uparty,
Lubi grzywny, nie wino, dzieweczkę i karty.

Bracławski.

(Kajetan Sobański, cześnik latyczewski).

Sprawiedliwym go nazwie, kto z postaci są- [dzi,
Lecz w grunt jego wejrzawszy, to pozna, że [błądzi,
Iże jak go kto prosi, a że przekonanym
Mówi, czy sprawiedliwym tak może być zwa- [nym.

Czerniechowski.

(Antoni Pułaski, starosta warecki).

Ani znaleźć podobna większego oszusta,
Rządzić chce Trybunałem, chociaż głowa pu- [sta,
Burda, oraz zdradliwy, niedotrzyma słowa,
Pańskim humorem nędzna jest nabita głowa.

K. Węgierski (p. t. I, str. 189).

Trzewiczki.

* Damie też swojej, cośmy się w sobie kochali, pannie Teresie Krosnowskiej, podczaszance rawskiej, przywiozłem w podarunku trzewiczki drewniane lipowe; kupiłem na nie umyślnie w Poznaniu pultynek specyjalny, sztukwarkową robotą [1]), hebanem i perłową macicą nasadzany, adamaszkiem karmazynowym podklejony; i tak to oddałem za wielką osobliwość z piękną mową pana Franciszka Ołtarzowskiego, towarzysza i sąsiada mego, który to wywiódł dosyć ładnie pierwej, niżeli pokazał, co tam jest wewnątrz w pultynku i jako nigdy w Polsce niewidziany oddał prezent. Oni też biorąc miarę z pięknego pultynka, spodziewali się, że to tam coś dziwnego i drogiego obaczą. Mówił tedy w ten sens (lubo całej nie podobna pamiętać): „Wolentarz to jest w ciele ludzkiem, afekt, moja wielce Mścia panno, który od inszych zmysłów żadnych nie przyjmując ordynansów, swoją własną rządzi się imprezą i na którąkolwiek stronę zechce i sam siebie i serdeczną może nakierować inklinacyją. Niech przez wysokie przeprawia się Alpy, niech bystrych rzek przepływa nurty, niech między bezdennemi niezbrodzonego oceanu zabawia się głębokościami, ma jednak swój cel, do którego uprzejmem serca swego zmierza okiem, do

[1]) *Sztukwarkowy* — składany słojem, wykładany.

którego choć w odległości swoje życzliwe zwykł akomodować intencyje. Takich nieomieszkując sposobów, któremiby swoję mógł wyświadczyć przysługę Imć pan Pasek, brat i towarzysz mój, z tak dalekich od granic ojczystych ziemi przybyły, jakimby miał WM. pannie przysłużyć się prezentem, długo deliberował, bo przynieść z dalekich krajów to, co lubo z drogości i ceny ma wysokie u ludzi zalecenie, ale w Polsce zdawna znajome, nie specyjał; przywieźć z krajów tych to, co u nas i wśród Polski dostanie, nie moda; ale taką osobliwość, której jeszcze i dotąd nie widziała Polska, to jest specyjał. Niech się odważny Jazon złotem popisuje runem, po które do Kolchidy rezolwował się, czyniąc to dla swojej; niech Hipomenes przez wyrżnięcie złotego jabłka gładkiej pozyskuje przyjaźń Atalanty; ale tamte podarunki z tym wchodzić nie mogą w paragon. Czemuż? bo to tam były te specyjały, żadnego w sobie nie mające rarytetu, ale z samego tylko zrobione złota. Ja zaś poszczycić się mogę, że oddaję imieniem mego brata tak niezwyczajny prezent, którego pewnie w królewskich ani cesarskich nie znajdzie skarbnicach; któremu równego i sama na cały świat sławna i wymyślna strojnica, Kleopatra, nie zauważyła i nie miała ornamentu. Co i, WM. panno, sama przyznasz to snadnie, tak niezwyczajny obaczywszy specyjał. Prosi tedy przezemnie, abyś WM. panna tegoż zażywając zdrowo, wdzięcznie przyjąć raczyła“.

(*Pamiętn. Jana Chryz. Paska*).

Trzeźwość.

* *Przeszkoda w obserwacyi.*

— No cóż, jakże ci się wydaje córka profesora?

— Niczego, niczego, tylko, co prawda, jam jej nigdy w stanie trzeźwym nie widział.

— Jakto, czyż ona pije?

— Ona? nie wiem, ale ja czasem.

Trzy.

* *Trzej goście.*

Bawaryja była tak piękna, że ach!...
Bawaryja tak pusta, aż... człeka brał strach!!!
Gospodarz się martwił i z zmartwień tych [schł,
W tem patrzy... W drzwi gości się wtłacza aż [trzech.
I mówią: „Cny panie, masz wódek, piw dość,
Więc czemuż w twym progu tak rzadkim [jest gość?...“
„Dalibóg! To dla mnie największy jest dziw,
Bo cudną jest władza mych wódek i piw“.
Gość na to: „Antałek niech będzie nam dan“.
(Inkasent z browaru był zacny ten pan).
A drugi na stołkach trzech razem siadł *fest*.
(Inkasent od firmy meblowej on jest).
Zaś trzeci z nich cały zamyka wnet kram
I pieczęć przykłada... Komornik był sam!

* *Trzech nie budrysów*

(Ballada współczesna).

Vater Gotlieb, szwab stary,
Kocha bite talary,
Więc trzech synów raz woła i rzecze:
„Syny moje, źle z nami,
Ja już gonię resztkami,
Marsz *nach Polen*! Tam z mlekiem miód cie- [cze.
Weźcie myce i trepki,
A niech każdy chłop krzepki
Na swym karku germańską ma głowę...
Dalej, żwawo me dziatki
Zabierajcie manatki,
Psy, dreikenig i lulki gotowe.

Dalej, dalej, me syny,
Po brzęczące wawrzyny,
Żwawo spieszcie nad Wisły obszary,
A przywieźcie z Korony
Nie trzy dziewki, nie żony,
Ale ruble i bite talary!“

I nach Polen ruszyli
Synalkowie trzej mili,

Wioząc lulki, dreikenig i myce;
Depcąc stare pantofle,
Żując suche kartofle,
Wnet na polską wkroczyli ziemicę.

Jeden poszedł na prawo,
Drugi w lewo szedł żwawo,
Trzeci środek wziął sobie marszrutą.
Nim lat dziesięć upłynie,
Ślad ich nędzy zaginie
Część Polonii zadziwią swą butą.

Toczy słońce swe kręgi,
Siedmiobarwnych tęcz wstęgi
Na błękitach przejrzystych odbija,
Stary Gotlieb przed chatą,
Siedzi w zimę i w lato,
Bo już pono dziesiąty rok mija.

„Syny moje rodzone,
Serce po was stęsknione,
Gdzieżeś Johann, gdzieś Wiluś, gdzieś Frycek!
Przeszło lato i zima,
A was niema i niema
Niema waszych psów, lulek i mycek!"

Gdy tak Gotlieb wyrzeka
I na synów swych czeka,
I wciąż spluwa i klnie, co się zmieści, —
Schabem dobrze spasiony,
Szwab —*Schweinhändler* z Korony
Wiezie pisma od synów tej treści:

Lieber Vater! *Gut morgen*,
Trzeba podróż *besorgen*,
Wszyscy wespół cię *herzlich* prosimy,
Sprzedaj całą chudobę
I swą zacną osobę
Wież *nach Polen*, nim przyjdzie czas zimy.

Mamy *bahny*, browary,
Ruble, marki, talary,
Tylko ciebie nam, *Vater*, brakuje.
Zabierz ludzi: — Polonję
Zamienimy w kolonię,
Niechaj Polak po szkodzie żałuje.

Tak pisali synowie,
„Niech im będzie na zdrowie!"
Rzekł szwab Gotieb i w brodę się skrobie,
Biorę ludzi bez miary,
Grunt zamieniam w talary
I na kursie w Polonii zarobię.

Turek.

* *Turek fanfaron.*

We Francyi pewna dama zapytała się znakomitego turka, dlaczego prawo Mahometa pozwala mieć żon kilka.

— Dlatego— odpowiedział turek— ażeby w kilku żonach znaleźć można wszystkie te przymioty, jakie się razem połączone znajdują w twojej pani osobie.

* Ojciec znakomitego malarza, Eugeniusza Delacroix, był podczas dyrektoryjatu ministrem spraw zewnętrznych.

Pewnego dnia poseł sułtana, bawiący w Paryżu, złożył mu wizytę. Jednocześnie minister otrzymuje jakieś urzędowe pismo. Otworzywszy je, powiada:

— Dostałem dymisyję.

— Ałłah! — woła turek, który przedtem miał się już ku wyjściu i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zasiada w fotelu?

— Czy życzysz pan sobie czego? — pyta uprzejmie minister.

— Nie, czekam tylko na przysłanie sznura, którym pan uduszony zostaniesz, pragnę widzieć, jak umiera francuski wezyr.

Z trudnością zdołał wytłómaczyć turkow- francuski minister, że duszenie dymisyjonowanych ministrów nie jest zwyczajem w krajach cywilizowanych.

Twardowski.

* *Pani Twardowska.*

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha, chi, chi, hejże hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.
Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.
Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału.
Z patrona robi się kondel.
Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.
Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno. — Co u licha
„Po coś tu kumie zawitał?"
Dyjablik to był w wódce na dnie:
Istny niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.
Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos, jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogcie.
„A, Twardowski... witam bracie!"
To mówiąc, bieży obcesem:
„Cóż to, czyli mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem".
„Wszak zemnąś na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy
„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać, jak swego.
„Już i siedem lat uciekło
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.
„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma *Rzym* się nazywa...
Kładę areszt na waszeci".
Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie *dictum acerbum*;
Dyjabeł za kontusz ułapił:
„A gdzie jest *nobile verbum*?"
Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.
„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,
„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.
„Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.
„Skręć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.
„Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha
Pobita nasieniem z maku.
„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi trzy takie bretnale".
Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.
Twardowski dosiadł bieguna,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.
„No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nieskończona,

Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona".
Dyjabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.
Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząsł się, brrrum! parsknął raźnie:
„Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię".
„Jeszcze jedno, będzie kwita.
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.
„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.
„Przysiąż jej miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda na nic".
Dyjabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki.
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blisko klamki.
Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi do okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

A. Mickiewicz (p. t. I, str. 19).

Twarz.

* Pęka szabla, ogień mdleje, gdy się gład-
[ka twarz rozśmieje.

Naruszewicz (p. t. I, str. 310).

* — Z jaką twarzą ty się dziś nosisz? — spytała brzydka żona skrzywionego męża.

— Jakąż mogę mieć twarz — odparł mąż mrukliwie — kiedy oddawna muszę twojej się przyglądać!

Tysiąc.

* *Z tysiąca nocy i jednej.*

(Powieść o Icku szalonym, który naprawdę nie był szalonym, lecz iż twierdził, że jest szalony, przeto zaczęto się z nim obchodzić jak z szalonym, zkąd tenże o mały włos naprawdę nie oszalał, co się wszakże na szczęście jego dwunastu synów i jednej żony nie stało).

Żył sobie niegdyś w handlowem mieście Bagdadzie (boć to powieść z tysiąca nocy i jednej) biedny żydzina imieniem Icek...

Robić nic nie umiał, handlować czem nie miał, przeto szukał sposobów, któreby jego samego, jego połowicę i dwunastu bachorków wyżywić mogły...

Czasem, gdy przejeżdżał zamożny jaki effendi, to rzucał się pod konie i krzyczał, że go na śmierć przejechano, robił wielki gwałt i dostawał trochę pieniędzy odczepnego; czasem też drażnił psy bogatych ludzi, a gdy mu te poszarpały żupan — przychodził z płaczem do ich właścicieli i wyprosił co na reperacyję.

Cóż miał robić? Pracować nie umiał — rozbijać nie miał siły, a kraść się bał. Szukał więc uczciwych spekulacyi, kosztem całości własnej skóry i kamlotowego żupana, co jedno z drugiem złączone, reprezentowało cały jego zakładowy kapitał...

I działo się z tem Ickowi o tyle dobrze, że codzień mógł kupić swojej rodzinie pięć żodkwi, dwie cebule i parę funtów razowego chleba, a w dzień szabasowy parę funtów rybek, drobnych, jak ziarnka owsa, ale za to smacznych jak trociny, a tanich, jak plewy...

Pewnego dnia wyszedł swoim zwyczajem ubogi ów człowiek na miasto, szukając ktoby go przejechał i patrząc bacznie, ażali nie widać gdzie jakiego pięknego psa w błyszczącej obroży, psa pańskiego... któryby podrażniony mógł spróbować siły swych zębów na ickowym chałacie...

Niestety, miasto było dziwnie puste.

Po ulicach przesuwały się tylko ciężkie wozy naładowane drzewem lub cegłą i wlokące się powoli długim sznurem, jeden za drugim; a biegające tu i owdzie psy tak były własnemi interesami zajęte, że nie zważały wcale na Icka, który zaczepną względem nich przybierał postawę.

Zdawało się, że wszystko, co się tylko rusza w miasteczku, przejęte było duchem pokoju i grzeczności. Nawet przechodnie na trotuarach nietylko nie spychali Icka w rynsztok, lecz przeciwnie ustępowali z gestem, który zdawał się mówić:

— Owszem, proszę, niech mnie pan dobrodziej jeszcze raz popchnie, jeżeli mu to zrobi przyjemność...

Zkądże w takiem cichem, spokojnem miasteczku zdobyć fundusz na kupienie cebuli i rzodkwi?

Icek jednak szedł wytrwale; nie wątpił on, że prędzej czy później znajdzie się sposobność narażenia na szwank tego poczciwego, chociaż bardzo zaszarganego żupana, którego każda dziura i łata przyniosła mu dochód.

Jakoż w samej rzeczy, przy końcu jednej z bocznych ulic, której domki kryją się wśród pięknej zieleni ogrodów, ujrzał gromadkę ludzi złożoną ze sług, stróżów i kilkunastu obdartych uliczników, którzy, jak zwykle w miastach, niby z pod ziemi wyrastają przy każdem ulicznem wydarzeniu...

Pierwszą myślą Icka było zbadać przyczynę zbiegowiska.

Wmięszał się więc w gromadkę ludzi i dowiedział się, że w tym domu zabito psa podejrzanego o to, że był szalony. Słyszał, jak ulicznicy opowiadali o ostatnich chwilach biednego zwierzęcia, jak kumoszki zajmowały się badaniem istoty wścieklizny i wymieniały nazwisko pewnej baby, która cudownie umie tę słabość odczarowywać, a wreszcie widział stojącego na ganku człowieka, który załamywał ręce i wzdychał, mówiąc:

— Biedny, biedny Kastor! już cię więcej nigdy nie zobaczę!

Inteligencyja ickowa zaczęła kombinować. Rozum jego oddał się pracy, której owocem była następująca konkluzyja:

— Pies był wściekły.—Wściekłe psy kąsają – ten pies mógł pokąsać różnych ludzi; a jestem także człowiek, mógł więc ukąsić i mnie. Przypuśćmy, że zostałem ukąszony. Wiadomo, jakie to ma skutki -- chcąc tych skutków uniknąć, potrzebuję się leczyć... Leczenie tak strasznej choroby bywa zazwyczaj kosztowne — trzeba na to pieniędzy. Niech przyczyna odpowiada za skutek — niech płaci pies. Pies wszakże nie odpowiada w sporach cywilnych. Ten pies tembardziej, najprzód, że nie ma pieniędzy — powtóre, że był przed śmiercią wściekły, potrzecie, że jest obecnie nieżywy — ale pies miał pana—a pan odpowiada za czyny swego brytana. Wytaczam więc akcyję przeciwko panu; niech mi zapłaci za kuracyję i za przestrach: dziesięć rubli kuracyja, pięć przestrach—razem piętnaście.

Dobry interes!

Uderzywszy się z radości piętami w piersi, Icek zakasał procentujący chałat i pobiegł do znajomego Winkelschreibera, sławnego na całe przedmieście mecenasa, który napisał mu skargę do prześwietnego sądu.

W skardze tej, malowniczym, barwnym stylem opisaną była cała okropność wydarzenia...

Było opisane, jak pies ze strasznym gwałtem, wyszczerzając ostre zęby, skoczył Ickowi do twarzy, jak go przewrócił, pogryzł na kawałki i wypluł go na ziemię z takim impetem, że biedna ofiara zaledwie cudem się zrosła i przez przyjaciół odniesioną została na łoże boleści.

Po tym obrazie następowała uniżona, czuła, rozdzierająca duszę apostrofa do sądu, wyrażająca zarazem nadzieję, że prześwietny przybytek sprawiedliwości rozkaże zedrzeć z właściciela psa siódmą skórę i takową wystawi na licytacyję, na rzecz nieszczęśliwego, tak szkaradnie pokaleczonego i tak straszliwą chorobą zagrożonego człowieka.

Wniósłszy skargę, Icek udał się do domu, zjadł smacznie kolacyję i zasnął w słodkich marzeniach, błogosławiąc tego, co wynalazł wściekliznę i projektując sobie doro-

bienie się majątku na spodziewanej sumie...

Słodkie sny!

Bo cóż to można mieć za te pieniądze! jakie śmiałe obroty! jakie szczególne spekulacyje! za dziesiątkiem dziesiątek! za setką setka! dalej tysiące... dziesięć! sto! milijon!

Ta ostatnia cyfra tak go zachwyciła, że się przebudził.

Gdy jednak otworzył oczy, ujrzał przy swojem łożu trzech policyjantów, z których jeden, widocznie starszy, usiłował wydobyć go delikatnie za ucho z pod pierzyny.

Icek wrzasnął: „aj waj!“—i utonął w pierzach.

Niewiele mu to pomogło.

Pachołkowie miejscy wydobyli go ztamtąd.

— Ubieraj się i idź z nami — wołali.

— Za co? na co? dla czego?

— Ponieważ jesteś wściekły...

— Ja wściekły! co to jest? niech moje wrogi będą wściekłe... kto panom powiedział, że ja wściekły...

— Sam napisałeś, żeś wściekły... Marsz w drogę!

— Gdzie? ja nie pójdę; ja nie chcę!

I począł się szamotać.

— Wiązać go!— zawołał policyjant—widzicie, jak się szarpie... jaki wściekły!

Nie pomogły szamotania, bezskuteczne były łzy, prośby i zaklęcia, daremne wszelkie tłómaczenia i przysięgania. Icek był wściekły na piśmie...

Zaprowadzono go do szpitala.

Właściciel psa dołożył wszelkich starań, aby przeprowadzić Icka przez wszelkie stacye obserwacyi lekarskiej, wykonanej z wszelkiemi możliwemi szykanami — i tym sposobem oduczyć go łatwych zarobków...

Była noc.

W ciemnej, ponurej kancelaryi szpitalnej paliła się jedyna lampka i nadawała temu przybytkowi pozór wrót piekielnych, w głębi których znajdował się drżący, przestraszony Icek.

— Jaśnie wielmożny panie — mówił do dyżurnego kancelisty—pod chairem, to wielkie słowo! ja jestem zdrów.

— Głupiś — bąknął przez zęby kancelista, a zapisawszy do księgi godności i tytuły Ickowe, zadzwonił.

Weszło czterech drabów, którzy natychmiast rozebrali drżącego Icka i narzuciwszy na niego długi szpitalny szlafrok, przez szereg korytarzy i piętr zaprowadzili go do klatki i zatrzasnęli drzwi za nim.

Wiecież wy, co to jest klatka?...

Jest to bez kwestyi najsmutniejsze mieszkanie, przeznaczone dla nieszczęśliwych waryjatów, których wtrącają tam podczas gwałtownych napadów szaleństwa.

Zbudowana z silnych bali dębowych, zajmuje tam tyle miejsca, ile potrzeba na pomieszczenie siennika i poduszki.

W drzwiach jest krata, przez którą wpada powietrze i światło z wielkiej izby, w której ustawione są te smutne siedziby nieszczęśliwych.

Icek wtrącony do klatki, pozostawiony samemu sobie, jakkolwiek był przy zdrowych zmysłach, robił jednak to samo, co wszyscy waryjaci.

Naprzód klął, rwał się, rzucał, chciał wyłamać kratę, lecz widząc, że nikt na to nie zważa, że dyżurny posługacz przechadza się po izbie z cyniczną spokojnością paląc fajkę, zaczął cicho płakać, a następnie wpadł w stan jakiejś apatyi i bezmyślnie spoglądał w koło siebie wystraszonemi oczami...

Przeszła noc, długa jak wieczność.

Słońce, tak dobroczynne dla wszystkich, rzuciło przez okna trochę światła na uciechę biednym waryjatom i Ickowi, który rozglądał się trwożnie po nowym swoim lokalu...

— Panie, jaśnie wielmożny panie stróżu zapytał posługacza, który mu przyniósł chleb i mleko—czy ja tu długo będę siedział?...

— Oho, mój kochany — przez trzydzieści lat, jak tu służę, nie widziałem jeszcze, żeby kto ztąd wyszedł na świat.

— Ojwaj!

— Jeżeli nie będziesz się wściekał, gryzł, rozbijał, to pójdziesz do Macieja na „spokojną salę“ — a jak zaś nie, że na to mówiąc, będziesz breweryje wyrabiał, to cię *zara* w kaftan i *marś* do klatki...

— Oj waj! aj waj! a moja żona, a moje mało dzieci?

— Co poniedziałek mogą przychodzić do ciebie, mogą ci nawet przynieść co do zjedzenia—tylko oprócz wódki — tej niech Bóg broni, nie wolno!...

— No, ale co oni chcą? za co mnie tu trzymają, kiedy ja zdrów... of mejne munes, ja taki zdrów, jak *bik*!

— Cicho, głupi — tu panowie byli i tak samo gadali, że są zdrowe, a do tego siedzieli do samej śmierci, a ty łapserdaku chcesz być mądrzejszy. Widzisz go, o! on nas tu będzie uczył! Waryjat bestyja sprawiedliwy! takie ma iskry w ślepiach, jak świeczki i chce po świecie chodzić!

To mówiąc, splunął i poszedł. Icek nie spojrzawszy nawet na mleko, padł wznak na posłanie i leżał drżąc, jak w febrze.

Jak długo tak leżał, sam nie wiedział — otworzył dopiero oczy, gdy usłyszał kroki kilku osób.

Oczom jego przedstawił się taki widok. Naprzód szedł poważny doktór, z okrągłym brzuszkiem, wygolony starannie, w złotych okularach, z miną niezwykle poważną i uroczystą, za nim felczer i kilku posługaczów, z których jeden niósł fajerkę z rozżarzonemi węglami i jakieś straszne żelazne narzędzie.

Doktór spojrzał na Icka przez kratę, następnie skinął na posługaczów i rzekł:

— Rozebrać go!

W jednej chwili Icek w stroju Adama stał na środku sali, istotnie już bliski szaleństwa, gdyż mniemał, że go zaraz wezmą do wojska, że będzie musiał chodzić koło takiego konia, co wierzga, koło takiej armaty, co strzela koło takiego jenerała, co krzyczy.

Zsiniałemi usty wybąkał:

— Wielmożny konsyljarzu! ja jestem... jedynak.

— To mi wszystko jedno — mruknął poważny eskulap. — Gdzie cię pies ukąsił?

— Un? un mnie wcale nie kąsił... ja jego nawet nie widziałem — fe! kto takie paskudne mowe powiada.

— Jednak sam to napisałeś, a teraz wypierasz się — istotnie, śladów pokąsania nie widzę — ale tu, na prawym policzku jest znaczek, jakby od zadrapania.

— To ja sam siebie podrapałem, wielmożny konsyliarzu!

— Może ty, a może ów pies.

— Co pies? albo on jest moja żona, żeby mnie drapił po gębie?

Doktór nie zważał na ten protest.

— Postawić w tem miejscu bańkę ciętą — rzekł do felczera i w jednej chwili maszynka szczęknęła, a pękata bańka wysysała zdrową krew z Ickowego policzka.

— A teraz — rzekł doktór, gdy już odjęto bańkę — wypalimy ranę.

I wziął z rąk posługacza do białości rozpalone żelazo.

Widząc to, Icek już był bliski szaleństwa.

Padł na kolana, błagał, prosił, jęczał, wyprzysiągł się, że psa wcale nie widział, przyrzekł, że skargę cofnie i że już nigdy nie będzie w ten sposób wyzyskiwał ludzi.

Doktór pogroził mu palcem, roześmiał się, kazał zabrać straszliwą fajerkę i wyszedł; pacyjent zaś pozostał sam w straszliwej niepewności, co z nim będzie.

Widmo doktora z rozpalonem żelazem nie mogło mu zejść z przed oczu.

Za usilnem staraniem żydków, po kilkodniowem przetrzymaniu w szpitalu wypuszczono Icka, który cofnął skargę z sądu.

Dziś Icek, nauczony smutnem doświadczeniem, nie rzuca się pod konie i nie zaczepia psów, lecz jest posługaczem na kolei i zara-

bia więcej niż rubla na dzień, nosząc uczciwie tłomoki i bagaże.

W powszedni dzień uwija się w niebieskiej bluzie, a co tydzień zasiada do szabasowej uczty w nowym racimorowym żupanie i w futrzanej czapce z aksamitnem denkiem.

Cały tydzień uczciwie pracuje, w sobotę pięknie śpiewa mejufes i jest użytecznym członkiem społeczeństwa i szanownym ojcem rodziny, w której członków wbija jarmułką poszanowanie pracy i pogardę łatwych a nieczystych zysków.

Tyski.

* Pani Tyska
Daje pyska,
A pan Tyski
Zbija pyski.

O małżeńskiem stadle, w którem żona zalotna, a mąż zazdrosny.

Tytuły.

* Wielki Kondeusz słysząc jakiegoś pyszałka, powtarzającego ciągle: „mój pan ojciec", „moja pani matka" i t. p., znudzony zawołał: „Mój panie lokaju, powiedz memu panu furmanowi, aby założył parę moich panów koni do mojej pani karety".



Ucho.

* *Pańskie uszy.*

— A cóż tam wasz nowy pan, jakże, dobry?

— Toć niczego, tylko to bieda, że ma uszy w nogach.

— A to jak?

— A bo jak mówić do niego, a nie schylić się aż do kolan, to nic a nic nie słyszy.

* *Coś mi w uchu zadzwoniło.*

Zadzwoniło mi w uchu!...
Ktoś mnie teraz ma w duchu,
O mnie myśli, wspomina...
Kończy, znowu zaczyna!...

* *

Ach! jak dzwoni!... jak dzwoni,
Jakby strumyk w ustroni,
Jak fujarki ton w borze...
Któż to? któż to być może?...
Nuta świeża, jak wiosna,
Jak niewinność radosna...
Pewnie jakaś dziewica
Czysta — jak blask księżyca!

* *

Przysłuchuję się echu...
Ach!... To srebrny ton śmiechu!...
Znam go! O, znam te nutki...
To śmiech pani Cichutkiej!...
Ileż razy, zuchwała
Z męża ze mną się śmiała...
Dzisiaj — zwykłe koleje —
Ze mnie z drugim się śmieje!...

Ucinek.

* Ty myślisz, iż to owoc gruntownej nauki,
Dokładne i mistrzowskie wykonanie sztuki
Tak chlubne recenzenta zjednało ci zdanie,
Nie to — nie, przyjacielu — lecz smaczne [śniadanie.

Uczciwy.

* *Synek.* Tatusiu, co to jest człowiek uczciwy?

Ojciec. Widzisz, to taki człowiek, co jeszcze ani razu w kozie nie siedział.

(*Flieg. Bl.*)

Uczony.

* W Wiedniu pewien szwedzki uczony, nazwany został przez stróża „waszą łaskawością". — „Ależ—wyznał skromnie uczony—ja nie jestem ani szlachcicem, ani żadnym znakomitym człowiekiem..."—„Eh, to nic nie znaczy — odpowiedział stroż — tu każdego łotra nazywa się waszą łaskawością!"

* Młody człowiek, który wcale czytać nie umiał, dostał bardzo piękną książkę do nabożeństwa i brał ją z sobą do kościoła, udając, że czyta.

— Przepraszam — rzekł raz do niego sąsiad — czemu pan zawsze trzyma książkę odwrotnie.

— A! bo widzi pan, ja jestem mańkutem— odrzekł zaambarasowany młodzieniec.

* *Uczony mąż.*

— Mój mężusiu, powiedz mi, co to jest cynik?

— Cynik?... A to jest widzisz ten, co to fabrykuje wyroby z *cyny...*

— A co to jest antropologia?...

— Nauka o ludziach...

— A psychologia?

— To... nauka o psach...

* *Uczona.*

Miała włoski obcięte króciutko,
Wyzywała świat wejrzeniem śmiałem,
I—doprawdy, że była milutką,
Gdy o Millu prawiła z zapałem.
Z jej poważną, namaszczoną minką,
Tak kłóciły się usteczka świeże,
Że mi zdała się psotną dziewczynką,
Gdy za metra się swego przebierze.
Widywałem ją, jak na odczycie
Każde słowo chłonęła, przejęta,
W małe rączki swe klaszcząc, w zachwycie
Chciała wzrokiem połknąć prelegenta.
Znowu byłem w księgarni raz świadkiem,
Jak pytała o dzieła Spencera,
I na stronie badała ukradkiem,
Jaki podziw jej wiedza wywiera.
O postępie, o emancypacyi
Rozprawiała gorąco i szczerze,
Na zarzuty, choćby słusznej racyi,
Powiadając z uporem: „nie wierzę".
Nie cierpiała powieści i wierszy,
Teatr mianem chrzciła przesądu, —
Za to zapał zdradzała najszczerszy
Przy czytaniu „Prawdy" lub „Przeglądu".
Lecz w rozumnej i trzeźwej tej główce
Wdzięk dziewczęcy ukrywał się na dnie:
Nie raz w bardzo patetycznej mówce
Jakiemś słówkiem przebijał się zdradnie.
I panienka—o duszy, o świecie
Pozytywne wysnuwając wnioski,
Nagle pyta, naiwnie, jak dziecię:
„Jakie oczy ma pan Świętochowski?"

Uczta.

* *Uczta kosztowna.*

Pewien ambasador angielski w Neapolu wydał świetną i nader urozmaiconą zabawę, która też powiodła się znakomicie; ale ponieważ ktoś puścił w kurs, że stosunkowo nie kosztowała wiele, więc obmówiono i ucztę i gospodarza. Dowiedziawszy się o tem, zemścił się, jak prawdziwy anglik, oraz jak człowiek, lekceważący pieniądze.

Zaprasza gości po raz drugi. Wszyscy są przekonani, że chce się rehabilitować; znajomi napływają tłumnie, robi się formalny tłok. Tymczasem nie widać żadnych przygotowań, tylko po chwili służący wnosi naczynie do ogrzewania, napełnione spirytusem. Spodziewano się jakiego cudu.

„Panowie — powiada ambasador do zgromadzonych — miałem sposobność przekonać się, że nie chodzi wam o przyjemność zabawy, ale o wartość jej pieniężną. Przypatrzcie się zatem dobrze—i ukazując podszewkę swego ubrania, dodał: Oto jest obraz Dominicai-

na, cena jego wynosi pięć tysięcy gwinei... Nie na tem wszakże koniec, widzicie te dziesięć biletów, każdy po tysiąc gwinei, płatne na okaziciela w banku amsterdamskim". — Zwija w trąbkę te wszystkie bilety i pali je na spirytusowym ogniu. — „Nie wątpię, panowie, że dzisiaj odejdziecie zadowoleni... żegnam was, uczta już skończona".

Chamfort (p. t. I, str. 35).

* *Uczta pogrzebowa.*

Pan Grinod de la Reynière chciał się przekonać ilu ma rzeczywistych przyjaciół. W tym celu ogłasza się za umarłego i rozsyła wszystkim dobrym znajomym bilety zapraszające na swój pogrzeb, którego godzinę oznacza w porze obiadowej.

Przybyli widzą na katafalku trumnę przykrytą czarnym suknem, przechodzą do sąsiedniego pokoju — czekają na wyprowadzenie zwłok.

Upływa kwadrans... pół godziny... godzina... Nareszcie otwierają się drzwi na rozcież—ukazuje się w nich kamerdyner i mówi: „Panowie, podano do stołu".

Zebrani goście zastają w sali jadalnej pana de la Reynière żywego i zdrowego... Można sobie wyobrazić, jaka zapanowała radość i wesołość, a również ile żarcików posypało się na rachunek nieobecnych.

Ale nieśpoprzestał na tem tylko ten złośliwy niedoszły nieboszczyk i zemścił się na swoich pseudo-przyjaciołach jeszcze w inny sposób.

Po pewnym przeciągu czasu wydaje dla nich proszony obiad — zastają pokój udekorowany we wszelkie przybory żałobne — za krzesłem każdego z biesiadników stoi otwarta trumna i cała uczta trzymana jest w tonie ceremoniału pogrzebowego.

Ufność.

* W przedziale wagonowym jedzie tylko dwóch panów, którzy zapoznawszy się z sobą, gawędzą bardzo przyjemnie. Naraz obaj chwytają się za kieszeń.

— Chciałeś pan zobaczyć, która godzina? — pyta jeden.

— Nie, patrzyłem tylko, czy mam jeszcze zegarek.

— A pan szuka też pewno cygarnicy?

— Nie, chciałem się przekonać, czy mi kto nie wyciągnął pugilaresu.

Ujrzałem raz.

Ujrzałem raz — piękną kamienicę
Ujrzałem raz — właściciela papę,
Ujrzałem też i córkę dziewicę
I rzekłem: z nią kamienicę złapę.
I kocham ją, nie patrząc na lice,
Bo za nią mi dadzą kamienicę.
Ujrzałem raz—kasę ogniotrwałą,
A w kasie tej rubli grube stosy.
Miłością wnet serce mi zadrgało,
Z tą, czyją jest, chcę podzielić losy.
I kocham ją—choć brzydka, lecz kasa,
To wdzięków jej najlepsza okrasa.
Ujrzałem raz — czystą hypotekę
Majątku jej, jej rozległe włości,
I zaraz też z miłości się piekę
Choć w lubej mej serce pełne złości.
I zaraz też ja płonę z miłości,
Bo panna ma rozległe włości.
Ujrzałem raz — pustki w lubej głowie,
Ujrzałem raz — serce puste, czcze,
Lecz mimo to — kocham ją, panowie!
I żoną swą mieć koniecznie chcę.
Bo serce czcze, oraz pustą głowę
Zapełnią mi papierki rublowe.

Ujazdów.

* *Z zabawy na Ujazdowie.*

Co tam było! A czego tam nie było?!

— Antek!

— Cccooo?

— Zapłaciłeś ci kopijanse?

— Nima frajdusów...

— A jak?

— Bez parkan...

— Patrzcieżno! Już jadom damy solo we cztery.

— Uuuu... u! uha! oooooo! o! no!

— Chlaps! rym! fiu... u!

— Leży! Tamta czarna!

— Pokazała?

— Ojoj! Panie! Pan się nie wpychaj tu piecykiem, bo to się na nic nie zdało...

— Czycho ty oszoł...

— O, macie go! Kogo od osłów pochlebiasz, ja ci się nie boje, widziałem ci już insze lepsze inżyniery!

— Patrzaj, Półdyrdek, to sam Czynizel wali!

— A ci go choroba mięszana...

— Ale škapa, to ci nie od tramwaja... fest!

— Ba!

— Panno! Panna byś tak jeździła, jak Czynizel?

— Ino wara zaczypiać, bo lawirowy może weńść w czerkuł...

— A panna zkąd!? Półgębkiem tylko, bo jak pannie krzyknę, to aż się pannie w tiurniurze echo odezwie.

— Stul gębę, andrusie, bo sie jeszcze kto uńmie za mnie...

— O, guwernantka od pomyjów. Dziobata, a stawia sie štorcem!

— Toś ty mi dziobów nie dał, co mi wymawiasz.

— Koszlawski! patrzaj, we workach chodzom.

— To ci brachu štuka! większejsza, jak Hugonoty.

— Proszę się posunąć i niepchacz...

— Nie pchaj się Antek, kiedy jaśnie żyd każe...

— Panie! a może pan woźny z lombardu, co pan taki hardy?

— Ty sie nie rzucić, bo ja zapłaczułem za wejście...

— O, macie go, piłat jakiś!

— Deszcz, deszcz zaczyna kropić!

— Panno! tierniura się pannie roztopi...

— Panno! niech se panna dzioby na cyferblacie zakryje, bo się popsują na nic...

— Ah! te mensczyzny!...

— Panno Agato! budzę panią...

— W kolorze?

— Pomidorowym...

— Kocham! ach!

— Wontrobę cielence! A tom pannę nymnął!

— Już tysz z pana Winczentego blamansz nie byle jaki...

Aj, co tam było!

Układ.

* *Układ korzystny.*

Pewien przemysłowiec układa się z drugim, chcącym wejść do spółki:

— Dostaniesz pan, jako wspólnik, połowę mego czystego dochodu.

— Daj mi pan lepiej trzecią część swego *nieczystego* dochodu — proponuje tamten.

(*Flieg. Bl.*)

Ulica.

* *Na ulicy.*

— Bój się Boga, Franiu, słyszałem żeś dostał od Antka po buzi?!

— No, to cóż wielkiego, wiesz przecie, że teraz jest *sezon mord...*

Umowa.

* *Zerwana umowa.*

Słynny malarz bitew, Fritz Lallemand, towarzyszył podczas ostatniej kampanii, odbytej w Czechach, jenerałowi Bénédek. Po strasznym dniu, przebytym pod Sadową, Lallemand udaje się do komendanta wojsk austryackich i oświadcza mu, że ma zamiar powrócić do Wiednia.

— Wszakże pan zrobiłeś umowę na cały przeciąg wojny—rzecze Bénédek.

— Bezwątpienia, Wasza Ekscelencyjo — odpowiada malarz — ale ja się zobowiązałem malować bitwy, a nie odwroty.

(*La Siècle*).

Uprzejmość.

* *Uprzejmość kompromitująca.*

Kareta pewnego biskupa zawadziła o dorożkę, która uległa takiemu uszkodzeniu, że znajdująca się w niej dama zmuszoną była udać się pieszo w dalszą drogę.

Uprzejmy biskup, chcąc wynagrodzić krzywdę mimowoli wyrządzoną, ofiarowuje nie znajomej miejsce obok siebie, a dowiedziawszy się z rozmowy, że ta dama miała zamiar udać się do pewnego dygnitarza z którym łączyły go stosunki, odwozi ją na miejsce, podaje rękę i osobiście wprowadza do mieszkania.

Ale jakież jego jest zdziwienie, gdy spostrzega dokoła zdumienie na obliczach, uśmiechy dwuznaczne i ogólne pomięszanie.

Zaniepokojony każe sobie wyjaśnić tę całą mistyfikacyję i dowiaduje się ze zgrozą, że wprowadził z pełną uszanowania uprzejmością — bardzo znaną osobistość — ale w półświatku.

Ma się rozumieć, że gospodarz domu byłby też wolał, aby mniej znana osobistość wprowadziła mu — oczekiwanego gościa.

Urodziny.

* *W wigilię urodzin.*

Działo to się w tych dniach.

Powszechnie znana ogródkowa aktorka X. wpadła na stary i niezbyt szczęśliwy, ale czasem opłacający się pomysł.

Mianowicie z uśmiechem zaczęła w antrakcie opowiadać otaczającym ją wielbicielom, że nazajutrz są jej urodziny.

— Żebyście panowie wiedzieli — ciągnęła od niechcenia — jakby mi się przydał na scenę garnitur brylantowy, albo złoty zegarek, albo suknia aksamitna, albo negliż z koronkami, doprawdy, musiałabym mieć chyba książeczkę do spisania tego wszystkiego.

— Królowo! życzenie twoje jest dla nas rozkazem — zawołali chórem wielbiciele i galopem wybiegli z za kulis.

Aktorka skakała z radości, koleżanki chciały się z nią zakładać, że wszyscy jej amanci urządzili nura.

Jednak tak źle nie było.

W drugim antrakcie zjawili się wszyscy...

I... każdy z nich przyniósł ze sobą ozdobną książeczkę do notatek.

Urodzenie.

* *O jednej, co urodziła gwoli mężowi dziecię.*

Jest miasto w Szczerzycu przez milę od Krakowa, w którym był piekarz, który z żoną ustawicznie hałasy i kłopoty miewał dla tego, że nie płodna była. Ona pani uskarżała się przed drugą onej swojej ciężkości, powiadając: że nigdy i jednej godziny dobrej od niego nie miała, „wymiata mi to na oczy, że mu dziatek nie rodzę". Prosiła onej sąsiadki, aby jej w tem jaką radę podała, sąsiadka użaliła się jej, da jej radę taką: „Miła sąsiado łatwieć to, ponieważ dziecięcia Pan Bóg wam nie chce dać, a ty dla Boga masz ustawiczny kłopot, zajdziesz na męża fortelem zmijał się być brzemienną, czyń sobie krztuszenie częste, omierzi sobie potrawy, niech ci się zachciewa to tego to owego, kredy, węgla i inszych rzeczy, a to czyń przy jego oczach, powiadając, iż nie wiem, co mi się dzieje, ztąd obaczysz, że on to rozumieć będzie, żeś zastąpiła, zdrady się spodziewać nie będzie, albowiem mu ty tego nie będziesz powiadać, żebyś miała bydź brzemienną. Potym jakoby piątego miesiąca, powiadaj że coś w żywocie czujesz, a ja tobie przyprawię poduszeczkę, którą pod suknią przyszyjesz, a z nią jakoby brzemienna chodzić będziesz, a potym poradzimy się, gdy czas będzie ku porodzeniu, że jakiego nadobnego dziecięcia, abo w Krakowie, abo tu dostaniemy". Przystała pani piekarka na tę perswazyą, jęła czynić to wszystko, jako ją nauczyła ona sąsiadka! Mąż nieborak widząc, że ona się często krztusi, potrawy jej omierzły, zachciewa się jej lada czego, porozumiał że zastąpiła, rad chudzina, dopiero poczanie na żonę bydź łaskaw, dopiero imie jej szaty sprawować [1]), i to o co by mu jeno rzekła, kupuje. Krótko tą historyą pisząc, albowiem to prawda była. Gdy już przychodził czas zlężenia, ona sąsiadka wiedziała o jednej kucharce u rzeźnika, która nieboga we śpiączki grochu się była w strą-

[1]) Kupować.

czkach objadła, odwiódłszy ją na stronę, po cznie jej mówić: „Greto, widzę ja żeś ty brzemienna: aleć poradzę, chcesz li sromoty i karania ujść, jakobyś prędko zległa, przynieś mi to dziecię, a ja je dam na dobre miejsce, gdzie się będzie dobrze miało“. Rada dziewka takiej okazyej, aby przecie w tańce chodzić mogła, obiecała, i owszem o to prosiła, dziękując jej za tak osobliwą łaskę i prosząc, aby to tajno było. Mało co potym dziewka zległa, w nocy przyniosła zaraz ono dziecię do onej swojej dobrej poradniczki, a sama zaś szła do domu. Ona sąsiadka skoro z domu piekarz wyszedł, przydzie, powie „że już mam dziecię, rozstękaj się co rychlej", i nauczyła ją jako się miała sprawować w tym, owo już dziecię porodziła bez boleści. Przyjdzie potym mąż z Krakowa, a baba kłania się ojcu od syna, a sąsiadka żówkę klepce w garnku. Rad pan dziecięciu, przypatruje mu się, a sąsiadka mówi: „takieć takie jako ojciec, próżno by się go przeć [1]) miał“. Sprawił potym chrzciny, sąsiadów zaprosił, częstował dobrze, jako ten który w pięć lat na żonie dziecię wyfukał. Potym ona rzeźniczka wiedząc, iż jej dziewka była dobrze otyła, a zaś prędko schudła, jęła się pilno od niej wywiadować, jako dobrej gospodyni wiedzieć przyzwoita. A przytyskując [2]) jej słowy i kijem, nawet i urzędem, powiedziała, że je dała tej a tej paniej. Owo doszło do tego, jako po sznurze, że to dziecię piekarka urodziła nie stękając, doszło do piekarza, onę sąsiadkę jawnie karano. A panią piekarkę, co w połogu placki jadała, to ją kijem mąż często smarował, ale go i sam mało nie był godzien, domagając się tego od żony, co u Boga w mocy. Nie darmo u nas mówią:

Domagaj się, co być może,
Tedy cię Pan Bóg wspomoże.

* *Urodziny.*

Dziewczynki nigdy nie zapominają o dniu urodzin — z biegiem czasu jednak rocznica płata im figla, przypominając się ich pamięci wtedy, kiedy chciałyby zapomnieć, iż ją tak często obchodziły!

* *Urodzenie wysokie.*

Od czasu, jak pan Piszczykowski wyrobił sobie dyplom szlachectwa, żona jego nie poznaje nikogo. „Ta biedna Piszczykowska widać choruje na oczy — mówi jeden z jej znajomych do drugiego — parę razy ją spotkałem i nie odkłoniła mi się, widocznie wzrok traci“. — „Gdzie tam — odpowiada drugi — mylisz się, to zupełnie co innego, ona choruje na wysokie urodzenie“.

(*Flieg. Bl.*)

Urlop.

* *Urlop burmistrza z Trzech Gwiazdek.*

Czwartek, Ś go Placyda i Flawii. Przybyłem do Warszawy dla zasiągnięcia języka o mojej sprawie z Szają Grypsmacherem. Szelma żyd trzy lata temu prosił mnie, czy mu pozwolę ofiarować mojej żonie chustkę jedwabną z Wrocławia. Ma się rozumieć, pozwoliłem, albowiem dla czegóżby moja żona, pani burmistrzowa, nie miała chodzić w jedwabnej chustce — aż tu panie, pokazało się, że chustka przeszwarcowana, a do tego ukradziona... i mnie, burmistrza, pociągnięto do sądu. Trzeba będzie się poradzić jakiego mądrego adwokata, któryby wytłómaczył sądowi, co to znaczy burmistrz z Trzech Gwiazdek, a przytem i trochę się zabawić, bo przyznam się państwu, na posadzie mojej, chociaż dosyć wygodnej i zyskownej, dyjabelnie jest nudno...

Zjadłem tedy obiadek w hotelu, a po obiedzie kazałem się zawieść do teatru...

Dorożkarz mnie pyta: do jakiego, panie, do Wielkiego, do Rozmaitości, czy też do tego, *co to na podwórzu?* Widziałem wprawdzie w Trzech Gwiazdkach na podwórzu niemca z małpą i becarzy, ale teatru na podwórzu nigdy jeszcze nie widziałem i dla tego kazałem się zawieść do niego.

---
[1]) Zapierać. [2]) Grożąc.

Grali sztukę pod zabawnym tytułem: „Zemsta nietoperza", na której bawiłem się nieźle. Główną rolę śpiewała jakaś gruba pani, która nieledwie połowę sceny sobą zajmowała. Co jednak mnie dziwiło, że przedemną i po za mną ławki były puste. Nie śmiałem się jednak pytać dla czego, żeby nie poznano, żem przyjechał z Trzech Gwiazdek.

Po teatrze wstąpiłem do restauracyi na kolacyję, gdzie gospodarz gadał wierszami, a na ścianie był napis: „Miód na różne ceny, szklanka po 10 kop."

Jakież to różne ceny u licha, kiedy wyraźnie stało 10 kop., pomyślałem i kazałem sobie dać całą butelkę, a potem i drugą. Z tego powodu spałem dobrze, choć łóżko w hotelu, gdzie stają zwykle księża z Trzech Gwiazdek, było niegodziwe.

Piątek, Ś-go Brunona. Obudziłem się ledwie o dziesiątej. O jedenastej już byłem u adwokata, ale nie zastałem jego samego, w pierszym pokoju było tylko dwóch młodych ludzi, jakiem się domyślił, dependentów. Jeden z nich palił papierosa i nucił sobie coś po francuzku, drugi studjował „Kuryjerka świątecznego". Usiadłem, chcąc się doczekać pana mecenasa, ale że ten długo nie przychodził, powoli wdałem się w dyskurs z dependentami.

Powiadam, panie, walne to chłopaki, a jakie wesołe i dowcipne, a szczególniej ten, co umiał po francuzku, od razu, panie, poznał, że przyjechałem z „Trzech Gwiazdek".

Wyspowiadałem im się od razu, jaki kłopot przywiódł mnie do Warszawy.

— Furda, panie — powiedział mój francuzik—sędziowie teraz mają prawo rządzić się wewnętrznem przekonaniem, nie pomyślą tedy, żeby szanowna osoba pana dobrodzieja była we współce z jakimś obskurnym żydem. Uwolnią pana, jak dwa a dwa cztery.

Ciężar spadł mi na te słowa, zwierzyłem się więc już łatwiej z drugiego powodu przybycia mego do Warszawy... Poczciwe chłopczysko odrazu ofiarował mi się za przewodnika; ma się rozumieć, że przyjąłem.

Na początek znajomości zapytał mnie od razu, gdzie byłem wczoraj. Naturalnie odpowiedziałem, że na „Zemście nietoperza".

— A to z pana dziki facet — zawołał — chodzić na „Zemstę nietoperza", to średnia rozkosz.

— Dlaczego?

— Bo u nas i pies na nią chodzić nie chce; wróble ją już na dachu śpiewają...

Wyraziłem moje ubolewania, iż żaden z tych wróbli śpiewających nie przyleciał jeszcze do Trzech Gwiazdek i zapytałem się, gdzie to się chodzi w Warszawie.

Młody mój przyjaciel powiedział, że dziś zaprasza mnie do siebie na preferansa, oraz że jutro pójdziemy do Eldorado. Przyjąłem, ma się rozumieć, jedno i drugie.

Sobota, Ś-tej Justyny. Miał racyję francuzik, że nie wiedziałem, jak to się bawi w Warszawie. Wieczorek przepędziłem wybornie. Usiedliśmy do preferansa po kopiejce i pokazało się, że młodzi warszawiacy nie mogą dać rady burmistrzowi z Trzech Gwiazdek, nie zapłacili mi wprawdzie dwunastu rubli, ale niech ich tam! W chwili, gdyśmy się zabierali do lancusia, wpadły do mieszkania francuzika dwie małe szatanki... Zobaczywszy mnie, zaczęły się skarżyć, że im ciocia nie zostawiła herbaty i że przyszły tu ciepłej wody pożyczyć... Szepnąłem memu przyjacielowi dependentowi, żeby je zatrzymał. Nie dał się prosić. Zmusiłem go do wzięcia dwudziestu pięciu rubli i do posłania po kolacyję. Wzdragał się, ale posłał, a po upływie godziny z szatankami byłem już w najlepszej komitywie... Szczególniej jedna z nich, Ola, nazywała mnie wujaszkiem i targała za wąsy. Ah! gdyby to pani burmistrzowa tak targać umiała!... W poniedziałek mamy się spotkać.

Niedziela, Ś-go Wincentego Kadłubka. Byłem w Eldorado. Horrendum! Niemki paskudne, francuzica gorzej śpiewa, niż moja młodsza, a zachowanie się publiki pod psem...

Gdyby to tak u mnie w Trzech Gwiazdkach, kazałbym wszystkich zamknąć do kozy, gdyby naturalnie w niej Antolcia bielizny nie suszyła. W loży, naprzeciw nas, siedział nasz zawiadowca... Rozpustnik, pomimo, iż od lat dwudziestu żonaty, miał przy sobie jakąś blondynkę w kapeluszu tak wielkim, jak pudło od karety. Nie rozumiem, jak można się brać do blondynek. Dostałem fotografię Oli... przepyszna brunetka...

A propos zawiadowcy... toż to dopiero będzie uciecha w Trzech Gwiazdkach, jak tylko powrócę do domu; opowiem o tem Rajfurskiej — nazajutrz całe miasto będzie to wiedziało.

Co się tyczy sprawy, głupstwo... Adwokat uspokoił mnie zupełnie, wziął pięćdziesiąt rubli zadatku i powiedział, żebym się nie bał.

Po obiedzie pojedziemy za miasto.

Poniedziałek, Ś-go Dyonizego. Łeb mnie boli i nie wychodzę z domu... Tem lepiej, mogę się oddać myślom o niej...

Wtorek, Ś-go Franciszka. Ach! gdybym był pewny, że te karty mnie nie zdradzą... Zdaje mi się, że mógłbym nawet poemat napisać... A pfe, panie Kalasanty, co, miałbyś się wykierować na pismaka i potem może jeszcze swoich współobywateli osmarowywać w gazetach, pfe, pfe i jeszcze raz pfe!...

Ola, och ta Ola!...

Ale i o tem sza, bo jeszczeby się kto dowiedział, że pan burmistrz... Miałbym skandal w domu, co się zowie, Kalasanty jednak nie głupi, nie pojechałem z nią, jak ten zawiadowca ze swoją marmuzelą do Eldorado... Dopierożto jemu przysolę za powrotem.

Środa, Ś-ej Placydy Panny. Jestem wściekły... Pieniądze się rozeszły Bóg wie gdzie, a w dodatku wracałem do domu z zawiadowcą. Żeby się na kim zemścić, powiadam: panie naczelniku, cóż, bawiliśmy się w Warszawie, hę?... A co byś pan powiedział, żeby tak Rajfurska powiedziała pani naczelnikowej o pewnej blondynce w kapeluszu, jak pudło od karety, hę?... A on mi odpowiada: a to Plotkiewiczowa nie zatrzyma także języka w gębie i opowie o małej brunetce, co to... pan wiesz?...

I poklepał mnie po brzuchu, mnie, burmistrza, a ja musiałem być grzeczny!...

Drugiemu i dziesiątemu odradzę, żeby nie brał chustek jedwabnych od żydów i nie jeździł do Warszawy, bo w dodatku, panie i ta Ola — to także ba i bardzo!...

Urząd.

* *Urząd dziwaczny.*

We Włoszech za dawnych czasów książęta i kardynałowie mieli zwyczaj utrzymywać na swych dworach błaznów i nowo nawróconych. Ostatni wielki książę z linji Medyceuszów posiadał ich kilku.

Jakiś anglik, przejeżdżający przez Florencyję, pytał dwóch współrodaków, z którymi się tam spotkał, co porabiają na obczyźnie? Jeden z nich rzekł:

- Płacą mi za to, abym był błaznem książęcym...

— Co do mnie — powiedział drugi — pobieram dwieście talarów za to, abym udawał nadwornego katolika.

Usta.

* *Usta i ucho.*

(Bajka).

— Mnie jest lepiej — do ucha powiedziały [usta,
Bo gdy chcę milczeć — milczę, niechcę — [żartem ruszę,
Ty zawsze słuchać musisz mędrca, czy oszu- [sta!...
— Ja dodam — rzekło ucho — ty możesz, [ja muszę.

J. Waśniewski (p. t. I, str. 30).

Uszczypliwość.

* Pewien alchemik, który się chlubił wynalezieniem sztuki robienia złota, prosił Leona X-go o wynagrodzenie. Papież ten, prote-

ktor sztuk pięknych, wysłuchawszy przychylnie żądania, obdarował szarlatana ogromnym workiem, przyczem kazał mu powiedzieć, że kto złoto robić umie, ten chyba tylko worka potrzebować może.

Usprawiedliwienie.

— Morderco — krzyknął hypochondryk na balwierza, który zadrasnął go brzytwą—przerznąłeś mi gardło.

— Proszę łaski pana — odparł przerażony golibroda—to... to... serweta troszkę krwawi.

Uspokojenie.

* *Wierzyciel.* Pytam się pana po raz ostatni, kiedy mi pan ten dług oddasz?

Dłużnik (z radością). Po raz ostatni! O, chwałaż Bogu, że się te pańskie ustawiczne pytania raz skończą!

(*Flieg. Bl.*)

Utoniona.

* Raz pewna jejmość z głośnych kłótni [znana,
Babą sekutem, babą samcem zwana,
Po długiej i żwawej sprzeczce,
Kąpiąc się utonęła w rzeczce.
Mąż jej, co w wiecznej z nią się ścierał [wojnie,
Lecz jak poczciwiec wiecznie ustępował;
Chciał ją pochować przystojnie,
I, chociaż djabła, żałował.
Na wzdłuż więc całe obchodził wybrzeże,
Patrząc, czyli gdzie żony nie spostrzeże;
Dwóch przechodniów pytał, badał,
Ale jej żaden nie zoczył.
Idź niżej z wodą, jeden mu powiadał,
Może prąd ją na dół stoczył.
Nie, nie, idź raczej pod górę,
Gdy pewno w swojej przygodzie.
Przez upór, sprzeczną naturę,
Popłynęła przeciw wodzie.
Żart to był tylko, lecz mówiąc otwarcie,
Była i prawda w tym żarcie;
Bo kiedy licho taką jędzę nada,
Już się z maleńka kłóci i ujada,
Kłóci się zawsze i wszędzie,
Do zgonu kłócić się będzie.
I gdyby jeszcze jaka możność była,
Po śmierciby się kłóciła.

Fr. Morawski.

Uwagi.

* *Uwaga złośliwa.*

Doktór pewien znalazłszy się przypadkiem w wesołem ucztującem towarzystwie, wymawia się, jak może, od spełniania wznoszonych nowych toastów, czem urażony jeden z fetujących powiada uszczypliwie: „Ależ nie nalegajcie na doktora, jakże on może pić za czyje zdrowie, przecież to przeciwne jego naturze i powołaniu!“

(*Flieg. Bl.*)

* *Pierwsze uwagi.*

7 grudnia. Wczoraj byłem w Operze włoskiej. Dawano „Cosi fan tutte“.

Siedziałem na galeryi; z siedmiu otaczających mnie kobiet, sześć było kokotek.

Dwie z nich najbliżej mnie siedzące miały po dwadzieścia kilka lat przynajmniej. Jedna brunetka, zwiędnięta trochę, Boucher byłby ją wziął za model niezawodnie. Druga, typ Tycyjana, biała, nadzwyczaj pulchna i tłuściutka, włosy jasno blond, rozrzucone w nieładzie nad czołem i na karku, przytrzymane w górę złotym grzebieniem. Białość jej cery jest zadziwiająca. Za czasów Tycyjana byłaby może uczciwą, prostą dziewczyną, dziś, skalana, bezwstydna, przyzwyczajona do obelg i nadużyć; od dziesięciu lat się pudruje, noce bezsenne spędza na kolacyjkach z pasztetami. Nauczyła się jedynie jeść dobrze i wykwintnie, a pić jeszcze lepiej. Możnaby ją nazwać istotą kolacyjkową. Roztyła się już, jak gęś tuczona. W tej chwili opowiada przyjaciółce obok siedzącej o wytwornym obiedzie, na który była proszoną, opisuje wina, potrawy, serwisy, przewracając oczy z niewinną rozkoszą.

W loży za nami siedzi stary książę N. z ja-

kąś baletniczką i aktorką z teatru „Varietés". Co sobota tak się z niemi popisuje. Baletniczka rozmawia głośno, tonem ochrypłym i używa najpospolitszych wyrażeń miejskich przekupek. Dziwnie z tym tonem nie harmonizują białe rękawiczki, na niezliczoną liczbę guzików pospinane. Na scenie dwie primadonny zalewają się łzami przy odjeździe swoich narzeczonych. Wśród ogólnego milczenia, baletniczka moja się odzywa: „Czyż to warto tyle łez wylewać dla tego Carrau!" Carrau, drugorzędny tenor o słabiutkim głosie i ładnej twarzyczce, grał właśnie jednego z narzeczonych. Kilku mężczyzn siedzących przed nami obróciło się na te słowa i roześmiało głośno; śmiała się wraz z nimi i ona, zadowolona ze swego dowcipu i z wrażenia, jakie uczyniła. Dalsze jej uwagi były w tym samym guście: „Jakżeż się ta Alboni spętała, aż jej się suknia podnosi. Czarno się ubrała, by się mniej grubą wydać. Cóżto to jest za opera? Nic z tego nie rozumiem. Oczy tylko wszyscy wyłupiają na siebie, jakby się mieli pożreć. Wolę tysiąc razy „Piękną perfumiarkę"! Przed nami trochę niżej siedzi uczciwa kobieta. Poznać to zaraz, bo jest mniej dekoltowaną. Ruchy i postawa także odmienne. Kokotka ma zawsze minę, jakby tylko o rozkoszach myślała. Ta zaś pragnie tylko hołdów i wielbicieli. Oto różnica. Dość spojrzeć na nią, by poznać, że nie żąda nic innego. Jest piękną, elegancko ubraną, cóż dziwnego, że chce, aby ją otaczano i na nią całą zwracano uwagę. Kobieta piękna, a nawet ładna tylko, ma te same wymagania, próżności i pragnienia hołdów i podchlebstw, co każdy panujący, artysta i malarz.

Wszystkie te istoty razem wzięte, są cudowne, gdy spojrzysz tylko na powierzchowność i stroje. Ileż obietnic szczęścia i rozkoszy w tych koronkach i wstążkach tak misternie ułożonych i powiązanych na szyi i piersiach! Nie trzeba tylko im się przypatrywać zbyt blisko, ani słuchać ich rozmów, z obawy, by nie usłyszeć, co czują i jak czują.

* * *

15 grudnia. Wieczór weselny w restauracyi; jakieś małe urzędniczki. Pan młody jest buchalterem i zarabia do czterech tysięcy franków rocznie. Panna młoda dostaje pięćdziesiąt tysięcy franków posagu od ojca, który jest inspektorem wód i lasów.

Antypatyczną mi była zawsze ta elegancyja restauracyjna. Krzesła wytarte, dywan na schodach zabłocony, szukasz pomimowoli napisu na drzwiach: „uczty weselne i okolicznościowe". Garsoni roznoszą szklanki wody z cukrem, zafarbowanej sokiem porzeczkowym. Rozmawiają sobie poufale z zaproszonymi gośćmi, na głos czynią uwagi swoje: „Będziecie państwo mieli lody i różne dobre rzeczy". Pyszna jest ta impertynencyja czysto paryska. Goście, co prawda, są nieznośni. Tualety pretensyjonalne i krzyczące, dosyć spojrzeć na te głowy nieforemne, nosy o dziwacznych kształtach, ruchy niemożliwe lub sztywne, oczy bezmyślne, całe życie w jeden punkt zapatrzone i nic po za tem nie widzące. Jest to świat niemożliwy, dla mnie przynajmniej, szczególniej gdy go widzę ustrojonym od święta. Ten przepych jednodniowy razi okropnie. Ludzie nieprzyzwyczajeni do niego nie powinni się nim nigdy otaczać, jeżeli nie mają dwudziestu tysięcy franków dochodu rocznego. Mogą żyć spokojnie, po anielsku, zamknięci i odosobnieni, nikogo nie przyjmować, chyba paru starych przyjaciół; zamiast balów i wieczorów wydawać pieniądze na własną wygodę, lepszą kuchnię, porządniejszą odzież i bieliznę. Inaczej naraża się na śmieszność. Czyż nie można się ożenić po cichu, bez rozgłosu, w obecności świadków tylko i rodziców? Te wielkie uczty weselne, tańce przy kinkietach i rzępoleniu na fortepianie są dobre dla chłopów, którzy raz w życiu swój grosz przepijają, lub dla rzemieślników, którzy potrzebują poskakać czasami, by im nogi do warsztatu nie przyrosły.

Jakiż śmieszny jest tu grajek, siedzący przy fortepianie, w wytartym fraku, z podgolonym wąsem! Nos czerwony wskazuje pociąg do kieliszka. Tłucze klawisze niemiłosiernie i jednostajnie, biorąc piętnaście su za godzinę. Przypominają mi się karawaniarze zawsze jednakowo ubrani w wytartych płaszczach i pomiętych kapeluszach.

Panna młoda, mała i okrągła dziewczyna, chciałaby się chętnie schować pod ziemię. Koło jedenastej wieczór nabiera jednak rezonu, udaje panią domu, opowiada, jak sobie dom urządzi, mówiąc: „Pójdziemy, zrobimy, etc."

Pan młody szczupły i długi, stara się być uprzejmym, kłania się ciągle uśmiechnięty, biega tu i tam, przebierając długiemi rękami i nogami, poły od fraka wtórują mu doskonale.

Poznali się sześć tygodni temu; zaręczyli po trzech spotkaniach; dzisiaj hałas, rwetes, tańce przy fortepianie, szklanki wody z cukrem i sokiem porzeczkowym — i oto dwie dusze i dwie istoty połączone ze sobą na całe życie.

* * *

17 grudnia. Wieczór prywatny w wielkim świecie, w prawdziwie wielkim, a jednak?...

Jakaś młoda panienka zaśpiewała piosnkę przy fortepianie, jedną z tych melodyj namiętnych, pełnych miłości; muzyka pełna westchnień i porywów nakształt serenady Szuberta. Dziewczę wymawia głośno i wyraźnie wszystkie wyrazy romantycznego poematu, gdybyś jednak po skończonym śpiewie najmniejsze z tych słów jej powtórzył w formie aluzyi najniewinniejszej, napadłby cię niezawodnie cały szwadron matek, ciotek, prababek i przyjaciołek, nazywając cię najniemoralniejszym z ludzi. Mnóstwo dyletantek; po między innemi pani W... młoda mężatka dwudziestotrzyletnia, z oczami wzniesionemi w niebo, czerpie natchnienie. Zaśpiewała „Pragnienie wiosny" z czuciem nadzwyczajnem. Mąż jej, uszczęśliwiony, promienieje cały, znosi nuty, ma minę impresaria. Co do mnie, wolałbym, by się moja żona rozebrała publicznie.

Wszędzie kobieta jest aktorką i modystką. Przypatrywałem się tym wszystkim głowom, wzniesionym nad śnieżnej białości ramionami, w bogate owinięte suknie. Tualety są przepyszne, czasami nawet poetyczne, ale głowy!...

Pani W. powróciła onegdaj z mężem o siódmej rano z balu. Tegoż dnia wieczór mieli dwa rauty. Te młode kobiety są nienasycone; co wieczór bale, teatry, obiady. Pani W. ma sześć wieczorów tygodniowo, a często się zdarza, że jednego wieczoru musi być w dwóch lub trzech domach. Przybywa, siada, zamienia słów kilka z panią domu, daje znak niewidzialny mężowi, opartemu o drzwi salonu i wynoszą się niepostrzeżenie.

Twarzyczka zawsze jednakowo uśmiechnięta; to już jej zwyczaj, co słowo pojawia się ten uśmiech na ściśniętych usteczkach. Cóż z tego, że ładna, bardzo nawet, kiedy ma w sobie coś tak lalkowatego, iż po dziesięciu minutach rozmowy uciekasz zmęczony. Mąż jej, jest sobie tłustym, wypasionym pasorzytem, lubiącym namiętnie trufle. Może ma ona w tem interes, każąc mu tyle biegać. Boi się, by zanadto nie utył.

* * *

21 grudnia. Dzisiaj, gdy mężczyźni mówią do kobiet z dobrego towarzystwa, używają tonu ironicznego i dowcipkującego. Nabrali go w towarzystwie dziewczyn, z któremi się jest zawsze na stopie wojennej. Prawdziwy rycerski szacunek dla dam znikł zupełnie. Zaledwie który z pięćdziesięcioletnich mężów umie jeszcze nadskakiwać i podobać się damom; młodzież nie ma o tem wyobrażenia. Pani Andrzejowa M. mówiła mi właśnie, że to jest bardzo smutny taki porzą-

dek rzeczy i nie wiedzieć, dokąd to dojdzie. Jej mąż taki sam jednak, jak i inni.

* * *

23 grudnia. Kobiety nudzą się niezmiernie opuszczone w salonach, wolę już ich ton ironiczny. Siedząc kilkoma rzędami jedne przy drugich, ziewają pod wachlarzami. Niepodobna się ruszyć przez cały wieczór, a nie ma z kim rozmawiać. Z sobą nie lubią rozmawiać; boją się jedna drugiej, rywalizując pięknością i strojem, umieją tylko uśmiechem słodziutkim darzyć wszystkich, przeklinając się w duchu wzajemnie.

Mężczyzni, zbici gromadnie przy drzwiach, patrzą i lornetują, jak przed oknami bazaru. Zaprawdę, piękną jest ta wystawa koronek, kamieni drogich i białych ramion. Wiele kobiet jest skwaszonych za młodu; mają urazę do małżeństwa, w którem tak prędko doznały rozczarowań. „Mężczyzni przynajmniej mieli swoją młodość, swoje iluzyje, żyli, ale my...” Oburzone są myślą, że każde z nich poprzedzały rozmaite istoty z półświatka. Jedna z nich mówiła do mnie: „Ach, gdybym mogła poznać życie!“ To miało znaczyć: upojenie, wrażenie, palpitacyę serca, nerwów, zamęt, który porywa zmysły, głowę, wszystko. W słowach są jeszcze wstrzemięźliwsze, ale w myśli! Niktby nie zmierzył głębi przepaści, któreby się roztwarły, gdybyśmy trochę tej zimnej powierzchownej powłoki podnieśli.

Pani Andrzejowa M. przepada za romansami Henryka Mürgera. Dla niej jest tam tylko prawdziwe uczucie. Widziałem niemki, które czytały i odczytywały „Fanny“ i „Panią Bovary“. Znudzenie codzienną zupą, pragnienie kolacyjki, oto wszystko. Ale tą stroną możnaby je zaprowadzić daleko.

Nakazuje się im życie regularne, porządne, systematyczne, beznamiętne, dobre dla holenderczyka filozofa; a jednocześnie uczy się rozbudzać najbujniejsze imaginacyje, rozniecać najnierozsądniejsze żądze. „Moja droga, rozpal jaknajwiększy ogień w koło siebie, ale pozostań zimną, jak lód pośrodku“.

* * *

3 stycznia. W Wielkiej Operze dwa młode małżeństwa wchodzą do mojej loży.

Ciągle słyszę tylko nazwy aksamitów, mory, tarlatanów, popeliny, gipiury, koronek i t. p.

W tym świecie, mającym od czterdziestu do ośmdziesięciu tysięcy franków dochodu rocznie, niepodobna myśleć o czem innem. Pani M. i pani B. wychowane skromnie, umieją się obchodzić małem, a jednak nie mają czasu obecnie na nic zupełnie. Muszą jechać, wybrać materyje na suknię, dobrać wstążek, dać kapelusz do ubrania, porównać koronki, przypilnować szwaczkę. Całe popołudnie spędzają w magazynach; mąż nie może ani na chwilę zażądać powozu.

Mają racyję, składają francuzom daninę, która im najbardziej do smaku przypada: przyjemność chwilową. Cóżby im przyszło z uczucia stałego i silnego, nie wiedzieliby, co z niem zrobić, zawadzałoby im ono. Francuz potrzebuje tylko zabawki chwilowej, połechtania wyobraźni, obietnicy dobrej rozrywki na krótko, na jedną chwilę.

Moje dwie sąsiadki dzisiejsze są właśnie na to stworzone. Nie umieją wcale zmienić uśmiechniętej przyjemnie twarzyczki. Straszny i ponury dramat „Trubadura” nie zdoła spędzić z lic ich uśmiechu. Ten stan spokoju przyjemnego porównać się da z uczuciem osoby, zajadającej lody lub rozpływający się w ustach cukier.

Każdy ma podobny rodzaj i stopień przyjemności, który jest jakoby termometrem jego uczuć. Podług Woltera naprzykład, temperatura wewnętrzna oznacza się najlepiej podczas kolacyi wykwintnej, w uczuciu, które nami wstrząsa, gdy mamy dwadzieścia myśli, krzyżujących się po głowie i butelkę szampana w głowie. Temperatura Verdiego oznacza człowieka, który długo milczał i cier-

piał, aż nareszcie zniecierpliwiony wybucha z wściekłością. Dziwni słuchacze w osobach moich sąsiadów dzisiejszych czyli są w stanie pojąć Verdiego?

Są to przedewszystkiem ludzie dobrego smaku, zimni krytycy, szyderczy, niezdolni zapomnieć się na chwilę, ani przejąć do głębi. Zajęli się najpierw kolorem twarzy Azuceny. „Dobrze ucharakteryzowana, ta spódniczka cyganki zgrabnie zrobiona". Rozpoczyna się opowiadanie straszne, tragiczne, rozdzierające, prawie cały ogrom hiszpańskich namiętności, cała wielkość krwawa wieków średnich. Panie moje wydzierały sobie lornetki: chodziło im o zdefiniowanie cery tej cyganki. „Ach, Boże! osmaliła się, jak szynka!" i zaczęły się śmiać do rozpuku. Przypomniało mi to scenę z ostatniego aktu „Don Juana": gdzie małe dyabełki wchodzą na scenę wyskakując, wszystkie loże trzęsą się od śmiechu. Nie widzą tragiczności tej sceny.

H. Taine: „Życie i spostrzeżenia o niem".

Uznanie.

* *Uznanie dla sztuki.*

Tycyjan upuścił raz pendzel w obecności Karola V-go (Charles-Quint), cesarz podnosząc go, rzekł: „Tycyjan zasługuje na to, aby mu usłużył cezar".

W miejscach publicznych na spacerach, Karol V-ty ustępował zawsze prawą stronę temu wielkiemu malarzowi, przyczem mawiał: „Książąt mogę sam dostarczyć, ale drugiego Tycyjana zkądże wezmę?"



Wakacyje.

(Rzecz się dzieje w mieszkaniu niezamożnych studentów).

Kobieta (wchodząc). Czy to tu?... czy to nie tu?...

Kandydat. A co pani powie?...

Kobieta. Eee! ja przyszłam do tego pana co mi bieliznę dawał do prania. Nie wiem czy jest w domu, czy nie ma?...

Kandydat. A jak się ten pan nazywał?...

Kobieta. Jakoś tak dziwnie... coś niby od ulicy, a niby od deszczu... Kiedy bom zapomniała na ten czas!...

Kandydat. A może Pędziwiatrowski?...

Kobieta. O to, to!... rychtyg, że tak!...

Kandydat. No, to przecież on się ani od ulicy, ani od deszczu, ale od wiatru nazywa... Cóż to za interes?...

Kobieta. A to taki jest interes, że mnie się za bieliznę należy, bo ja bez miesiąc u tego pana prałam i kazał mi przyjść dzisiaj...

Kandydat. A hum!... to szkoda, bo pan Pędziwiatrowski śmiertelnie zachorował i wywieźli go na wieś. Może dopiero we wrześniu wróci, jeżeli nie umrze.

Kobieta. O la Boga!... a taki był zdrowy i ładny pan. Co prawda, to koszule miał każdą z innym znakiem i płacić nie lubił, ale że był dobry, to dobry. Zawsze mu się chciało figlów!...

Kandydat. Dla tego też zachorował. No, to niech się pani zgłosi we wrześniu.

Kobieta. Ha! trudno. Upadam do nóg pańskich!... Żeby choć nie umarł biedaczysko, niechby mi tam i pieniądze przepadły... A może pan ma bieliznę?

Kandydat. Znalazłbym, ale chyba aż jutro... Tylko ostrzegam panią, że i ja na kredyt oddaję...

Kobieta. A niech już i tak będzie! Od starego to się bierze pieniądze z góry, a młodemu nie żal i darmo poprać. Upadam do nóg! (wychodzi).

Jegomość I (wchodząc). Czy zastałem pana Pędziwiatrowskiego?

Kandydat. A co pan dobrodziej każe?

Jegomość I. Jestem Kleofas Odgrzywalski, właściciel restauracyi. Pan Pędziwiatrowski winien mi kilkanaście rubli i obiecał oddać wczoraj. No, ale nie przyszedł, a że to zaczynają się wakacyje, więc...

Kandydat. Hum! widzi pan... Pędziwiatrowski wyjechał wczoraj właśnie do swojej umierającej babki, pani jenerałowej Armatnickiej, więc...

Jegomość I. Pewnie mu się opłaci droga! Oto to był tęgi pan. Jadł za trzech, ach! jak jadł... i przytem pił niezgorzej, szkoda tylko, że wszystko na kredyt!...

Kandydat. Nie lękaj się pan, zwróci on należność z procentem, ponieważ babka mu zostawi najmniej z półtora miliona.

Jegomość I. Chryste Panie!... Gdybym miał tyle pieniędzy, założyłbym w Warszawie z dziesięć restauracyj, miałbym własny browar, piekarnię i szlachtuz...

Kandydat. Pędziwiatrowski jest moim krewnym, gdy więc powróci, namówię go, aby z panem wszedł do spółki. Bo i na cóż ma próżno wyrzucać pieniądze?

Jegomość I (wzruszony). O panie!... A możeby pan dobrodziej raczył się u mnie stołować? Ja bardzo szanuję obu panów i chętnie im służyć będę kredytem, jeżeli...

Kandydat. Zobaczę! A gdzie pan masz swój zakład?

Jegomość I. Na Nowym Świecie, panie! Polecam się łaskawej protekcyi (wychodzi)!

Jegomość II (wchodząc). Niech będzie pochwalony! A jest pan?

Kandydat. Jaki tam znowu pan?

Jegomość II. A jużci ten, co winien za dwie pary butów, ten... jakże go tam, Wiatrako... nie!... Pędziwiatrowski.

Kandydat. Wyjechał wczoraj do swego stryja, który ma fabrykę skór i chce tu w Warszawie ogromny handel założyć.

Jegomość II. Phu! nie wiedziałem o tem. No, chwała Bogu, bo może mu biedaczkowi stryjaszek dopomoże, toby i mnie prędzej oddał.

Kandydat. Nie obawiaj się pan, to uczciwy chłopak, on tak robi jak i ja: kiedy nie ma pieniędzy, to bierze na kredyt, — kiedy ma, płaci z procentem sto za sto. A teraz właśnie po pieniądze pojechał...

Jegomość II. Dobry to był pan, nie ma co gadać, ale co nie płacił, to nie płacił i kiepsko buty nosił. Pamiętam, nieraz dałem mu kamasz, jak drut, a ten ci panie uszy oberwał, obcas jeden w tą, a drugi w tamtą stronę wykoszlawił, cholewki poprzód i rób co chcesz! O! pan to, widzę, nosi buty ładnie, ale coś rozdziawiony... niech pan każe sobie nowe zrobić.

Kandydat. W tej chwili nie mam pieniędzy.

Jegomość II. To bagatela! zrobi się na kredyt. Niech pan tylko do mnie wstąpi, do Pocięglewicza na Starem Mieście!... A teraz padam do nóg pańskich (wychodzi).

Dama (wchodząc). Czy zastałam pana Pędziwiatrowskiego?...

Kandydat. Wczoraj wyjechał na wieś. Niech pani raczy chwilkę odpocząć...

Dama (siadając). Wyjechał!... nie pożegnawszy mnie... Czy nie wiadomo panu, kiedy powróci?

Kandydat. Zdaje się, że już nigdy — ponieważ, o ile mi wiadomo, ma wstąpić w związki małżeńskie... Polecił mi pożegnać i pocieszyć panią.

Dama. On!?... O zdrajca! (płacze). Za tyle przywiązania zapłacił mi czarną niewdzięcznością!...

Kandydat. O pani! uspokój się. Łzy twoje, jak ołów rozpalony padają mi na serce! Uspokój się pani, zaklinam cię! i pomyśl, że jeżeli zechcesz, zdrada tego niewdzięcznika może cię jeszcze szczęśliwą uczynić!

Dama (płacząc). Och, umrę!... Tak był pięknie zbudowany... taki miał miły organ głosu... ach! któż mi go zastąpi?...

Kandydat. Ja, pani! byleś tylko pozwoliła... Przysięgam ci!... Mam od niego plenipotencyję...

Dama (uspakajając się). Pan żartujesz!

Kandydat (klęka). O! błagam cię, zaufaj mi i pozwól, abym ci wynagrodził twoją boleść...

Dama. Boleść—to rzecz najmniejsza; kobieta stworzona do tego, aby kochać i cierpieć. Ale on obiecał sprawić mi nową suknię, a któż mi ten zawód wynagrodzi?

Kandydat (wstając). Na to już nie dostałem plenipotencyi!...

B. Prus (p. t. I, str. 108.)

Warszawa.

* Warszawa nie jest krajem, ale jest miniaturą krajów, i kto zechce, a przytem nie wiele będzie wymagał, znajdzie w niej to, czego szuka w różnych stronach ziemi.

Przejdź tylko główne miasta naszego ulice,
Ujrzysz niejedną całkiem obcą okolicę,
Tu Mary wykwintnemi karmiąc cię potrawy,
Paryzkie ci rozkosze stawia wśród Warszawy;
Tam Foksal, z zarośniętą gdzieniegdzie drożyną,
Londyński park przedstawia imieniem i miną,
Dalej przed twojem okiem rozwija swe kwiaty,
W guście *włoskim*, po *włosku* ochrzczone Frascati,
Zapuść się dalej nieco w przyjemne aleje,
Tam *Szwajcarska Dolina* do ciebie się śmieje,
A Królikarnia, Wierzbno, Mokotów, Łazienki,
Łączą z polskiem imieniem zagraniczne wdzięki.

* W Warszawie podostatkiem jest białogłowskiego towaru, co to umieją i oczkiem i nóżką i muszką tak uszychtować, że już twój rozum nie trafi do kwatery, jak raz wyskoczy za którą.

Lucyjan Siemieński.

* *Stare - Miasto.* Śmietnik uniwersalny, oraz fabryka pijaków i epidemii.

Ulica Piwna. Kolebka kandydatek na szykowne damy i przytulisko byłych szykownych dam.

Dunaj. W tej części miasta kalendarz o tyle jest różny od zwykłego kalendarza, że niedziela kończy się tu dopiero w poniedziałek wieczorem.

Ulica Świętojańska. Miejscowość, na której trzeci grzech główny zagląda bezkarnie do wnętrza przeciwległych świątyń.

Ulica Freta. Locum towarzystwa opieki nad damskiemi głowami i wystawa mód przedpotopowych.

Nowe-Miasto. Śmietnik drugorzędny zasadzony badylami.

Ulica Franciszkańska. Specyjalna fabryka błota i kolebka domorosłych Rotszyldów.

Ulica Nowiniarska. Jeneralny magazyn ubiorów dla warszawskich pseudo-elegantów.

Ulica Wałowa. Dziura zapchana śmieciami, które niegdyś miały wartość.

Nalewki. Zbiorowisko nielegalnych banków dla szykownych paniczów.

Ogród Saski. Wystawa kosmetyków, oraz naturalnych i sztucznych kwiatów.

Ogród Krasiński. Przybytek kawy, mleka i... cebuli.

Plac Teatralny. Fabryka czarnej kawy, intryg i plotek.

Ulica Senatorska. Modne siedlisko powodów ruiny i zgryzot mężów i ojców.

Ulica Niecała. Arteryja teatrów.

Ulica Wierzbowa. Miejsce popisu dla dorożkarzy i... elegantów warszawskich.

Krakowskie-Przedmieście. W dzień: kocioł z bigosem; wieczorem: zlew społecznych fusów, do którego nie może przystąpić uczciwa kobieta.

Aleja Belwederska. Miejsce popisu tych osób, które mają powozy, oraz rajtszula hypików warszawskich, nie mających wyobrażenia o konnej jeździe.

* *Warszawa* to jest tygiel, w którym się topi to, co się uda w domu zarobić.

* *Z tajemnic Warszawy.*

On udawał Nababa,
Ona córkę Krezusa,
Złączyła ich nić słaba,
Legalnego całusa.
Przyszła wkrótce żałoba,
Z bardzo prostej przyczyny,
On był golszy od Joba,
A ona zaś od Fryny...
Gdy ta pięknym wyglądem
Broniła się przed sądem.

* *List pesymistycznego prowincyjonalisty do do swej bogdanki.*

(Naśladowanie Goethego).

„Kenst du das Land, wo die Cithronen [blühen?"

Znasz li ten gród,
Gdzie wszystkie jadą cuda?
Gdzie Izraelski ród
Szachruje, gdy się uda?...
Gdzie literatów rój,
W stalówki zbrojny cały,
Zawzięty toczy bój
I drze się na kawały?...
Gdzie panie tylko strój,
Zabawy mają w głowie,
Prócz, jaki sukien krój,
Nic od nich się nie dowie?...
Gdzie cała młodzież... nic!
Nadęta, próżna, goła,
Że człowiek, by nie fryc,
Rej wodzić tutaj zdoła?...
Znasz li ten gród,
Gdzie ciągle ruch i wrzawa
A w środku... blaga, brud
A zowie się... Wa...wa?!
A teraz chwal mnie, łaj,
O droga moja, miła,
Lecz i tu byłby raj,
Gdybyś ty tu przybyła!...

Twój Wicuś.

Warszawianka.

Promień słońca, zapach róży,
Szampańskiego wina pianka,
Dużo ciszy, trochę burzy...
Cóż to za cud? — warszawianka!

Miara nóżki — lilipucia,
Rękawiczek numer piąty,
Wyraz twarzy pełen czucia,
A źrenice — jak dwa lonty...

Istnym kotkiem jest z figurki,
Tak się łasi... tak przegina...
A że kotek ma pazurki —
Czyż to jego jest w tem wina?...

Słyną rzymskie malowidła
I florenckie statuetki;
Paryż słynie przez swe .. sidła.
A Warszawa — przez kobietki.

Ale bo też dziwne czary
Warszawiankom śle przyroda —
Nie ma brzydkiej, niema starej,
Każda śliczna, każda młoda!...

Przy tak trwałym wdzięków darze,
Bankrutować·by powinni
Olejkarze, perukarze
I pięknictwa mistrze inni —

Jednak (jak najmocniej wierzę,
Iż chochlików są w tem psoty)
Zawsze oni w damskiej sferze
Mają dużo do roboty...

Nikt się twierdzić nie ośmieli
(Prawdy fałszu się nie zlękną)
By kto z twarzą, jak anieli,
Mógł mieć duszę nie tak piękną;

I Warszawy przeto córka,
W pierwszej kobiet stoi linii;
A podejrzeń ciemna chmurka
Nie przesłania jej opinii.

Zapytacie: czy pobożna?
Nieinaczej! Z okiem w górze
W kościołach ją widzieć można...
Kiedy śpiewa kto na chórze.

Czy rozumna? Któż zaprzeczy!
Wszakże wiedzą nawet w Busku,
Że o każdej zgoła rzeczy
Biegle mówi... po francuzku.

Czy dla biednych miłosierna?
O tak! Zawsze w karnawale,
Nawyknieniom serca wierna,
Dobroczynne zwiedza... bale.

Czy w marzeniu tonąc złotem,
Dla artyzmu ma uznanie?
Ach! wybornie wiedzą o tem...
Włosi, szwedzi i hiszpanie.

Gdy jest matką, dzieciom może
Skąpi troski nadzwyczajnej...
Lecz od czegóż, mocny Boże,
Są *mamzele* i *frajlajny*?

Czasem znowu, dla odmiany,
Z panem mężem jest w rozterce —
Lecz to pewnik przecie znany,
Że fantazyje miewa serce...

Jednak twardej, jak szkło, cnoty
Nigdy myśl nic skusi błędna...
Zresztą, inne ma przymioty:
Jest oględna... jest oszczędna...

Jeśli wyda pokryjomu
Setkę rubli na klejnoty,
Na obiadach za to w domu
Zaoszczędzi zaraz... złoty.

I tak wszystko w cudną całość
W tej istotce się jednoczy...
Kto zaś wątpić miałby śmiałość,
Niech jej, proszę, spojrzy w oczy.

Tam, gdzie płomień wieczny gości,
Barwy piekła albo nieba,
Znajdzie wyrok niewinności
Wypisany jak potrzeba...

I wykrzyknie całą siłą,
Gdy go przejmie wzrok niebianki:
„Jednak nie ma i n ie było
Jak te nasze warszawianki!"

W. Gomulicki.

* *Do albumu pięknych warszawianek.*

(Dedykowane wydawcy tegoż).

I.

Z malin usta, nos z kamei.
W buzi białych pereł sznury,
Biust tebańskiej Rodopei.
Fala łona — jak marmury...

Włos jak jedwab — babry oczy,
Głos jak lutnia dźwięczy w mowie,
Wszystek z wierzchu czar uroczy,
Lecz nie pytaj, co jest... w głowie...

II.

Ma, jak powój, kibić wiotką,
Alabastru białość szyi,
Jak podlotek jest szczebiotką,
Płochość dziecka, zwinność żmii...

Ciała puchy są atłasem,
W każdem oku po iskierce,
Lecz nie pytaj ino czasem,
Gdzie ma piękność owa... serce?...

III.

Zgrabna nózia — białość rączki
I faliste wonne łono;
Jak miesięcznej róży pączki,
Tak jej lica cudnie płoną...

Wdzięki Fryne liljolicej
Lśnią, jak gwiazdy, jak blask złota...
Lecz nie pytaj tej dziewicy...
Co to miłość, co to... cnota!...

Wątpliwość.

* Kto mi powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy dyjabełek?
Bo, że siedzi, nie wiem, co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Widzi każdy — lecz rzecz o to:
Czy aniołek, czy dyjabełek?
Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiądz gotów człowiek:
Że to seraf, nie dyjabełek.
A wtem znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igiełek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
— „Ach! to szatan, nie dyjabełek!" —

I ztąd wiecznie świat się biedzi,
Jak rozwiązać ten węzełek,
Co w panieńskich oczkach siedzi:
Czy aniołek, czy dyjabełek?

A. E. Odyniec (p. t. I, str. (274.

Wątroba.

Funkcya wątroby jest: żółć leczyć chorą,
Ale się czasem z przeznaczeniem mija,
Bo w pierwszym szale staje jej zaporą,
Że nie puszczona żółć skupia się, zbija,
Jak kłąb żmij, co się na śmiecisku zbiorą!
Wściekłości, strachu, żalu, zemsty żmija;
I z tego kłębu wszystko złe wytryska,
Jak wulkan z ziemi głównego ogniska.

Byron.

Wdowa.

* *O wdowie, co żołnierza oszukała.*

Jeden żołnierz jeszcze w tych rzeczach nie ćwik, do jednego mieszczanina przyjechał prosząc go o nocleg; chłop jako szczwany, młodzika obaczywszy, rzecze mu: „Panie młody, radbym to uczynił, żebym cię przenocował, ale mam wiele czeladzi, dziatek też do Pana Boga, nie miałbyś pokoju, ale oto masz na kwartę wina, mieszka tu podle wdowa, ma nadobną i obyczajną dzieweczkę, ktemu jedynaczkę, ta cię bardzo rada przenocuje, a jeśli się jej dobrze zachowasz, możesz pojąć jej dziewkę, nie utraciłbyś, bo ma pieniążki". On młodzik jeszcze nie bywał w ogrojcu, uwierzył onej powieści jego; przyszedł do wdowy, o nocleg prosi, wdowa przyzwoli: „tylko miej z sobą cobyś jadł albo pił"; żołnierz rzecze: „Nie staraj się miła pani, będzie". Pośle żołnierz po pieczenią, na kurę dwa grosze da, wdowa też krupek uwarzy, wieczerzają. Pan młody podle panny siądzie, na pannę pogląda, i rzecze: „By kogo posłać po węgierskie, dałbym na garniec". Rzecze matka: „Po trzy grosze tu podle jest, daszli ty na garniec, ja i córka na drugi". On nieborak dał sam na dwa garca, spodziewając się nagrody podpiwszy sobie, opatrzyła się i na jutro pani matka. Bacząc już czas rzecze: „Synu miły, nie chcę tego przed tobą taić, tylko nas tu dwie w tym domu mieszka, a nie mamy jedno dwie łoża, a iżeś tak hojny i częstowałeś nas dobrze, nie dam ci samemu spać na łożu, ale skoczmy wszystko troje, a kto najdalej skoczy, ci z sobą spać będą". Przyzwolił chętliwie on żołnierz, bo się tego pewnie spodziewał, iż dziewka jako młodsza, miała dalej skoczyć niż matka. Założyła cel matka na podsienie, i wymówi że z progu skakać. Panna wprzód skoczy, mniej niżeli matka, młodzik rad, co to o sobie rozumiał, że miał dobrze skoczyć, niżeli dziewka, a co na wymowie było, że to miał mieć, zapomniawszy onego, że to sobie mieszek wyiskrzył, skoczy daleko za próg, a wtenczas dziewka z matką sień prędko zamkną, oknem mu jego oszczep podając, śmieją się: „ha, ha, ha, nie skoczyłeś na cel, a toś daleko skoczył", musiał nieborak na podsieniu spać, włożywszy kolkę pod bok. Rano wstawszy, idzie do onego gospodarza, co mu kazał do onej gospody, powie mu wszystko co się działo; strofował go z tego mieszczanin, że tak bardzo skakał zwłaszcza z białemi głowami. Rozumiem temu by się było drugi raz trafiło założyć taki zakład, z miejsca by się był nie ruszył.

Dobra to na dławigąskę: —
Trzeba nieuki, nauczać sztuki.

Wesołość.

* *Niech żyje wesołość.*

Stróż porządku publicznego. Co tam taki krzyk u was w domu na pierwszem piętrze?

Stróż porządku podwórzowego. A to proszę pana naczelnika, dyntysta tak zęby wyrywa za pomocą gazu rozweselającego.

Węgier.

* Tłucz węgrzyna w moździerzu, czyń ty [co chcesz jemu,
Przecie on będzie czosnkiem śmierdział [po staremu.

Lipski.

Weksel.

* — Dla czego się pan przestałeś kłaniać panu N? — zapytał się ktoś naszego znanego pana X.

— No! co ja mu się mam kłaniać, kiedy on taki protestant — odpowiedział z oburzeniem pan X.

— A cóż panu jego religija przeszkadza?

— Jakto nie ma przeszkadzać, kiedy on ciągle pozwala protestować wszystkie swoje weksle.

Wenus.

* *Dla czego Venus była piękną?*

(Artykuł specyjalny dla dam).

Takie zapytanie usłyszałem pewnego razu z ust bardzo pięknych, a zapytaniu temu towarzyszył wdzięczny ruch główki, tak wdzięczny, że napróżno kusiłbym się o odmalowanie go zwyczajnem piórem stalowem...

— Dla czego była piękną? trudna odpowiedź—z tego szczególniej względu, że może wywołać uśmiech ironii i niezadowolenia na pięknych twarzach naszych bogiń warszawskich, owych bogiń spowiniętych w zwoje płócienek lub materyj, ozdobionych kilkoma funtami włosów sztucznych i t. d.

Lecz rozkaz był stanowczy, opierać mu się trudno.

Dla czego Venus była piękną?

Nie żyła w XIX-ym wieku, nie widziała żurnali paryzkich, nie kupowała środków utrwalających wieczną młodość, środków, na utworzenie których składa się arszenik, merkuryjusz i... blaga.

Piękna bogini grecka myła się w czystej wodzie źródeł i strumieni, nóżka jej nieskrępowana zbyt obcisłym trzewikiem, nie wykręcona na korku, stąpała swobodnie po kobiercach łąk aksamitnych, a ruchy bogini były skutkiem tego naturalne, wdzięczne, pełne nieopisanego uroku i prostoty — z ramion jej śnieżnych spadała lekka draperyja, w malowniczych fałdach osłaniając kształty nieskrzywione żadnemi żelaznemi przyrządami, nie skrępowane barbarzyńską sznurówką... Włosy piękne, długie, jedwabne, spadały swobodnie, jak płaszcz królewski, a czoło wysokie i odsłonięte nadawało piękności piętno rozumu i myśli.

Na karminowych ustach był naturalny karmin — karmin krwi młodej i świeżej, która przebijała także przez białe lica, tworząc na nich dwie róże rozkwitłe. Rzęs nie dotknął ołówek, twarz nie nurzała się w aptekarskim słoiku...

Zacne i szanowne panie!

Kiedy jeszcze jesteście małe, traktujecie wasze lalki jak córki, dorosłszy, czynicie lalki z córek. Dla tego Venus jest od córek waszych piękniejszą.

Czoło ich, ta najszlachetniejsza twarzy ludzkiej ozdoba, to siedlisko myśli, co u dziewczyny jasne jak niebo być powinno, kryje się pod skręconą i podciętą grzywką, głowa jakby gardziła koroną włosów własnych, ozdabia się w włosy umarłych, zwierząt, lub też sztucznym wyrobem z trawy morskiej.

Natura chciała byście miały ozdobę, co piękność waszą podniesie, wyście tę ozdobę przerobiły na materace, w materacu ozdoby szukając. Mając lat dwadzieścia zaczynacie nosić peruki, w latach sześćdziesięciu czynicie to samo. Czas śmieje się z tych usiłowań...

Jesteście zdrowe, czerstwy rumieniec doprowadza was do rozpaczy, palicie więc twarz proszkiem z merkuryjuszu, arszeniku — farbą malujecie sińce pod oczami. Wyglądacie jak widma lub pobielane groby. A wasz apostoł, pan Prądzyński, każe wam być sędziami.

O! biada byłaby światu. Każda piękniejsza od „sędziego-kobiety“ kobieta, poszłaby na całe życie do więzienia.

Gdy wam apteka zniszczy twarz, gdy uczyni z niej maskę pomarszczoną i wstrętną, wtenczas szukacie ratunku jeszcze w aptece, z masek przemieniacie się w figurki gipsowe... z figurek gipsowych w mumie.

Nie piszę „tajemnic toaletowych", odpowiadam wprost tylko na pytanie, dla czego Venus była piękną—dlatego przemilczę o znakomitym postępie i cudach wyrobów gutaperczanych, o złudzeniach optycznych wynalezionych przez kokieteryję i próżność.

Venus brzydziła się temi sztukami, dla tego Venus była piękną...

A wy? wy jesteście w całem znaczeniu tego wyrazu brzydkie, chociaż Pan Bóg stworzył was równie pięknemi, jak Venerę.

Po tych słowach „piękna" po dzisiejszemu interlokutorka wyrzuciła mnie za drzwi...

Spadłem ze schodów, rozbiłem czoło i w sieni krwią własną napisałem ten list.

Krwią własną! krwią gorącą! nie inaczej, gdyż tak się cierpi „za prawdę".

W każdym razie drugi raz nigdy już nie odpowiem na takie pytanie.

Westchnienie.

* *Westchnienia panieńskie z r. 1640.*

Najświętsza Panno dobrodziejko moja,
Jam jest niegodna służebnica twoja;
Proszę Cię, niechaj to mam z łaski Twojej,
Daj mi męża dobrego podług myśli mojej.
Młodego, bogatego, także nadobnego,
Urody kształtnej, ku temu gładkiego.
I ty też pierwszy ojcze nasz, Adamie,
Spraw, aby był dobry i łaskawy na mię,
Żebym z tym innym ciebie wysławiała,
Inszych rzuciwszy, o samego dbała.

Wet za wet.

* *Chłop do żony.* Patrzaj no, Kaśka, jaka to galanta panna wymalowana na tem pudełku, żebyś to ty taka była, hę!

Kaśka. Oj głupi, głupi z takiem gadaniem! a dyć zebym była taka fajna, jak ta panna, tobym przecie nie była głupia iść za ciebie, tylko bym se znalazła lepszego.

Wiadomość.

* *Smutna wiadomość.*

Para zakochanych nie może się pobrać dla braku funduszów. Panna ma wuja w Ameryce, ale dawno od niego żadnej nie było wiadomości, słyszano tylko, że był na drodze do milionów. „Może chory, mówi siostrzenica, kiedy nic nie pisze, a może..." „Może umrzeć, przerywa narzeczony, i nikogo przy nim nie będzie i... przepadną nadzieje sukcesyi". „Musisz jechać do niego", decyduje panna i zabrawszy grosz ostatni wyjeżdża narzeczony za ocean dla odwiedzenia drogocennego wujaszka. Po jakimś czasie zjawia się napowrót przed narzeczoną, ale z nader stroskaną miną. „Cóż się stało, mów prędzej, nie żyje"? pyta z niepokojem siostrzenica. „Ale gdzicż tam! nie ma żadnej nadziei, aby umarł tak prędko! jest niestety najzdrowszy w świecie, a nic dać nie chce za życia!"

Wiano.

* *Jako panna młodzieńca oszukała wianem.*

Zalecał się pannie jeden i radby ją pojął, gdyby wiano jakie dobre miała. W rozmowie do tego przyszło, że jej spytał, coby też matka za nią wiana dała. Panna odpowiedziała: „Ja nic więcej nie mam, jeno stół od mego miłego ojca i od matki, który lepiej niźli sto złotych stoi". Ułakomił się na on stół, bo go miał dobrą wolą w słód wmoczyć, a lipowy kupić. Pojąwszy ją, czwartego dnia po ślubie gdzieby on stół stał, pyta. A ona wtedy na progu siadłszy, z miski coś jadła, postawiwszy na łonie, rzecze mężowi: „Oto mój miły mężu ten stół, na którym jem, azaż za sto złotych nie stoi?" Zaskrobie się w głowę, radby się był odżenił, ale nie wczas. Przyda się to na onego, co dla wiana żonę pojmuje. Jabym radził każdemu, co się wolą ożenić ma, aby pamiętał na ten wierszyk:

Nie szukaj złota, kędy jest cnota.

Wiara.

* *Wiara czy naiwność?*

— Podobno Wojciechu w waszej wsi piorun wzniecił pożar, czy to nie wasza chałupa spłonęła?

— E, nie, to Jakubowa—oho! w moją chałupę piorun nie uderzy.

— Dla czego?

— Bo u mnie mieszka sam strażnik ziemski.

Wieczorek.

* *A co, wczorajszy wieczorek?*

— A co wczorajszy wieczorek?
Kapitalny! daję słowo.
Wzorków nazbierałem worek.
Ta panna z różą pąsową,
Wyborna! albo ta z bratkiem?
To ci oczętami rzuca,
Pyszna, razem z swoim tatkiem!
A uważałeś, ta kuca
Z noskiem podobnym do dyni?
W mazurze kompletna żaba.
No, a sama gospodyni?
Ciągle ci piszczy, że słaba.
Na kolacyję, wół i cielę!
Nie było nawet szampana.
To też tańczyłem nie wiele.
Siedziałem wszakże do rana,
Bom dla nich był ideałem,
I bawiłem się, jak w niebie!
Ależ to się z nich uśmiałem!
— Oni jednak więcej z ciebie.
— Ze mnie? — Tak z ciebie, niestety!
Oj, śmieli się z całej duszy,
Boś tak połykał kotlety,
Że aż ci się trzęsły uszy.

M. Rodoć (p. t. I, str. 125).

Wiek.

* Dekret konwentu nakazał we Francyi, ażeby każdy z obywateli napisał na drzwiach mieszkania swe nazwisko, imię, zajęcie, i wiek. Znakomita Zofia Arnould mieszkała wówczas w Paryżu i podległa dekretowi na równi z innymi; lecz na drzwiach wiek swój oznaczyła ilością 43 lat, jakkolwiek miała już 63.

— Zdaje się, że pani mija się z prawdą— zauważył jakiś dobry znajomy — każdy dałby pani nie mniej jak 50 lat.

— Być może, iż dano by mi je — odpowiedziała Arnould — ale ja bym ich nie przyjęła.

* Smutna lecz prawdziwa jest uwaga Jounga, że zwykle człowiek w 30-tu latach się spostrzega, że błędnie pojmował i kierował życiem, w 40-tu latach dochodzi do zupełnej tego pewności i kreśli sobie nowy plan życia, ale z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, z roku na rok odwleka wprowadzenie w czyn tego planu; w 50-ciu latach widzi jasno, że lenistwo i bojaźń utrzymywały go w tej zwłoce i postanawia sobie całą siłą swej duszy się poprawić, postanawia, postanawia i w tem postanowieniu umiera. Jaka tego przyczyna? Przyczyna leży w tem, że traktuje innych ludzi jako śmiertelników, sam mimowoli sądząc się nieśmiertelnym.

* *Wiek łysego.*

— W jakim wieku jest narzeczony twojej siostry? — pytają małego chłopca.

— Och! on musi być bardzo młody, bo nie ma jeszcze włosów na głowie — odpowiada dziecko.

* — Pan musisz być daleko starszy wiekiem odemnie?

— Nigdybym się nie ośmielił przyjść na świat przed panią dobrodziejką...

* Za panowania Ludwika XV-go weszły w modę kabryjolety i dobry ton wymagał, aby damy powoziły niemi same. Ale że najpiękniejsze rączki nie bywają zarazem i najzręczniejsze, więc moda ta sprowadziła straszny zamęt i wiele wypadków. Przerażony ciągłemi skargami król, wezwał do siebie p. d'Argenson, którego prosił usilnie, aby złemu zapobiegł i nad bezpieczeństwem publicznem czuwał.

— Radbym z duszy zadość uczynić żądaniu Waszej Królewskiej Mości, ale w takim razie prosiłbym o pozostawienie mi *carta blanche*.

— Ależ i owszem.

Nazajutrz wyszedł rozkaz, na mocy którego nie wolno było powozić żadnej kobiecie, która nie udowodniła, że skończyła *trzydzieści lat*, a więc, że jest dojrzałą i stateczną.

I z widowni paryzkiego bruku znikły odrazu modne kabryjolety, bowiem nie znalazła się ani jedna tak mężna niewiasta w Paryżu, któraby wszem w obec do trzydziestki przyznać się chciała.

* Pytano raz Voltair'a, co myśli o wieku świata. „Nic nie wiem— odrzekł— ale uważam świat za starą kokietkę, która starannie swój wiek ukrywa."

* Ludwik XV-ty chcąc dokuczyć panu de Landsmath, zapytał go, ile ma lat, ale zagadnięty wywinął się zręcznie, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. W kilka dni potem król dobywa z kieszeni jakiś papier i zaczyna czytać na głos:

„Dnia takiego to, w miesiącu tym a tym, roku pańskiego 1680, ja proboszcz miejscowy..."

— Co to? — zawołał Landsmath zaperzony—Wasza Królewska Mość zażądałeś mojej metryki?

— Naturalnie.

— Schowaj że ją co prędzej Najjaśniejszy Panie; monarcha, którego obowiązkiem jest dać szczęście dwudziestu pięciu milionom ludzi, nie powinien ani jednego z nich zasmucić z dobrej woli.

* — Ile masz lat?—pytał raz Ludwik XIV jednego ze swych dworzan.

— Tyle, ile sobie życzyć będzie Jego Królewska Mość — odparł z ukłonem.

* Ludwik XIV-ty spotkawszy marszałka de Villeroy po bitwie pod Ramillies, rzekł do niego:

— Panie marszałku, w naszym wieku szczęście już nie służy.

A gdy ten sam monarcha uskarżał się przed marszałkiem de Grammont, że ma już lat sześćdziesiąt, Grammont odparł uprzejmie:

— A któż ich nie ma, Najjaśniejszy Panie?

* Pewien wojskowy w podeszłym wieku prosił Ludwika XIV-go, aby go nie odsyłał do inwalidów.

— Ależ pan jesteś za starym na czynną służbę — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie, wszak jestem tylko o trzy lata starszym od Waszej Królewskiej Mości i mam nadzieję, że służyć ci będę jeszcze przez lat dwadzieścia.

Pochlebstwo to tak się podobało królowi, że zadość uczynił prośbie zręcznego weterana.

* Pani markiza de Sablé chciała, żeby jej powróżono, ale podała się za młodszą o lat sześć, na co panna de Chalais zrobiła uwagę, że niepodobna będzie odkryć prawdy, skoro fałszywy wiek został podanym. —„Żartuje, żartuje pewnie ten pan astrolog i jeśli nie jest zadowolonym, dodać mu jeszcze sześć miesięcy."

* *Wiek średni.*

Najdzikszym z „wieków średnich" na tym [świecie
Jest barbarzyński „średni wiek"—mężczyzny.
To — porównajcie go z czem sami chcecie —
To pogranicze głupstwa i tężyzny,
Kiedy się nie wie, co czynić, śródlecie,
Karta wydarta z książki, gdy siwizny
Srebro zaczyna bielić coraz jawniej,
Gdy się już nie jest, czem się było dawniej.

Młodym za starzy, a starym za młodzi,
By szumieć z dziećmi, a starcami skępić,
Dziw, że do grobu nie tęsknią. Zacho- [dzi
Ich słońce i dniem przyjdzie się zasępić.
Miłość trwa jeszcze, lecz żenić się — [szkodzi,
A inna miłość — o! ta się już stępić
Musiała; pieniądz, to czyste marzenie,
Ledwo zaczyna nocne płoszyć cienie.

Byron.

Większość.

* Pewien cudzoziemiec zwiedzający dom obłąkanych, zapytał jednego z waryjatów, jakim sposobem się tu dostał.

— Przez prostą różnicę zdania — odrzekł waryjat.

— Niepodobna — zawołał zgorszony podróżny.

— A jednak tak jest, proszę pana — potwierdził obłąkany. Ja utrzymywałem, że ludzie są waryjaci, oni zaś, że ja jestem waryjatem—i jak zwykle, większość zwyciężyła.

Wielbiciel.

* Młody kleryk z pustą kieszenią, ale z sercem pełnem uwielbienia dla prac J. J. Rousseau, wybrał się piechotą z Paryża do Ermenonville, w celu obejrzenia pomnika sławnego filozofa. Znalazłszy się nad brzegiem jeziora, każe się przewieźć na wyspę topolową. Przewoźnik powiada mu, że dla dostania się na nią, potrzeba mieć pozwolenie pani de Girardin.

— Ależ ja nie znam tej pani — rzecze ksiądz.

— W takim razie pan nie popłyniesz — odpowiada przewoźnik.

— Otóż popłynę...

— Otóż nie popłyniesz.

— Powiadam ci, ośle, że popłynę!...

I nie namyślając się długo, zdejmuje sutannę i resztę ubrania, rzuca się w wodę, przepływa wpław jezioro, dostaje się na wyspę. staje przed grobowcem, napawa swój wzrok jego widokiem, powraca tą samą drogą, ubiera się — i oddając ukłon ogłupiałemu przewoźnikowi — odchodzi.

Wielkoświatowa dama.

* Księżna Alonzo wracając znużona ze świetnego balu we Florencyi, zastała na biurku list, zawiadamiający o nagłej śmierci jej ojca.

Chwilę stała zdumiona, potem rzuciła się w ubraniu na łóżko, wołając:

— Ach, taka jestem znużona, jutro już będę płakać.

Wierny.

* *Wierny w nieszczęściu.*

Pytano pewnego znanego gastronoma, który się trzymał klamki jednego z wielkich panów, czy się i teraz widuje z księciem.

— Czy go widuję — odparł żywo zagadnięty — możecież o to pytać? Ja nie opuszczam moich przyjaciół popadłych w niełaskę... Przed 31 marca jadałem u niego obiad raz w tygodniu, obecnie jadam codziennie.

Wiersz.

* *Wiersz o pewnej damie, czterech kawalerów mającej, od piątego napisany.*

Prześliczna damo, żal mi twej urody,
Że bez korzyści chcesz odprawić gody:
Pierwszy albowiem koło ciebie sapał (Sapieha).
Drugi, jako ryś, pazurami drapał (Drapieński);
Trzeci osolił, co miał ocukrować (Ossoliński;
Czwarty opalił, co miał pocałować (Opaliński).

(Replika damy).

Nie żałuj proszę, mej pięknej urody,
Że bez korzyści chcę odprawić gody.
Cztery wyrażasz koła szczęścia mego,
Które nie będą bez dyszla piątego,
A gdy Kupido wóz cały osiędzie,
Sap, drap, sól i pal — przecież miło będzie.

„Silva rerum“ *Ad. Karwickiego.*

* Pan de Marolles chełpił się przed panem Liniére, że tworzenie wierszy mało go kosztuje.

— Kosztują cię tyle, ile są warte—odparł mu na to.

Wieś.

* Wsi spokojna, wsi wesoła,
Ciebie chwalę pod niebiosa,

Rano spędzam muchy z czoła,
Wieczór spędzam muchy z nosa.
Ze swobodą niezrównaną
Dnie i noce mile cieką,
Mleko słodkie pijam rano,
Wieczór pijam kwaśne mleko
Oko błądzi gdzieś w parowy
I ma wrażeń moc obfitą,
Rano widzę żyto, krowy,
W wieczór widzę krowy, żyto.
Pan polować chce na słomki,
Pani pragnie łowić ryby;
Gdy pogoda — na poziomki,
W słotę idziem zaś na grzyby.
Z przyjemności człek szaleje:
Chcę wycieczkę zrobić małą,
Wierzchem? — nie, bo koń kuleje,
Bryczką — koło się złamało.
Któż się moja wsi kochana
Twemi córy nie zachwyca?...
Kaśka brzydka, jak Pastrana,
Baśka stara czarownica...
Dobry obiad, podwieczorek,
Wnet rozpędzą twą zgryzotę:
Mięso miewasz w każdy wtorek,
A chleb świeży co sobotę.
Kiedy wspomnę polędwicę,
Gospodyni śpiewa cienko:
„Może chce pan jajecznicę,
„Albo jaja też na miękko?"
„O nie, pani" — zadumany
Rzeknę do niej wzniośle, hardo —
„Racz mi pani dla odmiany,
„Zrobić jaja dziś na twardo".

* *Intermezzo wiejskie.*

Cichy ogród — pełen cienia
Szmerem liści—kwiatów woni,
W dzień w nim pszczoły gwarnie brzęczą,
W nocy słowik piosnkę dzwoni...

—o—

Stary domek modrzewiowy
W cieniu lip prastarych drzemie...
Niby skromny, lecz i dumny,
Że nie jedno wygrzał plemię...

—o—

Żyzne łany dookoła,
Śliczne łąki po pod rzeką...
Rybne stawy i jeziora —
I bór czarny niedaleko.

—o—

Tutaj będę żył szczęśliwie...
Tutaj spocznie moja głowa,
Jeśli mnie nie zlicytuje,
Srul Kopełman z Pacanowa.

* *Z życia wiejskiego.*

W cichy wieczór po nad lasem,
Na zwalonej siadłem kłodzie,
Słowik się odezwał czasem,
Księżycowy sierp drgał w wodzie.
Była cisza... wiatr łagodny
Zlekka chylił kłos pszeniczny,
Zapowiadał dzień pogodny,
Błękit niebios eteryczny...
Chór żab jęczał od jeziora,
Tonem takiej desperacyi,
Jakby wiedział, że wieś wczora
Kupił Szmul na licytacyi.

* *Na wsi.*

(Rzecz dzieje się przed wiejską chatą).

— Tatuś doma? — zapytuje sąsiad kilkoletniego chłopczynę, bawiącego się przed chatą.

— A są— odpowiada obojętnie bęben.

— Idź no ich wywołaj.

— A kiedy oni tera nie mają casu.

— A cóż robią?

— A matulę biją.

* *Wiejski konkurent.*

Naszym wiochnom poświęcam.

Blady księżyc śle spojrzenia
Przez szczeliny drzew w ogrodzie,
Pod lip cieniem on i ona
Przy wieczornym marzą chłodzie.
Ona panną jest do wzięcia
(Żadna wada jej nie plami),
On kawaler zaś i dziedzic
Budy Psiej z przyległościami.

Cisza wokół — słychać czasem,
Jak z puszczykiem sowa grucha...
Wonią lipy oddychając,
Ona milczy, a on — słucha.
Aż nareszcie rzekła ona:
(Była bowiem poetyczna)
— Czy pan widzisz tę gwiazdeczkę?
Prawda, jaka gwiazdka śliczna?...
— Widzę, pani, odrzekł młodzian,
Z zbytku szczęścia piekąc raczka,
Bardzo ładna! taką samą
Ma na łebku moja klaczka.
A czy pani lubi konie?
Bo ja lubię nadzwyczajnie —
Wie parafia przecież cała,
Jakie piękne u mnie stajnie.
— Owszem, lubię — rzekła ona,
Kwiat ująwszy w drobne dłonie —
— Więc mnie musisz lubić pani,
Bo ja bardzo lubię konie!
Zadrżał młodzian, poczuł bowiem,
Że z miłości rozum gubi
I rzekł: Pani!... proszę pani...
A czy pani... i psy lubi?
No, i jakie, chciałbym wiedzieć,
Charty, wyżły czy ogary?
— Lubię wszystkie...
— Doskonale!
Pasujemy więc do pary.
Gdy pojęcia nasze zgodne,
Gdy jednakie mamy gusta,
Pozwól pani, że ci prożbę
Wypowiedzą moje usta.
Ja mam krowy, owce, konie
I barany i psy gończe —
Oh bądź pani moją żoną,
Lecz... niech pierwej żniwa skończę.

Antoni Orłowski.

Wieśniak i mieszczanka.

(Naśladowanie z Berangera).

Wiosna kwiateczki nam sieje,
Niebo już świeci jutrzenką,
Cała natura się śmieje,
Pójdź ze mną, śliczna panienko!
W lasku kwiatków nazbieramy
Spleciem wieńców zwoje!"
„Ja nie odejdę od mamy,
Ja się pana boję".
„Czemuż boisz się iść ze mną
Panieneczko złota?
Mamie szukać cię daremno
Nie przyjdzie ochota,
A ja tobie na podziękę
Piosenkę zanucę".
...„Panie—ja znam tę piosenkę,
Ja do mamy wrócę".
„Opowiem ci o dziewczynie
I zmarłym kochanku,
Co siedział w nocnej godzinie
W jej bluszczowym ganku
A gdy wyszła... niespodzianie
Porwał ją ze sobą..."
„Ja znam tę legendę, panie,
Ja nie pójdę z tobą".
„Ja ci prezent ofiaruję
Piękniejszy od słońca —
Miłość, co w mem sercu czuję
Świętą i bez końca,
Bo któżby nie kochał szczerze
Takiego anioła..."
„Panie ja w miłość nie wierzę,
Już mnie mama woła!"
„Długo błagam nadaremnie,
Oczy wilżę łzami,
A więc chociaż przyjm odemnie
Krzyżyk z brylantami;
Będziesz zawsze jaśniejącą
Przy ich pięknym blasku..."
. . . .
. . . .
„Ach, panie, jak tu gorąco,
Przejdźmy się do lasku".

Konrad Gawroński.

* Najęto raz starego wieśniaka, aby zaniósł do adwokata w mieście list i koszyk raków. Nasz podróżny przybył za rano do miasta, położył się więc na placu miejskim i czekał, zanim państwo powstają, tymczasem sen go zmorzył i usnął. Kiedy się obudził,

spostrzegł z przerażeniem, że koszyk był wywrócony, a raki rozeszły się, Bóg wie gdzie. Zmartwiony, udał się do adwokata i oddał mu list, adwokat przeczytawszy go, zwraca się do chłopka i mówi:

— Ale tu w liście są raki.

— Bogu niech będą dzięki—zawołał chłopek uradowany — że choć są w liście, bo te, co były w koszyku, poszły w świat i nie ma ani jednego.

Wierzyciel.

* *Wierzyciel i dłużnik.*

Pewien wierzyciel napisał do swego dłużnika bardzo grubijański list, który następującemi słowy zakończył: „Znam tutejsze prawa bardzo dokładnie i napędzę panu taki proces, że całe życie popamiętasz". Dłużnik odpowiedział, bardzo grzecznie się usprawiedliwiając i zakończył list temi słowy: „W końcu proszę pana, ponieważ tak dobrze znasz prawa, chciej mi łaskawie donieść, czyby to było obelgą, gdybym do pana napisał, że jesteś najprostszym grubijaninem, najniepoczciwszym lichwiarzem i najbezwstydniejszym łotrem, jaki kiedykolwiek na dwóch nogach chodził".

* Najlepszy środek pozbycia się wierzycieli wynaleźli książęta de Guise, którzy po śmierci Henryka II-go, króla francuzkiego, wynieśli na tron jego szesnastoletniego syna. Zaledwie ogłoszono następstwo tronu, zbliżył się do izby królewskiej tłum wierzycieli z żądaniem zaspokojenia ich należności. Książęta de Guise nie chcąc krzywdzić nikogo, zmuszeni byli jednak urządzić zwłokę w wypłatach i w tym celu wydali odezwę następującej treści: „Ktokolwiek zgłosi się do izby królewskiej z żądaniem wypłaty, zmuszony będzie dwór i miasto opuścić w przeciągu 24 godzin, a jeżeli nie wypełni tego rozkazu, zostanie powieszonym bez zwłoki". Można pojąć, jaki ruch odwrotny powstał między wierzycielami po ogłoszeniu tego prawa!

* Wierzyciel przychodzi z urzędnikiem sądowym nałożyć areszt na ruchomości dłużniczki. Pomiędzy innemi rzeczami chce opieczętować zegarek, gdy wtem dłużniczka wykrzykuje:

— Nie zabieraj mi pan tego zegarka. Najprzód jest to jedyna pamiątka po moim najdroższym niedawno zgasłym Arturze, a potem chcę go sprzedać, aby pójść na jutrzejszy bal.

Więzienie.

* *Arystokracyja więzienna.*

— Syn pani jest podobno dozorcą więziennym.

— Tak, łaskawa pani, ale on ma pod dozorem tylko przestępców z dobrych familii.

Wilk.

* Wyjrzyj jeno za okienko,
Jak tam wilczek skacze,
Znać, że jeszcze żony nie ma.
Bo się nie kłopoce,
Ożeń ty się, ożeń ty się,
Ty leśna bestyja,
A będziesz ty taki biedny,
Jakim jestem i ja, —
Wilczysko się ożeniło,
Uszy opuściło:
Au, au, au, au!
Cóż mi po tem było?

Wilno.

* *Co najlepszego w Wilnie?*

Ach! takoż, panie, twierdzą nieomylnie,
Bodajto — w Wilnie!
Kiedy ci miła słodkich słówek śpiewka,
I na wesołej rozmowie godzinka,
To nie masz panie, jak stara litewka,
I nie masz takoż, jak młoda litwinka.

Wino.

* „Hej! podaj żydzie wina do tego zawodu!"
Wina w karczmie nie było: „Ha! to daj nam
[miodu".

Lecz i miodu nie było, a więc proces krótki
Salvis juribus familiae: „daj nam żydzie
[wódki“.
W. Pol.

* Wiadomo wszystkim, że gałgany są niezbędne dla fabrykacyi papieru, wynaleziono przecie, iż są one też najbardziej użyzniającym środkiem w uprawie winnic. Wirtembergja produkująca wiele wina, zużywa też większą część gałganów, jako nawóz do winnic, a fabrykanci papieru zanoszą skargi do rządu, motywując je zdaniem, iż: „lepsza mniejsza ilość wina dla *gałganów*, niż zużycie masy gałganów dla wina.

* *W winiarni.*

— Powiadam ci, nie ma nic lepszego na świecie, nad szklankę dobrego wina...

— Przepraszam cię, jest...

— No, cóż takiego?...

— Butelka dobrego wina.

Wint.

* — A to śliczne rzeczy o tobie mówią na mieście, zdrajco!

— Co, co?

— Słyszałam, żeś wczoraj wyszedł od samej damy! gadaj mi zaraz...

— Pikowa, moja duszko, to było w czasie winta u radcy!

* — Grasz pan, jak wilk na gitarze! pan nie masz pojęcia o idei!

— A pan żadnego wyobrażenia o pojęciu i grasz, jak pająk na drumli!

Wisła.

* *Z nad Wisły.*

— Fiu, fiu! Walek, wisz co, byłem dziś w taki restauracyi, co dają do obiadu śrybne łyżki, aha!

— No, no, pokaż. .

Włosy.

* *O włosach.*

Długie włosy niechlujnie spadające na ramiona noszą, rzekomi filozofowie i krawcy. Dziwak i łatacz obuwia nigdy nie są uczesani. Tancerze, fryzyjerzy, głupcy i eleganci, skrapiają włosy kosztownemi olejkami i dzielą je na dwie równe lub nierówne połowy, podług przepisu mody. Odstające włosy znamionują upór, gładkie włosy cierpliwość, kędzierzawe spryt i upodobanie w przyjemnościach. Łysa głowa jest zwykle oznaką czynnego umysłu, jeżeli jednak łysieje tylko z tyłu, lub tylko od czoła, znamionuje pospolity i mały umysł.

Włosy, które przed czasem zbieleją, znamionują mizantropję, pochodzącą z moralnych lub fizycznych cierpień, z nadmiaru pracy lub przyjemności; bogaty porost włosów zachowujących długo naturalny kolor, oznacza spokojny i zgodny charakter, do takich to, mówi Pismo Święte, należeć będzie królestwo niebieskie.

* *Siwe włosy.*

Henryk IV-ty pytał razu pewnego jakiegoś włościanina, jakim sposobem przy całkiem siwych włosach zachował czarną brodę?

— A bo, Najjaśniejszy Panie, moje włosy są o dwadzieścia lat starsze od brody.

Wody.

* 1. *Szczawnica.* Wody dużo, gości mało, Wszystko chodzi jakby spało. 2. *Krynica.* Panien huk, dał tu Bóg; Lecz posażnej znaleźć trudno, a więc nudno. 3. *Rabka.* Kędy człek wejrzeniem wzleci, — Wszędzie dzieci, dzieci, dzieci! — Dzieci bawią się ochoczo, — A starsi się się nie boczą. 4. *Zakopane.* Nie tyle dziś zakopane, co zalane. Deszcz zamienił sioła śliczne, w zakłady hydropatyczne. 5. *Swoszowice.* „Woda dzielna (mówią goście) lecz jak w piekle śmierdzi siarka!” — Jeśli tak jest, to Bismarka do kąpieli tej zaproście! Jak mu dyjabli sprawią łaźnię, wykurują chłopa raźnie.

Wódka.

* — Co robisz, Jenny? — pytał amerykanin małej swej córeczki.

— Maluję mojej lalce buzię na czerwono.

— I czem naprzykład?

— Wódką, proszę taty.

— Wódką? co za myśl, od wódki buzia nie będzie czerwonego koloru.

— Właśnie że będzie. Mama przecie nieraz mówi, że tata ma nos czerwony od wódki.

Wojna.

Pani Ostroberta z Bułhaków Wojnina, zacna a pobożna kobieta, odprawiając suplikacyje, mówiła zawsze: „Od powietrza, głodu ognia i *batalii*“ (nie zaś *wojny*), dowodząc, że jej nie wypadało mówić inaczej, skoro mąż jej jest *Wojną*.

Wojsko.

* *Kwestyja wojskowa.*

— Do czego jest podobną powszechna powinność wojskowa, praktykowana obecnie prawie w całej Europie?

— Do morza Czerwonego.

— A to zkąd znowuż?

— Bo izraelici przechodzą przez nią suchą nogą.

Wojtek.

* *Do Wojtka.*

I owszem miły Wojtku, zjednaj się z tą panią,
Niech nie woła za tobą, ani też ty za nią;
Chwalę cię, że tam w sercu nie chcesz nic [zostawić,
Ale zaraz przyjaźni skutkiem chcesz poprawić,
Idź co rychlej, boć wieczór; a tego jednania,
Ile po rzeczy baczę, będzie do świtania.

J. Kochanowski (p. t. I, str. 14).

* *Wojtek i Bartek.*

(Bajka),

Oto z księgi bajd przednich jeszcze jedna [kartka;
— Obróć się do mnie gębą— rzekł Wojtek do [Bartka,
Bartek milczy; gdy Wojtek bierze go jak [w kleszcze,
Odrzekł: — Nie chcę, bobyś mnie... sprał po [niej raz jeszcze.

J. Waśniewski (p. t. I. str. 30).

Wójt.

* *Bodajto być wójtem.*

— Oj Icku! Icku! od wójta toście wzięli złotówkę za wydarcie zęba, a odemnie chcecie gwałtem dwa złote.

— Jaki ty głupi chłop, jabym wójtowi, wszystkie zęby darmo wyrwał.

Wola.

* *Co to jest wola?*

Od lat wielu żonaty nie wiem, co to znaczy
Moja żona to pewnie lepiej wytłumaczy.

Wół.

* *Wół i kmieć.*

Bywa i tak na świecie;
Płakał wół, idąc w pługu, że go jarzmo gnie- [cie,
Kmieć rzekł, chcąc go pocieszyć czemś arcy [wesołem:
— Sam sobie jesteś winien, pocóż jesteś wo- [łem.

J. Waśniewski (p. t. I, str. 30).

Wróbel.

* Jurny wróbel z czarną łatką,
Upędzał się za dzierlatką,
I słowik się do niej palił:
A chcąc rywala odsadzić,
Czułość swoją przed nią chwalił:
„Nigdy nie znam, co to zdradzić,
Zawszem był dla ciebie stały,
Te ci pienia będę nucić,
Które bogów zachwycały;
Z tobą się chcę cieszyć, smucić;
I wszystko zrobię, bym twe serce zyskał".
„A ja (rzekł wróbel) będę ciebie ściskał".

Zadowolenie.

* Młody autor dramatyczny po pierwszem przedstawieniu swej komedyi przybiegł do wuja i pełen radości zawołał:

— Ach, drogi wuju, tę jedyną przynajmniej mam w duszy pociechę, że sztuki mojej nie wygwizdano.

— Mój kochany—rzekł na to wujaszek—jakże kto może gwizdać, jeżeli ciągle ziewa?

Zagadki.

* *Rozwiąż te zagadki:*

Jaka, pytam, różnica sowy od sokoła;
Męża starca od młódki i hożej i gładkiej;
Wreszcie niech i to będzie, dyjabła od [anioła?
Albo właściwiej mówiąc, dyjabła od ko- [biety?
Powiedziałbym, że mała albo wcale żadna.

F. Zabłocki.

* *Zagadka socyalno-gastronomiczna.*

— Łaskawy panie! nic nie jadłem!

— A czemuż łotrze nie pracujesz, kiedy zdrów jesteś?

— Kiedy, żebym pracował, to by mi się jeszcze bardziej jeść chciało.

— * Jaka jest różnica między doktorem a złodziejem?

— Złodziej, wychodząc z twego mieszkania, wie na pewno, co ci brakuje, a doktór nie zawsze.

Zagadnienie.

* Dla jurystów naszych mamy niezmiernie ciekawe zagadnienie.

Gdyby tak pies wściekły z żalu po samobójstwie swojego pana, któremu zmarła nagle najwierniejsza kochanka, ukąsił w nogę konduktora od tramwaju, który przejechał męża, ścigającego żonę, uciekającą dorożką z inkasentem od bankiera, u którego znaleziono listy zastawne miejskie III-ej seryi, pochodzące z kradzieży po zamordowanej wdowie, której mąż zginął w pojedynku zaraz po katastrofie berdyczowskiej, w której utracił ukochanego syna — to kogo należy najpierw do odpowiedzialności sądowej pociągnąć?

Kto nadeszle dobre rozwiązanie, otrzyma bilet wolnego wejścia na sprawy w sądach warszawskich, na sprawy zaś, odbywające się „przy zamkniętych drzwiach“, otrzyma prawo znajdowania się za zamkniętemi drzwiami, ale, ma się rozumieć, od strony kurytarza.

* *Sześć zagadnień psychologicznych według teoryi odpychania w przyciąganiu i przyciągania w odpychaniu.*

Co kto woli?

1. Czy będąc najedzonym trafić do kogo na obiad, lub też będąc głodnym przybyć po obiedzie?

2. Czy wygrać na loteryi 100,000, a potem je zgubić, czy też zgubić 100,000, a potem tyleż wygrać na loteryi?

3. Czy wpierw dać komu w papę, a potem otrzymać policzek, czy też wpierw dostać policzek, a potem oddać w papę?

4. Czy wchodząc do kochanki spotkać wychodzącego rywala, czy też wychodząc od kochanki spotkać wchodzącego rywala?

5. Czy nie żenić się dla tego, że nie ma posagu, czy też nie brać posagu, żeby się nie żenić?

6. Czy nie jeździć koleją, żeby się nie zabić, czy też zabić się, żeby nie jeździć koleją?

Zakładnik.

* *Nałogowy zakładnik.*

Pewien francuzki oficer (dla ścisłości historycznej nazwijmy go... naprzykład... Armand Delacroix) namiętnie lubił zakłady. Prawdopodobnie nadzwyczajne powodzenie, wyrobiło w nim tę namiętność. To też pan porucznik niemiłosiernie zgrywał swoich kolegów. Zniecierpliwiony tem dowódca pułku, cichaczem starał się o jego tranzlokacyę. A skoro ta nadeszła od wyższej władzy woj-

skowej, pan pułkownik przy spotkaniu dowódcy pułku, do którego Delacroix był przeznaczony, rzekł z nietajonem zadowoleniem:

— Winszuję ci, kolego, dostaniesz odemnie porucznika, którego, powiem ci otwarcie, starałem się pozbyć. Wystaw sobie, hultaj ten wynajdywał dyjabli wiedzą jakie zakłady i zgrywał mi oficerów!

— Oho! w moim pułku nie znajdzie takich naiwnych. Zaręczam ci z góry, że nie uda mu się złowić ani jednego fryca.

W parę dni po tej rozmowie, Armand przedstawił się nowemu zwierzchnikowi, który przyjętym przez siebie zwyczajem, nowowstępującego oficera zaprosił na obiad.

O naznaczonej godzinie stawił się porucznik. W czasie obiadowej rozmowy, między innemi pułkownik nadmienił, że słyszał o różnych figielkach pana porucznika, a szczególniej o jego zamiłowaniu do zakładów. Pan Armand z najskromniejszą miną zapewnił, że wiele jest w tem przesady, o czem pan pułkownik wkrótce najlepiej sam się przekona.

Pod koniec obiadu, nasz porucznik zaczął w tak dziwnie badawczy sposób przyglądać się całej figurze pułkownika, że ten zniecierpliwiony i zaciekawiony zapytał:

— Co pan mnie tak egzaminujesz? Czy zauważyłeś co?

— Pan pułkownik jest cierpiący?

— Zdrów, jak ryba! mój poruczniku.

— Stan pozorny — myślę, że wkrótce choroba...

— Z czegóż to wnosisz i zkąd ta kompetencyja?

— Przed wstąpieniem do służby wojskowej, słuchałem medycyny, a łatwość dyjagnozy... przy fizyjologicznym wyglądzic pana pułkownika.

W tej chwili wszedł do sali lekarz pułkowy.

— Przybywasz w porę, doktorze!—zawołał pułkownik. Oto nowy nasz kolega, porucznik Armand Delacroix, który, jak się od niego dowiaduję, jest twoim starszym bratem w Eskulapie; mówię *starszym*, ponieważ przy pierwszem widzeniu dostrzegł on we mnie chorobę, której ty przez kilkanaście lat nie zauważyłeś.

— Mogę zapewnić *kolegę*, że pan pułkownik cieszy się jaknajlepszem zdrowiem.

— Wybacz pan, ale ja obstaję przy moich spostrzeżeniach.

— Ależ ja panie od lat piętnastu...

— To niczego nie dowodzi — są cierpienia...

— Do kroćset szaspotów! Co mi jest!? — zawołał już nieco przestraszony pułkownik.

— Pan pułkownik cierpi na *zboczenie kręgosłupa w kończynie dolnej*.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się lekarz — podobna definicyja uwalnia mnie od dyskusyi seryjo...

— Za pozwoleniem, jeżeli pan chcesz, możemy przekonać się...

— Owszem, owszem, chociażby nawet założyć się.

— Doktorze! w to mu graj! — porucznik znany, nałogowy zakładnik. Musisz być pewnym swego.

— Nic nie ryzykuję — i jeżeli pan porucznik...

— Proszę, bardzo proszę, jestem gotów...

— A więc o sto franków, panie poruczniku.

— O dwieście, panie doktorze.

— No, baczność, doktorze! Sława poprzedziła mistrza. Ale któż nasz zakład roztrzygnie?

— Ścisła rewizyja lekarska, panie pułkowniku.

— Jakto? do miljon...

— Przecież pan pułkownik nie zechce, ażebym przegrywał bez dowodnego przekonania się...

— Więc cóż mam zrobić?

— Rozebrać się, jeżeli łaska...

— To za wiele! Jednak do kroćset kartaczownic, ażeby zaraz na wstępie złapać tego ptaszka... Doktorze, pewny jesteś wygranej?

— Najpewniejszy, pułkowniku.

— A więc proszę was do gabinetu. Mamy go!

Po starannem obejrzeniu na wszystkie strony pana pułkownika, porucznik w milczeniu doręczył 200 franków doktorowi.

— A co? a co? już wzięliśmy go! Przegrałeś poruczniku dwieście franków!?

— Przeciwnie, panie pułkowniku, wygrałem ośmset franków.

— Jakto!?

— Wczoraj wieczorem założyłem się z nowymi kolegami o tysiąc franków, że przy pierwszej wizycie obejrzę pana pułkownika rozebranego.

Zaniedbanie.

* *W redakcyi.*

— Panie Świstalski, pan się zaniedbujesz, dziś nie ma żadnego sensacyjnego wypadku.

— Przepraszam pana redaktora, ale może jutro trafi się jaka zbrodnia, to się wyrówna. Czyż jabym nie pragnął choćby zdruzgotania się pociągu lub pożaru w teatrze, ale teraz takie głupie czasy, że ledwie się jeden pies wścieknie w tygodniu.

Zapłata.

* *Trafiła kosa na kamień.*

Do bławatnego sklepu wchodzi śliczne dziewczątko w towarzystwie swojej babki, wiekowej staruszki.

Lalkowaty subjekcik spieszy ze znaczącym uśmiechem na usługi pięknego gościa.

— Co pani sobie życzy?

— Proszę o jedwabne wstążki—odpowiada nadobne stworzenie.

W jednej chwili niezliczona ilość wstążek pojawiła się na stole.

— Ile kosztuje łokieć tej wstążki? — zapytuje piękne dziewczę, zrobiwszy wybór.

— Jednego całusa—odpowiada z bezczelnym umizgiem gorący bohater łokcia.

— To proszę o dziesięć łokci, moja babcia zapłaci?...

Zapytanie.

— Jaki klucz najłatwiej otwiera serca kobiet i kieszenie bogaczów?

— Tenorowy.

Zasada.

* Lepiej używać, niż marzyć, śnić —
Oto jest wzniosła zasada:
Lepiej być brzuchem, niż głową być,
Głowa się męczy—brzuch zjada!

* *Zasady życia.*

Trzy są zasady życia tworzące porządek:
Pełna kieszeń, kark giętki i strawny żołą-
[dek,
Kto je zdobyć potrafi, niech na pewno liczy,
Że sławę, pokój, szczęście otrzyma w zdo-
[byczy.
Pusta kieszeń, kark twardy, wątroba draż-
[liwa,
To fatalność! Złe wszelkie zawsze ztąd wy-
[pływa,
I nie było wypadku, by z temi przymioty,
Człek pozyskał coś więcej... prócz biedy...
[i cnoty,
Będzie się wił i kręcił — niby Tantal
[w męce,
Mając serce za wielkie — a za krótkie ręce!

Zatrucie.

* Zofia Arnould skarżyła się raz Chamfortowi:

— Ukąsiłam się w język.

— To niepodobna — zawołał Chamfort — bo byś się pani otruła natychmiast.

Zaufanie.

* *Zaufanie jednostronne.*

Przyjaciel do męża. Ależ mój stary przyjacielu, byłżebyś przypadkiem zazdrosny? Czyż możesz nie ufać swojej żonie?

Mąż. O! mojej żonie ufam zupełnie, jest wierna jak złoto! Ale temu przeklętemu porucznikowi to nic a nic nie ufam!

Zazdrość.

* Pewna żona w Stanach-Zjednoczonych posądziła męża o romans z piękną mulatką, będącą u niej w służbie. Chcąc się o tem przekonać i męża odpowiednio ukarać, wysłała służącę do miasta i owinąwszy głowę w czerwoną chustkę, którą mulatka zazwyczaj nosiła, zajęła jej miejsce przy kuchni.

W chwilę potem usłyszała kroki, drzwi się otworzyły zcicha, jakieś ramiona objęły ją i uczuła gorące pocałunki na szyi i ustach. Sądząc, że tego już dosyć, by męża o niewierności i zdradzie przekonać, szybkim ruchem zrzuciła chustkę z głowy. I kogóż ujrzała? Najszkaradniejszego i najczarniejszego murzyna z całego miasta. On bowiem był kochankiem kucharki. Od tej pory raz na zawsze pozbyła się zazdrości i niesłusznych podejrzeń.

* Zazdrosny na gnoisku kogut się potyka,
Orzeł orła, byk sięga rogatego byka,
Wszystkich zazdrość dostaje szkodliwemi sztychy,
Fryzowane prałaty i strzyżone mnichy.

K. Węgierski (p. t. I, str. 189).

Zbawca.

* *Zbawca życia.*

W Paryżu okryty łachmanami żebrak prosił o jałmużnę przechodzącego oficera. Ten odmawiał mu takowej dosyć szorstko.

Wtedy żebrak:

— „Wolałbym był, abyś mi pan nie uratował był życia, — umarłbym z honorem i nie potrzebowałbym znosić teraz głodu i nędzy!"

— „Co gadasz? rzecze na to oficer—ja ci uratowałem życie? Nie pleć że, ja cię wcale nie znam."

— „Ale ja pana znam bardzo dobrze. W potyczce przy X... byłem w pańskiej kompanii. Pan drapnąłeś z placu. Ja poszedłem za jego przykładem i dla tego uniknąłem nieprzyjacielskich kul i bagnetów. Nie zaprzeczysz więc pan, że jesteś zbawcą mego życia."

Zbrodnia.

Jeden z największych złoczyńców został schwytany przez łuczników i zaprowadzony przed sąd generała, w obec którego zaczęto wyliczać różne jego przestępstwa.

Słuchając tych skarg, zbrodniarz powiada z westchnieniem:

„Panie, ja popełniłem coś jeszcze gorszego.".

„A tak— podchwytuje jeden z łuczników, on okradł i zamordował tego to a tego!."

„Gorzej uczyniłem jeszcze."

Posypały się nowe opowiadania o różnych występkach.

„I od tego gorszej jeszcze dopuściłem się winy."

Generał zachęca go, aby uczynił zeznanie.

„Panie, ja się dałem złapać!"

Zbyteczne.

* Na zebraniu towarzystwa dobroczynności przybliżyło się dwóch panów do słynnego skąpca. „Żałuję," odezwał się tenże, „że mogę tylko drobnostkę wam ofiarować". „Za wszystko będziemy ci wdzięczni", odezwał się jeden z nich, „oddaj nam to, co uważasz za zbyteczne dla siebie"... „Ach, wybornie się składa," odpowiedział skąpiec, „to co wam dać mogę a co właśnie uważam za zbyteczne dla siebie, jest wasze towarzystwo."

Zdania.

* *Zdania recenzentów o trzyaktowej sztuce.*

Hm... rzekł krytyk teatralny,
Pyszny pomysł w sztuce świeci;
Jest ruch, dowcip, lecz z tem wszystkiem
Niepotrzebny ten akt trzeci...

—

Hm... rzekł inny, zamiast osób
Marjonetek szereg długi...
Pomysł świetny, ale sztukę
Całkiem psuje ten akt drugi...

—

Znać w tem talent, mówił trzeci,
Jest miejscami humor szczerszy,
Akcya żwawa... ale... ale...
Niepotrzebny tu akt pierwszy...

—

Wreszcie czwarty pragnąc zawsze
W zgodzie z każdym być kolegą,
Rzekł: — Myśl dobra, ale w sztuce
Są trzy akty do niczego...

A. Orłowski.

Zdarzenie.

* *Szczególniejsze zdarzenie.*

W tych dniach u państwa X miało miejsce szczególniejsze zdarzenie.

Kasia, służąca u państwa X., powróciwszy z targu, wyrzuciła na stół kupione na mieście ryby...

I... o dziwo!

Wszystkie szczupaki, liny i węgorze obrośnięte były jak małpy.

Wysłano natychmiast po ekspertów do towarzystwa rybackiego, w liczbie których był właśnie jeden z naszych współpracowników.

I cóż się pokazało?

Oto psotnik jakiś wylał do Wisły butelkę siejbowłosu i wszystkie ryby pokryły się bujnym zarostem.

Najwyraźniej ryby są więcej skłonne do porostu, gdyż medykament ten na ludziach wpływu tak skutecznego nie wywiera!

Zdegradowani.

* W poczet świętych był wliczon
I Adam i Ewa,
Za co dzisiaj Watykan
Okropnie się gniewa,
Utrzymując, że pierwsi
Ci rodzice mili,
Tak jak wszyscy rodzice
W raju pobłądzili.
Więc, gdy przeszły od faktu
Już tysiączne lata,
Z kalendarza wygnani
I mama i tata,
Lecz pierwszych naszych ojców
Strasznie to spotwarza:
Wprzód wygnano ich z raju,
A dziś z kalendarza.
Innych świętych to uczy,
Daje mądrą lekcyę,
Żeby świętym być nawet—
Trzeba mieć protekcyję.

Heretyk.

Zdemaskowana.

* *Panna Eulalia*: Z tym Nowym Rokiem życzę panu wszystkiego dobrego, zdrowia, szczęścia, pieniędzy, słowem wszystkiego, czego pragnę dla siebie samej.

Pan Alfons: Niech pani daruje, lecz ja wcale nie pożądam męża.

Zdrada.

* *Jeden z wielu.*

— Czy wiesz, co mówią o tobie?

— Cóż takiego?

— Powiadają, że cię zdradza twoja...

— Co! Tola mnie zdradza! — to być nie może?

— Ależ ja nie wiem o żadnej Toli. Twoja własna żona cię zdradza.

— A niech cię kurek ździobie! — wcale niepotrzebnie napędziłeś mi takiego strachu.

Zdradzeni.

* Dwóch przyjaciół rozmawiało z sobą w teatrze Fenice w Wenecji.

— Czy widzisz — mówił jeden — tę piękną kobietę w białym burnusie?

— Widzę, prześliczny typ Wenecyanki, przepyszne oczy, bujne włosy.

— Czy wiesz o zwyczaju miejscowym, że

kobiety zaraz po ślubie wyszukują sobie kochanka?

— Ten zwyczaj istnieje nietylko w Wenecyi, ale i w innych cywilizowanych krajach. Winni są temu mężczyźni, którzy zwykle wchodzą w związki małżeńskie przeżyci i znudzeni hulaszczem i rozwiązłem życiem. Cóż w tem upatrujesz szczególnego?

— Nic zupełnie, ale ta pani, którą ci pokazałem, ma nie jednego, ale dwóch kochanków.

— No, to, to jest osobliwością w Wenecyi.

— Pierwszym jej kochankiem był młody książę Galliera, który niedawno dawał świetny bal. Mąż wiedział o tem, aż wtem dowiaduje się, że piękna pani zawiązała stosunek z jednym z oficerów Garibaldego. Biegnie więc co tchu do księcia Galliera, by go powiadomić o nieszczęściu, które ich obu spotkało i zaczyna swoje narzekanie od słów:

— Mości książę, jesteśmy zdradzeni!

Zdrowie.

* *W kwestyi zdrowia.*

Pytanie. Dlaczego pomiędzy zwierzętami jest mniej chorych, niż pomiędzy ludźmi?

Odpowiedź. Dla tego, że na stu lekarzy przypada zaledwie jeden konował.

* *Zdrowie nasze.*

— A jak się masz, panie Janie?
Cóż to, widzę nie w humorze?
Moja rada cię wspomoże,
Ot, chodź lepiej na śniadanie —
Bo tam, gdzie butelki
Ginie smutek wszelki!

—o—

Hej, garson! dwie lampki wina!
Zdrowie nasze! Nasze zdrowie!
— Niechże koleżka mi powie,
Jaka zmartwienia przyczyna?
Bo tam, gdzie butelki
Ginie smutek wszelki!

—o—

— Dobre winko. Niezłe, wiesz ty,
Co mnie trapi i spać nie da?
Oto, w domu wielka bieda,
Na pensji mam dwa areszty—
A z Krynicy żona
Wraca zadłużona!

—o—

— Głupstwo, mówię ci, mój Janie!
Ja piętnaście lat z żydami
Handluję już rewersami,
Chociaż codzień jem śniadanie —
Hej, garson, daj wina
I dwa maraskina!

—o—

— Wstydź się, że bierzesz do serca
Smutny stan twój finansowy,
Wszak jest rada: zrób dług nowy,
Pójdę z tobą do Fajnhertza —
I... na brylant żony
Będą znów rulony.

—o—

— Brawo! dzielną dałeś radę,
— Choć dociągniesz do kwartału.
— Potem ratami, pomału
Z nowego długu wyjadę.
Więc precz troski nasze!
Hej! Garson! Dwie flasze!

—o—

— Aj! kolego, zmykać muszę,
Patrzaj, ten... ot tu... w chałacie
Za dług ściga mnie... aj, bracie,
Wstać mi trudno! O, katusze!
Adieu. — A śniadanie?
— Zapłać panie Janie!

„Szczutek.“

Zegar.

* *O jednym co pytał, wiele zegar bije.*

Jechali dwaj z miasta na jednym koniu. Potkał ich służały przed miastem, pyta onego co wprzódy siedział:

— Towarzyszu wiele zegar bił?

Pierwszy rzekł:

— Nie słyszałem towarzyszu miły, ale tego za mną pytaj, bo ten posledzi wyjechał z miasta.

Roześmiał się, że trafił na swojego.

Może napisać:

Myśli dobrej nie zepsuje,
Kto nadobnie rad kunsztuje.

Zegarek.

* — A cóż, zaniosłeś zegarek do naprawy? zapytał jakiś podejrzany oberwaniec godnego swego kamrata.

— Zaniosłem.

— I wiele się będzie należeć?

— Nie wiele. Zegarmistrz powiedział mi wprawdzie, że naprawa kosztować mnie będzie dwa razy tyle, jak cały zegarek, ale wiesz przecie, że za ten zegarek dałem tylko jednego potężnego kułaka jakiemuś niedołędze na gościńcu, mogę więc śmiało dać dwa razy tyle za jego naprawę.

(„*Humorysta Warszawski.*")

Zgoda.

* *Zgoda w małżeństwie.*

Jakaż to jest cudowna w tem małżeństwie [zgoda,
Kiedy mąż chce się upić, żona trunek poda.
Znowu czarę nalewa, mąż żonie nawzajem;
Ziemia się tym małżonkom istnym stała ra- [jem!...
Choć żona ma kochanka—to mąż ma kochan- [kę.
Gdy żona zagra w ćwika—to mąż gra w chapankę.
Żona panią, mąż lubi zaś pana udawać,
Oboje skąpi... grosza nie lubią wydawać,
We wszystkiem jedno drugiemu chęci wza- [jem doda,
Jakaż to jest cudowna w tem małżeństwie [zgoda!

Zielone.

* Kiedy do trzeciej chodziłem klasy,
Skrycie z Emilką grałem w zielone;
Ojciec to spostrzegł—wziął mnie na stronę
I za zielone dostałem... basy.
To były pierwsze ach! smutne chwile,
Gdzie przez zielone cierpiałem tyle!

—o—

W dziesięć lat potem, z Florką, aniołem,
Grałem w zielone; o siódmej rano
Idę ją złapać i... nieubraną
Widzę—a zęby sztuczne pod stołem!
To były drugie ach! smutne chwile,
Gdzie przez zielone cierpiałem tyle!

—o—

Dziś znów mej żony pytam się z gniewem,
Gdzie się włóczyła dzień cały prawie,
A ona rzecze: mój Stanisławie
Ja gram w zielone z panem Zbigniewem...
To są ostatnie niemiłe chwile,
Gdzie przez zielone cierpię dziś tyle!

Ziemia.

* Jak długo ziemia istnieje,
Chcą zbadać różni panowie.
Naiwni! Ręczę, że żaden
Z nich się już tego nie dowie.

—o—

Ciężkie żelazne zapory
Zagadki tej trwale strzegą.
Panowie! Ziemia jest przecie,
Także rodzaju żeńskiego!

Złe.

* *Złe i dobre.*

Dwaj przyjaciele, prości w sercu, w mowie,
Zeszli się w jarmark świąteczny w Piotr- [kowie,
Uściskawszy się jako to zazwyczaj bywa,
Gdy się człek z człekiem nie zawsze wi- [dywa,
Jeden drugiemu rzecze: „Niech się godzi
Zapytać ciebie, jak ci się powodzi?"—
— Pojąłem żonę.— To dobrze, chwal Boga—
— Nie dobrze, bo z niej jest niecnota sro- [ga.—

— To źle. — Niezbyt źle, bom się pozbył [nędzy,
Wziąwszy w posagu srogi wór pieniędzy,
— To dobrze. — Oj nie, bo za posag cały,
Kupiłem owiec, a te wyzdychały. —
— To źle. — Niezbyt źle, gdyż za skóry, weł- [nę
Dostałem szczęściem pieniążki zupełne, —
— To dobrze. — Ale! dobrze do kaduka,
Kiedy się inna wyrządziła sztuka:
Dom sobiem kupił, wykształcił, wyzłocił,
Piorun trzasł w niego i w popiół obrócił.—
— To źle. — I owszem, dobrze mi z tym gro- [mem,
Bo ogień spalił żonę razem z domem.—

Z ręk. Ułanowskiego.

Złodziej.

* Złodziej prowadzony na szubienicę, prosił, aby mu krew puszczono, oświadczając, iż tego jeszcze nigdy nie doświadczył. Zapytano o powód tej dziwnej prośby.

— Słyszałem nieraz — odpowiedział złodziej—że pierwsze upuszczenie krwi może ocalić od śmierci.

(„*Humorysta Warszawski.*")

* Złodziej!... okropny wyraz to przecie,
Na jego odgłos strach cię ogarnie,
Dźwięczy on przykro, szorstko, niemile.
A jednak dzisiaj na pięknym świecie,
Kryje się różnych złodziei tyle,
Którzy uchodzą z rąk nam bezkarnie!

—o—

Kiedy z straganu młode pacholę,
Bułeczkę porwie chociażby z głodu,
To zaraz wszystkich to w oczy kole,
I zaraz wszyscy krzyczą w zapale,
Że taki dzieciak kradnie za młodu,
I dzieciak ginie... ot, w kryminale!

—o—

Lecz kiedy bankier w fałszywym krachu,
Tysiące ludzi odda rozpaczy,
O byt, o przyszłość pogrąży w strachu,
Albo od razu zniszczy z kretesem...
Ej... taka kradzież, to nic nie znaczy,
Boć to się przecie zwie... „interesem!"

—o—

On także kradnie, lecz mądrze kradnie,
I nikt mu tego nie powie w oczy,
Bo i po krachu rej wiedzie w tłumie,
Lecz niechże ma kto zmysł ten proroczy
Dając pieniądze niechaj odgadnie,
Że ten pan bankier tak ukraść umie?!

—o—

— To zacny człowiek, mówią: pan hrabia!
Ma dwór swój świetny, konie i cugi,
Karetę swoją w herb przyozdabia;
Kochanki swoje ubiera ładnie!
Ale niewiedzą, że herb — to długi,
A pan, to złodziej, co drugich kradnie!

—o—

Młodzik pieniądze gdzieś odziedziczy,
Zaraz łajdaków tłum go otoczy,
Schlebia mu w oczy — pluje za oczy,
Niby się jego względami szczycą,
On się rozbija, traci i krzyczy,
Krwawy pot ojca, po za granicą!

—o—

Gdy już bez grosza wraca do kraju,
Szuka posady, z głodu... w potrzebie,
Ot, konduktora, choć przy tramwaju,
A tłum koleżków z niego się śmieje!.
Więc nie dość, że on sam okradł siebie,
Lecz mu pomogli inni złodzieje!

—o—

To powiedziałem tylko, co czuję,
I co mi pewnie każdy zrozumie,
Jeden więc wniosek z tego wysnuję,
I zdanie swoje wypowiem snadnie:
Że nie ten złodziej dzisiaj co kradnie,
Ale ten właśnie co... kraść *nie umie!*

Paweł Kośmiński (p. str. 349).

* *O złodziejach co kram wyłupali.*

W Krakowie złodzieje wyłupali kram w nocy, prawie już na świtaniu. Idąc tamtę-

dy cechmistrz z strażą miejską, obaczy a kram otworzony, pyta, coby to było. Jeden łotr wyjźrzy z miotłą: „Panie, umiatam w kramnicy, bo gospodarz umarł i juźeśmy do domu wszystko wynieśli". Cechmistrz rzecze: „A wżdy żaden gospodarza nie płacze?" Rzekł złodziej: „O panie, będąć jutro płakali nie znalawszy nic w kramie." Może to przypisać:

Kto kradnie śmiele, umie fortele.

* *O złodzieju co wlazł na pijanice.*

Złodziej wlazł do domu pijanicy jednego, który co jedno miał, przepił. Pijanica usłyszawszy, że po domu chodzi, aby co połapić mógł, wynidzie do niego: „Bracie, nie wiem, czego tu w nocy szukasz, ja we dnie znaleść nic nie mogę:" Dawno to:

Pustki w domu miewa,
Kto rad w karczmie bywa.

* *Dwaj złodzieje jako księdzu pedogrę zleczyli.*

Dwaj złodzieje przyszli do jednej wsi, aby co worem, jako ono mówią, zabili, uwijają się tam to sam, chcąc co obaczyć na swą stronę. Wypatrzy jeden kupę włoskich orzechów u jednego sołtysa, których snadnie dojść mógł. Drugi zaś na oborze u kmiecia barany i owce tłuste widział. Zmówili się, który czego miał pilnować, tylko im o to szło, na któreby się miejsce zniść mieli, pokupiwszy w nocy one rzeczy bez pieniędzy. Zgodzili się na to, iż kto pierwej czego dostanie, ten tego w kośnicy u kościoła niechaj czeka. W onej wsi był pleban chory na nogi, pedogrę miewał zdawna, nie mając przy sobie tylko dwu młodzieńców, co mu posługiwali, a gdzie trzeba na stołku nosili. Gdy się zmierzchło dobrze, poszli złodzieje swojego pilnować, ten co na orzechy godził, niedługo się zabawiał, skoro się tam w domu uciszyło, zarazem je w wór pobrał pomału i wlazł z nimi do kośnicc, by go kto nie ujrzał, a iż się jego towarzysz przydłuży około baranów zabawiał, on co orzechy pokradł gryzł je, w kośnicy siedząc. Trafiło się, iż światło księdzu zgasło, a siarki wtenczas w domu nie było; musiał posłać do lampy do kościoła po ogień, a do kościoła było mimo kośnicę chodzić. Sługa idąc po ogień, słyszawszy a w kośnicy orzechy łuskają, mniemając by to dyjabeł broił, co wskok do domu uciekł bez ognia. Ksiądz się gniewa, że bez ognia przyszedł, sługa przyczynę powiadał, owo posłał obu. Idą a obiema drży pod kolany, ku kośnicy przychodząc łoskot on usłyszał, uciekli obadwa bez światła. Księdzu także powiedzą. Ksiądz złajawszy je, każe się sam na stołku nieść aże do kośnice. Niosą księdza. Gdy było blisko kośnice, złodziej on mniemający by to towarzysz jego barana niósł, zawoła: „Poczkaj trochę, pomogęć dźwigać". Młokoskowie oni mniemając, że im djabeł chciał pomoc nosić księdza, postawiwszy go, uciekli... A złodziej ku oknu leżąc (bez gruchotania kości być nie mogło), wejrzy z kośnice, poszeptem pytając: „bracie, a tłusty czy nie?" Ksiądz to słysząc z postrachu zapomniał pedogry, porwie się jako szalony z stołka, do domu uciekł. Złodziej mniemając, by to przed nim towarzysz uciekał, chcąc mu się z baranem skryć, bieżał za nim wołając: „Słuchaj, moja go tam połowica." A ksiądz zamknąwszy się w domu rzecze: „Nie masz djable żadnej połowice we mnie twej." Złodziej bacząc że się omylił, nie chciał z księdzem rokować, potkał się z towarzyszem, któremu onę komedyją swoję powiedział. Nie stękał ksiądz od tych czas na pedogrę. Zły strach, a pewnie

Nie bywa tam chacha,
Kto padnie na stracha.

* *O złodzieju co wlazl między łotry.*

Na Kazimierzu do kościoła Bożego Ciała zakradł się cygan w nocy, jął wytrychem do zakrystjej odmykać. Zakrystyan co tam spał usłyszawszy ono skrobotanie około drzwi, do klasztora dał mnichom znać, że się złodziej do zakrystjej dobywa. Mniszy wsta-

ną, do zakrystjej hurmem bieżą. On złodziej szeptanie usłyszawszy, odbiegł wytrycha we drzwiach, a iż kościół był dobrze zamkniony, nie mogąc z kościoła tak prędko uciec, zdjął z siebie suknią, i ułożył pod jedną ławkę, a sam stanął w koszuli między łotry jako sam figura przy ścianie z drzewa rzezana, jako Pana Chrystusa żydowie na śmierć wiodą. Mniszy szukają wszędy po kościele, nie mogą nic znaleźć, drzwi oglądają kościelne, widząc że z kościoła nie uciekł, będzie godzina abo trzy, aż jeden spojrzy z trafunku na one łotry, a ono ich trzech. Zawoła mnichów: fratres, fratres sam, rychło sam. Mniszy rozumiejąc by cygana znalazł, przybieżą, pytają, gdzie jest cygan. Mnich rzecze: „Powiedźcie mi, bom ja nie czytał w Passjej, wiele łotrów wiedziono z Chrystusem na śmierć?" Mniszy go zfukają: „daj pokój teraz temu, a szukaj złodzieja." Mnich rzecze: „Trzeba mi tego fratres, pójźrzycie jedno na łotry, co ich żydowie prowadzą, że ich trzej stoi, a jam tylko o dwu na kazaniu słyszał." Obaczywszy mniszy łotra, ściągną go na dół: „sam do nas cyganie, jeszcze tobie żydowie szubienicę nie nagotowali, ale masz gotową za Kazimierzem". Gdy go wieziono, taki nagrobek napisać kazał:

I figiel żaden nie zbawi,
Kto się niecnotą rad bawi.

* *Zlodzieje warszawscy przed stu laty.*

Warszawa nie była, mimo nowego oświetlenia, bardzo bezpieczną wieczorami; szczęściem miała uczciwych złodziejów. D. 4 Listopada 1786 Rs. M... powracał nocą z przyjacielskiego posiedzenia ulicą Mazowiecką, gdy pomiędzy parkanami dwóch domostw napadło go czterech rabusiów, chcąc go obedrzeć. Porwali za rękawek, zdejmowali już futro — ktoś ty taki? zapytał jeden.

— Ksiądz jestem. — Ja go znam, dodał drugi — ja go znam, goły księżyna...

Chcieli jednak futro zabrać. Ksiądz już tylko wypraszał się, lekając zaziębić, ażeby mu dozwolono futra do domu. Zdjęto mu je z rękawów i prowadzili go dawszy się zmiękczyć do kamienicy. W drodze była gawęda. Ulitowali się nad księdzem, odprowadziwszy go do kamienicy.—Dać mu pokój, rzekł jeden, — to ksiądz rozumny, ale nieszczęśliwy, niech idzie z Bogiem. Pomogli mu się dostukać do domu, a jeden z nich jeszcze mu coś w rękę wetknął...

Ksiądz ochłonąwszy w domu ze strachu, znalazł, że mu dali 39 zlp. i sam to do gazety podał.

J. I. Kraszewski, (p. t. I, str. 350).

Złoto.

* Złoto a raczej pieniądz ma widać sporą dozę powietrza, skoro tak ludzi nadyma!

Złudzenia.

* *Złudzenia sztuki.*

Jak twierdzą, portrety papieża Pawła III i Karola V (Charles-quint) malowane przez Tycyana, a wystawione na widok publiczny, takie sprawiały wrażenie, że przechodnie zdejmowali czapki, sądząc iż widzą te dostojne osoby w naturze.

* Palomino opowiada następujące zdarzenie:

Filip IV poszedł odwiedzić malarza Velasqueza w jego pracowni. Nagle spostrzega stojącego w kącie rycerza Pareja i woła rozgniewany:

— Jakto! jeszcze tu, kiedy już otrzymałeś rozkaz wyjazdu?

Dopiero po chwili zwraca się do Velasqueza, zapewniając go, że się na seryo pomylił.

Zmarszczka.

* *Pierwsza zmarszczka.*

(Studyjum wierne, choć naśladowane.)

„Pierwsza zmarszczka" jest pojęciem oderwanem, w rzeczywistości wcale nie istnieje.

Poeci opiewali ją i przeklęli. Prozaicy poświęcili jej tomy całe...

Jedni i drudzy podjęli trud bezowocny, pierwsza zmarszczka bowiem nie istnieje.

Pisarze dramatyczni stworzyli bardzo ładne komedyje i przysłowia na temat pierwszej zmarszczki, oraz pierwszego siwego włosa, tymczasem pierwszy siwy włos, tak jak pierwsza zmarszczka, jest niczem więcej jak abstrakcyją.

Kto, pytam, traktuje pierwszy siwy włos na seryjo?

Ty, czytelniczko, nie czynisz tego z pewnością.

Pierwszy siwy włos jest dla ciebie przedmiotem żartów, a niekiedy nawet — dumy.

Pewnego poranku czesząca panią pokojówka mówi tajemniczo:

— Niech też pani zgadnie, com znalazła we włosach...

— Przestraszasz mnie, Kasiu! Mów prędzej, coś znalazła?

— Siwy włos, proszę pani.

— Żartujesz, Kasiu!

— Niech Bóg broni!

— I gdzież on jest?

— Niech pani patrzy...

— Aj! doprawdy siwiuteńki. Twoja pani zaczyna się starzeć, nieprawda, Kasiu?

— Iiii, cóż znowu! Przecie pani niema więcej, jak dwadzieścia cztery.

— Dwudziesty piąty już się zbliża.

— To i cóż. Zawsze jeszcze do starości daleko.

— Nie bardzo, kiedy już mam siwe włosy!

— Głupstwo, proszę pani i tyle. Są takie ludzie, co i dwudziestu lat nie mają, a już są siwe. Na ten przykład pani prezesowa Obrępalska.

— To mnie wcale nie pociesza, moja Kasiu. Zresztą, możesz już odejść; jak będę cię potrzebowała, zadzwonię.

Po odejściu Kasi, poczynasz pani studyjować samą siebie w zwierciadle.

I wybuchasz szczerym, pustym śmiechem...

— Skąd u licha mógł się wziąć u mnie ten włos biały?—mówisz z żartobliwem zdziwiem, upewniwszy się najzupełniej, żeś piękna i świeża jak... jutrzenka.

I przychodzi pani do głowy roztropna myśl spożytkowania tego nieproszonego i niespodziewanego przybysza.

Przypinasz go do aksamitnego płatka w ten sposób, aby z jego czarnością tworzył efektowny kontrast.

Wieczorem pokazujesz pani owo trofeum domownikom z miną tryumfującą.

Matka objawia przerażenie...

— Dziecko moje najdroższe — mówi, patrząc ci pilnie w oczy — ty musisz doświadczać kłopotów, zmartwień?...

Na co pani odpowiadasz z minką kapryśną:

— Zmartwień nie doświadczam, ale... jeżeli mam być szczerą... życie, jakie od pewnego czasu prowadzę, nie odznacza się wcale wesołością... Mąż trzyma mnie w zamknięciu... nigdzie z sobą nie bierze...

Matka pani wyprawia scenę zięciowi.

Biedny człowiek nie wie, jak się tłómaczyć, gdzie schować.

— Ależ ja ci nie zabraniam—mówi z pokorą — wychodzić z domu, ile razy tego potrzebujesz... Matka może ci w twych wycieczkach towarzyszyć, ja bowiem, jak ci wiadomo, nie mam do tego ani zdrowia, ani czasu.

A pani odpowiadasz płaczliwie:

— Żartujesz chyba, mój mężu! Jakże ja mogę wychodzić, nie mając ani porządnej sukni, ani nowego kapelusza...

Mąż objawia skruchę, sięga do portmonetki i nazajutrz odbywasz pani pielgrzymkę po magazynach strojów, mód i nowości.

W rezultacie ów niewinny, biały włosek przynosi w zysku:

Współczucie matki;

Skruchę męża;

Nową suknię;

Modny kapelusz.

Co prawda, siwe włosy, które w ślad za

pierwszym przychodzą, kosztują panią niemało.

Ale drugi, trzeci i czwarty są jeszcze zyskownemi.

I dla tego z wszelką słusznością twierdzić można, że pierwszy siwy włos nie istnieje, gdyż dopiero przy trzydziestym pojawiają się łzy i niepokój.

Pierwsza zmarszczka jest również — mytem.

Zaraz tego dowiodę.

Fizjologowie dowodzą, że zmarszczki wówczas powstają, gdy „tkanka komórkowa" znika.

Gdy człowiek posiada zbyt wiele owej tkanki, przedstawia podobieństwo do pyzatego cherubina.

Gdy posiada przyzwoitą jej obfitość, jest podobnym indyjskiemu Bachusowi lub asyryjskiej Astarcie.

Gdy nie posiada jej zupełnie, ma minę pieczonego jabłka lub gruszki zasuszonej.

Z czasem, gdy nauka odkryje człowiekowi wszystkie tajemnice bytu — niestety! my już epoki tej nie doczekamy! — wówczas mąż inteligentny, widząc fałdujące się czoło ukochanej, rzeknie do niej spokojnie:

— Baczność, królowo moich marzeń! Skroń twoja, z kości słoniowej rzeźbiona, staje się podobną do fali jeziora, wzruszonej wieczornym wietrzykiem... Potrzeba temu zapobiedz szybko i umiejętnie.

I z uroczystą miną wprowadzi pod naskórek damy kompozycyję chemiczną, która zastąpi w zupełności tkankę komórkową, znikającą skutkiem namiętności nadużyć, lub choroby...

I piękna stanie się piękniejszą jeszcze, i siadłszy do fortepianu, zaśpiewa z rozpromienioną twarzą hymn o nieśmiertelnej młodości i piękności...

Ale do chwili obecnej, uczeni nie odgadli jeszcze ostatniego słowa nauki odmładzania.

W skutek tej niedoskonałości nauki możemy uchronić się od zmarszczek jedynie za pomocą czysto idealnych środków, które polegają na tem, ażeby:

1-o nie posiadać temperamentu;

2-o nie kochać, ani nienawidzieć;

3-o nie być zazdrosnym, ani gniewliwym, ani skąpym.

NB. W zamian za to, można być egoistą, leniuchem, żarłokiem i sybarytą.

Kobiety otyłe najpóźniej dostają zmarszczek.

Trzymając się skrupulatnie wskazanych środków można utrzymywać atłasową gładkość twarzy do nieskończoności, to jest do lat dwudziestu ośmiu.

A teraz wiem, co mi powiecie...

Powiecie mi, że całe moje rozumowanie nie dowodzi bynajmniej, iżby pierwsza zmarszczka istniała tylko w wyobraźni poetów.

Prawda — ale każdy, kto przeszedł już lat trzydzieści pięć, przyznać musi, że zmarszczka jest jak nieszczęście: nigdy nie przychodzi sama.

Niema pierwszej zmarszczki, gdyż zjawiają się zawsze dwie zmarszczki odrazu. Rodzą się one i zwiększają, a raczej pogłębiają jednocześnie.

Kobieta nie widzi nigdy jednej zmarszczki, lecz spostrzega ich odrazu mnóstwo.

Ztąd pochodzi jej boleść...

Dwie pierwsze zmarszczki pojawiają się na skroniach, dwie na prawej, dwie na lewej; na początek zatem występuje ich odrazu — cztery.

Widzicie więc, że pierwsza nie istnieje.

Cztery zmarszczki, o których wspomniałem, stanowią pierwsze ostrzeżenie.

Dwie, które przychodzą w ślad za niemi i przecinają czoło horyzontalnemi linjami, są drugiem ostrzeżeniem.

Za trzeciem ostrzeżeniem, kobieta, podobnie jak dziennik, zostaje — zawieszoną.

Zmartwienie.

* *Zmartwienie w perspektywie.*

O północy budzą pewnego Gaskończyka, aby mu oznajmić o śmierci jego ojca; odwracając się na drugi bok, woła z westchnieniem:

— Ach jakżeż się zmartwię jutro, gdy się obudzę!

* *Niepocieszona.*

— A czegóż to Walentowo tak płaczecie, czy wam dziecko umarło!

— Eh! co tam dziecko, to bajki, jedno zamrze, to drugie będzie, jeno mi wieprzak zdechł. Oj, moje ty ślicności, mój ty skarbie! czemużeś mnie sirotą na tym świecie ostawił, kaj mi już za ciebie siedem rubli miemiec dawał.

Zmysły.

* *Pięć zmysłów.*

I. Wzrok.

Ach! jeżeli mię tylko wzrok mój dziś nie [myli —
Po tej nóżce poznaję moją *cud-dziewicę*...
Mówi Jaś doganiając i nagle w tej chwili
Postrzega przed oczyma starą czarownicę.

II. Słuch.

Lucyna włoskie trele wyśpiewując rzewnie
Sądzi, że każde serce poruszyć jest zdolną.
Wtem słyszy, jak pan rządca z dołu woła [gniewnie:
„Hej! hej! nierogacizny w domu bić niewol- [no."

III. Smak.

„A cóż? mówił marszałek — piłżeś lepsze [wina;
Jak te, którem sędzio, przysłał ci na święta?"
Sędzia nic odpowiedział, lecz zdradzała mina,
Że język ani gardło gorszych nie pamięta.

IV. Węch.

„Kto tu palił cygaro w mej żony salonie?
Hej służba! niech mi każdy po kolei chuch- [nie."
Ale wkrótce pan drapnął jakby w cztery ko- [nie,
Gdy się zbliżył doń lokaj, co mu z gęby cuch- [nie.

V. Dotykanie.

Adam uwielbiał Ewę przecudnego kształtu,
Pragnął dotknąć się choćby... koniuszczka jej [szaty,
I... dotknął się nakoniec, ale wrzasnął: „Gwał- [tu!
Jam myślał, że to prawda, a to wszystko... [z waty."

Znajomość.

* *Stara znajomość.*

Francuz podróżując po Niemczech, zatrzymał się we wspaniałym hotelu w Berlinie.

Ober-kelner wprowadził go do apartamentu. Wszedłszy tam, podróżny spostrzegł na kominku ozdobny zegar—przypatrzywszy mu się z uwagą, zdjął kapelusz i zaczął się bardzo grzecznie kłaniać.

— Co pan robisz? zapytał zdziwiony kelner.

— Niech to pana nie dziwi, odpowiedział francuz, spotkałem starego znajomego, z którym byłem w blizkich stosunkach przed... wojną.

Znak.

* *Znak nieomylny.*

Pewien bogaty przemysłowiec zapytuje swego sekretarza:

— Czy pisałeś do hrabiego o oddanie należności?

Sekretarz. Pisałem i to nawet dosyć natarczywie.

Pryncypał. I cóż odpowiedział?

Sekretarz. Nic jeszcze, ale lada moment powinna nadejść odpowiedź.

W tejże chwili wchodzi listonosz i oddaje list.

— Oto właśnie odpowiedź hrabiego, dodaje sekretarz, wręczając pismo pryncypałowi; ale ten rzuciwszy okiem na adres, machnął ręką i rzekł:

— Niema co czytać, adresuje mi: „Jaśnie Wielmożny", to z pewnością pieniędzy nie przysyła.

(*Flieg. Bl:*)

* *Znak zapytania.*

Czyli kto słyszał, żeby pies
Zawył, lub szczeknął po kociemu???
Lub kot wzruszony aż do łez
Do kotki czulił się po psiemu???
Czyli kto słyszał, żeby koń
Ryknął — jak zwykły ryczeć byki???
Lub żeby wół puszczony w błoń
Wywodził trele jak słowiki???
Czyli kto słyszał, żeby znów
Kwiczoły piały żrąc jałowiec???
Lub udawała ryki lwów
Najpowolniejsza z cichych owiec???
Ja niesłyszałem — Wyście też
Nie mogli tego słyszeć pewnie,
Ażeby w trawie żółw lub jeż
Jak gołąb gruchał rzewnie?
Ażeby w spichrzu szary szczur,
Jak kaczka się odzywał.
Albo na łąkach żabek chór,
Schumana pieśni śpiewał.
Bo już to dawno taki los
Urządzon w mądrej naturze,
By wszystko własny miało głos,
W własnej chodziło skórze...
U ludzi również bywa tak
W krainie tej lub owej,
Że dziecko uczy się jak szpak
Rodziców swoich mowy.
W tej mowie snuje marzeń nić,
W jej słowach składa myśli.
W niej uczy się jak trzeba żyć,
W niej pisma swoje kreśli.
U ludzi wprawdzie bywa tak —
Lecz u nas jest inaczej,
I ztąd niestety! lada żak,
Rodzinną mowę paczy...
Dziecko ma ledwie trzeci rok,
Jeszcze je wożą w wózku
A już do swoich ciotek — srok
Szczebiocze po francuzku.
Inna się zda na mądrość bon,
By matkowały dziecku,
I każe bębnom w zgodny ton
Szwargotać po niemiecku.
A magnaterja, która nam
Obczyzną swą doskwiera,
Sprowadza znowuż masę dam
Aż z mgławej ziemi Szekspira.
W salonach gdyby pszczeli brzęk
Gwarne idą rozmowy,
Słychać tam wszelkich gwarów dźwięk
Oprócz rodzinnej mowy...
U ludzi wszystko idzie wspak,
Lecz u nas jest inaczej,
I ztąd też dzisiaj lada żak
Dla szyku mowę paczy.

* *Wyjaśnienie niektórych znaków pisarskich.*

Gdy żona z gachem ma romans jaki —
I z nim miast z mężem chodzi na piknik,
Skoro mąż złapie stosunek taki,
To jest: !

—o—

Gdy ojciec w pismach ogłosi wszędzie,
Że chociaż grosze marnuje synek,
Lecz jego długów płacić nie będzie,
To jest: ,

—o—

Jeżeli autor cudzą myśl jaką,
Zalicza śmiało do swych pomysłów,
I imponuje twórczością taką,
To jest: „ "

—o—

Czy kto nie mając protekcyi w świecie,
Dobrą zapłatę dzisiaj dostanie,
Choćby był zdolny i w wieku kwiecie,
To jest: ?

* *Znaki pisarskie ludzkiego życia.*

Przyjście na świat jest cudzysłowem („ ")
Młodość—wykrzyknikiem (!)
Małżeństwo—łącznikiem (-)
Starość—znakiem przerwanej myśli (—)
Śmierć—punktem (.)
A nadzieja przyszłości — znakiem pytania (?)

Znakologia.

* Spszedasz materaci, gżibieni i inne modnc kapieluszi. (Muranowska).

—o—

Fhut do restorantu.

(Ślizka)

—o—

Dla tych co jeżdżą tramwajamy,
Pieczenie z rożna zawsze mamy.
(Ogłoszenia w tramwajach).

—o—

Poszókójesie Kawalera Entelegentnego na mięszkanie do małzeństwa bezdzietnego. (Z ulicy Furmańskiej).

—o—

Fyłja skladu puhu piża i piór struszych. (Na drzwiach pierwszego piętra przy ulicy Twardej).

* „Tut że garki ładują"
ma to być niby zegarmistrz.

Znawca.

* Hrabia de... udawał wielkiego znawcę sztuk pięknych. Ludwik XV wskazując mu raz piękny obraz Chrystusa ukrzyżowanego, zapytał, czyjego on jest pendzla?

Hrabia odrzekł z godnością:

— Wasza Królewska Mość żartujesz sobie ze mnie zapewne, — wszak każdy, kto nie jest ślepym, widzi przecie, że to jest robota malarza I N R I.

Znikomość.

* *Znikomość życia.*

Tak — taki świat musi kręcić się na osi,
A z nim się kręci cała ludzka trzoda;
Człek żyje, kocha, mrze, podatki znosi,
A kędy wiatr powieje, tam się poda;
Król z tronu rządzi, ksiądz moralność głosi,
Doktór zabija; — życie mknie jak woda,
Człek je i pije, wzdycha, nie zadrzemie
W pracy, z tego cóż?... proch, cień, czasem [imię!..

Byron.

Zoil.

O Zoile, krokodyle!
Co zjadacie książek tyle!
Macie tu jeszcze
Pismko wieszcze,
Wszelakie wiersze,
Dłuższe i szersze,
Rymami zbrojne
Jako na wojnę.
Treść ich pobożna,
Gryźć jej nie można,
Chyba autora
Weźcie na pióra.
Niechaj swawolnie
W serce go kolnie
Niech go przenika
Żądło krytyka.
O całym skrypcie
Koncepta sypcie
Jak z kalendarzy,
Co się zamarzy,
Co się wam sklei
W imię idei.
Oto krytyk, wstrząsnął głową,
Brew namarszczył Jowiszową:
Śmierć waszej głowie,
Wszyscy skrybowie,
Kto pisze prozą,
Czy kogo wiozą
Rącze pegazy,
Biedny sto razy,
Niech zmyka kłusem
Przed Zoilusem!
Czy się który już umości
Na świeczniku potomności,
Krytyk z łoskotem
Bije swym młotem,
Wielkość obali
Z jej piedestali,
Nawet Homera
Z blasku odziera,
Przed nim się chyli,
Nawet Wirgili,
Nawet Horacy!
Cóż my, robacy,

Co się w mozole,
Kopiem jak mole,
Czołgiem po ziemi
Z dziełmi naszemi?
Morze nauk wypił haustem,
A zmieszawszy żółć z inkaustem,
Rzecze księdze:
— „W mej potędze
„Żadnych skryptów nie oszczędzę.
„Niech authores
„Znają mores,
„Dam się w znaki!
„Ej tabaki
„Dam ogniście
„Prozaiście!
„Nic z mej dłoni
„Nie osłoni,
„Nie wycofa
„Filozofa.
„Chociaż kute teologi
„Widzieć będą gniew mój srogi;
„A na wieszcze
„Sroższy jeszcze
„W mojem piśmie sąd obwieszczę.
„Z parnasu
„Do lasu,
„Na puszczę
„Ich tłuszczę
„Przepędzę
„W mitrędze.
„Niech przedemną w nogi zmyka
„Literacka respublika!"
Rzekł i w żółci pióro moczy,
I wszem skrybom bryzga w oczy,
I pióro gęsie
Nad głowy trzęsie,
I ostrzem palnie
Sentencyonalnie,
W pismacze rzesze
Jak ogień krzesze.
Jednego zgubnie
Po boku skubnie,
Drugiemu w czole
Ranę wykole,
Tam strzaska lutnię,
Tam w serce utnie,
Wszystkich wyciska
Z pobojowiska,
Grzebie w popiele
Trupami ściele.
Próżno skryptor od zrąbania
Swemi dzieły się zasłania:
Pawęż to krucha,
Nie zbawi ducha,
Kiedy w nią grzmotnie
Krytyk zażarty,
W pył lecą karty,
Ścielą się góry
Z makulatury,
A pióro chyże,
Na proch je strzyże,
Na miazgę siecze,
Aż krew pociecze.
Jedna książka znosi ciosy,
Druga jęczy w niebogłosy,
Trzecia się schyla
Do stóp Zoila.
Tam ważne dzieło
Rączki podjęło,
Każda litera
Zezem spoziera,
Łezkami płacze:
— „Wielki junacze!
„Gromie parnaski,
„Żebrzę twej łaski!"
Krytyk zmarszczył brew ponuro
I rzekł do niej: „Powstań, córo!
„Gdy tamta zgraja
„Mój gniew uzbraja,
„Twojej pokorze
„Przebaczę może,
„Odejdź na sucho
„Z dobrą otuchą —
„Ten raz jedyny
„Odpuszczam winy",
Gdy tak krytyk z majestatu
Uczonemu grozi światu,
Śmierć koścista
Z chwil korzysta,
Krok pomyka
Do krytyka,

Coś mu zdradnie
Z rąk wykradnie
Płód jego głowy,
Oręż bojowy,
Arsenał wszystek,
Krytyczny świstek,
Co miał być schowan,
Zamarynowan
Dla potomności
Jak wzór wielkości,
Świadczyć przed światem
Anthoritatem
Głowy Zoila,
Co się wysila,
By jego imię,
Prace olbrzymie
Nieść w kraj daleki
W potomne wieki.
O Zoilu! patrz, nieboże,
Co ci pióro dziś pomoże!
Satis już, satis
Posteritatis!
Już się nie spodziej:
Bo śmierć, jak złodziej,
Twój sposzyt cały,
Pomnik twej chwały
Już dzierży w ręku,
Drze pomaleńku,
Miele na próchno,
Sypie lecinchno,
Aż wióry lecą,
Popiołku nieco
Sypie po głowie...
Cóż teraz powie
Wieków historyja?
Sic transit gloria!
Bo choć krytyk sługa śmierci,
Sam się od niej nie wywierci:
On człek śmiertelny,
Jak dziad kościelny,
Dzwoni do fary;
Ale ofiary
Sprawiać nie może
We mszy, w nieszporze;
On tylko zdali
We dzwony wali,
Pacierze szepcze
I miechy depcze
Lub kapłanowi
Amen odpowie.
Choćby Zoil wlazł na wieżę,
Ducha wieku nie on strzeże:
Nie krytyka
Świat pomyka,
Lecz wielkiego dłoń sternika;
W wieków odmęcie
Ona w okręcie
Ludzkiej oświaty
Żagiel skrzydlaty
Zwija, rozpuszcza,
A majtków tłuszcza
W żadnej godzinie
Nie wie, gdzie płynie.
Człek, Zoilu, boże chłopię,
Jutra pługiem nie wykopie;
Świata budowy
Nie z naszej głowy.
Choćbyśmy chcieli,
Jako anieli
Pomódz potrosze,
Dodać trzy grosze,
My w dziele bożem
Mało pomożem.
Lub gdybyśmy jak szatany
Chcieli popsuć boże plany,
Zgubna rada
Nic nie nada:
Jego dzieło
Nie zginęło.
A psotnika,
Swawolnika
Pan klapie
Po łapie.
On wymierza jaknajściślej
Światło życia i bieg myśli,
Dzieli światom
Każdy atom,
Każdy pyłek
Bez omyłek

On o wszystkiem sam pamięta,
Jego mocą prawda święta.
Świeci jaśnie,
Piekło gaśnie,
A śmierć blada
Trupem pada.

Syrokomla (p. t. I, str. 128)

Zuch.

* *Zuch-wdowa.*

Powieść obyczajowa w 3-ch tomach.

TOM I.

Nie było to ani u przeprawy, ani na wiosnę.

Ona nie siedziała na dzielnym siwym koniu, ani opierała się na strzemieniu nóżką dziecinną (bo już była pełnoletnią).

Przeciwnie.

Nóżkami niedrobnemi stała silnie w izbie na oścież otwartej, a jedną rączką nieśnieżną trzymała się pod bok niefiligranowy.

Ważyła pieprz i... śmiała się.

Uśmiech z pieprzem... O Apolinie i wy muzy! czyście słyszeli kiedy o uśmiechu z pieprzem?

Nie, boć nie na Olimpie wyrastają pieprze i... pieprzyki!

I ona miała pieprzyk na lewym policzku...

Pewien uczony, umierając, powiedział do swego syna:

— Michale, strzeż się kobiet z pieprzykami.

I powiedziawszy to, uczony umarł, a katedra, którą zajmował w szkole elementarnej, została osieroconą.

Nie potrzebuję dodawać, że nie było za co uczonego pochować.

Michał szedł w świat o swoich siłach. Bystrość umysłu wrodzona, praca, niesłychana pilność, trzeźwość poglądów i zwyczajna trzeźwość zwróciły na niego bystre oczy władzy i odrazu posunęły go wysoko w hierarchji wymierzającej sprawiedliwość.

Michał był woźnym trybunału cywilnego, woźnym nominowanym i przysięgłym.

Słuchał słów ś. p. ojca swego i strzegł się kobiet z pieprzykami.

Lecz co komu przeznaczono, to go nigdy nie mija.

W mieście, o którem mowa, mieszkał znakomity bankier, Pinkwas Szpermycel, który miał ciągłe stosunki z wdową Fajfer.

Z tą samą co nóżkami niedrobnemi stała silnie w izbie na oścież otwartej, a jedną rączką nieśnieżną trzymała się pod bok niefiligranowy...

Co myślicie o stosunku bankiera do wdowy Fajfer?

Byłżeby on—za pozwoleniem... miłosnym? A pfe! Czy rodzinnym? broń Boże — przyjacielskim? I to nie.

Był on stosunkiem finansowym.

Wdowa zaciągnęła względem niego pewne zobowiązania jednostronne, z rodzaju tych, które chętnie spełnia każdy porządny człowiek po łagodnem i cichem przemówieniu komornika.

Z tego tytułu Michał przyszedł wręczyć pozew wdowie Fajfer.

Wręczył go... i wyleciał za drzwi.

A przecież ojciec umierając zapowiedział mu na łożu śmiertelnem:

— Michale, jeżeli chcesz być długowiecznym i otrzymać zbawienie, strzeż się kobiety z pieprzykiem...

TOM II.

Ujrzał ją raz jeszcze...

Komornik chciał pisać protokół.

A ona krzyknęła:

— Nie dam stołu!

— Więc jakże?

— Kiedy nie dam, to nie dam, pisz pan sobie u woźnego na plecach...

Michał się uśmiechnął.

Zachwycała go ta energja w spódnicy, ta silna wola w czepcu... ta moc charakteru w pantoflach...

Uśmiechnął się, a nawet niektórzy kronikarze twierdzą, że się oblizał...

W każdym razie zachwycił się...

Porwały go te ruchy zranionej lwicy, ten głos silny, donośny, ten styl indywidualny, dosadny, jaskrawy.

Coś z Szekspira i coś z Hugona.

Tak ja pewien młody autor, co ma w sobie coś z Bajrona i coś z Rozbickiego ś. p...

Michał lubił dzielność, a tę cnotę posiadała wdowa Fajfer.

Nie przebierała w wyrażeniach i trzaskała drzwiami.

Chwilami była podobną do tańczącej armaty.

Żydek węszący licytację wsunął nos do sklepiku.

Cofnął go jeszcze prędzej, a na ulicy widziano, że się nawet podrapał w to piętno pochodzenia semicko-słowiańskiego.

Stało się jednak.

Ciężka dłoń Temidy, na żądanie Pinkwasa Szpermycla, spekulanta, robiła swoje.

Robiła, pomimo że wdowa protestowała silnie.

Jeszcze chwila, a czerwone pieczęcie zalepią sklepik i znajdujący się w nim pieprz, sól, śledzie, serdelki, pietruszkę i inne słodycze życia.

O groźna pieczęci czerwona! Tyś jest jak owe znaki pisane krwią baranka na drzwiach egipcjan, którym wszystkie syny pierworodne pomarły... Tyś jest piętnem śmierci finansowej i symbolem rozkładu pieniężnego.

Tyś jest jedynym lakiem, w braku którego opłatek nie jest dobry.

Już świeca płonęła...

Na stoliku leżała laska laku, jak cudowny kij zamykający źródeł wody ożywcze... a obok, jak obydne gadziny, wiły się sznurki szare.

Wdowo Fajfer! Czem będziesz bez sklepiku! Zapiecku, czem będziesz bez wdowy Fajfer... Ludzkości, czem się staniesz bez wiktuałów!

Trupem, szkieletem mumją, zwłokami, ciałem bez duszy... miłością bez wzajemności... musztardą bez obiadu... nicością.:.

Było cicho... pióra skrzypiały tylko, wdowa oddychała ciężko.

Wreszcie wykonawca wyroku powstał...

O! któż opisze krzyk rozpaczy, co się wyrwał z jej piersi!..

Ten jeden okrzyk, który mieścił w sobie całą gamę tonów straszliwych i akordów wściekłych...

Bo było w nim przekleństwo, rozpacz, żal, łzy i smutek i... wszystko...

W takim krzyku jest wstęp do dramatu zwanego samobójstwem...

Michał szepnął coś komornikowi na ucho, ten głową skinął przychylnie.

Wzruszony woźny zbliżył się do wdowy i głosem najmilszym, najsłodszym, najcichszym — wyszeptał:

— Kochana pani Fajfer.

Oczy damy błysnęły strasznym ogniem. On jednak nie cofnął się i drugi raz jeszcze powtórzył:

— Kochana pani Fajfer...

A jednak ojciec umierając zapowiedział mu wyraźnie:

— Michale! Michale! strzeż się kobiety z pieprzykiem...

TOM III.

Historyja uczy, że od początku świata zazwyczaj po nocy następował dzień, po burzy pogoda, a po zimie wiosna. Sklepik na Zapiecku jaśniał dostatkiem i bogactwy...

Dostać tam było można wszystkiego, począwszy od smolnej drzazgi aż do śledzia i odwrotnie — od śledzia aż do drzazgi.

Za kontuarem rozsiadała się pani Fajfer w całej gloryi majestatu swojego. Ważyła pieprz i uśmiechała się. Rąbała cukier i miotała klątwy.

Bo na tym świecie
Dziwnie się plecie:
Pieprz z miodem czasem,
I słodycz z kwasem

I kwas z goryczą
I co państwo sobie życzą.

Nade drzwiami wisiał świetnie malowany szyld.

Pokojowy Matejko, który go stworzył, umieścił na nim osobliwsze dziwa: drewniany chleb, perkalową cytrynę i lwa liżącego funt mydła.

Były tam także wymalowane tasiemki podobne do pijawek, włóczka przypominająca siano i paczka papierosów, kubek w kubek podobna do ula ramowego...

Zkąd te dostatki i ta szczęścia mnogość? Ba! Michał przyszedł wdowie w pomoc z uciułanym kapitaliczkiem; spłacił Szpermycla, rozwinął handel i za to posiadł całe serce wdowie z przyległościami i wszelkim inwentarzem...

A wspaniała to zaiste była ruchomość. On wyglądał przy niej, niby goździk przy szynce, zapałka przy antałku, antałek przy domu Kronenberga...

Ona używała go na posyłki, zmywała mu głowę i wyrażała się zawsze o nim: „mój woźny”.

A o trybunale: „nasz trybunał,” comme de raison.

Kiedy w niedzielę wyjechali na Kępę, lub na Ś-go Bonifacego do Czerniakowa, a wystrojeni oboje aż mgli, to ludzie otwierali usta szeroko, i mówili:

— Co za dzielna, zachwycająca para...

Dzielna bo była zaiste.

Ale czy sądzicie, że Michał nadał żonie swej nazwisko?... Przenigdy! Był on zawsze pokazywanym palcami przez kumoszki, które mówiły, wskazując na niego:

— Oto jest mąż wdowy Fajfer.

On sam, jego indywidualność, jego charakter, jego nawet nominacyja jako woźnego trybunału, wszystko to zniknęło, zbladło...

Tak gąbka wciąga w siebie wodę, soda absorbuje kwas...

Tak dzielna Zuch-wdowa zawsze dominować będzie nad drugim małżonkiem.

A jednak ojciec umierając, zapowiedział mu wyraźnie:

— Michale, Michale, strzeż się kobiety z pieprzykiem.

* Jean Bart, spostrzegłszy na pełnem morzu okręt kontr-admiralski holenderski, zwraca się do swych podwładnych i przyrzeka sowicie nagrodzić tego, kto mu przyniesie banderę kontr-admiralską i banderę tyłu okrętu. W obec takiej zachęty, kilkudziesięciu majtków wdarło się na statek nieprzyjacielski, a jeden z nich jął się co żywo wdrapywać na szczyt masztu, na którym powiewała chorągiew kontradmiralska. Spostrzega to nadzorca robotników okrętowych i częstuje śmiałka dwoma wystrzałami. Jeden z nich dziurawi mu rękę, drugi trafia go w udo. Marynarz z niewypowiedzianym chłodem obwiązuje rękę chustką, udo zaś krawatem i rżnie dalej; porywa banderę kontr-admiralską, okręca się nią w pasie i schodzi na dół po drugą chorągiew. Nadzorca podbiega i częstuje go dzidą. Marynarz odwraca się, chwyta dzidę za rękojeść, dziurawi oko przeciwnikowi, powala go na ziemię, dobija siekierą, poczem odczepia pożądaną banderę i niebawem wręcza ją Jean Bartowi, który zgodnie z obietnicą, nagradza go hojnie.

Zwierzęta.

Opowiadają wiele przykładów o zmyleniu przez malarstwo czujności i zmysłowości zwierząt. Sławny malarz angielski Knight, wymalował raz z natury dzieci pastora, powracające ze szkół pod rodzinną strzechę. Kiedy portret został zawieszony w salonie, pudel, przyjaciel i towarzysz zabaw jednego ze sportretowanych chłopców, poznawszy swego ulubieńca, nie posiadał się z radości. Wierne zwierzę chcąc zwrócić uwagę swego młodego pana, nie zaniedbało żadnej z oznak największego uradowania, i trzeba było ciągle go powstrzymywać, żeby nie wskoczył na obraz. Powtarzało się to codziennie przez kilka dni, a po objawach radości, następował

u psa wielki smutek, iż pan nie zwraca nań wcale uwagi... Wreszcie pies po wielu próbach, począł zachowywać się spokojnie, a w jego mądrem spojrzeniu, rzucanem na znaną i kochaną twarz przyjaciela, widać było iż uważa ją jako odbicie, jako cień rzeczywistości.

* *Co to za zwierzę?*

— Wymień mi Lolu kilka zwierząt domowych?

— Kot...

— No dalej?

— Kaczka, gęś, kura, koń...

— No a jeszcze?...

— Krowa...

— Ale jeszcze jedno... Zapominasz o jednem zwierzęciu, które bywa cierpianem nawet i w pokoju... Przypomnij sobie! zwierzę to ma cztery nogi, i robi często taki hałas, że nam spać nie daje...

— Fortepian.

„Różowe Domino."

Zwierzyniec.

* *W zwierzyńcu.*

— Mamusiu, zkąd się wielbłądowi wzięły garby?

— E... bo... to...

— No, zkąd mamusiu?...

— Bo widzisz, jak był maleńki, to go mamka z kołyski wyrzuciła...

Żaby.

* *Żaby i ich króle.*

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieków, a stała nierządem,
Tam każda obywatelka,
Mała czy wielka,
Gdzie chciała mogła skakać,
Karmić się i ikrzyć.
Ten zbytek swobód w końcu zaczynał się [przykrzyć.
Zauważyły, że sąsiednie państwa
Używają pod królami rządnego poddaństwa,
Że lew królem czworonogów,
Orzeł nad ptaki,
U pszczół jest królowa ula;
A więc w krzyk do Jowisza:

„Królu, ojcze bogów,
Dajże i nam króla, króla".
Powolny Bóg wszechżabstwa na króla użycza
Małego jak Łokiet kija kijowicza,
Spadł kij i pluskiem wszem obwieścił się błotu...

Struchlały żaby na ten majestat łoskotu,
Milczą dzień i noc, ledwie śmiejąc dychać,
Nazajutrz jedna drugiej pytają: „Co słychać?
Czy nie ma co od króla?" Aż śmielsze i star- [sze
Ruszają przed oblicze stawić się monarsze;

Zrazu zdala, w bojaźni, by się nie narazić;
Potem przemógłszy te strachy,
Brat za brat z królem biorą się pod pachy,
I zaczynają na kark mu włazić.

„Toż to taki ma być król!.. Najjaśniejszy Bela,
Niewiele z niego będziem mieć wesela,
Król co po karku bezkarnie go gładzim!
Niechaj nam abdykuje zaraz niedołęga,
Potrzebna jest nam władza, ale władza tęga!"

Bóg gdy ta nowa skarga żab niebo przebija,
Zdegradował króla kija,
A zamianował węża królem żabim,
Ten pełzacz, pływacz i biegacz,
Podsłuchiwacz i dostrzegacz,

Wszędzie wziera pod wodę pod kamienie, pod [pnie,
Wszędzie szuka nadużyć i karze okropnie.
Arystokracja naprzód gryziona podrabia,
Że się nadyma i zbyt się opuszcza;
Gryziony potem chudy lud, że nie zarabia.

I że się na dno biedy opuszcza;
Gryzione są krzykacze, że wrzeszczą namię- [tnie;
Gryzieni cisi, że śmią siedzieć obojętnie.
Tak gryząc je swobodnie, wąż do dziś dnia; [hula;

A rzeczpospolita żab bolesnemi skwierki
Do dziś dnia woła o innego króla:
Lecz Bóg nie chce się więcej mięszać w jej [rozterki.

A. Mickiewicz (p. t. I, str. 19)

* Ach, lubiłem ja dawniej,
Gdy już zmierzchu pora,
Siadywać z swoją,
Nad brzegiem jeziora.
Kiedy, pasli bydełko
Pasztuszkowie mali,
Kujawskie obertasy
Na ligawkach grali,
Kiedy las zdala szumiał
Melodyjnie, śpiewnie,
A ptaszki świergoliły,
Hymn wieczorny rzewnie,
Kiedy muszki wieczorne
Igrały swawolne.
Nad jeziorem pląsały
Znów koniki polne.
I robaczków, komarów,
Much falanga cała,
Do nocnego spoczynku
Już się układała.
Lubiłem nawet bardzo
Po zachodzie słońca,
Gdy na całem jeziorze,
Od końca do końca
Nawołując się wzajem
Zaskrzeczały żaby.
Dziś nie nęcą mię wcale
Natury powaby,
Jedna żaba je bowiem,
Co chwila niweczy...
Moja żona, co ciągle
Nad uchem mi skrzeczy!

P. Kośmiński (p. t. I, str. 349).

Żal.

Starzec przeszło stuletni, dowiedziawszy się, że syn jego umarł w 80 roku życia, rzekł:

— Otóż masz! zawsze ja mówiłem, że on nieborak dla słabości piersi niedaleko pociągnie.

„*Śmieszek.*"

Żargon.

* *W mleczarni.*

Wszedł do mleczarni chłopiec szyk
I krzyknął: *proszę kwaszny mlik...*
A potem przyszedł drugi młody,
I krzyknął *proszę o dwie lody...*
Weszły trzy panny w czas gorący,
Z upału buzie im pobladły
I zawołały: — *mlik stojący,*
I dwa porcyjki mliki szadły...
Co ku lingwistów naszych sławie,
Wszystko się działo tu w Warszawie.

Żebrak.

* Żebrak wchodząc do kuchni:

— Litościwe państwo! zmiłujcie się nad biedakiem, już parę dni nic nie jadłem.

Kucharka podając mu zupę:

— No macie, jedzcie.

Żebrak pod nosem:

— O Jezu! a dyć znowu kartoflanka, już czwarta dzisiaj.

* — Przyjdźcie do mnie, dam wam moje stare ubranie, mieszkam na Nowym Świecie Nr. 1-szy 4-te piętro.

Żebrak. Czwarte piętro?... Nie panie, ja wprawdzie żebrzę, ale nigdy wyżej jak na drugiem piętrze.

* *Hardy żebrak.*

Przechodzący do pijanego żebraka, proszącego o jałmużnę:

— No macie tutaj, a nie przepijcie znowu.

Żebrak. To już nie pańska rzecz! z mojemi pieniędzmi mogę przecież robić, co mi się podoba!

Pan. Idźcie sobie, nie dostaniecie już ani grosza, dawałem wam kilka razy i wiem, że przepijacie wszystko.

Żebrak. Proszę wielmożnego pana, ja jestem bardzo porządny człowiek, nie byłem przyzwyczajony żebrać, to teraz muszę zawsze zrana wypić parę kieliszków, inaczej nie miałbym odwagi do żebrania.

Żołądek.

Onego czasu wszystkie członki ciała
Zbuntowały się przeciw żołądkowi,
I obwiniły go, że on jak przepaść
Spoczywa w ciele gnuśny i nieczynny,
Chłoniąc pokarmy i nigdy nie dzieląc
Prac z resztą członków; gdy tymczasem one
Patrzą, słuchają, radzą, uczą, chodzą,
Czują, i wzajem sobie pomagając
Zaspokajają żądze i potrzeby
Całego ciała. Żołądek rzekł na to z uśmie-
[chem,
Nie takim jednak, co to idzie z serca;
Lecz oto takim — (bo żołądek może
Nie tylko mówić, jak widzieć, ale
I śmiać się czasem) odparł on szyderczo
Niechętnym członkom, owym rozsądnym
Organom, co nam zazrościły bytu:
„Prawda to, moi współwcieleni bracia,
Że ja karm wspólny wam pierwszy odbieram;
I słusznie: bom ja spichrz, bom ja magazyn
Całego ciała; pomnijcie atoli,
Że ją strumieńmi krwi waszej posyłam
Do dworu, w serce; do stolicy mózgu;
I że rozliczną drogą różnych funkcyi
Najtęższe nerwy i najmniejsze żyłki
Biorą odemnie swój dział pożywienia...
Skoro zaś moi kochani, (tak dalej
Mówił żołądek), skoro zaś wszyscy razem nie
[możecie
Widzieć naocznie, czego wam dostarczam,
Mogę wam moje rachunki pokazać,
Z których poznać, że wszyscy odemnie
Otrzymujecie sam ekstrakt wszystkiego,
Mnie zaś zostają gręzy...

Szekspir (p. t. I, str. 92.)

Żołnierz.

* *Na tchórza żołnierza.*

Biegły masz dowcip, mój Andrzeju drogi!
Biegłą masz pamięć, najbieglejsze nogi.

* *Dzielny żołnierz.*

— Et, cicho smyki, czy wy wiecie,
Co ze mnie jest za zuch,
Po całym prawie krążąc świecie,
Wytłukłem różnych wrogów przecie,
Jak kretów lub jak much...
Bywało tak gdy przyszła wena,
Sto na raz kładłem głów,
A i pod Wagram lub pod Jena,
Tam to drapieżna była scena,
Jak z armat pif! paf! puf!...
— Pod Lipskiem biłeś, ojcze, wroga?
— Ba!... był tam istny ul!...
Tam był brzęk szabli, tam ci trwoga...
Tam właśnie, bracie, moja noga
Odpadła od stu kul...
— Wszak macie obie, starcze wzniosły,
Ciężarem schylon lat...
— Et, co wy wiecie... głupie osły....
Od Lipska... trzy by mi wyrosły...
Toć drogi przecie szmat!...

Żona.

* *Troskliwa żona.*

W mieście X. umarł aptekarz. Nieutulona w żalu żona zamówiła suty pogrzeb i ciało zmarłego powieziono na cmentarz z należytą paradą. Przypadek zrządził, że na skręcie woźnica karawanu zawadził kołem o kupę kamieni. Karawan się przechylił, trumna wyleciała i o cudo! nieboszczyk ożył. Pokazało się, że to był tylko letarg a nie śmierć istotna. Nieboszczyk wrócił z żoną pod rękę wśród mnóstwa życzeń i pawinszowań do domu — i żył jeszcze lat parę. Gdy go powtórnie wynoszono w trumnie z domu, troskliwa żona upomniała woźnicę:

— Tylko ostrożnie, mój przyjacielu, koło tych kamieni, żeby znowu jakiego nieszczęścia nie było.

* *Nagrobek.*

Przechodniu! pod tą mogiłą
Spoczął człowiek zasłużony;
Już mu się wszystko sprzykrzyło,
A najwięcej — język żony.

* Rozważam sam, w czymem to ja się Bogu przewinił, że nie mam żony? A częściej jeszcze myślę, co ci ludzie zawinili Bogu, co je mają?

* Vautrin pisze, że do ks. Lubomirskiego, który miał za sobą wprzód późniejszą ks. Teschen, kochankę Augusta II, przyszedł ze skargą chłop, iż mu rządca zabrał żonę... Zawołano rządcy, aby się wytłomaczył.

— Cóżem miał robić, proszę księcia, rzekł oskarżony. Książę mi moją zabrał, musiałem sobie innej szukać.

— Widzisz, mój kochany, odezwał się książę do chłopa, król mi wziął moją, ja musiałem wziąć jemu, on tobie twoją zabrał, idźże i ty i szukaj sobie, u kogobyś mógł także wziąć.

J. I. Kraszewski. (p. t. I, str. 350.)

* — Czemuś wczoraj późno przyszedł?
Cóż ty myślisz sobie?
Wolałabym być rozwódką,
Lub chodzić w żałobie.
— Ależ żonko moja droga,
To nie z mojej winy
Wczoraj przecież Panfucego
Były imieniny.
— Cóż to będziesz się tłomaczył?
Śmiałość niesłychana!
Dość już tego mój kochany!
Nauczę Waćpana.
— Żonko, żonko moja droga,
Już nigdy nie będę —
Do kolacyi co wieczora
Jak trusia usiędę.
Pomnij złotko, że tej żonie
Co kułakiem szasta,
Kiedy umrze, ręka potem
Z pod ziemi wyrasta.
— Pleciesz ośle głupie baje,
Co trącą kawiarnią,
W takim razie cmentarz byłby
Istną szparagarnią.

* *Żona uparta.*

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niechno człowiek się pokaże
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony,
I źle urękawiczony:
Myślą, że się chce topić,
A więc pełni zgrozy,
Ratują od śmierci, a wiodą do kozy.
Taki to jakiś, po Sekwany brzegu,
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go [w biegu,
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
„Nieszczęście! woła biedak, pomocy ratunku!
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę."
A na to żandarm mu rzecze:
„O praw hydrauliki nieświadom człowicze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody".
„Boć to ciało, rzekł szukacz, było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne:
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody."

A. Mickiewicz (p. t. I, str. 19).

* *Trzy żony.*

Legenda.

Z niebieskiej pięknej krainy,
Niepamiętam, gdziem to czytał,
W czysca posępne dziedziny
Jakowyś anioł zawitał.

Anioł to był dobry, kiedy
Potępieńców żale, jęki
Całej wysłuchał czeredy,
„Trzeba skrócić te ich męki".

„Wszakże z sobą choć jednego",
Rzekł, „do nieba zabrać muszę"...
I zwołuje wszystkie dusze:
„Mówcie dzieje życia swego."

Ten jałmużnę hojnie dawał,
A biedne panny posażył,
Ten w modlitwach nieustawał,
Tamten hojnie klasztor darzył.

Lecz gdy głoszą prawa swoje
Cnotliwi chęcią i mową,
Czysca zaskrzypią podwoje,
Czart wprowadził duszę nową.

Na jej bladej, chudej twarzy
Jakowaś radość rozlana,
I uśmiech na ustach żarzy,
Choć biedak w szponach szatana.

Anioł zdziwiony zapyta:
„Zkąd twa radość, potępiony?"
„Gdybyś wiedział, co kobieta,
„Gdybyś znał, co mieć trzy żony.

„Niedziwiłbyś się mojemi
„Szczerej radości znakami;
„Mnie czyściec z swemi mękami
„Niczem po cierpieniach ziemi".

„Prawda — Anioł się odzywa —
„Dla ciebie raj otworzony,
„Bo już na ziemi odbywa
„Czyściec ten, kto miał trzy żony".

(„*Humorysta Warszawski.*")

* Żony znają wybornie geometryę, albowiem tak znakomicie dowodzą swych twierdzeń, że biedny mąż chcąc nie chcąc musi czynić wnioski do sklepów.

* *O złej żonie.*

Spytano, czemu nie miał psów pewnego człe-
[ka;
„Na co mi psy, odpowie, mam żonę, ta szcze
[ka."

Józef Grąbczewski.

* *To świętej cierpliwości z tymi mężami.*

— Próżne wykręty, tobie trzeba było głupszej żony odemnie.

— Cóż? kiedy nigdzie znaleźć nie mogłem.

* *Na złą żonę.*

Brat, gdy się starał o żonę
I widział jej dobrą stronę,
Zwykle ją aniołem mienił.
Teraz, gdy się z nią ożenił,
I przymioty jej obaczył,
Nazwą djabła ją uraczył.

Juljan Horain.

* Zła żona, zły sąsiad, djabeł trzeci, jednej matki dzieci.

* Kiedy raz mężom żony wymawiały,
Że gdyby prawa tego dozwalały,
Toby jak turcy po kilka żon mieli;
Ktoś się odezwał z ich nieprzyjacieli:
— Nigdy nam taka nie przyjdzie zachcianka,
Bo co Turczynka to nie Warszawianka,
Więc nie pójdziemy w Mahometan ślady,
Gdyż z jedną sobie nie możem dać rady.

* Dym, dach dziurawy i żona kłótliwa, najprędzej wypędzają z domu.

(Z notatek małżonka).

* Żona moja ma ząbki prześliczne, istne perełki urjańskie.

I (Zapłaciłem za nie jak jeden grosz rs. 100).

Żona moja ma płeć tak delikatną i białą jak alabaster.

II (Dostawcy kosmetyków, kremów, balsamów, maści i pudrów i innych pachnących smarowideł płacę miesięcznie od 17 do 20 rs).

Żona moja ma figurkę jak utoczona.

III (Optykowi za maszyny i przyrządy udające do złudzenia kształty pięknej kobiety, zapłaciłem 78 rs).

Żona moja ma pyszne włosy, które jak fala złocista spadają na jej śnieżne (patrz pozycja II) ramiona.

IV (Perukarz za loczki, grzywkę, szyniony, i wszelakie tupety i tupeciki wziął rs. 64).

Żona moja miałaby jeszcze więcej uroków i wdzięków, ale już mi na to zabrakło funduszu, niestety!

* *Na ulicy.*

— Powiedz mi proszę, kto jest ta pani?

— To właśnie moja żona.

— Tak... ale czy prawdziwa?

— Jakto? cóż znowu za głupie pytanie?

— A bo widzisz mój drogi teraz tak wszystko podrabiają, że pomimo woli człowiek falsyfikacje ma na myśli.

* *Specyjaliści i ich żony.*

Jedna z naszych znajomych utrzymywała i nie bez racyi, iż ludzie pewnych specjalności zbyt energicznie wcielają je w życie familijne. I tak: sądownikowi mianowicie z linji karnej zdaje się, że żona jego jest zbrodniarzem; oficerowi, że jest żołnierzem; nauczyciel uważa swą żonę za wieczne dziecko, a burmistrz traktuje ją jak żyda.

* *Od czego żona.*

Michał do przyjaciela:

— „Co ja widzę, mój Józefie, znowu sam sobie przyszywasz guziki do surduta. Przecież masz teraz żonę."

Józef. „To co, mój kochany, myślisz, że żonatemu nie urywają się guziki!"

Flieg Blätt.

* Jeden ze znajomych Miltona unosił się przed nim nad wdziękami jego żony, nazywając ją przepyszną różą.

— O tak — westchnął ociemniały wieszcz zgadzam się na to porównanie, bo chociaż nie widzę jej kwiatu, za to bardzo wyraźnie czuję kolce.

* *Mądre żony.*

Błąd jest, gdy panny uczone wychodzą
Za ludzi, którzy nie mają oświaty;
Za panów, którzy choć „dobrze się rodzą",
Ale ich nudzą poważne debaty.
Przestrogi moje skromne w nic nie godzą,
Ja jestem prosty człek i nie żonaty...
Lecz — mężu mądrej żony, szczerze powiedz,
Nie wodzą-ż one nas, jak stado owiec?

Byron.

* Pewien mieszczanin włóczył się zawsze z handlu do handlu; znajomy jego przypomniał mu raz o obowiązkach względem domu, czyniąc uwagę, że mądrzej byłoby żony pilnować, niż zwiedzać oberże i szynki. „Tak, czyniłbym to z pewnością, odrzekł napominany, gdyby żona moja nie była tak brzydką, ale widzi pan, zdaleka to ona nieźle wygląda, a że mi dopiero wtedy zaczyna się podobać, trzymam się od niej zawsze w oddaleniu".

* *Moja żona wybiera się na bal.*

Ona. Ach, to nieładnie, że tak wcześnie przychodzisz! (patrzy na zegar stojący). Trzy kwandranse na szóstą! Aleś ty całkiem przemarznięty, mój kochany! Twoja ręka jak lód! Chodź, usiądź przy ogniu! (kładzie polano do kominka). Cały dzień myślałam o tobie. Wychodzić podczas takiej niepogody to rzeczywiście ciężkie zadanie. Ale czy choć interesy szczęśliwie ci się powiodły? Czyś zadowolony?

On. Bardzo zadowolony, moje dziecko. (Do siebie): Moja żona ju żoddawna nie była tak miłą. (Głośno, biorąc mieszek, aby ogień rozdmuchać) Bardzo zadowolony, moje dziecko! A jakim głodny!.. Czy Janek był grzeczny?

Ona. Ty jesteś głodny? Tak, toby wszystko dobrze się stało! Brawo! (wołając) Maryniu, proszę powiedzieć w kuchni, że pan chce jeść wcześniej. I aby nic nie opuszczono z wiadomej rzeczy! A nie zapomnij o cytrynie.

On. Ach! Tajemnice?

Ona. Tak, mój najdroższy. Mam dla cie-

bie małą niespodziankę—i sądzę, że ci sprawi przyjemność.

On. Niespodzianka? Cóż takiego?

Ona. Ba, rzeczywista niespodzianka! Jakiś ty ciekawy! Oczy ci się już świecą z oczekiwania! Ale ja nic nie powiem.

On. (Żartem). Moje dziecko, ja nie wytrzymam.

Ona. Więc nie chcę twej cierpliwości dłużej na próbę wystawiać. Dostaniesz dziś na obiad śliczne, świeże ostrygi i... bażanta. Czy jestem grzeczną?

On. Ostrygi i bażanta! Jesteś aniołem! (całuje ją) Aniołem! (Do siebie). Co u dyjabła dzieje się z moją żoną? (Głośno) Czy nie miałaś przez dzień żadnych odwiedzin?

Ona. Dziś rano była tu Ernestyna; ale przyszła na krótko. Wypędziła swoją pokojówkę. Czy uważasz to za możebne, że przy chwycono wczoraj tę dziewczynę, jak po ulicy chodziła w męskim ubiorze i do tego jeszcze w ubiorze swego pana. To przecież zanadto!

On. To się nazywa osoba zaufania! Więcej nie było nikogo?

Ona. Nie, mężulku... (z nagłym wykrzykiem). Ach jakżem roztargniona! Byłabym zapomniała, pani Lyr też mnie odwiedziła.

On. Nie ją Pan Bóg błogosławi! Czy ona zawsze śmieje się tak krzywo, aby ukryć ząb czarny...

Ona. Jesteś bardzo złośliwy, a ona biedna tak cię lubi! Rzeczywiście bardzo się cieszyłam jej odwiedzinami, przyszła przypomnieć mi... Ale ty będziesz się gniewać... (całuje go i siada bardzo blisko przy jego boku).

On. Gniewać się! gniewać się! Czy jestem może turkiem! Prędko! O co chodzi?

Ona. Ty wiesz, że dziś są ostrygi i bażant. Chodźmy do stołu. Nie mogę ci nic powiedzieć, boś już teraz nie w humorze. Nawet już dałam jej prawie do zrozumienia, że pójdziemy.

On. (Wznosząc ręce do nieba). Mocny Boże, przeczuwałem to! Niech ją dyjabli wezmą razem z jej towarzystwem herbacianem. Co ja zawiniłem kiedy tej kobiecie?

Ona. Ona myśli, że ci robi przyjemność. Taka miła przyjaciółka. Lubię ją z całego serca, gdyż zawsze tylko dobrze mówi o tobie. Gdybyś był ukryty tam w kominku, jak długo ona tu była, musiałbyś się był czerwienić! (On rusza ramionami.) — Taki miły ten mąż pani, taki wesół, taki światły, proszę go koniecznie przyprowadzić. Jest to dla nas bardzo pożądanem mieć go u siebie. — Ja odpowiedziałam: „z pewnością". Ale wiesz, tak całkiem lekko... Bo mnie tam nie ciągnie. Tak bardzo się nie bawią u pani Lyr. Tam przychodzi wielu poważnych i wiele znaczących ludzi... Ja wiem dobrze, że między nimi są wpływowe osobistości, któreby mogły nam być użytecznemi; ale cóż mię to może obchodzić! Chodź na obiad! Wiesz, mieliśmy jeszcze jedną flaszkę wybornej pomardy, to właśnie dobre do bażanta. Ach! Ty nie wiesz, jaką mi to uciechę sprawia, widzieć cię jedzącego bażanta. Spożywasz go z wielką godnością i namaszczeniem. Jesteś smakoszem, kochany mężulku. (Bierze go za ramię). Chodź, kochany przyjacielu; słyszę jak twój pan syn w pokoju jadalnym suwa nogami z niecierpliwości.

On. (Namyślając się). Hm!.. A kiedy?...

Ona. Kiedy?... Co?...

On. To zebranie herbaciane....

Ona. Ach! — bal masz na myśli... Ja już więcej o nim nie myślałam... o balu u pani Lyr? Dla czego mię pytasz, skoro przecież nie idziemy? Chodź prędko! Jedzenie wystygnie...

On. (Nagle przystając). Co? To zebranie herbaciane jest balem? A ten bal jest dzisiaj wieczór? Ależ do kaduka, przecież się nikomu nie przykłada tak pistoletu do piersi! Zaprasza się, na kilka dni naprzód!

Ona. Ona też przysłała nam przed ośmiu dniami zaproszenie, jak się należy. Nie wiem

doprawdy, co się stało z kartą. Zapomniałam ci ją pokazać. Daruj więc, kochany mężulku.

On. Ach tak, tyś zapomniała!..

Ona. W istocie jest tak najlepiej. W przeciwnym razie narzekałbyś cały tydzień. Teraz do obiadu!

Siadają do stołu. Obrus biały, noże się lśnią — ostrygi świeże, ślicznie upieczony bażant zionie wybornym zapachem. Młoda kobietka jest pod każdym względem miłą i śmieje się przy każdej sposobności. Pan domu staje się widocznie weselszym i opiera się od czasu do czasu wygodnie w swym fotelu.

On. Ta pamarda jest wyborna. Chcesz trochę żoneczko?

Ona. I owszem. Twoja żonka wypije jeden łyk. (podsuwa mu z wdzięcznym ruchem swoją lampkę.)

On. Patrz! Masz ametystowy pierścionek na palcu; on rzeczywiście bardzo milutki.

Ona. (trzymając mężowi rękę przed nosem) Milutki! Ale patrz tu kawałek odpada.

On. (Całuje żonę w rękę). Gdzie to?

Ona. (Śmieję się). Ty zawsze żartujesz ale ja mówię na seryjo. Popatrzno tu! Tu! widać przecie dobrze! (Przybliżają się więcej ku sobie i nachylają się wspólnie nad pierścionkiem, aby lepiej widzieć.) Czy zawsze jeszcze nie widzisz? (Pokazuje swym wysmukłym, różanym paluszkiem pewne miejsce na pierścionku) Tu! nieprawdaż?

On. Ach maleńka perełka... Cóż u licha masz we włosach, moje dziecko? Pachniesz nader przyjemnie! Musisz go posłać do jubilera. Ta perfuma jest rzeczywiście delikatną. A loki też ci się nie źle układają...

Ona. (Poprawia przelotnie swą fryzurę) Myślałam sobie, że ci się ta perfuma spodoba. Na twojem miejscu...

On. Cóż więc, mój skarbie? cóżbyś uczyniła na mojem miejscu.

Ona. Całkiem po prostu. Dałabym mojej żonie całusa.

On. (Całuje ją). Masz wyborne pomysły. Daj mi jeszcze kawałek tego bażanta (kąsając z epikurejskiem zadowoleniem). Biedne, małe zwierzątka! One tak miłe, gdy w zbożu biegną po bruzdach, przypominasz sobie, jak często słyszeliśmy ich głos przy zachodzie słońca? Jeszcze trochę sosu... Są chwile, w których poezyja życia wiejskiego w przyjemnych marzeniach w umyśle się nam maluje... Gdy pomyślę, że są barbarzyńcy, którzy z bażantami jedzą kapustę! Dziwni ludzie! Ale powiedz (nalewa sobie) czy twoja toaleta w pogotowiu?

Ona. (Z niewinnem zdziwieniem). Jaka toaleta?

On. No, do pani Lyr?

Ona. Na bal? Co za pamięć! Ciągle więc myślisz o tem? Mój Boże, nie... Prawdziwej balowej toalety nie mam... To znaczy... Mam tę tarlatanową suknię, a zresztą tak mało potrzeba, aby sporządzić balową toaletę...

On. Ale fryzyjer jeszcze nie zamówiony?

Ona. W samej rzeczy, nie jest zamówiony; ale co to szkodzi? Zapewniam cię, że nie przywiązuję żadnego znaczenia do tego balu. Siądziemy sobie przy kominku, będziemy trochę czytać, i pójdziemy wcześniej do łóżka. Zresztą przychodzi mi na myśl, co przy odejściu powiedziała mi pani Lyr: „Mamy tego samego fryzyjera. Ja go dla pani zamówię”... Jakażem ja roztargniona! Teraz sobie przypominam, żem jej żadnej odpowiedzi nie dała. Ale to nie daleko stąd. Mogę Marynię posłać i odmówić go.

On. Skoro już raz zamówiony ten przeklęty perukarz, to niech przyjdzie. Możemy więc pójść na chwilkę do tej pani Lyr... Ale pod jednym warunkiem, że muszę mieć wszyko przygotowane na mojem łóżku, rękawiczki, frak itd. a ty musisz mi zawiązać biały krawat.

Ona. Zgoda (całuje go). Jesteś najlepszym mężem na świecie. Jestem bardzo szczęśliwą, moje serduszko, bo widzę, sam poniesisz ofiarę, aby mi sprawić przyjemność, gdy

ten bal mi jest obojętny... Prawdziwie, już o nim wcale nie myślałam.

On. Hm! Więc idę teraz zapalić cygaro, aby ci więcej nie przeszkadzać. O dziesiątej będę z powrotem. Skoro mi wszystko przygotujesz, daj mi znać. W pięć minut będę ubrany od głowy do nóg. Adieu.

Ona. Do widzenia.

Wyszedłszy na ulicę, zapala cygaro i zapina swe palto. Dwie całe godziny! Jestto niczem, gdy się jest zatrudnionym; ale gdy się nie ma nic do roboty, to rzecz się ma inaczej. Na chodniku ślizko; zaczyna deszcz padać. Na szczęście jest kryty chodnik w pobliżu; tam się przechadza zrozpaczony. Gdy już po raz trzydziesty tam i napowrót przeszedł, patrzy na zegarek, jeszcze pięć minut do dziesiątej! Spóźni się! Jaknajspieszniej do domu. W podwórzu powóz już zaprzężony. W sypialni dwie lampy bez umber rzucają jaskrawe światło. Naokoło góry muślinu i wstążek. Staniki, suknie, spódnice, koronki, szarfy, kwiaty, biżuteryje, wszystko to tworzy zachwycający chaos. Tam na stole mnóstwo puszek z pomadami, grzebieni, szczotek, szpilek do włosów; obok grzebienie z korali i szyldkretu, wieńce z pączków róż, gałązki delikatnych kamelii, bukieciki jasnoniebieskich fiołków oczekują wyboru sztukmistrza i kaprysu pięknej. A wśród tych błyszczących skarbów stoi piękna pani z rozpuszczonym włosem, widocznie w największej niecierpliwości prawie zła.

On (patrząc na swój zegarek). Cóż, drogie dziecko, jesteś ufryzowana?

Ona (rozgniewana). Pyta mię, czy jestem uczesana? Czyż nie widzisz, że już od półtorej godziny, już od wieku czekam na fryzyjera? Czyż nie widzisz, że jestem złą? Wiem że nie przyjdzie ten nędznik!

On. Potwór.

Ona. Tego mi jeszcze brakuje, byś żarty stroił.

Dzwonią. Drzwi się otwierają a pokojówka woła: „Łaskawa pani, oto on."

Ona. Tak — to on?

On. To on.

Artysta wchodzi szybkim krokiem i pozdrawia, podkasując rękawy.

Ona. Panie Silvani, jesteś pan nieznośny...

Silvani. Przykro mi bardzo; ale było to czystą niemożebnością. Fryzuję już od trzech godzin; wracam od księżnej Walpole, która dziś wieczór idzie do pana ministra. Ona mię kazała tutaj odwieść w swoim powozie...

— Lizetko, proszę mi dać grzebienie pani i proszę włożyć żelazka do ognia.

Ona. Ależ, panie Silvani, moja pokojówka nie nazywa się Lizetka...

Silvani. Łaskawa pani pojmie, że musiałbym przyjąć kilku sekretarzów więcej, gdybym miał spamiętać imiona wszystkich pokojówek, które mi pomagają. Lizetka jest to piękne imię, i stosowne dla wszystkich takich dziewcząt. Lizetko, toaletkę!.. Dobrze... Czy ten bal jest galowy?

Ona. Proszę zacząć tymczasem.

Silvani. Niepodobna mi ufryzować łaskawej pani, jeśli nie wiem w jakim celu pani fryzura musi być obmyślona. (Do męża siedzącego w fotelu). Prosiłbym pana, byś z łaski swej usiadł gdzieindziej. Muszę mianowicie od czasu do czasu cofać się, aby módz rozpatrzeć się w sztucznem ułożeniu.

On. Owszem, panie Silvani. Cieszy mię, iż mogę się panu przysłużyć (siada na inne krzesło.)

Ona (nagle). Nie tu, drogi przyjacielu! pognieciesz mi moją suknię. (Mąż podnosi się i ogląda za trzeciem krzesłem.) Uważaj, bo przydepczesz mój ubiór na głowę.

On (obraca się gniewnie.) Twój ubiór na głowę! Ubiór na głowę!

Ona. Tak a teraz zrzucasz mi pudełeczko ze szpilkami.

Silvani. Prosiłbym łaskawą panią o chwileczkę spokoju.

On. Uspokój się tylko, ja pójdę do salonu. Tam przecież palono?

Ona (roztargniona.) Ależ drogi mężu, jak można o tem myśleć, by w salonie kazać na palić.

On. No to pójdę do mego gabinetu.

Ona. I tam też nie palono. Pocóż było palić w twoim gabinecie? Dziwna myśl... Dosyć wysoko, panie Silvani i nieco niedbale! To robi największy efekt.

Silvani. Czy może łaskawa pani wymaluje małą czarną kreseczkę pod okiem? W ten sposób będę mógł fryzurę uidealizować.

On (niecierpliwie). Maryniu, proszę mi podać palto i kapelusz. Będę w przedpokoju się przechadzał. (Do siebie). Pani Lyr odpokutuje za to.

Silvani (zapiekając włosy). Pozostawię łaskawej pani ucho o ile możności wolnem. Byłoby to zbrodnią takie ucho zakrywać. Łaskawa pani ma ucho całkiem jak księżna T., którą wczoraj fryzowałem. Lizetko, puder! Takie uszy jak łaskawej pani należą do rzadkości.

Ona. Co pan mówisz?

Silvani. Czyżby ucho łaskawej pani było tak skromnem i przesłyszało się?...

Wreszcie ukończono fryzurę. Silvani posypuje cienką warstwę pachnącego pudru na swoje dzieło, spogląda nań po raz ostatni okiem zadowolonem, żegna się i odchodzi. W przedpokoju spotyka się znów z panem domu, chodzącym tam i napowrót.

Silvani. Stokrotnie proszę o przebaczenie. Proszę przyjąć zapewnienie mego najgłębszego szacunku i poważania.

On (z głębi swego podniesionego kołnierza od paletota) Dobranoc.

W kwadrans później zajeżdża powóz. Łaskawa pani już gotowa: jej fryzura trzyma się doskonale, a ona uśmiecha się do siebie w zwierciadle, rozciągając podczas tego długie, wąskie rękawiczki.

Panu nie udało się zawiązanie krawatu; urwał trzy guziki. Ślady najgorszego humoru malują się na jego twarzy.

On. Prędko! Powóz już czeka. Jest kwadrans na dwunastą. (Do siebie). Znów jedna noc stracona. Jedź, woźnico! Ulica de la Pepiniere Nr. 224.

Przyjeżdżają. Ulica de la Pepiniere cała w rozruchu. Policyja miejska szybko przedziera się przez tłumy ludzi; w oddali słychać niewyraźny krzyk i dziwny łoskot.

Małżonek wychyla głowę z powozu.

On. Co tam takiego Janie?

Jan. Pali się łaskawy panie. Właśnie jedzie straż ogniowa.

On. Jedź no spokojnie pod nr. 224.

Jan. Jesteśmy prawie tuż koło Nr. 224., łaskawy panie, tu właśnie się pali.

W tej chwili nadchodzi portyjer domu i zbliża się do powozu:

— Wielmożny pan należy zapewne tak jak inni państwo do gości pani Lyr.

Łaskawa pani jest w rozpaczy, ale niestety pali się właśnie u niej. Żałuje nieskończenie, ale mimo najszczerszej chęci nie może państwa przyjąć.

Ona (odchodząc od przytomności). A to skandal!

On (nucąc melodyję). Okropnie, okropnie... (do woźnicy): Jedź napowrót do domu! A lekko! Padam ze znużenia. (Opiera się znów o poduszki powozu i podnosi kolnierz wysoko. Do siebie): Z tem wszystkiem zyskałem przy tym wypadku wybornego bażanta!..

* *Wolność mężatkom.*

„Jeremiasz Niewieściński na Świegotowie i Plotkowicach, etc. etc. pan dziedziczny, mężatek najwyższy opiekun, wiadomo czynię komuby wiedzieć należało, a zwłaszcza ludziom żonatym, iż stanąwszy wiele mężatek przed sądem moim, przełożyły płaczliwą skargę na niebacznych mężów, że sobie przywłaszczają nad niemi zwierzchność i tak nieznośnie naprzykrzają, że już tej opressyi i ciężarów dłużej znosić nie mogą. Zaczym uważając słuszność sprawy i wysłuchawszy zażaleń utrapionych nieboraczek, rozkazuję

wszystkim małżonkom (tą władzą jaką mam) aby niżej opisane artykuły, nienaruszenie i statecznie zachowywali.

1⁰ Wolno im z pośrodka siebie urzędników dla dobrego rządu w miastach obierać.

2⁰ Panu małżonkowi urzędnikowi nie wolno będzie wychodzić do urzędu aż po opowiedzeniu swojej pani, jakie sprawy tego dnia mają być sądzone, ażeby mu żona rozkazała, w której w sprawie ma wotować.

3⁰ Każdy mąż ma swojej pani małżonce podlegać i posłusznym być tak, żeby mu i z domu nie wolno wychodzić, chyba za jej wiadomością i pozwoleniem, i to żeby jej powiedział, dokądby chciał iść i jakby się długo miał zabawić.

4⁰ Gdy się pani zapragnie w towarzystwie gdziekolwiek zabawić, niepowinna się będzie sprawować, dokąd i po co szła, chyba, żeby sama dobrowolnie z łaski swej powiedzieć raczyła o której godzinie po nią mąż z latarnią posłać, lub też sam przyjść miał, a to dla pozyskania sobie tem większej łaski u jejmości.

5⁰ Żaden mąż niech się nie waży budzić panią małżonkę przed ósmą lub dziewiątą godziną, ale pod zasłoną od much i słońca żeby tak długo spokojnie spała, ażeby się sama ocknęła.

6⁰ Rząd nad sługami domowemi do pani małżonki wyłącznie ma należeć.

7⁰ Powinien mąż panią małżonkę przy ludziach jaknajmocniej szanować, pochlebiać i dudkować, żeby każdy wiedział, że wszelka zwierzchność i rządy domowe są przy jejmości a nie przy jegomości.

8⁰ Żonom będzie wolno stroić się według ich myśli i tak kosztownie i świetnie, jak im się podoba, aby się z majętniejszemi siostrzyczkami porównały i wszystkim podobały. Małżonków to bowiem szczęście i ozdoba, gdy się żony wielu podobają.

9⁰ Gdy się pani małżonka z mężem pogniewa i długi czas z sobą nie mówią, chociażby to trwać miało tydzień, dwa, trzy, a nawet i cztery tygodnie, tedy mąż powinien z przymileniem, pochlebstwami i nadskakiwaniem pierwej do niej przemówić, aby w piątym tygodniu po tak długiem milczeniu mówić nie zapomniała.

10⁰ Mąż tego niech najpilniej przestrzega, aby panią małżonkę najmniejszą bagatelą nie zasmucał, aby się nie rozgniewała i spazmów lub tym podobnych słabości nie dostała.

Pomijam resztę zażaleń, jakie do uszu naszych doszły, zostawując staraniu panów małżonków, aby się poprawić i dla zachowania domowego pokoju ściśle do życzeń i woli swoich małżonek stosować chcieli. A jeżeliby który przeciwko któremukolwiek z przytoczonych tu artykułów śmiał wykroczyć, ma być na miękiej pierzynie lisim ogonem od wszystkich mężatek i siostrzyczek bez miłosierdzia bity. Co ściśle w całem znaczeniu tego słowa zachowane mieć chcemy i nakazujemy.

Poczem kobiety następny wydały

PROCES.

„My najwyższe senatorki z pospolitej rady wybrane, gubernatorki ludu pospolitego, najwyższe rządczynie etc. etc. wszystkim nam miłym towarzyszkom jakiejkolwiek kondycyi, tak ubogim jako i bogatym, niezamierzonego zdrowia, nieskończonego wesela, zwycięztwa nad mężami we dnie i w nocy, nieodmiennych pociech, nienaruszania urody i innych szczęśliwości fortunnych i powodzenia życzymy. Za uchwałą naszą społeczną wam wszystkim konwokacyję pilną i potrzebną ogłaszamy, do której konwokacyi i zjazdu zapraszamy i rozkazujemy, abyście w tem okazały ochotę i miłość zobopólną i do miasta Plotkowic stawiły się osobami swemi, w ubiorach świetnych, jako tylko być może, również pięknemi ekwipażami, żebyśmy się zawsze piękniej i misterniej jak mężczyzni pokazać mogły. Z taką to wyprawą żebyście WMości raczyły przyjechać bez omieszkania, aby przez niepilność, nasze sprawy zaczęte nagany jakiej albo upadku nie odniosły.

Życie.

* *Życie ślimacze.*

Ballada wielkoposta.

Młoda wdówka w rozpaczy,
Pędzi żywot.. ślimaczy,
Ciągle gorzkie łzy... leje i leje;
Bo straciła niestety,
Sny, marzenia kobiety;
I gorącej miłości nadzieje.

* * *

Naprzeciwko... *lew*... młody,
Pełen... ognia... urody,
Pędzi żywot otwarty... wesoły;
A choć wdówka się gniewa,
On się śmieje i śpiewa,
A najgłośniej drze gardło... gdy goły.

* * *

Wdówka niby z niechcenia,
Piorunowe spojrzenia,
Wciąż do lwiego posyła łożyska;
Lew też patrzy... lecz skrycie,
Serca trapi go bicie,
Chciałby z wrogiem swym zmierzyć się z bliska.

* * *

I ta spojrzeń gonitwa,
Lwa kaleczy jak brzytwa...
Stara piosnka, mu w gardle zasycha;
Śród czułości napadu,
Myśli błądzą bez ładu,
Złoty humor poleciał do licha.

* * *

Raz gdy słońce mu cudnie,
Zaświeciło w południe,
Wpadł do głowy mu pomysł zuchwały;
Przywdział czarne fraczysko,
I przygładził wąsisko,
A na szyję... krawacik wziął biały.

* * *

„Śmiałość bierze fortece,
W wdówce zapał rozniecę,
Świat wszak mówi, żem piękny mężczyzna
A że sprytem się szczycę,
Posag wdówki pochwycę
I przeklęta ustanie golizna.

* * *

Mych koleżków uraczę;
A jej życie ślimacze
Wnet zamienię na uczty i bale.
Wdówkę wezmę na kawał,
Będę *szyku* zadawał,
I jej wdowie zakończą się żale.

Epilog.

Wkrótce lew się ożenił,
Lecz porządek się zmienił,
Piosnka w piersi na wieki zamarła;
I przepadło rycerstwo,
W domu *skąpstwo i sknerstwo*,
Lew wysoki... dziś postać ma *karła*!..

* * *

Bo zachciało się wdówce
Ciosać kołki na główce
Bohatera niniejszej powieści.
Teraz poznał, co znaczy
Żywot wdowi... ślimaczy,
Gdy w *pantoflu* swej żony się mieści.

Życzenie.

Pewien Irlandczyk, skazany na śmierć przez powieszenie, prosił aby mu założono stryczek pod pachy, a nie na gardło, gdyż tak go łechcze dotknięcie w szyję, iż może się zaśmiać na śmierć.

Żyd.

* Pewien żyd zamówił extrapocztę; urzędnik chcąc sobie z niego zażartować, namawiał go, aby zamiast pary koni, wziął cztery konie utrzymując, że z podwójną szybkością stanie u celu swej podróży. „Więc jeśli wezmę ośm koni, to jeszcze prędzej zajadę na miejsce?...” „Naturalnie” odrzekł urzędnik. „No dobrze! każcie mi tedy zaprządz 32 konie, a będę potrzebował tylko usiąść na bryce!”

* Pewien żyd żebrak żenił swoją córkę. „Coż jej dasz, kiedy nic niemasz”—zapytał go

kolega. „Mam dwie prowincyje, w których jeszcze nie żebrałem, Prusy i Pomeranię!"

* *Młody żydek.*

Pewien młody żydek przyszedł raz do profesora medycyny, prosząc aby zechciał udzielać mu darmo lekcyi prywatnych. Profesor odprawił go jednak z niczem, a żydek dowiedziawszy się, że profesor jest domowym lekarzem bankierów R i E, pobiegł do nich, prosząc o protekcyję. Bankierzy wstawili się za rodakiem do uczonego profesora i ten przystał w końcu na dawanie lekcyi, z warunkiem, że otrzyma połowę zwykłego honoraryjum. Opiekuni dali znać o tem swemu protegowanemu, który też niebawem zaczął korzystać z wykładów profesora. Przy końcu roku szkolnego rzekł doń profesor: „Wszystko dobrze, ale musisz mi zwrócić teraz połowę przyrzeczonego honoraryum" „Co pan mówi? czyż ja jestem panu dłużny?! Powiedział pan jednemu bankierowi, że ustępujesz połowę, drugiemu bankierowi też połowę a że z dwóch połów składa się całość, zatem darowałeś mi pan wszystko!"

* *Żyd i Osieł.*

Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził,
Że już ledwo chodził;
Aż litość brała, serce się krajało,
Patrząc, co z owym oślątkiem się stało:
Z całej mu dawnej piękności
Zostały skóra i kości.
Wsiadł on nań przecież, aby w dzień tar-
[gowy
Skręcić jakiś szacher nowy,
Lecz go próżno nęka, zmusza,
Osieł się z miejsca nie rusza;
Wali piętą, kijem łoi,
Osieł jak stanął, tak stoi.

Innego możeby rozpacz uniosła,
Rzekłby się pewno targu i osła,
Ale od czegóż główka Kaina.
By złamać, przeprzeć opór osła dziki,
Bierze więc siana, czepia w końcu tyki
I zdala przed nim trzyma.

Osieł nasz chciwie wytrzeszczając oczy,
Chciałby się siankiem posycić,
Sięga, więc sięga a nie mogąc schwycić:
Zwolna za nim kroczy.
Kroczy i nogę za nogą stawia,
I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia:
A żyd tymczasem jak jedzie, tak jedzie
I głupiego osła wiedzie,
I póty wiedzie i bije i siecze,
Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.

Tak to ku świata ohydzie,
Zwodzą się ludy i narody zwodzą,
Nęcą je, wabią, za nos głupich wodzą,
A osiołek idzie.

Fr. Morawski.

* *Żyd szalbierz.*

Kto widział niewiernego, by dotrzymał wiary?
Każdy młody żyd szalbierz, jeszcze gorszy
[stary.

* *O żydzie co czekał ogolenia brody.*

Jeden oszust winien był żydowi sto złotych; aby mu ich nie płacić, chronił się zawsze przed nim. Raz go żyd wyszpiegował u balwierza i do urzędu go pozwał. Rzecze oszust żydowi: „Miły żydzie, usprawiedliwięć się, tylko ślubuj przed panem balwierzem, że mi tych pieniędzy czekać będziesz, aż mi brodę ogoli"...

Żyd zapłaty się spodziewając skoroby brodę ogolił, ślubował mu czekać ich, póki mu brody nie ogoli. Nasz dobry pan to usłyszawszy, rzecze balwierzowi: „Stój, nie gól dalej, dobrze mi z tą brodą, chociaj tak do połowice ogolona, gdyż sto złotych w mieszku zostanie". Oddawszy grosz balwierzowi odszedł. A żyd chodząc za nim woła: „Adonaj, pieniądze daj." Oszust rzecze: „Milcz żydzie, wszakżeś mi ich obiecał czekać, mam świadka na to". A wykuglował się mu kat

oną brodą. Nie miej z żydy sprawy! Pamiętaj na on rytm:

Już temu bieda, kto prosi żyda.

* — Dla czego żydzi nie lubią wąchać prochu?

— Bo go nie wynaleźli.

Żyto.

Pierwiastek jego żyt czyli żyd, tak nazwane dla tego, że nasze żydki na żytku najlepiej lubią urządzać spekulacje.

Żywioły.

* *Sprytny uczeń.*

Nauczyciel. Powiedz mi, jakie są cztery żywioły w naturze?

Uczeń. Ogień, woda, powietrze i...

Nauczyciel. I co jeszcze? Przypomnij sobie, co masz pod stopami.

Uczeń. Podeszwy.

KONIEC TOMU CZWARTEGO i OSTATNIEGO.